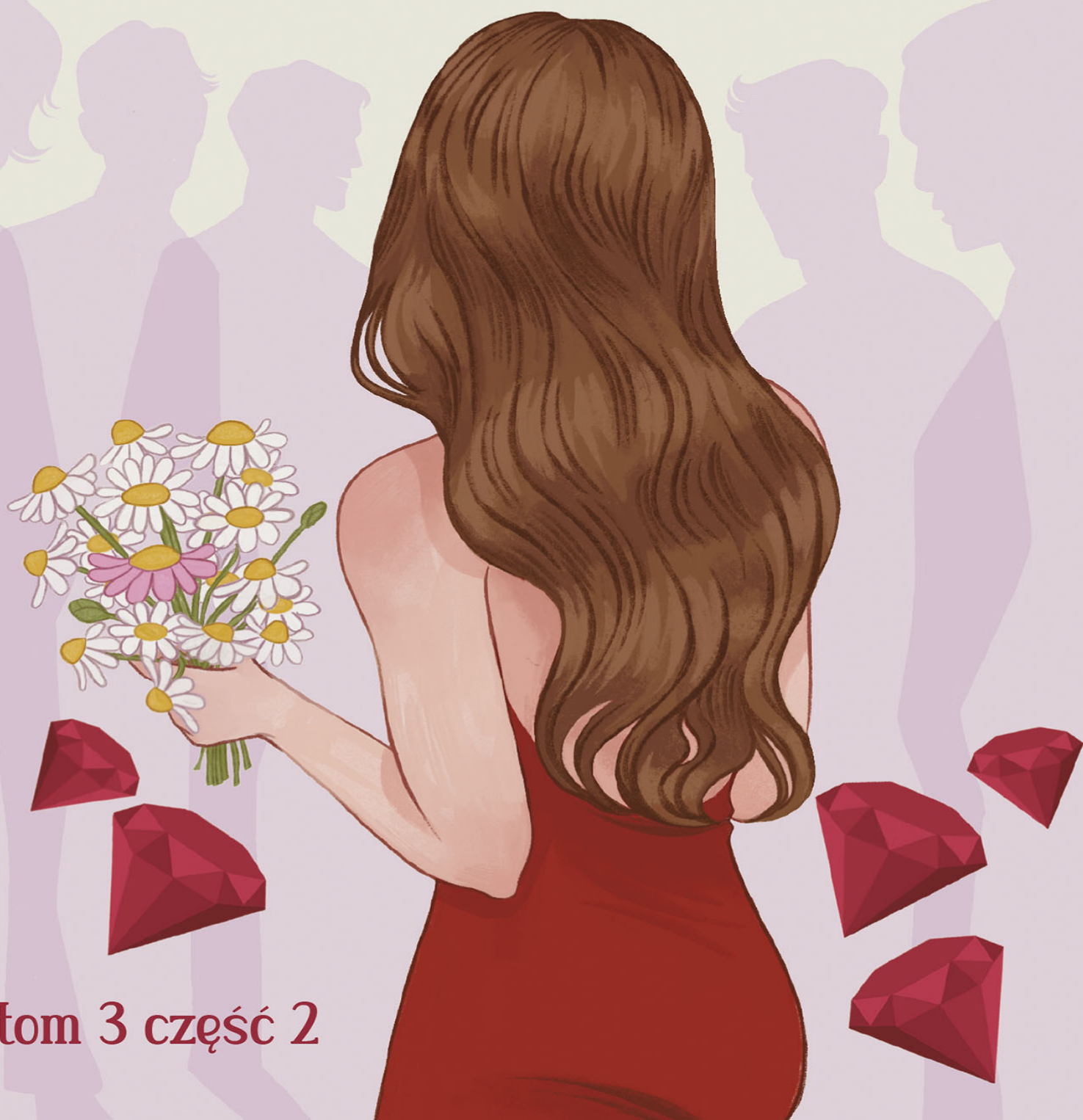


WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Perełka



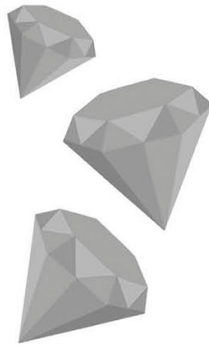
tom 3 część 2

Welcome to the family, Perełki

WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Perełka



część 2

YOU &
YA

Ilustracja i projekt okładki: *Dixie Leota*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redaktor prowadzący: *Anna Wyżykowska*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Karolina Mrozek, Elżbieta Steglińska*

Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku,

ponieważ niektóre motywy i zachowania opisane w książce mogą urazić uczucia odbiorców, zalecamy ostrożność podczas czytania.

Wszystkie wydarzenia i postacie przedstawione w powieści są fikcyjne.

Życzymy dobrej lektury,

Autorka i Wydawnictwo

© for the text by Weronika Anna Marczak

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2723-6

You&YA

MUZA SA

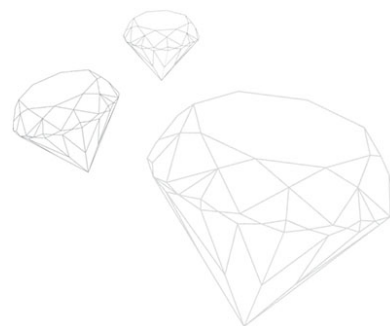
Wydanie I

Warszawa 2023

Spis treści

43	NIE ZAMYKAJ SIĘ
44	BZDURNE WYZWISKA
45	PORANKI BEZ HUMORZASTYCH BLIŹNIAKÓW
46	CUDOWNY PRZYJACIEL
47	SKARB
48	ZABORCZE DOBERMANY
49	BAD BOY'E
50	BANANY W RUMIE
51	CO OZNACZA BYĆ HAILIE MONET
52	ERA SPOKOJU
53	ATENCJUSZ, JAKICH MAŁO
54	BRAMA
55	KARAFKA
56	KLĄTWA MONETÓW
57	ZIELONE ŚWIATŁO
58	PURÉE Z RYCERZYKA
59	NIKT NIE PYTAŁ
60	DOBRY WIECZÓR
61	ŻADNA WIELKA SPRAWA
62	MAŁA, SŁODKA SIOSTRA
63	WILL, PRZESTAŃ
64	JAJKO NIESPODZIANKA
65	SŁOŃCE, ZIMNY NAPÓJ I LEO
66	SONNY

67 PROJEKTOR GWIAZD
68 RÓWNI I RÓWNIEJSI
69 O WILKACH MOWA
70 PIĘĆ BANIEK W WALIZECZCE
71 NIESPODZIANKA, MONETOWIE W SALONIE
72 BĄBELKI
73 WINO WŁASNEJ ROBOTY
74 TRZY KONWERSACJE
75 PANNO MONET
76 LINY
77 LALECZKA LISSY
78 KOLEJNY POWÓD, ŻEBY ZASNAĆ
79 STOKROTKI
80 PIĘKNY WARKOCZ
81 WIELKI I NIEZWYCIĘŻONY
82 BEZKARNI
83 PONAD MAFIJNE PORACHUNKI
84 MIŁOŚĆ TO DOBRY POWÓD
85 MUR
86 VINCE
18. URODZINY



43

NIE ZAMYKAJ SIĘ

W progu gabinetu stanął Vincent.

Adrien, który nadal się nade mną nachylał, nagle wyprostował się, zrobił dwa spore kroki do tyłu i nawet uniósł dłonie wysoko, aż nad głowę.

– Nie dotknąłem jej.

Jego zapewnienie zabrzmiało donośniej niż złowróżbne, spokojne pytanie mojego brata.

– Co to ma znaczyć?

– Nie dotknąłem jej – powtórzył Adrien.

Na widok Vincenta zalała mnie fala emocji. Broda zaczęła mi drżeć jeszcze bardziej, a do oczu znów napłynęły łzy i niczego nie chciałam bardziej niż rzucić się w jego stronę, może nawet paść mu w ramiona, i usłyszeć wypowiedziane jego chłodnym głosem zapewnienie, że wszystko będzie w porządku.

Powstrzymała mnie tylko obawa, że gdy dowie się, jak strasznie nieostrożna byłam, z miejsca mnie znienawidzi. Nie przeżyłabym, gdyby mnie teraz odepchnął.

To w końcu on pierwszy zdecydował się, by szybkim krokiem podejść do mnie. Po drodze odłożył na blat swojego biurka elegancki tablet, który tu ze sobą przyniósł.

– Co ty tutaj robisz, Hailie? – zapytał, marszcząc brwi, ale chyba dopiero gdy się zbliżył, dotarło do niego, w jak opłakanym stanie jestem. – Co się stało?

– To moja wina – wyskamlałam, kiedy położył mi dłoń na ramieniu.

Nie zasługiwałam na to, by mnie pocieszał.

– Co się stało? – powtórzył, tym razem dużo chłodniej.

Podczas gdy szybko analizowałam w myślach, czy najpierw powiedzieć mu o niepokojącym połączeniu od ojca, czy o tym, że naszą rozmowę słyszał jego wspólnik, przemówił Adrien:

– Twoja siostra odebrała intrygujący telefon. Ciekawi mnie, co ty masz do powiedzenia na ten temat.

Patrzyłam w dół na tiul swojej sukienki, który był tak oszałamiająco piękny, że jeszcze niedawno zerkalam na niego wyłącznie z radością, podziwiając, jak się mieni. Teraz nie wierzyłam, że kiedykolwiek będę mogła jeszcze poczuć podobnie niewinne szczęście.

– Kto dzwonił? – zapytał Vincent pełnym napięcia głosem.

Przełknęłam ślinę, a jedna z łez skapnęła mi z brody i zginęła w plisach sukienki.

– Powiedz, Hailie Monet, kto dzwonił – zachęcił mnie Adrien.

Gardło mi się tak zacisnęło, że ledwo można było mnie zrozumieć, gdy uniosłam w końcu oczy na brata i odpowiedziałam:

– Tata.

Dobrze widziałam moment, w którym przez blade tęczęwki Vincenta przemyka szok i nawet strach. Trwało to jednak tylko ułamek sekundy, bo zdołał po mistrzowsku zapanować nad emocjami, a jego twarz zastygła. Adrien nie mógł wiedzieć, że dłoń, którą Vincent trzymał na moich plecach, nagle zeszywniała.

– Ach tak – mruknął lodowato.

– Dziwna sprawa. Nie miałem pojęcia, że twoja młodsza siostra jest medium i dostaje telefony zza grobu. – Adrien przechylił głowę i spojrzał na mnie swoimi czarnymi jak węgiel oczami. – Może dałabyś radę przekazać parę słów mojemu psu, co, Hailie? Bardzo za nim tęsknię.

Znowu można by pomyśleć, że trzymają się go żarty, ale tak naprawdę gotowałam się z wściekłości. Zignorowałam jego komentarz, wiedząc, że mam do przekazania jeszcze jedną ważną informację. Mój brat może mnie teraz znienawidzić, ale musi wiedzieć, że ojciec potrzebuje pomocy, i to natychmiastowej.

Zacisnęłam palce na jego gładkiej marynarce, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

– Vince, on ma kłopoty – wyszeptałam. – Coś się stało i ma kłopoty... Dzwonił tyle razy, dlatego ja...

Zawiesiłam głos w obawie, że znowu powiem o słowo za dużo, mimo iż teraz to już prawdopodobnie mogło nie mieć większego znaczenia. Przypomniałam też sobie, że upuściłam gdzieś telefon Vincenta, więc rozejrzałam się po podłodze, a mój brat, wciąż spięty jak nigdy, podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, po czym przymknął na chwilę powieki.

Na bardzo krótką chwilę, a gdy je otworzył, przyjrzał się jeszcze raz mnie, Adrienowi i telefonowi na ziemi, a także dostrzegł rozlaną whisky i widać było, jak trybiki w jego głowie pracują nad błyskawicznym posortowaniem priorytetów. To była cecha Vincenta, której nigdy nie przestanę podziwiać – jego gotowość do rozwiązania każdego problemu i przeskoczenia każdej przeszkody, jakie pojawią się na drodze. Dla niego nie było misji niemożliwych, nie marnował też czasu na panikę.

Najpierw wywarł swoją dłoń nacisk na moje plecy, żebym podeszła do jego fotela za biurkiem, który wcześniej szybkim ruchem wysunął zza mebla. Usiadłam na nim ostrożnie, a on wyjął z szuflady czarną chusteczkę do nosa, na miękkiej bawełnie był chyba nawet wyhaftowany monogram. Nie miałam pewności, ponieważ natychmiast zrobiłam z niej użytek. W tym czasie Vince podszedł do miejsca, w którym leżał jego telefon, i schylił się, by go podnieść. Coś na nim wystukiwał przez chwilę, a jego twarz była tak nieodgadniona, że równie dobrze mógł rozwiązywać właśnie krzyżówkę. Na końcu tylko westchnął cicho i przyłożył urządzenie do ucha.

– Will, potrzebuję cię w gabinecie. Teraz – rzucił bez emocji do słuchawki i się rozłączył. Następnie wsunął telefon do kieszeni spodni i w końcu zwrócił się do Adriena.

– Czeka nas długa rozmowa – powiedział.

Adrien stał z boku i obserwował uważnie każdy jego ruch. Ręce trzymał w kieszeni, ale z całą pewnością nie był wyluzowany, i tylko parsknął w odpowiedzi:

– Co ty nie powiesz.

– Usiądź, proszę – zaproponował chłodno mój brat, wskazując na sofę, którą Adrien zajmował już wcześniej.

– Nie zamierzam się rozsiadać. Czekam na wyjaśnienia tu i teraz – warknął, marszcząc brwi. Wyszarpnął też jedną dłoń z kieszeni, by móc nią gestykulować. – Twoje szczęście, że w ogóle mam ochotę cię słuchać.

– Sprawa jest skomplikowana. Jeśli żądasz wyjaśnień, to uzbrój się w cierpliwość i usiądź.

– Nie zachowuj się, jakbyś to ty tutaj rozdawał karty, bo się nie dogadamy.

– Dobrze, a więc stój. Wedle twoich preferencji.

Obaj byli poważni i robili onieśmielające wrażenie groźnych biznesmenów, którzy zajmują się sprawami wagi co najmniej państwowej – zwłaszcza te garnitury i złowrogi ton ich głosów wpisywały się w ten wizerunek. Jednocześnie ich wymiana zdań przypominała mi trochę kłótnię dzieciaków na placu zabaw, tylko taką ubraną w odrobinę podnioślejsze słowa. Może nawet bym się zaśmiała, gdybym nie walczyła ze strachem i poczuciem winy.

Vincent odwrócił się od Adriena i znowu podszedł do mnie. Oparł się o brzeg swojego biurka, a następnie pochylił lekko, żeby sięgnąć dwoma palcami pod mój wilgotny od płaczu podbródek.

– Czy zanim tu wszedłem, Adrien w jakikolwiek sposób cię skrzywdził? – zapytał, uważnie mi się przyglądając.

Zawahałam się i zerknęłam na mężczyznę, który przed chwilą tak okropnie mnie nastraszył. Znowu trzymał obie ręce w kieszeni, a gdy nasze spojrzenia się na moment skrzyżowały, on swoje odwrócił.

– Patrz na mnie, Hailie, nie na niego – upomniał mnie Vince, zaciskając palce.

I cóż ja mu miałam powiedzieć? Co prawda, Adrien mnie nie tknął, ale podniósł na mnie głos i paskudnie zabawił się z moimi emocjami. Ostatnie jednak, czego bym w tej chwili chciała, to robić z siebie ofiarę, bo przecież działały się właśnie rzeczy o wiele ważniejsze, a główną tego przyczyną była moja głupota.

Pokręciłam głową, patrząc prosto w błękitne oczy brata.

– Na pewno?

– Nie – odparłam zachrypniętym głosem. Odchrząknęłam i dodałam szeptem: – Tylko się zdenerwował.

Vincent przeszywał mnie swoim spojrzeniem niczym żywy wykrywacz kłamstw, ale niczego mi nie zarzucił, bo w tym momencie do biura wszedł Will.

Vince się wyprostował i powitał go skinieniem głowy, a ja zapatrzyłam się na swojego ulubionego brata uszczęśliwiona. Po chwili jednak poczułam smutek, bo wyobraziłam sobie jego zawód, kiedy się dowie, co się wydarzyło.

– Wynikła pewna sytuacja – oznajmił Vince. – Chciałbym, żebyś zabrał stąd Hailie i pomógł jej się uspokoić, podczas gdy ja i Adrien zasiądziemy do pewnych klaryfikacji w związku z upozerowaniem śmierci naszego ojca.

Oczy Willa się rozszerzyły. Najpierw na mój widok, a potem na słowa Vincenta. Zamurowało go, ale tylko na ułamek sekundy, bo szybko zebrał się w sobie i się do mnie zbliżył. Ciągle zerkał na Vincenta i Adriena, nawet gdy pociągnął mnie delikatnie za dłoń, bym wstała.

– Vince – szepnął, gdy jeszcze zatrzymał się za mną i położył sztywne dłonie na moich ramionach. Zamierzał wykonać polecenie, ale ciekawość i strach jednak wygrały, bo zapytał: – Co jest?

– W obecności Adriena został odebrany niefortunny telefon – wytłumaczył Vincent. – Rozumiesz więc, że należy to jak najszybciej wyjaśnić.

Will skinął głową i skierował mnie do wyjścia, a gdy tak szedł za moimi plecami, usłyszałam, jak przełyka ślinę. Pragnęłam opuścić ten gabinet,

a jednocześnie czułam się w obowiązku, by w nim zostać i przyjąć wyrzuty, których na razie jeszcze nikt mi nie robił. Popełniłam jednak tak wielki błąd, że w tej chwili gotowa byłam zrobić, cokolwiek Vincent mi rozkaże.

Ścisnęłam w ręce wilgotną od moich łez chustkę Vincenta i szeleściłam sukienką, gdy w asyście Willa opuszczałam pracownicze skrzydło naszej rezydencji. Mój ulubiony brat w milczeniu zaprowadził mnie do mojej sypialni, zamknął za nami drzwi i posadził mnie na łóżku, po czym od razu kucnął przede mną, żeby zajrzeć mi w oczy, bo głowę ciągle trzymałam zwieszoną.

– Hailie? – zagadnął łagodnie. – Hailie, opowiedz mi.

Zagryzłam wargi, po czym zaszlochałam jeszcze raz i ukryłam twarz w dłoniach. Palce jego ręki złapały mnie za jeden z nadgarstków, by oderwać moją dłoń od twarzy i zamknąć na niej swoją. Ścisnął ją i gładził kciukiem w uspokajającym rytmie, czekając, aż będę gotowa, by się odezwać.

Minęło dobre piętnaście minut, podczas których on próbował wydobyć ode mnie jakąś sensowną relację. Gdyby wręczano medale dla najcierpliwszych osób świata, to Willowi od razu należałyby się wszystkie trzy miejsca na podium.

To nie tak, że nie chciałam go wtajemniczać, po prostu przyznanie się do czegoś, za co on mnie znienawidzi, nie mogło mi przejść przez gardło. Gdy wreszcie zdobyłam się na opowiedzenie mu, jak poszłam zwrócić telefon Vincentowi, że zobaczyłam te wszystkie połączenia i odebrałam jedno z nich, nieświadoma obecności Santana, celowo patrzyłam w jego twarz, żeby nie dał rady ukryć przede mną nawet najmniejszej oznaki obrzydzenia moją osobą. Spodziewałam się, że taka reakcja pojawi się chociażby w jego oczach, chociażby na sekundę.

Nie doszukałam się w nich jednak niczego więcej niż strach i zmartwienie. Milczał przez chwilę, która dłużyła mi się tak nieznośnie, że z powrotem zakryłam twarz, wyrwawszy dłoń z jego uścisku, i wyskomlałam:

– Chcę umrzeć.

To było, jakby ktoś wylał na niego kubeł lodowatej wody. Wzdrygnął się nawet i natychmiast zmarszczył brwi. Tym razem zabrał mi z twarzy ręce

mniej delikatnie i korzystając ze swojej przewagi fizycznej, przycisnął mi nadgarstki do materaca po obu stronach moich ud. Wtedy też wbił spojrzenie w moje czerwone, zapuchnięte od płaczu oczy.

– Nigdy tak nie mów.

Zamrugalam przestraszona, słysząc jego dziwnie niski głos. Will dodatkowo szarpnął moimi nadgarstkami – nie w agresywny sposób, lecz taki mający doprowadzić mnie do porządku.

– Rozumiesz mnie? – powiedział ostro. – Nie chcę nigdy słyszeć takich słów z twoich ust. Nie wolno ci tak mówić, rozumiesz? Nie wolno ci nawet tak myśleć.

– Przestań mnie bronić! – wykrzyczałam prosto w te jego błękitne tęczy. Próbowałam wyrwać ręce, ale tym razem mi się nie udało. Mimo to ciągnęłam: – Przestań się zachowywać, jakbym była tu ofiarą! To moja wina!

– Nie możesz mówić, że...

– Mogę! Dlaczego ty nie powiesz prawdy? Jak możesz patrzeć mi w oczy i udawać, że to, co się wydarzyło, to nie moja wina?!

Fakt, że chciałam mu się wyrwać i oddalić, a nie mogłam, niezwykle mnie frustrował. Na dodatek ruchy krępowała mi sukienka, która już przestała mnie zachwycać, a zaczęła denerwować. Miałam wrażenie, jakby oplatały mnie więzy. Aż odetchnęłam głośno i z irytacją. Czułam, że zaraz wybuchnie mi głowa. Bolała mnie od nadmiaru wydarzeń i skrajnych uczuć. A gdy ją uniosłam, zobaczyłam, że w drzwiach sypialni stoją Dylan i Shane.

Patrzyli w milczeniu na scenę z udziałem ich siostry i drugiego z najstarszych braci. Ich usta były zaciśnięte, a brwi zmarszczone. Nie odważyli się nam przerwać, ale widocznie chcieli coś zrobić, by załagodzić sytuację. Stali tak jednak zdezorientowani, a potem do obrazka dołączył Tony. Jako jedyny zdążył pozbyć się garnituru. Miał na sobie same bokserki i w zestawieniu z wciąż eleganckimi braćmi prezentował się raczej zabawnie, ale w tym momencie w ogóle nie było mi do śmiechu.

Will, którego palce nadal robiły za kajdany, podniósł się tak, by usiąść na łóżku obok mnie, i dopiero wtedy zabrał jedną z dłoni, ale bynajmniej

nie puścił mnie wolno, bo natychmiast objął mnie ramieniem i przycisnął do siebie tak mocno, jak jeszcze nigdy.

Było mi dobrze, gdy mnie tak pocieszał, ale z drugiej strony uważałam, że na to nie zasługuję, i nienawidziłam się za to, że tak bezwstydnie to wsparcie przyjmuję.

– Jesteś dla siebie zbyt surowa, malutka – przemówił cicho, głaszcząc moje ramię. – Nie uważam, że to jest twoja wina, i zaraz ci wyjaśnię dlaczego, ale najpierw chcę, żebyś się przebrała i zmyła z twarzy te łzy, dobrze?

– Ale on ma kłopoty, Will, trzeba mu pomóc... Czy Vince...

– Ciii, Hailie, zajmę się tym. Obiecuję, dobrze? Przebierz się i ochłoń, a ja się tym zajmę. Możemy mieć taką umowę?

Zacisnęłam powieki, załamana, ale ufałam, że Will wie, co robić, więc pokiwałam głową.

– Świetnie. Weź teraz kilka głębokich wdechów – polecił mi, odklejając mnie od siebie i patrząc na mnie wyczekująco. – Właśnie tak, pięknie, malutka.

O dziwo te głupie wdechy trochę mi pomogły zebrać się w sobie. Nie żebym poczuła się nagle dobrze i nie jak kupa łajna, ale przynajmniej zdołałam wstać i tylko lekko się zachwiałam. Wiedziałam, że w progu wciąż sterczy święta trójca moich braci, ale celowo na nich nie spoglądałam.

– Będę na zewnątrz – powiedział Will, a ja skinęłam głową i ruszyłam wolno w stronę garderoby, ale przystanęłam, gdy zawołał: – Hailie?

Odwróciłam się z tępopytającym wyrazem twarzy, pociągając nosem.

– Nie zamykaj się na klucz.

Na początku uznałam tę prośbę za dziwną, ale gdy Will wyszedł, wypraszając ze sobą resztę braci, a ja zostałam sama, zrozumiałam, o co mu chodziło, i wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi bardzo nieprzyjemny dreszcz.

Zdzierając z siebie suknię, zastanawiałam się, czy Vincent pomaga właśnie ojcu, czy tylko siedzi z Adrienem i stara się naprawić to, co ja zepsułam swoją nieuwagą. Patrzyłam na swoje odbicie w garderobianym lustrze i nie mogłam znieść tej widocznej w nim czerwonej, zaryczanej

buzi. Wcześniej wyglądałam jak księżniczka, a teraz czułam się jak nędzarka.

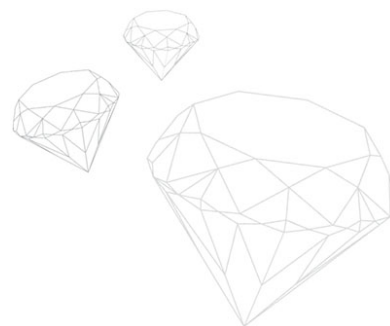
Zanim powiesiłam sukienkę na wieszaku, zrobiłam sobie krótką przerwę na kolejny płacz. W samej bieliźnie osunęłam się na podłogę ze sztywną kreacją przyciśniętą do piersi. Tak mocno wbiłam paznokcie w materiał, że prawdopodobnie go pozaciągałam.

Cóż, dzisiaj zrujnowałam o wiele więcej, jedna sukienka nikomu nie zrobi różnicy.

– Hailie? – zawołał w pewnym momencie Will, stukając do drzwi.

– Chwila! – odkrzyknęłam zduszonym głosem i znowu chlipnęłam, mobilizując się do szybszych ruchów. Wciągnęłam przez głowę biały T-shirt i założyłam kremowe dresy, a potem pobiegłam do łazienki, żeby bez przyglądania się swojej spuchniętej twarzy obmyć ją na szybko wodą i niedokładnie zmyć rozmazane resztki makijażu.

Gdy znowu stanęłam przed Willem, od razu zapytałam, co z Camem. Tylko to mnie interesowało.



44

BZDURNE WYZWISKA

Usiedliśmy na brzegu łóżka, w dokładnie tej samej pozycji, co wcześniej. Do pokoju zeszli się też z powrotem pozostali bracia, którzy musieli zostać już wtajemniczeni w sytuację. Celowo unikałam ich spojrzeń, raz po raz przecierając szczypiące mnie oczy.

– Vince już prawie kończy z Adrienem. Niedługo tu przyjdzie i porozmawiamy, dobrze?

– Czyli Vince ciągle z nim jest? A co z tatą? Dowiedziałeś się, co z nim?
– zapytałam, a pomiędzy moimi brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

– I co z Adrienem, czy on... Czy on zrobi coś...

– Vincent z nim negocjuje – odpowiedział Will, zakładając mi włosy za ucho. – Wiem, że się przestraszyłaś, malutka, ale, proszę, nie dręcz się tym. Vincent to załatwi.

– Posprząta mój bałagan? – prychnęłam cierpko. – Jak?

– Nasz.

– Nie jest nasz, jest mój, to ja jestem głupia. Powinnałam była się rozejrzeć. Nie powinnałam była w ogóle tam iść albo powinnałam zawrócić, gdy zobaczyłam, że nie ma Vince’a...

– To nie... – zaczął znowu Will, ale ktoś wszedł mu w słowo:

– Tak, powinnaś była.

Rozejrzałam się, zaskoczona taką zmianą narracji, a serce mi się zatrzymało po raz kolejny tego wieczoru. Wszyscy moi bracia byli równie zszokowani, poza jednym – tym, który wypowiedział te słowa.

Tony siedział na moim fotelu, w którym uwielbiałam zwijać się w kulkę i czytać. Nadal się nie ubrał i w normalnych okolicznościach pogoniłabym jego odzianą tylko w bokserki osobę z jednego ze swoich ulubionych mebli w tej sypialni. Jednak jedyne, na czym się teraz skupiałam, to zrozumienie słów Tony’ego. Czy on mnie obwiniął? Próbowałam wyczytać odpowiedź z jego nieodgadnionych oczu.

Jeśli tak, to bardzo słusznie. Należało mi się.

– Co z tobą? – burknął Shane na swojego bliźniaka. On z kolei siedział okrakiem na moim krześle od biurka, z oparciem między udami.

– Co z wami? – prychnął Tony. – Przestańcie ją klepać po główce, bo nawet ją samą to denerwuje. Zrobiła coś głupiego i nieodpowiedzialnego i tyle. Nie ma sensu zaprzeczać.

– Sorry, typie, ale pieprzysz głupoty – odezwał się z irytacją Dylan, który z założonymi na piersi rękoma opierał się o ścianę pokoju tuż obok otwartych drzwi. – Co ty niby byś zrobił na jej miejscu? Bo ja wiem, że pewnie sam bym oddzwonił na ten numer, a potem wpadł do Vince’a i już od wejścia darł mordę, że ojciec ma kłopoty.

Wcale nie sprawił tym, że poczułam się lepiej. Wręcz przeciwnie – drgnęłam, rzuciłam Willowi spanikowane spojrzenie i odezwałam się płaczliwie:

– Nie siedźmy tak! Skoro Vince jest z Adrienem, to ktoś musi pomóc tacie!

– Spok...

– Przestań mnie uspokajać!

– To nie tata! – wtrącił Shane podniesionym głosem. Rozkładał też ręce i wpatrywał się z irytacją w Willa. – Czemu jej wreszcie nie powiesz?! – Przeniósł wzrok na mnie. – Nie rozmawiałaś z ojcem.

– Właśnie próbowałem jej...

– Cały czas ją uspokajasz! A może uspokoi się wtedy, gdy powiesz jej prawdę?

– A może pogorszy jej się jeszcze bardziej?! – zagrmiał Will, tracąc panowanie. – Trzeba jej powiedzieć stopniowo, a nie atakować ją coraz to nowymi rewelacjami!

Patrzyłam to na jednego, to na drugiego brata i pragnęłam, żeby ta sytuacja okazała się głupim snem, z którego zaraz się obudzę.

– Co to znaczy, że nie rozmawiałam z tatą? – wychrypiałam. – Przecież go słyszałam.

Will zacisnął szczękę i rzucił poirytowane spojrzenie jednemu z bliźniaków, po czym przeniósł je na mnie i westchnął.

– Rozmawiałaś z wujkiem Montym, Hailie.

Odchyliłam gwałtownie brodę i zmarszczyłam czoło.

– N-nie?

– Francuski numer, z którego ktoś wydzwaniał do Vincenta, należy do wujka Monty’ego. To on prosił o pomoc.

Pokręciłam głową, prawie wręcz rozbawiona – tylko że w taki gorzki sposób. On sobie chyba stroi ze mnie żarty.

– To dlaczego Vince nie miał tego numeru zapisanego w telefonie?

– Monty zmienia je jak skarpetki, to nic nadzwyczajnego.

– Niemożliwe – wyszeptałam, kręcąc głową. – Nie pomyliłabym ojca z wujkiem, no proszę was!

– Każdy z nas by pomylił – mruknął ponuro Shane. – Brzmia identycznie.

– To był ojciec, ja to wiem... – Spuściłam wzrok, nie wiedząc, co począć, jak to uargumentować.

– Przed chwilą rozmawiałem z Montym – powiedział Will. – Potwierdził, że to do ciebie się dodzwonił.

Przymknęłam powieki. Niemożliwe, że wszystko to, co się wydarzyło, mogło okazać się jeszcze bardziej porąbane, niż do tej pory myślałam. To

jakiś koszmar. Najgorsze było to, że na chwilę poczułam ulgę, że ojcu jednak nic nie grozi, a potem uświadomiłam sobie, że w takim razie zupełnie bez powodu sprowadziłam na niego kłopoty.

– Co z zastrzeżonym numerem? – zapytałam, gdy sobie przypomniałam.
– Oprócz tego francuskiego widziałam, że do Vince’a dzwonił też jakiś numer zastrzeżony. Ze dwa razy. Taki, jakiego na ogół używa ojciec.

– To akurat był on – potwierdził Will, kiwając głową. – Monty to panikarz, postawił na nogi wszystkich.

Zagryzałam wargi, próbując to sobie poukładać.

– To znaczy, że tacie nic nie jest? – upewniłam się.

– Nic.

– A raczej nic mu nie było, dopóki go nie wydałam przed Adrienem – poprawiłam się i znowu zadrżał mi podbródek.

– Hailie... – westchnął Will, wyciągając do mnie rękę, ale pokręciłam głową.

– Nie, Will.

Pociągnęłam nosem, oddychając ciężko i próbując nad sobą zapanować, żeby znowu nie zamienić się w rozpaczającą memeję.

– W takim razie co tak właściwie stało się Monty’emu? – zapytałam, pocierając powiekę.

Will unikał mojego spojrzenia. Przejechał sobie dłonią po czole i oblizał dolną wargę.

– Maya i Flynn przepadli – powiedział Dylan.

– Co? – sapnęłam i serce znowu zabiło mi mocniej. – Jak? Gdzie?

Will tym razem rzucił niezadowolone spojrzenie Dylanowi, zanim wyjaśnił:

– To sprawka Charlesa. I nic im nie jest, nie denerwuj się.

– Charles porwał Mayę i Flynna? Własną córkę i wnuka?! – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Charles to świr – prychnął Shane.

– Maya leciała do Paryża. Miała się tam przenieść z Flynnem na koniec lata, a Monty planował dojechać kilka dni później. Zaczął się martwić, gdy nie zameldowała mu się po wylądowaniu.

Przykryłam sobie usta dłonią.

– Ale nic jej nie jest, prawda?!

– Nie sądzę, ale czekamy, aż się odezwie i to potwierdzi – oświadczył Will, a widząc moją panikę, kontynuował: – Świadkowie twierdzą, że widzieli, jak na ulicy pod apartamentowcem zatrzymała się obok niej czarna limuzyna. Po chwilowej rozmowie z osobą w środku Maya do niej wsiadła. Charles mógł ją zaszantażować. Pewnie zabrał jej telefon, ale nie ma się co martwić. Puści ich, gdy Vincent i Adrien wywrą na niego nacisk.

– To by się zgadzało. Charlesa nie było dziś na balu, co nie? – zauważył Dylan.

– Nikogo nie poinformował, że się nie zjawi. Wręcz przeciwnie, nawet potwierdził zaproszenie.

– Czyli zamiast zjawić się na balu, poleciał do Paryża, żeby porwać Mayę? – Pokręciłam głową, która pękała mi od nadmiaru informacji. – Czy on na pewno jej nie skrzywdzi?

– Charles to świr – powtórzył Shane – ale raczej nic jej nie zrobi.

– Raczej?!

– Hej, hej... – Will złapał mnie za dłoń, żebym na niego spojrzała. – Charles kocha Mayę. To jego jedyna córka. Może i okazuje tę miłość w bardzo skrzywiony sposób, ale nikt z nas nie panikuje zbytnio, bo wiemy, że nie jest realnym zagrożeniem ani dla Mai, ani dla Flynna. – Gdy wciąż patrzyłam na niego nieprzekonana, on dodał cicho: – Sądzę, że Charles bardzo tęsknił za Mayą, dlatego posunął się do tak desperackiego kroku. Ten człowiek nie potrafi komunikować się po ludzku. Zna tylko rozkazy. Ale... – Will uniósł palec – Vincent nie robi interesów z ludźmi, którzy byliby zdolni do przelania własnej krwi. W naszym świecie bezpieczeństwo członków rodziny jest priorytetem.

To wszystko zdawało mi się tak idiotyczne, że zabrakło mi słów. Z jednej strony chciałam żałować Charlesa, który tęsknił za córką, ale z drugiej przecież sam sobie na to zapracował.

– Mówisz, że nie panikujecie, a jednak Monty spanikował – zauważyłam sucho.

– Zniknęła mu żona i dziecko, więc to zrozumiałe, że się zmartwił.

Coś mi się przypomniało i zmarszczyłam brwi.

– Wołałam „tato” do słuchawki, a on nie wyprowadził mnie z błędu...

– Hailie, mogłabyś wtedy nazwać go baletnicą i też by nie zwrócił na to uwagi. Dlatego to nie twoja wina. Ani jego. To się po prostu stało – westchnął Will. – Jak powiedział Shane, każdy z nas by się pomylił.

Tony odchrząknął cicho.

– No, nie każdy – mruknął, a gdy zobaczył, że ponownie ściągnął tym na siebie ostre spojrzenia reszty braci, wzruszył ramionami. – Chodzi mi o to, że my pewnie kapnęlibyśmy się, że to nie ojciec, bo ojciec nigdy nie panikuje. Jest jak Vince, choćby się waliło i paliło, potrafi zachować zimną krew, nie? Gdyby wrzeszczał nam do słuchawki, od razu by było wiadomo, że coś tu nie gra.

– No dobra, fakt – przyznał Shane. – Monty lubi dramatyzować jak nikt inny, wszyscy to wiemy.

– O tym mówię. W końcu między innymi dlatego to Vince od razu przejął biznes po odejściu ojca, a nie on.

– Zgadza się, ale nie zapominajcie, że Hailie nie zna taty tak dobrze jak wy – wytknął im Will.

Zwiesiłam głowę, bo zrobiło mi się przykro.

– Wiadomo – burknął Tony. – Przecież nie mówię, że to jej wina.

– Tak to trochę brzmi, wiesz? – syknął Dylan.

– To sobie przemyj uszy, cepie.

– To naucz się formułować myśli, kmiecie afrodyjski.

– Odezwał się, kurwa, inteligent.

– Źryj chał...

– Jeszcze słowo – wtrącił się Vincent ostro i tak lodowatym tonem, że w pomieszczeniu temperatura nagle spadła o co najmniej kilka stopni. Przebiegł mnie nawet dreszcz. Vincent stanął w progu mojej sypialni, błady

i wzburzony. Widać było, że jego umysł działa teraz na pełnych obrotach. Zerkał z irytacją na Tony'ego i Dylana, którzy wdali się w tę błyskotliwą dyskusję. – Jeśli chcecie kontynuować obrzucanie się bzdurnymi wyzwiskami, to zapraszam was do opuszczenia tego pokoju.

Nawet usunął się na bok, żeby zrobić dla braci przejście, gdyby naprawdę chcieli skorzystać z jego oferty. Tony odwrócił wzrok, a Dylan utkwiał spojrzenie w podłogę, jednak żaden z nich się nie ruszył ani więcej nie odezwał. Vince powoli więc przeniósł swoje zainteresowanie na mnie i Willa, który zapytał:

– Co z Santanem?

Czułam, jak napięcie oplata swoje macki wokół nas wszystkich, i miałam wrażenie, że minęły godziny, zanim Vincent odpowiedział.

– Nasze stosunki chwilowo się ochłodziły – rzekł. – Naturalnie straciliśmy jego zaufanie, co może rzutować na nasze przyszłe interesy, ale kontrakty, które zawarliśmy do tej pory, wciąż obowiązują, a Adrien zgodził się dziś rozstać w pokojowych warunkach.

– To nie brzmi jak całkowicie opanowana sytuacja – odezwał się Shane.

– Bo nie jest opanowana całkowicie, a jedynie doraźnie – odparł Vince. – Nie możemy oczekiwać cudów. Trzeba zająć się tą sprawą powoli. Adrien jest, oczywiście, rozwścieczony, ale ma na tyle oleju w głowie, żeby nie reagować pochopnie. Wysłuchał mnie, a teraz na chłodno przedyskutuje to z Egbertem.

– Kto to? – wymknęło mi się na głos pytanie, które zamierzałam zadać jedynie w myślach.

– Jego ojciec – odpowiedział Will. – Jest schorowany i nie radzi sobie już z zarządzaniem interesami, dlatego Adrien przejął jego obowiązki. Ojciec służy mu oczywiście radą i pomaga w podejmowaniu decyzji.

– No a co, jeśli doradzi mu na naszą niekorzyść? – zapytał Shane.

Tony i Dylan wyglądali, jakby też chcieli zadawać pytania i uczestniczyć w dyskusji, ale jednocześnie nie do końca jeszcze ochłonęli po swojej wymianie zdań i upomnieniu Vince'a.

– Nie sądzę, żeby tak się stało. Oficjalnie potwierdziłem to, co wiadomo już od dawna. W przyszłości nasze rodziny się połączą. Nie ma powodów,

by komplikować sprawy.

– Połączą się? – wypaliłam, z nerwów wbijając paznokcie we wnętrza swoich dłoni.

Vince spojrzał na mnie z powagą.

– Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, oświadczę się Grace.

Na samą myśl o tej zołzie w rodzinie aż mną zatelepało.

– Nie – szepnęłam. – Nie, Vince, to moja вина, to ja powinnam...

– Co powinnaś? – wszedł mi w słowo, a w pokoju rozbrzmiały prychnięcia pozostałych. – Co powinnaś, Hailie? Poślubić Adriena? –

Spuściłam wzrok, a on ciągnął: – Nie wyrażę na to zgody. Co więcej, Adrien też wcale tego nie chce. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Nie ma tutaj co ustalać. Mój związek z siostrą Santana był zaplanowany od dawna, na tym polu nie zaszła żadna zmiana. Jedynie to przypieczętowaliśmy.

Nie zaprzeczę, odczułam ulgę, słysząc, że nie muszę pakować się w żadne małżeństwo. Jednocześnie liczyłam na to, że sprawa prezentuje się tak, jak przedstawia ją Vincent i że on sam nie czuje się do niczego przymuszony.

– Czyli co... w przyszłości Grace Janderou będzie naszą bratową? – zaśmiał się nerwowo Shane.

Tony i Dylan zerkali na Vincenta ukradkiem i bez słowa, ale Will patrzył na niego intensywnie z zaciśniętymi ustami i zmarszczonymi brwiami.

Nie mogłam tego znieść.

– To moja вина – zawylałam znowu na głos i ukryłam twarz w dłoniach.

Usłyszałam protesty, a Will przyciągnął mnie znowu do siebie i pocałował w czubek głowy. Chowałam twarz na jego piersi, miażdżona przez wyrzuty sumienia.

– To nie jest prawda, Hailie – odezwał się Vincent ostrym jak brzytwa głosem. – Nikt nie szuka tutaj winnego. Nie mamy po pięć lat, żeby przerzucać się odpowiedzialnością.

– Kiedy to ja odebrałam telefon i nie rozejrzałam się po gabinecie!

– Mhm. – Vince sztywno skinął głową. – Ja zaś nie przypilnowałem, by po balu upomnieć się o swoją własność. Wcześniej nie zadbałem o to, żeby numer Monty’ego mieć zapisany w telefonie. Ostatnimi czasy przestałem aktywnie podtrzymywać twój zakaz samodzielnego zapuszczania się do pracowniczej części rezydencji. A przy tym zaprosiłem Adriena do swojego gabinetu i zostawiłem go tam samego. Co więcej, na naszym wyjeździe wspomniałem ci też, że ojciec planuje wybrać się do Francji, nic więc zaskakującego, że widząc tamte numery, połączyłaś fakty w sposób taki, a nie inny.

– No i Monty też się nie popisał – dodał Shane. – Powinien był się ogarnąć, gdy usłyszał, że to ty odebrałaś telefon.

– Pomogłoby też, gdyby wyprowadził cię z błędu, gdy usłyszał, że zwracasz się do niego „tato” – mruknął Dylan.

Oderwałam policzek od koszuli Willa.

– Ale on miał słaby zasięg. No i miał prawo być zdenerwowany, w końcu bał się o Mayę i synka...

– Otóż to. Każdego z nas można rozsądnie usprawiedliwić. Dlatego nie będziemy marnować czasu ani energii na wytykanie sobie, kto zawinił najbardziej. – Vince machnął dłonią, jakby chciał pokazać, że dyskusja zostaje zakończona.

– Rozmawiałeś z ojcem? – zapytał Shane, bębniąc nerwowo palcami o oparcie krzesła.

– Przez chwilę.

– Czy ja też mogę z nim porozmawiać? – zapytałam z nadzieją i ściśniętym gardłem. Potrzebowałam się przekonać, czy mnie znienawidził.

Vince potarł podbródek, namysławiając się.

– Może uda się to zaaranżować, jednak nie prędzej niż za kilka dni. To może też być tydzień lub dwa.

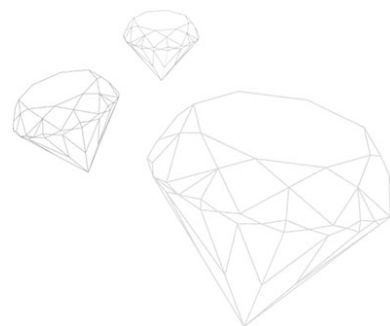
Pokiwałam głową, nieco zawiedziona tak długim czasem oczekiwania, ale jednocześnie wiedziałam, że nie powinnam teraz stawiać żądań.

Na chwilę zapadła cisza. Napięta od dłuższego czasu atmosfera wreszcie się luzowała: Tony wyciągnął ręce na boki, głęboko oddychając, a Shane

zaczął pozbywać się marynarki. Dylan zerknął przelotnie na telefon, a Will odgarnął mi włosy za plecy w opiekuńczym i pełnym troski geście.

– Dobrze – westchnął Vincent, sprawdzając godzinę na swoim zegarku.
– To był długi dzień i jeszcze dłuższy wieczór. Czas odpocząć, już późno.

Jego słowa podziałały jak zaklęcie. Wszyscy byliśmy tak wykończeni, że przyjęliśmy je z ulgą. Bliźniacy od razu się podnieśli, a Dylan odepchnął od ściany i wszyscy trzej powoli, tłocząc się w drzwiach, zaczęli wychodzić. Vincent skinął porozumiewawczo do Willa i też się ulotnił. Mój ulubiony brat został jako jedyny dłużej, by upewnić się, że mój stan psychiczny jest na tyle stabilny, iż można mnie zostawić na noc samą. Nie pamiętam za dobrze, ale wydaje mi się, że siedział przy mnie, dopóki nie zasnęłam. Tak chyba było, bo raczej nie zmrużyłabym oka zbyt prędko, gdybym została pozostawiona samej sobie.



45

PORANKI BEZ HUMORZASTYCH BLIŹNIAKÓW

W ostatnie dni wakacji planowałam się zrelaksować i odmóżdżyć, ale z powodu tych przykrych zdarzeń nie potrafiłam zdobyć się na bez troskę. Humoru nie poprawiały mi nawet czytanie, robienie zdjęć do recenzji książek ani dłubanie przy kwiatkach w ogrodzie. Po prostu wiecznie smutna wałęsałam się po domu. Dopytywałam o ojca, ale nikt nie potrafił przybliżyć mi, kiedy będę mogła z nim porozmawiać. Każdy też zbywał moje próby wyciągnięcia informacji na temat dalszych stosunków pomiędzy rodziną naszą a Adriena. Will powtarzał tylko, że nic się nie dzieje i żebym się nie martwiła. Jedyna pozytywna informacja, jaką udało mi się wydobyć od braci, to taka, że Maya i Flynn są cali i zdrowi. Żeby jednak poznać szczegóły tej historii musiałam poczekać, aż zobaczę się z ciocią, która chętniej niż moi bracia wtajemnicza mnie w podobne sprawy.

Chłopcy trochę mnie zaczepiali, ale nie zdołali mnie rozweselić. Jedyne, co mi pomagało, to wyżywanie się na worku treningowym w siłowni pod okiem Shane’a i Dylana, ewentualnie jeszcze strzelnica z Tonym.

Raz wyobraziłam sobie, że cel to twarz wściekłego Adriena, który wzywa mnie do klęknienia w gabinecie Vince'a, i wtedy bezbłędnie trafiłam w sam środek tarczy kilka razy z rzędu. Potem tak się wystraszyłam, że odłożyłam pistolet, zdjęłam słuchawki i wymówiłam się od dalszego strzelania złym samopoczuciem.

I jak się można spodziewać, pierwszy dzień szkoły nadszedł szybciej, niżbym sobie tego życzyła. Mimo wciąż pochmurnego nastroju i ogólnej niechęci do życia wstałam i wyszykowałam się jak zwykle. Chwilę dłużej przyglądałam się sobie w lustrze, gdy włożyłam mundurek, bo mogłabym przysiąc, że spódniczka zrobiła się o milimetr czy dwa krótsza. Albo skurczyła się podczas lata, albo urosłam.

Już na schodach słyszałam szum robota kuchennego. To Will robił sobie swój słynny koktajl po porannym biegu i ja też skusiłam się na szklankę. Odwzajemniłam jego uśmiech, ale chyba średnio mi to wyszło.

– Podekscytowana nowym rokiem szkolnym? – zagadnął.

Jego pozytywna, napędzana przez endorfiny energia nie pasowała do mojego melancholijnego przygnębienia. Wzruszyłam ramionami, a potem jeszcze raz, gdy Eugenie zapytała, czy wolę dziś owsiankę, czy może tosty.

– Hailie – upomniał mnie Will.

– Tosty – poprawiłam się, rzucając naszej zmieszanej gosposi przepraszający uśmiech, tym razem najszczerzy, na jaki było mnie stać.

Will sięgnął do mnie przez stół i ścisnął moją dłoń, która spoczywała na blacie.

– Wiem, że wciąż jesteś smutna, ale nie chcę, żeby twoje samopoczucie odbiło się na twoich pierwszych dniach w szkole. Chciałbym, żebyś rozpoczęła rok z pozytywnym nastawieniem. Spójrz... – Will rozejrzał się teatralnie. – Nie ma chłopaków. Twoje poranki w większości będą teraz spokojne, bez humorzastych bliźniaków. Czy to nie wspaniałe?

Zdobyłam się na cichy śmiech.

– Trochę wspaniałe – przyznałam. Shane i Tony rano przed szkołą byli nie do zniesienia.

– Możesz sobie teraz stworzyć własną poranną rutynę i nie musisz się nikomu podporządkowywać. Zwłaszcza że... – Will się zawahał, ale

kontynuował: – ...może to już czas, żebyś zaczęła wykorzystywać prawdziwy potencjał swojego prawa jazdy.

Zdołał mnie zaskoczyć i wybałuszyłam oczy.

– Czekaj, mówisz serio?!

Will skinął głową i dało się wyczytać z jego twarzy, że nie do końca jest gotów, by w zgodzie z samym sobą pozwolić mi na nie tylko samodzielne, ale i samotne prowadzenie auta, jednakże dla dobra wyższego był gotów się poświęcić. Naprawdę robił wszystko, by mnie udobruchać.

– Fajnie, dziękuję, Will – powiedziałam ucieszona dosłownie na chwilę, ale potem dostałam śniadanie, zaczęłam je przeżuwać i ta mała radość szybko mnie opuściła.

– Nie ma za co – odparł. Zaciskając palce na pustej już szklance po koktajlu, przyglądał mi się przez stół. – W końcu jesteś już na to gotowa... Jesteś, prawda?

Pokiwałam głową.

– Na pewno, Hailie?

– Tak – odparłam stanowczo, przykrywając pełną jedzenia buzię dłonią.

– Będziesz ostrożna?

– Tak.

– Dobrze się czujesz, będziesz potrafiła się skupić?

– Tak i tak.

– Ile maksymalnie możesz jechać?

Zerknęłam na niego z niedowierzaniem, ale on tylko uniósł brwi, czekając na moją odpowiedź.

– Siedemdziesiąt mil na godzinę. I trzydzieści pięć w terenie zabudowanym.

– Twoje auto potrafi się nieźle rozpędzić, dlatego to bardzo ważne, żebyś kontrolowała licznik – powiedział, kiwając mi ostrzegawczo palcem, a potem zmarszczył brwi i się zamyślił, po czym dodał pod nosem: – Czyj to był pomysł, żeby kupić ci taki szybki samochód...?

Zaśmiałam się lekko.

Szykując się do jazdy, byłam podniecona faktem, że nie muszę wrzucać szkolnej torby na tyły auta. Mogę ułożyć ją na siedzeniu obok kierowcy, które do tej pory, gdy prowadziłam, zawsze było przez kogoś zajęte. Tymczasem Will mruzczał Sonny'emu instrukcje, a ten z powagą kiwał głową. Na sam koniec, gdy usadowiłam się za kierownicą i zaczęłam głaskać z rozrzewnieniem jej niezwykle gładkie obicie z mięciutkiej skórki, Will nachylił się nade mną i rzucił:

– Może jednak ja cię zawiozę, co?

Spojrzałam na niego spode łba, a on westchnął, jakby działa mu się największa krzywda.

– No dobrze, tylko uważaj na siebie. Bądź ostrożna. Sonny da mi znać, gdy dojedziesz. Nie jedź za szybko. Ani za wolno, za wolno też nie można. Ale lepiej wolniej niż...

– Dobrze, Will, rozumiem.

Uwielbiałam moment, w którym odpalałam silnik swojego złotego cuda. To auto brzmiało jak najatrakcyjniejszy chłopak, szepczący do ucha sprośne rzeczy. Nie żeby kręciło mnie szeptanie do ucha sprośnych rzeczy przez jakiegoś atrakcyjnego chłopaka... Eee, co?

Obiecałam Willowi, że się skupię, tymczasem nawet nie zdążyłam ruszyć, a w mojej głowie już pojawiały się porąbane myśli. Gdybym była swoją matką, w życiu nie pozwoliłabym sobie prowadzić.

Wyjechałam najpierw przed drzwi garażowe, a następnie przez bramę i zostawiłam Willa daleko za sobą. Nie szukałam w lusterku jego zmartwionej twarzy. Wielkie czarne auto Sonny'ego podążało za mną i jednocześnie dodawało mi otuchy oraz dodatkowo mnie stresowało. A przynajmniej do czasu, aż włączyłam się do ruchu. Odetchnęłam, poruszałam ramionami i palcami, na koniec złapałam za telefon i podłączyłam się do samochodowych głośników.

Nie przesadziłam z muzyką, ale też jej sobie nie żałowałam i gdy sunęłam już drogą szybkiego ruchu, co chwilę zerkając na prędkościomierz, tak jak uczuła mnie Will, zaczęłam sobie nawet podśpiewywać co niektóre hity. Parę razy się do siebie uśmiechnęłam, po raz pierwszy od balu nie zatruwając sobie głowy szkodliwymi dla mojej kruchej psychiki myślami.

Nowy rok szkolny sprowadził na drogi sporo aut, ale nie przeszkadzało mi to za bardzo. Nie prowadziłam przecież po raz pierwszy. Zdałam egzamin na prawo jazdy i nieraz już kierowałam pod okiem braci. Teraz czułam się nawet swobodniej. Znałam też te drogi. Znałam dobrze gęste lasy, które mijałam, i wiedziałam, jakie to uczucie sunąć po gładkim asfalcie tej konkretnej ulicy. W momencie, gdy pierwszy stres opuścił mnie już całkowicie, poczułam niewysłowioną siłę i kontrolę, jakbym straciła ją bardzo dawno temu i dopiero co ją odzyskała. A może nigdy jej nie miałam i dopiero co ją nabyłam?

Podkreślałam odrobinę głośność.

– *The price of your greed is your son and your daughter... What you gon' do when there's blood in the water?* – podśpiewywałam sobie, a nagle, wraz z muzyką wydarłam się na cały głos: – *When there's blood in the...!*

Zaskoczyłam samą siebie, ale i uśmiechnęłam się łagodnie, pełna wyrozumiałości dla własnej osoby, bo smak tej swobody był absolutnie najlepszy. Do tego stopnia, że gdy ustawiałam się w kolejce do wjazdu do szkoły, znowu posmutniałam, że moja jazda dobiega już końca. Przypomniałam sobie o swoich potwornych błędach. A na dodatek wracała rzeczywistość – wraz z nią uderzyła mnie świadomość, że w szkole, którą, jak każdy w głębi ducha wiedział, rządzą Monetowie, pozostał już tylko jeden Monet – i byłam nim ja.

Zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Czy ludzie, którzy niegdyś bali się na mnie spojrzeć ze strachu przed oberwaniem od bliźniaków, teraz będą chcieli się na mnie wyżyć? Czy ludzie, którzy mieli z moimi braćmi na pieńku, będą chcieli się na mnie zemścić? Albo ci, którzy próbowali mi się podlizać, teraz zaczną mnie ignorować lub wyśmiewać?

Najwyraźniej nie doceniłam potęgi swojego nazwiska. Ani złotego porsche. Sam widok mojej fury kazał się ludziom mieć na baczności. Ci, którzy już znali mnie i moje cacko, tylko rzucali mi krótkie spojrzenia, raczej już oswojeni z widokiem siostry Monetów w bryłce złota na kółkach. Ciekawsze reakcje należały do nowych uczniów i ich rodziców czy opiekunów, którzy po raz pierwszy witali w murach naszego liceum.

Jedna z mam wpakowała się w mały korek na parkingu, a potem zapatrzyła się na moje auto z rozdziawioną buzią na tak długo, że zatrąbiło na nią przynajmniej z pięć osób. Czyjś ojciec, taki w koszuli w kratę, siwiejących włosach z zakolami i prostokątnymi okularami na nosie, wyciągnął telefon i zrobił mi kilka zdjęć, a może i nagrał filmik. Jakiś dzieciak szturczał swoją siostrę lub koleżankę, wskazując palcem prosto na mnie.

A ja, ignorując całą tę uwagę, zgrabnie wślizgnęłam się na jedno ze stałych parkingowych miejsc Monetów, których do tej pory nikt jeszcze nie odważył się zająć. Wyłączyłam silnik, sięgnęłam do torby po butelkę wody, z której na spokojnie wzięłam sobie kilka dużych łyków, i odetchnęłam. Od tego fałszowania podczas jazdy zaschło mi w gardle. Następnie wysiadłam, wygładziłam spódniczkę mundurka, zarzuciłam torbę na ramię i zatrzasnęłam drzwi, po czym zamknęłam auto i wrzuciłam kluczyki do kieszonki. Odgarnęłam włosy, a potem, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, zignorowałam każdego gapia, wchodząc do dobrze mi znanego budynku szkoły.

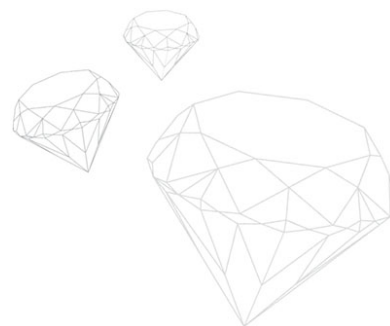
Zrobiłam to. Przyjechałam. Sama.

Gdy zostawiałam rzeczy w szafce, odczytałam wiadomość od Willa, w której napisał mi tylko: „Gratulacje”, a ja nie musiałam się nawet odwracać i rozglądać, by wiedzieć, że Sonny dotrzymuje mi kroku. Przez to jednak, że nie zwracałam uwagi na otoczenie, łatwo było zakraść się za moimi plecami.

– Hailie.

Gotowałam się w garze zupy składającej się z licznych problemów obecnych w moim życiu, a teraz właśnie jeden z nich, skrywający się ostatnio na samym dnie, postanowił wypłynąć na powierzchnię i głośno zabulgotać.

Nadszedł czas, aby stawić czoło Monie.



46

CUDOWNY PRZYJACIEL

Nie poznałam jej. Zrobiła coś z włosami: rozjaśniła i lekko skróciła. Stała z rękoma splecionymi na brzuchu i zagryzała wargę, brodę miała przechyloną lekko w dół, tak żeby rzucać mi nieśmiałe spojrzenie.

– Hej – mruknełam. Wyciągnąwszy potrzebne książki, zamknęłam szafkę i spojrzałam na nią znowu.

– Hej – odparła. Chwilę się wahała, zanim zaczęła mówić dalej. Zrobiła to dopiero, gdy uciekła już ode mnie spojrzeniem: – Eee, zablokowałaś może mój numer?

Patrzyłam przez chwilę w jej duże, przejęte oczy i poczułam się głupio.

– Ja... po prostu... Bo wiesz, tak jakby... – zaczęłam się tłumaczyć, a potem tylko odetchnęłam i znowu skinęłam. – Tak, zablokowałam.

Mona spuściła głowę, a potem podniosła ją z powrotem.

– Czyli... to naprawdę koniec? Nie przyjaźnimy się już? Ot, tak?

Patrząc na nią, na jej zmarszczone brwi, które kryły wyrzut, ale i na jej drżącą brodę, która wskazywała na żal, nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Czy ty – zaczęłam nagle, w ogóle nie myśląc nad tym, co zamierzałam właśnie powiedzieć. Na sekundę zamilkłam, ale zdecydowałam się dokończyć: – Czy ty przyjaźnisz się ze mną tylko ze względu na to, kim jestem?

Mona zamrugła.

– Chodzi ci o to, że jesteś Monet?

– Tak, wiesz, że właśnie o to mi chodzi – potwierdziłam niecierpliwie, zaciskając palce na książkach, które trzymałam przy piersi. – To jak? Tylko szczerze.

Nie podobało mi się, że tak długo zwleka z odpowiedzią. Zagryzła wargę, a wtedy poczułam ból gdzieś w środku i pokręciłam z niedowierzaniem głową. Spodziewałam się, że rozmówię się dziś z Moną, ale nie myślałam, że tak od razu uda jej się zranić mnie jeszcze bardziej. Ruszyłam przed siebie z zamiarem jej wyminięcia, a ona złapała mnie za rękę.

– Czekaj, daj mi odpowiedzieć!

– Mam czekać, aż ułożysz sobie w głowie odpowiednie kłamstwo? – prychnęłam. – Nie, dzięki.

– Niczego sobie nie układałam! – zawołała za mną. – Gdybym chciała kłamać, to już wcześniej zastanowiłabym się, jaką ściemę ci wcisnąć! Przepraszam bardzo, że nie jestem robotem i trudno mi ubrać myśli w słowa!

– Mona, ja ci nie każę rozwiązywać zadania z matmy! Zadałam proste pytanie i równie prostej odpowiedzi oczekuję. Ile czasu potrzebujesz, żeby się określić, czy jesteś fałszywą przyjaciółką, czy nie?!

– Nie jestem fałszywa – warknęła urażona. – Ale myślałam, że będziesz chciała szczerze porozmawiać. Staram się przed tobą otworzyć, a ty się wściekasz i odchodzisz.

– Bo mnie to boli? – W oczach stały mi łzy. Ostatnimi czasy miałam zszargane nerwy, a moi bracia byli dla mnie zbyt wyrozumiali, bym odważyła się na nich wyżyć. Mona natomiast, na swoje nieszczęście, okazała się łatwym celem. – Sama świadomość, że zadawałaś się ze mną

tylko dlatego, żeby, nie wiem w sumie nawet po co, zbliżyć się do Tony'ego? Dostać zaproszenie na imprezę moich braci?

– To nie jest prawda!

Kątem oka dostrzegłam grupkę osób, która przechodziła obok i przestała wesoło trąkotać, mierzając mnie i Monę irytująco ciekawskimi spojrzeniami. Wzięłam wdech, żeby się uspokoić i nie robić przedstawienia.

– Okej – powiedziałam już dużo cichszym i bardziej opanowanym głosem. – Okej, pogadajmy.

Skinęłam pytająco głową w stronę łazienek, a Mona sztywno wzruszyła ramionami i obie się tam skierowałyśmy. Pomieszczenie było puste, więc mogłyśmy swobodnie kontynuować dyskusję. Oparłam się o umywalki, a Mona usiadła na kaloryferze.

– Chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem już zła za tamtą imprezę – zaczęłam na powrót cierpliwa, wreszcie na głos mówiąc to, co już jakiś czas temu sobie uświadomiłam i zrozumiałam. – Co więcej... – przełknęłam ślinę – myślę, że przegięłam z całą tą aferą. Nadal jest mi niedobrze na samą myśl, że tam wtedy... ty i Tony... ale mogłam zareagować sensowniej. A trochę zrobiłam dramę.

Mona patrzyła w podłogę, ale na koniec mojej wypowiedzi parsknęła cicho z rozbawieniem.

– No, trochę – przyznała. – Ale rozumiem, w końcu rozmawiałyśmy wcześniej na ten temat... Że Tony nie jest może do końca odpowiedni. Miałaś prawo się wkurzyć.

– To, że Tony jest nieodpowiedni, to grube niedopowiedzenie.

– Wiem, ale nie jest taki zły, naprawdę – powiedziała poważnie. – Napisał do mnie.

– Co?

Prawie ześlizgnęłam się z umywalki.

– Nic wielkiego – uspokoiła mnie Mona. – Jakies trzy tygodnie temu napisał mi, że to, co było na imprezie, nie powinno się wydarzyć, że on nie jest zainteresowany związkami i że nie chciał mi robić nadziei. A także że na pewno sobie znajdę kogoś, kto będzie dla mnie dobry, bo przecież

jestem fajną dziewczyną. A przynajmniej że muszę być fajna, skoro jego siostra się ze mną przyjaźni.

Zamrugalam.

– Och.

– Wiesz, co jest żałosne? – westchnęła Mona. – Że subtelnie dał mi do zrozumienia, że nie ma szans, żeby kiedykolwiek cokolwiek między nami było, a mimo to ja i tak przeczytałam tę wiadomość ze sto razy i jak głupia ryczałam ze szczęścia, że w ogóle Tony Monet do mnie napisał.

Przechyliłam głowę ze współczuciem.

– Serio, zrobiłam chyba ze dwadzieścia screenshotów.

– Mona...

– Nie – zaprotestowała od razu, unosząc dłonie. – Jest okej. Miałam całe wakacje, żeby się ogarnąć. Uporządkowałam sobie w głowie parę spraw. Jedyna nierozwiązana kwestia, jaka mi pozostała, to... nasza relacja.

– W takim razie odpowiedz na moje wcześniejsze pytanie.

– Dobrze no, przyjaźnię się z tobą, bo cię lubię – wyznała. – Naprawdę, szczerze, lubię cię, Hailie. Dobrze się z tobą bawię. Potrafimy się razem i śmiać, i rozmawiać na serio. Przeżyliśmy kilka przypałów, jak ten, gdy wylądowałyśmy w Operze, albo to, co wydarzyło się u Audrey...

– Nie przypominaj mi nawet – jęknęłam.

– Wiem, to był dramat – zachichotała, zakrywając twarz zażenowana. – Ale sęk w tym, że ja naprawdę uważam cię za dobrą przyjaciółkę. Sprawiasz, że dobrze się czuję. Na przykład... kiedyś strasznie obgadywałam ludzi, a z tobą to się już nie dzieje, bo my mamy ciekawsze tematy. No i dzięki tobie więcej się uczę. Przysięgam, że od kiedy się zadajemy, polepszyła mi się średnia. Bije od ciebie jakaś taka energia, sama nie wiem...

– Naprawdę polepszyła ci się średnia dzięki mnie?

Mona wywróciła oczami.

– Nie mogę z tobą. Ja ci tu mówię o swoich głęboko skrywanych uczuciach, a jedyne, co wyłapałaś, to wzmianka o mojej średniej.

– Nieprawda, wszystko wyłapałam – zaprotestowałam i uśmiechnęłam się. – Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Nie rozumiem, dlaczego w takim razie wcześniej się zawahałaś...

Mona znowu spojrzała w pokrytą jasnymi kaflami podłogę.

– Bo chodzi o to, że na samym początku, kiedy do ciebie zagadałyśmy... Pamiętasz to w ogóle jeszcze? – Odetchnęła. – No, gdy już było wiadomo, że w szkole pojawi się siostra Monetów, Audrey rzuciła, że w sumie to dobrze by było wziąć cię pod nasze skrzydła, że moglibyśmy spróbować się z tobą zakumplować, bo dobrze będzie mieć siostrę Monetów po swojej stronie.

Też spuściłam głowę.

– Ach tak...

– To było tylko na początku, przysięgam. Potem zobaczyłam, że jesteś superdziewczyną – powiedziała szybko, oblizła wargi i dodała ciszej: – Ale prawda jest taka, że gdybyś nie była Monet, tobyśmy cię pewnie nie zagadały.

Przyglądałam się brudnym fugom łazienkowej podłogi i zastanawiałam, jak się czuję z tym, czym Mona się właśnie ze mną podzieliła. Po pierwsze wydawało mi się, że zbiera mi się na złość i smutek, ale to chyba z racji tego, że w życiu miałam naprawdę masę lepszych powodów do złości i smutku, ten konkretny nagle wydał mi się niezwykle błahy. Tak błahy, że nadawał się do strzepnięcia zwykłym wzruszeniem ramion.

– Dlaczego ty się ze mną przyjaźnisz? – zapytała Mona.

Spojrzałam jej w oczy.

– Bo... jesteś spontaniczna i trochę szalona. Dzięki tobie mogę wyluzować. Wiesz też dużo o moich problemach w życiu i zawsze mogę liczyć na to, że mnie wysłuchasz i wesprzesz. A jest czego wysłuchiwać – zaśmiałam się cicho, a Mona się uśmiechnęła. – Jesteś też taka naturalna w tym, jak się zachowujesz...

– To nie zawsze jest dobre – pisnęła, przykrywając oczy dłońmi.

– Może i nie, ale jest w tym coś uroczego – dokończyłam.

– Dzięki, Hailie. – Mona uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ale szybko spoważniała. – Przepraszam za Tony'ego, to musi być beznadziejne

uczucie, gdy przyjaciółka lata za twoim bratem...

– Przepraszam za brak wsparcia. To musi być beznadziejne uczucie, gdy przyjaciółka nawet nie stara się ciebie zrozumieć.

Duże oczy Mony błyszczały od łez, gdy uwieszała się na mojej szyi. Oplotłam ją ciasno ramionami, nie mniej rozczulona, i zanurzyłam twarz w jej pachnącymi słodyczą włosach.

Pojednanie z Moną to była jedna z najcudowniejszych rzeczy, jaka mogła mi się przytrafić na obecnym etapie życia. Przestałam być na nią zła już w trakcie wakacji. Po zawarciu zgody z Tonym w ogóle przestało mi zależeć na chowaniu urazy. Dziś zaś uświadomiłam sobie, jak bardzo za nią tęskniłam.

Nikt w szkole nie wiedział o naszym konflikcie, dlatego nikogo nie zaskoczył widok mnie i Mony idących w zgodzie korytarzem. Zaczęłyśmy najpierw nadrabiać nowiny z wakacji – Mona streściła mi swoje w Kanadzie u rodziny. Spędziła też dwa tygodnie na Hawajach z rodzicami, siostrą i jej narzeczoną.

Dość szybko zaczęłam korzystać z odzyskanego przywileju posiadania przyjaciółki i wyznałam jej, że zrobiłam coś głupiego, o czym nie mogę jej powiedzieć, ale że ma to związek z moją rodziną i pracą moich braci, i że ogólnie w tym momencie się nienawidzę. Monie bez nacisków i w kilku słowach udało się sprawić, że od razu poczułam się lepiej.

Kolejna osoba, która potrafiła poprawić mi humor i z którą bardzo chciałam zamienić słowo, odszukała mnie sama na jednej z przerw. Szłam pod salę, gdy z naprzeciwka drogę zaszedł mi Leo. Uśmiechał się do mnie z daleka, a gdy był blisko, rozłożył ręce.

– Hej! – zawołałam, błyskawicznie się rozpogadzając.

Akurat znowu popadałam w marazm – gdy tylko zostawałam sama, odpływałam myślami i zaczynałam się obwiniać o sytuację z ojcem, dlatego dobrze się stało, że Leo mnie zaczepił.

– To jest niesamowite – powiedział na przywitanie, gdy już się objęliśmy. – Przytulać cię i nie obawiać się, że ktoś dźgnie mnie nożem w plecy.

– Shane i Tony nie nosili noży do szkoły – zaprotestowałam.

– No jasne, że nie. Przecież oni to są takie bezkonfliktowe, łagodne chłopaki.

Parsknęliśmy śmiechem. Zgodnie, bez żadnego ustalania, skierowaliśmy się na parapet, gdzie zawsze siadaliśmy, chcąc się przycząić przed moimi braćmi. Niektóre tradycje nie przemijają.

– Widziałas się z Moną? – zagadnął.

– Pogodziłyśmy się.

– To dobra wiadomość, prawda? Bo wyglądasz na zmartwioną.

Pokiwałam głową.

– Tak, to wspaniale, naprawdę – powiedziałam, oparłszy się o szybę, i westchnęłam. – Po prostu kilka dni temu zrobiłam coś głupiego i nie mogę przestać o tym myśleć.

– Każdy z nas robi czasem coś głupiego.

Trochę zawstydzona bawiłam się palcami, które spoczywały na mojej kraciastej spódnicy.

– Tak, ale ja przed swoją głupotę narażam na niebezpieczeństwo kogoś, na kim bardzo mi zależy.

– Ale nie zrobiłaś tego celowo? – Uniósł brew i opuścił podbródek, by zajrzeć mi w twarz.

– Oczywiście, że nie. Ale to nie ma znaczenia.

Objął mnie. Pachniał proszkiem do prania i woń ta spokojnie mogłaby ukołysać mnie do snu, gdyby nie panujący wkoło, typowy dla szkolnej przerwy harmider.

– Chcesz mi powiedzieć, o co chodzi? – szepnął.

Pokręciłam głową.

– Nie mogę.

– Twoi bracia wiedzą?

– Tak. Naprawiają moje błędy.

– Robią ci wyrzuty?

– Nie.

– Masz u nich wsparcie.

– Tak...

Poczułam, jak Leo na czubku mojej głowy składa pocałunek, który wywołał przyjemne łaskotanie w moim brzuchu.

– To dobrze – szepnął. – Bo pamiętaj, że u mnie też je masz. Wiem, że cokolwiek zrobiłaś, jesteś dobrym człowiekiem i nie chciałaś źle.

Spokój ducha, który mnie ogarniał przy Leo, był poza jakąkolwiek miarą. Chłopak miał w sobie coś, co studziło moje wrzące, monetowskie emocje. Szanowałam go za determinację, ciężką pracę i wartości, a moment, w którym przekonał mnie, że ma o mnie dobre zdanie, utwierdził mnie w przekonaniu, że jest osobą, której potrzebuję w swoim życiu. Taką, z którą porozmawiam o szkole i planach na przyszłą karierę, która da mi wsparcie i poskarży się na uciążliwych klientów w pracy. Osoba przyziemna, przewidywalna, przy której czułam się bezpiecznie i swobodnie.

Uniosłam głowę, żeby patrzeć mu prosto w oczy, gdy mówiłam:

– Cieszę się, że cię mam, Leo. – A potem dodałam: – Cudowny z ciebie przyjaciel.

Zesztywniał, a uśmiech mu skwaśniał. Dostrzegł moje pytające spojrzenie i powiedział:

– Zastanawiałaś się... co by było, gdybym był kimś więcej niż tylko cudownym przyjacielem?

– Chcesz być moim chłopakiem?

Zamarłam na te słowa, które zbyt szybko i bezmyślnie opuściły moje usta, ale Leo się uśmiechnął.

– Tylko jeśli ty chcesz być moją dziewczyną.

Pierwszy raz ktoś zaproponował mi związek, nie licząc Oliviera Manona, ale to było w zerówce. Zawstydyłam się i schowałam gdzieś na sali zabaw – na tym się skończyło. Teraz nie zamierzałam uciekać. Poczułam łaskotanie w brzuchu, jakby właśnie wystrzeliło mi tam konfetti.

– Pewnie, że chcę. – Odchrząknęłam. – To jest, jeśli ty chcesz.

– Oczywiście, że tak, Hailie.

Ani na moment nie odwrócił ode mnie wzroku, wiem to, bo i ja ciągle patrzyłam mu prosto w oczy. Palcami mięłam rąbek mundurkowej spódniczki, z jakiegoś powodu nagle pożerana przez nerwy.

– Ja nigdy nie miałam chłopaka – wymamrotałam. – Nie wiem, czy jestem dobra w związku.

– Przekonamy się. – Leo nachylił się do mnie i spojrzałam na jego wilgotne usta, które poruszały się lekko, gdy mówił ścisłym głosem: – Bycie dziewczyną niewiele różni się od bycia przyjaciółką.

– Naprawdę?

– Tylko szczegółami...

On także zerkał na moje wargi.

– Szczegółami...

– Mhm.

Planowałam mruknąć kolejną równie bezsensowną jak te poprzednie odpowiedzi, ale wtedy usta Leo zetknęły się z moimi.

Znałam go, wiedziałam, jaki ma charakter. Kręciły mnie jego ambicje, obrotność i inteligencja. Lubiałam te jego blond włosy, trochę rozczochrane, ale i z porządnym przedziałkiem z boku. Tę jasną karnację i oczy w kolorze jesieni.

Fakt, że chłopak taki jak on jest zainteresowany mną, sprawiał, że miałam ochotę całować go dniami i nocami. Nie odrzucał mnie, nie denerwował. Jego pocałunek nie był nużący ani irytujący.

Był piękny.

Do tego stopnia, że gdy się ode mnie odsunął, ja przez chwilę szukałam jego warg, żeby ponownie ich zasmakować, i z zaskakująco wielkim rozczarowaniem otworzyłam oczy, gdy ich nie odnalazłam.

– Dzwonek dzwonił – oznajmił, śmiejąc się na widok mojego zdezorientowania.

– Nie. Naprawdę?

– Nie słyszałaś?

– Słyszałam – skłamałam i odgarnełam włosy, starając się ochłoniąć przed zajęciami.

Wyglądał na rozbawionego, ale gdy się podniósł, wyciągnął rękę, by pomóc wstać i mnie. Nogi miałam jak galareta, więc przywitałam to wsparcie z wdzięcznością. Leo wciąż ścisnął moją dłoń, gdy zaczęliśmy iść. Nie miałam nic przeciwko. Przyłgnęłam do jego ramienia, delektując się swobodnym przechadzaniem się z chłopakiem za rękę po korytarzu szkolnym bez obaw, że moi bracia przypadkiem to zauważą i wydrapią mu gardło.

– Ludzie się na nas gapią – szepnęłam do niego, starając się ignorować niby-ukradkowe spojrzenia obecnych na korytarzu uczniów.

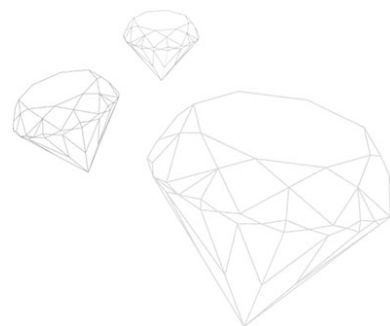
– Na ciebie zawsze się gapią – odparł.

– Tak, ale dziś przechodzą samych siebie.

Prawda była taka, że Leo i ja robiliśmy wrażenie: oboje w mundurkowych koszulach i marynarkach, schludnie wyprasowanych i świeżych, ładnie razem wyglądaliśmy, jak ktoś mi później powiedział. Na dodatek mieliśmy najlepsze średnie w szkole, dlatego niedługo trzeba było czekać, aż zaczęto nazywać nas parą idealną.

Leo odprowadził mnie pod klasę, a gdy przyszedł czas na lunch, dołączył do mnie i Mony w kolejce po tace. Po raz pierwszy mogliśmy w spokoju razem usiąść na stołówce i zaczęłam doceniać wreszcie fakt, że jestem najmłodsza z rodzeństwa.

Doczekałam się swobody bez kontroli moich braci w szkole.



47

SKARB

Oczywiście pamięć o nich w murach naszego liceum wciąż była żywa. Jakieś pierwszaki zajęły nasz ulubiony stolik. Mona, Leo i ja staliśmy przez chwilę na środku, skanując wzrokiem tłoczne pomieszczenie, aż w końcu nasze spojrzenia padły na stolik przy wielkim, ciągnącym się od podłogi aż po sufit oknie, z którego rozpościerał się ładny widok na jedno ze szkolnych boisk. Stolik znajdował się na uboczu, ale bynajmniej nie w ciemnym kącie – przez okno prosto na jego blat wpadało światło nawet w najbardziej pochmurne dni. Powód, dla którego pozostał wolny na tak wielkiej stołówce pełnej uczniów, był prosty: wszyscy przez lata zdążyli się nauczyć, że przecież należy do Monetów.

Zamrugalam i rozejrzałam się, a potem, wiedzona impulsem, uniosłam wysoko głowę i ruszyłam przed siebie pewnym krokiem, wiedząc, że Mona i Leo podążą za mną. Moja taca uderzyła o blat z łoskotem. Odsunęłam sobie krzesło i zasiadłam na nim, a Leo bez słowa zajął miejsce obok. Naprzeciwko usiadła Mona. Ciągłe odwracała się, zdezorientowana ilością spojrzeń, pod których obstrzałem obecnie się znajdowaliśmy.

– Czy oni będą też patrzeć na to, jak jem? – zapytała speszonym szeptem.

– Jeszcze brakuje, żeby zaczęli robić zdjęcia – mruknął Leo.

W milczeniu przesunęłam palcem po krawędzi blatu, na której wydrapany był napis „Tony Monet”.

Okej, może to głupie, ale zrobiło mi się ciepło na sercu.

Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się zduszony okrzyk, więc uniosłam głowę.

Sąsiedni stolik zajmowały trzy dziewczyny. Nie kojarzyłam ich, więc założyłam, że muszą być pierwszoklasistkami. Dwie z nich z wrednymi uśmiechami wpatrywały się w trzecią, która siedziała naprzeciwko nich. Z obrzydzeniem malującym się na twarzy wpatrywała się w swoją tacę, na której w zawartości przewróconego kartonika mleka czekoladowego topiła się jej porcja ryżu z kurczakiem i warzywami.

– Ups – powiedziała jedna z uśmiechniętych dziewczyn i wiedziałam już, że to, co się wydarzyło, to nie wypadek.

– Coś ty zrobiła?! – westchnęła poszkodowana i z niesmakiem pogrzebała widelcem w jedzeniu, po czym odłożyła go na bok. – Zmarnowałaś mi lunch...

– To był wypadek.

– Zrobiłaś to specjalnie!

– Dobra, nie płacz.

– Jestem głodna – załkała dziewczyna.

– Kup sobie drugi.

Dziewczynka popatrzyła na nią ze złością.

– Nie mam pieniędzy!

– Okej, słuchaj, jak chcesz, to zostawię ci trochę swojego – zaoferowała jedna z dziewczyn, chichocąc głupio, po czym zaczęła dłubać widelcem w swojej porcji. – Wybiorę ci groszek.

– Nienawidzę groszku – syknęła dziewczyna, teraz już bardzo bliska wybuchnięcia płaczem.

Była bardzo drobna i miała dziecięce rysy, które tylko podkreślały jej dwa rude warkocze. Może to dlatego poczułam potrzebę zaopiekowania się nią? A może po prostu nienawidziłam chamstwa.

– Chyba lepsze to niż nic, nie? – zapytała jedna ze złośliwych dziewczyn. Złapała między opuszki palców wyłowione ziarenko groszku i rzuciła nim w rudą. Odbiło się od jej policzka i poleciało gdzieś w bok.

– Przestań!

Dziewczyny aż piszczwały z uciechy, najwyraźniej mocno rozbawione, a ja zagotowałam się ze złości i nie zastanawiając się dłużej, wstałam. Czując na sobie wzrok Mony i Leo, podeszłam do sąsiedniego stolika. Złośliwe towarzyszki zapłakanej dziewczyny omiotły mnie podejrzliwymi spojrzeniami. Nie wiem, czy mnie kojarzyły, ale na pewno widziały, że jestem od nich starsza.

– Hej, jak się nazywasz? – zagadnęłam do rudej dziewczyny, która uniosła głowę ze strachem w oczach.

– M-Margaret...

– Miło cię poznać, Margaret. Ja jestem Hailie – odparłam i wskazałam brodą na mokrą paciaję na jej tacy. – Co się stało z twoim lunchem?

Dobrze wiedziałam, co się z nim stało, i chyba one wszystkie też wiedziały, że ja wiem. Dwie złośliwe zołzy milczały, a Margaret pociągnęła nosem.

– Wylało się mleko czekoladowe.

– Ojej – westchnęłam teatralnie – cóż za niefortunny przypadek.

Sięgnęłam do kieszeni, z której wyjęłam jeden z kilku błakających się po niej banknotów. Will dał mi dziś rano ze cztery razy więcej pieniędzy, niż potrzebowałam na kupno obiadu. Wcisnęłam go zdezorientowanej dziewczynie w dłoń.

– Idź po nową porcję – powiedziałam jej.

– Nie mogę – zaprotestowała, gdy odzyskała głos.

Odsunęłam się od niej, żeby nie mogła oddać mi pieniędzy.

– Powiedziałaś, żebyś poszła po nową porcję – powtórzyłam z naciskiem, jednak starałam się, żeby moje spojrzenie było łagodne.

Margaret zamilkła, wreszcie pociągnęła nosem, przetarła wilgotne policzki i pokiwała głową. Odeszła, zabierając swoją tacę, a wtedy wbiłam świdrujące spojrzenie w jej przygłupie koleżanki.

– To był wypadek – powiedziała natychmiast jedna z nich.

– Poza tym sama się do nas dosiadła, myśmy jej tu nie chciały – dodała druga.

– Aha – prychnęłam i położyłam dłonie na blacie ich stolika. Zmrużyłam powieki i starając się, by mój głos zabrzmiał tak chłodno, jak to możliwe, wycedziłam: – Jeszcze raz zobaczę, że w tak podły sposób uprzykrzacie komuś życie, a ja uprzykrzę wam wasze.

Przez chwilę patrzyłam na ich pobladłe twarze, wyzywając je spojrzeniem, by spróbowały mi się postawić. Byłam naprawdę gotowa jak nigdy, żeby wdać się w pyskówkę. Ich złośliwe uśmieszki sprzed chwili zadziały na mnie jak czerwona płachta na byka.

– Naprawdę, my tylko...

– Przepraszamy, okej? To nie tak, że...

Wyprostowałam się i odwróciłam, niezainteresowana ich tłumaczeniami. Zająwszy swoje miejsce, od razu zarobiłam buziaka w policzek od Leo niczym nagrodę za swoją godną naśladowania postawę, a Mona rechotała po cichu z ogłupiałych min wrednych pierwszoklasistek.

Dziewczyny nie odezwały się do siebie do końca przerwy, a udobruchana Margaret wróciła z nowym lunchem, dziękując mi kilka razy za pieniądze. Obiecała je oddać, na co tylko machnęłam ręką.

Byłam z siebie dumna. Jeśli już miałam cieszyć się w tej szkole respektem, to chciałam zrobić z niego dobry użytek i właśnie chyba zaczęłam. Ludzie, którzy stali się świadkami tej sceny, gapili się na mnie jeszcze namolniej niż zwykle. Zdawali się popierać moją postawę. Plotki o tym incydencie rozeszły się po akademii lotem błyskawicy, a dwie złośliwe pierwszoklasistki zrujnowały sobie reputację, jeszcze zanim rok szkolny na dobre się zaczął.

Wisienką na torcie tego dnia był widok Adriena Santana na parkingu akademii. Szłam właśnie sama – jedynie z ochroniarzem depczącym mi po piętach – do swojego porsche i nagle zaniemówiłam, gdy w sylwetce odzianego w garnitur mężczyzny, który stał obok mojego auta, rozpoznałam współnika swoich braci.

Natychmiast obejrzałam się za siebie, gotowa skryć się za szerokimi plecami Sonny'ego.

– Twój brat wie, panno Monet – szepnął do mnie ochroniarz. – Ale nie musisz z nim rozmawiać, jeśli nie chcesz.

Zacisnęłam palce na kluczykach, niezadowolona z bycia postawioną w takiej sytuacji. Przez chwilę świdrowałam Adriena wzrokiem.

– To dobrze, bo nie chcę – powiedziałam tak głośno, żeby Santan wyraźnie mnie usłyszał.

Ruszyłam do auta, irytując się, że stoi tak blisko drzwi kierowcy. Musiałam się zatrzymać i poczekać, aż się odsunie. Nie robił tego.

– Słyszałeś? Nie chcę z tobą rozmawiać – powtórzyłam dosadnie, wpatrując się w jego ciemne oczy.

Nie zapomnę mu, jak mnie potraktował w gabinecie Vince'a.

– Panie Santan – odezwał się Sonny głośnym i stanowczym tonem.

Adrien nie odrywał ode mnie wzroku.

– Przyszedłem w pokojowych zamiarach, Hailie Monet. Wysłuchaj mnie, proszę.

– Ostatnim razem dość się ciebie nasłuchiwałam.

Przymknął powieki i skinął głową.

– Tak i dlatego tutaj jestem.

– Co, może tutaj mam klęknąć? – syknęłam jadowicie, wskazując na dzielący nas kawałek asfaltu.

Wciąż gotowałam się z wściekłości na samo wspomnienie jego słów, ale jednocześnie przeszedł mnie dreszcz i rzuciłam szybkie spojrzenie na boki w obawie, że ktoś mógł mnie usłyszeć. Wiedziałam, że sporo osób się nam przygląda, zapewne nie mniej nadstawiało uszu.

Adrien skrzywił się, ale szybko nad sobą zapanował.

– Przyszedłem przeprosić – przemówił ze spokojem. – I robię to z dwóch powodów.

Twarz mi stężała, gdy obserwowałam go podejrzliwie.

– Po pierwsze, przepraszam cię, bo muszę. Jesteś siostrą Vincenta Moneta, a ja okazałem ci brak szacunku. Moje zachowanie i słowa były stanowczo nie na miejscu. Powinienem był się przy tobie pilnować. Zachowałem się karygodnie i absolutnie nie po dżentelmeńsku – powiedział sztywno i równie sztywno pochylił głowę, jakbym była księżną.

Patrzyłam na niego w milczeniu, zaciskając usta. Nie wiedziałam, co z nim, do cholery, zrobić, tak kłaniającym mi się na szkolnym parkingu. Jak to w ogóle musiało wyglądać w oczach gapiów? Och Lordzie, dlaczego to mi się przytrafiają takie sytuacje?

Adrien uniósł z powrotem głowę, a jego czarne oczy błyszczały, gdy na mnie patrzył.

– Po drugie, przepraszam cię, bo chcę. – Przekrzywił głowę, nie przestając się we mnie wpatrywać. – Lubię cię, Hailie Monet. Zabawnie mi się obserwuje, jak sobie raczkujesz w naszym świecie. Jesteś od niego taka inna, a jednocześnie pasujesz tu jak ulał. Nie chciałbym być przez ciebie utożsamiany z chamem. W gabinecie Vincenta wściekłem się na twoją rodzinę, nadal zresztą chowam urazę, ale wyładowałem się na tobie, co nie powinno było mieć miejsca.

Pokiwałam głową, zaciskając usta tak mocno, że pewnie zbieleły mi wargi, a Adrien rozłożył ręce i kontynuował:

– Żeby było jasne, ty swoją propozycją również okazałaś brak szacunku wobec mnie. Dlatego zdenerwowałem się podwójnie. – Na widok moich nastroszonych brwi pokiwał głową i znowu uniósł dłoń, tym razem żeby mnie uspokoić. – Tak, wiem, że spanikowałaś, dlatego przyznaję: to ja powinienem być tym, który zapanuje nad sytuacją, a nie doleje oliwy do ognia. Przepraszam, Hailie Monet, za to, że cię wystraszyłem.

Stałam tak i patrzyłam w hipnotyzujące oczy Adriena, kompletnie zaskoczona. Nie spodziewałam się od niego przeprosin ani w ogóle żadnego wysiłku w naprostowaniu niedawno zaistniałej między nami sytuacji, a tu proszę, życie zadziwiło mnie po raz kolejny.

Jak to zwykle ze mną bywa – miękłam, gdy ktoś zadawał sobie trud, by być ze mną szczerym.

– Powinnaś uważać na przysięgi, które składasz – ciągnął Adrien. – Zwłaszcza w chwilach desperacji. To się może kiedyś źle skończyć.

Szczególnie biorąc po uwagę twoje nazwisko. To chciałem ci wtedy przekazać i dać małą nauczkę.

– Problem w tym, że ty nie jesteś odpowiednią osobą do dawania mi życiowych lekcji – odparłam sztywno.

– To prawda, to nie moja sprawa.

Pokiwałam głową, zadowolona, że zostało to wyjaśnione, i podeszłam bliżej, z zamiarem wejścia do samochodu, nie przejmując się już Adrienem. Miła to była niespodzianka, że się tu zjawił i wytłumaczył, ale miałam już dość wrażeń. Chciałam wrócić do domu.

– Jeszcze jedno – zatrzymał mnie, gdy sięgałam do klamki.

– Tak?

Adrien sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął płaskie pudełko, takie mniej więcej wielkości dłoni. Było bardzo eleganckie, całe matowe, z błyszczącą czarną wstążką. Przełknęłam dyskretnie ślinę, gdy mi je podał. W końcu byłam uprzedzona do prezentów od niezaufanych osób.

– To tylko przeprosinowy drobiazg – uspokoił mnie.

Zerknęłam przelotnie na Sonny'ego. Nie wydawał się zaalarmowany, więc odważyłam się sięgnąć po paczuszkę. Jej gładkość pieściła opuszki moich palców i spowodowała, że jeszcze bardziej kazałam sobie mieć się na baczności.

– Trzymaj się, Hailie Monet.

Adrien nie czekał, aż odpakuje prezent. Skinął na mnie ponownie i się odwrócił, po czym odszedł niespiesznie. Patrzyłam na jego plecy, a potem zacisnęłam palce na pudełku, czując dziwny stres związany z jego tajemniczą zawartością. Dostałam podarunek od Adriena – to nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Torebkę wraz z nietkniętym pudełkiem odłożyłam na miejsce obok kierowcy. Bałam się je rozpakować, nawet mimo że Sonny nie zdawał się zaniepokojony. Adrien niby mnie przeprosił, ale był dla mnie tak zagadkową postacią, że nie potrafiłam mu zaufać.

Po parkingu rozejrzałam się dopiero, gdy zaczęłam cofać, bo nie chciałam nikogo przez przypadek potrącić. Wtedy dotarło do mnie, jak wiele osób wciąż patrzy w moim kierunku. Twarze większości z nich były

poważne, niektórych – zainteresowane, innych – pełne cichego podziwu. Spora część tych osób prawdopodobnie kojarzyła Adriena – tak, jak kojarzyli Vincenta. Adrien też był „szychą” i roztaczał wokół siebie podobnie mroczną atmosferę. Fakt, że pofatygował się do mojej szkoły, by ze mną porozmawiać, w oczach innych tylko podkreślał mój status.

W drodze powrotnej również włączyłam muzykę, ale tym razem nie śpiewałam, bo moje myśli zajmowało analizowanie dzisiejszego dnia. Po raz pierwszy prowadziłam auto sama, pogodziłam się z Moną, zyskałam chłopaka, zostałam ostatnią reprezentantką Monetów w szkole, nakarmiłam głodną pierwszoklasistkę i na dodatek jeszcze zostałam przeproszona przez Adriena Santana.

W skrócie mój pierwszy dzień w szkole nie mógł być bardziej niezwiązany z samą nauką.

Gdy zajechałam na teren rezydencji Monetów, do kolekcji moich dzisiejszych wrażeń doszło jeszcze uczucie porażki, które uparcie dręczyło mnie od kilku dni i zapewne dręczyć miało jeszcze długo.

Na powrót posmutniałam, zaparkowałam w garażu, gdzie dodatkowo zestresowała mnie obecność wyczekującego już mnie Willa. Obserwował uważnie moje ruchy, jakby modlił się w duchu, żebym nie zarysowała po drodze żadnej z pozostałych fur. Sama się o to modliłam.

Gdy wyłączyłam silnik, twarz mojego ulubionego brata rozpromieniła się. Nie dał mi czasu na odsapnięcie; przytulił mnie od razu, gdy tylko wysiadłam.

– Dobra robota, malutka – pochwalił mnie. – Jestem z ciebie dumny.

– Dzięki, Will.

– Jak ci się prowadziło? Wszystko było w porządku?

– Było idealnie – odparłam. – Od teraz zawsze chcę prowadzić sama.

Will uśmiechnął się, ale trochę kwaśno, bo jego nadopiekuńcza strona po prostu zbyt mocno w nim dominowała. Dając mu czas na oswojenie się z tą myślą, zarzuciłam torbę na ramię i uniosłam do góry swój prezent.

– Dostałam to od Adriena.

Will zmierzył wzrokiem eleganckie pudełko.

– Poprosił Vincenta o zgodę, by złapać cię po lekcjach i przeprosić za swój wybuch złości – powiedział, wyraźnie sceptycznie nastawiony.

– Vince mógł mnie uprzedzić.

– Przekazał Adrienowi, że jeśli nie będziesz życzyła sobie z nim rozmawiać, to ma odejść – odparł Will i zmarszczył brwi. – Coś się stało? Zachowywał się, mam nadzieję?

Westchnęłam.

– Nic się nie stało. Rzeczywiście mnie przeprosił, no i dał mi ten prezent. – Zamachałam podarunkiem, po czym zerknęłam na brata nieśmiało. – Otworzysz go ze mną?

– Oczywiście, malutka.

W kuchni unosił się aromat kolendry i czosnku, zapowiadający niezwykle apetyczny obiad, zanim się jednak do niego dobrałam, usiadłam z Willem przy stole i zapatrzyłam się na jego czyste, zadbane dłonie i schludne, równiutko przycięte paznokcie. Jego palce najpierw rozplątały wstążkę, a potem powoli uniosły wieczko i mój brat, z niezbyt wesołą miną, obrócił je w moją stronę.

Na twardej, aksamitnej poduszce w odcieniu ciemnego szmaragdu znajdował się naszyjnik. Ciąg drobnych pereł z przyczepioną na środku małą, płaską i niezwykle delikatną zawieszka z obramowanego złotem kamienia księżycowego.

Chyba wcale nie przesadzę, jeśli przyznam, że to najpiękniejszy naszyjnik, jaki kiedykolwiek widziałam.

Wpatrując się tak w to cudo, poczułam ciarki na plecach. Nie wiem, czy to dlatego, że biżuteria tak bardzo mnie olśniła, czy może przez świadomość, od kogo ten podarunek dostałam.

Uniosłam wzrok na Willa, który obserwował mnie z czymś na kształt niepokoju skrzyżowanym ze zmartwieniem.

– Czy to... – zawahałam się – ...perełki?

– Najwyraźniej.

– Piękne są – wyszeptałam, nachylając się jeszcze bardziej, by dostrzec każdy perfekcyjny szczegół.

– Mhm.

W pewnym momencie Will najwyraźniej uznał, że dość się na nie napatrzyłam, bo subtelnie zaczął cofać rękę, w której trzymał pudełko. Gdy w końcu przykrył jego wieczko, jak gdyby przerwał rzucony na mnie urok.

– To oczywiście twój prezent, ale mogę go dla ciebie schować, jeśli chcesz – zaoferował niby-obojętnie, ewidentnie jednak chciał zabrać mi naszyjnik sprzed nosa najszybciej, jak się dało.

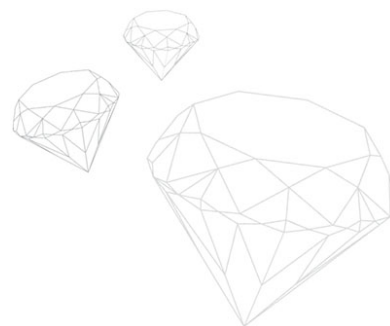
– Eee, sama mogę go schować.

Nie chciałam przyznawać, że wolę zatrzymać naszyjnik, mimo iż nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek miałabym się odważyć go założyć. Był piękny, ale fakt, że dostałam go od Adriena, kreował wokół niego otoczkę grozy i niebezpieczeństwa.

– No dobrze – zgodził się Will, wzdychając, ale zabrał pudełko i wstał, wyjaśniając: – Chciałbym pokazać go Vincentowi. Na wszelki wypadek. Oddam ci go później, w porządku?

Skinęłam głową, uznając, że rozsądne będzie, jeśli nasz najstarszy brat rzuci swoim fachowym okiem na prezent, który mógłby się okazać na przykład podsłuchem.

Vince chyba jednak nie znalazł w nim nic podejrzanego, bo wieczorem Will oddał mi moją własność, a ja, nie wyciągając nawet wisiora z pudełka, schowałam go w najgłębszych odmetach swojej szafy niczym największy skarb.



48

ZABORCZE DOBERMANY

Mam chłopaka.

Siedziałam na fotelu i przeszywana byстрым spojrzeniem terapeutki próbowałam odpowiedzieć na jej pytanie dotyczące tego, co u mnie słychać.

Średnio chciałam tutaj być. Ta kobieta pomogła mi ułożyć sobie pewne sprawy związane z moimi problemami z odżywianiem, a także to, co działo się po ataku Rydera, i lubiłam myśleć, że czasy tamtego zagubienia mam już za sobą. Nie planowałam do niej wracać. Mimo iż byłam wdzięczna Vince'owi, że mnie do niej wysłał, to miałam nadzieję, że teraz rozpocząłam już nowy etap w życiu – taki, w którym ten rodzaj pomocy nie będzie mi już potrzebny.

Mój najstarszy brat uważał jednak inaczej. Nadal chmurzyłam się przez całą tę fatalną pomyłkę z ojcem i on to widział. Nie starczyło mi pozytywnej energii, by przykryć ogarniające mnie co chwilę przygnębienie, nawet pomimo czerpania jej z wydarzeń tak przyjemnych jak wejście w oficjalny związek z Leo, pogodzenie się z Moną czy też samodzielne przejażdżki moim porsche.

Pani psycholog posłała mi łagodny uśmiech.

– O, proszę. Wspaniała nowina.

Pokiwałam głową, ale zaraz potem zmarszczyłam brwi, łypiąc na nią podejrzliwie.

– Ile z tego, co pani powiem, przekaże pani moim braciom?

– Nasze rozmowy są poufne, Hailie. Tłumaczyłam ci to kiedyś. Nic się nie zmieniło.

Jeszcze przez chwilę w jej przysłoniętych okularami oczach doszukiwałam się oznak tego, że kłamie, ale widziałam tylko gładką, lekko naciągniętą przez zabiegi plastyczne skórę wokół nich.

Miałam trudności z całkowitym zaufaniem tej kobiecie nie dlatego, że kiedykolwiek mnie zawiodła, ale dlatego, że wiedziałam o jej specjalnej umowie z Vincentem. Nie wiem, ile mój brat jej płacił, ale byłam pewna, że łądował w moje zdrowie psychiczne krocie, bo dostałam pełne przyzwolenie, by ze szczegółami opowiedzieć jej o wszystkim – o ojcu też. Mogłam trąkotać jej o najmroczniejszych sekretach mojej rodziny (a przynajmniej tych, które znałam), a ona miała słuchać mnie ze spokojem i bez groźby zawiadomienia odpowiednich służb.

Jednak nawet z tą świadomością nie czułam się swobodnie. Wyjaśnienie jej przyczyn mojego poczucia winy kosztowało mnie zdecydowanie zbyt wiele. Ona zaś zachowywała przede mną twarz pokerzystki, choć w rzeczywistości obie zdawałyśmy sobie sprawę, że jestem dla niej pacjentką wyjątkową i rozmowy o moim ojcu, który był szczytą w świecie elit, a który następnie sfingował własną śmierć, bez wątplenia nie toczyły się w tym gabinecie na co dzień.

Nie miałam jeszcze odwagi otworzyć się przed nią w sprawie Cama, więc w pewnym momencie sprytnie się wycofałam, a pani psycholog, wyczuwszy działania moich mechanizmów obronnych, zaczęła wypytywać mnie o błahostki i tak oto nasza sesja szybko zmieniła kierunek.

– To dobrze – odparłam. – Bo żaden z chłopaków nie wie o moim związku.

– Dlaczego im nie powiedziałaś?

Odchyliłam głowę, wzdychając ciężko.

– Bo... nie byliby zadowoleni.

Psycholożka czekała cierpliwie na rozwinięcie tej myśli z ciągle tym samym, łagodnym uśmiechem rozciągającym jej usta, a gdy ono nie nastąpiło, sama pociągnęła rozmowę.

– Wszyscy byliby niezadowoleni?

– Bez wyjątku – potwierdziłam.

– Ale chciałabyś im powiedzieć?

– Nie wiem... Wydaje mi się, że to musi być fajne uczucie mieć chłopaka, którego nie trzeba ukrywać przed swoją rodziną.

– Dlaczego uważasz, że musisz go ukrywać?

Uśmiechnęłam się nieco protekcyjnie, a spoconymi z nerwów dłońmi przejechałam po skórzanych, wytartych podłokietnikach.

– Wie pani, co się stało z ostatnim chłopakiem, który się obok mnie kręcił? – zapytałam, a potem, nie czekając na jej odpowiedź, odpowiedziałam: – Grożono mu, potem zrzucano go ze schodów, a aktualnie nawet nie chodzi już do naszej szkoły.

Kobieta zamrugała.

– Leo, co prawda, jest inny niż Jason – kontynuowałam, wpatrując się teraz w sufit. – Jason chciał mnie wykorzystać i to było wiadome. Chłopcy celowo chcieli go nastraszyć. Leo zaś mnie szanuje, no i jest bardzo miły.

– Leo Hardy? – podłapała. – To brat Rydera, prawda?

– Nie rozmawiamy z Leo o Ryderze. To sprawa, która toczy się między nim a moimi braćmi. Potrafimy to rozgraniczyć.

– Hm.

Jeśli miałabym wskazać cechę, która irytowała mnie w tej kobiecie najbardziej, to chyba byłyby to te jej mruknięcia, które co jakiś czas wymykały jej się z ust, gdy mówiłam coś, co nie brzmiało dość przekonująco.

– Naprawdę. Nie rozmawiamy o Ryderze, Leo sam tego nie chce. Nienawidzi go.

– Hm.

Wzięłam głęboki wdech.

– Z moimi braćmi chodzi o to – zaczęłam tłumaczyć spokojnym głosem – że mieliby problem z każdym chłopakiem, który zechciałby się do mnie zbliżyć. Nawet jeśli byłby to anioł z nieba, oni wciąż znaleźliby powód, by się do niego przyczepić.

– Zastanawiałaś się, dlaczego tak jest?

– Och, mam to wszystko świetnie przemyślane – ożywiłam się i poprawiłam w fotelu, a potem uniosłam dłoń, by zacząć odliczać na palcach: – Są zaborczy, nadopiekuńczy, namolni, kontrolujący, apodyktyczni, aroganccy, mają nieskończony tupet, są bezczelni i dosyć egoistyczni.

Terapeutka uniosła brew, a ja opuściłam dłoń i uśmiechnęłam się niewinnie, dodając:

– Żeby nie było, kocham ich bardzo i w ogóle, oni po prostu... mają troszkę wad.

– To może spróbuj na początek powiedzieć chociaż jednemu z nich? – zasugerowała.

Zastanowiłam się.

Któremu z braci najbezpieczniej byłoby wyjawić to, że Leo oficjalnie został moim chłopakiem?

Może inaczej, Hailie, mówiłam sobie w duchu, może spróbuj od końca. Któremu z braci nie warto tego mówić w pierwszej kolejności?

Dylanowi. To na pewno. Dylan wybiegłby do garażu, jeszcze zanim dokończyłabym zdanie, a potem pojechał do Leo, zamordowałby go gołymi rękami i nawet nie pozbyłby się ciała, żeby służyło ono innym jako przestroga przed umawianiem się ze mną na randki.

Vince też raczej odpada. Jedną z jego beznadziejnych zasad był zakaz dotyczący chłopców. Jeśli dowie się, że ją złamałam, istnieje ryzyko, iż zamknie mnie w domu, załatwi nauczanie domowe, zabierze auto i rozkaże Sonny'emu chodzić ze mną nawet do łazienki.

Tony to również nie najlepszy wybór. Nie wiem, co dokładnie zrobiłby Tony, ale na pewno coś pomiędzy pobiciem Leo do nieprzytomności a szantażowaniem mnie, że wygada się reszcie.

Will mógłby się wydawać niegłupią opcją, ale znając jego zawyżony wskaźnik nadopiekuńczości, zaraz by się niepotrzebnie zmartwił i znowu zechciałby rozmawiać ze mną o, o zgrozo, kwiatkach i pszczołkach. Brr.

A Shane... Shane? Shane...

Może Shane?

Postanowiłam wypróbować sugestię terapeutki i wieczorem, po sesji, zakradłam się do kuchni, gdzie z wielkiej, głębokiej szuflady wyłowiłam paczkę chipsów. Najmłodszy z braci zawsze pilnowali, żebyśmy mieli w domu spore zapasy niezdrowego żarcia, więc mogłam przebierać w różnych markach i smakach przekąsek, aż natrafiłam na takie, które wyglądały na najbardziej niezdrowe – zgodnie z preferencjami Shane’a.

Wspięłam się z powrotem na górę, uważając, żeby na nikogo innego po drodze nie wpaść, a następnie stanęłam pod drzwiami starszego z bliźniaków i zapukałam. Raz, drugi, trzeci, aż w końcu usłyszałam zaproszenie. Wyszczrzyłam się na widok Shane’a rozwalonego na boku na swoim łóżku. Chyba właśnie sobie drzemał.

– Hejka! – zawołałam z przesadnym entuzjazmem. Tak bardzo starałam się tryskać energią, że mój głos zabrzmiał okropnie piskliwie, więc dodatkowo zaszeleściłam paczką. – Przyszłam pogadać.

– Później, dziewczynko – burknął sennie i nawet nie otworzył oczu, ale za to skrzywił się na serię hałasów, które moja osoba spowodowała do jego cichej i spokojnej oazy.

– No weź, Shane – westchnęłam i podeszłam do łóżka, niechcący prawie wdeptując w leżącego na podłodze laptopa. Bezceremonialnie wpakowałam się na materac. – Musimy porozmawiać.

– Uczyć się idź.

– Jestem nauczona – odparłam i dźgnęłam go pięścią w plecy. – Potrzebuję pogadać, to ważne.

– Śpię.

– Mam chipsy, Shane.

Znowu zaszeleściłam paczką, tym razem tuż nad jego uchem. Opędził się od niej dłonią jak od muchy, znowu się krzywiąc, więc zabrałam ją od niego i otworzyłam, po czym wrzuciłam sobie do ust garść chipsów.

Usiadłam też okrakiem na jego boku i nachyliłam się znowu nad jego uchem, by zachrupać głośno prosto do niego. Shane spróbował mnie z siebie zrzucić, ale się nie dałam, i w końcu otworzył oczy pokonany, mniej więcej wtedy, gdy zaczęłam wciskać mu do ust dwa chipsy naraz.

– Hailie, zaraz cię walnę – westchnął, przecierając oczy.

– Powiem Willowi.

– Ile ty masz lat, dziesięć?

– Prawie siedemnaście, a co?

– Złaż ze mnie. – Shane, rozbudziwszy się już trochę bardziej, bez trudu odrzucił mnie na bok. Sam przeturlał się na plecy i uniósł na łokciach. Był rozczochrany i miał śpiocha w oku, którego pozbył się, gdy nieprzytomnie rozglądał się po otoczeniu. Jego zaspany wzrok padł na ścisnąną przeze mnie paczkę chipsów. Wyrwał mi ją, mruczając: – I dawaj to.

– Muszę ci coś powiedzieć, ale nie możesz nikomu się wygadać – zastrzegłam, gramoląc się, by usiąść po turecku.

Shane obserwował z bliska jednego chrupka, a zanim go pożarł, rzucił mi podejrzliwe spojrzenie.

– I obiecaj, że sam też nie będziesz się denerwować – dodałam.

Zmrużył oczy.

– Co ty znowu odwaliaś?

Kopnęłam go w jego twardy brzuch. Lekko, więc go nie zabołało, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak on to robi, że opycha się takimi ilościami śmieciowego żarcia i wciąż trzyma formę.

– Niczego nie odwaliałam! – zaprotestowałam, a potem, rozżalona, wygięłam usta w podkówkę i wymamrotałam: – Potrzebuję po prostu twojego wsparcia.

– Dlaczego akurat mojego? Nie chcesz iść do Willa czy coś?

– Czego ty się tak boisz, przecież nikogo nie zabiłam.

Shane odetchnął.

– Dobra już, to o co chodzi?

Jeszcze przez chwilę żułam wargę, aż wreszcie wyrzuciłam z siebie:

– Mam chłopaka.

– CO?! – sapnął i nawet stracił zainteresowanie chipsami.

– Mam...

– Cicho bądź, słyszałem – warknął na mnie, krzywiąc się, po czym powtórzył: – CO?!

Uniosłam dłonie w uspokajającym geście.

– To nic wielkiego, to tylko...

– CO?

– Shane. Ogarnij się – upomniałam go.

– Naha, świetnie, tak, ogarnij się. – Shane zaczął kiwać energicznie głową z wściekle zaciśniętą szczęką, po czym rzucił mi mordercze spojrzenie i zawołał: – Oszalałaś?! Czemu mi to powiedziałaś?!

Patrząc na jego pobladłą twarz i nastroszone brwi, zwątpiłam w swój plan i rozłożyłam ręce na boki.

– Nie wiem! Wykalkulowałam sobie, że ze wszystkich zareagujesz najłagodniej!

– Co to za beznadziejne kalkulacje, nie mogę! – warknął. – A podobno taki z ciebie kujon.

– Czekaj, Shane, przestań, pomyśl – prosiłam. Przez jego irracjonalne zachowanie ogarniała mnie panika. Nie tak miało to wyglądać.

– Co ja ci takiego zrobiłem? – zawołał do mnie z wyrzutem, a palcem wskazał na swoją wymiętą poduszkę: – Spałem sobie!

– Wyluzuj, nikogo nie zabiłam! – powtórzyłam.

– Ta? Już wolałbym sprzątać po tobie zwłoki niż...

– Niż co, zaakceptować mój związek z Leo? – zdenerwowałam się.

– Leo – wycharczał Shane dziwnie niskim głosem. – Znowu on.

– A kto inny! – Wyrzuciłam ręce do góry.

– Całowałaś się z nim?

– I co w tym strasznego?! – wydarłam się piskliwie z jeszcze większym niedowierzaniem.

Shane wydał z siebie dziwny dźwięk, coś na kształt syku wściekłego kocura, i zerwał się z łóżka. Unosił też górną wargę, krzywił się i załamywał jakby naraz, a potem uniósł palec wskazujący.

– Jeden! – krzyknął. – Jeden dzień jesteś sama w szkole, beze mnie i Tony’ego, i co?!

– Shane, ja mam prawie siedemnaście lat, zastanów się, proszę, czy ty aby trochę nie przeginasz – wycodziłam.

– Jak inaczej mam zareagować? Powiedziałaś komuś jeszcze?

– No nie.

– No właśnie! Cały ciężar jest na moich barkach! – Shane zaczął przechadzać się po pokoju, złapał się za włosy i prawie poślizgnął się na swoim laptopie.

– Jaki znowu ciężar?

Zatrzymał się i rzucił mi spojrzenie.

– Twoich występków! Ja nie mogę cię kryć, Hailie, nie z takimi rzeczami...

– Jakich występków? Jakimi rzeczami? Serio, to jest przesada, to... – westchnęłam i wstałam.

– Przesada, ta? – prychnął, zbliżając się do mnie. – Jeśli reszta dowie się, że ja wiedziałem i nic im nie powiedziałem, to mnie rozszarpią. Myślisz, że tylko ty dostajesz w tym domu opieprz od Vince’a?! Tym razem wsiądą na mnie oni wszyscy.

– Nie – zaprotestowałam stanowczo. – Nie będzie tak. Mam plan, będę mówić każdemu z was po kolei. Dzięki temu lepiej przyjmiecie tę informację.

– Aha, no super ci idzie, ja tam przyjmuję ją po prostu genialnie.

– Nie wiedziałam, że zrobisz taką dramę – wyznałam szczerze, bardzo zdumiona.

– Myślisz, że ja robię dramę? – Shane zaśmiał się ironicznie i bez cienia humoru, a potem w podniosłym geście wskazał otwartą dłońią na drzwi. – Może chcesz się przejść do Dylana, hm?

– NIE! – wydarłam się i biegiem dosięgnęłam drzwi, a następnie rąbnęłam o nie plecami, by zablokować je przed Shane'em na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy spełnić swoją groźbę.

Popatrzył na mnie z rozdrażnieniem.

– No właśnie – przytaknął. – Nie chcesz, żeby ci się od niego oberwało, co nie? Możesz wierzyć lub nie, ale ja też nie chcę. Potrafi być w cholere namolny.

– Jezu, Shane – westchnęłam i tyłem głowy uderzyłam lekko o drzwi. – Czy ty siebie słyszysz? Masz gdzieś to, że chodzę z Leo! Złóścisz się dla zasady i dlatego, że inni też się będą złościć.

– Wcale nie, wkurza mnie, że jakiś lamusek dobiera mi się do siostry.

– Nie przezywaj go i wcale się do mnie nie dobiera – warknęłam. – Mieliście problem z Jasonem, bo był idiotą, przyznaję, ale Leo jest porządny. No i wtedy byłam młodsza, teraz jestem w odpowiednim wieku, żeby zacząć spotykać się z chłó....

– LA-LA-LA...

Shane zatkał uszy i zacisnął powieki, a ja gapiłam się na niego jak na kretyna. Kocham go, serio, Shane jest super, ale to, co się tu wyprawiało, to żart i coraz bardziej czułam się jak uczestnik marnego kabaretu.

– Skończyłeś? – zapytałam, gdy po kilku sekundach zamilkł i otworzył oczy.

– Zależy, czy ty skończyłaś.

– Tak, skończyłam. A teraz, czy mógłbyś, proszę, odnieść się do moich słów, używając sensownych argumentów, a nie... LA-LA-LA?! – warknęłam, kręcąc na koniec głową.

– Dobra, dobra – westchnął. – Tylko wiesz co, lepiej nie mów reszcie, że jesteś w odpowiednim wieku, żeby spotykać się z chłopakami, bo to... źle brzmi.

– O czym ty mówisz? – zirytowałam się. – Wcześniej podobno problemem było to, że byłam za młoda...

– Nooo... – Shane wbił znaczące spojrzenie w podłogę. – A teraz brzmisz, jakbyś mówiła, że jesteś w odpowiednim wieku, żeby... no wiesz.

Walnęłam się dłonią w czoło.

– Nie – zaskomlałam przegrana.

– No tak.

– Najpierw jestem za młoda na związek, a teraz... nadal wam się coś nie podoba?

– Po prostu nie możesz... nie wiem... – zawahał się i podrapał po karku – nie interesować się na razie chłopakami?

– Nie zamierzam pozbawiać się zupełnie naturalnych i typowych dla swojego wieku doświadczeń tylko dlatego, że piątka moich braci to zaborcze doberman.

– Hej, doberman to bardzo inteligentne psy.

Zmroziłam go spojrzeniem.

– Wiesz co, mam dość – syknęłam i odepchnęłam się plecami od drzwi.

– Przyszłam do ciebie, Shane, bo sądziłam, że mogę ci zaufać i się zwierzyć, a ty zachowałeś się, jakbym zamordowała ci złotą rybkę. Wielkie dzięki za twoje wsparcie, bracie.

Odwróciłam się, by złapać za klamkę i wyjść, ale Shane zawołał za mną:

– Czekaj. – Chwycił mnie za ramię. – Przepraszam, okej? Po prostu spanikowałam.

– Nie, nawet nie próbuj usprawiedliwiać swojego głupiego zachowania – ostrzegłam go. – Myślałam, że mogę na ciebie liczyć, że może nawet, nie wiem, dasz mi jakąś radę, a ty na mnie nakrzyczałeś.

Swoje ostatnie słowa wypowiedziałam tak rozzalonym głosem, że widziałam po wyrazie twarzy Shane'a, jak łapie go to za serce i budzi się w nim poczucie winy.

– Okej, dziewczynko – westchnął i zamknął mnie w swoich ramionach, przyciskając moją głowę do swojej piersi. – Już, spokojnie.

– Jestem spokojna, to ty... – zaczęłam burkliwie, ale Shane mi przerwał:

– Ciii.

Chciałam oderwać policzek od jego bluzy i łypnąć na niego spode łba, ale jego wielka ręka głaskająca moją skroń to uniemożliwiła.

– Chcesz prawdziwej rady? – zapytał po jakiejś minucie.

Wzruszyłam ramionami.

– Powiedz Vincentowi.

Tym razem się od niego odkleiłam i spojrzałam na niego z uniesionymi brwiami.

– Ty... mówisz tak specjalnie, bo wiesz, że wtedy zamknę mnie w domu.

– Nieprawda, mówię tak, bo wiem, że jeśli naprawdę z jakiegoś nieznanego mi, bezsensownego, dziwnego i totalnie niezrozumiałe...

– Shane.

– No dobra, chodzi o to, że skoro z jakiegoś powodu naprawdę chcesz spotykać się z tym całym Leo... Sreo...

– Shane.

– ...to umożliwi ci to tylko błogosławieństwo Vince'a. W sensie wiesz, jeśli on się zgodzi, to nikt nie będzie miał prawa zakwestionować jego zdania. Nawet wściekły Dylan.

– Tylko jak ja mam niby przekonać Vince'a?

– Musisz się przygotować. Z nim masz jedną szansę. Albo pójdzie ci na rękę, albo nie i cokolwiek postanowi, to zdania nie zmieni – poinstruował mnie, a potem dodał, mierzając mnie wzrokiem: – No i na pewno nie budź go z popołudniowej drzemki, żeby mu o tym powiedzieć, bo rozdrażnisz go tylko tak jak i mnie.

– Vince nie drzemie.

– Oczywiście, że drzemie. W przeciwnym razie po co by mu była w tym jego gabinecie kanapa?

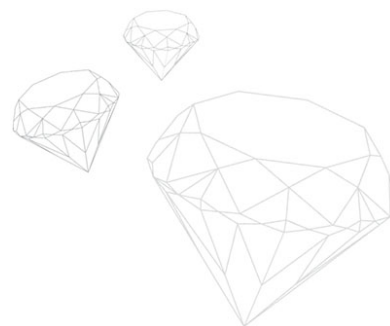
– Myślałam, że po to, żeby przyjmować na niej swoich mrocznych gości.

Shane zarechotał, a i ja się trochę rozweseliłam. On wyluzował na tyle, żeby wrócić na swoje łóżko, gdzie znowu porwał w ręce porzuconą paczkę chipsów. Nie chciałam stresować więcej ani jego, ani siebie, dlatego postanowiłam już nic nie mówić i się stąd ulotnić, ale gdy stałam w progu, Shane jeszcze mnie zaczepił:

– Hailie. Tydzień.

Odwróciłam się, marszcząc brwi.

– Będę cię krył przez tydzień i ani dnia dłużej. Jeśli nie powiesz Vince’owi, wygadam się Dylanowi i Tony’emu.



49

BAD BOY'E

Do swojej sypialni wróciłam niezadowolona z efektów swojej misji. Nie tak wyobrażałam sobie reakcję Shane'a. Miał być najbardziej wyluzowanym z braci. Skoro on tak przyjął nowinę, to ja nie wiem, jak powiem o Leo reszcie.

Tej nocy, przytłoczona ogromem spraw, które nagromadziły się w moim życiu, prawie nie zmrużyłam oka. Gdy nie mogłam już dłużej znieść przewracania się z boku na bok, postanowiłam wstać i przejść się do kuchni po szklankę wody.

W holu było ciemno. Nie zapalałam światła, żeby nie obudzić któregoś z moich ciekawskich braci. Zresztą tak dobrze znałam tę część domu, że potrafiłam się po niej poruszać po omacku. Nie to co kiedyś. Przypomniały mi się czasy, gdy się tu gubiłam albo gdy śniły mi się koszmary.

Na schodach wyteżyłam słuch, bo z kuchni dobiegły mnie głosy. Dostrzegłam też łunę słabego światła. Którzy z moich braci prowadzili nocne rozmowy w naszej kuchni? Gdybym miała się założyć, w pierwszym odruchu postawiłabym na Dylana, ale bym przegrała, bo szybko okazało się, że uczestnikami szeptanej rozmowy byli Will i Vincent.

– To się nie może tak skończyć. – Ten głos, niezwykle poważny i nawet trochę przejęty, zdecydowanie należał do mojego ulubionego brata.

– Wszystko na to wskazuje – odparł chłodno Vince. – Trudno, nie mamy na to wpływu.

– Przecież to takie niesprawiedliwe...

– Tobie chyba nie muszę tłumaczyć, że tak to już w życiu jest.

– Jak możesz mówić o tym tak obojętnie?! – Will podniósł głos, a ja przystanęłam u podnóża schodów, z dłonią na poręczy, jakbym szukała w niej oparcia. Bałam się ruszyć i przerwać tę rozmowę.

– Emocje są tu zbędne i nie pomogą.

– Ale rozmawiasz nie ze współnikami, a ze mną, na litość boską – warknął Will. – Gdzie twoja złość?

– Powinieneś się uspokoić.

– To samo powiesz na przykład Hailie?

Zacisnęłam mocniej palce, a serce zabiło mi szybciej. Nie spodziewałam się usłyszeć swojego imienia i niezbyt podobało mi się, że ono w ogóle padło w tak nieprzyjemnie brzmiącej dyskusji.

– Powiem jej to, co będzie trzeba – odparł Vincent jeszcze bardziej lodowato niż przed chwilą.

– A chłopakom? Wiesz, że się wściekną...

– Oni też muszą nauczyć się kontrolować swoje wybuchy.

– To jest... Ty... Ja nie...

– Wystarczy, Will – zarządził Vincent, a potem już nieco łagodniej dodał: – To koniec tej rozmowy, nic nowego tu nie padnie. Idź się prześpij. Czeka nas pracowity tydzień.

Zastygłam na ułamek sekundy, a potem zmusiłam swoje ciało do działania. Nie było łatwo zebrać się w sobie w momencie, gdy zalała mnie tak gorąca fala paniki. Nie chciałam zostać przyłapana, na pewno nie na podsłuchiwanie tej rozmowy, sprawiającej wrażenie tak prywatnej.

W kuchni zapadła cisza, co zestresowało mnie jeszcze bardziej, bo musiałam się pilnować, by nie narobić hałasu. Zanim postacie braci wynurzyły się zza kuchennego łuku, ja cofnęłam się na wyższe stopnie,

a potem zaczęłam po nich schodzić, tak że gdy Vincent i Will mnie zobaczyli, wyglądałam, jakbym właśnie człapała z góry. Na dodatek przymknęłam powieki, a jedną z nich namiętnie poierałam.

– Hailie? – powiedział na mój widok Will, a ja wtedy opuściłam dłoń i zamrugałam, jakbym dopiero zrozumiała, że nie jestem tu sama.

– O, Will? – wymamrotałam najbardziej sennym głosem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

– Co ty tu robisz? – zapytał. – Czemu nie śpisz?

– Przyszłam po wodę, zachciało mi się... – ziewnęłam i mlasnęłam – pić.

Unikałam patrzenia na Vincenta, który lustrował mnie stresująco podejrziwym wzrokiem.

– Wodę powinnaś mieć zawsze na noc w pokoju – wytknął mi Will, gdy przemknęłam między nimi, unikając ich dalszych spojrzeń.

– Tak, tak, wiem – odmruknęłam, sięgając po szklankę i mrużąc oczy, oślepiona kuchennym światłem.

Vincent zniknął, a Will czekał jeszcze na mnie na progu z ręką na wyłączniku lampy, obserwując, jak nalewam sobie wody z filtra. Odprowadził mnie na górę i życzył mi dobrej nocy, na co odpowiedziałam fałszywym uśmiechem, w duszy niosąc niepokój po zasłyszanej rozmowie.

Pragnęłam zaatakować Willa pytaniami, czego zrobić nie mogłam, boby się dowiedział, że go podsłuchiwałam. Wiedziałam, że moi bracia mają dużo tajemnic, ale wołałam, gdy pilnowali ich tak dobrze, że nawet przez myśl mi nie przeszedł pomysł, by spróbować je odkryć. Tymczasem ta noc miała stać się jeszcze bardziej bezsenna.

Nic dziwnego, że rano przebudziłam się zmęczona i niewyspana. Poirytowana tym stanem wskoczyłam w mundurek i spięłam włosy, a jedyne, co podnosiło mnie na duchu, to perspektywa zejścia na dół i zaparzenia sobie kawy.

W szkole humor szybko poprawił mi Leo, który czekał na mnie obok mojego Monetowego miejsca parkingowego. Ucałował mnie prosto w usta, gdy tylko wysiadłam z samochodu. Jak zwykle czułam na sobie spojrzenia

wszystkich wokół. To był dopiero drugi dzień szkoły, a ja byłam prawie pewna, że każdy już wie, iż Hailie Monet chodzi z Leo Hardym.

Miło było mieć kogoś, kto wita mnie z rana w szkole, uśmiecha się na mój widok i daje mi trochę czułości. Odkryłam, że tak cieszy mnie towarzystwo Leo, iż pragnę spędzać z nim każdą sekundę. Żałowałam, że jest rok wyżej, bo cudownie byłoby siedzieć z nim w ławce na zajęciach. Albo robić wspólne projekty. Nie tylko mogłabym wtedy liczyć na najlepszą ocenę, ale miałabym wymówkę, by spędzać razem czas. Niestety, rzeczywistość była inna i musiałam wypatrywać go na przerwach albo czekać, aż dołączy do mojego stolika na stołówce, przy którym notabene robiło się coraz tłoczniej.

– Hailie Monet! – zawołał ktoś, a gdy uniosłam głowę znad tacy z lunchem, ujrzałam Lavinie Linden.

Dziewczyna uśmiechała się do mnie szeroko. Nie byłyśmy blisko, ale należała do osób, do których czułam względną sympatię. Pamiętałam, jak mnie broniła przed swoimi głupawymi koleżankami, kiedy te mnie obgadywały. Przywitałam się z nią i nawet wstałam, żeby ją uściskać.

– Jesteś winna wyjaśnienia – wytknęła mi, szturchając mnie poufale.

– Ja?

– Może zechcesz zdradzić, kim był ten przystojniak, który wczoraj kłaniał ci się na szkolnym parkingu?

Przysiadając, przykryłam twarz dłonią, a Mona prawie zakrztusiła się swoim sokiem. Dziękowałam też niebiosom, że akurat dziś Leo spóźnił się na lunch.

– Przystojniak? Chodzi ci o Leo? – zapytała moja przyjaciółka, nachylając się z podekscytowaniem, jak gdyby tak naprawdę w życiu żywiła się plotkami, a nie jedzeniem, jak na przykład hamburgerem, który leżał przed nią na talerzu.

– Nie, nie, to zdecydowanie nie był Leo – zaprzeczyła Lavinia.

– To nie był nikt – westchnęłam, unikając spojrzeń obu dziewczyn.

– Tak naprawdę to wiem, kto to był, i jednocześnie dobrze wiem, że to wcale nie nikt – zaśmiała się Lavinia, przysiadając się.

– O czym ty mówisz? – pytała Mona. – W takim razie kto to?

Lavinia znowu dała mi kuksańca, mając ubaw z mojego zmieszania.

– No, Hailie, kto to?

Wreszcie się poddałam i wznosząc oczy ku sufitowi, odparłam:

– Adrien Santan.

Mona wydała zduszony okrzyk, a Lavinia wyszczerzyła się i pokiwała głową.

– Ten Adrien? – Moja przyjaciółka odstawiła kartonik z sokiem i przykryła usta obiema dłońmi, po czym dodała nieco urażona: – Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– Bo nie było okazji – odparłam pokonana. – Poza tym to nic wielkiego.

– To jest absolutnie wielkie – zaprotestowała Lavinia. – Adrien Santan jest totalnie nieosiągalny.

– Kiedyś, gdy chodził do tej szkoły, moja siostra się w nim kochała – oświadczyła Mona. – Przeszło jej, ale pamiętam, jak do niego wzdychała.

– Wcale się jej nie dziwię – powiedziała Lavinia.

– Ale on jest chyba trochę stary, nie?

– A kogo to obchodzi? – Lavinia machnęła dłonią i odgarnęła swoje blond włosy. – Jest takim ciachem, że jak dla mnie mógłby być i po trzydziestce.

– Fuj.

– Hailie nie narzeka – zażartowała Lavinia, na co wybałuszyłam oczy.

– Hailie n a r z e k a – powiedziałam twardo. – Serio, słuchajcie, dziewczyny, Adrien przyszedł, żeby mnie przeprosić, bo zachował się wobec mnie... nieuprzejmie. Robi interesy z Vincentem, więc musiał okazać mi szacunek czy coś tam. To tyle.

Lavinia słuchała mnie z rozbawieniem.

– Aha, a ten prezent, co ci dał?

– Jaki prezent? – zainteresowała się Mona.

– Dał jej jakiś prezent.

Westchnęłam przeciągle.

– Dziewczyny... – Zawiesiłam głos i pokręciłam głową. – To nic nie znaczy, naprawdę.

Mona i Lavinia miały na twarzach uśmieszki, które mnie drażniły, dlatego dodałam:

– Halo, ja mam chłopaka, czy muszę wam o tym przypominać?

– Ach! – Lavinia klasnęła w dłonie. – Właśnie, powiedz, czy Leo jest zazdrosny?

– No przecież nie ma powodów!

– Ja na jego miejscu trochę bym była.

– Nie no... – Spojrzałam na Monę. – Powiedz jej coś.

Mona pokiwała głową.

– Akurat Leo i Hailie są dla siebie stworzeni. Leo nie ma o co być zazdrosny.

– Tak tylko sobie gadam... – Lavinia zawiesiła głos. – No wiesz, Leo jest niezły, ale Adrien po prostu jest bardziej w moim typie.

– Wiem, o czym mówisz. – Mona pokiwała głową. – Też wolę takich bardziej... no... Jak by to powiedzieć....

– Bad boyów? – podsunęła Lavinia.

– No, jakby, coś w tym stylu – przytaknęła Mona. – Tylko wiesz, ten Adrien to już nie taki boy...

– Ale pewnie wciąż bad...

– Jezu! – zawołałam. – Już, przestańcie, proszę. Adrien to obcy facet, który potrafi jedynie działać mi na nerwy. Poza tym nie lubię... bad boyów i z całą pewnością nie chcę się z żadnym wiązać. Mam pięciu takich w domu i to naprawdę mi wystarczy.

– Co prawda, to prawda – zgodziła się ze mną Mona, a ja kontynuowałam, żeby teraz jeszcze Lavinia przestała rzucać mi tak sceptyczne spojrzenia:

– Leo jest spokojny i opanowany, przy nim czuję się swobodnie i mogę zaznać normalności. Przy nim... odpoczywam. Naprawdę. Pomaga mi oderwać się od dziwacznych problemów i z nim wszystko jest prostsze.

– Dobrze, rozumiem – przytaknęła mi wreszcie Lavinia, po czym znowu zerknęła na mnie łobuzersko. – A zdradzisz nam, co takiego Adrien dał ci w prezencie?

Miałam właśnie po raz kolejny głośno westchnąć, ale przeszkodził mi w tym Leo, który pojawił się właśnie za moimi plecami i zapytał:

– Jakim prezencie?

Nie miałam ochoty się tłumaczyć, ale niestety byłam mu to winna. Zmierzyłam więc dziewczyny ostrzegawczym spojrzeniem, żeby czasem nie ważyły mi się ekscytować Santanem w obecności mojego chłopaka, a potem zwróciłam się do Leo, przybierając spokojną postawę, żeby wiedział od razu, że nie ma się czym przejmować.

Gdy wyjaśniałam mu pokrótce, że odwiedził mnie wczoraj w szkole wspólnik Vincenta, zmarszczył brwi i nie tryskał radością, ale na koniec podarował mi buziaka prosto w usta, a także objął i pogłaskał po plecach, zostawiając na nich przyjemne ciarki. Nie dał się nawet sprowokować Lavinii, która chichocąc, zauważyła od razu:

– Nie jesteście wściekły.

Wzruszył ramionami i odpowiedział jej, patrząc mi prosto w oczy.

– Jeśli ją obraził, to dobrze, że przyszedł ją przeprosić.

Uśmiechnęłam się i oddałam mu buziaka, rozkoszując się tym, jak naturalne mi się to wydało. Mam chłopaka, którego całuję w usta. Cudowne uczucie. Doceniałam też bezproblemowość Leo. On był zbyt inteligentny, by robić mi wyrzuty o to, że inny mężczyzna dał mi prezent.

Chciałam spotykać się z nim częściej i na dłużej, a szkoła ten nasz czas dla siebie irytująco ograniczała, dlatego zaczęłam się zastanawiać, jak by to było, gdybym umówiła się z Leo w weekend, gdzieś pomiędzy jego pracą. Chociażby na głupi spacer, póki jeszcze mogliśmy cieszyć się piękną pogodą wczesnego września. Wiedziałam, że takie plany szły w parze z jak najszybszym poinformowaniem Vincenta o tym, że mam chłopaka. Dlatego też zaczęłam knuć, żeby załatwić z nim to wszystko jeszcze przed weekendem. Shane zresztą nie dał mi wiele więcej czasu.

Niestety, tydzień bez komplikacji w rodzinie Monet to najwyraźniej tydzień stracony, bo wieczorem, gdy jadłam kolację w towarzystwie Willa,

Dylana i bliźniaków, padło przy stole oświadczenie, które skutecznie pokrzyżowało moje nieśmiałe plany.

– W ten weekend mamy z Vince’em do załatwienia kilka spraw i będziemy poza domem.

Z ciekawością zerknęłam na siedzącego obok mnie Willa, ale kątem oka dostrzegłam, że nasi pozostali bracia nie zareagowali, zajęci jedzeniem. Nic dziwnego, serowa zupa krem, którą zaserwowała nam dziś Eugenie, podbiłaby nawet najbardziej wymagające podniebienia.

– Jak wyglądają wasze plany na weekend? – zapytał Will, patrząc na chłopaków.

– No my mamy imprezę w bractwie, nie? – mruknął Tony.

– Tę taką powitalną, jeszcze przed zajęciami – dodał Shane.

– Najważniejszą.

– Będzie zajebiście.

Will przeniósł wzrok na Dylana.

– Martina przyjeżdża – odpowiedział mu. – Pamiętasz, jak musiałem ją olać, gdy wracaliśmy do Stanów? Ustaliłem z nią, że przyleci teraz. W sobotę rano będzie w Nowym Jorku, a ja ją odbieram.

Will spuścił na chwilę wzrok na swój talerz, a potem podniósł go, trochę zakłopotany, ale jednocześnie oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Ktoś musi zostać w domu.

Wszyscy chłopcy zmarszczyli brwi.

– Bo?

– Ja będę w domu – wtrąciłam się.

– Ktoś musi zostać w domu z tobą – odpowiedział mi Will, nie patrząc na mnie.

– Słucham? – zdziwiłam się, parskając trochę prześmiewczo. – Niby dlaczego?

– Bo tak, Hailie.

Odłożyłam sztućce.

– Chwila, nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

– Jedz – polecił mi Will.

– Powiedz mi, co to za problem, żebym została w domu sama?

– Nie powinnaś być sama przez cały weekend, to... nie... – Will zmieszał się, a ja zmarszczyłam czoło.

– Nie rozumiem.

Will spojrzał na Dylana i bliźniaków, którzy w milczeniu przysłuchiwali się naszej rozmowie.

– Któryś z was musi zostać – powtórzył.

Prychnęłam z irytacją i opuściłam dłoń na blat stołu. Nie narobiłam tym wiele hałasu, ale zadrżały stojące na nim naczynia i to wystarczyło, by Will zerknął na mnie znowu, niezadowolony. Ja zaś wycedziłam przez zęby:

– Mam prawie siedemnaście lat i nie mogę zostać sama w domu na weekend? Naprawdę, Will?

– Wiek nie ma tu nic do rzeczy.

– Co w takim razie jest tu do rzeczy?

On przeczesał sobie włosy palcami, swoje spojrzenie, nagle jakby zmęczone, wbijając gdzieś w bok.

– Co, nie ufasz mi? – zapytałam i zacisnęłam dłonie w pięści, a w ustach poczułam gorzki smak zawodu.

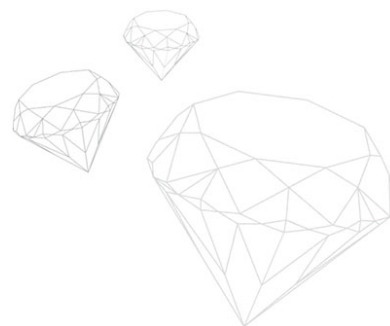
Cisza sprowokowała mnie do wstania, jakbym chciała opuścić to pomieszczenie jak najszybciej, ale nie odeszłam od stołu, tylko patrzyłam z góry na swojego ulubionego brata.

– Nie ufasz mi, Will? – powtórzyłam głośno i z wyrzutem.

– Nie, nie ufam ci.

Wypowiedział te słowa gwałtownie i niewątpliwie bez namysłu, bo od razu potem zamilkł i złagodniał, zapewne na widok mojej reakcji.

Szczególnie na widok bólu, który odmalował się na mojej twarzy.



50

BANANY W RUMIE

Czekaj...

Nie chciałam czekać. Zrobiłam krok do tyłu, a wtedy Will złapał mnie za nadgarstek, żebym mu nie umknęła. Gdy wstał, role od razu się zamieniły i teraz to on górował nade mną.

Gdy nie udało mi się wyrwać ręki, uniosłam na niego załzawione ze zwykłej przykrości oczy.

– Oczywiście, że ci ufam, malutka, to nie tak... – poprawił się.

– Przed sekundą powiedziałaś...

– Nie o to mi chodziło.

– Więc o co? – spytałam sucho.

Will wziął głęboki wdech.

– Jeszcze kilka dni temu słyszałem, jak mówisz, że chcesz umrzeć – wypomniał mi, nagle brzmiąc równie oschle, a jego poważne spojrzenie stało się nieznośne. Pod jego wpływem szybko wbiłam wzrok w podłogę. – Dopóki nie będę miał pewności, że takie pomysły cię już nie nachodzą, nie zostawię cię samej w domu.

– Ja nie mówiłam tego... Nie chodziło mi...

– W porządku, malutka – powiedział i puścił mój nadgarstek, w opiekuńczym geście przenosząc dłoń na bok mojej głowy. Nachylił się, żeby swoimi skrywającymi troskę, błękitnymi oczami odszukać moje spojrzenie. – Po prostu lepiej, żebyś na razie nie była pozostawiona sama sobie, hm?

Milczałam.

– Dokończysz kolację? – zapytał łagodnie, a potem, nie poczekawszy na moją odpowiedź, dodał: – Dokończ, proszę.

Posłusznie klapnęłam na krzesło i ze spuszczoną głową złapałam z powrotem za widelec.

– Jeden z was musi zostać – powtórzył Will do naszych braci, a ja poczułam w sercu ogromne poczucie winy, iż jestem tak nie zrównoważona, że trzeba mnie niańczyć.

Tony, Shane i Dylan długo milczeli, tylko utwierdzając mnie w przekonaniu, że żadnemu z nich nie na rękę jest opieka nad młodszą siostrą, ale po argumentach Willa nie chcieli chyba otwarcie protestować.

– Ja zostanę.

Dylan odchylił się na swoim krześle, a dłoń trzymał na szklance wody, pocierając ją lekko. Wyraz twarzy miał niby niewzruszony, ale ja wiedziałam, jakie myśli kłębią mu się właśnie w głowie. Znowu miał wystawić Martinę.

Will skinął głową i usiadł, podpierając się na oparciu mojego krzesła, a ja, dręczona przez poczucie winy, że skopałam bratu plany, odezwałam się:

– Mogę przecież pojechać z tobą.

Dylan przeniósł uwagę ze szklanki na mnie, a ja odwróciłam głowę do Willa.

– Mogę pojechać z Dylanem do Nowego Jorku – zaoferowałam i dodałam żałośnie: – Proszę, powiedz, że mogę.

Zawahał się, a potem zwałił podjęcie tej decyzji na Vincenta, który przeanalizował sobie tę opcję po swojemu i w końcu zgodził się na nią przystać, zastrzegając, że mamy jechać po moich piątkowych zajęciach i wrócić w niedzielę o rozsądnej porze, przed tymi poniedziałkowymi.

Dylan ochoczo przystał na tę propozycję, zadowolony, że nie musi ponownie zawodzić swojej dziewczyny.

Pod szkołę podjechał po mnie wściekle czerwonym samochodem, który przyciągnął uwagę wszystkich uczniów. Ja dbałam tylko o to, żeby Leo trzymał się ode mnie na tyle daleko, by mój wredny brat nie odkrył, że jesteśmy razem.

Nieubłaganie kończył mi się czas dany mi przez Shane'a na poinformowanie Vincenta o moim aktualnym statusie. Powoli zaczynałam panikować, bo dni mijały za szybko.

Dylan chronił swoje oczy przed wrześnie słońcem ciemnymi okularami. Z głośników leciała jakaś mieszanka hitów z lat dziewięćdziesiątych, a pod tylnymi fotelami przewalało się luzem kilka paczek słonych i słodkich przekąsek oraz zgrzewka wody. Gdy tylko usadowiłam się na miejscu, od razu poczułam mocny zapach jego wody toaletowej i już wiedziałam, że to będzie dłuugi weekend z Dylanem u boku.

– Zapnij pas, dziewczynko, i trzymaj się mocno – polecił mi, po czym podgłośnił muzykę i odjechaliśmy spod szkoły z piskiem opon, aż musiałam się przytrzymać deski rozdzielczej.

– Musisz robić show? – westchnęłam, wywracając oczami.

– Zawsze.

Na drodze z naszej zamożnej dziury w Pensylwanii do Nowego Jorku natrafialiśmy o tej porze dnia i tygodnia na sporadyczne korki. Na początku wymyśliłam sobie, że odrobę zadanie domowe, ale w jadącym i trzęsącym się pojeździe trudno było mi zachować schludny charakter pisma, więc odpuściłam. Wtedy, zmęczona długim dniem w szkole, zaczęłam przysypiać. Zwłaszcza gdy Dylan zdzwonił się z Martiną, która szykowała się na lotnisko. Miała lecieć do Nowego Jorku nocnym lotem i wylądować w Stanach jutro z samego rana.

Na jakiś czas udało mi się zasnąć nawet dość głęboko, ale nagle z drzemki wybudziło mnie ostre szarpnięcie i otworzyłam raptownie oczy, przyszpilona do fotela przez pas.

– Sorki – mruknął Dylan.

Zahamował, bo przed nami znajdował się sznur aut. Ze spokojem odchylił się w fotelu i bębnił palcami w kierownicę, od czasu do czasu zerkając na swój telefon.

– Wiesz może, gdzie są i co takiego robią Will i Vince? – zapytałam niedbale, wyciągając się wygodnie.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie interesy.

– Ale jakie?

Dylan zerknął na mnie z politowaniem.

– No przecież nie powiedzą.

– Ty też nie wiesz?

– Nie.

– Myślałam, że tobie mówią.

– Nie zawsze.

Z jakiegoś powodu poczułam zaniepokojenie. Utwierdziłam się bowiem w przekonaniu, że o czymkolwiek ostatnio rozmawiali nasi najstarsi bracia, Dylan prawdopodobnie nie miał o tym pojęcia, i tylko zdenerwowałam się jeszcze bardziej. Jakkolwiek starałam się nie myśleć o podsłuchanych skrawkach dyskusji, to stresowałam się nimi. Nagle poczułam potrzebę bliskości i zapragnęłam usłyszeć zapewnienie, choćby takie surowe, że wszystko jest dobrze.

– Dylan, przepraszam, że musisz ciągnąć mnie ze sobą na spotkanie ze swoją dziewczyną – wymamrotałam.

– To nie twoja wina.

– Naprawdę mogłabym zostać sama w domu. To takie irytujące, że...

– Wolę mieć na ciebie oko, dziewczynko.

Z sykiem wypuściłam powietrze z ust, na co Dylan roześmiał się złośliwie. Tak naprawdę ucieszyłam się, bo wyglądało na to, że nie ma mi za złe, iż został moim ochroniarzem na ten weekend. Tym dodatkowym, oczywiście, pomyślałam od razu, zerkając w boczne lusterko, w którym majaczyło wiernie podążające za nami auto Sonny'ego.

Rzecz jasna, zatrzymaliśmy się w apartamencie Vincenta. Byłam gotowa szczerze polubić to mieszkanie, choć potrzebowało opieki kogoś, kto przejąłby się nim na tyle, by udekorować je w mniej surowy sposób. Rzuciłam ten pomysł Dylanowi, który wzruszył ramionami i odparł, że jeśli mi tak strasznie zależy, to mogę sobie je udekorować, jak chcę, i Vince na pewno nie będzie miał nic przeciwko.

Póki co zjedliśmy resztę przekąsek z auta, napychając się nimi tak bardzo, że przestało zależeć nam na kolacji, i poszliśmy spać, a mnie się zdawało, że ledwo przymknęłam oko, zaraz musiałam je otworzyć na dźwięk głośnego budzika mojego brata.

Niebo wciąż było ciemne, gdy ze świeżymi croissantami z piekarni i kawą na wynos udaliśmy się na lotnisko. Na początku nie mogłam przestać ziewać, ale Dylan włączył głośną muzykę i szybko się rozbudziliśmy.

Martina wpadła Dylanowi w ramiona niczym w ckliwym melodramacie o rozłące, ale zanim zdążyłam się rozczulić, dostrzegłam, że nie przyleciała sama. Z zaskoczeniem patrzyłam na jej kuzyna Alexa, który uśmiechał się do mnie porozumiewawczo.

Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Wyglądał dobrze – jego karnacja, ciemne włosy i zarost przypominały mi o Hiszpanii. A także o wolności i swobodzie. Tak, ten chłopak był chodzącą definicją swojego własnego motta życiowego.

Martina i Dylan całowali się chyba w nieskończoność, gdyby Alex nie odchrząknął. Zwrócił tym na siebie uwagę Dylana.

– Co on tu robi?

Martina wzruszyła ramionami.

– Ostatnio mnie wystawiłeś, przypominam – odparła. – Wzięłam więc ze sobą Alexa, gdyby się okazało, że historia się powtarza.

– To była wyjątkowa sytuacja – zaoponował Dylan z oburzeniem. – Teraz w życiu bym cię nie zawiódł.

Uniosłam brew, jako jedyna w tym towarzystwie świadoma tego, jak niewiele przecież brakowało, by wystawił ją znowu.

– Aha. Ja nie wiem tego na pewno, Dylan. Dlatego zaproponowałam Alexowi, żeby leciał ze mną. Mam dużo bagaży, sama bym się z tym nie zabrała. A on może spać w moim mieszkaniu na kanapie, już to załatwiłam ze współlokatorami.

– Darmowe spanie w Nowym Jorku. Tylko frajer nie skorzystałby z takiej okazji – dodał Alex, szczerząc się do nas, a potem wymienił z Dylanem męski uścisk, który wyglądał na przesadnie mocny.

– A ty, widzę, też kogoś przywiozłeś – zauważyła Martina i na jej ustach zagościł szeroki uśmiech. – Cześć, Hailie. Fajnie cię poznać. Znaczą widzieć. Jezu – westchnęła z irytacją, wznosząc oczy ku górze. – Muszę ogarnąć ten angielski, mam wrażenie, jakbym robiła coraz głupsze błędy.

– Luz, *preciosa*, już ja ci pomogę ogarnąć twój angielski – obiecał jej Dylan i z łobuzerskim uśmieszkiem objął ją w talii, a potem szepnął jej na ucho coś tak sprośnego, że Martina aż się zaczerwieniła.

– Kretyn jesteś – warknęła na niego, odpychając go od siebie i kręcąc głową, ale później widziałam kątem oka, jak rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

Tej dwójce przydałby się moment na osobności. Alex musiał pomyśleć o tym samym, bo oparłszy się o wózek pełen toreb Martiny, zaproponował, że może wybrać się ze mną na kawkę, a w międzyczasie mój brat pomoże Martinie z przeprowadzką. Słuchałam tej sugestii z podejrzliwym wyrazem twarzy.

– Nie zostawię Hailie z tobą samej – zaprotestował od razu Dylan. W mgnieniu oka zmarszczył brwi.

– Oferuję ci chwilę sam na sam z dziewczyną po długiej rozłące. – Alex wywrócił oczami i przejechał po swoich ciemnych włosach dłonią, pokazując białe zęby w drwiącym uśmiechu. – My z Hailie tylko posiedzimy w kawiarni.

Martina zerknęła na Dylana rozochociona, ale czekała na jego decyzję. On przez chwilę świdrował Alexa nieufnym spojrzeniem, po czym burknął:

– I co wy niby będziecie robić w tej kawiarni?

Alex i Martina westchnęli ciężko, udręczeni nieznośnym charakterem Dylana, a ja założyłam tylko ręce na piersi, totalnie niewzruszona

i przyzwyczajona do tak zaborczego zachowania mojego brata.

– Pić kawę, jeść ciastka – wymieniał Alex i wzruszył ramionami, dodając: – Może też skradnę jej buziaka albo dwa, zobaczmy.

Przymknęłam powieki i usłyszałam tylko, jak Martina warczy do rozjuszonego Dylana:

– Uspokój się, no, ludzie! On żartuje. Przecież jej tam nie zrobi nie wiadomo czego, tak cię tylko prowokuje. Ty też przestań, Alex. Obaj przestańcie.

– Bawisz mnie, Dyl – powiedział Hiszpan, kręcąc głową.

Dylan odpowiedział mu, używając kilku niecenzuralnych słów.

Sądziłam, że nie ma szans, żeby Dylan się zgodził, bym dokądkolwiek poszła z Alexem, ale nie doceniłam wdzięków Martiny, na których punkcie mój brat ewidentnie miał wielką słabość.

Najpierw pojechaliśmy do apartamentu Vince’a. Dylan zapowiedział Martinie, że będzie ją tu często przyprowadzał podczas swoich odwiedzin u niej w Nowym Jorku, bo właściciel tego niezwykłego lokalu w sumie rzadko się tu zjawia. Alex zatrzymał się przy wielkim oknie ze swoją kawą na wynos w rękę i kiwał z uznaniem głową, zerkając z góry na światowej sławy nowojorski park w centrum miasta.

Z zainteresowaniem obserwowałam tę dwójkę. Alexa czytało mi się trudniej, ale po Martinie od razu było widać, że mimo iż na co dzień jawiła się raczej jako twarda i pewna siebie dziewczyna, to w takich warunkach nawet ona czuła się przytłoczona. Znając rozrzutność moich braci, domyślałam się, że Dylan nigdy nie żałował na nią pieniędzy, ale też do tej pory nieczęsto miał okazję pochwalić się swoim prawdziwym bogactwem, bowiem ta dziewczyna знаła go raczej z szastania kasą na drinki i dobre jedzenie, ale luksusowy apartament w centrum Nowego Jorku to już kompletnie inny poziom zamożności.

Martina wynajęła sobie pokój w dzielonym z innymi studentami mieszkaniu na Brooklynie. Wiem to, bo Dylan na początku był zazdrosny o jednego z jej współlokatorów, jednak jego dziewczyna, jak wspominałam, potrafi być przekonująca. Kokietowała Dylana tak długo, aż zgodził się w końcu, bym wybrała się z Alexem na śniadanie.

Kawiarnia, do której trafiliśmy, była jednym z „tych” ekstrawaganckich manhattańskich lokali. Ściany były tu szklane, a w każdym wolnym kącie poupychano mnóstwo roślin, przez co restauracja przypominała klimatem szklarnię albo japońską herbaciarnię. Panowały tutaj spokój i zaskakująca w centrum ogromnego miasta rześkość – idealne miejsce, aby zacząć dzień.

Alex zapomniał o ciastku i kawie, jak tylko zobaczył bogate menu. Zamówił sobie bajgla z peklowaną w miodzie szynką, serem topionym, sosem beszamel, jajkiem na zakwasie i mieszaną zieloną sałatką. Nie mogłam się powstrzymać i sama zdecydowałam się na chrupiący tost francuski z bananami karmelizowanymi w rumie. Alex obiecał, że nie powie Dylanowi, że zjadłam coś, co zawierało alkohol, jednocześnie przez dobre pół godziny nie mogąc uwierzyć, że mój brat na serio mógłby się do tego przyczepić.

– Co za cudak – podsumował go, kręcąc głową.

Do jedzenia popijaliśmy wodę, a chłopak nawet poprosił o drugą już tego ranka kawę i spodziewałam się, że na tym zakończymy, ale gdy kelnerka przyszła sprzątnąć nasze naczynia, Alex zaczepił ją i wierny swojej śródziemnomorskiej naturze zamówił sobie piwo, a po chwili, rzucając mi figlarne spojrzenie, dodał:

– Chwileczkę, i może jedną mimosę poproszę. Tę klasyczną, z sokiem pomarańczowym.

– Pretty Young Thing? – zapytała.

– Tak się to u was nazywa? – roześmiał się Alex. – W takim razie będzie idealna.

Kelnerka odeszła, a ja nachyliłam się nad stolikiem.

– Ty to zamówiłeś dla mnie?

– A kto jest tutaj ładny i młody?

– To ma alkohol?

Alex wzruszył ramionami.

– Jakies bąbelki.

– Nie ma nawet dwunastej! – zawołałam.

– Pijasz alkohol tylko po dwunastej? To jakaś zasada? – zainteresował się.

– Nie pijam w ogóle – syknęłam. – Nie wypiję tego. Jak Dylan się dowie...

– Jak mu nie powiesz, to się nie dowie. – Alex rozłożył ręce.

– Sonny mu powie! – ściszyłam głos do gorączkowego szeptu.

– Twój ochroniarz stoi przy wejściu. Daleko. Skąd ma wiedzieć, co pijesz? No chyba że domyśli się po twoim dziwnym zachowaniu. – Alex też zniżył głos i zniżył nieco głowę. – Przestań się tak nachylać, bo wyglądasz, jakbyś właśnie błagała mnie, żebym kupił ci jedno małe piwo.

Błyskawicznie się wyprostowałam.

– I nie spinaj się tak, Hailie, to wygląda jak sok. Nikt się nie zorientuje, że chlapnęłaś sobie mimosę. To słaby drink, idealny do śniadania.

Zagryzłam wargę, pilnując się, by nie obejrzeć się na Sonny'ego. Nie chciałam wyglądać jeszcze bardziej podejrzanie.

– Ale jadłam też już te banany w rumie... – zmartwiłam się.

Brwi Alexa powędrowały wysoko w górę.

– Litości, przecież nie nawalisz się tostem francuskim.

Popatrzyłam w bok, tak żeby upewnić się, że nikt nie słyszy naszej rozmowy, bo czułam się jak idiotka. Alex był zabawny i wyluzowany, a ja, jak zwykle, spięta i zestresowana. Z drugiej strony, z takimi braćmi jak moi kto by nie był?

– Widzę, że nie skorzystałaś z mojej rady – wywnioskował, przyglądając mi się z rozbawieniem. – Trochę szkoda.

W barze w Madrycie, tam gdzie go poznałam, siedział na tej samej kanapie co ja, czyli miałam go z boku, i zawsze mogłam odwrócić głowę, gdy nie chciałam, by przyłapał mnie na rumienieniu się. Teraz znajdował się naprzeciwko i z łatwością mógł analizować wszystkie moje reakcje.

– Właśnie że skorzystałam – odparłam, brzmiąc jak dzieciak odpyskujący rodzicowi. Jeszcze brakowało, żebym pokazała mu język.

– Tak?

– Tak. – Uniosłam dumnie brodę. – Właściwie to zabawiłam się. W wakacje.

– Łał – mruknął i przekrzywił głowę, a potem zapytał teatralnym szeptem: – Zjadłś cukierka z adwokatem?

Kopnęłam go pod stołem w piszczel, gdyby w samą porę nie schował nóg pod swoim krzesłem. Bardzo go tym za to rozbawiłam.

– Byłam na imprezie – poinformowałam go. – W Saint Tropez. Piłam margaritę, szoty tequili, a nawet paliłam cygaro.

– Jasne.

– Naprawdę. Serio.

Spojrzałam mu prosto w oczy, żeby mu uzmysłwić, że mówię prawdę.

– Ciekawe. Chciałbym cię taką zobaczyć – Przechylił głowę, a oczy niebezpiecznie mu zabłyszczały.

Nagle pożałowałam, że mu o tym powiedziałam, i speszona spuściłam wzrok. Kelnerka przyniosła w tym momencie moją mimosę i zanim zdążyłam to przemyśleć, chwyciłam za lampkę i upiłam łyk. Wizualnie drink rzeczywiście wyglądał jak niewinny sok pomarańczowy, ale nie dało się nie wyczuć w nim delikatnego posmaku alkoholu i musiałam się pilnować, żeby się nie skrzywić. Możliwe, że Sonny właśnie obserwował mnie z daleka.

– Jak smakuje? – zapytał Alex.

– Jak sok pomarańczowy z szampanem.

– Nie musisz szeptać, twój ochroniarz cię nie usłyszy.

– Chciałeś iść ze mną do kawiarni, żeby się ze mną ponabijać? O to ci chodziło? – zachnęłam się.

– Nie. Chciałem, żeby Martina i Dylan sobie pociupciali – odparł. – Oboje byli spięci, a ja spędzę z nią najbliższe dni i nie zamierzam znosić jej fochów.

Skrzywiłam się.

– A przy okazji rozpocząłem pobyt w Nowym Jorku od małej randki z ładną dziewczyną. Lepiej być nie mogło. – Mrugnął.

– Randki? – parsknęłam. – Dobry żart.

– Małej.

Nachyliłam się nad blatem, żeby dobrze mnie zrozumiał, gdy mówiłam cicho, ale dobitnie:

– Zapomnij. To żadna randka.

Alex wzruszył ramionami, ewidentnie dobrze się bawiąc.

– Jak tam chcesz.

– Serio mówię – zastrzegłam wkurzona, bo momentalnie poczułam się nie w porządku w stosunku do Leo. To dlatego tak ważne było dla mnie uściślenie, że to nie jest żadna randka. Dlatego dodałam jeszcze: – Życie ci niemiłe? Jeśli powiem Dylanowi, to będzie po tobie.

– Nie powiesz Dylanowi, bo wiesz, że to zepsułoby mu humor, co z kolei odbiłoby się na całym weekendzie. A przede wszystkim na tobie, bo nie odstąpiłby cię już nawet na krok. Mnie niewiele robi. Głośno warczy, ale w końcu jestem kuzynem jego dziewczyny.

– Masz ogromny tupet, wiesz?

– Wiem doskonale – przytaknął. – Gdybym nie miał, moje życie byłoby bardzo nudne.

– Nie. Jesteśmy. Na. Randce.

Alex, który siedział w niedbalej pozie naprzeciwko mnie, tym razem również pochylił się tak, że nagle jego twarz znalazła się tuż przy mojej. Zastygłam, cała spięta.

– Okej – odparł nonszalancko.

A potem zbliżył się i przytknął swoje usta do moich.

Odrzuciło mnie tak raptownie, że gdybym nie siedziała na kanapie z wysokim, miękkim obiciem, to pewnie uderzyłabym się mocno w tył głowy. Plecy trochę mnie zaboląły, ale nie skupiłam się na bólu, a na swoim towarzysz, którego usta z powrotem rozciągnęły się w kpiarskim uśmiechu. Instynktownie złapałam za pierwszą lepszą rzecz, którą miałam pod ręką. Był nią kieliszek mimosy, którą bez nawet ułamka sekundy namysłu chlusnęłam mu w twarz.

Poziom mojej satysfakcji wystrzelił w górę wyżej niż niejeden otaczający nas tu na Manhattanie wieżowiec. Wargi Alexa, tak chętne przed

chwilą do pocałunków, teraz rozchyłały się lekko w wyrazie zdziwienia, a jego powieki były zaciśnięte. Twarz miał mokrą, a i ubraniu się oberwało – na białym T-shircie uformowała się niemała, brzydka żółta plama.

– Panno Monet, czy...? – To Sonny, który nagle wyrósł obok naszego stolika, zerkał to na mnie, to na Alexa i wahał się, co ma zrobić.

Machnęłam na niego ręką.

– To nic, Sonny, dziękuję – odparłam, unosząc brodę do góry i łypiąc z rozdrażnieniem na swojego towarzysza, który wyprostował się na swoim krześle i zaczął przecierać twarz dłońmi. Ze słodkim uśmiechem na twarzy dorzuciłam: – Wszystko jest pod kontrolą.

Sonny skinął głową. Zdawał się zszokowany, ale próbował nie dać tego po sobie poznać i zachować profesjonalizm. Wycofał się, ale kątem oka widziałam, że tym razem stanął dużo bliżej nas niż wcześniej.

Swoje na powrót rozdrażnione spojrzenie znów skupiłam na Aleksie i patrzyłam, jak łapie garść chusteczek ze stolika, po czym przeciera sobie nimi oczy, aż w końcu mruga, znów będąc w stanie zobaczyć coś więcej niż rozmytą plamę.

– Uff – odetchnął, mrugając jeszcze w oszołomieniu, i odgarnął z czoła kilka wilgotnych kosmyków.

– No żebyś wiedział, że uff – odpowiedziałam chłodno.

– Ktoś tu naoglądał się oper mydlanych – zadrwił, oglądając swoją brudną koszulkę.

– To nie ja tu mam problem z ogarnięciem rzeczywistości – odparłam, po czym syknęłam wściekle: – Co to miało być?!

Alex wzruszył ramionami, na powrót przyjmując swoją luzacką pozę.

– Dobra, przepraszam. Ale warto było spróbować, nie?

– Nie! – odpowiedziałam piskliwie. – Mam chłopaka!

– Ajajaj, Hailie. – Alex spuścił głowę i nią pokręcił, udając zawód. – Coś ty najlepszego sobie zrobiła.

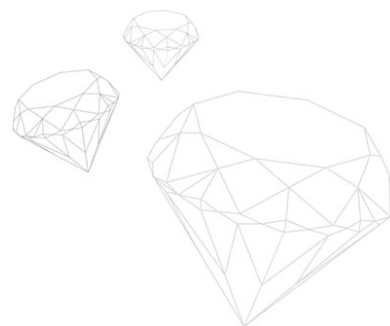
Ja też pokręciłam swoją, z niedowierzaniem.

– Nie chcę się z tobą całować – oświadczyłam, żeby wszystko było jasne. Nawet pogroziłam mu palcem. – Zapamiętaj to sobie.

Alex pokiwał posłusznie głową, pocierając brodę. Chyba zdecydował się mnie jeszcze bardziej nie wkurzać, co było mądrym wyborem, bo byłam bardzo bliska powzięcia postanowienia, by wypaplać wszystko Dylanowi.

I jak ja spojrzę Leo w oczy? Byliśmy razem zaledwie od kilku dni, a ja już zostałam pocałowana przez innego. Potarłam usta, by zetrzeć z nich ślad zbrodni, po czym przemówiłam chłodno:

– Nie próbuj tego więcej. Nigdy.



51

CO OZNACZA BYĆ HAILIE MONET

Co oznacza być Hailie Monet?

Spontaniczną wyprawę do Nowego Jorku na weekend, na przykład. A tam nocowanie w luksusowym penthousie brata w samym sercu Manhattanu. Oznacza to również wstępowanie do kawiarni i restauracji bez wcześniejszego zaznajamiania się z cenami w kartach dań. A te potrafią powalać, szczególnie w tym mieście. Oznacza to też łapanie żółtych taksówek i przejeżdżanie nimi zaledwie kilku przecznic tylko dlatego, że zaczęło lekko mżyć.

Oznacza to rozrzutność, jaką jeszcze nigdyś byłabym zniesmaczona. Po co mi kapelusz z bordowego zamszu za kilkaset dolarów? A szminka w kolorze pudrowego różu za trzysta? Przecież ja nawet nie maluję ust. Na kaszmirowy sweter za niecałe dwa tysiące skrzywił się nawet Dylan. Ale nic nie powiedział. Nikt nic nie mówił. Vincent nie wysłał nawet SMS-a. A przecież musiał widzieć moje wydatki.

Bycie Hailie Monet oznacza bycie jednocześnie najmniej i najbardziej ograniczoną osobą pod słońcem. Mój towarzyszący mi podczas tego

weekendu brat nie pozwalał mi odejść samej na krok. Co chwilę wołał mnie, gdy znikalam mu z zasięgu wzroku, nawet jeśli stałam tuż obok. Kładł mi rękę na ramieniu, gdy przebijaliśmy się przez tłumny i klaustrofobiczny, oświetlony billboardami Times Square. Mówił do mnie „Stój”, gdy szliśmy w kierunku pasów, a światło zmieniało się nagle na czerwone. Zupełnie jakbym była trzylatką, która bez jego ostrzeżenia mogłaby radośnie wbiec pod koła aut. A jeśli Dylan pozwalał zapomnieć mi o sobie na choćby dwie minuty, to zaraz i tak kątem oka dostrzegałam śledzącego mnie Sonny’ego.

Alex uśmiechał się drwiąco i kręcił głową, gdy widział mnie z kolejną torbą zakupową, a Martina z ciekawością wypytywała o jej zawartość, w dalszym ciągu starając się pielęgnować relację z siostrą swojego chłopaka.

O ile Martine zdążyłam naprawdę polubić – była wesoła, zawsze uśmiechnięta, towarzyska i trzymała Dylana w ryzach – to uczucia wobec Alexa żywiłam mieszane – był tajemniczy, milczący i miałam wrażenie, że mnie obserwuje. Irytowało mnie, że nie znam wniosków, jakie wysnuwał sobie w tej swojej głowie studenta psychologii. W odwecie sama analizowałam go na potęgę.

Po raz pierwszy ktoś tak bezwstydnie naruszył moją nietykalność cielesną i gdy siedzieliśmy jeszcze w kawiarni, świdrowałam Alexa spojrzeniem, nie mogąc uwierzyć, że on siedzi sobie przede mną jak gdyby nigdy nic. Jedyne dyskomfort sprawiała mu poplamiona mimosą koszulka, bo zerkał na nią co chwila, aż w końcu wstał od stołu i zniknął w łazience. W tym czasie ja zapłaciłam za nasze śniadanie, po drodze informując kelnerkę, że rozlał mi się drink.

– Wiesz, nie musisz mówić Dylanowi o tym, co się tutaj wydarzyło – napomknęłam Sonny’emu, gdy stałam z założonymi rękoma przy wyjściu.

Wpatrywałam się w drzwi od łazienki, oczekując na powrót tego Alvara od siedmiu boleści.

– Nie muszę, panno Monet.

– Vincentowi też nie.

– ...jeśli nie spyta, panno Monet.

Skinęłam głową. Cóż, pozostało mi liczyć na to, że Vince'a nie zainteresuje, czy podczas mojej wycieczki do Nowego Jorku ktoś się abym czasem do mnie nie przystawiał.

Zlitowałam się i zabrałam Alexa do apartamentu Vince'a, gdzie pożyczyłam mu jedną z koszulek Dylana. Zwykły czarny T-shirt, bo mój wredny brat miał ze trzy takie, a ja wołałam, żeby się nie zorientował, że dysponuję jego ubraniami. Znajac go, gotów byłby zrobić o to aferę.

– Nawet nie podziękujesz? – zapytałam.

Gdy Alex wyszedł świeżo przebrany z pokoju, widać było, że odzyskał swoją pyszałkowatą pozę. Na ustach znowu zagościł mu szelmowski uśmiech, a oczy z powrotem zaczęły błyszczeć i nie przestawały, gdy zbliżał się do wielkiego okna, o które się opierałam.

– To ty zniszczyłaś mi koszulkę – odparł.

– Może trzeba było nie całować mnie bez mojej zgody?

– O to chodzi w spontanicznych, romantycznych pocałunkach, że są niespodziewane.

– Sęk w tym, że trzeba być pewnym, że osoba całowana nie ma nic przeciwko.

Alex wzruszył ramionami, wyglądając przez okno na niezmiennie zapierający dech w piersiach widok najsłynniejszego nowojorskiego parku.

– Właśnie to sprawdziłem – powiedział. – W teatralny, ale czytelny sposób pokazałaś, że nie jesteś zainteresowana. W porządku, mogę wziąć odrzucenie na klatę. Trochę szkoda, ale to twoja decyzja. Nie ma tematu.

– Okej – przytaknęłam. – Nie ma tematu.

– Chociaż... – rzekł nagle, a ja z niezadowoleniem zmrużyłam powieki, niechętna do wysłuchania ciągu dalszego – ...myślę, że jest szansa, że on kiedyś powróci.

– Nic nie powr... – Przerwałam swój pełen irytacji syk, bo rozdzwonił się mój telefon i sięgnęłam po niego, by odebrać połączenie.

Dzwonił Dylan. Nakrzyczał na mnie, że nie jestem w kawiarni, czyli tam, gdzie miałam być. Przenieśli już rzeczy Martiny do nowego mieszkania i teraz nas szukają. Potem już do końca mojego pobytu

w Nowym Jorku nie zostałam z Alexem sam na sam, więc nie musiałam martwić się prowadzeniem z nim dalszych bezcelowych rozmów. Alex nie był też samobójcą, więc nie próbował przypominać o pocałunku w obecności mojego najbardziej porywczego z braci.

Pamiętam, że mama zawsze wypowiadała się o Nowym Jorku z odrazą. Nie lubiła uczucia ścisku, które powodowały tłumy ludzi i wysokie budynki. Twierdziła, że ceny tutaj są absurdalnie wysokie, nowojorczyści zadzierają nosa, a samo miasto jest po prostu przereklamowane. Nie zgadzałam się z nią i bardzo żałowałam, że nigdy nie będę mogła z nią na ten temat podyskutować.

Moją ulubioną atrakcją tego wyjazdu była wizyta na Broadwayu. Dylan wytrzasnął skądś bilety na Hamiltona. Całkiem dobrze dogadywałam się też z Martiną – gotowa byłam docenić każde żeńskie towarzystwo, żyjąc na co dzień otoczona samymi facetami.

Dylan usłuchał Vincenta i w niedzielę po południu wyjechaliśmy w dwójkę do domu, tak żeby wrócić o rozsądnej porze. Podróż minęła nam miło, bo Dylan miał dobry humor po udanym weekendzie i fakcie, że udało mu się nie zawieść swojej dziewczyny. Nawet znowu mi podziękował za to, że zechciałam z nim jechać. Lubiłam taką jego wersję i skorzystałam z okazji, by z nim pogawędzić.

Dobrze zrobiłam, bo następnym razem, gdy go zobaczyłam, humor miał już zdecydowanie inny.



– Hej, otwórz oczy.

Dopiero gdy usłyszałam głos, poczułam też dłoń na ramieniu, która szturchała mnie natrętnie.

Rozchyliłam sklezione resztkami głębokiego snu powieki, a gdy w ciemności dostrzegłam wiszącą nade mną twarz Willa, natychmiast zamknęłam je z powrotem.

– Przykro mi, malutka, ale musisz wstać.

Jego ściszony głos był niezwykle łagodny i w mojej głowie rozbrzmiał trochę jak kołysanka, która zapraszała mnie do ponownego zapadnięcia w sen. Z premedytacją więc zignorowałam komunikat kryjący się za jego słowami. On jednak nie dawał za wygraną i w swoich gestach stawał się coraz bardziej natarczywy. Zaczął odchyłać moją kołdrę, wpuszczając pod nią chłodne powietrze.

– Co jest? – jęknęłam sennie. – Która godzina? Zaspałam?

Jeśli tak, to gotowa byłam błagać Willa o to, żeby pozwolił mi spóźnić się do szkoły.

– Czwarta.

– Czwarta! Mam jeszcze dużo spania! – Naciągnęłam kołdrę po sam czubek głowy.

– Hailie, nie idziesz dzisiaj do szkoły – powiedział, odkrywając mnie znowu. – Wstawaj, proszę, chcemy wyjechać za jakieś pół godziny.

Powoli zaczynałam rozumieć nadzwyczajność sytuacji. Will budzący mnie o czwartej rano i zapowiadający jakiś wyjazd. Zaczęłam mrugać, żeby szybciej się rozbudzić.

– Wyjechać? Dokąd wyjechać?

– Wstań i się przygotuj. Szybciutko, dobrze? Załóż na siebie coś ciepłego. O tej porze jest chłodno.

– Will, dokąd wyjechać? – ponowiłam pytanie, unosząc się na łokciach.

– Zejdź na dół. Wszystkiego się dowiesz.

Usiadłam na łóżku i przeszedł mnie dreszcz, spowodowany wyjściem spod ciepłej kołdry. Patrzyłam na plecy brata odziane w czarną bluzę z kapturem, gdy wychodził z pokoju. Poruszał się z nienaturalną dla tak wczesnej pory – nawet jak na siebie – energią. Zerwałam się nagle i zawołałam go, zmuszając go do zatrzymania się i zerknięcia przez ramię.

– Mam się spakować? Co się dzieje?

Will odpowiedział przeczącym ruchem głowy i zniknął. To niesamowite, jak błyskawicznie odechciało mi się spać. Myjąc zęby, czułam, jak do serca wkrada mi się coraz większy strach. Gdy wypływałam pianę z pasty do zlewu, było mi już niedobrze.

Włożyłam na siebie czarny dres, mając nadzieję, że spełnia on kryterium „ciepłego”, i zesłam na dół, gdzie przywitało mnie zamieszanie panujące w garażu, do którego weszłam pewnym krokiem, zdeterminowana, by zdobyć jakieś odpowiedzi. Moja pewność siebie jednak szybko uleciała.

Pomiędzy czarnym błyszczącym autem Vince’a a jeepem Willa znajdowało się kilka osób. Jedną z nich był sam Vincent. Stał w koszuli, świeży i przytomny, jakby każdego dnia budził się przed świtem, gotów rozkazywać innym. Mówił coś cicho do starszego mężczyzny w szarym garniturze, który podtrzymywał nogą przy kole samochodu swoją skórzaną aktówkę, pochylając się zarazem nad dokumentami rozłożonymi na masce. Wskazywał palcem na jakiś akapit, a Vince stanowczo pokręcił głową.

Niedaleko stał jeszcze jeden mężczyzna, również w garniturze. Gładził swoją brodę i marszczył brwi. Szukałam wzrokiem reszty swoich braci, ale dostrzegłam tylko Sonny’ego, który stał nieco dalej, pod ścianą. Zobaczył, że weszłam do garażu, i skinął mi głową.

Ta niecodzienna sytuacja mnie onieśmieliła, starałam się zrozumieć, co się dzieje. Dłonią jednej ręki złapałam się za nadgarstek drugiej i stałam tak zagubiona, aż poczułam, że ktoś opiekuńczo obejmuje moje plecy. To był Will, zadowolony, że jestem już na dole. Bardzo delikatnie popchnął mnie do przodu.

– Jedziemy na dwa auta? – upewnił się, a wtedy Vince uniósł głowę i potwierdził skinieniem.

– Hailie ze mną – zdecydował, spoglądając na mnie przelotnie.

Wolałabym zostać z Willem, bo jego obecność dodawała mi otuchy, ale on posłusznie zaprowadził mnie na miejsce obok kierowcy w samochodzie naszego najstarszego brata.

– Will, co się dzieje? – zapytałam cichutko. Walczyły we mnie frustracja, że jak zwykle nic nie wiem, ze strachem, wywołanym przez tę niecodzienną sytuację. Ciężka jak chmury gradowe atmosfera sprawiała, że powietrze buzowało od napięcia i napawało mnie lękiem.

– Vince ci wszystko wyjaśni, dobrze?

Niedobrze, właśnie że niedobrze. Vince i wyjaśnienia się nawet nie rymują. Poza tym byłam bardzo wystraszona i czułam, że towarzystwo

najbardziej upiornego z moich braci może tylko pogłębić mój niepokój.

Will stał ciągle przy mnie, gdy dostrzegłam, jak z pogrążonego w ciemności dworu do garażu wchodzi cała święta trójca. Widząc ich zmęczone, blade twarze, płonące ogniem buntu oczy i pozaciskane szczęki, domyśliłam się, że tym razem zdarzyło się dla odmiany tak, że wszyscy zostaliśmy potraktowani równie niesprawiedliwie przez naszych najstarszych braci. Dylan i bliźniacy też wyglądali, jakby zostali niespodziewanie wyciągnięci z łóżek, i teraz tylko na przemian świdrowali wzrokiem Vincenta i Willa. Jeśli wyszli na dwór po to, żeby ochłonąć, to osiągnęli mizerny efekt.

Złapałam spojrzenie Dylana. Przeciągle, ale wyczytałam z niego mniej, niż miałam nadzieję, choć dostrzegłam, że w jego ciemnych oczach pod maską złości kryje się ból, i zaczęłabym nieźle panikować, gdyby w tej chwili mojej uwagi nie rozproszył cichy trzask zamykanej aktówki mężczyzny w szarym garniturze, do której schował swoje papierzyska.

Vince mruknął coś do Tony'ego, który przechodził akurat obok. Młodszy brat go zignorował, choć byłam pewna, że jeśli Vince kazał mu coś zrobić, Tony to robi.

Na krótką chwilę moje spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem mężczyzny w garniturze. Uśmiechnął się do mnie uprzejmie i skinął głową. Słyszałam, jak Vince wydaje rozkazy – kto ma jechać z kim i w jakiej kolejności. Wyłapawszy swoje imię, z ciemnego kąta wyłonił się Sonny. W międzyczasie do garażu weszła Eugenie. Jej fryzura była w nieładzie, w rękach trzymała kosz, z którym od razu podeszła do mnie.

– Herbata – powiedziała troskliwie, wciskając mi w ręce termos i pieczywo zawinięte w sreberko. – Bajgle piekłam wczoraj późnym wieczorem, są jeszcze świeże. I woda, trzeba pić dużo wody, kochana. Tu masz jeszcze coś słodkiego, cukier zawsze dobrze robi...

Przyjmowałam kolejne produkty, które wyławiała z koszyka, i byłam tak przytłoczona, że nawet nie zdobyłam się na podziękowania. Eugenie na koniec uśmiechnęła się do mnie dobrodusznie, ale i z przestraczem w oczach, a potem przeszła do drugiego auta, do którego zapakowała się reszta braci. Podawała im takie same zestawy prowiantowe i wiedziałam już na bank, że coś jest nie tak, bo chłopcy odebrali je bez większego

zainteresowania. Normalnie przecież od razu rzuciliby się na jedzenie jak przymierająca głodem zwierzyna.

Will zastukał w boczne okno z mojej strony, żeby wręczyć mi mięsisty czarny koc, który miał być kolejnym gadżetem umilającym mi podróż, ale ja zamiast niego wolałabym, żeby ktoś zaoferował mi jakieś wyjaśnienia.

Vince usiadł w końcu za kierownicą, po czym obrzucił spojrzeniem deskę rozdzielczą i otoczenie, a na koniec – mnie.

– Pas – rzucił i odpalił silnik, dopiero gdy posłusznie go zapięłam.

Patrzyłam w napięciu, jak brama garażowa podjeżdża do góry. Niebo nadal było ciemne i zacisnęłam palce na grubym kocu, który trzymałam na kolanach. Dodawał mi otuchy, jakby na moich udach drzemał sobie puszysty kocur. Na podjeździe przed domem stały jeszcze dwa wielkie auta. W jednym siedzieli mężczyźni, z którymi rozmawiał wcześniej Vincent, a w drugim – Sonny.

Za nami podążał jeep Willa. To wszystko wyglądało mi na olbrzymią operację i wreszcie nie wytrzymałam. Nie wyjechaliśmy jeszcze z terenu naszej posesji, gdy zwróciłam się do Vincenta.

– Co się dzieje?

Nie odpowiedział mi od razu. Dopiero gdy dotarliśmy do głównej drogi, trochę się odprężył. Ręce trzymał na kierownicy luźno, ale pewnie. Podciągnął sobie nawet rękawy swojej ciemnej koszuli. A ja wpatrywałam się w niego intensywnie, na pozór tylko cierpliwie czekając, aż łaskawie wyjaśni mi sytuację.

– Vince – ponagliłam go w końcu. – Odpowiedz mi.

Odchrząknął i przemówił swoim cichym, czystym głosem.

– Jedziemy spotkać się z ojcem.

Przez chwilę zawładnęła mną ulga. Miałam ochotę odetchnąć, ale wciąż mi się coś tutaj nie kleiło, więc przyciągnęłam złożony koc bliżej piersi, jakby szukając w nim pociechy.

– Na lotnisko?

Vince milczał i patrzył przed siebie, na spowitą w ciemności drogę. Na tych otoczonych lasami szosach próżno było szukać ulicznych lamp.

– Jedziemy na lotnisko? – powtórzyłam pytanie, czując nieprzyjemny chłód.

Ciemności, tajemniczość brata i te nadzwyczajne okoliczności sprawiały, że coś mi tu nie grało. Łapanie samolotu nigdy nie kosztowało nas tyle zachodu.

– Nie, Hailie – odpowiedział w końcu sztywno. Szczękę miał napiętą i wpatrywał się twardo przed siebie, gdy dodał: – Jedziemy do więzienia.

Zamrugałam wolno.

Żadne słowo nie chciało mi przejść przez gardło. W uszach rozdzwoniły mi się dzwonki, a serce jakby się zatrzymało. Zaparło mi też dech w piersi, jakbym się czymś właśnie zadławiła.

– To pięć godzin drogi stąd. Daleko, ale na razie to najlepsza placówka ze wszystkich, do których mógł trafić.

Im dłużej mówił, tym obficie moje oczy napełniały się łzami.

– Nic mu nie jest, jest cały i zdrowy...

– Jest w więzieniu! – wykrzyknęłam zduszonym głosem.

– Tak.

– Tata jest w więzieniu!

– Tak.

Wydałam z siebie stłumiony okrzyk i przykryłam usta ręką.

– Jak to się stało? Jak...? – Głos uwiązł mi w gardle, ale chciałam mówić dalej, więc wyjąkałam słabo: – Dlaczego?

Vincent rzucił mi krótkie spojrzenie.

Nagle wydałam kolejny okrzyk i aż mnie zmroziło.

– To Adrien? Adrien się wygadał? Wsypał naszego tatę? – zapytałam i od razu gotowa byłam połowę odczuwanego bólu zamienić w głęboką nienawiść, którą następnie skierowałabym w Santana.

Vince jednak pokręcił głową.

– To nie Adrien.

– Kto w takim razie? – zapytałam i zadrżała mi dolna warga, gdy dorzuciłam: – To moja wina, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, nerwowo odgarnęłam włosy na boki, aż wbiłam paznokcie w czubek głowy, kręcąc nią na boki. Czułam, że zaczynam cała drżeć. Zrobiło mi się tak niedobrze, że przez chwilę aż pociemniało mi przed oczami i musiałam je zamknąć.

– Nie, Hailie. Słyszysz? – Głos Vince’a brzmiał ostrzej niż przed chwilą.
– To nie twoja wina. To nawet nie wina Adriena. Rozumiesz mnie?

Żółć podeszła mi do gardła i znowu się zatrzęśłam, tym razem na dodatek pełna obrzydzenia. To niewiarygodne, jak fatalne to było uczucie. To wszystko nie działa się naprawdę.

Mogłam tylko zgadywać, że na moim czole pojawiły się krople potu, a twarz mi pobladła o kilka odcieni. Vince, będący uważnym obserwatorem, od razu rozpoznał te symptomy i domyślił się, co się dzieje. Dał Willowi znak światłami, co ledwo zarejestrowałam, bo za bardzo skupiałam się na, za przeproszeniem, niezarzyganiu tapicerki w jego drogim aucie.

Przystanęliśmy wraz z całym towarzyszącym nam sznurem aut, i to nawet nie na poboczu, bo takowego tu nie było, tylko na środku jezdni, która o tak wczesnej porze była całkiem pusta. Jak tylko Vince odblokował drzwi, wybiegłam na zewnątrz, prosto w las.

Zimne powietrze smagało mnie po twarzy, gdy oddalałam się na tyle, na ile byłam w stanie powstrzymać mdłości. Zależało mi, by oszczędzić niesmacznego widoku całemu licznemu towarzystwu. Wreszcie nie wytrzymałam i wpadłam na jeden z wąskich, gładkich pni, którego najpierw mocno się przytrzymałam obiema rękami, a potem oderwałam od niego jedną z nich, by odgarnąć włosy, gdy pochyliłam się i zwymiotowałam prosto na leśną ściółkę.

I tak już płakałam, więc nowa fala łez nie zrobiła żadnej różnicy. Tak samo jak nowa fala dreszczy. Tylko moje samopoczucie stało się jeszcze gorsze. Gdy skończyłam, puściłam włosy, przyłożyłam do ust wierzch dłoni i oparłam się bokiem o drzewo.

Jakże żałowałam, że Will wyciągnął mnie dzisiaj z łóżka.

– Hailie.

To właśnie jego łagodny głos rozbrzmiał za moimi plecami. Zbliżał się powoli, jakbym była jedną z zamieszkujących las płochliwych saren. Pociągnęłam nosem i skryłam twarz jeszcze bardziej, zażenowana, że musi oglądać mnie w takim stanie.

– Hej, już, chodź tu do mnie – wyszeptał i drgnęłam, gdy poczułam jego ramię na plecach. Przyciągnął mnie do siebie, a ja nie oponowałam, bo zrobiło mi się zimno, a ponury las tylko potęgował to uczucie.

– Przepraszam – wymamrotałam, uświadamiając sobie, jak żenująca była moja reakcja.

– Nawet się nie waż przepraszać, malutka – odpowiedział od razu stanowczo. – Dobrze, że to z siebie wyrzuciłaś. To szok dla nas wszystkich, każdy ma prawo do własnej reakcji.

Moimi braćmi miotła wściekłość, a mnie było stać jedynie na wymioty. Jak żałośnie. Nawet nie odjechaliśmy jeszcze od domu.

– Drzysz. Zimno ci? – zapytał Will i nie czekając na moją odpowiedź, zdjął swoją czarną bluzę i delikatnie włożył mi ją przez głowę. Była miła w dotyku i pachniała nim, a co za tym idzie, dawała mi pociechę, więc przyjęłam ją z wdzięcznością. Will przyniósł też ze sobą wodę i chusteczki, więc mogłam się szybko odświeżyć, zanim dałam się odprowadzić z powrotem do drogi.

Tam Tony opierał się o jeepa i palił papierosa, ale na mój widok jakby od niechcenia, a jednak dość pospiesznie odszedł na bok. Gdybym była w lepszej formie, powiedziałabym mu, co o tym myślę. Od czasu naszej rozmowy na wzgórzach Hollywood zauważyłam, że Tony unikał palenia na moich oczach. Nie jestem pewna, czy udało mu się je ograniczyć, ale na pewno zaczął się przede mną kryć, co było dosyć zabawne i trochę rozmiękczało mi serce. Niestety, w obecnej chwili to nie wystarczyło, bym poczuła się lepiej.

Dylan dyskutował z Vince'em i obaj zdawali się poirytowani sobą nawzajem, zaś Shane został w samochodzie i wyglądało na to, że bez specjalnego zaangażowania gra na telefonie w jakąś durnowatą grę.

– Hailie, jedź z nami – rzucił Dylan, podchodząc mnie.

– Hailie jedzie ze mną – wtrącił natychmiast Vince.

– Vince, ona się źle poczuła – odezwał się Will spokojnie. – Może to niegłupi pomysł, żebyśmy się przemieszali?

– Powiedziałem, że pojedzie ze mną.

– Hailie, wsiadaj. – Dylan leniwym ruchem otworzył dla mnie tylne drzwi jeepa.

– Wracaj do auta – polecił mi Vincent władczo.

Przylgnęłam do boku Willa jeszcze mocniej pod ciężarem jego twardego spojrzenia.

– Vince, skoro ty prowadzisz, może ktoś inny powinien wziąć na siebie wtajemniczenie Hailie w całą sytuację...

– Panie Monet, nie powinniśmy tak długo tu stać, trzeba się ruszyć – zawołał jeden z mężczyzn z sąsiedniego auta.

– Nasza siostra jest przede wszystkim moją odpowiedzialnością – syknął złowrogo Vincent, ignorując ponaglenia. – I jeśli mówię, że sam przeprowadzę z nią rozmowę w swoim samochodzie, to tak właśnie się stanie. – Przeniósł lodowate spojrzenie z Willa na mnie, aż przeszły mnie ciarki. – Wsiadaj do samochodu, Hailie.

Przełknęłam ślinę i niechętnie oderwałam się od Willa, który mnie nie zatrzymywał. Rzuciłam też nikły, napięty uśmiech Dylanowi i ze wzrokiem wbitym w asfalt z powrotem zapakowałam się do auta Vince’a.

Dwie minuty później znowu byliśmy w trasie. Miałam na sobie bluzę Willa, więc nie potrzebowałam za bardzo koca, ale i tak się nim okryłam. Unikałam patrzenia na brata, a jednocześnie chciałam kontynuować naszą rozmowę. Na szczęście tym razem dla odmiany Vincent nie nabrał wody w usta i sam przemówił:

– Jeśli znowu poczujesz się gorzej, od razu mi powiedz – polecił, brzmiać... opiekuńczo. Na tyle, że odważyłam się na niego popatrzeć i pokiwać głową. Na moich kolanach wylądowała butelka wody. – Pij, żeby się nie odwodnić.

Vincent wysyłał mi sprzeczne sygnały, ale nie chciałam się kłócić. Posłusznie wyżyłopałam połowę zawartości butelki. Odetchnęłam cicho i wcisnęłam się głębiej w fotel.

– Lepiej?

Pokiwałam głową.

– Gotowa na ciąg dalszy?

– Gotowa – szepnęłam zachrypniętym głosem, owijając się szczelnie kocem.

– Nikt ojca nie zdekonspirował. – Vince odchrząknął, zaciskając palce na kierownicy i bystrym spojrzeniem obserwując drogę przed sobą. – Sam oddał się w ręce agentów.

Pod powiekami znowu poczułam łzy, co zapowiadało powtórkę z rozrywki. A dopiero co się uspokoіłam.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Cóż, liczę na to, że sam wyjaśni ci to najlepiej.

– Boże, to naprawdę moja wina – wyszeptałam, wpatrując się w tył jadącego przed nami samochodu. – Ujawnił się, bo namieszałam, bo Adrien się dowiedział, prawda? Och, nie musisz nic mówić, ja wiem, że to prawda...

– Słuchaj, co się do ciebie mówi, Hailie, i przestań załamywać ręce. Nikomu to nie pomoże. Skoro powiedziałem, że wina nie leży po twojej stronie, to dokładnie to miałem na myśli.

– To dlaczego akurat teraz zdecydował się oddać w ręce policji?!

– Najwyraźniej chodziło mu to po głowie od dawna.

– I nic o tym nie wiedziałeś? – Uniosłam brwi. Przecież Vince wiedział wszystko.

– Nie.

– Nie rozumiem – mruknęłam. – Był na wolności, mieszkał w bajecznych miejscach, mogliśmy się widywać...

– Może ojciec pomoże ci zrozumieć.

– Dlaczego nie chciałeś, żebym jechała jednym autem z chłopakami?

– Oni również dopiero co się dowiedzieli – odparł. – Z racji tego, że jest to dla nich nowa informacja, nie zdążyli jej jeszcze przyswoić. Dlatego zachowują się w sposób niekontrolowany. Nie sądzę, że mieliby teraz na ciebie dobry wpływ.

Uniosłam brew.

– Jaki wpływ? Nie mam pięciu lat. Sama wiem, kiedy chcę się zdenerwować.

– Twoi bracia też nie mają pięciu lat, a mimo to skutecznie nakręcają się nawzajem. – Zamilkł, a po chwili dodał ciszej: – Nie zazdroszczę Willowi, który teraz jedzie z nimi jednym samochodem.

Przez moment się nie odzywałam, mnąc w palcach skrawek koca. Nawet nie zauważyłam, jak szybko niebo zaczynała rozjaśniać magia wschodu słońca. Jeszcze przed chwilą stałam w mrocznym lesie, a teraz już ciemność wkoło zaczynała blednąć. Nie spodziewałam się, że ten dzień przywitam tak depresyjnym nastrojem. Ciągle chciało mi się płakać, ale mój organizm chyba wreszcie zaczynał rozumieć, że uwalnianie emocji w ten sposób niespecjalnie przynosi mi ulgę.

– Czyli ty i Will wiedzieliście wcześniej? – zagadnęłam sucho. – Kiedy?

– O jego decyzji dowiedzieliśmy się w zeszłym tygodniu. Natomiast ojciec trafił do więzienia w sobotę, a my zadbaliliśmy o to, żeby otrzymał możliwie jak najlepsze traktowanie.

– Czyli to tam pojechaliście w weekend? Do więzienia? Widzieliście go? Vince skinął głową.

– W jakim jest stanie?

– Wystarczająco dobrym, jak sama będziesz miała okazję zobaczyć. Bardzo mu zależało, żebyś dziś też przyjechała. Chce z tobą porozmawiać.

– Vince – wyszeptalam. – Nie chcę, żeby musiał być w więzieniu.

Wyobraziłam sobie Cama w paskudnym pomarańczowym uniformie. To był tak zły i nienaturalny obraz, że natychmiast chciałam wymazać go z głowy, ale podświadomość szepnęła mi złośliwie, że jestem głupia, bo zaraz przecież i tak zobaczę to na żywo.

– Żadne z nas tego nie chce.

– Nie możesz... Nie możesz czegoś zrobić? – Wpatrywałam się w niego z nadzieją. On może wszystko. W moich oczach Vincent jawił się niemal jako nadczłowiek.

– Ojciec podjął własne decyzje. Jest dorosły i wiedział, co robi – odrzekł. – Nie ma sensu tego wałkować. Stało się.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. Kiedy tak kierował naszym samochodem, zastanawiałam się, skąd on bierze tę obojętność. Czy to jest cecha nabyta, czy może trzeba się z nią urodzić?

– Proponuję, Hailie, żebyś się jeszcze zdrzemnęła. Nie zapomnij też o śniadaniu. Celowo prosiłem Eugenie, by je dla nas zapakowała, bo nie mamy w planie zatrzymywać się na dłuższe postoje – oświadczył.

O drzemaniu nie było oczywiście mowy, bo mimo iż się nie wyspałam, to przecież nie potrafiłabym zmrużyć teraz oka. Nie po tym, co usłyszałam. Na jedzenie też nie miałam ochoty, więc siedziałam tylko, zamartwiałam się i obserwowałam drogę, od czasu do czasu zadając na głos jakieś pytanie, które mi się akurat nasunęło, jak na przykład:

– Ile czasu będzie musiał odsiedzieć?

Vince wzruszył ramionami.

– Dożywocie, jak mniemam.

– Gwałciciele i pedofile dostają mniejsze wyroki!

– System karze najsurowiej tych, którzy mają czelność go obejść. Ojciec upozorował własną śmierć, dlatego teraz musi za to zapłacić, i to z nawiązką.

– A wcześniejsze warunkowe zwolnienie? Za dobre sprawowanie czy coś w tym stylu? – zapytałam z nadzieją. – Czy chociaż to będzie możliwe?

– Nie wiem, Hailie – westchnął Vince. – Na razie próbujemy załatwić mu jak najbardziej ludzkie warunki i łagodne traktowanie. Co do wcześniejszego zwolnienia za dobre sprawowanie... – Tutaj zacisnął z widoczną irytacją szczękę. – ...najpierw musiałby dobrze się sprawować.

– Co masz na myśli?

– Ledwo wylądował w celi, a już wdał się w bójkę.

– O Boże! – wykrzyknęłam. – Nic mu się nie stało?! Ktoś go zaatakował?

– Sam kogoś zaatakował – odparł cierpko. – I nie, nic mu się nie stało.

– Czemu...?

– Nie wiem.

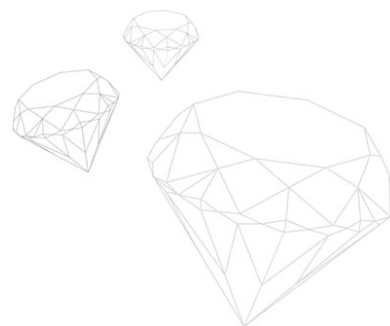
Nie uszło mojej uwadze, że Vince po raz kolejny odpowiedział mi, że czegoś nie wie, i to w ciągu niecałej minuty. Jakbym do tej pory nie była wystarczająco zmartwiona, to ta niewiedza mojego dotychczas wszystkowiedzącego brata tylko jeszcze bardziej spotęgowała to uczucie. On chyba to wyczuł, bo zaczął mi tłumaczyć:

– Naprawdę nie jestem ekspertem, Hailie, jeśli chodzi o działanie więzień. Wyobrażam sobie, że od samego początku trzeba pokazać charakter, żeby nie znaleźć się na samym dole tamtejszej hierarchii.

– Ale tata będzie na jej szczycie?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Uśmiechnęłam się smutno.



52

ERA SPOKOJU

To była jedna z najprzykrzejszych podróży, jaką w życiu odbyłam, nawet mimo iż w samochodzie Vince’a czułam się nadzwyczaj komfortowo. Skórzane siedzenie było niesamowicie wygodne, a ze swoim najstarszym bratem za kierownicą mogłam czuć się bezpiecznie. Wreszcie nawet skusiłam się na łyk ciepłej herbaty i odwinęłam sobie kanapkę od Eugenie. Vince też po nie sięgnął i z puszystym, zarumienionym bajgłem w ręce przerażał mnie nieco mniej.

Zatrzymaliśmy się w połowie drogi, żeby skoczyć szybko do toalety i po kawę, ale zanim zdążyłam nawiązać z kimś sensowną rozmowę, wróciliśmy do samochodów. Z większością moich dalszych pytań Vince odsyłał mnie do ojca. Twierdził, że powinnam poznać wszystkie odpowiedzi podczas naszej rozmowy. Byłam więc zdeterminowana, by wyciągnąć od Cama tyle, ile się da, i czekałam niecierpliwie, aż osiągniemy cel naszej podróży. Gdy naszym oczom ukazał się budynek więzienia, sparaliżowała mnie nagle mieszanka strachu i nerwów.

Najpierw musieliśmy zostać wpuszczeni na parking, wylegitymowani i sprawdzeni. Gdy już wysiedliśmy wszyscy z aut, czułam się zagubiona, szczególnie widząc szare mury, druty kolczaste, strażników i czując ciężką,

rygorystyczną aurę więzienia. Scenerii tej nie zdołało upiększyć nawet słońce wiszące na błękitnym niebie.

– Wszystko okej, dziewczynko? – zapytał Dylan, gdy podążając z braćmi do wejścia, objęłam się ramionami.

Pokiwałam głową.

– U ciebie też? – odszepnęłam.

Dylan uszczypnął mnie lekko w bok, a ja drgnęłam, zdusiwszy piśnięcie, na co on uśmiechnął się figlarnie. Byłam mu wdzięczna za tę małą chwilę rozkojarzenia, bo już za moment musieliśmy pojedynczo przejść przez bramki. To była taka dziwna, nierealna sytuacja. Nigdy nie sądziłam, że znajdę się w więzieniu i stanę się celem podejrzliwych spojrzeń strażników. Wszyscy oni ubrani byli w ciemne, ponure mundury. Nikt nie sprawiał wrażenia specjalnie przyjaznego; wręcz wydawali się w stosunku do nas uprzedzeni. Jednak wbrew moim obawom nie spotkała nas z ich strony żadna podła zagrywka – na szczęście nie było tak jak w tych wszystkich książkach, filmach i serialach o więzieniach, których się naczytałam i naoglądałam.

Gdy czekaliśmy, aż zostaniemy wpuszczeni do taty, Tony wdał się w małą pyskówkę z jednym ze strażników. Vince w porę przywołał go do pionu, jeszcze zanim do scysji zdążył dołączyć Dylan (który już otwierał usta, by wtrącić swoje trzy grosze), bo mogłoby się to skończyć nieciekawie.

Cama mieliśmy odwiedzać pojedynczo, a pierwszeństwo otrzymali prawnicy, którzy z nami przybyli. Mężczyzna w szarym garniturze i z aktówką pod pachą założył na twarz profesjonalną maskę. Na terenie więzienia zachowywał się tak pewnie, jakby każdego dnia wpadał tu pozałatwiać sprawy – zresztą może tak właśnie było. Cieszyłam się, że o sprawy taty będzie walczył ktoś tak doświadczony.

Czas w poczekalni dłużył się w nieskończoność, a żadne z mojego rodzeństwa nie było aktualnie wystarczająco kreatywne, by jakoś to oczekiwanie umilić lub przyspieszyć. Wszystkich nas dołowała wyczuwalna tu energia. Oprócz nas czekało tu na swoje widzenia jeszcze kilka osób. Była tu na przykład starsza kobieta z głową owiniętą chustą, a także mężczyzna w wieku Vince’a, który zgarbiony wpatrywał się

w podłogę. Czekają tu też kilka kobiet, większość z nich młodych – może były żonami odwiedzającymi swoich mężów. Moją uwagę przyciągnęła mała dziewczynka, która siedziała na ławce obok swojej mamy i urządziła sobie jakąś zabawę z własnych rączek. Od razu zrobiło mi się jej szkoda.

Bracia Monet byli nieprzyzwyczajeni do czekania, zasad ani ograniczeń, więc teraz, gdy więzienie narzuciło im je wszystkie, ewidentnie byli zirytowani. Ja, jako że stawałam się podobnie rozpieszczona do nich, też się denerwowałam. Denerwowałam się, że nie możemy liczyć na specjalne traktowanie – że nie możemy odwiedzić ojca wszyscy razem czy coś. Z tym specjalnym traktowaniem to nie była prawda, jak się później dowiedziałam – żadnemu innemu więźniowi nie pozwolono by na tak liczne odwiedziny, i to w tak krótkim czasie od rozpoczęcia odsiadki.

– Jeśli źle się czujesz, od razu daj znać – przypominał mi Will, który od przekroczenia murów więzienia nie odstępował mnie na krok. – Jeśli będziesz chciała zakończyć wizytę, też powiedz. Tata zrozumie.

Kiwałam głową, coraz bardziej przytłoczona.

Po powrocie prawników przywilej zobaczenia taty otrzymał Vincent, a następnie dopiero pozwolono na spotkanie mnie. Spróbowałam wziąć się w garść i oddychałam głęboko, gdy prowadzona przez strażnika, pokonywałam długi korytarz. Potem przeszłam przez kolejne chronione drzwi prosto do podłużnego pokoju przedzielonego szybą. Wzdłuż niej poustawiane były z obu stron osobne stanowiska, składające się z blatów i krzeseł i wyposażone w wiszące słuchawki. Znajdowało się tutaj więcej osób, niż się spodziewałam. Wszyscy byli skupieni na rozmowie z więźniami siedzącymi naprzeciwko. Do moich uszu docierały strzępki intymnych rozmów, których słyszeć wcale nie chciałam. Gdy uświadomiłam sobie, że tyle samo prywatności będę miała podczas rozmowy z ojcem, po raz kolejny gotowa byłam się rozpłakać.

Strażnik zatrzymał się obok pustego krzesła. Wiedziałam, że to miejsce dla mnie, jeszcze zanim tam przystanął – od razu dostrzegłam tatę. Siedział po drugiej stronie szyby odziany w strój więźnia. Nie pomarańczowy, a bordowy. W każdym razie równie brzydki. Wszyscy obecni w sali skazańcy mieli takie same.

Nikt nie kazał Camowi pozbyć się jego brody, a i włosy urosły mu trochę dłuższe. Zarobił skądś cienką szramę na kości policzkowej. Wyglądała na świeżą, więc uznałam ją za efekt bójki, o której powiedział mi Vince. Twarz miał opaloną – prawdopodobnie oddał się w ręce FBI zaraz po urlopie w jakimś egzotycznym miejscu. Dłonie trzymał na blacie, nadgarstki miał pozbawione rzemyków i zegarka, za to skute srebrnymi kajdankami. Na mój widok od razu jedna z jego dłoni sięgnęła po słuchawkę i niecierpliwie przycisnęła ją do ucha. Wpatrywał się we mnie intensywnie, ani na sekundę nie spuszczał mnie z oczu.

Chciałam paść mu w ramiona, przytulić się, poczuć ciepło bijące od jego skóry i bolało mnie serce na myśl, że przez tę głupią szybę nie mogę go nawet dotknąć. Nie chciałam płakać na jego oczach, więc gdy sztywno opadłam na krzesło, całą energię poświęciłam powstrzymaniu łez.

Cam zabębnił palcami w słuchawkę i odczytałam to jako polecenie, bym sięgnęła po swoją. Z lękiem zacisnęłam na niej drżące dłonie, jakbym bała się tego, co zaraz usłyszę.

– Dobrze cię widzieć, królewno.

Twarz ojca rozmazała się przez moje łzy. Zamrugałam, by się ich pozbyć.

– Tata – szepnęłam i zagryzając wargi, pokręciłam głową. – Co ty zrobiłeś?

– Wszystko jest w porządku, moja Hailie, nie płacz. Nic mi nie jest, widzisz?

Jego głos dochodzący ze słuchawki brzmiał irytująco niewyraźnie. A przecież siedział tuż przede mną, cóż za idiotyzm, co za gówniany sprzęt!

– To nazywasz niczym? – Wymownym spojrzeniem omiotłam salkę.

Szare ściany. Nie było tu nawet kwiatka. Wiedziałam, że to więzienie, ale dlaczego nikt nie pomyślał, by umilić tak bolesne wizyty postawieniem gdzieś w kącie chociażby jednej roślinki w doniczce?

– Co ci się stało tu o? – zapytałam, wskazując na kość policzkową Cama.

– Drasnąłem się.

– Dlaczego się ciągle uśmiechasz? Co cię tak cieszy?

– Twój widok, moja królewno.

Zacisnęłam usta i zmarszczyłam czoło.

– Naprawdę? – parsknęłam gorzko i uniosłam dłoń, by położyć ją płasko na szybie naprzeciwko. – Popatrz, nawet nie możesz mnie dotknąć.

– Nie dzisiaj – zgodził się z westchnieniem, poważniejąc. – Ale wierzę, że już wkrótce nasi prawnicy wywalczą dla mnie widzenia w bardziej... przystępnych warunkach.

– Czyli bez szyby? Brzmi świetnie – odparłam ironicznie. Nie mogłam powstrzymać sarkazmu, którym wręcz ociekały moje słowa. – Tak będą teraz wyglądały nasze spotkania? Czy jeszcze w ogóle kiedykolwiek zobaczymy się na dworze? Zjemy razem w restauracji?

Cam odetchnął ciężko i spuścił wzrok na blat.

– Masz prawo czuć złość i zawód...

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego mnie okłamujecie – przerwałam mu. – Vince twierdzi, że to nie przeze mnie wyładowałeś w więzieniu. Uważam, że to nieprawda, bo nie widzę absolutnie żadnego sensownego powodu, dla którego miałbyś wyjść z ukrycia. Jeśli spieprzyłam sprawy tak strasznie, że musiałeś oddać się w ręce policji, to po prostu chcę to wiedzieć, okej? Po prostu mi powiedzcie.

– Vince mówi prawdę – odparł ojciec. – Słuchaj, królewno, nikt cię nie okłamuje. Uwierz mi, że od dawna myślałem o zakończeniu spraw w taki sposób.

– Od dawna chciałeś wyładować w więzieniu? – prychnęłam. – Zdajesz sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi? Mieszkałeś na rajskich wyspach. Wiem, że to nie była idealna sytuacja, bo musiałeś się ukrywać, ale nie wmówisz mi, że to – znowu rozejrzałam się po pomieszczeniu – jest lepsze!

Cam oblizał wargi.

– Czy pamiętasz, co jest dla mnie najważniejsze? Na tym świecie? – zapytał po chwili ciszy.

Uciekłam przed jego intensywnym spojrzeniem, nie chcąc odpowiadać na to pytanie, ale on wiedział, że ja znam odpowiedź, więc podał ją sam:

– Ty, moja Hailie. Ty i chłopcy.

Zacisnęłam palce na słuchawce.

– Więc dlaczego nam to zrobiłeś?

– Wiem, że wydaje ci się, że pogorszyłem sprawę, ale gdy minie ci pierwsza złość, zobaczysz, że tak jest lepiej.

– Odwiedzanie taty w więzieniu lepsze od wspólnych wakacji?

– Mam ci przypomnieć, królowno, jak skończyły się nasze ostatnie wakacje?

Zamilkłam na chwilę.

– Ale uciekłeś. Udało ci się.

– Ilość stresu, jaką zaserwowałem tym wtedy swoim dzieciom, była kretyńsko ogromna.

– Przecież nic...

– To, jak musiałem budzić cię w środku nocy, żeby złamać ci serce, to, jak musiałem zrzucić nagle całą odpowiedzialność na barki swoich młodych synów, jak przeze mnie musieli szarpać się z agentami federalnymi, no i, oczywiście, wisienka na torcie – twoje przesłuchanie.

– To wcale...

– A to wszystko to i tak tylko ułamek z tego, przez co musiał przechodzić Vincent jako obecna głowa rodziny i całego imperium. Za długo pozwalałem, by to się działo. Nie wspominając o tym, że jakkolwiek by było, narażałem was wszystkich. Przebywając na jachcie Monty’ego czy u Blanche... To były dobre czasy, potrzebne, i cieszę się, że je miałem, że z nich skorzystałem, ale nadszedł moment, by je zakończyć. Nadeszła dla mnie nowa era.

– Era więzienia? – burknęłam ponuro. – Vince powiedział, że będziesz odsiadywał dożywocie.

– Era spokoju. Koniec ukrywania się, koniec dręczenia swoich dzieciaków. Będę tu, gdy wy będziecie potrzebowali wsparcia. Będziesz mogła do mnie dzwonić. Przyjeżdżać. Zobaczysz, szybko się przekonasz, że nasz kontakt będzie tak naprawdę mniej ograniczony niż w przeszłości.

– Ale nie przejdziemy się wspólnie po plaży, nie pogadamy, siedząc razem na dachu z widokiem na morze, nie potrenujemy, nie obejrzymy filmu, nie zjemy kolacji, nie spędzimy świąt u Blanche, nie wypłyniemy jachtem na morze, nie zrobimy razem już nic poza siedzeniem naprzeciwko siebie w brzydkim, ciasnym pokoju! – ostatnie słowa wyrzeszczałam, owładnięta emocjami. Na koniec rzuciłam słuchawką, która z trzaskiem odbiła się od szyby i upadła na blat. Nadal jednak siedziałam i wpatrywałam się w ojca, na policzkach czując gorące łzy.

– Proszę nie krzyczeć – upomniął mnie strażnik. Otrzymałam też kilka spojrzeń od innych obecnych tu odwiedzających. Miałam ochotę kogoś walnąć, bo to tylko tak naprawdę potwierdziło moje słowa. Tak miały wyglądać nasze spotkania. Nie będę mogła nawet podnieść głosu bez zwrócenia uwagi ludzi wokół.

Cam czekał cierpliwie, aż się pozbieram, i wkrótce, przepełniona frustracją, z powrotem sięgnęłam po słuchawkę.

– Hailie – zaczął łagodnie, gdy tylko miał pewność, że go słyszę. – To są piękne wspomnienia i jestem wdzięczny za to, że je mam. To dla nich warto było przebrnąć przez cały ten przekręt. Ale już wystarczy. Trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć „stop”.

– Dlaczego... Nawet mnie nie uprzedziłeś...

Drżenie warg utrudniało mi mówienie i widziałam, jak ojciec marszczy brwi w wysiłku, by mnie zrozumieć.

– Lepiej, że zrobiłem to w ten sposób, zaufaj mi.

Potałam skroń, nagle czując się ogromnie wycieńczona.

– Ta sprawa z Adrienem też wpłynęła na twoją decyzję, prawda? – zapytałam markotnie.

– To był tylko kolejny argument za. – Cam wzruszył ramionami.

– Przepraszam, wtedy... Ja nie chciałam...

– Hej, hej, głowa do góry, spójrz na mnie. O tym właśnie mówię, widzisz, własne dzieci narażałem na tyle nerwów. Pilnowanie mojej tajemnicy kosztowało was za dużo. Nienawidzę tego, że przeze mnie tak się przestraszyłaś.

Westchnęłam cicho i spuściłam wzrok. Miałam za ciężką głowę.

– No i jeszcze sprawa zaręczyn Vincenta. – Cam prychnął z niesmakiem.
– Nie życzę sobie, żeby którekolwiek z moich dzieci wiązało się z kimś z przymusu. To, co Vince obiecał Adrienowi, to idiotyzm, on potrzebuje u swego boku ciepłej kobiety i szczerego uczucia, a niej tej dziuni. A nawet jeśli, Lordzie uchowaj, ożeni się z nią, to chcę, aby to był jego wolny wybór.

– Ja... – pociągnęłam znowu nosem – ja też za nią nie przepadam.

– To psychopatka. – Cam wywrócił oczami. – Atrakcyjna kobieta, ale z paskudnym wnętrzem. Trzymaj się od niej z daleka, królewno.

Pokiwałam głową, zamyślona.

– Coś jeszcze cię trapi, moja Hailie?

– Łatwiej już spytać, co mnie nie trapi.

– Wyrzucić to siebie – zachęcił mnie.

Jeśli każdemu odwiedzającemu, który na widzeniach dotykał tych słuchawek, dłonie pociły się tak jak mnie, to nie chciałam nawet myśleć, jak to jest obrzydliwie niehigieniczne.

– Boję się o ciebie, tato.

Rysy jego twarzy złagodniały, jakby roztopiły się na moje słowa niczym czekolada na ogniu.

– Królewno...

– Czytałam o więzieniach – powiedziałam. – Ludzie biją się po twarzach, pluja, ćpaja i dźgają widelcami.

Cam się zaśmiał, ale ja byłam poważna.

– Co ty za książki czytujesz? – zapytał z udawanym przerażeniem. – One nie zawsze oddają rzeczywistość taką, jaka jest. Ale jeśli ma cię to uspokoić, to powiem, żebyś nic się nie martwiła, bo ja też umiem się bić. I też nie brak mi kreatywności. Nie jestem też żadnym księciuniem, który boi się śliny, moja droga. – Puścił mi oko. – Dam sobie radę.

Patrzyłam na jego szerokie ramiona i ręce, które robiły wrażenie silnych nawet z kajdankami brzęczącymi przy nadgarstkach. Właściwie to musiałam przyznać, że ojciec wyglądał na kogoś, kto bez większego problemu powinien potrafić przeistoczyć się w więziennego zbira. Nie

wiem, czy to coś dobrego, ale na pewno w obecnej sytuacji było to przynajmniej przydatne.

– Na koniec, Hailie, chciałbym cię ostrzec – zapowiedział. – W związku z moim zmartwychwstaniem może wybuchnąć mały skandalik. Przynajmniej w naszej okolicy. Vince, jak i cała Organizacja... Ekhem, wszyscy... będą pracowali nad tym, żeby go wyciszyć, ale przez jakiś czas może być gorąco. Chciałbym, żebyś miała to na względzie i na siebie uważała, dobrze? Vince może wprowadzić dodatkowe środki bezpieczeństwa, jeszcze to przedyskutujemy...

– Czekaj, czekaj... Jaki skandalik? – zapytałam i zmrużyłam oczy, dodając: – Jakie środki bezpieczeństwa?

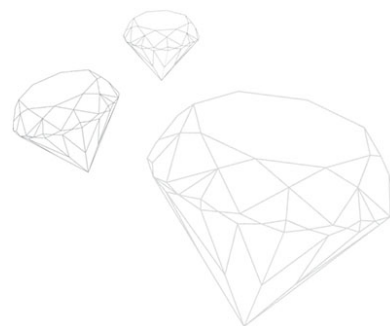
– Może być tak, że wymysknie się kilka plotek na mój temat. A sprawę bezpieczeństwa jeszcze poruszę z Vincentem. Później mamy umówione dodatkowe spotkanie w obecności prawników. W każdym razie nie zaprzataj sobie tym głowy, to nic wielkiego.

– Aha...

– Naprawdę, królewno. Tak cię tylko ostrzegam – powiedział i uniósł dłoń w uspokajającym geście, przez co zagrzechotał kajdankami. – No, w każdym razie nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy, mogąc cię zobaczyć. To wielka ulga widzieć cię bez narażania cię na niebezpieczeństwa.

– Też się cieszę, że cię widzę, tato – odparłam nagle zachrypniętym od emocji głosem. – Żałuję tylko, że w takich okolicznościach.

– Nie masz czego żałować, moja królewno – zapewnił mnie natychmiast. – Zobaczysz, wszystko się poukłada.



53

ATENCJUSZ, JAKICH MAŁO

Jak poszło? Wszystko dobrze?

– Może być – westchnęłam, wtulając się w otwarte ramiona Willa.

Stał przy ścianie i czekał, aż wrócę. Po mnie poszedł kolejny brat, a potem następny i zaczęłam się dusić w tej poczekalni, przygnębiona nierzednącą atmosferą. Na szczęście gdy wrócił Tony, oznajmił, że nie zamierza sterczeć dłużej w tej cholernej klitce i że będzie na parkingu, a ja ogłosiłam od razu, że do niego dołączam.

Nikt nie oponował, jedynie Tony wywrócił oczami, a Vince dyskretnie wyjął telefon i byłam pewna, że informuje właśnie o sytuacji Sonny’ego, bo gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, ochroniarz już tam czekał.

Zignorowałam go i głęboko zaczerpnęłam świeżego powietrza. Mógł to być wytwór mojej wyobraźni, ale miałam wrażenie, że więzienie działało na moje płuca jak trucizna, niczym ten papieros, którego właśnie podpalił sobie Tony. Dziś postanowiłam się go nie czepiać o to, że pali. W tak fatalnej sytuacji, gdybym tylko mogła, chyba sama bym się na to skusiła.

– Co ci mówił? – zapytałam, gdy uświadomiłam sobie, że inaczej Tony nigdy się nie odezwie.

Błękitne oczy brata zwróciły się w moją stronę.

– Pewnie to samo, co i tobie – odparł lekceważąco.

Uśmiechnęłam się lekko, pragnąc rozładować choć trochę tę depresyjną atmosferę.

– Też nazywał cię królowną?

Tony docenił mój mały żarcik, bo uniósł brwi, a kąciaki ust mu zadrżały.

– Myślałaś, że tylko do ciebie tak mówi?

Parsknęłam.

– Ty jesteś królewiczem.

– Jak ja ci wymyślę ksywę, to się popłacziesz, dziewczyneczko.

– Tylko spróbuj mnie przezwać, to na ciebie naskarzę.

– Dzieciur.

– Pójdę do Willa.

– To idź.

Niby to obojętnie wzruszyłam ramionami.

– Pójdę później.

Tony parsknął i się zaciągnął, a ja przysiadłam sobie na murku i oglądałam zabetonowany teren więzienia. Najmłodszy z moich braci nie grzeszył gadulstwem, więc przez większość czasu milczeliśmy, oboje pogrążeni we własnych rozmyślaniach i wciąż świeżych wspomnieniach z widzenia z ojcem. Wkrótce Tony skończył palić, ale ku mojej uciechy nie zaciągnął mnie z powrotem do budynku, tylko klapnął obok.

Wkrótce dołączył do nas Shane. Wyszedł przez drzwi frontowe, po czym przeciągle wypuścił powietrze z płuc.

– Co za dziura, nie mogę – prychnął z obrzydzeniem.

– Obskurwiała – zgodził się Tony.

– Prawda, nie mają tam nawet żadnych dekoracji. – Pokiwałam głową.

Chłopcy rzucili mi spojrzenie spod uniesionych brwi.

– No co? Jak którykolwiek więzień ma się zresocjalizować w takim brzydkim, zimnym i nieprzyjemnym budynku?

Shane pokręcił głową, a Tony uśmiechnął się drwiąco i nachylił ku mnie.

– A wiesz, jak wyglądają toalety dla więźniów?

– Wiem, że są wolnostojące i znajdują się w celach, na widoku...

– Tu masz kibel, a tu... – Tony dla lepszego efektu pokazywał rękoma to, o czym mówił. – ...tu zaraz na spluczce masz metalową misę, z której leci woda, więc jak jesteś spragniona, a twój współlokator akurat...

Popchnęłam go tak mocno, że musiał zaprzeć się stopą o asfalt, żeby nie zlecieć z murku. Shane rechotał w akompaniamencie.

– Jesteś obrzydliwy – warknęłam. – Obaj jesteście!

Och, dlaczego zamiast obleśnych braci nie mogę mieć chociaż jednej siostry?

Bliźniacy śmiali się o ton za głośno, niżby wypadało w miejscu, gdzie ludzie odsiadują w zamknięciu wyroki dożywocia, ale mimo iż żarty mieli doprawdy gorszące, to ich śmiech pozytywnie wpływał na mój podły nastrój. Widziałam, że oni sami też go potrzebują – w ten sposób odreagowywali swoje emocje i dlatego ani myślałam ich uciszać.

Podobnymi salwami śmiechu udało nam się wybuchnąć jeszcze kilka razy i w którymś momencie podszedł do nas strażnik, żeby nas upomnieć, a wtedy pojawił się Dylan i oznajmił, że jest, cytuję, głodny i zły. Wszyscy podłapaliśmy temat jedzenia i zaskakująco łatwo udało nam się wywalczyć u Vince'a zgodę na opuszczenie więzienia i znalezienie jakiejś restauracji na lunch.

Wzięliśmy jeepa Willa. Dylan prowadził, a bliźniacy prawie pobili się o miejsce obok kierowcy, o którym ja nie miałam nawet co marzyć. Przegrał i wylądował z tyłu obok mnie Tony. Nie wiem, o co tyle szumu, bo każdy fotel w tym wielkim aucie był wygodny, a droga okazała się krótka. Wylądowaliśmy w lokalnej pizzerii w małym, sennym miasteczku.

– Patrzcie, widać stąd jedną z więziennych wież – zauważyłam, dzięki temu, że zostałam wciśnięta pod samo okno przez ogromnego Dylana, który zajął miejsce obok mnie na obitej purpurowymi poduszkami ławce.

– Kto wie, może nas teraz nawet obserwują – szepnął Dylan złowrogo, nachylając się nade mną.

Wiedziałam, że ze mnie drwi, więc uniosłam brwi.

– Niby dlaczego mieliby nas obserwować?

– Bo jesteśmy Monet – odpowiedział i wyszczerzył się złośliwie.

– Myślę, że mało ich obchodzi, kim jesteśmy.

– Ja myślę, że obchodzi ich bardzo dużo.

Opuściłam menu, żeby rzucić braciom nieco złężnione spojrzenie.

– Myślicie... że tato może mieć tam problemy przez to... kim jest?

– Nie sędzę – odparł Dylan.

– Prędszej fory – dodał Shane, zaczytany w swojej karcie dań.

– U strażników czy więźniów?

– Jednych i drugich.

– Bo ma hajs – powiedział Tony i potarł palce. – Hajsem kupi sobie przychylność wszystkich.

– Ma też zmysł przywódcy – mruknął drugi bliźniak.

– I wystarczająco wybujałe ego. – Dylan odłożył swoje menu na stół. – Tak że, mała dziewczynko, nie musisz się o niego martwić. Poradzi sobie.

– Serio nie boicie się o niego nic a nic? – zdziwiłam się, patrząc na ich trzy obojętne twarze.

Shane westchnął, odłożył menu i zaczął się wychylać, by wzrokiem przywołać kogoś, kto nas obsłuży, i to Tony mi odpowiedział:

– Nie żebym miał to w dupie, ale trochę sam jest sobie winny, nie?

– To nie tak, że biedny sączył sobie drinka z palemką i nagle otoczyła go jednostka specjalna czy inne gówno – przytaknął mu ponuro Shane.

Zacisnęłam ręce na krawędzi blatu i nachyliłam się do bliźniaków.

– Oddał się w ręce policji dla nas!

Oni uśmiechnęli się irytująco pobłażliwie, jakbym była dzieciakiem, który krzyczy, że trawa jest niebieska.

– Ta, dla nas – parsknął Tony.

– Co za bohater – dodał Shane.

– Stulcie mordy – warknął na nich Dylan. – Nie mówcie tak o nim. Zwłaszcza przy niej.

Obejrzałam się na niego i zmarszczyłam czoło.

– O co im chodzi?

Odpowiedział mi znowu Tony.

– O to, że ojciec jest tak samo skrzywiony, jak i oni wszyscy. – Ton głosu miał dość nieprzyjemny, taki zjadliwy, choć nie kierował tych negatywnych emocji do mnie.

– Jacy oni?

Dylan nachylił się w jego stronę i syknął wściekle:

– Przymknij się.

– Pepperoni dla mnie – odezwał się Shane w samą porę, bo niewiele było trzeba, żeby sprowokować Tony'ego. Na szczęście jego uwagę odwrócił kelner, który zjawił się przy naszym stoliku. – Z serem, salami, szynką... Podwójnym serem znaczy.

– Dla mnie ta o, numer dziesięć.

– Ja chcę margheritę – powiedziałam, a potem przypomniał mi się ten drink, którego piłam w Saint Tropez o niemal identycznej nazwie, i dziwnie speszona doprecyzowałam szybko: – Pizzę margheritę.

Kelner, którym był gburowaty starszy mężczyzna z brzuszkiem, być może właściciel, zebrał nasze zamówienia w milczeniu.

– Czyli ty tak na serio łykasz śpiewkę, że ojciec wsypał sam siebie, bo się dla nas poświęcił? – zaczął znowu Tony Dylana, gdy tylko znowu zostaliśmy sami.

– Może nie jestem takim niewdzięcznym bachorem jak ty.

– Tu nie chodzi o to – wtrącił się Shane. – Może i zrobił to po części dla nas... Ale jednak trochę dla siebie też, nie? Nie uważasz?

– Mnie przyznał, że potrzebował spokoju – potwierdziłam.

Tony parsknął, a Shane pokręcił głową.

– To też nie to. W sensie, no trochę pewnie tak... Nie sugeruję, że tata kłamie, żeby nie było...

– Nie no, nie mogę – przerwał mu Dylan i przykrył na chwilę twarz dłońmi, a następnie zwrócił się prosto do mnie: – Tata nie kłamał. Zrobił to

przede wszystkim dla nas. – Po czym spojrzał z wyrzutem na braci. – I po cholere próbujecie go przed nią oczernić?

– Nikt go przecież nie oczernia – zaprotestował Shane, unosząc dłonie.

– Podważacie jego intencje, ale nie podajecie żadnych sensownych argumentów – zauważyłam z irytacją. Mnie też się nie podobało, że wypowiadają się o tacie w tak oskarżycielskim tonie.

– Podam ci argumenty – zaoferował Tony, odchylając się na krześle. – Wiesz, co lubią ojcowie twoich znajomek? Pewnie jeżdżą na ryby, narty albo kolekcjonują gramofony. A co lubi nasz ojciec?

Tony zawiesił głos, Dylan spojrzał z niezadowoleniem w bok i to Shane odpowiedział na to pytanie. Odezwał się niby-zwyczajnie, ale nie umknęło mi, jak nerwowo zdrapywał etykietkę z butelki.

– Władzę.

– I co, to dla władzy dał się złapać? – podsumowałam sceptycznie.

– Ty nie znasz go tak dobrze jak my – mruknął Shane, a Tony skinął głową.

– I dlatego go idealizujesz.

– A prawda jest taka, że ojciec to jest dobry agent. Na wolności może i mógł wylegiwać się na tropikalnych plażach i wrywać panienki, ale musiał siedzieć cicho i nie rzucać się w oczy.

– Ta... – zaśmiał się Tony ze wzrokiem wbitym w do połowy pełną szklankę, na której zaciskał palce jednej ręki i która stała przed nim na blacie. – A on to atencjusz, jakich mało.

Zerknęłam na Dylana, który do tej pory milczał. Czekałam, aż potwierdzi te słowa, ale już samo to, że przestał zaprzeczać, było bardzo wymowne. No i długo nie odwzajemniał mojego spojrzenia.

– Rozwiniesz tę myśl...? – zapytałam Tony'ego.

Przestał bawić się szklanką i zerknął na mnie spod swoich długich i gęstych rzęs.

– Potrzebuje adrenaliny, musi być najważniejszy, lubi wzbudzać postrach.

– On w swoim otoczeniu potrzebuje... jakby, wiesz hierarchii – tłumaczył Shane. – Po to tylko, żeby móc być na samej górze.

– To ma związek z tym, jaką pozycję zajmował przez lata – stwierdził Tony.

– No właśnie, wiesz. – Shane spojrzał na mnie, szukając zapewne odpowiednich słów, które nie zdradzą mi zbyt wielu tajemnic. – Jeśli jest się jakby szefem... przez większość życia, to trudno jest nagle przestać nim być.

– Co to w ogóle znaczy? Szef? Co to za pozycja? – zapytałam rozdrażniona, bo wiedziałam dobrze, że to tajemnica, która jest bardzo pieczołowicie przede mną skrywana.

Tym razem głos zabrał Dylan.

– Nie, Hailie, sorry, ale bez szczegółów. Po prostu musisz wiedzieć, że to jest coś dużego. I gdy potem zrzekł się tego stanowiska, upozorował swoją śmierć i pozwolił Vince'owi zająć swoje miejsce, pozbawił się czegoś, czego możliwe, że... namiastkę chce teraz odzyskać.

– Czyli zgadzasz się z tym, co powiedzieli? – spytałam, wpatrując się w Dylana.

Najpierw wziął porządny łyk coli, odetchnął i dopiero wtedy odwzajemnił moje spojrzenie.

– Nikt nie jest idealny – powiedział w końcu. – Ojciec też nie.

Pomyślałam sobie, że to chore, ale ugryzłam się w język. Na chwilę zapadła cisza i znowu zapatrzyłam się na majaczącą w oddali więzienną wieżę. Podano nam pizzę i przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu. Gdy poczułam zapach jedzenia, wydało mi się, że jestem przeraźliwie głodna, ale w rzeczywistości zjadłam dwa kawałki i resztę dokończyli za mnie bracia.

Położyłam dłonie na brzuchu i odetchnęłam, w zamyśleniu patrząc, jak Shane walczy z uparcię ciągnącym się serem.

– Ej – zaczęłam monotonnym głosem – wiecie coś o jakimś skandalu?

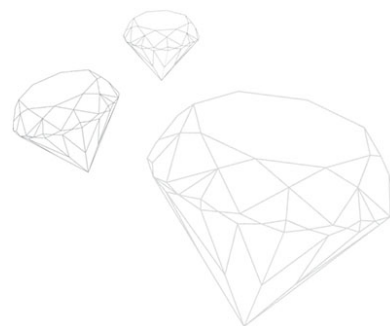
– Jakim skandalu? – mruknął Dylan.

– Ojciec wspomniał mi, że może zrobić się... gorąco czy jakoś tak.

- Ludzie będą pierdolić – odparł Tony lekceważąco. – Nic nowego.
- Mówił też o środkach bezpieczeństwa.
- Środki bezpieczeństwa to też nic nowego.

Odchyliłam głowę i przymknęłam powieki. Żołądek miałam przepełniony, a przez wczesną pobudkę i mnóstwo wrażeń czułam się wyzuta z energii. Gdyby nie to, że znajdowaliśmy się w restauracji, nie walczyłabym z ogarniającą mnie sennością.

Po jakimś czasie, gdy moi bracia też już się najedli, zamówiliśmy jeszcze pizzę na wynos dla Willa i Vincenta i czekaliśmy na nią leniwie przy stoliku. Od czasu do czasu ktoś rzucał jakiś suchy żart, z którego nawet nie mieliśmy siły zbytnio się śmiać. Poza tym nasze nastroje wciąż były mocno przygaszone przez wydarzenia związane z ojcem. Część mnie wierzyła, że zobaczę go następnym razem na Kanarach, we Francji lub może, kto wie, w Gwatemali?



54

BRAMA

Na parkingu przed pizzerią spotkaliśmy Willa i Vince’a. Byłam im wdzięczna, że nie kazali nam wracać w pobliże więzienia i sami się do nas pofatygowali. Dylan podał Willowi pudełko z pizzą, a ten odłożył je na deskę rozdzielczą w samochodzie Vince’a. Po prawnikach nie było śladu, zapewne wykonali już swoją przewidzianą na dziś pracę. Spoza rodziny obecny został tylko Sonny.

– Jakież nowe postanowienia? – zagadnął Dylan wciąż obrażonym tonem. Złość jeszcze mu nie przeszła.

– Nic szczególnego – uciął Vince.

– Żartujesz? – prychnął Tony. – To o czym tyle czasu gadaliście z ojcem i prawnikami?

– No powiedzcie nam – zirytował się Shane.

– Jeśli pojawi się sprawa, która będzie potrzebowała przedyskutowania na forum rodzinnym, na pewno się o tym dowiecie – obiecał chłodno Vince.

– No co do ch... – Shane opanował się w ostatniej chwili, ale był bardzo bliski kopnięcia felgi samochodu, zaś Tony odpalił papierosa, wciąż parszając z niedowierzaniem.

Dylan zacisnął dłonie w pięści, a ja założyłam ramiona na piersi.

– Mamy prawo wiedzieć – zaprotestowałam.

Vince spojrzał na mnie wzrokiem bez wyrazu, jakby samym spojrzeniem chciał zamknąć mi usta. Zwykle nieźle mu to wychodziło, ale dziś czułam, że niesprawiedliwość nie dotyczy jedynie mnie, ale i moich braci, co dodało mi pewności siebie. Niestety, Vincent doskonale wiedział, jak mnie podejść.

– Między innymi, droga Hailie – rzekł zimno – rozmawialiśmy o tym, jak to rozegrać, żeby uchronić cię przed nieprzyjemnościami, na które będziesz teraz narażona. Głównie w szkole, z powodu obecnych wydarzeń.

Poczułam ciarki na ciele.

– W związku z tym zostało ustalone, że na razie będzie lepiej, jeśli zostaniesz w domu. Jeszcze przedyskutujemy szczegóły, ale chwilowo lepszym wyborem może być dla ciebie nauczanie...

Nogi się pode mną ugięły.

– Nie. Tylko znowu nie to – wyszeptałam, ogarnięta nagle grozą i niewysłowioną złością. – Tylko nie nauczanie domowe!

Vince wbił we mnie lodowate spojrzenie. Zawsze tak spoglądał na swojego rozmówcę, który mu przerywał lub się przeciwstawiał. Nie spodobało mu się, że popełniłam oba te wykroczenia. Nie obeszło mnie to.

– Vince, nie zgadzam się na powrót do nauczania domowego – oznajmiłam przez zaciśnięte zęby. – Dopiero zaczęłam chodzić do szkoły. Nie tak się umawialiśmy.

– Hailie, prawda jest taka, że ty i ja tak właściwie w ogóle się nie umawialiśmy – zauważył Vince szorstko. – Między nami nie ma umów. Jest to, co zadecyduje ja. A w świetle obecnych wydarzeń lepiej będzie, jeśli zostaniesz w domu.

Miałam *déjà vu*. Czy ja już tego nie przerabiałam? Moje chwilowe poczucie, że jestem traktowana na równi z chłopakami, rozplynęło się w nicość. Znowu byłam traktowana gorzej. Krew w moich żyłach zawrzała.

– Nie możesz tak mówić ani mi tego robić! – Dłonie zacisnęłam w pięści i zrobiłam krok w jego stronę. – Nie zgadzam się.

Vince uniósł brwi, trochę lekceważąco, i to nie pomogło mi w trzymaniu nerwów na wodzy.

– Nie będę przechodziła przez to po raz kolejny! Mam w nosie ten wielki skandal, który wybuchnie, jutro rano wstaję i jadę do szkoły, koniec, kropka! – Język plątał mi się z nerwów i dodatkowo mnie to irytowało. Trzęsłam się na samą myśl, że po raz kolejny mój świat miał się skurczyć do Rezydencji Monetów.

– Nie podnoś na mnie głosu, Hailie – upomniał mnie Vince.

Pozostali bracia milcząco przyglądali się tej scenie w namacalnym wręcz napięciu. Oszłość, stoicki spokój i aura dominacji emanujące od Vincenta prowokowały we mnie najbrzydszy rodzaj złości – ten w kolorze czerwonym, który przysłał zdrowy rozsądek i popychał do nieprzemyślanych działań.

– Więc przestań traktować mnie jak idiotkę! – wydarłam się, a jakaś para, która akurat przechodziła nieopodal, zerknęła w naszą stronę.

Will też to zauważył, bo nagle jakby ocknął się z chwilowego letargu i klasnął dwa razy w dłonie.

– Okej, wystarczy. Później o tym porozmawiamy – zaproponował, zwracając się niby do wszystkich, ale jednak głównie do mnie.

– Kiedy później? – warknęłam i wskazałam palcem na Vince’a, który patrzył na mnie cały czas z tą samą maską na twarzy. – Kiedy on zniknie w swoim gabinecie, do którego nagle nie będę miała wstępu?! Rozmawiajmy teraz.

– Przed nami długa droga, więc jednak lepiej by było, gdybyśmy już wyjechali – nalegał łagodnie Will. – Poza tym to nie jest miejsce na taką rozmowę.

– Nie ma problemu, porozmawiamy więc w aucie – zdecydowałam i ruszyłam w stronę czarnego wozu Vince’a. Niestety, po drodze musiałam minąć naszego najstarszego brata, który wyciągnął dłoń, by mnie zatrzymać.

– Tym razem jadę tylko z Willem. Mam z nim do obgadania kilka spraw. Ty pojedziesz jeepem, z resztą.

Mierzył mnie spojrzeniem z góry, jakby wyzywając, bym odważyła się sprzeciwić.

Wyzwanie zostało przyjęte.

Zacisnęłam szczękę i walcząc ze łzami wściekłości i tą wściekłością napędzana, wyciągnęłam ręce przed siebie i pchnęłam nimi Vincenta, syknąwszy siarczyste:

– Spadaj.

Mój wysoki, elegancki brat zachwiał się nieznacznie, ale nie cofnął. Chyba go zaskoczyłam, bo patrzył na mnie przez chwilę wzrokiem bez emocji i potem dopiero stopniowo jego twarz zaczęła tężeć. Zacisnął szczękę i może nawet trochę pobladł, a ja z jakiegoś powodu nie uznałam tego za znak ostrzegawczy, tylko zaproszenie do kontynuowania swoich ataków. Na szczęście oprócz moich braci, których chyba wmurowało w ziemię, scenę tę obserwował też Sonny. Mój ochroniarz zachował najwięcej trzeźwości umysłu z nas wszystkich i zanim zdążyłam w amoku rzucić się na Vincenta, poczułam, jak wokół mojego tułowia owija się jego ramię.

Odciągnął mnie na bok, a ja próbowałam mu się wyrwać, nie tylko po to, żeby dopaść Vince'a, ale by odzyskać panowanie nad swoim ciałem i wydostać się z krępującego moje ruchy uścisku Sonny'ego.

W końcu załapałam, że im więcej się szamoczę, tym mniej jest skłonny mnie uwolnić. Dopiero wtedy wzięłam głęboki wdech i zapanowałam nad swoją nagłą furią. Moje spojrzenie padło na Vincenta – obserwował mnie bez ruchu i bez mrugnięcia okiem. Zrozumiałam, że mój gniew nie zrobił na nim wrażenia, i to chyba ukłuło mnie najbardziej.

Z uniesionymi brwiami przeniósł spojrzenie ze mnie na świętą trójkę i mruknął:

– Którykolwiek z was będzie prowadził – żadnych niepotrzebnych postojów. Jedziemy prosto do domu.

Po czym odwrócił się, by wsiąść na miejsce kierowcy do swojego samochodu. Will zerknął na mnie ze zmartwieniem, ale i dezaprobatą, która też mnie zdenerwowała. Wszystko mnie denerwowało. Vincent, reakcja rodzeństwa (albo w większości jej brak), a także interwencja Sonny'ego.

Gdy najstarsi bracia zniknęli już w aucie, odetchnęłam. Słońce przyjemnie grzało mi twarz i uznałam, że to bardzo smutne, że w tak ładny dzień przytrafiło mi się tyle przykrych rzeczy. Miałam dość.

– Już w porządku, panno Monet? – zapytał Sonny. Poluzował swoje objęcia, ale jeszcze nie zabrał rąk, nieprzekonany, czy może to zrobić.

Skinęłam sztywno głową, a następnie zmroziłam go wzrokiem.

– Myślałam, że jesteś moim ochroniarzem, a nie jego – wyrzuciłam mu oschle.

– Zgadza się, panno Monet – przytaknął uprzejmie. – Uwierz mi, że napadając na pana Moneta, więcej krzywdy zrobiłabyś sobie niż jemu.

Prychnęłam lekceważąco, nie mając ochoty słuchać takich uwag.

Shane, Dylan i Tony czekali chyba, aż pierwsza wsiądę do samochodu. Nikt mnie nie poganiał, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że chociaż oni potraktowali mój wybuch na poważnie. To dodało mi otuchy. Na tyle przynajmniej, że udało mi się nawet zająć siedzenie z przodu, przy kierowcy.

Normalnie chłopcy wywlekliby mnie z tego auta siłą, bo tak to z nimi było, iż nie potrafiliby zdzierżyć tego, że ich młodsza siostra usiadła na najlepszym miejscu.

Przez chwilę panowała cisza, którą Dylan spróbował zakłócić radiem. Odchyliłam głowę tak, żeby patrzeć przez szybę, i z nieskrywaną furią wpatrywałam się w błyszczący tył jadącej przed nami luksusowej fury Vince’a.

Mieliśmy tylko jeden postój, ale poszłam wtedy prosto do łazienki, po czym wróciłam do auta, więc nie wpadłam na Vince’a – widziałam go jedynie przez szybę. Ani razu na mnie nie spojrzał. Gdy dojechaliśmy do domu, gdzieś zniknął. Jeśli chciał, potrafił zrobić z siebie najbardziej nieosiągalnego opiekuna prawnego na tej planecie. Chociaż akurat dziś szczerze nie miałam ochoty z nim więcej rozmawiać. Byłam zmęczona i zła. Z jednej strony było mi trochę głupio z powodu mojego zachowania, ale z drugiej wiedziałam w głębi, że to tylko moja reakcja na tak niesprawiedliwe traktowanie. Potrafił naprawdę zaleźć za skórę i najgorsze w nim było to, że nie sposób było mu się sprzeciwić.

Rano, gdy rozdzwonił się budzik, zacisnęłam od razu zęby, przypominając sobie, że mój ojciec siedzi w więzieniu, a Vince jest okropny. Rozpoczęłam więc ten dzień w wyjątkowo buntowniczym nastroju. Z tą samą złością wiązałam włosy w kitkę i zapinałam guziki koszuli mundurka. Zwykle lubiałam uśmiechnąć się do swojego odbicia w lustrze na dobry dzień, ale dzisiaj tego nie zrobiłam.

Z walącym sercem, ale i zacięciem widocznym w całej mojej postawie zbiegłam na dół, a w kuchni spotkałam Willa i Dylana. Oboje byli po swoich porannych treningach i rozmawiali chyba o sporcie, popijając koktajle odżywcze. Na mój widok zamilkli, a ja znowu się wkurzyłam, tym razem dlatego, że Dylan rozmawiał z Willem jak gdyby nigdy nic. Prawda była taka, że chyba nikt nie potrafił być na Willa zbyt długo obrażony – nie tylko ja, ale i reszta naszego rodzeństwa.

– Dzień dobry – przywitałam się cierpko. Sięgnęłam po śniadanie i zasiadłam przy stole, celowo unikając ich spojrzeń.

– Dzień dobry, Hailie – odparł Will, nieco zdezorientowany. – Eee, wszystko w porządku?

Pokiwałam głową.

– W najlepszym – odparłam. – U ciebie też?

– Hailie, to ci się nie uda – powiedział Dylan. Wyjątkowo ze mnie nie kpił, usłyszałam nawet cień współczucia w jego głosie.

– Co mi się nie uda?

– Szkoda twojego czasu – przekonywał mnie.

Nie odpowiedziałam, tylko uparcie przeżuwać śniadanie, wpatrywałam się w losowo wybrany punkt na blacie stołu.

Jadę do szkoły. Jadę do szkoły. Jadę do szkoły.

Powtarzałam sobie to zdanie w głowie jak mantrę. *Stawiam na swoim.*

Nikt już nic nie powiedział, nawet gdy złapałam za torbę i kluczyki do porsche. Pożegnałam się szybko i automatycznie, nawet nie czekając na odpowiedź braci. Zamknęłam za sobą drzwi do garażu i podeszłam do auta. Wszystko robiłam tak jak każdego dnia. Położyłam torbę na fotelu pasażera i odpaliłam silnik. Powoli ruszyłam, ze zmarszczonymi brwiami manewrując pomiędzy samochodami braci. Nacisnęłam guzik, który

otworzył przede mną bramę garażową. Zagryzałam nerwowo usta, jadąc przed siebie. *Uda mi się, postawię na swoim.*

Moja determinacja zaczęła niestety szybko słabnąć, gdy na horyzoncie ukazała się brama. Zwykle otwierała się automatycznie już z daleka. Tym razem ani drgnęła. No dalej, powinna była się już otworzyć. Właśnie w tym momencie. Może jednak zaraz. Może coś się zacięło.

Kogo ja chciałam oszukać? Wiedziałam, że nic się nie zepsuło. Ta głupia brama nawet nie drgnie, bo Vince tak zarządził. Zapomniałam, na wiele spraw on miał wpływ. Zatrzymałam się przed żelaznym ogrodzeniem, ostatkiem sił walcząc, by nie rozbeczeć się jak małe dziecko. Patrząc na zatrzaśniętą szczelnie bramę, czułam niemoc tak ogromną, że łzy mogłyby teraz trysnąć z moich oczu jak fontanna.

Powstrzymałam się od wciśnięcia pedału gazu i wjechania w nią tylko dlatego, że pokochałam to auto i nie chciałam go zniszczyć.

Odrobiłam lekcje, wstałam rano, wyszykowałam się, zjadłam śniadanie, zasiadłam za kierownicą, a ta cholerna brama pokrzyżowała mi plany. Zaciskałam palce na kierownicy tak mocno, że nie zdziwiłabym się, gdybym ją połamala. Nagle oderwałam od niej jedną dłoń i z całej siły pacnęłam w klakson, którego przeciągły dźwięk rozbrzmiał na terenie posesji, odbijając się echem od ścian budynku, ogrodzenia, drzew...

Następnie rozchyliłam drzwi i wydarłam się w stronę domu:

– Otwórzcie tę pieprzoną bramę!!!

Czy moje słowa zadziały jak zaklęcie?

Oczywiście, że nie.

Być Hailie Monet oznacza być najbardziej kontrolowaną osobą na świecie.

Wyskoczyłam na zewnątrz i podeszłam do przeszkody. Zacisnęłam ręce na kratkach i potrząsnęłam nimi, jakbym próbowała rozsunać je siłą. Zwiesiłam głowę. Gapiałam się na asfalt i swoje błyszczące mokasyny. A potem zabrałam ręce, odsunęłam się od bramy i tylko kopnęłam ją na odchodne.

Zabolala mnie noga, a ogrodzenie wciąż ani drgnęło.

Zostawiłam porsche tak, jak stało, z włączonym silnikiem i otwartymi na oścież drzwiami od strony kierowcy. Minęłam je, stąpając wściekle przez równiutko przystrzyżony trawnik w stronę drzwi frontowych. Serce waliło mi teraz jeszcze mocniej, dawno nie czułam tak obezwładniającej wściekłości.

Szarpnęłam klamką, weszłam do domu i trzasnęłam drzwiami najgłośniej, jak potrafiłam. Minęłam kuchnię, nawet nie zerkając, czy Will i Dylan nadal tam są. Staranowałamby teraz każdego, kto stanąłby mi na drodze. Nawet jeśli byłby to jeden z moich dużo ode mnie większych braci. Czułam w sobie siłę, jakbym była czarodziejką, która czerpie moce z pozaziemskiego źródła.

Pod gabinetem Vincenta zastałam jego ochroniarza. Na mój widok widocznie się zestresował. Przełknął nawet ślinę. W głębi duszy wiedziałam, że przecież nie przestraszył się nastolatki – po prostu po mojej postawie wywnioskował, że zaraz będzie musiał zareagować. Jego prośby i rozkazy, bym się zatrzymała i poczekała, nie zadziałały. Złapał mnie więc od tyłu za ramiona i unieruchomił, kiedy spróbowałam go wyminąć.

Na jego nieszczęście byłam jak w transie. Bez namysłu kopnęłam go w piszczel, tak jak uczył mnie Dylan. Puścił mnie, ale zanim sięgnęłam do klamki, złapał znowu, tym razem za nadgarstek. Był silniejszy, ale Dylan, z którym odbywałam większość treningów, przecież też. Wykręciłam dłoń tak, że łokciem udało mi się uderzyć mężczyznę w gardło. Domyślił się, jakiego triku zamierzam użyć, i zdążył go zablokować, więc nie do końca osiągnęłam pożądany efekt. Zakaszał mi nad uchem, ale nie wypuścił mnie, i znowu machnęłam nogą, by go kopnąć, ale niefortunnie uderzyłam nią o drzwi do biura Vince'a, powodując głośny łoskot.

Zbudziło to czujność mojego brata, bo drzwi się zaraz otworzyły. Gdy na progu stanął Vincent we własnej osobie, ujrzał swojego ochroniarza szamocącego się z jego młodszą siostrą.

– Panie Monet – wydusił ochroniarz, znowu mnie unieruchamiając, tym razem skuteczniej, ale też dlatego, że na widok Vince'a przestałam się tak szarpać.

– Puśćże ją – rozkazał mu z irytacją Vince.

Ochroniarz momentalnie cofnął ręce, a ja się zakołysałam. Gdy odzyskałam równowagę, potarłam łokieć i spojrzałam spode łba na brata. To małe starcie sprawiło, że trochę się uspokoiłam, ale gniew mnie nie opuścił. Oddychałam szybko, gotowa powrócić do rękoczynów.

Ochroniarz zrobił krok do tyłu i zaczerwienił się pod ciężarem świdrującego go spojrzenia Vincenta.

– Nie masz prawa – zaczął ten złowrogo wypranym z emocji głosem – tknąć choćby palcem mojej siostry, zapamiętaj to sobie na przyszłość. Czy wyrażam się jasno?

– Ona wbiegła tu, jakby...

– Czy wyrażam się jasno? – powtórzył ostro Vince, brzmiąc jeszcze bardziej wyniośle i władczo.

– Jasno, panie Monet – odpowiedział ochroniarz.

– Ty – zwrócił się do mnie i obejrzał mnie od stóp do głów. – Co ty tutaj robisz?

On sobie żartuje, prawda? Najpierw spojrzałam na niego z niedowierzaniem, ale gdy nadal patrzył wyczekująco, uśmiechnęłam się z fałszywą słodyczą, gotowa zagrać w jego grę.

– Brama się zepsuła.

– Słucham?

– Nie mogę wyjechać do szkoły.

– Nie idziesz dziś do szkoły – prychnął lekceważąco.

– Dziś wtorek, na pierwszej lekcji mam angielski.

– Do końca tygodnia załatwię ci nauczycielkę na twoje zajęcia indywidualne – odparł. Cały czas zwracał się do mnie niezwykle ozięble. – Do tego czasu ucz się sama. Możesz się przebrać z mundurka.

Odwrócił się, zamierzając zniknąć z powrotem w czeluściach gabinetu, ale zrobiłam krok do przodu.

– Nie – zaprotestowałam i położyłam dłonie na biodrach. – Otwórz bramę.

Vince mnie zignorował, ale zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi, wparowałam przez nie i znalazłam się w środku jego biura. Tym razem nie

zamierzałam dać się zlekceważyć. Byłam zdeterminowana, by tak dać mu w kość, żeby sam, dla świętego spokoju, zawiózł mnie do tej przeklętej szkoły.

Nie zareagował na moje wtargnięcie. Ze spokojem przymknął drzwi, jakbym wcale tu nie wpadła nieproszona, i ruszył do biurka.

– Wyjdź, Hailie, porozmawiamy później. Teraz jestem zajęty.

– Później mam zajęcia, więc porozmawiamy teraz.

Vince zasiadł w fotelu i podniósł na mnie lodowate oczy.

– Sposób, w jaki się do mnie w tej chwili odnosisz, nie ujdzie ci na sucho. Radzę ci nie pogarszać swojej sytuacji.

– Pogarszać! – zadrwiłam. – Co ty mi możesz zrobić?

Usta Vince’a się zacisnęły. Nie był pod wrażeniem mojego zachowania. Podeszłam jeszcze bliżej, zatrzymując się tuż przed jego biurkiem.

– Co ty mi możesz zrobić, Vincent? – zapytałam znowu, tym razem poważniej. – Przecież i tak zabierasz mi już wszystko.

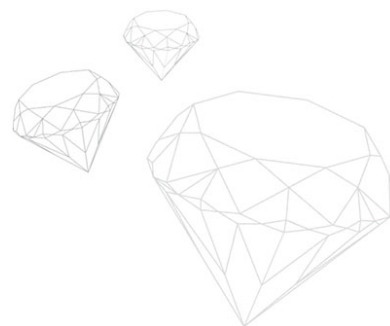
– Hailie... – Uniósł powoli brodę, mierząc mnie wzrokiem, po czym opanowanym głosem powiedział: – Wyjdź stąd natychmiast.

– Do cholery jasnej! – wrzasnęłam, tonąc w beznadziejnej frustracji. Gwałtownie wyrzuciłam ręce w górę, potrącając przy tym leżące na jego biurku książki. Ich niski stosik się obsunął i jeden z cięższych tomów uderzył o stojącą nieopodal kryształową karafkę. Była do połowy pełna i nie mogłam nic już zrobić w momencie, gdy zobaczyłam, jak leci na ziemię. Rozległ się brzdęk – naczynie potłukło się, a jego bursztynowa zawartość rozlała po drewnianej podłodze.

Dyszałam ciężko, wpatrując się szklane szczątki, a potem opuściłam ręce i zerknęłam też na swoje dłonie, jakbym szukała dowodu, że to wcale nie ich wina. Na koniec przeniosłam spojrzenie na Vincenta.

On też je właśnie przenosił – z potłuczonej karafki na mnie. Krył się w nim gniew.

Być Hailie Monet oznacza mieć przerąbane.



55

KARAFKA

Zatrzymałam się w bezruchu, zaskoczona hałasem i szkodą, jaką wyrządziłam. Powoli przeniosłam wzrok na Vincenta, żeby odczytać jego reakcję na potłuczoną karafkę i wylany alkohol.

Mój brat stał pochylony lekko nad swoim biurkiem, opierając się o jego blat koniuszkami palców. Powieki miał przymknięte, nic nie mówił. Za to wyglądał, jakby próbował teleportować się do jakieś miłego miejsca z dala od irytującej młodszej siostry.

– To było niechcący.

Wciąż przemawiało przeze mnie rozdrażnienie, ale czułam się w obowiązku to zaznaczyć. Nie wparowałam tu w końcu po to, żeby niszczyć mu rzeczy. Wypadki się zdarzają.

Złowieszcza cisza w gabinecie Vincenta powodowała u mnie dyskomfort i zdołała ujarzmić ogień mojego gniewu, którym jeszcze przed minutą byłam napędzana. Nie zamierzałam jednak się teraz kulić i przeproszać, bo byłaby to przykra w smaku porażka. Zamiast tego czekałam, aż mój brat zechce podzielić się ze mną jakimś komentarzem, ale on wyglądał jak zaklęty w czasie. Powieki miał przymknięte i gdyby nie jego unosząca się

klatka piersiowa, sugerująca dyskretne, głębokie wdechy, które brał, by się uspokoić, pomyślałabym, że zasnął.

Dłonie pociły mi się coraz mocniej, bo fakt, że Vincent nie miał nic do powiedzenia przez tak długi moment, ani że nawet nie skorzystał z okazji, by tradycyjnie zmrozić mnie spojrzeniem, zaczynał mnie niepokoić.

Zerkałam na boki, coraz bardziej zdezorientowana. Wskazówki zegara o ciemnej tarczy, prawie zlewającej się ze ścianą, na której wisiał, głosiły, że właśnie spóźniam się do szkoły. W ten sposób przypomniały mi o mojej misji, dlatego zdobyłam się na odwagę, by, odchrząknąwszy, ponownie zabrać głos.

– Już późno.

Vince ani drgnął.

Ciężar jednej nogi przeniosłam na drugą.

– Lekcje zaczynają się o...

Przerwałam, gdy otworzył wreszcie oczy.

Spodziewałam się ujrzeć w nich sople lodu bądź ogniste kule furii, ale to, co zobaczyłam, przerosło moje najszczerze oczekiwania.

W jego bladoniebieskich oczach, które zwykle nie wyrażały żadnych emocji, tym razem mieściło się ich chyba tysiące. I to te najboleśniejsze. Znalazły się w nich ból, żal, trochę strachu, jakiś smutek. Ogromne, ogromne zmęczenie.

Tak ludzkiego spojrzenia nie widziałam u Vincenta jeszcze nigdy.

I totalnie mnie ono przeraziło.

– Proszę cię, żebyś wyszła.

Gapiałam się na niego oniemiała i tym razem chyba posłuchałabym go od razu, gdybym nie była w zbyt wielkim szoku, by mój mózg przepracował jego komunikat. Dlatego pewnie wziął głęboki wdech i dodał:

– Nie żartuję, Hailie, to nie jest dobry moment. Tracę cierpliwość... i kontrolę. Wyjdź stąd natychmiast.

Przełknęłam ślinę, przerażona już nie tylko tym jego pełnym emocji spojrzeniem, ale także sensem tych wypowiedzianych niskim, złowrogim tonem słów.

Tym razem wzięłam je na poważnie i mimo iż przyleciałam tu gotowa na kłótnię życia, to stłamsiłam w sobie wszelki bunt. Czułam, że błędę i że robi mi się zimno. Nagle zrozumiałam, że ja naprawdę muszę stąd wyjść, i to czym prędzej. Przez cokolwiek Vincent teraz przechodził, moje krzyki zdecydowanie nie pomagały.

Zrobiłam mały krok w tył i rozległo się ciche chrupnięcie, gdy podeszwą mokasy na deptnęłam na odłamek potłuczonego naczynia. Automatycznie podążyłam wzrokiem w dół, a potem zerknęłam jeszcze raz na zbitą karafkę. Serce dudniło mi w piersi, prowokowane dziwnym zachowaniem Vincenta, przez co w uszach szumiała mi krew i nie mogłam się skupić ani pozbierać myśli. Uniosłam najpierw dłoń, sama nie wiem po co, jakbym chciała coś złapać lub podnieść. Potem spojrzałam przelotnie na Vincenta, który nadal czekał, aż wypełnię jego polecenie. Miałam odwrócić się na pięcie i wyjść, ale znowu na deptnęłam na ten sam odłamek i z jakiegoś powodu się po niego schyliłam.

– Zostaw to – westchnął brat, wyraźnie poirytowany.

– Tylko posprzątam – odparłam cicho i z odłamkiem w ręku zbliżyłam się do potłuczonej karafki. Tam kucnęłam i zaczęłam zbierać szkło, bardzo pośpiesznie i jakby w transie.

– Hailie, zostaw to.

Tym razem Vincent syknął głośniejsze i z jeszcze większą złością, przez co ja zestresowałam się jeszcze bardziej i jeszcze szybciej próbowałam rozprawić się z bałaganem. W którymś momencie oczy zaszyły mi łzami i cały obraz zamienił się w jedną wielką, rozmazaną plamę.

– Zbiorę chociaż te największe...

Rozległ się huk, gdy dłoń Vincenta uderzyła o blat biurka, a ja drgnęłam i z całej siły zacisnęłam palce na ostrym kawałku szkła.

Najpierw przez łzy dostrzegłam czerwień i przez sekundę nie potrafiłam zrozumieć, skąd się wzięła, ale zaraz poczułam ostry ból na wewnętrznej stronie dłoni i wydałam zduszony okrzyk. Wypuściłam odłamek z ręki i zachwiałam się; byłabym upadła, gdybym ranną dłoń nie podparła się na usłanej szkłem podłodze. Poczułam kolejne skaleczenie i jęknęłam, gdy do ranki dostał się alkohol, powodując palący ból.

Vincent sapnął z irytacją i błyskawicznie odepchnąwszy się od biurka, szybkim krokiem się do mnie zbliżył. Zanim zdążyłam zrozumieć, co się dzieje, jego palce objęły nadgarstek mojej poszkodowanej dłoni i zmusiły mnie do uniesienia jej do góry.

– Wstawaj – syknął cicho.

Od razu z jego pomocą podniosłam się. Vincent jedną ręką ciągle trzymał mnie za nadgarstek i pilnował, bym nie opuszczała dłoni, a drugą położył mi na łopatce i delikatnie skierował mnie do drzwi gabinetu.

Przez chwilę wierzyłam, że wyrzuci mnie za nie i je za mną zatrzaśnie, ale to nie był najwyraźniej jego plan. Większość łez udało mi się zwalczyć gwałtownym mruganiem, ale wciąż dokuczał mi nieprzyjemny ból i nie skupiałam się zbyt na tym, gdzie mój brat mnie zabiera. Zdążyłam się tylko zorientować, że ruszyliśmy się w głąb zakazanego korytarza.

Vincent otworzył jakieś drzwi i wprowadził mnie do środka. Zmrużyłam oczy, gdy podłużne pomieszczenie bez okien rozświetliło wyjątkowo jasne światło lamp pod sufitem. Od razu się zorientowałam, że to nie jest kolejna przytulna sypialnia gościnna w tym domu. Ściany były szare, wyłożona kafłami podłoga też. W rogu stał duży metalowy stół, taki z czterema nogami na kółkach i grubym, solidnym blatem. Wzdłuż jednej z dłuższych ścian ciągnęły się szerokie lady, pod którymi skrywały się szuflady – gładkie i metalowe. Pokój skojarzył mi się z salą przedoperacyjną, w której chirurdzy szykują się do przeprowadzenia zabiegu. Nigdy w żadnej nie byłam, ale tak ją sobie mniej więcej wyobrażałam – panował tu ten sam rodzaj sterylności i surowości.

Uderzyła mnie myśl, że to niebywałe, iż w Rezydencji Monetów, którą od dłuższego już czasu uznawałam za swój dom, wciąż istnieją nieodkryte dla mnie pomieszczenia.

Zatrzymaliśmy się przed głębokim zlewem i Vincent kazał mi trzymać nad nim krwawiącą teraz już mocno dłoń, a sam nachylił się, by przyciągnąć do siebie czarny stołek na kółkach.

– Siadaj.

Wykonawszy jego polecenie bez dyskusji, patrzyłam, jak wyciąga z szafki ciemnozieloną skrzynkę, a potem cały wór gazy i płytkie stalowe naczynie. Na widok tych utensyliów mój grymas bólu jeszcze się

powiększył. Gdy Vince ponownie zwrócił się w moją stronę, cofnęłam rękę przed jego palcami.

– Co robisz? – wychrypiałam.

Spojrzał na mnie, bo przecież odpowiedź była oczywista. Zauważyłam, że jego oczy znów wyglądają jak dawniej. Sama nie wiem, czy przyjęłam ten fakt bardziej z ulgą, czy z jeszcze większym strachem.

– Poraniłaś sobie całą dłoń.

– To nic, przemyję ją i już, nie potrzebuję tego wszystkiego – upierałam się, wskazując brodą na przygotowaną gazę i apteczkę.

– Dziecko drogie, przecież ty masz w tej ranie szkło. Przestańże mnie testować, bo naprawdę kończy mi się cierpliwość.

Zamilkłam niepocieszona i patrzyłam, jak sięga po pęsetę chirurgiczną.

– Po co to?

Nie odpowiedział. Może był na mnie za bardzo zły i uznał, że jego czynności nie wymagają objaśnień. Najpierw puścił wodę z kranu o długiej, elastycznej szyjce. Mocny strumień zmył z powierzchni zlewu ślady mojej krwi tuż przed tym, jak Vince uregulował ciśnienie i temperaturę. Delikatnie, ale stanowczo pociągnął mnie za nadgarstek, tak że już wkrótce zaciskałam z całej siły zęby, znosząc chłodną wodę wchodzącą w kontakt z moją raną. Mokłą skórę osuszył ręcznikiem papierowym, omijając rozcięcia. Stały się one teraz bardziej widoczne i jedno z nich ciągnęło się przez środek całej mojej dłoni.

Spięta i zestresowana patrzyłam, jak Vince zbliża do rany pęsetę. Szykowałam się na ból i tłumienie krzyku, ale pozytywnie się zaskoczyłam, bo obchodził się ze mną na tyle sprawnie i delikatnie, że oprócz drobnego dyskomfortu żadna krzywda mi się nie działa. Gdy sobie to uświadomiłam, rozchyliłam powieki i coraz śmielej zaczęłam przyglądać się jego skupionej twarzy.

Gdy ostatni odłamek szkła wylądował z cichym grzechotem w płytkim metalowym naczyniu, Vincent odłożył swoje narzędzie tortur i ponownie przemył moją ranę, a potem osuszył ją ręcznikiem papierowym, ośmielając się ucisnąć ją dużo mocniej. Skrzywiłam się, ale na tym etapie ufałam mu już na tyle, że ze spokojem i bez dyskusji pozwalałam mu na działanie.

Praktycznie w ogóle się do mnie nie odzywał. Nie ostrzegł mnie, nawet gdy użył potwornie szczypiącej maści, tak potwornie, że aż się wzdrygnęłam i przytuliłam czoło do ramienia, wzdychając ciężko. Gdybym sama nie była zła, to może i czułabym się głupio przez to, jak go niedawno traktowałam. Wiedziałam, że Vince nie znosi zbyt dobrze okazywania mu braku szacunku, a ja w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zademonstrowałam mu całkiem sporo takiego zachowania.

– Dziękuję – mruknęłam, kiedy Vincent owinał moją dłoń elastycznym bandażem, przyłożywszy najpierw do rozcięcia kawałek gazy.

Nie odpowiedział.

Siedziałam wciąż na stołku, gładząc opatrzoną rękę. Czułam przyjemne, bo przynoszące ulgę łaskotanie, gdy ból zamieniał się w delikatne pulsowanie. Gdy już napatrzyłam się na bandaż ze wszystkich stron, przeniosłam wzrok na brata. Chował apteczkę, a zużyte odpadki wrzucił do worka w zlewie.

Ciekawość wygrała ze złością i zapytałam go:

– Co to za miejsce?

Tylko po to, by z ostentacją zostać zignorowana.

Nie odezwałam się znowu, ale wciąż rozglądałam się wkoło i nigdzie się nie wybierałam. Nie po to zrobiłam najazd na gabinet Vincenta, żeby teraz tak po prostu podkulić ogon i uciec.

– Wieczorem, zanim pójdziesz spać, należy go zmienić – rzucił oschle. – Zrobię to ja albo któryś z chłopaków, ale informuję cię o tym, żebyś sama też pamiętała.

Pokiwałam głową.

Nadal twardo nie ruszałam się z miejsca, aż Vince, który nie miał tu już nic więcej do zrobienia, stanął nade mną i spojrzał na mnie bez emocji, gotów był do wyjścia.

– Kiedy mówię – zaczął cicho, ale dobitnie – że zostajesz w domu i nie idziesz do szkoły, ty zostajesz w domu i nie idziesz do szkoły. Kiedy mówię, żebyś wyszła z mojego gabinetu, ty z niego wychodzisz. Kiedy mówię, żebyś czegoś nie ruszała, ty tego nie ruszasz. Co jest tutaj dla ciebie niezrozumiałe?

Spuściłam wzrok na zabandażowaną dłoń.

– Gdy się mnie nie słuchasz, kończy się to w ten sposób. – Wskazał na opatrunek.

– Nie zbiłam tej karafki celowo – odezwałam się drżącym głosem. – Straciłam panowanie, bo...

– Hailie, nie życzę ci, żebyś kiedykolwiek była świadkiem, jak panowanie tracę ja.

Odetchnęłam, czując powracającą irytację.

– To się raczej nie stanie, bo żeby znaleźć się w tym samym pomieszczeniu co ty, potrzebuję specjalnego zaproszenia, twojej łaski oraz zgody twojego ochroniarza!

– Dziś nie otrzymałaś żadnej z tych rzeczy, a mimo to rozmawiamy.

– Musiałam rozwalić sobie rękę, żebyś poświęcił mi pięć minut swojego cennego czasu.

– I te pięć minut już minęło, dlatego zapraszam do wyjścia. – Płynnym ruchem dłoni wskazał na drzwi, a ja zamrugałam zaskoczona jego cierpkim tonem. Wiem, że go wkurzyłam, ale jego niechęć zaboliała mnie mocniej niż skaleczona dłoń.

Nieznacznie opuściłam głowę i podniosłam się ze stołka, kierując się w stronę drzwi. Vince zamknął je i słyszałam jego ciche kroki, gdy podążał za mną korytarzem. Zwolniłam, mijając jego gabinet. Ochroniarz stał nieopodal, unikając mojego spojrzenia. Jakie to głupie, że w ogóle tu był. W moim domu znajdują się pokoje, o których nie wiem, i kręcą się ludzie, których nie znam. Na dodatek mój opiekun prawny nawet nie próbuje udawać, że pod tym dachem tajemnica nie goni tajemnicy.

Krew znowu zawrzała mi w żyłach i poczułam niechęć w stosunku do Vincenta. Byłam tak głęboko urażona sposobem, w jaki zostałam przez niego spławiona, że początkowo planowałam po prostu zrobić tak, jak sobie zażyczył, i opuścić skrzydło pracownicze. Kapałabym się we własnej złości i nakręcała w myślach. Tak by było, gdyby nie to, że zerkając kątem oka do biura Vincenta, dostrzegłam leżącą na podłodze karafkę, którą stłukłam, i zmarszczyłam brwi, a sekundę później nagle się zatrzymałam.

– Vince? – zapytałam zmienionym głosem. Nie roszczeniowym, wściekłym czy zjadliwym, a cichym i normalnym.

Odwróciłam się do niego i omiotłam wzrokiem jego postać. Miał koszulę, której biel powalała swoją świeżością (jakimś cudem zdołał nie ubabrać się moją krwią) i ciemnoszarą obcisłą kamizelkę. Wyglądał elegancko i schludnie jak zawsze. Ale te jego oczy, które teraz patrzyły na mnie niewzruszenie i może nawet ponaglały mnie, bym zniknęła stąd jak najszybciej, wciąż zdawały się nosić w sobie ślad łapiącego za serce człowieczeństwa, którym wcześniej tak wyprowadził mnie z równowagi.

– Dobrze się czujesz? – wypaliłam.

Chyba otwierał usta i to na sto procent po to, żeby znowu wypowiedzieć jakiś szorstki rozkaz, ale moje pytanie zbiło go z pantałyku, bo zamrugał i odpowiedział dopiero z niewielkim opóźnieniem:

– Tak.

– To dlaczego piłeś whisky o tej porze? Nie ma jeszcze ósmej rano.

Vincent zamrugał, znowu, kompletnie nieprzygotowany na to przesłuchanie prowadzone przez młodszą siostrę.

– Karafka stoi na moim biurku od wczoraj – odparł, po czym jego spojrzenie stało się intensywniejsze, gdy dodał: – A raczej stała.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy kłamie. Nie było to jednak istotne, bo do swojej głowy dopuściłam już ziarenko zmartwienia, które rozsiało się tam teraz na dobre. Vincent zniecierpliwił się i mnie wyminął, ale ja ruszyłam za nim. Testowałam go dziś do granic możliwości i chyba swoją natarczywością właśnie przegięłam, bo to był ten moment, w którym gotów był stracić panowanie. Widziałam to w jego oczach, w jego zaciśniętej szczęce i unoszącej się klatce piersiowej. Miał mnie dość, a może po prostu miał dość, że jestem tak okropnie nieposłuszna i że mówi się do mnie jak do ściany, ale ja, widząc go w takim stanie, po prostu podświadomie nie potrafiłam odpuścić.

I chyba tylko dlatego, że wpadłszy za nim do jego gabinetu, natychmiast oplotałam go ramionami, on ostatecznie nie wybuchnął. Znieruchomiał, gdy z całych sił zaciskałam ręce wkoło jego talii, a policzek przycisnęłam do jego klatki piersiowej tak, że słyszałam, jak bije mu serce.

Nie puszczałam go przez dłuższy czas. Chciałam mu dać te objęcia, bo intuicja podpowiadała mi, że on ich potrzebuje. Nawet jeśli miał mnie zaraz odepchnąć albo na mnie warknąć. Świadomość, że Vincent może się źle czuć i potrzebować wsparcia, przysłoniła mi wszelkie negatywne emocje – także te, które przecież czułam przez niego.

W pewnym momencie jego ramiona mnie objęły, co przyjął z kompletnym zaskoczeniem, ale i wdzięcznością, że mój lodowaty starszy brat jednak postanowił przyjąć moje wsparcie. Wyciągnęłam w tył nogę, żeby stopą przymknąć drzwi i odciąć nas od czujnego wzroku ochroniarza.

Gdy zamek kliknął, Vince się rozproszył i poluzował uścisk, ale nie wypuścił mnie z niego. Minimalnie uniosłam głowę, by zerknąć na jego twarz. Powieki miał przymknięte. Och, Vince.

Trwaliśmy tak, dopóki nie otrząsnął się ze swojej chwili słabości. Zaczął wtedy powoli wypuszczać mnie z ramion i był to dla mnie jasny sygnał, że wystarczy już tych czułości, dlatego sama też się odsunęłam, ale tylko trochę, bo z wielką determinacją prawie od razu złapałam go obiema dłońmi za rękę.

– Porozmawiaj ze mną, Vince – zachęciłam go cicho, na co on pokręcił głową.

Zacisnęłam palce, powstrzymując grymas, gdy zabolą mnie moja rana.

– Nie obchodzi mnie, czy jesteś ode mnie starszy o czternaście lat, czy dwadzieścia, czy nawet osiemdziesiąt. Jesteśmy rodziną, możemy rozmawiać zawsze i na każdy temat. A nawet powinniśmy. Więc proszę cię, Vince, porozmawiajmy.

Milczał i zdawało mi się, że jego twarz wygląda na pobladłą i udręczoną, więc nikczemnie skorzystałam z okazji i pociągnęłam go w stronę kanapy. Usiadł na niej z westchnieniem, a ja przycupnęłam obok, na brzegu, całkowicie zwrócona w jego stronę, wciąż obejmując jego dużą dłoń. To była akurat ta, na której nosił ten swój dumny sygnet.

– Hej – szepnęłam, gdy znowu przymknął powieki – jestem twoją siostrą. Jestem po twojej stronie. Zawsze. Obiecuję. Możesz mi powiedzieć, co zechcesz.

Otworzył oczy i spojrzał na blat biurka, a potem na potłuczoną karafkę. Zaciśnął usta, a jego dłoń, na której spoczywały moje palce, drgnęła, jakby chciał ją zabrać.

– Już ci powiedziałem – odezwał się wreszcie nieco zachrypniętym, cichym głosem. – Chcę, żebyś wyszła.

Westchnęłam zawiedziona jego uporem. Prawie dopiął swego, bo poważnie rozważałam, żeby po prostu wstać i wyjść. Vincent był najtrudniejszym człowiekiem na ziemi, gdy przychodziło do szczerych rozmów, zwłaszcza takich, w których to on miał za zadanie zdjąć swoją maskę. Nie posłuchałam go tylko dlatego, iż przyszła mi do głowy myśl, że Vince, choć taki trudny we współżyciu, na pewno również potrzebuje wsparcia, jak każdy.

– Nie odsuwaj mnie od siebie. Chcę pomóc.

Nachyliłam się i jakby to był dla mnie najnaturalniejszy gest na świecie, pocałowałam go w policzek, wkładając w ten gest tyle troski, ile moje serce było w stanie pomieścić. Vince najpierw zeszywniał zaskoczony, a potem powoli przechylił głowę w moją stronę, żeby nareszcie spojrzeć mi w twarz. Znów miał to pełne emocji spojrzenie, jakbym w magiczny sposób na chwilę pomogła mu pozbyć się kamuflażu.

– Doceniam twoje dobre chęci, Hailie – powiedział bez porównania dużo życzliwszym głosem niż wcześniej – ale nie możesz mi pomóc.

– Może nie rozwiążę twoich problemów, ale mogę wesprzeć cię inaczej – upierałam się. – Kazałeś mi wyjść, bo tra ciłeś kontrolę? Czasem nie ma w tym nic złego, czasem dobrze jest ją stracić. Nie można wiecznie tłamsić w sobie wszystkich uczuć.

– Nie powinienem jej tracić przy tobie.

– Bo?

– Nie chcę cię wystraszyć.

– Dlaczego miałabym się bać tego, że mój brat nie jest robotem bez uczuć, a po prostu człowiekiem? Vince, uwierz mi, to dla mnie ulga!

Pokręcił głową, jakby nie chciał tego słuchać, i przetarł powieki wolną dłonią.

– Chcę ci dać namiastkę stabilności, Hailie – wyznał. – Potrzebujesz w życiu kogoś, na kim będziesz mogła polegać zawsze i wszędzie.

Z ciężkim sercem zaczęłam kręcić głową już w połowie jego wypowiedzi.

– Ja wiem, że na tobie mogę polegać zawsze i wszędzie. Ja to wiem i nie musisz przede mną niczego udawać. A już na pewno nie musisz ukrywać swoich uczuć. Nasz tato trafił właśnie do więzienia, na Lorda!

– Przykro mi, Hailie – powiedział. – Zaslugujesz na to, by mieć oboje rodziców w swoim życiu. Przykro mi, że nie masz w nim ani jednego.

Spuściłam wzrok na kolana.

– Ty też na to zasługujesz – wymamrotałam, po czym z powrotem przeniosłam wzrok na niego. – Dlatego to takie ważne, żebyśmy się nawzajem wspierali.

– Musisz zrozumieć, że ja nie zawsze mogę wspierać cię w tradycyjny sposób. Ty chciałabyś wiedzieć wszystko i znać wszystkie wyjaśnienia, tymczasem ja bardzo często nie jestem w stanie ci ich dostarczyć. Dlatego moje wsparcie często jest przez ciebie odbierane jako złośliwość.

– Chyba rzeczywiście mamy inną definicję wsparcia – mruknęłam, ale dorzuciłam głośniejsze: – Okej, to może spróbujemy tak... Czy możesz mi wytłumaczyć... proszę, dlaczego nie mogę jechać dziś do szkoły?

Vincent wzniósł oczy do góry.

– Obecnie mam na głowie mnóstwo spraw. Jedną z nich jest spotkanie z dyrektorem twojej szkoły, by wyprostować informacje na temat naszego ojca i nakreślić jego sytuację. Jest ona wysoko na mojej liście priorytetów, ale nie najwyżej. I dopóki nie odbędzie, między innymi, tej rozmowy, ty nie wrócisz do szkoły – rzekł, po czym nie byłby sobą, gdyby nie dodał: – Czy to jest dla ciebie jasne?

Na chwilę oderwałam ręce od jego dłoni, żeby je rozłożyć.

– I dlaczego nie mogłeś od razu tak postawić sprawy?

– Ponieważ musisz się nauczyć, że podjętych przeze mnie decyzji się nie kwestionuje. Ja nie muszę ci się tłumaczyć, a co więcej, w większości przypadków nawet nie mogę. Zawsze jednak kieruję się kwestią twojego

bezpieczeństwa i niezwykle ułatwiłoby mi to zadanie, gdybyś wreszcie postanowiła mi w tym zaufać.

– Ale ja ci ufam, Vince – odparłam od razu. – Nie lubię tylko tego, jak mnie traktujesz.

Znowu odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Dziecko drogie, nikogo nie traktuję z większą pobłażliwością niż ciebie.

– Poważnie? – prychnęłam cicho. – Właśnie próbowałeś wyprosić mnie ze swojego gabinetu. Kilka razy.

– A mimo to nadal tu jesteś. – Vince spojrzał na mnie znacząco. – Sytuacja jest tak samo trudna dla mnie, jak i dla ciebie oraz reszty chłopców. I podczas gdy z pewnością nasze poziomy wrażliwości się różnią, to każdy z nas musi znaleźć swój własny sposób, żeby poradzić sobie z bieżącymi wydarzeniami.

– Nie twierdzę... to nie tak, że... ja wiem, że... wam też jest ciężko. Ja tylko... mam wrażenie, że ty i wy zawsze traktujecie mnie... inaczej.

– Zgadza się. Powiedziałem już, że jesteś traktowana z większą pobłażliwością.

– Raczej chodziło mi o to, że mam więcej ograniczeń. To mnie zawsze grozi nauczanie domowe, to przede mną brama się nie otwiera.

– Brama się nie otworzyła, bo zostało ustalone, że nie jedziesz dziś do szkoły.

Zacisnęłam palce w pięści i natychmiast je rozluźniłam, gdy zaboląła mnie ranna dłoń.

– A gdybym chciała pojechać na zakupy?! Też by się nie otworzyła! Jestem tu zamknięta jak w więzieniu, zupełnie jak ojciec.

– O zakupy możesz poprosić Eugenie lub zrobić je przez internet. Ojciec nie ma tego przywileju.

– Kiedy może ja chcę wsiąść w auto i pojechać na nie sama. – Widząc, że Vince zamilkł, pokiwałam głową i kontynuowałam: – Widzisz, tu chodzi o to, że ciągle mnie ograniczasz. Chłopcy mogą sobie robić, co chcą, więc kiedy zdarza się taka sytuacja jak teraz, wiedzą, że sprawa jest poważna. Ja

mam same zakazy, więc skąd niby mam wiedzieć, które są szczególnie istotne?

– Nie zachowuj się, jakbyś nie była w wieku, w którym ograniczenia to rzecz normalna. Jako twój opiekun prawny jestem odpowiedzialny za twoje wybory, a więc ukrócam je, kiedy uznaję to za słuszne.

– Och, jestem pewna, że Shane, Dylan i Tony w moim wieku mieli o niebo więcej luzu.

– Za nich nigdy nie byłem bezpośrednio odpowiedzialny. Wujek Monty był.

– Słyszałam – potwierdziłam. – Ale czy on miał u chłopców jakikolwiek autorytet?

– Prawie żadnego – przyznał Vincent. – Przez całe życie zgrywał raczej rozrywkowego wujka. Sam za bardzo też nie palił się do odpowiedzialności.

– Czyli i tak to ty miałaś ich na głowie.

– Można tak powiedzieć.

– Więc o to mi właśnie chodziło. Prawie na to samo wychodzi.

Vince westchnął.

– Oni się tu wychowali, Hailie. Znają ten świat. Z tobą jest inaczej.

– Inaczej, bo robisz wszystko, żebym go nie poznała.

– Wracamy do punktu wyjścia. Wszystko opiera się na twojej wierze, że potrafię ocenić, jaka wiedza jest dla ciebie wystarczająca i bezpieczna.

Odchyliłam głowę, znużona tymi wnioskami, ale od razu nasunęło mi się nowe pytanie i z powrotem się wyprostowałam.

– Gdybym była dla was kolejnym bratem, nie siostrą, to traktowałibyście mnie inaczej?

– Nie wiem, Hailie, rzadko zastanawiam się nad tym, co hipotetycznie bym robił. Szkoda na to czasu.

– No to zrób wyjątek i się zastanów – naciskałam. – Proszę.

– Nie wiem – powtórzył. – Może. Prawdopodobnie. A reszta chłopaków traktowałaby cię inaczej na pewno.

Skrzywiłam się z niesmakiem.

– Nie wierzę, że mam mniej praw, bo jestem dziewczyną!

– Masz tyle samo praw, co my wszyscy – westchnął Vincent, na chwilę chowając twarz w dłoniach.

– Dyskryminujecie mnie, bo jestem dziewczyną, i jeszcze na dodatek z was wszystkich najmłodszą.

– Nikt cię nie dyskryminuje.

– Tak się czuję! Tylko za mną wiecznie ciągnie się ochroniarz. Ciągłe też macie problem z tym, co na siebie zakładam, ile jem... – mruknęłam, naciągając rękawy mundurka na dłonie. – Powinieneś widzieć Dylana w Nowym Jorku, nie dał mi odetchnąć nawet na sekundę. Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego tak jest?

Vincent patrzył na mnie i zdawał się nad czymś zastanawiać, co mnie dosyć zaskoczyło, bo byłam właściwie przekonana, że moi bracia to tacy trochę seksiści, którzy nie mają niczego na swoją obronę. Zaduma Vince’a sugerowała, że w ich zachowaniu może kryć się drugie dno, i żywo się tym zainteresowałam.

– Vince?

– Nie wiem, Hailie, dlaczego tak jest – zaczął, ale zanim zdążyłam odetchnąć z frustracją, kontynuował: – ale gdybym miał zgadywać, mam kilka pomysłów, czym nasza... nazwijmy to... nadopiekuńczość względem ciebie jest spowodowana.

Nadopiekuńczość. Piękne sformułowanie.

– Okej... – Usiadłam wygodnie, pokazując, że zamieniam się w słuch.

On pokręcił głową.

– To nieprzyjemny temat i nie sędzę, że powinniśmy go teraz poruszać.

– Vince, daj spokój. Chcę wiedzieć – zaprotestowałam i wydełam usta w podkówkę, wyczekując się w niego wpatrując. – Proszę, powiedz mi. Może ułatwi mi to życie.

Vince przeczesał ręką włosy i znowu zerknął na stłuczoną karafkę. Gdybym nie była zaangażowana w to, by za wszelką cenę pociągnąć go za

język, to na pewno zmartwiłabym się jego ciągotami do whisky. Tak się chyba objawia alkoholizm, co?

– Jestem gotowa, żeby cię wysłuchać, naprawdę – ponagliłam go.

– A ja nie jestem pewien, czy jestem gotów, żeby o tym mówić.

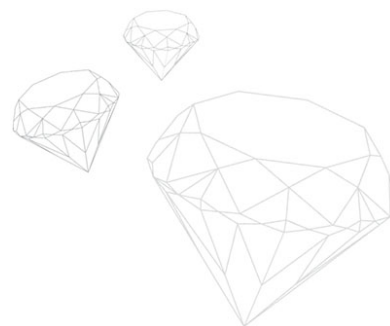
– Och. – Spuściłam wzrok, zmarszczywszy brwi. Ta jego tajemniczość trochę mnie niepokoiła.

Odetchnął i tym razem to on podniósł dłoń i położył ją na mojej, tej owiniętej bandażem. Zrobił to bardzo delikatnie, żeby mnie nie zabolalo, choć byłam prawie pewna, że i tak nie odczułabym żadnego dyskomfortu, bo gdy w tym samym momencie też na mnie spojrzał, jego intensywny wzrok od razu porwał mnie do innej rzeczywistości. Nagle zrozumiałam, że Vince powie mi zaraz coś ważnego, i poczułam, jak moje ciało napina się, jakby w oczekiwaniu na cios.

– Sądziłem, że jesteś za młoda na takie opowieści, ale skoro uważasz, że to pomoże ci lepiej zrozumieć swoją i naszą pozycję, to w porządku, opowiem ci. Ta historia jest gorzka i brutalna, więc prosiłbym cię, żebyś mi powiedziała, jeśli poczujesz się niekomfortowo, a ja od razu ją przerwę.

Vince oparł się wygodnie i założył nogę na nogę. Szukał w głowie sposobu na rozpoczęcie swojej opowieści. Wyczekiwałam tych pierwszych słów w ogromnym skupieniu, a oczy miałam wielkie jak talerze.

– Czy wiesz coś o... – Odetchnął. – Nie jestem zwolennikiem tej nazwy, ale wygląda na to, że muszę jej użyć. Czy wiesz coś o naszej rodzinnej... kłątwie?



56

KLĄTWA MONETÓW

O kłأتwie?

Zatrzepotałam powiekami, zaskoczona tym, jak absurdalnie to zabrzmiało.

– Kłأتwa Monetów. Wydaje mi się, że tak niektórzy to nazywają. – Vince wywrócił oczami.

– Mamy rodzinną kłأتwę?

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

– To zwykły idiotyzm, jednak interesuje mnie, czy o niej słyszałaś.

– Nie, ani słowa.

– Dobrze, a więc chłopcy jednak potrafią trzymać język za zębami – mruknął do siebie, kiwając z aprobatą głową. Potem zwrócił się z powrotem do mnie. – Za tą groteskową nazwą kryje się tragedia, droga Hailie, i to nie jedna.

Słuchałam go i ściągałam z trwogą brwi, palcami jednej dłoni skubiąc swój mundurkowy krawat.

– Na pewno chcesz tego słuchać?

Pokiwałam energicznie głową. Mimo strachu przed tą historią odczuwałam również ekscytację. Otwierały się przede mną drzwi do kolejnego sekretu rodziny i bardzo chciałam przekroczyć ich próg.

– Nie wiem, jak daleko sięga założenie tej rzekomej klątwy. Nigdy tego nie badałam, bo nie wierzę w takie bzdury i nie mam czasu się nimi zajmować. Wiem natomiast, że już nasz dziadek nigdy nie poznał swojej matki. A gdy związał się z Blanche, ona urodziła mu dwóch synów, jak sama wiesz.

– Tatę i wujka Monty’ego.

Vince skinął głową i ciągnął dalej:

– Potem była w trzeciej ciąży. Dziewczynka zmarła przy porodzie.

Palce zeszytywniały mi na krawacie, serce zabiło mocniej, a twarz wykrzywiło przerażenie.

– O Boże – wyszeptałam.

– Mhm, naturalnie dla Blanche to było wyjątkowo bolesne przeżycie. A nie miała też prostego życia z naszym dziadkiem, bo to był trudny człowiek. Dużo z nim przeszła. Lata później straciła wzrok. Podsumowując, życie nie było dla niej najlaskawsze.

Zagryzłam wargę.

– Właściwie to jak ona... no, straciła wzrok?

– Miała wypadek – odpowiedział krótko. – Na motocyklu.

– Na motocyklu?! – krzyknęłam i przykryłam usta dłonią. – Jak po czymś takim ktokolwiek w ogóle zgodził się na to, żeby Tony miał swój?!

Vince zerknął na mnie z zaskoczeniem, a potem prawie się uśmiechnął.

– Nikt nie jest zachwycony jego ciągotami do motocykli. Nie krępuj się, żeby z nim o tym porozmawiać. Może tobie uda się przemówić mu do rozumu.

– Porozmawiam na pewno – zadeklarowałam, kiwając głową.

Zrobię sobie z tego kolejną życiową misję, jeśli będzie trzeba.

– Dlatego też tobie nie wolno jeździć z nim – zaznaczył Vince, przez chwilę brzmiąc bardzo surowo. Skinęłam posłusznie głową, mając nadzieję, że nikt mu nie opowiedział o naszej przejażdżce w Los Angeles.

Żadne z nas nie uznało też za konieczne, żeby wspominać mój przerażający wypadek, który kiedyś miałam wraz z Tonym. Tamto wydarzenie było tylko kolejnym dowodem na to, że motocykl powinien zniknąć z naszego garażu.

– Jednakże tragedią, która odbiła się na nas najbardziej, była rzecz jasna ta, która dotknęła naszą matkę.

Dyskretnie przełknęłam ślinę.

– Wiesz, co jej się stało, prawda?

– Wiem, że poszła na masaż i... – zawahałam się.

– ...nie wróciła. Zgadza się. – Vince skinął głową i zamilkł na chwilę, a ja zastanowiłam się, czy może powinnam jednak machnąć ręką i przerwać tę rozmowę. Byłam jej jednak zbyt ciekawa, żeby od razu zareagować, przez co Vince zdążył z powrotem zabrać głos. – Nie chodzi jednak o sam sposób, w jaki umarła, ale i o wszystko to, co działo się wcześniej.

– Co działo się wcześniej? – zapytałam szeptem.

– Była bardzo młoda, gdy związała się naszym ojcem. Na początku umawiali się w tajemnicy, ale potem zaszła w ciążę i to zmusiło ich do ujawnienia związku.

Szturchnęłam go lekko, uśmiechając się, żeby rozluźnić trochę atmosferę.

– Czyli oboje byliśmy wpadkami.

– Nasz ojciec ma szóstkę dzieci – odparł, też unosząc kąćki ust. – Większość to wpadki.

Zachichotałam.

– Niestety, niektóre rodziny zatrzymały się w epoce średniowiecza. Rodzina naszej mamy jest tu idealnym przykładem. Wyrzekli się jej, bredząc coś o splamionym honorze.

– To była przecież ich córka – oburzyłam się.

– Mieli bardzo radykalne poglądy. Jej ojciec to mężczyzna, który ustawiał całą rodzinę pod swoje konserwatywne dyktando. Nie znam szczegółów, ale wierzę, że zaproponował matce pomoc, która polegała na wywiezieniu jej na wieś, gdzie mogłaby w sekrecie urodzić i oddać

dziecko, a potem raz na zawsze zakończyć znajomość z naszym ojcem. Oczywiście ani ona, ani ojciec się na to nie zgodzili.

– I wtedy się jej wyrzekł?

Vince skinął głową.

– Naturalnie nasz ojciec otoczył ją opieką. Jako że matka pochodziła z bardzo religijnej rodziny, nalegała na szybki ślub, poniekąd licząc może, że uda jej się tym wkupić z powrotem w łaski rodziny.

– Naprawdę po tym, jak okropnie ją potraktowali, ona chciała z powrotem wkupić się w ich łaski? – zdumiałam się.

– Była młoda i tęskniła za swoją rodziną, jakakolwiek by ona była. Całe życie była grzeczna i im podporządkowana, i nagle wszystko się zmieniło o sto osiemdziesiąt stopni. Nagle miała wsparcie tylko w naszym ojcu, który bez wątplenia ją kochał, ale również był młody i nie wiedział, jak najlepiej o nią zadbać. – Vince zamyślił się na chwilę. – Starał się, nie można zarzucić mu, że nie, ale czasami nawet najszczerze starania nie wystarczą.

Przygryzając wargę, wbiłam zamyślane spojrzenie w bandaż.

– Tato wziął z nią ślub, tak jak chciała, ale jej rodzina nie zmieniła stanowiska. Miała kontakt tylko z jedną ze swoich trzech sióstr, najmłodszą, z którą była najbliżej. Wszystkie spotkania czy telefony musiały aranżować w tajemnicy, przez co ich częstotliwość bardzo zmalała.

– Co z resztą sióstr? Tak po prostu zgodziły się od niej odwrócić? A jej matka?! – zdenerwowałam się.

– Jej matka to kobieta bez osobowości, zupełnie podporządkowana woli męża tyrana. Podobnie zahukane były jej siostry.

– Z jednej strony to brzmi strasznie – powiedziałam wolno. – Ale z drugiej... czy to nie lepiej, że się od nich uwolniła?

– Myślę, że ona nie widziała tego w ten sposób. Gdy jej najstarsza siostra urodziła swoje pierwsze dziecko, ich mama wspierała ją i dzieliła się z nią swoim doświadczeniem w opiece nad noworodkiem. Gdy Lindsay urodziła, nie miała nikogo takiego, kto by jej pomógł. Sama świadomość, że jej mama mogła być przy jej siostrze, ale nie przy niej, musiała być niebywale bolesna.

Pokręciłam głową oburzona.

– To brzmi strasznie – wyszeptałam. – Skąd ty właściwie to wszystko wiesz?

Vince odetchnął i odchylił nieco głowę.

– Od naszego taty. Przyszedł taki moment w moim życiu, w którym i ja potrzebowałam sensownych wyjaśnień. Przekazuję ci teraz jego słowa.

– Co on miał na to do powiedzenia? Czy wiedział, jak jest jej przykro?

– To skomplikowane, jak sam przyznał. Najpierw wprowadzili się do nowego domu i była zadowolona, gdy zajęła się remontami i wyborem mebli. Później powrócił ciężki okres, bo odkryła, że nie ma ani jednej bliskiej osoby, którą mogłaby zaprosić, żeby pochwalić się, jak mieszka. Potem urodziła i była szczęśliwa, że ma dziecko, po czym po kilku miesiącach znowu posmutniała, bo uświadomiła sobie, że jej rodzice naprawdę nie zamierzają zainteresować się swoim nowym wnukiem. Nasz ojciec chciał dla niej jak najlepiej, ale miał też swoje obowiązki na głowie i nie zawsze dawał jej to, czego potrzebowała. Nie zawsze również wiedział, czego tak naprawdę potrzebowała.

– A czego potrzebowała? – W skupieniu wpatrywałam się w na pozór pozbawioną emocji twarz Vincenta.

– Pomocy – odparł. – Specjalisty.

– Zachorowała?

Skinął głową.

– Nie pamiętam wszystkiego, Hailie, ale wiem, że nadszedł moment, gdy znowu było w miarę dobrze. Lindsay z Camem zdecydowali się na drugie dziecko, urodził się Will. Minęła chwila radości, po czym znowu jej się pogorszyło. Na długo. – Vince zaciskał szczękę, a jego bystre oczy zasły jakby mgłą. – Wraca do mnie takie wspomnienie z okresu, gdy miałem siedem lat: mama zasiadała ze mną i Willem do kolacji, zachęcała nas do jedzenia, pokazując, że sama się nim delectuje, a potem pozwalała nam pooglądać telewizję przed spaniem. Dziś wiem, że w tym czasie ona zamykała się w swojej łazience i zwracała każdy kęs, który przy nas w siebie wmusiła.

– Miała bulimię? – szepnęłam, czując, jak z nerwów ściska mi się żołądek.

Spojrzenie Vince’a wciąż było nieobecne, gdy je na mnie przeniósł.

– Miała wszystko – odpowiedział. – Myślę, że nawet lekarz miałby problem z dokładnym zdefiniowaniem jej dolegliwości, więc ja nie będę próbował. Powszechnie przyjęta nazwa to zaburzenia odżywiania i z pewnością moja matka na nie cierpiała. Na przestrzeni lat na przemian chorobliwie chudła i tyła. Bywały okresy, że prawie jej nie widywałem, bo godzinami katowała się na siłowni, a potem następował etap objadania się do granic możliwości. – Vince na chwilę zamilkł, zapatrzonego w dal, jakby się zastanawiał, czy podzielić się ze mną czymś jeszcze. Chyba się na to zdecydował, bo zaraz dodał: – Kiedyś natknąłem się na nią w pralni, gdzie schowała się ze świeżo upieczonym przez gospozię ciastem. Opychała się nim rękoma, a na mój widok się popłakała.

– Vince... – wymamrotałam ze łzami w oczach.

– Wypadały jej włosy, ale nikt tego nie zauważał, bo chodziła do drogiego salonu, gdzie zakładano jej doczepki. Wieczorami piła dużo wina i pisała niepokojącą poezję. A czasem wracała do baletu, który tańczyła w przeszłości, i wtedy katowała się dziwnymi dietami i frustrowała, że nie jest tak dobra, jak kiedyś.

– Dlaczego nikt tego nie widział? Dlaczego nikt jej nie pomógł? – Oddychałam coraz szybciej, coraz bardziej przejęta losem matki moich braci.

– Dobrze pytanie – pochwalił mnie Vince bez cienia entuzjazmu. – Gdybyś ją spotkała, nigdy nie pomyślałabyś, co się dzieje w jej głowie. Fantastycznie się kryła.

– Nawet przed ojcem? On musiał zauważyć, że coś jest nie tak!

– Przed nim kryła się najbardziej. Przez interesy często nie było go w domu, a gdy wracał, ona usilnie próbowała udowodnić mu, że wszystko jest idealnie. Chwaliła się, że wieczór wcześniej napisała wiersz, nie przyznając się, że wypila przy tym butelkę wina. Opowiadała o treningu na siłowni, nie wspominając, że trwał on pół dnia i skończył się omdleniem. Ojciec całował ją z dumą, a potem biegł przywitać się ze mną i Willem.

– A pomoc domowa? Opiekunki?

– Lindsay kazała im nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Jedna z pracownic, szczerze zaniepokojona, podzieliła się swoimi obserwacjami z Camem. Lindsay zdołała jakoś z tego wybrnąć i zamieść sprawę pod dywan, a potem przez tygodnie mściła się na niej tak, że finalnie kobieta sama odeszła z pracy.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Czy to dla ciebie za dużo, Hailie? – zapytał spokojnie.

Natychmiast uniosłam głowę.

– Nie. To znaczy, to wszystko jest okropne, ale nie musisz przerywać...
– Zawahałam się. – Chyba że sam chcesz...?

– Miałem siedemnaście lat na to, żeby oswoić się z tą historią, dlatego bardziej martwię się o ciebie.

– Nic mi nie jest, chcę wiedzieć, jak to... potoczyło się dalej. Powiesz mi, czy ktoś wreszcie dowiedział się o problemach waszej mamy?

Vince splótł dłonie na kolanach i spojrzał na nie, unosząc lekko brwi.

– Gdy ja lub Will przyłapaliśmy ją w jakiejś niecodziennej sytuacji, zawsze chwilę później do nas przychodziła, przytulała i jakoś nam to wyjaśniała, wymawiając się idiotycznymi argumentami, w które nawet nam, dzieciom, trudno było uwierzyć. Byliśmy coraz starsi i wreszcie czara goryczy się przelała. Pewnego dnia sam powiedziałem o wszystkim ojcu.

– Co zrobił?

– Wysłał ją na terapię. Podczas której przy okazji wyszło na jaw, że boryka się z depresją.

– I tego też nikt nie zauważył? – westchnęłam z frustracją.

– Depresja to nie choroba, którą zawsze można zdiagnozować na pierwszy rzut oka. Z pewnością nie u Lindsay. Wręcz przeciwnie, ona uchodziła za osobę radosną. Dużo się uśmiechała w towarzystwie, zawsze ładnie wyglądała. – Zmrużył oczy. – A cierpiała tylko w samotności.

Teraz bawiłam się końcówkami swoich włosów, potrafiąc myśleć tylko o tym, jak bardzo chciałabym pomóc tej kobiecie, i niezwykle przytłaczała

mnie świadomość, że nie mogę cofnąć się w czasie i otworzyć komuś oczu na to, w jak opłakanym stanie znajdowała się jej psychika.

– Nazywano ją... Laleczką Lissy. – Vince skrzywił się, jakby to przezwisko budziło w nim negatywne emocje.

Ja też się skrzywiłam.

– Laleczka? Poważnie? Brzmi jak przezwisko nadane przez zboczeńca – oceniłam, a potem zamrugałam, bo uświadomiłam sobie, że nie znam jego genezy i że może lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków. – To znaczy nie brzmi najlepiej... Kto je wymyślił?

– Nie wiadomo, kto je wymyślił, ale wkrótce podłapały je różne osoby. – Vince zacisnął na chwilę usta. – Matka słynęła z szerokiego uśmiechu, krótkich sukienek i urody porcelanowej lalki. Stąd wzięła się ta „Laleczka”, która na początku nie miała ordynarnego wybrzmienia. Dopiero później zaczęło tak na nią wołać zbyt wiele osób i przestało to być zabawne, a zrobiło się denerwujące. Ojciec się denerwował za każdym razem, gdy ktoś pozwolił sobie użyć przy nim tego przezwiska, i podczas gdy jego współnicy to rozumieli, to znaleźli się prostytutki, którzy nie mieli skrupułów przed gorszącymi żartami.

– To obleśne.

– Zgadza się. – Skinął głową. – Wróćmy jednak do jej zdrowia. Gdy ojciec dowiedział się o jej problemach, zaczął poświęcać zarówno jej, jak i nam więcej czasu. Matka wyznała mu, że marzy o córce, i to stało się jej motywacją do przejścia przez terapię. Gdy odzyskała zdrowie na tyle, by znowu zajść w ciążę, pojawił się Dylan. – Jeden kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu. – Może nie dziewczynka, którą sobie zaplanowała, ale wciąż kolejne dziecko, które pokochała.

– Czyli można powiedzieć, że wyzdrowiała?

Vince się zawahał.

– Nie do końca. Miała kilka dołków po narodzinach Dylana, ale pomagał fakt, że ciągle znajdowała się pod obserwacją lekarzy. Szybko jednak zaszła w kolejną ciążę, z bliźniakami... Ta ją przerosła.

– Znowu zachorowała?

Vince przechylił głowę, zastanawiając się, jak mi odpowiedzieć.

– Powiedziałbym, że nigdy nie wyzdrowiała. – Spojrzał na mnie uważnie. – Widzisz, Hailie, choroby psychiczne to nie grypa. Nie wystarczy ich wyleżeć. Są podstępne i nieprzewidywalne. Czasem nawracają, nawet jeśli sytuacja zdaje się opanowana. Lindsay zaszła w bliźniaczą ciążę tuż po narodzinach Dylana, dlatego jej organizm nie dawał sobie rady. Przeleżała prawie całe dziewięć miesięcy przykuta do łóżka. Nie była w stanie poświęcić wystarczająco dużo czasu nowo narodzonemu synowi, już nawet nie wspominając o mnie i o Willu. Bardzo też przytyła, dlatego gdy w końcu Shane i Tony pojawili się na świecie, ponownie zaczęła intensywny plan treningowy, by wrócić do formy.

– Czyli znowu jej się pogorszyło – skwitowałam smutno.

– Nie do końca, bo tym razem podeszła do tego we właściwy sposób. Miała trenera personalnego i – nie pamiętam dobrze, ale dietetyka chyba też. Jej stan może nie był najlepszy, ale przynajmniej w miarę stabilny. Była też silna i... – Vince lekko się uśmiechnął – ...walczyła dzielnie. Ojciec bardzo ją wspierał. Był coraz dojrzały i coraz bardziej zdecydowanie stawiał rodzinę na pierwszym miejscu.

Też się uśmiechnęłam, choć czułam w sercu, że zbliżamy się do końca tej opowieści, a dobrze wiedziałam, że nie będzie on szczęśliwy.

– Lindsay często chodziła do kosmetyczki i na masaże. Po wymagającej ciąży i ciężkich treningach często bolały ją plecy. To była też dla niej chwila wytchnienia. Wymówka, żeby wyjść z domu, gdzie nawet mimo pomocy niań i gosposi zawsze miała coś do zrobienia.

Nie umknęło mojej uwadze, że Vincent zrobił się jakby bardziej spięty. Jego ramiona zeszywniały, a twarz nieco zbladła i moje ciało zaczęło kopiować jego reakcje, szykując się na najbardziej nieprzyjemną część historii.

– Pewnego dnia wyszła na umówiony zabieg i... tyle.

Spuściłam głowę, czując, jak ogarnia mnie nagły smutek. Po prostu wiedziałam, że ta kobieta nie zasługiwała na taki koniec.

– Nie miała żadnego... ochroniarza ani nic? – zapytałam nieśmiało, nie wiedząc, na ile mogę sobie pozwolić na zadawanie pytań, tak żeby nie popełnić nietaktu.

Vince spojrzał w bok, ale zanim to zrobił, zdążyłam dostrzec, jak coś błysnęło w jego w oku. Podniósł dłoń i przetarł powieki, jakby był bardzo zmęczony, ale dotarło do mnie, że on właśnie najprawdopodobniej starł łzę, i gdy to zrozumiałam, prawie sama od razu się rozbeczałam.

– Przepraszam – załkałam, łapiąc go z powrotem za wolną dłoń. – Nie chciałam być wścibska!

Vince zerknął na mnie z zaskoczeniem.

– Nie jesteś... – zaczął, ale przerwał i odetchnął, a potem jego twarz złagodniała. Wyciągnął rękę, by mnie objąć, i przycisnął mnie do siebie. Moja głowa wylądowała na jego ramieniu i chętnie się o nie oparła. Na palcach jednej ręki mogłam wyliczyć, ile razy w życiu otrzymałam od Vince’a aż tyle czułości, i nie zamierzałam zmarnować żadnej takiej okazji.

Gładził moje ramię płynnymi, kojącymi ruchami.

– Chyba na dziś ci wystarczy – zasugerował cicho.

Natychmiast uniosłam głowę.

– Czyli to nie koniec historii?!

– Niezupełnie.

– Dokończysz mi ją? – Wyczekująco zerknęłam na jego twarz.

– Jesteś pewna, że chcesz ją usłyszeć do końca? – szepnął.

Pokiwałam głową.

– Tylko jeśli masz siłę opowiadać.

Vince znowu się spał, a pomiędzy jego brwiami pojawiła się pionowa kreska. Dłoń, którą mnie nie obejmował, położył płasko na swoim udzie i przyglądał się jej, jakby miała mu wskazać drogę ucieczki od rzeczywistości.

– O co wcześniej zapytałaś? – odezwał się cicho i w zadumie.

– Eee, czy to koniec historii?

– Jeszcze wcześniej.

– Czy... Nie, czemu nie miała ochroniarza? – Przełknęłam ślinę.

– To bardzo dobre pytanie, Hailie. – Vince ponownie tego ranka zerknął w stronę rozbitej karafki, a nawet drgnęły mu palce, jakby wyobrażał sobie,

że trzyma w nich szklaneczkę mocnego alkoholu. – Lindsay nie miała ochroniarza przeze mnie.

– Jak to? – Zmarszczyłam brwi. – Ile ty miałeś wtedy lat?

Zaczęłam liczyć, próbując udowodnić mu, że jako ledwo wchodzący w wiek dojrzewania dzieciak nie mógł być winny absolutnie niczemu.

– Trzynaście. Will dziewięć.

– Trzynaście lat, no właśnie. – Przechyliłam głowę z niedowierzaniem.

– Tamtego dnia Will ubzdurał sobie, że chce zobaczyć bajkę, która leciała wtedy w kinach. Z nudów podjudziłem go, żeby poszedł z matką, żeby ją ubłagał. Wiedziałem, że nie będzie jej to na rękę, bo szykowała się wtedy do wyjścia na zabieg. – Po jego nieobecnych oczach poznałam, że jego głowa jest teraz pełna tych wspomnień. – Tłumaczyła Willowi, że pójda kiedy indziej, a on marudził i marudził. Ja siedziałem na schodach, przysłuchiwałem się ich dyskusji i na koniec zawołałem do niego, żeby dał sobie spokój, bo mama ma nas gdzieś i tylko czeka, żeby uciec z domu. –

Pierwszy raz od początku naszej dzisiejszej rozmowy głos Vince’a zabrzmiał tak zimno. – Nie była zadowolona. Patrzyła na mnie z zaciśniętymi ustami, a potem wymusiła uśmiech, kucnęła przy Willu i zaproponowała mu, że pojadą razem. Ona pójdzie na masaż, on do kina, a potem go odbierze i wybiorą się na lody. Will się rozpogodził, a ona wstała, spojrzała na mnie i zapytała, czy chcę do nich dołączyć. Udawałem, że mi nie zależy, ale w końcu zabrałem się z nimi, bo perspektywa spędzenia czasu z matką, i to jeszcze bez najmłodszych dzieciaków, była wtedy dla mnie czymś niespotykanym i atrakcyjnym.

– Nie poświęcała wam wiele czasu? – wywnioskowałam cicho.

– Miała piątkę dzieci, a te najmłodsze zawsze lgnęły do niej na sam jej widok. Nie było mowy, by dała radę rozdysponować swoją uwagę dla każdego po równo. Dlatego czułem dumę, że wywalczyłem sobie i Williamowi to wyjście. – Czułam, jak jego obejmujące mnie ramię nieruchomieje. – Nie pomyślałem, że ta spontaniczna zmiana planów oznaczała, że zabraknie nam obstawy. Lindsay kazała swojemu ochroniarzowi zostać z nami w kinie. A to był akurat dzień, w którym jego obecność przy niej... okazałaby się przydatna.

Jeśli to możliwe, wtuliłam się w Vince'a jeszcze mocniej, chcąc mu pokazać najlepiej jak potrafię, że jestem przy nim.

– W ogóle nie obchodziło mnie to kino. Wyśmiewałem Willa, że ekscytuje się bajkami dla małych dzieci.

– Ale obchodziło cię to, że później spędzisz czas z mamą...

– Miałem trzynaście lat. To wiek, w którym powinienem był rozumieć więcej – stwierdził chłodno.

– Trzynaście lat to nie jest aż trzynaście, to jest tylko trzynaście – broniłam go.

Vincent wzruszył ramionami.

– To już nie ma znaczenia. Czasu nie cofniemy – uciął. – Moja matka została znaleziona martwa na stole w gabinecie masażysty.

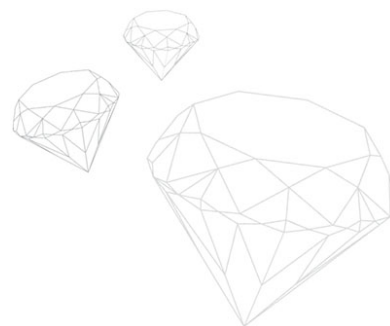
Jeśli rzeczywiście wcześniej udało mi się nie popłamić koszuli Vincenta krwią, to teraz na pewno moczyłam ją łzami.

– Skoro już zaszliśmy w tej historii tak daleko, to dopowiem ci szczegóły. Dasz radę posłuchać, Hailie? – zapytał, zerkając na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

Z wilgotną i czerwoną twarzą zapewne nie wyglądałam, jakbym miała dać radę, ale mimo to pokiwałam z zaangażowaniem głową, jakimś cudem przekonując tym Vince'a.

– Moją matkę zamordowano..... i zgwałcono. – Jego głos brzmiał w moich uszach jak stal, przerażająco niczym krzyżowane ostrza mieczy. –

Oprawca zostawił wiadomość, paskudną, wypisaną czarnym mazakiem na jej plecach. Nie przytoczę ci całej treści, ale wierzę, że potrafisz domyślić się jej przekazu. Komunikat nawiązywał do stosunku i zawierał słowo... „Laleczka”.



57

ZIELONE ŚWIATŁO

Śniadanie, które zjadłam jakąś godzinę temu, podeszło mi teraz do gardła. Nie panowałam ani nad łzami, ani nad gęsią skórą. Przyłgnęłam do Vincenta jak małopka i już sama nie wiem, czy chciałam go w ten sposób pocieszyć, czy po prostu sama szukałam otuchy.

– Vince... – wydusiłam i zadrżałam. – Boże, tak mi przykro.

On teraz obejmował mnie ramionami i gdy przelotnie zobaczyłam wyraz jego twarzy, dostrzegłam skupienie, zupełnie jakby moja reakcja prowokowała go do zachowania siły. Zaczynałam rozumieć, jak działa pokręcony umysł Vincenta. Brał na siebie odpowiedzialność zawsze wtedy, gdy wszyscy wkoło tracili grunt pod nogami. Jego samokontrola to prawdziwa supermoc i przekonywałam się, że jest doprawdy lepsza i wartościowsza nawet od czytania w myślach czy niewidzialności.

Długo trwaliśmy w ciszy, a emocje po opowiedzeniu i wysłuchaniu tej potwornej historii opadały powoli jak czarna kurtyna. Wreszcie Vince przemówił, jakby chciał domknąć swoją opowieść.

– I to, moja droga Hailie, nazywa się klątwą Monetów.

Teraz, gdy już wiedziałam, co stoi za tym określeniem, poczułam ciarki na plecach.

– I myślisz – zaczęłam, odchrząkując i połykając łzy – że może być tak, że w pewnym momencie mnie też dosięgnie ta klątwa?

Vincent zeszywniał, jakby moje słowa poraziły go niczym prąd. Zaraz złapał mnie za podbródek i twardo pociągnął go do góry.

– Tak naprawdę to bzdura – warknął. – Ciebie nie spotka nic złego. Opowiedziałem ci historię kobiet w naszej rodzinie, żebyś zrozumiała pewne zachowania twoich braci, a nie po to, abyś teraz zawracała sobie głowę zabobonami. Rozumiesz?

Pokiwałam energicznie głową, marząc, by przestał tak mocno ścisnąć mi brodę. W końcu się opamiętał, bo mnie puścił, ale wciąż brzmiał surowo, gdy mówił:

– Wiem, że czasami ci ciężko. Ale sytuacja mojej matki i twoja to dwie kompletnie różne bajki.

Nadal kiwałam głową, ale nic nie mogłam poradzić na to, że mimo wszystko byłam niezbyt przekonana.

– Jest też coś, czego Lindsay nie miała, a co mamy ty, ja i chłopaki – dodał. – Czy wiesz, co to?

Uniosłam na niego wzrok.

– Nie... – Pociągnęłam nosem i starłam z oka łzę. – Miłość? Przyjaźń?

Vince uśmiechnął się swoim firmowym uśmiechem.

– Bardzo ładnie kombinujesz, Hailie, ale akurat chodziło mi o geny ojca – odparł, a ja parsknęłam cichym śmiechem. – Tak, drogie dziecko, one są nie do zdarcia.

Przez chwilę z ust nie schodziły nam delikatne uśmiechy i byłam za nie wdzięczna, bo pomagały mi uporać się z ciążącym mi smutkiem po odkryciu prawdy o przeszłości Lindsay Monet.

– Hej, Vince – zagadnęłam, zapatrzona na mój bandaż. – Tak właściwie to miała być rozmowa na temat twojego samopoczucia, nie mojego.

– Moje samopoczucie w dużej mierze jest uzależnione od twojego, Hailie. Chcę, żebyś była szczęśliwa. – Delikatnym ruchem odgarnął mi włosy za ucho. – Lubię, gdy się śmiejesz. I nie lubię, gdy płaczesz.

Rozpłaczę się.

– Vince... – jęknęłam, a z moich oczu właśnie trysnęła fontanna słonych łez.

– I co ja ci właśnie powiedziałem? – zapytał z rozbawieniem i pokręcił głową.

– Vince, dasz sobie radę? Dasz, ze wszystkim, prawda?

– Dam – obiecał i spodobała mi się ta nuta pewności siebie, która wyraźnie rozbrzmiała w jego głosie. – Przestań już lamentować. Nic się nie dzieje.

– No a tato...

– Sytuacja z ojcem rozejdzie się po kościach. Potrzeba czasu. I cierpliwości.

Przyłapałam Vincenta na przyglądaniu się karafce, którą stłukłam, i nie wytrzymałam, więc zapytałam:

– I nie uzależnisz się od alkoholu, co?

Spojrzał na mnie w mgnieniu oka, mrugając z zaskoczeniem.

– Słucham?

– Widzę, jak często tam zerkasz. – Brodą wskazałam na kupkę szkła.

– Zerkam tam, droga Hailie, bo powoli uświadamiam sobie, że zniszczyłeś karafkę po naszym dziadku, wypełnioną wieloletnią whisky.

Wybałuszyłam oczy i przykryłam usta dłonią.

– O Boże, przepraszam, Vince, nie miałam pojęcia, że to pamiątka rodzinna...

– Nie chodzi o naczynie – przerwał mi i machnął lekceważąco dłonią. – Nie jestem sentymentalny. Bardziej martwi mnie zmarnowanie dobrego alkoholu wartego dziesiątki tysięcy dolarów.

Skrzywiłam się, nie wiedząc nawet, co na to odpowiedzieć.

– Trudno – mruknął do siebie, a potem głośniejszym głosem zwrócił się do mnie: – Liczę, że będziesz aktywnie pracować nad swoimi wybuchami złości.

– Mhm, będę – odpowiedziałam słabo, a potem w mojej głowie zagościł pewien pomysł i się ożywiłam. – Hej, może pójdziemy razem na strzelnicę?

Nie pogardziłabym okazją do wyładowania kilku emocji.

– Nie ma mowy – odpowiedział od razu Vincent i palcem wskazał na moją dłoń. – Teraz masz na nią uważać i jej nie nadwyręzać, jasne?

Uniosłam ją, spojrzawszy na niego spode łba.

– Vince, to tylko skaleczenie.

– Dopóki się nie zagoi, nie chcę cię widzieć ani na strzelnicy, ani na treningu. Przykro mi.

Wcale nie brzmiał, jakby mu było przykro.

Westchnęłam.

Następnie Vincent wypuścił mnie z objęć (nie chciałam tego, ale wiedziałam, że i tak, jak na siebie, był dziś dla mnie wyjątkowo czuły) i złożył dłonie.

– Podsumowując – zaczął oficjalnie – ja zajmę się swoją pracą, a ty zajmiesz się wierzeniem we mnie i tym samym nieutrudnianiem mi jej.

Uniosłam brew.

– Eee, czy to jest naprawdę to, co tutaj ustaliliśmy?

– Cieszę się, że się zgadzamy. – Vince skinął z aprobatą głową, zupełnie jakby mnie nie usłyszał. – Teraz już naprawdę muszę cię wyprosić. Mam całą listę spotkań. Jadę też dziś do Nowego Jorku, więc w razie potrzeby szukaj Willa...

– Ooo, po co jedziesz do Nowego Jorku? – zapytałam, a oczy mi się zaświeciły, bo w końcu sama spędziłam tam ostatnio miły weekend i to miasto mi się dobrze kojarzyło.

– W interesach – odparł, jakby to była najbardziej oczywista odpowiedź na świecie. – A teraz, czy jest coś jeszcze, co chciałabyś mi powiedzieć, czy możemy już zakończyć naszą rozmowę?

– Mam chłopaka.

Wymieniłam z Vincentem zdumione spojrzenia. Czy to on wypowiedział te słowa moim głosem? Innej opcji nie widziałam. Na pewno nie opuściły one moich ust, bo przecież nie byłam samobójczynią.

– Słucham? – zapytał, wpatrując się we mnie intensywnie.

Rozejrzałam się, jakby obok mnie miała stać druga Hailie, która tak wrednie mnie wrobiła, ale oprócz nas w biurze Vince’a nie było nikogo

innego.

– Słucham? – powtórzyłam głupio po nim, ale szybko przywołałam się do porządku i zaakceptowałam możliwość, że sama wpakowałam się w to bagno. Odetchnęłam, spuściłam wzrok i wyprostowałam plecy. – Mam chłopaka.

Vince przymknął oczy i palcami zaczął masować sobie powieki.

– Ach, i jeszcze to – mruknął.

– Co to ma oznaczać?

Vince otworzył oczy i rzucił mi zmęczone spojrzenie.

– Miałem poruszyć z tobą ten temat, ale ostatnio działą się ważniejsze sprawy – powiedział.

– Sonny ci naskarżył!

– Zdał relację – poprawił mnie. – Nie brzmiało to zresztą, jakbyś się specjalnie przed kimkolwiek kryła, czy się mylę?

– No... nareszcie jestem w szkole bez bliźniaków... – mruknęłam.

– Czy uważasz, że ukończenie liceum przez Shane’a i Tony’ego to dla ciebie zielone światło do obściskiwania się na szkolnych korytarzach? – zapytał ostro.

– Ehm... Nie...

– Nie chcę więcej słyszeć, że moja siostra angażuje się w takie aktywności, zwłaszcza na terenie szkoły, rozumiano?

– Czekaj, czy ty nie jesteś zły za sam fakt, że mam chłopaka?

Vince cmoknął językiem i nieznacznie się skrzywił.

– O, jestem zły. – Wziął wdech, a potem zerknął na zegarek. – Tylko dlaczego mówisz mi o tym akurat teraz?

– Bo... powiedziałam wcześniej Shane’owi. A on doradził mi, żebym powiedziała tobie.

– Shane ci to doradził? – Vince uniósł brew.

– Zaszantażował mnie, że jeśli w ogóle ci nie powiem, to wygada się reszcie.

– Ach tak.

– No i dał mi na to tydzień – wymamrotałam. – A tydzień mija dzisiaj, więc...

– Mhm, czyli czekałaś do ostatniego momentu?

– Nie patrz na mnie tym spojrzeniem, Vince. Boję się go.

Chyba go rozbawiłam, ale nie chciał dać tego po sobie poznać.

– Gdy mówiłaś, że nie mogę mieć chłopaka, to było dawno temu. Byłam młodsza i w ogóle. Teraz mam prawie siedemnaście lat i... proszę, chcę mieć... kogoś.

– Kogoś?

– No, Leo – westchnęłam, zdając sobie sprawę, że on dobrze wie, o kim mowa. – Chcę być z Leo. Spróbować. Bardzo się lubimy, a on mnie wspiera. Przy nim czuję się dobrze. Proszę, Vince, on jest porządny, i... – rozłożyłam ręce, szukając argumentów, które dotarłyby do mojego opiekuna – ...dobrze się uczy. Bardzo dobrze nawet. Często mi pomaga. Chce zostać lekarzem. Uważam, że to imponujące. Nie uważasz tak?

Vincent oparł czoło na dłoni. Dzisiaj przyprawiłam go chyba o więcej bólu głowy, niż doświadczył przez cały rok.

– Hailie, zdajesz sobie sprawę, że jego brat próbował cię skrzywdzić?

– No przecież tam byłam, nie?

– Hailie.

– Przepraszam. Chciałam powiedzieć, że no tak. Wiem, że jest to trudna i... skomplikowana sytuacja, ale...

– Nie jest trudna ani skomplikowana – wtrącił się, nie odwracając ode mnie pełnego dezaprobaty spojrzenia. – Jest bardzo prosta. Prędzej czy później namierzemy jego brata, a wtedy nikt nie okaże mu litości. Czy jesteś pewna, że twój chłopak to rozumie?

Przełknęłam ślinę i wbiłam wzrok w podłogę.

– No... Leo wam przecież pomaga, prawda? Jest w kontakcie z Willem... – wymamrotałam.

– Pomaga. – Skinął sztywno głową. – Ale czy rozumie?

Nie odpowiedziałam. Reakcja Shane'a, choć przesadzona, była dość przewidywalna. Vincent natomiast uderzał w przeraźliwie czułe punkty,

o których sama wcześniej nie chciałam za dużo myśleć.

Vince nie czekał w nieskończoność, aż się odezwę. Zamiast tego pozwolił, by moje milczenie wybrzmiało wymownie, i sam kontynuował.

– Wciąż uważam, że nie potrzebujesz chłopaka, a tym bardziej tego konkretnego. Jego powiązania z twoim napastnikiem są niebezpieczne. Dlatego osobiście nie zamierzam poprzeć tego związku – powiedział, a ja spuściłam głowę w dół. – Nie zamierzam jednak też zmuszać cię do jego zakończenia. Jeszcze nie. Jeśli wybierasz, żeby przeżyć to doświadczenie młodzieńczego zauroczenia, to niech ci będzie, Hailie, droga wolna. Będę z tobą kompletnie szczery i powiem, że mam nadzieję, iż niczym więcej niż przelotnym doświadczeniem ta relacja nie będzie.

Marszczyłam brwi, próbując połapać się w jego słowach.

– Czekaj, to znaczy, że pozwalasz mi się z nim widywać?

– Sprecyzuj „widywać”. – Vince uniósł brwi, rozkładając się na oparciu kanapy. Wyglądał jak władca świata na skórzanym tronie, obok którego zdarzyło się, że miałam zaszczyt siedzieć.

– No, rozmawiać i, ten, spotkać się czasem na kawę? – Zagryzłam wargę.

– Na kawę?

– M-hm.

Obserwował mnie przez chwilę, widocznie coś rozważając.

– Zrobisz, Hailie, tak – zarządził. – Ustalimy termin, kiedy zaprosisz swojego nowego chłopaka do naszego domu na kolację, a wtedy ja osobiście porozmawiam sobie z nim na temat tego, co mu wolno, a czego nie, i ocenię, czy jest dla ciebie odpowiednim towarzyszem.

Zamrugałam.

– Zaproszę? Ja? – wyjąkałam. – Jego, t-tutaj?

– Zanim to zrobisz, upewnij się, że wybrana data będzie pasowała także reszcie chłopaków.

Zamarłam.

– Vince...

– I nie wcześniej niż za dwa tygodnie, bo tyle potrwa twój szlaban.

– Mam szlaban?

Vince spojrzał na mnie, jakbym spadła z księżyca.

– Żeby tylko. Oddasz mi również swój telefon, laptopa, kartę kredytową oraz kluczyki do samochodu.

Rozchyliłam usta i zamrugałam.

– Kartę? Kluczyki? – powtórzyłam głupio.

Vince cierpliwie skinął głową.

– Cieszę się, że porozmawialiśmy, ale nie zwalnia cię to z odpowiedzialności za wcześniejsze słowa i czyny. Brak szacunku, krzyki, wulgaryzmy i, co więcej, przemoc, zwłaszcza wobec mnie, nie będą przeze mnie tolerowane – oznajmił. – Pytałaś, co mogę ci jeszcze zabrać? Tak więc, jak widzisz, jest kilka takich rzeczy. – Zerknął na swój zegarek. – Masz pół godziny, żeby je zebrać i mi tu przynieść.

– Vince... – jęknęłam.

– Koniec rozmowy. Naprawdę muszę wracać do pracy. – Mówiąc to, wstał i podszedł do swojego biurka, a gdy za nim zasiadł, wskazał dłonią na jego blat, powtarzając: – Pół godziny.

Nie czekałam, aż zacznie gromić mnie spojrzeniem, więc wygięłam usta w kwaśnym uśmiechu i czym prędzej wyszłam, cicho przymykając za sobą drzwi.

W korytarzu stał ochroniarz i jestem pewna, że wcale mi się nie wydawało, gdy wyczułam bijącą od niego aurę niechęci wobec mojej osoby. Nie potrafiłam go obwiniać – trochę mnie poniosło.

– Przepraszam za to najście – powiedziałam, przystając. – Nie panowałam nad sobą.

Mężczyzna sztywno schylił przede mną głowę.

– Nie ma potrzeby przeproszać, panno Monet.

Brzmiał trochę jak Sonny, ale o wiele sztuczniej, i byłam prawie pewna, że chowa wobec mnie urazę, której nie odważył się nadto mi zademonstrować. Pomyślałam sobie, że każdy, kto naraziłby mnie na gniew Vince'a, spotkałby się z podobną moją reakcją, więc nie potrafiłam się na niego złościć.

Pół godziny na zebranie moich rzeczy to brzmiało jak całkiem sporo czasu. Telefon miałam przy sobie, a resztę wymienionych przez Vince'a przedmiotów zostawiłam w torbie, w aucie. Tutaj zaczynały się schody, bo właśnie przypomniałam sobie, że rzeczne auto zostawiłam pod bramą. A dostanie się tam zajęło mi kilka długich i cennych minut. Nie wiem, ile dokładnie, bo nie patrzyłam na zegarek. W ogóle trudno mi było skupić się na czymkolwiek po ciężkiej rozmowie odbytej w gabinecie najstarszego brata. To dlatego chyba, dopiero gdy znalazłam się prawie pod samą bramą, zorientowałam się, że moje porsche zniknęło.

Stałam w miejscu, w którym wcześniej je zostawiłam, i zmarszczyłam brwi, rozglądając się, jakbym spodziewała się, że może skryło się za drzewem. Nie stało się tak. Oczywiście nie zaczęłam panikować, bo domyśliłam się, że ktoś okazał się na tyle uprzejmy, że po prostu przeparkował je z powrotem do garażu. Zrobiło mi się głupio, że tak je tu zostawiłam. Jeszcze chwilęostałam w miejscu i rozejrzałam się, ale nie znalazłszy nawet śladów opon na wyłożonej schludną kostką drodze, wzruszyłam ramionami i już miałam zawrócić, gdy kierowana impulsem zbliżyłam się do bramy.

Była wielka, tak szeroka, że trzy auta ustawione obok siebie mogłyby przejechać przez nią w tym samym czasie. Nie jestem dobra w miarach, więc nie do końca potrafiłam oszacować jej wysokość, ale gdybym już koniecznie miała ją opisać, to użyłabym własnych jednostek. Tak więc miała wysokość takich, na oko, dwóch Dylanów. Jej pionowe kraty świetnie imitowały te więzienne, jakby się zastanović, i nawet osoba tak drobna jak ja nie dałaby rady się między nimi prześlizgnąć.

Zacisnęłam lekko palce na wspomnianych metalowych kratach i, tak jak wcześniej, potrząsnęłam nimi. Brama ani drgnęła, a ja poszłam o krok dalej i ułożyłam stopę na jej podstawie, lekko się unosząc. Potem drugą stopę zaczęłam nieco wyżej i na tym musiała się skończyć moja wspinaczka, bo więcej miejsc, w które mogłabym wpasować stopę i podciągnąć się wyżej, nie było. Nie wspominając już o tym, że ogrodzenie na górze zakończone było eleganckimi spiczastymi czubkami, które wyglądały na ostre.

Żeby nie było, wiedziałam, że nie dałabym rady przejść tej przeszkody, a nawet gdybym jakimś cudem zdołała nad nią przefrunąć, to i tak świata bym nie zawojowała. Przebycie pieszo drogi do szkoły zajęłoby mi chyba

kilka godzin. Oczywiście zakładając, że na tej pozbawionej pobocza drodze nikt by mnie nie potrącił. Albo że nie zaatakowałby mnie żaden dziki leśny zwierz. Z pewnością nie paliłam się do takiego spaceru.

Gdy rozdzwonił się mój telefon, zeskoczyłam te marne kilkanaście centymetrów na ziemię, na które się wspierałam, i syknęłam, gdy zabolęło mnie rozcięcie na dłoni. Przez swoją bezmyślność pobrudziłam też bandaż i teraz jego poszarzały kolor miał mnie irytować do końca dnia. Rozdrażniona sięgnęłam do wewnętrznej kieszeni mundurka i westchnęłam na widok imienia Dylana na ekranie.

– Co chcesz? – zapytałam.

– Nie uda ci się.

– Co znowu mi się nie uda?

– Nie dasz rady wspiąć się na bramę.

Odwróciłam się, domyślając się, że obserwuje mnie spod domu, ale droga wyjazdowa z posesji Monetów zakręcała tak, że wcale nie była dobrze widoczna z samej rezydencji.

– Zimno, Hailie – zaśmiał się Dylan, a ja zaczęłam się rozglądać na boki.

– Zimno, mróz, mróz, zimno, zimno...

Zmrużonymi oczami skanowałam drzewa wokół mnie.

– Ciepłej. Ciepło, ciepło... Ding, ding, ding – zaśpiewał do słuchawki. – No i jest ogień, mała dziewczynko.

Wpatrywałam się zaskoczonym wzrokiem w ukrytą na drzewie, z boku, tuż nad ogrodzeniem przy bramie, kamerę, którą, przysięgam, dostrzegłam tu pierwszy raz w życiu. Przytulona między pniem drzewa a gałęzią była genialnie schowana.

– Przestań mnie podglądać – warknęłam.

– Robię ci przysługę. Zaraz spadniesz i będziesz płakać.

– Odczep się.

– Zabrałem twoje auto do garażu. Nie wiesz, że trzeba sprzątać po sobie zabawki, mała Hailie?

– Nie musiałeś – odburknęłam. – Jak widzisz, wróciłam po nie sama.

– Do tego czasu akumulator twojego biednego samochodu już dawno by się rozładował. Nie mówiąc o zużytym paliwie. – Dylan cmoknął kilka razy z protekcyjną manierą. – Bardzo nieładnie, mała Hailie, ktoś tu jest rozpieszczony.

– To hybryda, silnik przecież wyłączył się sam – odpyskowałam, siląc się na to, by na niego nie nawrzeszczyć.

– Małej dziewczynce trzeba chyba załatwić karę na prowadzenie – ciągnął, ignorując moje słowa.

– Odwal się.

– Ach, chyba że ty już dostałaś karę na prowadzenie – zarechotał Dylan.

Przymknęłam powieki i wzięłam głęboki wdech.

– Hm? Małej Hailie nie wolno jeździć autem? Jak mnie ładnie poprosisz, to przewiozę cię po naszej posesji.

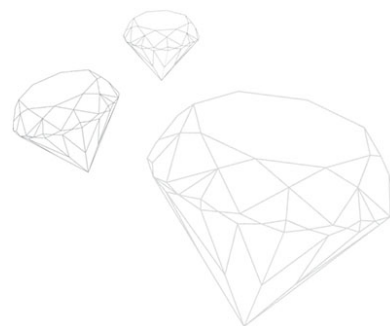
Policzyłam w głowie wolno do pięciu.

– To jak, dziewczynko, chcesz brum-brum?

Chciałam na niego warknąć, krzyknąć lub się z nim pokłócić. Mogłaby wyjść z tego niezła jątka, bo Dylan ewidentnie był w jednym ze swoich prowokacyjnych nastrojów. Ale jakoś tak wciąż żyła we mnie historia o klątwie Monetów i Laleczce Lissy... i poczułam nieskończoną cierpliwość dla tego idioty, dlatego znowu wzięłam głęboki wdech i odparłam:

– Tak, małej Hailie nie wolno robić brum-brum przez dwa tygodnie. Dzięki za odprowadzenie mojego auta, chłopczyku.

I rozłączyłam się z uśmiechem, mentalnie nastawiając się na dwutygodniowy areszt domowy.



58

PURÉE Z RYCERZYKA

Wygląda jak zjawa – mruknął Leo, mrużąc oczy z wyraźnym zmartwieniem.

– Wygląda jak idiota.

Prychnęłam i pokręciłam głową z niedowierzaniem, a potem złapałam go za nadgarstek i odwróciłam tak, żeby nie musiał patrzeć na okno, w którym zupełnie nieruchomo stał Dylan.

Wyprostowany, z założonymi rękoma, nos prawie przytykał do szyby i gapił się na nas, znajdujących się na podjeździe przy posesji Monetów. Przez to jego świdrujące spojrzenie nie śmiałam nawet dać Leo buziaka na powitanie, a bardzo stęskniłam się za słodkim smakiem naszych całusów. Jakkolwiek jednak ekscytowałam się, mogąc wreszcie zobaczyć swojego chłopaka, miałam wystarczające zasoby instynktu samozachowawczego, by nie drażnić niepotrzebnie braci już od pierwszych chwil przybycia tego niezbyt przez nich wyczekiwanego gościa.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś – wyznałam szczerze, widząc, jak zagryza wargi i zerka nerwowo na mój dom. Chciałam, żeby się odprężył przed wejściem do środka. W końcu wszystko dopiero przed nami. – Bałam się, że w ostatniej chwili zmienisz zdanie.

Uśmiechnął się kwaśno i podrapał po karku.

– Eee, cóż, skłamałbym, gdyby powiedział, że nie przeszło mi to przez myśl.

– Słuchaj – zaczęłam poważnie. – Nie przejmuj się Dylanem. Żadnym z nich się nie przejmuj. Będą wredni, ale nic nie zrobią. A jak będziesz miał dosyć, to zawsze możesz znaleźć jakąś wymówkę i stąd uciec. Nie będę ci miała tego za złe.

– Spokojnie. Jestem tu i jeśli to jest szansa, żeby twoi bracia zaakceptowali nasz związek, to zamierzam przetrwać tę kolację, a nawet zostać na deser.

– Mhm, widzisz, nie rozumiesz. – Wzniosłam oczy ku niebu. Było błękitne i zupełnie nieadekwatnie wskazywało na ciepły dzień, podczas gdy w rzeczywistości zaczynałam już marznąć. Opatuliłam się szczelniej wielką czarną kurtką należącą do któregoś z moich braci. To było pierwsze lepsze okrycie, które wpadło mi w ręce, gdy na szybko szukałam czegoś do zarzucenia na ramiona, by przywitać parkującego na podjeździe Leo. Wzięłam wdech, pozwalając, by przyjemnie świeże powietrze przeczyściło moje drogi oddechowe, po czym zaczęłam tłumaczenia, uważnie wpatrując się w chłopaka: – To Vincent ma zaakceptować nasz związek. Tylko on nas interesuje. Resztą nie zwracaj sobie nawet głowy, bo mógłbyś na tej kolacji wynaleźć lek na raka, skonstruować rakietę albo dostać Nobla, a oni i tak znaleźliby powód, by się przyczepić.

– Okej, przychylność Vince’a, rozumiem. – Leo pokiwał głową, jeszcze bardziej zagryzając wargę.

– Leo... – Złapałam go za dłonie, ponownie ściągając na siebie jego uwagę. – Dziękuję, że to robisz.

– Dla ciebie warto.

Uśmiechnęłam się lekko, poruszona tym, że dla mnie był gotów wpakować się w paszczę lwa.

– To co, wchodzimy do środka? – zapytałam, siląc się na zachęający ton.

– Jeszcze jedna sprawa... Nie chcę źle zabrzmieć... Wiem, że o tym pisaliśmy i nie chciałaś wchodzić w szczegóły, ale... to całe zamieszanie

z twoim tatą... Chodzi mi o to, że chciałbym spytać, jak się trzymasz?

Spuściłam wzrok. Tygodnie po wizycie u ojca w więzieniu były koszmarnie. Ktoś bardzo ciężko pracował nad stłamszeniem tego skandalu w zarodku, dzięki czemu nigdzie – ani w gazetach, ani w telewizji, ani co najważniejsze w internecie – nie wspomniano o przekręcie Camdena Moneta. Dzięki temu plotka żyła tylko na ustach ludzi z najbliższego otoczenia, ale bez solidnych faktów szybko przestała dostarczać im wystarczającej pożywki i zmieniała się tylko w kolejny z wielu sekretów, jakimi owiane było nazwisko Monet.

Ja przez dwa pierwsze tygodnie byłam odcięta od życia przez szlaban i brak dostępu do urządzeń elektronicznych. Teraz mijał trzeci tydzień i gdy odzyskałam przywileje, pisałam dużo z Leo i Moną, ale żadnemu z nich nie mogłam się wygadać i opowiedzieć o sytuacji, w jakiej znalazła się moja rodzina. Temat mojego ojca był zbyt śliski, by go poruszać. Musiałabym za dużo udawać przed przyjaciółką i chłopakiem, więc zamiast brnąć w kolejne kłamstwa, wolałam milczeć.

– Jest okej – odpowiedziałam. – Widziałam go i rozmawiałam z nim. Był dla mnie bardzo miły.

– Jeśli mogę ci jakoś pomóc...

– Nie trzeba. Siedzę w tym razem z chłopakami... – Wskazałam głową na dom. – Wspieramy się nawzajem i myślę, że niedługo to przepracujemy. Ale dziękuję.

Pogłaskał mnie po ramieniu w geście współczucia wymieszanego ze wsparciem.

– Myślisz, że jak wrócę do szkoły, to ludzie będą wytykać mnie palcami? – zapytałam szeptem.

– Myślę, że stałaś się dla nich jeszcze ciekawsza. I nie martw się... W tej szkole korona wciąż należy do ciebie i raczej szybko się to nie zmieni.

Nie skomentowałam tego, ale uśmiechnęłam się szerzej, pocieszona, że jednak nie zostałam zepchnięta na margines społeczny z powodu dziwactw mojej rodziny.

Zanim udało mi się zaciągnąć Leo do drzwi, on jeszcze cofnął się do swojego auta zaparkowanego na naszym podjeździe i wyciągnął

z bagażnika białe pudełko z cukierni.

– Przyniosłem deser.

– Jesteś cudowny – pochwaliłam go, w duchu dobrze wiedząc, że nawet tak miły gest zostanie skrytykowany przez moich okropnych braci.

Prowadząc Leo do środka, włożyłam ręce do kieszeni kurtki i rzuciłam spojrzenie w stronę okna, w którym wcześniej sterczał Dylan.

Zniknął.

– Wasz dom wydaje się nawiedzony – zażartował Leo.

– Z domem wszystko jest w porządku – zaprzeczyłam poważnie. – To jego mieszkańcy są nawiedzeni.

Na dowód tego ledwo przekroczyliśmy próg rezydencji, z góry zszedł Shane. Synchronizacja była tak idealna, że to nie mógł być przypadek.

– Cześć – przywitał się Leo, wyciągając dłoń, na którą Shane tylko przelotnie spojrzął.

Już teraz zaczynałam się denerwować z powodu tego pozbawionego kultury zachowania. Nie upomniałam Shane’a tylko dlatego, że nie chciałam na wejściu rozpoczynać kłótni. Zdążyłam się też trochę psychicznie przygotować na to, że chłopcy będą mnie dziś testować.

– Przyniosłem to – kontynuował niezrażony Leo. Wyciągniętą do mojego brata ręką sięgnął po pudełko z ciastem, które wcześniej odłożył na bok. – Na osłodę po kolacji.

Shane zerknął na pudełko, uniósł brwi, a następnie parsknął złośliwie i odszedł. Wiedząc, że przywoływanie go do porządku nie miałooby sensu, sama rzuciłam się, by przejąć ciasto od Leo.

W kuchni kręciła się Eugenie. Była chyba jedyną osobą w tym domu, nie licząc mnie, która powitała naszego gościa z należytą serdecznością. Skomplementowała jego postawę, zachwyciła się pięknym ciastem, które podałam jej do rozdysponowania, oraz wyraziła nadzieję, że kolacja przypadnie mu do gustu.

Nic pozytywnego nie mogłam natomiast powiedzieć o zachowaniu Tony’ego, który siedział już przy stole i grzebał w komórce. Oderwał od

niej wzrok na nasz widok i zaczął wodzić nim kpiąco za każdym ruchem mojego biednego chłopaka.

– Możecie siadać, wszystko jest już właściwie gotowe – oznajmiła Eugenie, gdy stojąc tak na środku kuchni, zaczęliśmy jej zawadzać.

Niechętnie ruszyłam z Leo w stronę stołu, który okupowali już bliźniacy. Siedzieli naprzeciwko siebie, a u szczytu znajdowało się miejsce dla Vincenta, więc pociągnęłam Leo w kierunku Shane’a, uznając, że mądrzej będzie zająć miejsce obok mniej konfliktowego z bliźniaków.

– Ach, ach – zaprotestował od razu ten tak zwany mniej konfliktowy. Popatrzył na Leo i wskazał palcem na krzesło obok Tony’ego. – Ty siadasz tam.

– Nie, siada przy mnie – warknęłam.

– Nie, ty siadasz przy mnie. – Nachylił się, żeby złapać mnie za nadgarstek, abym nie mogła się od niego oddalić, po czym wymownie spojrzał na naszego gościa. – A ty tam.

Tony odchylił się na swoim krześle i wyluzowany położył rękę na oparciu tego, które miał zająć Leo. Poklepał je nieco niecierpliwie, szczerząc się złośliwie.

– Zapraszam.

Leo zerknął na mnie i powoli skierował się posłusznie na wybrane przez bliźniaków miejsce. Usiadł ostrożnie, jakby spodziewał się, że krzesło złamie się pod jego ciężarem. Nic takiego się nie stało, ale na pewno doceniłby, gdyby Tony zabrał wreszcie swoją rękę i przestał się w niego tak onieśmielająco wgapić.

Ja usiadłam obok Shane’a i uznałam, że może to nie najgorsze rozwiązanie, bo przynajmniej w ten sposób znajdowałam się naprzeciwko Leo, co oznaczało, że gdy będzie potrzebował mojego wsparcia, wystarczy, że zerknie prosto przed siebie. On chyba też doszedł do tego wniosku, bo uśmiechnął się właśnie do mnie.

Poza tym przy stole zapadła niezręczna cisza. A przynajmniej bliźniacy robili, co w ich mocy, by była niezręczna. Nie zajmowali się już swoimi telefonami, nie żartowali między sobą, ani nawet nie patrzyli w okno. Wpatrywali się za to w Leo, jakby się umówili, jakby liczyli na to, że w ten

sposób uda im się sprawić, że chłopak rozplynie się w powietrzu. On zaś rozglądał się po pomieszczeniu, próbując udawać, że wcale tego nie widzi.

– Ładnie tu – zauważył.

– Nie przyzwyczajaj się – burknął od razu Tony.

– Nie będziesz tu często bywał – dodał Shane.

– Hej, wyluzujcie trochę, co? – fuknęłam na nich, marszcząc w oburzeniu brwi. – Nie musicie być nieuprzejmi.

– Dopiero się rozgrzewamy, mała Hailie. – Shane potargał mi włosy.

– Przestań.

– Było się tak nie stroić.

– Wcale się nie wystroiłam.

– Wystroiła się jak nic.

– Kto się wystroił? – zagadnął Dylan, niestety do nas dołączając.

– Hailie się wystroiła.

– Oho, mała Hailie się wystroiła, żeby ładnie wyglądać dla rycerzyka? – Dylan błyskawicznie przyłączył się do drwin.

– Nie wystroiłam się – warknęłam na nich wszystkich, czując, jak krew wrze mi w żyłach. – Zawsze ładnie wyglądam.

Natychmiast poczułam, że źle to zabrzmiało, i zrobiłam wielkie oczy, nie dowierzając, że to zdanie wyszło z moich ust. Chłopcy spojrzeli na mnie z zaskoczeniem, nieprzyzwyczajeni do takiej pewności siebie u ich małej, skromnej na ogół siostrzyczki.

Tony odchylił głowę i głośno się zaśmiał, Shane dał mi kuksańca w bok, a Dylan pokiwał z uznaniem głową.

– Nieźle, mała dziewczynko – przyznał i opadł na krzesło, jednocześnie sprawiając, że Leo utknął przy stole między dwójką moich najzłośliwszych braci.

– Nie to chciałam powiedzieć – szepnęłam zażenowana i także przerażona tym, jak charakterkiem zaczynam przypominać swoje rodzeństwo. Ono jednak zdawało się nie mieć z tym problemu. W końcu ich ego też znajdowało się gdzieś, na oko, w kosmosie.

– Leo, Leo – zawołał Dylan, jak gdyby dopiero go dostrzegł, swoją ciężką łapę zarzucając mu na barki. – Witamy w naszych skromnych progach.

– Właśnie mówiłem, że bardzo tu gustownie – odpowiedział uprzejmie Leo, uginając się pod muskularnym ramieniem mojego brata i posyłając mu wymuszony uśmiech.

– No pewnie, że gustownie. Dom jest też większy, niż się wydaje z zewnątrz. Mamy tu naprawdę sporo pomieszczeń. Mnóstwo sypialni. Nie żebyś kiedykolwiek miał szansę zostać tu na noc, wiadomo.

Leo uniósł brwi, próbując dyskretnie zrzucić z siebie ciężkie ramię.

– Chyba że... mamy tu bardzo przytulną piwnicę. – Dylan puścił do niego oko, zaciskając swoją rękę na jego barku jeszcze mocniej.

– Serio mamy tu piwnicę? – wtrąciłam szczerze zaskoczona.

– Rzadko tam zaglądamy – powiedział wesoło mój brat i z powrotem zwrócił się do Leo: – Pieszczotliwie nazywamy ją lochami. Taki, rozumiesz, mały żarcik. Mogę ci je pokazać.

Leo odchrząknął.

– Eee, dzięki, nie trzeba.

Na szczęście w tej chwili do kuchni wkroczył kolejny z moich braci – Will. Leo natychmiast się z nim przywitał, a on kulturalnie odpowiedział. Niestety szybko przekonałam się, że nawet mój najmilszy z braci nie zamierzał ułatwiać mojemu chłopakowi zadania. Obrzucił Leo surowym spojrzeniem, ale za to rozpogodził się, gdy przeniósł je na mnie. Usiadł obok mnie i szepnął, że ślicznie wyglądam.

Naprawdę się nie stroiłam. Nie chciałam, bo wiedziałam, że chłopcy od razu zaczęliby mi to wytykać. Zamiast tego rozsądnie założyłam skromną bordową sukienkę. Taką z zakrytym dekoltem i rękawami przed łokieć. Na górze była obcisła, talię przecinał czarny pasek, a dół opadał luźno i falował przy każdym moim ruchu. Zwyczajna, ładna sukienka – wygodna, ale nieprzesadzona.

W jeszcze bardziej nieprzesadzony sposób ubrali się moi bracia. Bo, przykładowo, Leo przyszedł w koszuli, szykując się na raczej odświętną kolację w gościach. Chłopcy tymczasem potraktowali tę okazję w sposób

nadzwyczaj nieformalny i nie wiem, czy zrobili to nieświadomie, czy może chcieli coś nam tu zademonstrować. Tony miał na sobie luźną koszulkę w kolorze głębokiego błękitu. Było mu w nim do twarzy – bardzo podkreślał mu oczy. Z kolei Shane założył białą koszulkę, trochę bardziej obcisłą. Na piersi miała wyszyty grubą czarną czcionką napis *Iconic*. Dylan zaś postawił na klasyczną czarną koszulkę z ekskluzywnym, subtelnym logo. Will włożył golf w kolorze piasku, który pasował bardzo do jego ciemnoblonde włosów. A jeszcze zanim pojawił się Vincent, wiedziałam już, że będzie jedyną osobą, która oprócz Leo będzie miała tu dziś na sobie koszulkę.

Nasz elegancko prezentujący się najstarszy brat dołączył do nas niedługo po Willu. Bładoniebieskimi oczami przeskanował pomieszczenie, zatrzymując je na Leo, który skinął głową i się przywitał, tym razem używając zwrotu grzecznościowego. Vince nie był zaś typem dorosłego, który zaśmiałyby się serdecznie, machnął ręką i powiedział coś w stylu „Ależ nie musisz zwracać się do mnie per pan”. Nie, Vince nie miał żadnego problemu z kłopotaniem swoich rozmówców i nigdy nie pozbawiał się u nich dodatkowego autorytetu. Sztywnym skinieniem głowy przyjął grzeczność Leo i zajął swoje miejsce u szczytu stołu, nie zwracając uwagi na rozbawione spojrzenia świętej trójcy.

– Mamy nadzieję, że kolacja będzie ci smakowała – odezwał się Will. – Eugenie starała się przygotować coś w miarę uniwersalnego.

– Na pewno – odparł szybko Leo. Trzymał ręce pod stołem, pewnie na kolanach, i siedział sztywno jak kołek. Chyba nie czuł się swobodnie w ciszy, dlatego dodał: – A jakie jest menu?

– Steki.

– Brzmi dobrze.

– Krwiste – dodał Shane i mrugnął. – Takie lubimy najbardziej.

Tony zarechotał.

– Ja nie lubię – mruknęłam, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

– Będzie też purée... à la rycerzyk. Prastary przepis – oznajmił Dylan, ledwo tłumiąc śmiech, na co wywróciłam oczami. To był jego firmowy żart od czasu, gdy dowiedział się, że Leo przychodzi do nas na kolację. Nie

przestawał wymyślać coraz to nowszych nazw potraw, które można by tu zaserwować. Jego faworytami zdawały się: purée à la rycerzyk, rolada po rycerzykowemu i absolutny zwycięzca: rycerzyk w sosie własnym.

– W sałatce są orzechy. Nie jesteś uczulony, prawda? – zapytał Will, ciągle brzmiąc tak samo oschle.

– Nie.

– Całe szczęście – mruknął Dylan. – Nie chcielibyśmy przecież, żebyś się nam tu udusił.

Tony znowu parsknął.

Nikt nie przywoływał ich do porządku. Vince nalał sobie czerwonego wina i poczęstował nim Willa, a potem Dylana, który ostatnio skończył wreszcie dwadzieścia jeden lat i mógł legalnie pić. Nie zaproponował alkoholu bliźniakom, ale nie zaoponował, gdy sami sięgnęli po butelkę i nalali sobie po lampce. Ja nawet nie próbowałam wyklócać się o kroplę dla siebie, mimo iż mała ilość alkoholu niewątpliwie pozwoliłaby mi się zrelaksować podczas tej niezwykle stresującej kolacji.

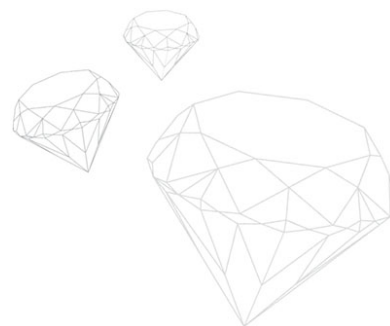
Zerkałam na Leo, kiedy tylko mogłam, żeby całą sobą przesyłać mu pozytywne vibracje, by jakoś ten wieczór przetrwał. Chyba to doceniał.

– Tony, masz wybrakowane sztucce – zdziwiła się Eugenie, gdy pojawiła się przy naszym stole z wielką kamienną paterą, na której wygrzewały się parujące steki. Umieściła ją na środku blatu i zmarszczyła brwi. Sama nakrywała do stołu, a takie niedopatrzenia nie były w jej stylu. – Brakuje ci noża, wybaczone. Zaraz przyniosę.

– Nie trzeba – zatrzymał ją Tony. Wciąż odchyłał się leniwie na swoim krześle, ale gdy wszyscy zwrócili na niego uwagę, uśmiechnął się lekko i schylił pod stół.

Do tej pory nie wiem, jak on to zrobił i zaplanował, ale gdy się wyprostował, w ręku trzymał nóż. Nie ten z zastawy, którą do dyspozycji mieliśmy my wszyscy. Nóż, który Tony wyczarował spod stołu, był wiele większy. Co więcej, zdawał się ostry jak brzytwa i gapiłam się załamana na to, jak mój brat wymachuje tym narzędziem tuż przy twarzy znieruchomiłego Leo.

I już wiedziałam, że ta kolacja nie będzie normalna.



59

NIKT NIE PYTAŁ

– Nieźle – pochwalił Dylan. – Pokaż go.

Tony przekazał nóż w wyciągniętą rękę Dylana. Działo się to centymetry od nosa mojego biednego chłopaka.

– Przecina mięśnie jak masło – mruknął Tony.

– Mięśnie? Serio? – prychnęłam, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– „Mięso” powiedziałem.

– Powiedziałaś „mięśnie”.

Zgromiliśmy się nawzajem wzrokiem.

– Powiedział „mięso” – odezwał się Shane.

– Sam jesteś mięso, powiedział „mięśnie”.

– Czy mięśnie to nie mięso? – zastanowił się Will.

– Właściwie to tak, mięso to mięśnie szkieletowe przeznaczone do spożycia – przytaknął Leo.

– Co niby znaczy „przeznaczone do spożycia”? – prychnął Shane. – Zeżreć można przecież wszystko.

– Odechciało mi się tych steków – westchnęłam.

– Już, już, spokój – odezwał się Vincent, wreszcie łaskawie wykazując zainteresowanie tym, co działo się przy stole. Przyglądał się wszystkim, palcami dłoni, na której nosił sygnet, obejmując nóżkę kieliszka. – Eugenie zaraz poda również steki wysmażone. Ty, Hailie, lepiej poczekaj na nie.

Shane przekręcał właśnie na swoim talerzu stek niewysmażony i prawie zrobiło mi się niedobrze na widok czerwonego mięsa w środku, dlatego przywitałam radę Vincenta z ulgą. Leo wyglądał, jakby również wolał poczekać na drugą opcję, ale Dylan zaproponował mu tę krwistą i nie czekając na jego zgodę, położył mu mięso na talerzu. Wyjątkowo mi się to nie spodobało.

– Może pozwolisz, żeby sam nakładał sobie to, na co ma ochotę? – zaatakowałam go. – Co jest z tobą nie tak?

– Upewniam się, że nasz gość spróbuje tego, co mu rekomenduję.

– Vince, powiedz mu, żeby tak nie robił – jęknęłam.

– Nic się nie stało, Hailie, z chęcią spróbuję stek przyrządzony w ten sposób – powiedział do mnie Leo.

– Widzisz, dziewczynko? – Dylan uniósł brwi.

– Vince – powtórzyłam, wpatrując się wrogo w swojego wrednego brata, a wtedy na ramieniu poczułam dłoń Willa, który odezwał się, starając się brzmieć uspokajająco:

– W porządku. Leo powiedział, że nic się nie stało.

Tym razem to jemu oberwało się moim spojrzeniem spode łba. Podczas tej kolacji Will nie był moim sprzymierzeńcem. Powoli do mnie docierało, że nie ma tu żadnych sprzymierzeńców.

Co więcej, moi bracia równie mało litości co dla Leo, mieli dla mnie. Oczywiście demonstrowali to w zupełnie inny, ale równie irytujący sposób. Traktowali mnie jak dziecko, jakby próbowali mnie sprowokować do sama nie wiem czego. Will podawał mi naczynia z potrawami, prosząc głosem nieznoszącym sprzeciwu, bym je sobie nałożyła. Chłopcy ostrzegali mnie też przed tym, że jedzenie jest gorące, albo żebym nie skaleczyła się nożem. Miałam ochotę unieść szklankę i chlusnąć w każdego z nich wodą. Choć od czasu poznania historii Laleczki Lissy rozumiałam, skąd się bierze nadopiekuńczość chłopaków, szczególnie ta przejawiająca się

w kontrolowaniu moich posiłków, to tym razem wiedziałam, że oni po prostu są złośliwi.

Bracia nie przestali się wydurniać nawet podczas jedzenia. Tony wyglądał komicznie, posługując się swoim wielkim nożem, ale zachowywał się, jak gdyby było to najbardziej poręczne narzędzie, jakie kiedykolwiek trzymał w dłoni. Leo starał się nie zaglądać nikomu do talerza i widziałam, jak zwleka z napoczcieniem swojego steku, najwyraźniej nie będąc przekonanym co do stopnia jego wysmażenia.

Dylan natomiast... Cóż. Okazało się, że Dylan miał w planach przebicie Tony'ego.

Zanim napoczął swoją porcję, odchrząknął nagle głośno, zwracając na siebie uwagę wszystkich. Potem schylił się tak jak wcześniej Tony pod stół i gdy się wyprostował, trzymał w ręku najprawdziwszy tasak rzeźnicki.

Nie jest to wcale żart, choć bardzo bym chciała, bo ta kolacja coraz bardziej przypominała mi kreskówkę. Kiedy Dylan uniósł narzędzie, jego wielkie, szerokie prostokątne i przerażające ostrze błysnęło. Wyglądał jak psychopata z niskobudżetowego horroru. Otworzyłam usta i prawie wyleciało mi z nich przeżuwane właśnie jedzenie.

Shane starał się bardzo stłumić parsknięcie, Tony odłożył swoje sztucce, położył łokcie na stole, schylił głowę i oparł ją na splecionych dłoniach, maskując napad chichotu i trzęsące mu się ramiona tak, jak tylko potrafił. Leo zaś zbladł i przełknął ślinę razem z dopiero co wziętym kęsem, ewidentnie nie czując się komfortowo w sąsiedztwie mojego nieobliczalnego brata, w którego rękach właśnie pojawił się profesjonalny przyrząd do siekania kości.

Zabrakło mi słów, więc spojrzałam wyczekująco na Willa, licząc, że coś powie, ale on był zajęty walką z samym sobą, by zachować poważny wyraz twarzy. Widziałam to po drżących kącikach jego ust. Vincent natomiast ignorował wszystkich i powoli upił kolejny łyk wina, z wyjątkową dbałością celebrując ten moment.

– No przecież odłóż to! – zawołałam słabo do Dylana, dodatkowo zirytowana zerową ilością wsparcia ze strony starszych braci.

– O co ci chodzi? – zapytał niewinnie.

– Po co ci tasak?!

– No przecież, że do krojenia.

– Will – jęknęłam żałośnie.

– Nie mów z pełnymi ustami, malutka. Zadławisz się.

– Przeszkadza ci, że mówię z pełnymi ustami, ale nie masz problemu z Dylanem wymachującym przy stole tym czymś? – warknęłam, odkładając sztucce.

– To dla wygody. – Dylan wzruszył ramionami.

Ciskałam w niego gromami z oczu, a przynajmniej chciałam myśleć, że tak to wyglądało. Dylan zabrał się do jedzenia, a z ramion Leo powoli uchodziło napięcie. Mój skretyniały brat jednak długo nie trudził się korzystaniem z tasaka, bo, oczywiście, był totalnie nieporęczny, więc porysował tylko trochę talerz, poszatkował swój stek, a potem znudził się i odłożył narzędzie na bok, bacznie go jednak pilnując, jakbyśmy wszyscy przy stole tylko czekali, by zabrać mu jego zabawkę.

Czasami czułam się tak, jak gdyby niektórzy moi starsi bracia byli tak naprawdę dużo, dużo ode mnie młodszy.

Zanim wróciłam do jedzenia, uniosłam rąbek obrusa i zerknęłam pod stół, żeby się upewnić, że nie ma tam ukrytych więcej dziwnych przedmiotów.

Na chwilę zrobiło się cicho. Słysząc było tylko szczekanie sztucców, a w szczególności stukanie nieproporcjonalnie dużego noża Tony'ego o talerz. Leo często sięgał po wodę, jakby co chwila zasychało mu w ustach. Ja prawie cały czas podejrzliwie rozglądałam się po twarzach wszystkich obecnych. Tylko czekałam na kolejne idiotyczne żarty. Wszyscy chłopcy jednak zajęci byli jedzeniem, jakby zrobili sobie przerwę i zbierali siły.

Pierwszy nasycił się Vincent. Nie sięgnął po dokładkę jak młodszy bracia, tylko odłożył sztucce i elegancko przetarł usta czarną bawełnianą serwetką, którą na początku uczyty każdy z nas miał złożoną w trójkąt obok talerza. Vince dolał sobie też wina i odetchnął, odchylając się nieco na krześle. Na chwilę odwzajemnił moje spojrzenie, ale z jego oczu nie dałam rady nic wyczytać. Potem przeniósł je na Leo i przyjrzał mu się nieco krytycznie.

Dobrze, że mój chłopak tego nie widział, bo nie podnosił oczu znad talerza. Założyłam się, że cieszyła go ta przerwa w rozmowach, nieważne jak drętwa.

Żadna chwila niestety nie trwa wiecznie i ta również szybko przeminęła. Już wkrótce wszyscy zapełnili żołądki i moi bracia jeden po drugim odsuwali się od stołu z usatysfakcjonowanymi minami. Sama nie skupiałam się za bardzo na jedzeniu, zbyt zajęta monitorowaniem zachowania uczestników naszej biesiady, dlatego skończyłam swoje danie jako ostatnia.

– A więc, Leo – zaczął Dylan swoim fałszywie przyjacielskim głosem. Na sam jego dźwięk wiedziałam już, że oto nadchodzi druga część spektaklu. – Smakowało?

– Bardzo – odparł chłopak i wymienił uśmiech ze sprzątającą właśnie jego talerz Eugenie, po czym dodał, zwracając się do niej: – Podziwiam umiejętności.

– Toż to nic skomplikowanego, mój drogi. – Machnęła ręką, ale było widać, że zrobiło jej się miło.

– Powiedz, Leo, poznałeś, co to były za steki? – zagadnął znowu Dylan.

– Eee, chodzi o to z czego?

Dylan kiwnął głową.

– Z wołowiny, tak?

– Nie. Z byłego chłopaka Hailie.

Wzniosłam oczy do sufitu, podczas gdy reszta chłopców parsknęła. Nawet Vince.

Dylan przyjął na moment śmiertelnie poważny wyraz twarzy, po to tylko, żeby zaraz się roześmiać.

– Nie no, tak tylko żartuję.

– Zabawne – mruknął Leo.

– Tylko żartuję, bo Hailie nie miała jak dotąd chłopaka na poważnie – ciągnął Dylan, coraz mniej udając, że prowadzi właśnie miłą pogawędkę. – Wiesz dlaczego?

Tym razem Leo nawet nie próbował się odzywać.

– Bo żaden nie jest wystarczająco dobry.

- Dylan, ty... – zaczęłam, ale Shane mnie szturchnął, bym milczała.
- Uważasz, że ty jesteś wystarczająco dobry?
- No... ja... – zawahał się Leo.

Sama nie wiedziałam, jaka odpowiedź usatysfakcjonowałaby moich braci. Zerknęłam na Willa i Vincenta, licząc na to, że może przynajmniej jeden z nich zechce przerwać głupie przesłuchanie Dylana, ale akurat obydwaj unosili lampki wina do ust, przysłuchując się rozmowie. W tym momencie byli tak podobni do świętej trójcy jak nigdy.

Westchnęłam ciężko, czując zawód.

- To proste pytanie – wtrącił Shane, unosząc brew.

Tony podniósł swój nóż z talerza, celowo przesuwając nim po ceramicznej powierzchni, żeby dodatkowo narobić hałasu, i na pozór obojętnie przyjrzał się jego ostrzu, a potem przejechał po nim ustami, zlizując z niego resztkę sosu. Wyglądało to dość upiornie, zwłaszcza że trzymał nóż tą swoją wytatuowaną dłonią.

– Tak – wymamrotał Leo, przenosząc spojrzenie z Tony’ego na Dylana. Następnie spróbował dodać z większą pewnością siebie: – Uważam, że jestem dobrym materiałem na chłopaka Hailie.

- Nie o to pytałem.
- Dlaczego tak uważasz? – włączył się Will.

Będąc pod ostrzałem tyłu spojrzeń, Leo ewidentnie się zestresował. Tony wciąż nie opuszczał noża, tasak Dylana leżał w zasięgu jego dłoni, a Will mrużył nieprzyjemnie oczy. Vince wyglądał zaś jak wampir, który skończył już swoje wino i tylko czekał, by napełnić pustą lampkę krwią naszego gościa.

– Bo widzę... – zaczął Leo, patrząc na mnie – widzę, jak wartościową jest osobą. I jestem gotowy zrobić wiele, żeby na nią zasłużyć.

Opuściłam lekko głowę, zawstydzona jego uroczymi słowami, niestety wypowiedzianymi na forum najbardziej małostkowych braci pod słońcem.

- Co dokładnie jesteś gotów zrobić? – kontynuował Will.

Miałam ochotę na niego nakrzyczeć.

Leo wahał się przez chwilę, jakby nie wiedział, jak sformułować swoją odpowiedź, by zadowolić nasze towarzystwo. Im dłużej jednak zwlekał, tym gorszą robił sobie reklamę i był tego świadom, dlatego w końcu zaczął mówić znowu.

– Jestem gotów zadbać o nią najlepiej, jak będę potrafił.

– Czyli jak? – drążył Dylan.

Chciałabym posiadać umiejętność telepatii, żeby ostrzec Leo, by unikał patrzenia na Vincenta. Dobrze wiedziałam, jak magnetyczne spojrzenie najstarszego brata potrafi wybić z rytmu. Mój chłopak niestety popełnił ten błąd i teraz płacił za niego dodatkowymi kroplami potu na czole.

– Zostawcie go w spokoju! – syknęłam głośno na rodzeństwo, po czym zwróciłam się łagodnie do Leo: – Nie musisz się im tłumaczyć.

Dylan też na niego spojrzał.

– Staniesz sam we własnej obronie czy będziesz się chował za moją małą siostrą?

– Dylan!

– Czekaj – uspokoił mnie Shane, kładąc rękę na moim ramieniu. – Dobre pytanie zadał.

Straciłam ją wściekle, ale zanim zdążyłam zareagować, Leo znowu zaczął mówić:

– Wiem, że... może w waszych – jej braci – oczach nie jestem w tej chwili najlepszym kandydatem na jej chłopaka...

– Nie no, co ty – mruknął Dylan.

– ...ale ciężko pracuję i nie zamierzam zwalniać. Sam na siebie zarabiam, pomagam w rodzinnym biznesie, a mimo to znajduję czas na naukę i zdobycie stypendiów. Planuję studiować medycynę. Będę zdawać do najlepszych szkół w kraju, chcę zostać lekarzem, najprawdopodobniej chirurgiem...

Im dłużej mówił, tym większej pewności nabierał jego głos, niestety prychnięcie Tony'ego sprawiło, że się zawahał. Shane skorzystał z tej okazji, by mu przerwać.

– Ale czekaj, w sensie że ty chcesz być lekarzem Hailie, czy co, bo nie rozumiem, o czym ty teraz mówisz...?

– Właśnie – podłapał Dylan i wskazał na mnie palcem, przybliżając się do Leo. – Gdy ona potrzebuje lekarza, to wiesz, co robię? Dzwonię do najlepszej kliniki, płacę górę hajsu i dostaję najlepszego lekarza. Koniec historii.

– Spokojnie, Dylan – odezwał się Will.

– Ale on dobrze mówi – wtrącił się Shane, unosząc dłoń ponad stołem. – Halo, nie pytaliśmy go o CV.

– Gdyby powiedział, że nie pracuje, źle się uczy albo nie chce iść na studia, to dopiero byście się przywalili! – wykrzyknęłam.

– Chwila, chwila, kto się przywala? Ja się przywalam? – prychnął Dylan.

– Nikt się nie przywala wcale – stwierdził Shane.

– A w ogóle to jak ty się odzywasz? – dodał Dylan.

– Nie denerwuj mnie – wycodziłam przez zęby.

– Próbuje tylko ogarnąć, czy rycerzyk przyszedł tu, bo chce cię poderwać, czy może, kurwa, nie wiem, szuka stażu?

– Mówi o swoich planach na przyszłość! – westchnęłam głośno. – Pytacie, dlaczego ma być dobrym chłopakiem? No to odpowiada, że jest poukładany, ambitny i ma plan na życie, co w tym złego, no na Lorda!

– Powiedziałem o tym dlatego, żeby było jasne, że zamierzam coś osiągnąć – odezwał się znowu Leo, lekko chyba zmartwiony kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa. – Żeby było jasne, że nie jestem z Hailie dla...

– Dla? – warknął Dylan.

– Ani dla pieniędzy, ani dla znajomości.

– Ale no, stary... – Shane skrzywił się i rozłożył ręce. – Nikt nie pytał...

– Padło pytanie o to, jak zamierzam o nią zadbać. Odpowiadam, że w przyszłości będę miał wystarczającą pozycję i ilość pieniędzy, by...

Dylan parsknął złośliwym śmiechem.

– Te, rycerzu. – Szturchnął go. – Ona nie potrzebuje twoich pieniędzy. Ma ich więcej niż ty kiedykolwiek się dorobisz.

– Wystarczy, Dylan – odezwał się Vincent i po chwili konsternacji uświadomiłam sobie, że oto nareszcie głos postanowił zabrać nasz najstarszy brat. Wszyscy, naturalnie, skupili na nim uwagę. Chłopcy uśmiechali się złośliwie, zadowoleni, że Leo będzie miał kolejny powód, by poczuć się onieśmielony. Ja zerkalam na Vince’a zmartwiona, że zaraz dołączy do szyderczej narracji pozostałych braci. Podobne odczucia miał chyba Leo.

Vincent nadal trzymał palce na kieliszku i opierał się o krzesło, jakimś sposobem sprawiając wrażenie jednocześnie lekceważące, jak i formalnej powagi.

– Nie zrozum mnie źle... Leo. Ścieżka kariery, którą zamierzasz obrać, jest godna podziwu. Potrafię również docenić twoje ambicje. – Zamilkł i przekrzywił lekko głowę. – Pytanie jednak brzmiało, jak zamierzasz zaopiekować się moją siostrą teraz, a nie za kilkanaście lat, kiedy może już wyuczysz się na chirurga.

– Ja... – zawahał się Leo, a ja mu współczułam, bo wiedziałam dokładnie, jak się czuje. Nie powiem, żebym opanowała sztukę prowadzenia rozmowy z Vincentem do perfekcji, ale z pewnością zdążyłam już podłapać jej podstawy i mimo wszystko wciąż pamiętałam, jak to było ze mną na początku.

– No co? – ponaglił go Dylan. – Jeśli nie potrafisz odpowiedzieć, to po co w ogóle się tu fatygowałeś?

– Dylan – upomniałam go. – Jesteś nie fair.

– Hailie jest dla mnie ważna – powiedział Leo. – Dlatego tutaj jestem.

– Jesteś tutaj, bo chcesz być jej chłopakiem. – Ostatnie słowo Dylan wypowiedział z widoczną kpinką i zniesmaczeniem. – A nie zwykłym kolegą.

– No... No tak...

– Gdyby Hailie była dla ciebie po prostu ważna, to nie miałbyś nic przeciwko, żeby wciąż być tylko jej koleżką. A tak... zależy ci na czymś więcej, nie?

– Chcesz za to odznakę detektywa? – prychnęłam, rozbawiając tym szczególnie bliźniaków.

– Zamknij usta, dziewczynko – odparł Dylan, nawet na mnie nie zerknąwszy. Zajęty był wpatrywaniem się przeraźliwie intensywnym spojrzeniem w bok Leo, który głowę z kolei trzymał prosto i patrzył na mnie zgnębiony. – Powiedz to na głos, rycerzu, czego chcesz od mojej siostry?

Widziałam, jak szczęka Leo powoli się zaciska. On też już miał dość tej maskarady.

– Może dla ciebie różnica między związkiem a przyjaźnią polega na jednym, ale uwierz, Dylan, że nie każdy ma taki tok rozumowania – powiedział.

– Oho, mówisz do mnie po imieniu? Robi się niebezpiecznie.

– Jaki więc jest twój tok rozumowania? – zapytał Will.

Wyjątkowo mnie dziś irytował.

– Dajcie spokój! – zawołałam. – Możecie, proszę, nie wmawiać mu, że chce ze mną być dla seksu?

Może nie powinnam była tego mówić. Całe towarzystwo obecne przy stole skrzywiło się na moje słowa. Vince spojrzał na mnie z dezaprobatą, a reszta chłopaków z przerażeniem. Komedial.

Leo westchnął i przejechał sobie dłońmi po włosach.

– Gdybym chciał być z kimkolwiek dla seksu, to na pewno nie wybrałbym Hailie, która ma pięciu przewrażliwionych braci, o ochroniarzu nie wspominając.

– Przewrażliwione będą zaraz twoje zęby, jak rąbnę je swoją pięścią – warknął na niego Tony.

– No i kto wie, co sobie ubzdurałeś w tym blond łbie – dodał Dylan. – Może pomyślałeś, że odbędiesz kolacyjkę u Monetów i uśpisz naszą czujność cikliwą gadką o studiowaniu medycyny.

– Nawet w najśmielszych snach wiedziałem, że tej kolacji nie będzie się dało tak po prostu odbębnić – mruknął Leo.

– No i prawidłowo. – Palce jednej z dłoni Dylana zacisnęły się na chwilę na trzonku tasaka i przez ułamek sekundy myślałam, że dosłownie szybkim ruchem uniesie go i wbije mojemu chłopakowi w głowę, ale on tylko, jak zwykle, się droczył. – Bo, sorry, ale ja tego nie widzę i głosuję na „nie”.

– On głosuje! – wykrzyknęłam ironicznie. – Cudownie, Dylan, dziękujemy ci za twój jakże drogocenny głos. Pozwól, że wrzucę go do puli z napisem „Mam to gdzieś”!

Shane i Tony parsknęli.

– Co za idiotyzm – mruknęłam do siebie.

– Racja, dziewczynko, ta kolacja to idiotyzm i od początku tak mówiłem.

– Właśnie dlatego nie biorę twojego zdania na poważnie. Bo w tej kwestii jest guzik warte. Zawsze będziesz na nie.

– Ja też głosuję na nie – rzucił obojętnie Shane.

– Ciebie tyczy się to samo – syknęłam.

– Nie – dorzucił Tony, pustym wzrokiem zapatrując się w blat i leniwie unosząc dłoń.

– Ale nikt was nie pyta! – wydarłam się, wyrzucając ręce w powietrze.

– Uważaj, malutka – mruknął do mnie Will, ostrożnie kładąc mi rękę na ramieniu, bym pewnie przestała nachylać się tak nad stołem i nie strąciła niechcący żadnego naczynia.

Chciałam warknąć lub krzyknąć coś jeszcze, bo naprawdę traciłam już nerwy. Wierzyłam, że uda mi się zachować kontrolę, że przygotowałam się na tę kolację. Niestety przeliczyłam się. Pohamowało mnie nadejście Eugenie, która rozdawała nam desery na pięknych, ozdobnych talerzykach. Wtedy zamilkłam i z irytacją zatrzymałam spojrzenie na Vincencie, który zaczął ją, by poprosić o kawę.

Wiem, że gospoia upiekła dla nas ciasto, ale podała nam tartę, którą przyniósł Leo. Deser prezentował się pięknie i widać było, że to przyrządzony z wielką starannością wypiek z wyższej półki. Na górze ciasta schludnie poukładane były kawałki brzoskwini, posypane pokruszonymi orzeszkami pistacji.

Gdy dostałam swoją porcję, patrzyłam na kolorowy specjał z naburmuszoną miną. Gdyby to była normalna kolacja, to mogłabym teraz pochwalić wygląd ciasta, wszyscy zachwycilibyśmy się jego smakiem, a na koniec poklepaliby po pełnych brzuchach i rozeszli w zgodzie. Jednak moi bracia dołożyli wszelkich starań, żeby tego wieczora pokazać Leo swoją ciemną stronę.

Sięgnęłam po widelec i już miałam go ze złością wbić w tartę, gdy powstrzymała mnie dłoń Willa. Zobaczyłam, że patrzy na Leo. Rozejrzałam się. Żaden z chłopaków nie napoczął deseru, nawet Shane. Vincent w ogóle z niego zrezygnował.

Po chwili mój chłopak też to zauważył i rozejrzał się zdezorientowany.

– Ty pierwszy – burknął na niego Dylan.

Leo zmarszczył brwi, a zaraz potem chyba zrozumiał, co się dzieje.

– Myślicie, że zrobiłem coś z ciastem? – Wskazał widelcem na swój kawałek.

– Cholera cię wie, rycerzyku.

Zrobiło mi się głupio, gdy Leo odwzajemnił moje spojrzenie, widocznie będąc w głębokim szoku, a potem parsknął cicho i pokręcił głową z niedowierzaniem. Chyba zabrakło mu słów na komentarz, bo po prostu uniósł swój widelec i zaczął jeść, ignorując wszystkich wkoło. Po jakichś dwóch minutach wyrwałam swój nadgarstek z dłoni Willa i sama zabrałam się za jedzenie, wściekłymi ruchami dźgając ciasto i raz po raz stukając widelcem o talerz. Niedługo potem pozostali też zaczęli jeść.

– Średnie to ciasto – ocenił Dylan.

– Za dużo brzoskwiń – dodał Tony.

– Jak dla mnie za mało – wtrącił Shane.

– Uważam, że jest przepyszne, a ilość brzoskwiń idealna – warknęłam chłodno.

– Dzięki, Hailie. – Leo mrugnął do mnie wesoło, ale szybko został szturchnięty przez Dylana.

– Nie patrz tak na nią.

– Dylan, odczep się! – uniosłam głos.

– O co ci chodzi? – zapytał Leo, pocierając bok.

– O to, że cię nie lubię.

Tony zaśmiał się pod nosem.

– Zrobisz coś wreszcie? – zapytałam Willa otwarcie, nie kryjąc już tego, że jestem wściekła z powodu jego bezczynności.

– Co mam zrobić, malutka?

Byłam gotowa odebrać mu tytuł ulubionego brata i wstrzymałam się tylko dlatego, że ktoś musiał go nosić, a żadnych innych kandydatów na horyzoncie nie widziałam.

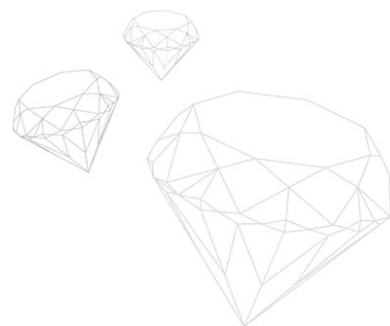
Spojrzałam na Vincenta, w takim razie oczekując jakiejkolwiek reakcji od niego, ale on podczas tej kolacji dbał najwyraźniej tylko o to, żeby się najeść. Leo traktował z góry i nie kiwnął nawet palcem, żeby upomnieć chłopaków. Nie patrzył też zbyt często na mnie.

– Przepraszam za swoich braci, Leo – powiedziałam nagle głośno i wyraźnie, zerkając nad stołem na swojego chłopaka. – Chciałabym powiedzieć, że nie wiem, co ich napadło, ale oni tacy po prostu są. Zawsze.

– Nie musisz ich tłumaczyć, Hailie – odparł. – Rodzeństwa się nie wybiera.

Uśmiechnęliśmy się do siebie nad stołem. Podziwiałam odwagę Leo, ale, niestety, chyba byłam w tym osamotniona. Chłopaki nie były pod wrażeniem jego słów. Dylan się do niego przybliżył, ponownie ograniczając jego przestrzeń, i to właśnie wtedy przesadził.

– Á propos rodzeństwa. Co słyszeć u twojego braciszka?



60

DOBRY WIECZÓR

Wstrzymałam oddech.

Pytanie o Rydera to był cios poniżej pasa.

Leo zamrugął i rzucił spojrzenie Willowi, który, jak można się było spodziewać, nie zrobił nic, żeby ułatwić mu odpowiedź na to pytanie.

– Ja... – zawahał się Leo i nieco zbladł. – Przecież wiesz, że nic u niego nie słychać.

– Nieźle się ukrywa? – Dylan wzruszył ramionami niby to obojętnie.

– Jak na spłukanego ćpuna o niskim ilorazie inteligencji – mruknął pod nosem Tony.

Shane zaśmiał się cicho.

– Zupełnie jakby ktoś mu pomagał – dokończył Dylan, udając, że zastanawia się nad jakąś skomplikowaną zagadką.

Leo wstał.

Po prostu się podniósł, a nas zaskoczyła gwałtowność jego ruchów. Z zaciśniętą szczęką powiódł spojrzeniem po nas wszystkich i na końcu zatrzymał je na mnie.

– Przepraszam, Hailie, próbowałem. Ale nie mogę. Po prostu nie mogę – powiedział, a następnie odwrócił się do Vincenta. – Sądziłem, że zostałem zaproszony na tę kolację, żeby z panem porozmawiać. Żeby przekonać pana jakoś do tego, że jestem dobry dla Hailie. Tymczasem już wiem, że za tym zaproszeniem kryła się chęć zniechęcenia mnie i wyprowadzenia z równowagi. I gratuluję, to drugie się udało.

Vince patrzył na niego i słuchał słów, które padały z jego ust, ale nic nie odpowiedział. Nie drgnął mu nawet żaden mięsień na twarzy. Obserwował Leo niczym niezbyt interesujący program w telewizji.

Tymczasem mój chłopak zwrócił się do świętej trójcy.

– Możecie się śmiać, wymachiwać nożami i tasakami, luz, wytrzymam to. Ale żartowanie sobie z mojego brata, którego temat jest dla mnie przykry i bolesny, jest przesadą i sądziłem, że nawet wy to rozumiecie. –

Złote oczy Leo błyszczały buntem i gniewem, ale złagodniały, gdy napotkały moje. – Nie wiem, Hailie, jak to możliwe, że taka wspaniała, empatyczna i dobra osoba jak ty ma tak okrutnych braci. – Następnie dosunął do stołu swoje krzesło. – Dziękuję za kolację, była naprawdę smaczna.

I wyszedł z kuchni.

Vincent uniósł filiżankę czarnej kawy do ust. Dylan gładził rączkę od tasaka, Tony gapił się na swoje dłonie, a Shane zaczął nabijać na widelec i wyjadać ze swojego talerza większe okruszki tarty. Twarze wszystkich były obojętne lub zagadkowe, ale żadna z nich nie zdradzała wyrzutów sumienia bądź zawstydzenia.

Will jako jedyny zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale też nie wyglądał na takiego, co planował iść za Leo i go przeprosić, dlatego tym razem to ja złapałam go za ramię.

– Ty już lepiej zostań – powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał jak najbardziej lodowato. O dziwo usłuchał.

Nie poświęcając swoim braciom więcej uwagi, wyszłam z kuchni, gdzie Leo w ciszy narzucał akurat na ramiona kurtkę. Patrzył w podłogę, ale na dźwięk moich kroków spojrzał na mnie i uśmiechnął się nieznacznie. Nie był to wesoły uśmiech jak wcześniej, bardziej przepraszająco-smutny. Gdy

upewnił mnie, że nie jest zły na mnie, śmieiej zbliżyłam się i opłotłam go ramionami.

– Przep... – zaczęłam, ale od razu mi przerwał.

– Nie przepraszaj za innych.

Zaśmiałam się cicho, ale szybko spoważniałam.

– Smutno mi, że tak to się potoczyło.

– Mnie też, ale i tak propozycja tej kolacji była zbyt podejrzana. Wiedziałem, że kryje się w niej jakiś haczyk.

Pokręciłam głową, wzdychając ciężko.

– Oni są okropni, tak strasznie mi przykro.

– Może... Może powinienem być zostać. Jakoś przełknąć tę wzmiankę o Ryderze... Nie wiem – szeptał Leo i jedną ręką wciąż mnie obejmując, drugą potarł swoją skroń. – Nie powinien był dać się tak łatwo... Powinienem być zostać, a teraz straciliśmy naszą szansę, co?

– Nic nie powinienem był – zaprzeczyłam stanowczo, zaciskając palce na jego barkach i unosząc głowę, by spojrzeć mu w oczy. – Hej, to oni przegięli. Nie mieli prawa wspominać twojego brata. Znają przecież sytuację. Przekroczyli granicę. Bardzo dobrze, że wyszedłeś i się im nie dałeś.

Po raz pierwszy zebrałam się na odwagę, by pod tym dachem musnąć ustami usta Leo. Ten drobny pocałunek dodał mi otuchy, zwłaszcza że Leo mnie nie odtrącił, dzięki czemu wiedziałam, że między nami wszystko nadal jest dobrze.

– Chyba sobie żartujesz.

To Dylan wylazł za nami z kuchni. Natychmiast się od siebie odsunęliśmy. Mimo pogardy, jaką do niego czułam, wiedziałam, że absolutnie nic dobrego nie może wyjść z prowokowania moich braci. Dylan na pewno nie przyszedł tu za nami, żeby przeprosić, ale też raczej początkowo nie zamierzał zabić mojego chłopaka. Teraz chyba zmienił plany, bo zmarszczył brwi i ruszył na niego.

– Idź już, Leo – zawołałam i prędko przesunęłam się tak, żeby stanąć Dylanowi na drodze.

Leo usłuchał i opuścił Rezydencję Monetów, korzystając z dodatkowych kilku sekund, które mu kupiłam, uwieszając się na koszulce Dylana. Gdy zamknęły się za nim drzwi, mój brat gotów był je wyrwać z zawiasów, żeby tylko dorwać chłopaka w swoje ręce, ale wtedy rozległ się ostry głos Willa:

– Dylan, uspokój się. Opuść.

– Jeszcze się nie pożegnałem.

– Wystarczy, powiedziałem – warknął Will swoim najbardziej autorytatywnym tonem. Nie używał go na co dzień, dlatego teraz zrobił spore wrażenie.

– Przychodzi, wychodzi, obściskuje Hailie, co on sobie wyobraża?! – zawołał Dylan.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – naskoczyłam na niego, wskazując na drzwi, za którymi zniknął nasz gość. – Jak mogłeś?! Zachowałeś się jak idiota!

– Idiotą jest twój rycerz, który strzelił focha, bo poruszyłem czuły temat.

– Ty nie masz w sobie za grosz empatii!

– Pogadamy, jak znajdziesz sobie kandydata, który nie jest pierdołą – warknął. – I za dziesięć lat co najmniej, nie teraz.

– Jasne, Dylan, masz dla mnie jeszcze jakieś warunki? Bo niezwykle mnie one interesują i obchodzą!

– Obydwoje się uspokójcie, już – zawołał Will, rozkładając ręce.

– Jak chcesz, to zrobię ci listę. – Dylan uśmiechnął się złośliwie.

– Cudownie, poproszę dwie kopie. – Odwzajemniłam uśmiech.

– Zrobię nawet trzy.

– Pewnie, im więcej, tym lepiej. Będę je trzymała obok papieru toaletowego.

– Oprawię je w ramkę.

– Hailie i Dylan! – ryknął Will. – Oboje się uciszcie, i to w tej chwili.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, by krzyczał tak głośno. Nie byłam jednak poruszona ani przestraszona, raczej po prostu wściekła. A skoro Will chciał zwrócić na siebie moją uwagę, to ja zamierzałam mu ją dać.

– A ty! – warknęłam na niego. – Myślałam, że mogę na ciebie liczyć. Że zawsze będziesz po mojej stronie. Nawet nie wiesz, jak się rozczarowałam.

– Hailie, tu nie...

– Nie chcę nawet cię słuchać. Żadnego z was nie chcę słuchać. Jesteście okropni.

Vince wychodził właśnie z kuchni, kompletnie nieporuszony tym, co się wydarzyło. Zachowywał się, jakby Leo nigdy do nas nie dołączył i jakbyśmy z Dylanem nie wrzeszczeli przed chwilą na pół domu.

– Ty też jesteś okropny – zaatakowałam go. – Nie zaprosiłeś Leo, żeby z nim pogadać. Zaszczyciłeś go ledwie jednym zdaniem. Zaprosiłeś go po to, żeby chłopcy go spłoszyli.

– Nie podnoś na mnie głosu, to po pierwsze – ostrzegł mnie nieprzyjemnym tonem. – A po drugie, gdyby twój kolega tak łatwo nie dał się spłoszyć, może mielibyśmy szansę przejść do naszej rozmowy.

– Dziwisz się, że wyszedł? Potraktowaliście go jak gówno! – wydarłam się.

Gdy tylko usłyszałam pierwsze komentarze krytykujące mój dobór słów, nie wytrzymałam i odwróciłam się na pięcie, by jak najszybciej wspiąć się po schodach i znaleźć daleko od swoich głupich braci. Jeszcze nigdy też nie trzasnęłam drzwiami tak głośno, jak dziś. Myślałam, że wylecą z futryny. Gdybym zrobiła tak w swoim starym domu, moja mama przyszłaby za mną i zrobiłaby mi godzinny wykład. Przez kilka minut siedziałam w napięciu, spodziewając się, że któryś z braci też się tu pojawi, by mnie upomnieć, ale nikt się nie pofatygował. Wtedy odetchnęłam z ulgą.

I... obraziłam się.

Generalnie nie byłam dobra w obrażaniu się na swoje rodzeństwo. Było ich za dużo, a ja miałam tylko ich, więc przyzwyczaiłam się wszystko szybko im wybaczać. Poza tym potrafili być uroczy. Wyjątkiem była moja wakacyjna kłótnia z Tonym, no ale wszyscy wiemy, jak się skończyła.

Tym razem jednak zdecydowałam, że będę chowała urazę tak długo, jak będzie trzeba. Moi bracia przegięli. Leo przyjechał na kolację, wiedząc, że nie będzie to dla niego łatwe doświadczenie, a oni zachowali się jak zwierzęta. Wiedziałam, że na koniec dobrze to rozgryzłam – Vincent

naprawdę chciał go przestraszyć. Dlatego zależało mu, żeby tamtego wieczora obecni byli wszyscy. Spodziewał się, że zrobią całą robotę i on nie będzie musiał prawie w ogóle się angażować. Niezwykle mnie to rozwścieczyło, bo od czasu mojej szczerzej rozmowy z Vincentem chciałam wierzyć, że nie jest taki zły, na jakiego się kreuje.

Nadal nie mogłam chodzić do szkoły. Czekałam, aż Vince da mi zielone światło, ale on zdawał się przeciągać moje nauczanie domowe w nieskończoność. Od czasu kolacji z Leo powrót do szkoły był jedyną sprawą, w której się do niego zwracałam. Na jego pytania odpowiadałam półsłówkami. Mimo iż w rezydencji dostawałam szału, to starałam się ciągle zgrywać obojętną, więc zaciskałam zęby i zamykałam się w pokoju.

Zaczął się akurat okres, w którym chłopaki na zmianę pojawiały się w domu i znikały. Z zadowoleniem przywitałam tydzień, w którym tak się złożyło, że cała święta trójca była w rozjazdach. Shane i Tony zostali pochłonięci przez studenckie życie, a Dylan spędzał czas w Nowym Jorku u Martiny. Wysyłał na grupę zdjęcia z drogich hoteli, bo często zdarzało się tak, że Vince również podróżował do Nowego Jorku i wtedy zatrzymywał się w swoim apartamencie, a Dylan, chcąc prywatności dla siebie i swojej dziewczyny, wynajmował penthouse'y warte fortunę.

Ani razu nie zareagowałam na żadne zdjęcie, które wysłał.

Z Leo kontaktowałam się przez wiadomości, ale ileż można pisać? Robiło mi się niedobrze od wiecznych wyrzutów sumienia z powodu zachowania braci. Jemu robiło się niedobrze z powodu wyrzutów sumienia przez to, co mi zrobił jego brat. Zaczynała się budować między nami ściana niezręczności i bardzo mi ona zawadzała. To było błędne koło, bo ta sytuacja potęgowała moją niechęć do braci, zwłaszcza najstarszych: Willa i Vince'a. Po Dylanie spodziewałam się tych wszystkich idiotycznych tekstów i wiedziałam, że bliźniacy będą mu przyklaskiwać. Ale to Will miał ich zganić, to Vince miał ich pohamować.

Chodziłam naburmuszona i trochę smutna. Posiłki jadałam w ciszy i nie dawałam się zagadywać. Na początku Will i Vince pozwalali na mój niemy bunt. Will zaczął mi rzucać zmartwione spojrzenia dość szybko, wkrótce też moim przygnębieniem zainteresował się Vincent. Z tyłu głowy wciąż miałam historię o ich matce i nie chciałam, żeby to wyglądało, jakbym

braćmi manipulowała, ale oni sami dokładali swoją cegielkę do muru mojego smutku. I chyba nareszcie w pewnym momencie sami się tego przestraszyli.

Vince był zbyt dumny, by ot, tak przyjść do mnie i mnie przeprosić, dlatego wysłużył się Willem, który z kolei chętnie ulżył swojemu sumieniu. Któregoś dnia zastukał do drzwi mojej sypialni i wszedł do środka na moje zaproszenie. Czytałam książkę, siedząc skulona w fotelu przy dużym oknie balkonowym, z którego rozciągał się widok na las. Lubiłam go, ale przypominał mi też o tym, jak ograniczona była moja wolność.

Will trzymał w ręku duże pudło. Obrzuciłam je pozbawionym zainteresowania spojrzeniem i wróciłam do lektury. Will położył pudełko ostrożnie na biurku, a ja wciąż ostentacyjnie go ignorowałam, zmuszając się, by nie dać mu satysfakcji i nie unieść na niego wzroku.

Niespodziewanie kucnął przy mnie.

– Hailie, spójrz, proszę, na mnie – szepnął.

Jego błękitne oczy patrzyły na mnie tak dobrotliwie, że gdy popełniłam błąd i spełniłam jego prośbę, od razu w nich przepadłam. Zrobiło mi się przykro, że muszę być zła na swojego ulubionego brata.

– Wiem, że wciąż jest ci smutno z powodu kolacji z Leo.

Książka zsunęła mi się z kolan i zamknęła bez zakładki. Westchnęłam z irytacją, ale nie odezwałam się.

– Hailie, brat tego chłopaka chciał ci zrobić krzywdę. Możliwe, że nadal chce, a my wciąż go nie znaleźliśmy. Nie wiadomo, co się z nim dzieje. Musisz zrozumieć, że nie skaczemy z radości na wieść, że wybrankiem twojego serca jest akurat Leo.

– Wybrankiem serca? – prychnęłam. Planowałam siedzieć cicho i pozwolić mu się tłumaczyć, ale co poradzę, że robił to w tak idiotyczny sposób. – Will, to chłopak, który jest dla mnie dobry i z którym chcę być blisko. Chcę, żeby był dla mnie kimś więcej niż tylko kolegą. Skoro on wam nie odpowiada, to ja chyba zostanę starą panną, bo nie wiem, kto mógłby być lepszym kandydatem na mojego partnera.

– Ktoś, kogo spotkasz, gdy będziesz starsza i kto nie będzie miał brata, który próbował cię uprowadzić? – Will uniósł brew.

– Przestań z tym „starsza”. Mam siedemnaście lat. Ile mam czekać, aż łaskawie zgodzicie się dać mi prawo do życia prywatnego?

Will sięgnął po moją dłoń. Nie chciałam pozwalać mu na tak śmiały dotyk, gdy byłam na niego zła, ale to jednak wciąż Will, którego mocno kochałam, więc się nie wyrwałam, a jedynie upewniłam, że w spojrzeniu, które mu rzuciłam, widać odpowiednią ilość frustracji.

– Malutka, Leo wydaje się miłym chłopcem i naprawdę mi przykro, że z powodu poczynań jego brata sytuacja wygląda tak, a nie inaczej.

– Nie malutkuj mi tu – warknęłam. – On sam nie zrobił nic złego, a potraktowaliście go okropnie.

– W porządku – powtórzył Will. – Przepraszam, Hailie, za to, że sprawiliśmy ci przykrość.

Wreszcie zaczął mówić sensownie.

– Wiesz, nie tylko mnie należą się przeprosiny.

– Nikt nikogo więcej przepraszać nie zamierza.

Spuściłam głowę.

– Hej – przemówił Will, znowu nieco łagodniej. – Naprawdę nikt nie chciał sprawić przykrości tobie. Martwimy się, to wszystko.

– Swoje zmartwienie okazujecie w beznadziejny sposób.

Will zacisnął rękę na moich palcach i uśmiechnął się lekko.

– Nie zawsze jesteśmy w tym najlepsi – powiedział. – Ale jednego możesz być pewna: zależy nam na tobie, na twoim dobru i bezpieczeństwie. Czasami myślę, że ty nawet nie masz pojęcia, jak jesteś dla nas ważna.

– Przestań – wymamrotałam.

– Mówię samą prawdę. – Uśmiechnął się. – I mam coś dla ciebie.

Podniósł się powoli, a ja powiodłam za nim wzrokiem, gdy sięgał po pudełko, które tu wcześniej przyniósł. Wrócił z nim do mnie i położył mi je na kolanach. Okazało się dość lekkie, więc byłam już prawie pewna, że w środku jest suknia, a gdy je otworzyłam, moim oczom ukazał się bordowy materiał.

– Organizujemy mały bal charytatywny. Tym razem bardzo skromny, bo jest to zbiórka specjalna. Nie planowaliśmy jej wcześniej. To ważne, żebyś

wzięła w niej udział. Z rodziny będziemy tylko ja i Vincent. Miło by było, gdybyś i ty dołączyła. – Will kucnął z powrotem i odgarnął kosmyk włosów z mojej twarzy, podczas gdy ja muskałam dłońmi materiał sukienki.

– Dlatego mnie przepraszasz? – zapytałam wpatrzona w bordową tkaninę. – Bo potrzebujesz, żebym wyglądała ładnie na waszym balu charytatywnym?

– Nie! Hailie... – Will westchnął i znowu złapał mnie za rękę. – Przeprosiłem, bo ci się należało. A wiem, że nie lubisz być uziemiona w domu, dlatego uznałem z Vincentem, że taki mały bal będzie dla ciebie przyjemną odskocznią. Mylę się?

– Nie mylisz – odmruknęłam. Wodziłam palcami wolnej dłoni po bez wątpienia drogim materiale.

– Cieszę się, malutka.

– Czy powiedziałaś, że Dylana i bliźniaków nie będzie?

– Mają już plany, a wydarzenie jest organizowane na ostatnią chwilę, więc...

– Wspaniale – przerwałam mu. – W takim razie życzę sobie, żebym mogła wziąć ze sobą Leo.

Will zacisnął usta.

– Hailie...

– Życzę sobie, żebym mogła wziąć ze sobą swojego chłopaka na wydarzenie, na którym pojawi się część mojej rodziny, i żeby został on potraktowany z szacunkiem. Tym chociaż podstawowym, który należał mu się na kolacji.

Następnie Will próbował – w swojej ocenie – przemówić mi do rozsądku, że obecność Leo na balu byłaby nieodpowiednia. Najpierw mówił, że zaproszenie go jest niemożliwe, potem że niewłaściwe, a potem skończyły mu się argumenty. Zamknęłam pudełko z suknią i odłożyłam je na podłogę, a gdy się schylałam, słyszałam, jak Will wzdycha. Wreszcie zgodził się przedyskutować tę sprawę z Vincentem.

Bracia chyba przeprowadzili jakąś okropnie długą i złożoną dyskusję, ale ostatecznie Vincent odpuścił. Mój chłopak nie skakał z radości na wieść, że znowu będzie miał do czynienia z braćmi Monet. Postarałam się

wyjaśnić mu swój punkt widzenia i ostatecznie wspólnie zgodziliśmy się, że jeśli mamy walczyć o nasz związek, to musimy wykorzystywać każdą okazję, by pokazać się razem. Przyznaję, że imponował mi swoim zacięciem.

Przeprosinowa suknia od Willa była piękna. Nie wiem, co by musiał mi powiedzieć, żebym nie zgodziła się jej przyjąć. Krój miała prosty – dekolt był prostokątny i nieprzesadnie głęboki, zwężenie w talii ładnie ją podkreślało, a wypuszczony luźno tiul dotykał ziemi. Najciekawsze w niej były spore, bufiaste rękawy. W cudowny sposób dodawały całej kreacji uroku.

Nie założyłam żadnej strojnej biżuterii, przystając na pomysł Eugenie, żeby w upięte do tyłu włosy wsunąć jedynie ozdobny grzebyk. Pomalowałam się sama, z zadowoleniem oceniając efekt końcowy – chyba miałam coraz więcej wprawy w nakładaniu makijażu. Mona byłaby ze mnie dumna. Zrobiłam sobie nawet zdjęcie, żeby potem jej pokazać.

Leo przyjechał swoim autem pod hotel. Tam wszystko jak zwykle pełne było przepychu i gdy zobaczyłam swojego chłopaka, który pochodził z tak zupełnie innego świata, jak stoi tam, opierając się o murek w swoim czarnym garniturze, zrobiło mi się głupio, że znowu nie przemyślałam sprawy i na niego naciskałam. Pozostało mi mieć nadzieję, że nie będzie się czuł niekomfortowo.

Nie śmiejąc nadwyreżać cierpliwości Willa i Vincenta, zgodziłam się nie afiszować w żaden sposób z Leo, dlatego wyglądało to bardziej, jakbym przyprowadziła ze sobą kolegę, albo, o zgrozo, kolejnego brata. Gdy szłam do wejścia, po obu stronach towarzyszyli mi bracia. Moja bordowa suknia pięknie współgrała z ich klasycznymi garniturami.

Salę udekorowano w kolorach złota i ciemnej czerwieni, więc ja ze swoją bordową kreacją wpasowałam się tu idealnie. Długie stoły zastawione wymyślnymi przekąskami, wymuskani kelnerzy przemykający wśród tłumu z kieliszkami wykwinnych alkoholi na tacach, muzyka klasyczna na żywo i panie w przepięknych sukniach – to była dla mnie norma. Leo zaś, nieco oszołomiony, rozglądał się wokoło, chłonąc każdy detal.

Ludzie zerkali z zachwytem na mnie, a potem na Leo i mrużyli oczy, zastanawiając się zapewne, kto to. Nie przejmowałam się niczym i wkrótce udało mi się sprawić, że Leo też przestał zwracać uwagę na otoczenie. A wtedy zaczęliśmy się dobrze bawić. Trochę potańczyliśmy – przyjemnie ścisnęło mi się ramię Leo i lubiałam czuć jego rękę na swojej talii. Nie był najpewniejszym z tancerzy, przez jakich byłam prowadzona, ale trudno się dziwić – w jego świecie nie było przecież balów charytatywnych, a on sam nie pobierał nigdy lekcji tańca. Był wychowywany w zupełnie inny sposób niż chłopcy tacy jak moi bracia, dlatego też byłam wyrozumiała wobec jego pomyłek i potknięć, poza tym Leo wszystkie braki w umiejętnościach nadrabiał sposobem bycia. Z nim po prostu było fajnie. Śmiałyśmy się do siebie i widziałam, że inni patrzą na nas z wyrozumiałością i rozbawieniem. Żeby było jasne – wciąż starałam się zachować klasę, po prostu byłam bardziej rozswawolona niż zwykle.

Wszystko toczyło się naprawdę świetnie, dopóki gdzieś na końcu sali nie wypatrzyłam Vincenta, który opuszczał ją właśnie wraz z Grace. Rzuciła mi się w oczy raz tego wieczora i jak zwykle wyglądała nieziemsko w czarnej sukience podkreślającej jej kobiecą figurę. Suknia miała dekolt w kształcie serca i opinała sylwetkę Grace aż do łydek, gdzie materiał układał się w literę V.

– Idą pewnie do jednej z hotelowych sypialni.

W pierwszej chwili pomyślałam, że te słowa wypowiedział Leo, i spojrzałam na niego zdumiona. Jednak to nie mój chłopak pozwolił sobie na taką uwagę, lecz Adrien, oczywiście.

Ubrany był na czarno – miał czarny garnitur, koszulę, krawat – ale najczarniejsza i tak była jego mroczna aura, przez którą przeszły mnie ciarki. Nigdy nie przepadałam za Adrienem, ale po ostatnich wydarzeniach, po tym, jak okropnie zachował się w gabinecie Vince’a i po jego dziwnych przeprosinach na parkingu, moja niechęć do niego jeszcze urosła. Po prostu za każdym razem, gdy się pojawiał, czułam niepokój i nie było to nic przyjemnego.

Najdyskretniej, jak się dało, przysunęłam się bliżej Leo.

– O, czy to recepcjonista? – zaśmiał się Adrien, z zaskoczeniem zerkając na chłopaka.

– Dobry wieczór – mruknął Leo.

– Gratulacje – powiedział do niego Adrien i upił łyk z kieliszka, który trzymał w dłoni.

– Czego mu niby gratulujesz? – zapytałam z rozdrażnieniem.

– Tego, jak efektywnie zdołał wmieszać się w nasze towarzystwo.

– W nic się nie wmieszał – burknęłam, po czym wyprostowałam się i dumnie uniosłam głowę, całą sobą pragnąc pokazać, jak bardzo jestem ponad takie pogawędki.

Niestety przy okazji wyeksponowałam swoją szyję, która przyciągnęła uwagę Adriena.

– Do tej jakże pięknej sukni sznur pereł pasowałby jak znalazł – powiedział.

– Mhm.

– Powiedz, Hailie Monet, boisz się nosić podarunek ode mnie? – Uśmiechnął się lekko.

– Nie boję się – warknęłam. – Nie chcę go nosić.

– Bo jest ode mnie?

– Tak, dokładnie dlatego.

Adrien uśmiechnął się jeszcze szerzej.

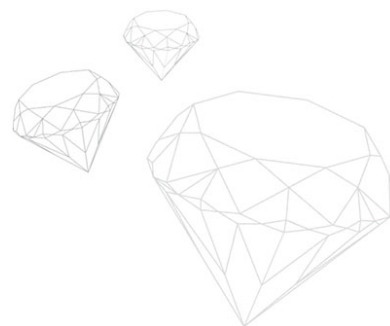
– Ale wiesz, że trzymając go w ukryciu, nadajesz mu jeszcze większą wartość?

Skrzywiłam się.

– Nie ma dla mnie żadnej wartości.

– Gdybyś traktowała go jak każdy inny naszyjnik, wtedy bym uwierzył. Najwyraźniej jednak jest dla ciebie wyjątkowy – powiedział z nutą drwiny w głosie. – Cóż, głupia sprawa, Hailie Monet, nie sądziłem, że tak odbierzesz mój gest. To był zwykły prezent przeprosinowy, nic wielkiego.

– Ja wcale... – Zawiesiłam głos, zszokowana jego tokiem rozumowania. Wiem, że tylko się ze mną drażnił, ale jego słowa niezwykle mnie irytowały. Odetchnęłam, żeby się uspokoić, i złapałam Leo pod ramię, mrużąc do niego: – Chodźmy stąd.



61

ŻADNA WIELKA SPRAWA

Suknia płatała mi się pod nogami, gdy robiłam długie kroki, by jak najszybciej oddalić się od Adriena Santana. Po drodze puściłam ramię Leo, bo nie chciałam, żeby dla mijanych uczestników balu wyglądało to, jakbym go za sobą ciągnęła niczym wór ziemniaków; przecież i tak podążał za mną. Zatrzymałam się dopiero przy przykrytym kremowym obrusem stole, jednym z wielu na sali, i skryłam się przed światem za imponującą złotą paterą, pełną obfitych kiści zielonych i różowych winogron.

– Wszystko okej? – zapytał Leo.

– Tak – odetchnęłam. – Ten facet po prostu działa mi na nerwy. Niezbyt za nim przepadam, zawsze mnie zaczepia.

Pilnowałam, by z powrotem nie szukać go wzrokiem wśród tłumu. Skupiałam się na współczującym uśmiechu mojego chłopaka.

– Może mu się podobasz?

Drgnęłam.

– Faj, nie.

Leo uniósł brew.

– Jesteś pewna?

– Ty tak na serio? – westchnęłam z niedowierzaniem. – Nie masz się co martwić, nie jestem w jego typie, o czym kilka razy uprzejmie raczył mnie poinformować. I jestem dla niego tylko małodatą. Po prostu lubi się ze mną drażnić. Wiesz, jak Dylan na przykład, z tą różnicą, że Dylan od czasu do czasu robi też dla mnie coś miłego.

– Jeszcze jedną różnicą jest to, że Dylan jest twoim bratem, a Adrien obcym gościem.

– Tak, to też – przytaknęłam. Obserwowałam przez chwilę, jak po wargach stojącego przede mną Leo błądzi uśmiešek, aż w końcu kąćki moich ust też zadrżały i założyłam ręce na piersi. – A ty co, zazdrosny?

– Na razie tylko badam sytuację. Ale daj mi znać, jeśli powinienem się martwić, to wiesz... – Leo nastroszył teatralnie brwi. – ...wtedy przejdę się do tego całego Adriena...

Wybuchnęłam śmiechem i złapałam go za klapę marynarki, a on mi zaraz zawtórował.

– Ty to się lepiej nigdzie nie przechodź. Trzymaj się od niego z daleka.

– Tylko żartuję. Wiem, że o ciebie nie muszę się martwić – powiedział i zrobił ruch, jakby chciał mnie cmoknąć w policzek, ale chyba sobie przypomniał, gdzie się znajdujemy, i się pohamował. – Poza tym wiem, że mamy szczerą relację i gdyby zdarzyło się coś, o czym musiałbym wiedzieć, tobyś mi powiedziała.

– Oczywiście, że tak – przytaknęłam, popadając w chwilowy zachwyt nad tym, jak cudownego mam chłopaka, ale zaraz potem uśmieszek zamarł mi na ustach, a żołądek ścisnął się nieprzyjemnie, bo o czymś sobie przypominałam.

Tyle się ostatnio działo, że w ogóle wypadła mi z głowy sytuacja z Nowego Jorku. Żeby oddać sobie sprawiedliwość – pocałunek Alexa to nie było coś, do czego wracałam myślami. Nie było w nim też mojej winy, dlatego nie miałam wyrzutów sumienia, jednak było to coś, o czym może Leo powinien wiedzieć. Zwłaszcza po tym, jak właśnie pochwalił naszą relację.

– Co to za mina? – zagadnął wciąż w lekkim nastroju.

– Właśnie sobie coś przypominałam – wymamrotałam.

Uniósł pytająco brew, a ja rozejrzałam się, czy przypadkiem nikt nas nie podsłuchuje. Byliśmy wśród ludzi, ale też mówiliśmy cicho, a na sali panował ogólny gwar, więc moje sekrety były bezpieczne.

– Pamiętasz, jak byłam w Nowym Jorku?

– Wtedy z Dylanem?

Przytaknęłam, a on skinął głową.

– Wydarzyło się tam coś, o czym ci jeszcze nie powiedziałam... – Dlaczego tak się stresowałam? Nie potrafiłam nawet spojrzeć mu w oczy.

– Co takiego?

– Dziewczyna Dylana, Martina, ma kuzyna, Alexa. Był taki moment, że byłam z nim w kawiarni, bo czekaliśmy na kogoś. Na Dylana. Który pomagał wprowadzić się Martinie. I... byliśmy w kawiarni, powiedziałam to już? Że w kawiarni?

Leo znowu skinął głową, wpatrując się we mnie z niewinnym oczekiwaniem.

– Mieliśmy zamówić kawę, ale w końcu zamówiliśmy coś do jedzenia, zrobił mi smaka, wiesz... – Już miałam mu opisać, co dokładnie zamówiłam, a potem jeszcze dodać wzmiankę o mimosie, gdy wreszcie wzięłam się w garść i odetchnęłam. – Pocałował mnie.

Leo zamrugał, a ja zbliżyłam się do niego, tym razem łapiąc go za rękaw.

– Przysięgam, że tego nie chciałam, on ma po prostu taki głupi charakter, słowo! Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, a on wmawiał mi, że ho-ho, jesteśmy na randce. – Zniżyłam nieco głos, próbując imitować męczyznę w nadziei, że Leo lepiej zrozumie sens mojej wypowiedzi, jeśli ubarwię ją grą aktorską. – A ja zaprzeczałam cały czas, a on nagle pochylił się i mnie pocałował, o tu, niby w usta, ale nic to dla mnie nie znaczyło. Odsunęłam się od razu. Od razu. I w ogóle nic to dla... Mało tego! Obląłam go piciem. Musiałam potem oddać mu jedną z koszulek Dylana, naprawdę go obląłam.

– Czekaj, zwolnij. – Leo zmarszczył brwi, z trudem za mną nadążając. Uniósł dłoń, tę samą, której rękaw trzymałam. – Mówisz, że kuzyn dziewczyny Dylana cię pocałował bez twojej zgody?

– Dokładnie! Bez mojej zgody, dobrze powiedziane!

– Co na to Dylan?

Zawahałam się.

– Nie... Ja... nie powiedziałam Dylanowi.

– Dlaczego?

– Bo Dylan to Dylan.

– Ja, twój chłopak, nie mogę na ciebie nawet spojrzeć, bo Dylan wybiegnie znikąd z tasakiem, a jakiś obcy koleś całuje cię w usta wbrew twojej woli i uchodzi mu to na sucho? – Leo uniósł brew.

– Nie, to nie tak. Nie ukryłam tego przed Dylanem ze względu na Alexa. Zrobiłam to dla siebie, dla świętego spokoju. Wyjaśniłam też z Alexem, że nie życzę sobie więcej takich akcji, i on zrozumiał. Obiecał, że to się nie powtórzy. Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej, dużo się wydarzyło, a dla mnie to naprawdę nic nie znaczyło.

Leo przechylił głowę.

– Nie przepraszaj, nie masz za co. Poważnie, Hailie, jest okej...

– Nie jesteś zły?

– Nie. To nie twoja wina. – Leo westchnął. – Tak to chyba jest, jak się człowiek spotyka z tak wyjątkową dziewczyną jak Hailie Monet.

Krew napłynęła mi do policzków, więc ostrożnie, by nie rozmazać makijażu, ukryłam twarz w dłoniach i spuściłam wzrok.

– Nie, bo po prostu mi się ciągle przytrafiają jakieś porąbane sytuacje.

– Nie szkodzi, Hailie, my jesteśmy ponad to, prawda?

Leo chyba przestało zależeć na ukrywaniu uczuć, bo objął mnie i przytulił. Powitałam ten gest z radością i oparłam się dłonią o jego klatkę piersiową.

– Przy okazji, ja też mogę ci o czymś powiedzieć.

Zerknęłam w górę na jego twarz.

– Tak? – zaśmiałam się nerwowo, nagle czując dziwne napięcie. – Co takiego?

– To żadna wielka sprawa. Nikt mnie nie pocałował, nie martw się – zażartował, ale widząc, jak się w niego wpatruję, kontynuował

z westchnieniem: – To serio nic wielkiego, ale jest to coś, co się wydarzyło ostatnio w moim życiu, więc jako ważna jego część też powinnaś o tym wiedzieć.

Czekałam na sedno, nieudobruchana nawet komplementem. Nie lubiłam tego, co działo się z moim ciałem. Denerwowało mnie, że tak się spina. Gdy wcześniej to ja mówiłam, on jakoś potrafił słuchać mnie ze spokojem.

– Z powodu pewnych... okoliczności, Winter... można powiedzieć, że chwilowo u mnie pomieszkuje.

– Co? – Odsunęłam się od niego, żeby lepiej widzieć jego twarz.

– To była dość... wyjątkowa sytuacja.

– Co takiego się niby stało? – chciałam wiedzieć i sama usłyszałam, że moje pytanie zabrzmiało wyjątkowo oschle, więc dodałam: – Od kiedy?

– Od niecałego tygodnia.

– Tydzień? Mieszka u ciebie tydzień?

– Jesteś zła?

– Nie ma własnego domu...? – Zmarszczyłam brwi, gdy próbowałam sobie przypomnieć, gdzie Winter mieszka. Kiedyś odwoziliśmy ją taksówką z imprezy. To był chyba jej dom. Więc proszę, ma dom.

– Ma – przytaknął Leo. – Ale sprawy w nim są trochę... skomplikowane.

– To znaczy?

– Złościsz się.

Znowu poczułam, jak palą mnie policzki, ale tym razem paliwem, które podsycalo ten ogień, nie był niewinny komplement. Cmoknęłam z irytacją, zwłaszcza gdy wyobraziłam sobie, że moja twarz pasuje teraz kolorem do sukienki.

– Nie złoścę się, pytam tylko. – Próbowałam zabrzmieć przyjaźniej, ale było to dla mnie z jakichś przyczyn niezwykle trudne.

– Na pewno? Wyglądasz, jakbyś się złościła.

– Chcę wiedzieć, dlaczego jakaś dziewczyna mieszka z moim chłopakiem, to nic takiego.

- Przecież poznałaś Winter i wiesz, że to moja przyjaciółka.
- Poznałam Winter i to akurat wcale nie działa na jej korzyść.
- Ona...
- Pamiętasz, jak ukradła mi torebkę?
- Pamiętasz, jak mówiłem ci, że ma trudną sytuację w domu?

Opuściłam ręce wzdłuż tułowia.

– Och.

– Mhm. – Leo pokiwał głową z ponurą miną. – To jej prywatne sprawy, więc nie chcę się rozwódzić na ten temat, ale jednocześnie chcę, żebyś wiedziała, co się dzieje. Ojciec Winter to alkoholik, dużo kiedyś pił.

– Pamiętam, jak wyzywał ją przez telefon – szepnęłam, znowu obejmując się ramionami, trochę ciaśniej niż wcześniej.

– Spaprał sobie życie i przy okazji rujnuje je Winter. – W głosie Leo pobrzmiwała pogarda. Właściwie nigdy nie słyszałam, żeby wypowiadał się o kimś w ten sposób. – W przeszłości nieraz interweniowaliśmy, ja i Gina, gdy zalewał się do nieprzytomności, tak że Winter nie potrafiła sobie z nim poradzić. Mama zawsze brała ją wtedy do nas. Albo Winter sama przychodziła, żeby przeczekać libacje, które odbywały się u niej w domu.

Przykryłam usta dłonią.

– Nie wiedziałam, że było aż tak źle – wyszeptałam.

– Przez ostatnie dwa lata panował u nich względny spokój. Jej ojciec poszedł wreszcie na odwyk. Że odbił się od dna, to byłoby za dużo powiedziane, ale przestał zalewać się w trupa i nawet znalazł jakąś dorywczą pracę, którą zdołał przez jakiś czas utrzymać. Aż do niedawna. Znowu zaczął pić i powoli wraca do starego stylu życia. Winter przyszła do nas jak za dawnych czasów i najpierw udawała, że tylko nas odwiedza, ale robiło się późno, a ona ewidentnie przedłużała swoją wizytę i wtedy się z Giną kapnęliśmy, co się stało.

– Biedna Winter...

– Ona nie jest w tym domu w stanie normalnie funkcjonować. Nie może spać przez odgłosy pijackich posiadówek. Mają jedną łazienkę, a jej ojciec

często zasypia pod prysznicem, no i kiepsko u nich z zaopatrzeniem lodówki, od kiedy przedmiotem numer jeden na liście zakupów znowu jest butelka wódki.

Zachwiałam się, bo zrobiło mi się słabo na myśl o mieszkaniu w takich warunkach. W takich momentach jak nigdy doceniałam swoje skromne, ale szczęśliwe dzieciństwo z mamą i babcią, które całe swoje życie podporządkowały mnie. Babcia ściszała telewizor, gdy nadchodził czas, bym szła do łóżka, a mama pilnowała, żeby w lodówce zawsze był mój ulubiony jogurt.

A umówmy się – to nie tak, że teraz, z braćmi, miałam gorzej.

– Jak mogę pomóc? – zapytałam.

– Dzięki, Hailie, ale jakoś ogarnęliśmy tę sytuację, przynajmniej na razie.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Ogarnęliście? Jak? Co zrobiliście? Poza tym, że Winter ukrywa się w twoim domu?

– Mama zaproponowała jej, żeby po prostu u nas została... na razie.

Uniosłam brwi.

– To jest ogarnięcie sytuacji?

– Niewiele da się tutaj zrobić...

– Żartujesz? – prychnęłam. – Nie trzeba tego gdzieś zgłosić? Przecież Winter jest nieletnia! Jej ojciec powinien znowu pójść na odwyk, a...

– To nie jest takie proste. No i to nie nasza sprawa, nie możemy w nią tak ingerować...

– ...więc zamieciemy ją pod dywan? To chcesz mi powiedzieć?

– To delikatna sprawa. – Leo rozejrzał się i podrapał po skroni. – Winter nie chce tego rozdmuchiwać.

– Może po prostu trudno jej samej podjąć taką decyzję i potrzebuje wsparcia?

– Hailie. Myślę, że ona wie lepiej od nas, co jest dla niej najlepsze.

– A ja myślę, że ona potrzebuje prawdziwej pomocy. Mieszkanie u ciebie i twojej mamy nie da jej prawdziwego spokoju, bo na pewno nadal martwi się o swojego tatę, czyż nie?

– Może i się martwi, ale jest nim też zmęczona, zawiedziona i przede wszystkim przyzwyczajona do takiego zachowania z jego strony. Ona chce tylko skończyć szkołę. Za kilka miesięcy będzie pełnoletnia, więc od wakacji podejmie pracę i zacznie sama się utrzymywać. Taki ma plan, a ja to szanuję i chcemy z Giną pomóc jej dotrwać do tego momentu usamodzielnienia się. Tyle możemy dla niej zrobić.

Patrzyłam przez chwilę w posadzkę, przetwarzając w głowie to, co usłyszałam. A potem zaczęłam nią kręcić. Spojrzałam na chłopaka i machnęłam ręką w stronę środka sali, na której wciąż się znajdowaliśmy.

– Możemy zrobić więcej, jesteśmy na balu charytatywnym mojej rodzinnej fundacji. Wiesz, czym się ta fundacja zajmuje? Niesieniem pomocy między innymi osobom takim jak Winter. Mogę załatwić...

– Ale słyszałaś, co powiedziałem? Winter tego nie chce. Taki rodzaj pomocy polegałby na wysłaniu jej ojca na odwyk. Winter wtedy zostałaby odesłana do rodziny zastępczej, musiałaby zmienić szkołę, a już teraz ledwo sobie w niej radzi i dopiero byłoby jej ciężko. Został jej ostatni rok. To miałoby sens, gdyby była młodsza. Teraz będzie tylko niepotrzebną komplikacją. Dajmy jej działać po swojemu. Uwierz, mieszkanie u mnie też nie jest jej na rękę.

– Och, z całą pewnością – mruknęłam pod nosem.

– Słucham?

Uniosłam brodę.

– Współczuję Winter, nie zasługuje na takie problemy. Jednocześnie nie wierzę, że mieszkanie w twoim domu jest dla niej taką znowu ogromną niedogodnością.

– Hailie, czy ty... czy ty jesteś teraz zazdrosna? – Leo się skrzywił.

– Hm, czy czuję się niekomfortowo wobec faktu, że mój chłopak mieszka pod jednym dachem z dziewczyną, która jest nim co najmniej zauroczona? – Udałam, że się zastanawiam.

– Żartujesz sobie.

– Ukradła mi torebkę, żeby wpakować mnie w kłopoty. Próbowала ci wmówić, że przegięłam, kupując ci na urodziny zbyt drogi prezent. Wybacz, że jej nie ufam, tak jakoś wyszło.

– Dobrze, okej, nie ufasz jej, ja to rozumiem. Ale myślałam, że może jednak ufasz mnie.

– Ufam ci, ale jestem szczerą i otwarcie ci przyznaję, że nie podoba mi się to, że ona będzie spędzała z tobą więcej czasu niż ja. Tak trudno to zrozumieć?

– Hailie, my prawie się nie widzimy! Ja ciągle jestem w szkole, w pracy albo się uczę. Ona też chodzi do szkoły, dużo pomaga Ginie w cukierni w podzięce. To nie tak, że my sobie beztrudno przesiadujemy całe popołudnia razem...

– Tak? Nie jecie wspólnie śniadań, nie zasiadacie do kolacji? Nie robicie sobie przerw na kawę? Nigdy się razem nie uczycie? Gdzie ona w ogóle śpi?

– No przecież nie w moim łóżku, na litość boską, Hailie, o to ci chodzi?
– Leo rozłożył ręce, a na czole między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

Zerknęłam w bok, nie zaprzeczając.

– Hailie, serio? Jesteś zazdrosna o moją przyjaciółkę z dzieciństwa, której po prostu pomagam, podczas gdy sama właśnie powiedziałaś mi, że jakiś chłopak ostatnio cię pocałował? Inny przed chwilą wspomniał, że podarował ci jakieś perły. Co ja mam sobie w takim razie pomyśleć?

– To były jednorazowe sytuacje! – warknęłam oburzona. – Nie mieszkam z żadnym z nich. Alex mnie pocałował, bo liczył na dobrą zabawę. Teraz już jest w Hiszpanii, ty wiesz, kiedy ja go znowu zobaczę? Prawdopodobnie nigdy! Adrien jest współnikiem mojego brata, dużo ode mnie starszym! Dał mi perły, żeby mnie przeprosić, bo mnie uraził i nie chciał psuć swoich stosunków z Vincentem. Tymczasem Winter jest w tobie dosłownie zakochana i teraz na dodatek ma cię na wyciągnięcie ręki. Naprawdę nie widzisz tutaj różnicy?

Leo wzniosł oczy do sufitu. Rzadko się denerwował, ale ja znałam go dobrze i widziałam po drobiazgach takich jak napięte ramiona czy częste

wzdychanie, że jest rozdrażniony.

– Jedyne, co widzę, to że ja pomagam przyjaciółce. Prosta sprawa. Ja nie jestem bezsensownie zazdrosny o ciebie i chciałbym, żebyś ty nie była zazdrosna o mnie.

– Może nie jesteś zazdrosny, bo wiesz, że nie masz o kogo być, jak przed chwilą ci wyjaśniłam – odparłam. Aż sama dostałam gęsiej skórki, słysząc, jak chłodno brzmiał mój głos.

– A chciałabyś, żebym był zazdrosny? – Leo marszczył brwi jeszcze bardziej.

– Niczego bym nie chciała. Nieważne.

– Chyba jednak ważne, co? – Próbował spojrzeć mi w twarz, którą przed nim ukrywałam.

Wzruszyłam ramionami i zabrałam dłoń, gdy próbował mnie za nią chwycić.

– Serio, Hailie?

– Idę do łazienki.

– Poczekaj, może najp...

– Muszę do łazienki. – Rzuciłam przez ramię, oddalając się. Zostawiłam Leo zdezorientowanego, samego przy paterze z kolorowymi winogronami. Czułam się za niego odpowiedzialna na tym balu, bo sama go tu ściągnęłam, i starałam się być dla niego kimś w rodzaju przewodniczki, ale teraz za bardzo się zdenerwowałam. Nieprzyjemnie ścisnęło mnie w żołądku. Niczym szpile wbijały się tam złość, zazdrość, poczucie winy i obrzydzenie. To ostatnie czułam do samej siebie za to, że zareagowałam w ten sposób na nowinę Leo. Winter była w bardzo przykrych sytuacji, a ja mogłam myśleć tylko o tym, jak łatwo teraz będzie jej zbliżyć się do mojego chłopaka.

Co jeszcze mnie denerwowało, to fakt, że Leo tak bagatelizował całą tę sytuację. No i ta dysproporcja między naszymi reakcjami – on faktycznie zdawał się nie być nawet w ćwiartce tak zazdrosny o mnie, jak ja o niego. Może dlatego nie potrafił mnie zrozumieć.

Jak interpretować ten brak zazdrości? Co, jeśli... Aż mnie zabolęło. Bo co, jeśli nie jestem wcale dla niego taka ważna?

Mojemu rozstrojonemu sercu niewiele było trzeba, by wziąć do siebie tę myśl. Zachciało mi się płakać. Przeciskałam się między ludźmi, rzucając na boki wymuszone uśmiechy i zaciskając dłoń w pięść na materiale sukienki. Od dźwięku skrzypiec zaczęła boleć mnie głowa.

Kierowałam się ku wyjściu z sali i od razu wypatrzyłam Adriena, który stał nieopodal. Wywróciłam oczami. Dopiero co od niego uciekłam. Pomachał ręką, pozdrawiając jakiegoś mężczyznę, a tamten chyba rzucił przez ramię dowcip, bo Adrien się wyszczerzył. Jego uśmiech się poszerzył, gdy znowu zobaczył mnie.

– Wracasz jak bumerang, Hailie Monet.

– Przepraszam, chcę przejść. – Patrzyłam w punkt za jego plecami, niezainteresowana nawiązywaniem z nim kontaktu wzrokowego.

– Ktoś tu jest nie w sosie. Sprzeczka z chłopakiem?

W końcu na niego spojrzałam. Dobrze mi znane rozbawienie rozjaśniało jego twarz, jak zawsze, gdy się do mnie zwracał.

– Aha, więc trafiłem. – Pokiwał głową i z gracją wyciągnął w moją stronę dłoń. – To może jeden mały taniec na otarcie łez?

Zapatrzyłam się na tę dłoń z sygnetem podobnym do sygnetu Vincenta i przeszły mnie ciarki. Normalnie z miejsca bym odmówiła, zachnęła się i odeszła, ale akurat myślałam o Leo i jego zazdrości, a raczej jej braku, i coś mnie tknęło, by skinąć głową.

Wyciągnęłam dłoń. Była dużo smuklejsza i mniejsza od dłoni Adriena. Zrobiłam to wolno i niepewnie, bo w głowie szumiało mi od ostrzegawczych myśli, dlatego Adrien miał dużo czasu, by jednak cofnąć rękę, co też uczynił. Uniosłam brwi, a on swoje zmarszczył, już nie tak drwiąco.

– Nie mówiłem na poważnie, Hailie... To byłoby niestosowne.

Poczułam smak goryczy w ustach i przycisnęłam swoje ramię z powrotem do tułowia. Krew we mnie zawrzała, ale miałam gdzieś Adriena i jego coraz głupsze zagrywki. Zamiast tego obejrzałam się za Leo, ale nie udało mi się go wypatrzyć. Byłam zła na niego i na siebie za to, że tak łatwo daję się wyprowadzić z równowagi i dobrowolnie ośmieszyłam

się przed współnikiem brata. Normalnie przecież wyśmiałabym jego propozycję tańca, a teraz byłam tak zdesperowana, że na nią przystałam.

Adrien przyglądał mi się z zagadkowym wyrazem twarzy, a ja, nie mając mu nic do powiedzenia, wyminęłam go, skierowawszy się w stronę podwójnych drzwi, które prowadziły do hotelowego lobby.

Przez nieuwagę wpadłam na coś, a raczej jak za chwilę miałam się przekonać – na kogoś. Uniosłam głowę, by napotkać niezadowolone spojrzenie Grace.

Rany, natura naprawdę nie pożałowała jej wzrostu, była co najmniej o głowę wyższa ode mnie. Jasne, miała wysokie szpilki, ale ja też przecież włożyłam dziś na stopy obcasy. Niejedna modelka pozazdrościłaby jej tych centymetrów, a ja nigdy nie stałam tak blisko niej, by sobie to uświadomić. Nie żebym miała czego żałować – natychmiast odczułam promieniującą od tej wiedźmy trującą aurę pogardy i wyższości, sprytnie zakamuflowaną delikatnymi, kwiecistymi perfumami, wzmocnionymi nutką cytrusów i wanilii.

Krótkie, bo sięgające ledwo za uszy starannie ułożone włosy Grace nawet nie drgnęły od impetu naszego zderzenia. Musiała poświęcić dużo czasu i specyfików, żeby je ułożyć. Pokryte brązowymi cieniami powieki zmrużyły się za to natychmiast, a udekorowane czerwoną szminką usta wykrzywiły w odrazie.

– Patrz, jak łazisz, niezdaro.

Zamrugalam. Grace też mnie nie lubiła, już dawno przyjęłam to do wiadomości. Uważałam tylko, że mogłybyśmy okazywać wzajemną niechęć z klasą, a nie stosując tanie wyzwiska niczym skłócone gimnazjalistki.

– To ty na mnie wpadłaś – odpowiedziałam, unosząc brodę, żeby posłać jej dumne i tak samo rozdrażnione spojrzenie. Dopiero wtedy zobaczyłam, że Grace nie jest w najlepszej formie. Na pierwszy rzut oka prezentowała się doskonale, ale pewne małe rzeczy w jej wyglądzie sugerowały, że coś jest nie tak. Pomalowane na czarno paznokcie wbijała wręcz w równie czarną kopertówkę, tak mocno ścisnęła ją w dłoni. Jej wyeksponowany biust unosił się i opadał szybciej niż normalnie w przyspieszonym oddechu, szczękę miała zaciśniętą, a oczy ciskały gromy.

– Jak ja na ciebie wpadnę, to upadniesz i się nie podniesiesz. Jak sierota, którą zresztą jesteś – powiedziała cichym, ale czystym głosem. Był na tyle ładny, że mogłaby użyć go, na przykład, by, nie wiem, zaśpiewać jakąś miłą piosenkę, zamiast tego jednak wybrała obrażanie mnie. Taksując mnie wzrokiem od góry do dołu, dodała też: – Wszyscy widzimy, że ledwo utrzymujesz równowagę na tych obcasach.

Następnie odepchnęła mnie lekko swoją torebką, bym zeszła jej z drogi, ale tak załazła mi za skórę, że naparłam na nią i pchnęłam obiema rękami dużo mocniej niż ona mnie.

Grace zachwiała się i cofnęła, skupiając się na chwilę na tym, by nie upaść, po czym wbiła we mnie wściekły wzrok.

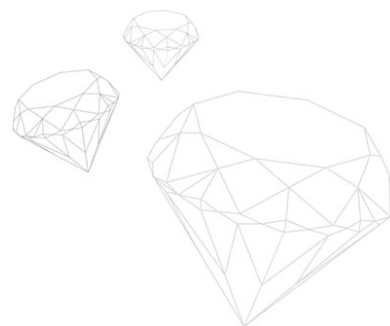
– Nie dotykaj mnie – syknęłam.

Nie posłuchała, bo tym razem to ona znowu wyciągnęła ręce, by mnie szturchnąć, ale ja już się miałam na baczności i swoje palce zacisnęłam na przodzie jej sukienki. Ona wtedy pociągnęła za jeden z moich bufiastych rękawów. Straciłam równowagę i przechyliłam się, przejeżdżając paznokciami po chropowatym materiale jej kreacji i zaciągając ją w kilku miejscach. Grace wycedziła coś przez zęby, ale byłam zbyt zajęta siłowaniem się z nią, by rozróżnić jej słowa, które i tak mnie nie interesowały. Interesowało mnie tylko to, żeby nie porwała mi sukienki tak, że błysnęłabym biustonoszem w miejscu publicznym. Chyba mi to jednak nie groziło, bo Grace upodobała sobie moje włosy. Pisnęłam, bo zabolalo, gdy mnie za nie szarpnęła, ale szybko się jej za to odwdzięczyłam. Przy okazji odkryłam, że w kudłach Grace znajduje się więcej lakieru do włosów niż w zapasach niejednego salonu fryzjerskiego.

Właśnie zastanawiałam się, czy to dobry moment, by wnieść tę walkę na wyższy poziom i zastosować jeden z trików z samoobrony, a kątem oka widziałam, jak Sonny już wkracza między nas, gdy ktoś dwukrotnie krzyknął imię Grace, a jeszcze inna osoba coś warknęła i nagle poczułam, że na moich ramionach zaciskają się dłonie. Były silne, więc bez trudu odciągnęły mnie od przeciwniczki. Ona też przestała się rzucać. Adrien skrepował ją w podobny sposób, jak mnie...

Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć, kto za mną stał.

...Vince.



62

MAŁA, SŁODKA SIOSTRA

Na widok jego bladej, niezadowolonej twarzy i dobrze mi znanych lodowatych oczu chęć do walki opuściła mnie prędzej, niż przyszła. Napięcie uleciało z moich ramion, zostawiając je zgarbione, ale mój brat nie ufał mi na tyle, żeby mnie puścić.

Sonny się wycofał.

Grace nie wykazywała się taką samą pokorą wobec Adriena. Gdy zobaczyła, że Vincent wpatruje się w nią zza moich pleców, wróciła do swojej znanej wszystkim, wyćwiczonej pozy – wyprostowała się, uniosła dumnie głowę, a jej spojrzenie stało się na powrót obojętne i nadęte. To, że przed chwilą się ze mną szarpała, zdradzały przede wszystkim jej włosy, które brzydtko jej potargałam. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem na ten widok. Cóż, jednak nawet Grace nie zawsze jest perfekcyjna.

– Już? – zapytał Vincent chłodno i ostro.

– Co to było, do cholery? – Adriena już opuścił dobry humor. Marszczył brwi i wpatrywał się w swoją siostrę, od czasu do czasu zerkając uważnie na mnie i Vincenta.

– Dobre pytanie – odpowiedziała Grace, poprawiając fryzurę. – Jak widać takie bale to nie miejsce dla nieokrzesanych dzieci.

Zmrużyłam oczy.

– Sama mnie popchnęłaś!

– Przeciwnie, to ty się popchnęłaś. Wpadłaś na mnie, gdy biegłaś – syknęła, unosząc zadbane brwi. – To eleganckie wydarzenie, a nie szkolny korytarz. Jeśli nie potrafisz się zachować odpowiednio do sytuacji, to zostań w domu i dorośnij.

– Skoro już chodzisz taka ważna jak święta krowa, to musisz liczyć się z tym, że od czasu do czasu ktoś ci wejdzie w drogę.

– Wystarczy, Hailie – upomniął mnie cicho Vincent, na co posłusznie zamilkłam. Nie mówił tonem pozostawiającym miejsce do dyskusji.

Niechęć Grace wobec mnie wyraźnie rosła. Otwierała już usta, zapewne by mi niemiło odpowiedzieć, ale zanim wydobył się z nich jakiś dźwięk, wtrącił się Adrien.

– Zgadzam się, droga siostró, z tym, że takie miejsce wymaga odpowiednio przyzwoitego zachowania, dlatego dziwię się, że jako dorosła kobieta, którą bez wątplenia jesteś, wdałaś się w przepychankę z nastolatką.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. On też potrafił wykrzesać z siebie podobny rodzaj intensywnego spojrzenia, które królowało zwykle u Vincenta. Już nie stał za Grace, a obok niej, i nie trzymał jej za ramiona, ale wciąż było w ich postawie coś takiego, co sugerowało, że autorytet znajdował się po jego stronie.

Grace zacisnęła usta i podarowała mi jeszcze jedno wzgardliwe spojrzenie. Miałam ochotę ziewnąć ze znużeniem jej w twarz, bo repertuar jej min powtarzał się częściej niż reklamy w telewizji.

– Cóż, Vincencie, śmiem twierdzić, że między naszymi siostrami zaszło jedynie drobne nieporozumienie – powiedział Adrien, uśmiechając się uprzejmie do mojego brata.

– Mhm, najwyraźniej.

– Grace? – Adrien zerknął na nią wyczekująco.

Ona, świdrując mnie wzrokiem, zmrużyła powieki jeszcze bardziej i syknęła do mnie jadowniczo:

– Spieprzaj.

Adrien uśmiechnął się szerzej, wesoło i sztucznie niczym prezenter w programie śniadaniowym.

– Grace miała na myśli, że bardzo jej przykro w związku z zaistniałą sytuacją.

– Sama spieprzaj – odwarknęłam.

– Hailie również przeprasza – powiedział spokojnie Vincent i tylko ja wiedziałam, jak mocno jego palce zacisnęły się na moich ramionach.

Adrien splótł dłonie.

– Świetnie więc, wybornej reszty wieczoru życzę.

– Wzajemnie.

Mężczyzna przeniósł wzrok z Vincenta na mnie, skinął uprzejmie głową i odszedł, mruknąwszy coś swojej siostrze do ucha. Ona poszła jego śladem, nie obejrzawszy się więcej na żadne z nas. Widziałam, że gdy weszli na salę, dłoń Adriena zacisnęła się na jej łokciu, gdy nachylił się do niej z boku i zaczął szeptać coś do jej ucha, już bez uśmiechu.

Bardzo chciałam zostać na miejscu i oglądać, jak Adrien ochrzania swoją głupią siostrę, ale zapomniałam, że sama byłam siostrą, którą czekał podobny ochrzan. Vincent zostawił jedną z dłoni na moim ramieniu, żebym wiedziała, że mam podążyć za nim, gdy odchodził do lobby.

– Hej – zawołał Will, dołączając do nas szybkim krokiem z sali. Minę miał zaalarmowaną i zwracał się głównie do Vince’a. – Co jest? Co to było?

– No właśnie, Hailie, co to było? – zapytał najstarszy brat, wreszcie mnie puszczając. Założył ręce na piersi i patrzył na mnie z pozornym, surowym spokojem.

Podparłam się ręką na kamiennym blacie recepcji. Był długi, a myśmy stali przy samym jego końcu, ale siedząca za nim recepcjonistka na pewno mogła nas usłyszeć, jeśli by wyteżyła słuch. Nie uśmiechało mi się, że ktokolwiek będzie świadkiem tego, jak dostaje mi się od Vincenta, więc przeciągałam tę chwilę tak długo, jak się dało.

Rozglądałam się po lobby – było spore, jasne i w porównaniu do sąsiedniej sali balowej prawie zupełnie puste. Tylko od czasu do czasu wystrojeni goście przemykali na dwór, żeby zapalić papierosa albo

ochłonać, lub kierowali się w stronę łazienek. Nieopodal wiernie sterczał też Sonny. Oczywiście słysząc było tu muzykę i gwar z sali, ale i tak ściszyłam głos, gdy wreszcie zebrałam się na odpowiedź.

– Grace zaczęła.

– Co zaczęła Grace? – zapytał Will, również zakładając ręce na piersi. Miałam ochotę odwrócić się od tej dwójki na pięcie i uciec z powrotem do sali, gdzie mogłabym wtopić się w tłum i...

– Hailie. Odpowiedz. – Vince tracił cierpliwość.

– Jest wredna, mówi przykre rzeczy i mnie popchnęła.

Vince, o dziwo, odetchnął i spuścił na chwilę głowę, a potem szybko podniósł ją znowu. Will patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Rozmawiałeś z nią?

Vince skinął głową, a ja zmrużyłam oczy.

– Aha, czyli to twoja wina, że jest na mnie taka cięta? – prychnęłam. – Co jest, zerwałeś z nią czy co?

Gdyby była taka możliwość, żeby dotknąć spojrzenia, to to, które właśnie rzucił mi Vincent, pocięłoby mi opuszki palców.

– Czy ty, drogie dziecko, się nie zapominasz?

Byłam smutna i zirytowana po kłótni z Leo, upokorzona przez sytuację z Adrienem, rozdrażniona konfrontacją z Grace i może to dlatego miałam w sobie wyjątkowo mało wyrozumiałości wobec dramatów w życiu miłosnym Vincenta i jego jędzowatej partnerki.

– Ta twoja Grace jest podła! Mam jej pozwolić, żeby traktowała mnie jak jakieś popychadło, z którego wielka pani może drwić i obrażać je na każdym kroku?

– Bardzo dobrze, że się bronisz – powiedział Will. – Chodzi tylko o sposób, w jaki to robisz.

– Okej, następnym razem, gdy mnie chamsko popchnie, powiem jej, że odczuwam głęboką dezaprobatę dla jej karygodnego zachowania.

– Hailie.

– Bo czepiacie się mnie, jakby to wszystko było moją winą! – westchnęłam. Dobrali się, dwaj, pozał się Boże eleganci w garniturach

z karcącymi spojrzeniami wymierzonymi w moją stronę.

– Nikt się ciebie nie czepia, uspokój się. Próbujemy z tobą porozmawiać, dlaczego tak krzyczysz? – Will uniósł dłoń w uspokajającym geście, co dało zupełnie odwrotny efekt.

– Nie krzyczę, bo to no po prostu... Zawsze to mnie się obrywa! Bo co niby, bo powiedziałam jej, żeby spieprzała? I tak powiedziałam, i dobrze, i gdybym mogła, tobym powiedziała jej tak znowu.

Nawet się rozejrzałam, jakbym szukała Grace wzrokiem po lobby. Natknęłam się tylko na ostrożne spojrzenie recepcjonistki, która od razu spojrzała w inną stronę. Z irytacją starałam łaskocząc mnie w policzek gorącą łzę.

Vincent i Will patrzyli na mnie już trochę inaczej. Do tej pory zdawali się patrzeć na mnie z naganą, ale teraz w ich wzroku dostrzegłam... zaniepokojenie?

– Może weźmy pokój, będziesz mogła się w nim uspokoić i ochłonać, hm? – zaproponował delikatnie Will. Zerknął na Vincenta, który skinął głową, aprobując ten pomysł.

– Nie chcę, nie potrzebuję – burknęłam, ścierając kolejną łzę.

Vince nie usłuchał, tylko zbliżył się do recepcjonistki i skinął dłonią.

– Poproszę o kartę do wolnego pokoju.

– Będzie musiał zostać opłacony za całą dobę – wyjąkała recepcjonistka, rumieniąc się pod spojrzeniem mojego najstarszego brata.

– Niech będzie – odparł Vince nieco już niecierpliwie.

– Nie chcę żadnego pokoju – powiedziałam. – Słyszysz? Nie idę do żadnego pokoju.

– Tak będzie lepiej, Hailie, ochłoniesz, porozmawiamy... – przekonywał mnie Will.

– Nie chcę. Słyszysz, co mówię? Że nie chcę?

Im spokojniej przemawiał do mnie mój ulubiony brat, tym bardziej robiłam się nakręcona.

– Musisz się uspokoić, no dalej, Hai...

Łupnęłam pięścią w kamienny blat. Nie narobiłam hałasu, ale zwróciłam na siebie uwagę nawet recepcjonistki, w którą następnie wycelowałam palec tej samej, obolałej teraz nieco dłoni.

– Przestań. Nie chcemy żadnego pokoju, przestań klikać w tym komputerze.

Kobieta zerknęła na Vincenta i było jasne, że zamierza posłuchać jego, nie mnie. Zalała mnie ogromna fala gniewu. Z powrotem zacisnęłam dłoń w pięści i sama się przestraszyłam tej ogarniającej mnie złości. Smakowała inaczej niż zwykle, gdy się denerwowałam. Tym razem była potężniejsza i już na samym wstępie miałam to nieprzyjemne poczucie, że znajduje się hen poza zasięgiem mojej kontroli.

– Nigdzie nie idę – warknęłam.

Will wyciągnął rękę, by złapać mnie za ramię. Chciał zrobić to delikatnie, więc bez problemu się wyrwałam i cofnęłam.

– Co, nie mogę się uspokoić tutaj? Nie możemy porozmawiać tutaj?

– Nie krzycz...

– Bo co? – zawołałam. – Bo ktoś zobaczy lub usłyszy? Nie jestem wystarczająco reprezentatywna, gdy krzyczę? Nie jestem małą, słodką siostrą, gdy krzyczę? Nie jestem wtedy cholerną Perełką Monetów?!

– Weź ją – mruknął Vincent do Willa, przejmując kartę od wystraszonej recepcjonistki.

Byłam gotowa wyrwać się znowu, ale tym razem Will złapał mnie za ramię oraz nadgarstek, nadal delikatnie, ale i stanowczo ciągnąc mnie w stronę korytarza. Im bardziej zdecydowany był Will, tym bardziej ja oponowałam i nawet nie wiem, dlaczego tak z nimi wtedy walczyłam. Dla zasady chyba. Wreszcie odziane w czarną marynarkę plecy Vincenta zatrzymały się pod drzwiami pokoju, do którego kartę dostaliśmy. Otworzył je i puścił nas przodem.

Hotel ten nie należał do tych najbardziej ekskluzywnych, ale z pewnością zasłużył na kilka gwiazdek. Pokój nie robił wrażenia rozmiarem ani luksusem – może za wiele się już w życiu naoglądałam przepychu – i pewne było, że gdzieś na wyższych piętrach musiały znajdować się o wiele okazalsze apartamenty. Pomieszczenie samo w sobie

było jednak przytulne, czyste i urządzone w przyjemnych dla oka barwach kawy z mlekiem.

Wreszcie oswobodzona z uścisku stanęłam na środku i natychmiast się zjeżyłam.

– Wypuść mnie stąd – syknęłam do Vince’a.

– Najpierw się uspokoisz.

– Jestem spokojna!!!

– Co się dzieje, Hailie? Czy to przez Grace? – spytał zdeorientowany Will.

Odchyliłam głowę do tyłu i jęknęłam.

– Gdzieś mam tę Grace!

– No więc przez kogo?

Will i Vince stali razem w pobliżu drzwi, trochę jakby strzegli ich, bym im się stąd nie wymknęła. Wyglądało to tak, jakby oddali mi scenę, jaką był środek pokoju. Niby powinnam się cieszyć, że już mnie nie osaczają, ale bycie uwięzioną w pokoju hotelowym wcale nie smakowało jak swoboda. Najeżyłam się jeszcze bardziej, gdy Will świadomie bądź nie, zrobił krok w moją stronę, pozostawiając Vincenta nieco z tyłu.

– Przez... Leo? – dopytywał.

– Nie, nie przez Leo! – wykrzyknęłam i zachciało mi się płakać, bo sobie przypominałam, że zostawiłam go samego gdzieś na sali.

– To przez kogo?

Patrzyłam na swoich braci.

– Przez was.

Will przechylił głowę w bok.

– Hailie...

– Przez ciebie i ciebie... – Wskazałam kolejno na nich obydwu. – No i przez Dylana, Shane’a i Tony’ego.

– Hailie...

– Ta kolacja? – parsknęłam. – Ta kolacja to był żart! Myślałam, że to okazja, żeby zmienić stan rzeczy, ale stało się jak zawsze, odgrzewany

kotlet. Moi starsi bracia odegrali komedię, żeby spłoszyć zainteresowanego mną chłopaka.

– Dobrze wiesz, że...

– I jak ja mam się z nim nie kłócić?! – zapytałam samą siebie. – Jak ma być między nami dobrze, skoro wszystko dookoła jest źle. I jestem o niego zazdrosna, bo jak mogę nie być? Kiedy ktoś inny może widzieć go na co dzień, a ja prawie w ogóle?

Will zrobił kolejny krok do przodu, a ja się cofnęłam.

– Nie, nie podchodź! – zawołałam pospiesznie. – Ja chcę tylko wiedzieć, czemu tak jest i czemu... i czemu wszyscy się na mnie gapią tu, na balu. A Grace powiedziała, że wiedzą, że nie potrafię chodzić na obcasach.

Will marszczył brwi, próbując zrozumieć, o czym mówię, a Vince zacisnął szczękę, gdy padło imię Grace.

– Nie słuchaj, co ona mówi, nigdy, a już szczególnie dzisiaj. Przemawiała przez nią złość, ponieważ, jak wiesz, łączyła mnie z nią długa relacja, którą dziś zakończyłem. Zapewne dlatego reagowała bardziej emocjonalnie niż zwykle.

– Hailie, dlaczego nie usiądziesz? – zagadnął łagodnie Will.

– Nie podchodź! Nie chcę, żebyś podchodził i... i mnie pocieszał.

– Malutka...

– Nie! – krzyknęłam, robiąc kolejny krok w tył, aż poczułam na plecach muśnięcie firanki, bo znalazłam się przy oknie. – Nie.

Bracia spojrzeli po sobie. Nie mieli pojęcia, co począć. Z jakiegoś powodu podłamało mnie to jeszcze bardziej. Wylewała się ze mnie żalność, nad którą przestałam panować. Jakby skumulowane od dawna uczucia, z których obecności nie zdawałam sobie sprawy, nagle dostały zielone światło i znalazły ujście. Smutek i złość rozprzestrzeniły się po moim ciele, zostawiając po sobie dreszcze. Kolana mi miękły, a powieki nie mieściły wszystkich łez.

– Hailie... – Will znowu podjął próbę i zrobił maleńki krok, ale natychmiast się zatrzymał.

– Zostaw mnie! – zawylałam, wiedząc, że zachowuję się dziwnie, ale nie potrafiłam nad sobą zapanować. – A tata? Jest w więzieniu! Trafiał do więzienia i co, zostanie tam teraz już na zawsze...

Vince i Will znowu wymienili znaczące spojrzenia. Chyba powoli zaczynali rozumieć, że mój wybuch nie był spowodowany jakimś konkretnym wydarzeniem tego wieczoru, tylko nagromadzeniem zbyt wielu negatywnych emocji. Sprawa z ojcem nie była jedynym powodem mojego załamania, ale miała ogromne znaczenie.

– Hailie, no chodź tutaj. – Will mówił jeszcze łagodniej niż przed chwilą. Otwierał dla mnie ramiona i patrzył ze współczuciem. Część mnie bardzo chciała rzucić się po oferowane przez niego pocieszenie.

Druga część wzdrygnęła się i wrzeszczała, bym trzymała się na dystans. Po raz pierwszy odrzucało mnie od Willa. Może to przez tę kolację, podczas której tak mnie zawiódł. A może zbyt często szukałam u niego wsparcia i teraz tak naprawdę wcale być chciałam, by mnie wspierał. Może potrzebowałam zostać sama.

Cofnęłam się jeszcze bardziej – tak że wcisnęłam się w lukę między łóżkiem a ścianą. Tym samym znalazłam się w pułapce i tylko krzykami mogłam trzymać Willa na dystans. Vincent został z tyłu i chyba liczył na to, że młodszy brat zapanuje nad sytuacją.

– Już, malutka, spokojnie, ja do ciebie nie podchodzę, widzisz? Stoję w miejscu. Ty podejdź do mnie, jeśli chcesz. Usiądźmy sobie i porozmawiamy, okej?

Kręciłam głową i z moich ust wydobywało się raz cichsze, raz głośniejsze „nie”.

– Rozumiem, że jest ci smutno, porozmawiajmy o tym. To najlepszy sposób na wyzbycie się przykrych emocji, nie ma potrzeby, żebyś się tak męczyła. Nie krzywdź się tak, proszę... – Will wyciągał do mnie rękę. Zamknęłam oczy, by na nią nie patrzeć.

Jego spokojny głos, zamiast koić moje nerwy, tym razem tylko działał na nie z odwrotnym skutkiem. Moje serce uderzało tak szybko, że zaczęłam poważnie martwić się o swój stan, ale nie potrafiłam nad tym zapanować, bo gdy dopuściłam do siebie lęk, on błyskawicznie się we mnie zadowił. Rozbolał mnie brzuch, więc trzymałam na nim jedną rękę, przeklinając

teraz opinając go suknią. Drugą dłonią szukałam ściany, na której mogłabym się oprzeć, żeby nie upaść.

Will znowu coś mówił i widziałam przez łzy, jak się do mnie zbliża. Nie miałam już gdzie przed nim uciec, więc rzuciłam się na kolana. Chyba krzyczałam, żeby sobie poszedł. Musiałam krzyczeć, bo przestraszył się i stanął. Uniósł nawet dłonie, żeby pokazać, że zachowuje dystans. Rzucił spanikowane spojrzenie Vincentowi.

Nasz najstarszy brat zmarszczył brwi. Nie rozumiał, co się dzieje. Cóż, nie on jeden, ja sama nie wiedziałam, skąd się wzięły te tak silne emocje, które we mnie wezbrały. Zupełnie jakbym była bohaterką powieści fantastycznej, która odkryła w sobie wielką moc i nie potrafiła nad nią zapanować. Ileż to ja podobnych książek pochłonełam...

– Zrób coś – powiedział Will do Vince’a. Patrzył na mnie, chyba po raz pierwszy postawiony w podobnej sytuacji. Chciał zrobić krok do przodu, ale drgnęłam raptownie, więc przystanął. – Vince... – powtórzył.

Vincent rozłożył ręce, bezradny jak nigdy. Wbił w brata rozdrażnione spojrzenie i syknął:

– Co ja mam zrobić?

– Cokolwiek; popatrz na nią, przecież coś się z nią dzieje, to nie jest normalne!

To naprawdę nie było normalne. Zaczynałam się zapowietrzać, coś dusiło mnie w płucach i nie puszczało. Oddychanie stawało się katorgą, już nawet ignorowałam łzy rujnujące mój makijaż, który pewnie spłynął mi na sukienkę – nie obchodziło mnie to na tyle, by sprawdzić. Kuliłam się teraz przy szafce nocnej, wciśnięta między łóżko a ścianę, i jedyne, na czym mi zależało, to żeby nikt się do mnie nie zbliżył. Niechby mi już nawet rozerwało te płuca – ważne, żeby nikt mnie nie dotknął. To dlatego w reakcji na kolejne słowa Vince’a tak rąbnęłam dłonią na oślep w stół, że spadła z niego nocna lampka.

– Spróbuj ją podnieść.

– Widzisz, że ona nie chce... Czekaj, przecież zaraz zrobi sobie krzywdę!

– Czy ja mam tam wejść?

- Nie ma miejsca... Przestań, to jej nie pomaga.
- Bezczylnie stanie też jej nie pomaga, czyż nie? – warknął Vince.
- Ona nie płacze, to jest jakiś atak hysterii, trzeba ją uspokoić.
- To zacznij wreszcie ją uspokajać. – W głosie Vincenta słychać było zdenerwowanie. Mój brat nie był przyzwyczajony do sytuacji, w których coś szło nie po jego myśli, a on nie mógł nic na to poradzić. Zazwyczaj był w stanie kogoś przekupić albo go zastraszyć, jednak nie tym razem.

Will nachylił się w moją stronę.

- Hailie, musisz zacząć ze mną oddychać. Malutka, udusisz się!

Kręciłam głową, choć miał rację – naprawdę zaczynałam się dusić. Jeszcze nigdy tak bardzo nie straciłam kontroli nad własnym ciałem. Było jak klatka, w którym została uwięziona mała Hailie. Ona chciała, żeby ktoś jej pomógł i ją przytulił, ale te chęci tłamsiła nieznana siła, która mną teraz zawładnęła. To ona nie pozwalała zbliżyć się do mnie chłopakom.

Will i Vince coś mówili – Will z paniką w głosie, a Vince gniewnie – ale bali się do mnie podejść, bo przy każdej takiej próbie ja zanosłam się jeszcze większym płaczem, a nawet tupałam nogami i wtulałam się w ścianę.

- Dosyć, dzwonimy po pogotowie – zdecydował Will i było to coś, z czym Vincent najwyraźniej bardziej zgodzić się nie mógł, bo, obserwując mnie spod ściągniętych brwi, wysunął komórkę z kieszeni i natychmiast przytknął ją do ucha.

Will w tym czasie kucnął, wciąż zachowując między nami odpowiednią odległość. Jeśli wcześniej myślałam, że jest zmartwiony, to teraz w jego błękitnych, dobrych oczach błyszczało przerażenie.

Moja długa suknia szeleściła, gdy obejmowałam się coraz ciaśniej ramionami, żeby powstrzymać drgawki. Mokry od zimnego potu i gorących łez policzek przytuliłam do miękkiego, bufiastego rękawa. Zrujnowałabym tym naciskiem jego kształt, gdyby nie to, że już wcześniej wytarł go Grace. Kłuło mnie w klatce piersiowej i trudno było mi zaczerpnąć powietrza, a przecież musiałam oddychać. Skryłam twarz przed wszystkimi za zasłoną splecionych włosów. Światło w pokoju zdawało mi się przesadnie jaskrawe, więc zaciskałam powieki, żeby mnie nie raziło. Ignorowałam

instrukcje Willa, wypowiedane na pozór spokojnym, ale i lekko drżącym głosem, a także ciche, wyraźne i konkretne informacje, które Vince chłodno przekazywał do telefonu.

Z czasem zaczęło mi się polepszać. A przynajmniej ból w klatce piersiowej zelżał, choć nie zniknął całkowicie. Moje oddechy wciąż były płytkie, ale mimo guli w gardle przestałam się dusić – w zamian dostałam czkawki. Zaczęło docierać do mnie, co przed chwilą się wydarzyło. Zmęczenie uderzyło we mnie nagle, jak wcześniej uczucie gorąca. Wyrzałam ostrożnie zza strąków na mojej twarzy, nie mając siły nawet odgarnąć ich na bok. Dłonie zaciskałam na podkurczonych nogach, próbując opanować ich drzenie.

Niedaleko zobaczyłam wyciągnięte nogi Willa, który w swoim eleganckim garniturze siedział na ziemi, oparty plecami o łóżko. Ręce trzymał na udach, a palce na przemian rozluźniał i zaciskał w pięści. Odżył nieco, gdy zobaczył, że się rozglądam, ale zanim zdążył zapytać o cokolwiek, przeniosłam wzrok na Vincenta. On wciąż stał, ale też bliżej. Opierał się z założonymi rękoma o okno, które wcześniej przysłonił kotarą. Patrzył gdzieś w bok, widocznie spięty.

Zamrugałam. Co się właśnie wydarzyło?

Łzy leciały mi ciurkiem, jakby pod ich postacią ulatywały ze mnie te wszystkie resztki okropnych emocji, których nie udało mi się do tej pory pozbyć.

– Już, Hailie? – zapytał Will i poruszył się, a ja wtedy drgnęłam, więc znowu się zatrzymał i westchnął. – Nie dotknę cię, dobrze? Popatrz, ręce mam tutaj. Chciałbym, tylko żebyś może położyła się na łóżku, okej? Spróbuj wstać z podłogi, malutka.

Zrozumiałam, że to może wcale nie być taki głupi pomysł. Pośladki bolały mnie od twardej podłogi, plecy od garbienia się, no i powoli robiło mi się zimno. Łóżko zaś stało tuż obok, musiałabym więc się tylko dźwignąć na nogi i zaraz mogłabym na nie opaść... Wykonanie tych czynności zajęło mi beznadziejnie dużo czasu. Wiedziałam, że gdybym chwyciła wyciągnięte dłonie Willa, to byłoby mi łatwiej. Zaczynałam tęsknić za wsparciem ulubionego brata, ale jednocześnie wciąż uparcie nie chciałam z niego skorzystać.

Wycieńczona atakiem opadłam na materac, kuląc się w pozycji embrionalnej. Jedną dłońią znowu opłotłam kolana, nie dbając o ułożenie sukni – jej rąbek wciąż chyba włókł się po podłodze. Głowę przytuliłam z wdzięcznością do miękkiej poduszki, ale wciąż miałam problem z zapanowaniem nad drzeniem ciała i niespokojnym oddechem.

– Trochę się chyba uspokaja – powiedział Will, a następnie nachylił się i zwrócił do mnie: – Mogę cię złapać za dłoń, jeśli chcesz.

Pokręciłam głową, z jękiem wciskając ją w poduszkę.

– Okej, rozumiem, nie chcesz – odparł szybko. – Może chcesz Vince’a?

Kręciłam głową nadal, nie zaszczycając braci ani jednym spojrzeniem.

– A chciałabyś, żeby ktoś tu do ciebie przyszedł? Jeśli tak, to powiedz tylko kto. – Zamilkł na chwilę, a potem z wyraźnym napięciem, ale i determinacją dodał: – Może Leo?

Milczałam.

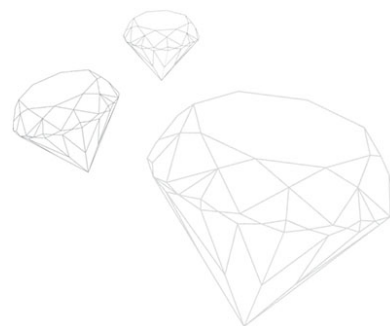
– Powinienem zawołać Leo? Ściągnę go tutaj, jeśli chcesz.

– Nie – szepnęłam. Nie chciałam, by oglądał mnie w takim stanie.

– Na pewno? Nikogo?

Wodziłam opuszkami palców wolnej ręki po gładkiej, świeżej pościeli i na tym etapie słowa zdawały się opuszczać moje usta bez mojej kontroli, zadziwiając mnie samą.

– Dylana.



63

WILL, PRZESTAŃ

C

hwila ciszy.

– Dylana? – powtórzył Will, po czym zaczął powoli kiwać głową. – Okej, okej... Dylana, w takim razie...

Sięgnął po telefon, ale nie zdążył odblokować ekranu, bo zbliżył się Vince i wyrwał mu aparat z rąk.

– Co robisz?

Na twarzy Willa zmieszanie ściągało się z desperacją. Bezradnie wzruszył ramionami.

Vincent uniósł jego telefon i zmrużył oczy.

– Myśl logicznie. Jest późny wieczór, a Dylan jest w Nowym Jorku, zapewne nietrzeźwy. Naprawdę chcesz teraz do niego dzwonić i go tu ściągać?

– Skoro nie ściągać, to chociaż może, nie wiem, porozmawia z nią czy coś...

– Powtórzę: myśl logicznie – warknął Vince. – Znasz go przecież. Jeśli dowie się, że coś się dzieje, to wsiądzie w samochód i będzie jechał na

złamanie karku, choćby ledwo stał na nogach. Jeszcze się idiota zabije po drodze.

Will spuścił wzrok, Vince zaś zerknął na mnie, ale nic więcej nie powiedział, tylko zacisnął usta i odsunął się od łóżka.

Ratowników medycznych przyprowadziła do nas recepcjonistka. Jej twarz mignęła mi, gdy wyciągając szyję, zaglądała do pokoju, próbując mnie wypatrzyć. Wyglądała na zmartwioną, a może nawet miała poczucie winy. Mogła się przestraszyć, że któryś z braci coś mi zrobił – w końcu widziała, że nie chcę iść na górę, a mimo to posłuchała Vincenta, nie mnie.

Will denerwował się najbardziej – drżącym głosem nakreślał sytuację ratownikom, którzy mnie badali. Vincent czał się w pobliżu, nadzorując ich działania. Ja leżałam nieruchomo, ale gdy młody ratownik odgarnął mi włosy z twarzy, zaczęłam szeptać do niego, by nie zabierał mnie do szpitala.

Został u mnie zdiagnozowany silny atak hysterii. Nic, co wymagałoby hospitalizacji. Podano mi zastrzyk na uspokojenie, który już wkrótce zaczął działać, i moje ciśnienie zaczęło wracać do normy. Ucisk w klatce piersiowej zelżał, a oddychanie przestało być torturą. Zalała mnie fala błęgiego spokoju. Nawet nie potrafiłam sobie przypomnieć, o co tak się awanturowałam jeszcze chwilę wcześniej. Nie przeszkadzało mi, że w małym pokoju hotelowym krząta się teraz tyle osób. Byłam gotowa zasnąć, tu i teraz.

Kątem oka dostrzegłam Willa. Usuwał się właśnie z przejścia, żeby przepuścić sanitariusza, i cały czas nie przestawał się we mnie wpatrywać. Dlaczego nie pozwoliłam mu się dotknąć?

Leżałam na łóżku wyczerpana, z opadającymi powiekami, gotowa na sen. Zmarszczyłam brwi, gdy Will znowu się do mnie zbliżył, przykucnąwszy w bezpiecznej odległości.

– Może się przeniesiemy do apartamentu?

Jęknęłam i pokręciłam przecząco głową.

– Będzie więcej miejsca, wyższy standard, wygodniejszy materac...

– Nie – westchnęłam, a w moim głosie niebezpiecznie rozbrzmiała zapowiedź kolejnej płaczliwej dramy.

– Dobrze, w porządku – powiedział pospiesznie Will, żeby jak najszybciej mnie udobruchać. – Zostaniemy tutaj, w porządku.

Zamilkłam zadowolona, że będzie po mojemu, i zamknęłam wreszcie oczy.

A gdy się obudziłam, byłam już wypoczęta.

Promienie jesiennego słońca przebijały się między kotarami. Niektóre z nich padały na kołdrę, którą byłam przykryta. Zamrugałam sennie, wodząc spojrzeniem po pokoju. Zdawał mi się jeszcze mniejszy niż wczoraj. Jak myśmy się tu pomieścili – ja, Will, Vince i moja histeria?

À propos Willa – dostrzegłam, że leży na małej kanapie ustawionej w nogach łóżka. Zgiętą w łokciu ręką podtrzymywał sobie głowę i robił coś na laptopie, który trzymał na brzuchu. Pozbył się garnituru – ubrany był w obcisłą koszulkę i czarne dresy. Obserwowałam go zaspanym, obojętnym wzrokiem, dopóki się nie zorientował, że już nie śpię. Oczy, które na mnie uniósł, były złknięte, jakby bał się tego, w jakim stanie mnie ujrzy.

– Hej, jak tam? – zapytał miękko.

Powoli podniósł się i odłożył laptopa na stolik. Zatrzymał się w odpowiedniej odległości, jakby między nami znajdowała się niewidzialna bariera, którą bał się przekroczyć. Nie mogłam mu się dziwić, że się tak zachowywał po tym, co odstawiłam.

Wzruszyłam ramionami. Powiedzieć, że czułam ulgę, to byłoby kłamstwo. Czułam się irytująco zwyczajnie. Może trochę otępiała. Gdzieś tam w głowie zbudowałam sobie tamę, która powstrzymywała rwącą rzekę nieprzyjemnych myśli przed zalaniem mojego umysłu. Na razie zgodziłam się, by jej nie burzyć.

– Coś cię boli?

Zaprzeczyłam prawie niewidocznym ruchem głowy.

– Na pewno...?

– Głowa trochę – wymamrotałam niewyraźnie.

– Głowa, dobrze. To znaczy niedobrze, ale mam dla ciebie tabletki przeciwbólowe... Odsłonić okno?

Nie odpowiedziałam.

– Żeby wpuścić trochę słońca? Ładnie dziś świeci... Co myślisz?

– Jak chcesz – westchnęłam, wtulając policzek w poduszkę.

Will podszedł do szyby i powoli, jakby nie chciał wprowadzić mnie w dyskomfort przesadnie gwałtownymi ruchami, rozsunął kotary na boki. Pokój z ponurego stał się na powrót przytulny – słońce faktycznie ładnie dziś świeciło.

Zmarszczyłam brwi, a Will natychmiast się zaniepokoił.

– Wszystko dobrze? Coś cię zabolowało?

– Ile spałam?

– Zasnęłaś w okolicach dziewiątej, a mamy czternastą... – zerknął na zegarek – ... dwadzieścia osiem.

– ...czternastą?

– Nic nie szkodzi – powiedział od razu. – Najwyraźniej potrzebowałaś tyle snu, nic się nie dzieje. Poza tym dostałaś coś na uspokojenie. Nic się nie przejmuj, a jeśli masz ochotę się jeszcze zdrzemnąć, to proszę bardzo.

– Nie mam.

– Nie ma problemu, malutka, jak wolisz.

– Kiedy wracamy do domu?

– Kiedy tylko będziesz chciała – odparł od razu w tak pełnej gotowości, jakby istniał tylko po to, żeby odpowiadać na moje pytania. – Możemy wracać już teraz, możemy za chwilę, za godzinę, za dwie, wieczorem, a nawet zostać tu na jeszcze jedną noc. Cokolwiek zechcesz.

Patrzyłam w okno na słoneczne niebo i zastanawiałam się, czego ja tak właściwie chcę. Leżenie i kontemplowanie nie brzmiało jak coś, na co pragnęłam poświęcić resztę tego dnia, a z kolei zmuszenie się do wstania wydawało mi się koszmarnie wymagające... Ale kiedyś będziemy musieli wymeldować się z hotelu. Może lepiej zrobić to szybciej – wtedy będę mogła odpoczywać na łózkach i kanapach w Rezydencji Monetów. Ta wizja była kusząca, więc poruszyłam zdrętwiałymi kończynami. Ściągnęłam też łopatki i coś strzyknęło mi w plecach.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, daj mi znać. Jestem tu.

Ja tylko podnoszę się z materaca, Will, pomyślałam sobie, ale nic nie powiedziałam, ignorując jego uważne spojrzenie. Zachowywał się tak, jakby wątpił w to, że potrafię się dźwignąć o własnych siłach.

– A może chcesz jeszcze poleżeć?

Zmarszczyłam brwi. Dobra, co się z nim dzieje?

– Chcę do domu – odpowiedziałam, szarpiąc się z sukienką, która trochę się pozwijala podczas snu.

– Tutaj masz ubrania na zmianę. Wolałbym, żebyś spała w czymś wygodniejszym od sukni wieczorowej, ale nie chciałem cię budzić...

– Wszystko mi jedno.

Zakręciło mi się w głowie, kiedy usiadłam, i na chwilę ją opuściłam, jedną dłoń trzymając na skroni.

– Co się dzieje?

– Nic. – Odetchnęłam i rozejrzałam się z wysiłkiem. – Może jednak wezmę tę tabletkę.

– Oczywiście. – Will zawahał się i podrapał po karku. – Eee, dobrze by też było, gdybyś coś zjadła...

– Nie mam ochoty.

– Wtedy tabletkę lepiej zadziała, no i nie jadłaś nic od kilkunastu godzin...

Zacisnęłam usta z niezadowoleniem. Głód mi na razie za bardzo nie dokuczał. Nie chciałam teraz zaprzętać sobie nim głowy, jednak Will nie podzielał mojego zdania na ten temat. Sięgnął do stolika po kartę dań hotelowej restauracji i podał mi ją.

– Może coś sobie wybierzesz, hm?

– Nie chcę.

– Coś małego?

– Nie teraz.

Następnym razem, gdy rzucał mi spojrzenie, jego oczy wyglądały inaczej. Było w nich zmęczenie, rezygnacja i jakby... błaganie.

– Proszę, malutka, cokolwiek. Proszę cię, wybierz cokolwiek.

Wciąż patrzyliśmy sobie w oczy. Zaskoczył mnie i wreszcie z łaską wzięłam od niego menu i z niechęcią omiotłam spojrzeniem znajdujące się na niej pozycje. Tak jak się spodziewałam, nic nie przykuło mojej uwagi, więc natychmiast mu ją oddałam, rzucając:

– Niech będą frytki.

Rozpromienił się.

– Wspaniale, zaraz je dla ciebie zamówię. Coś jeszcze?

– Tylko frytki.

– A do picia?

Westchnęłam i wstałam, skupiając się przez chwilę wyłącznie na tym, żeby złapać równowagę.

– Pomóc ci?

Will może i był kochany, ale niesamowicie mnie w tej chwili drażnił, więc nie odpowiedziałam.

– Chcesz iść do łazienki?

Idę w tamtą stronę chyba nie dla zabawy, prawda?

Po drodze przechwyciłam ubrania do przebrania. Marzyłam o wyswobodzeniu się z balowej kreacji. Idąc, czułam, że mnie opina niczym łańcuch. Pragnęłam ją z siebie zerwać.

– Chcę wziąć prysznic przed wyjściem – oznajmiłam.

– Oczywiście, malutka. W łazience powinnaś znaleźć wszystko, czego potrzebujesz.

Kiwnęłam głową i już miałam zamknąć za sobą drzwi, gdy Will dodał jeszcze:

– Chcesz colę lub może herbatę? Jakiś sok? Smoothie?

– Wodę – mruknęłam, po czym drzwi się zatrzasnęły i znalazłam się sama w niewielkiej łazience.

Dopiero wtedy poczułam, jak moje mięśnie są zesztyniałe. Kości strzykały irytująco, gdy próbowałam uwolnić się od sukienki. Ostatecznie jej z siebie nie zerwałam, bo było mi jej szkoda, choć tak okropnie ją wygniotłam, że wątpiłam, bym kiedykolwiek ją jeszcze na siebie włożyła.

Zorientowałam się, że na zimnych kaflach stoję boso, więc ktoś zdjął mi buty, gdy spałam. Przeczesałam włosy palcami, wyczuwając w nich kilka kołtunów. Wiedziałam, że nie rozprawię się z nimi bez odżywki. Z mojego makijażu zostały już tylko sine cienie pod oczami od tuszu. Starłam je palcami, jeszcze zanim weszłam pod prysznic.

Ogólnie w moim wyglądzie niewiele się zmieniło. Może tylko byłam trochę smutniejsza niż zwykle.

Stojąc w kabinie, zastanawiałam się, czy w takim stanie nadal podobałabym się Leo, i wtedy zamarłam, jakby właśnie z deszczownicy chlusnęła na mnie lodowata woda.

Leo!

Szybko obmyłam się żelem i niedbale wymasowałam włosy szamponem. Wychodząc z kabiny, prawie się poślizgnęłam, ciesząc się, że Will nie sterczy nade mną w łazience, bo zapewne przesadnie by się tym przejął.

Z włosami owiniętymi w ręcznik i w świeżych ubraniach, jak zwykle podebranych jednemu z braci, wypadłam z łazienki. Will pościelił łóżko i właśnie wietrzył pokój.

– Gdzie Leo? – wypaliłam.

Zamrugnął, zaskoczony moim nagłym zrywem.

– W domu.

– Gdzie w domu? W swoim domu? – pytałam z przejęciem. – Czy wie, co się stało? Czy ktoś mu powiedział?

Czy myśli, że go wystawiłam na balu, na który sama go zaprosiłam?

– Spokojnie, malutka, wszystko jest dobrze. Leo wie. Rozmawiałem z nim – przekonywał mnie Will, wyciągając do mnie ręce. – Wie, że gorzej się poczułaś i potrzebowałaś odpoczynku. Przekazałem mu to osobiście. Wrócił do domu.

Przymknęłam powieki. Jestem beznadziejną dziewczyną.

– Czy byłeś chociaż miły?

– Tak.

Bardzo chciałam mu wierzyć, ale potrafiłam tylko sceptycznie unieść brew.

- Przysięgam, że tak.
- Co odpowiedział?
- Prosił, byś dała znać, gdy poczujesz się lepiej.
- Gdzie mój telefon?

Will nie był najszcześliwszy, że w głowie mi teraz pisanie wiadomości do chłopaka, za którym nie przepadał, ale nie skomentował tego, tylko posłusznie wręczył mi komórkę. Wystukałam do Leo kilka słów, chwilowo zapominając o naszej małej kłótni. Ukłuła mnie tylko myśl, że jest weekend i Leo może w tym momencie siedzieć w domu i pić kawę w towarzystwie Winter. Co, jeśli właśnie opowiada jej o balu, a ona z nikczemnym uśmiechem krytykuje opisywany przez niego przepych?

Wkrótce do pokoju przyniesiono moje frytki, wodę, a także jakąś prostą sałatkę, którą Will niby przypadkiem dorzucił do zamówienia. Był przeszcześliwy, gdy trochę jej poskubałam. Nie on jeden się cieszył – mój żołądek zrobił salto, gdy tylko pierwsza słona frytka dotknęła mojego języka. Naprawdę byłam głodna. Mały, późny lunch jednak mnie nasycił i gdy przekonałam Willa, że na pewno dokładnie wysuszyłam włosy, on wreszcie zgodził się, byśmy opuścili hotel.

W drodze do domu wymieniałam wiadomości z Leo, który niby nie chował urazy, ale coś w naszych rozmowach mi nie grało. Były sztuczne i dało się odczuć, że między nami wisiała jakaś niewyjaśniona sprawa. Ciekawe, czy czytał na głos i analizował z Winter, co piszę.

Nie. Nie zrobiliby tego.

– Wciąż boli cię głowa? – zapytał Will. Kierował, ale ciągle zerkał na mnie.

– Nie, tabletka zadziałała – odparłam, starając się zrelaksować. Wiedziałam, że każdy mój grymas prowokuje jego zmartwienie.

- Jeśli czegoś potrzebujesz, od razu mi powiedz, dobrze?
- Mhm.
- Nie jest ci zimno? Włączyłem klimatyzację, ale mogę ją wy...

– Will – powiedziałam wreszcie stanowczo. – Przestań.

Zamilkł, a ja zaczynałam pomału jak zwykle odczuwać wyrzuty sumienia. Ostrożnie przyjrzałam się bratu. Już nie wyglądał na tak bezradnego. Zwłaszcza siedząc za kółkiem swojego wypasionego auta. Choć może po prostu lepiej się krył? Przed słońcem oczy osłaniały mu ciemne okulary. Zaproponował nawet wcześniej, że mi je odda, bo widział, jak zmrużyłam powieki, gdy wyszliśmy na dwór.

Część mnie lubiła to, jak się teraz ze mną cackał.

– Bardzo bym cię prosił, malutka, żeby się dziś nie przemęczała. Wypocznij, dobrze? – odezwał się, gdy zaparkował w naszym garażu.

Zastanawiałam się, co było jego definicją przemęczenia się – w Rezydencji Monetów niełatwo było się nadwyrężyć, przynajmniej mnie. Skinęłam jednak głową i delikatnie przymknęłam za sobą drzwi auta. Trochę mnie bolało, że zaprzepaszczam okazję porozmawiania szczerze z Willem. Nie chciałam, żeby czuł się przeze mnie odrzucony. Najpierw jednak potrzebowałam poukładać sobie kilka spraw.

Nieśmiało zajrzałam do salonu i ucieszyłam się, że jest pusty. Z jakiegoś powodu nie miałam ochoty zaszywać się samotnie w sypialni. Tak, pełno było we mnie sprzeczności – szukałam samotności w najbardziej uczęszczanym pomieszczeniu w Rezydencji Monetów.

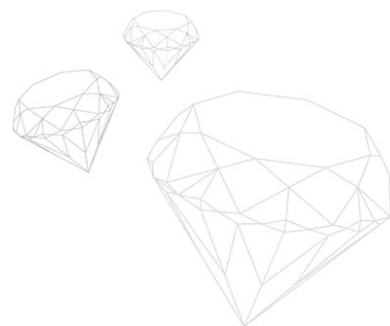
Will przyszedł tu za mną, upewnił się, że jest mi wygodnie, i nawet zapytał, czy koc, którym się owinęłam, jest wystarczająco puszysty. Jego zachowanie zaczynało być absurdałne i gdy wychodził, obiecując mi, że jest pod telefonem, odprowadzałam go zmartwionym spojrzeniem. To było miłe, że mi tak nadskakuje, ale zachowywał się tak z jakiegoś powodu. Kiedy zamyślona z padem w ręku szukałam jakiegoś filmu w domowej bibliotece, zrozumiałam z jakiego.

On się nie tyle zmartwił, co przeraził.

Opatuliłam się ciaśniej kocem, bo zrobiło mi się zimno. Uciekając przed tymi wszystkimi myślami, włączyłam sobie młodzieżowy romans. Planowałam na chwilę zapomnieć o swoich problemach i pożyć trochę tymi, które mieli główni bohaterowie.

Co jakiś czas zerkałam na przejście z holu i miałam ochotę skryć się pod kocem, gdy uświadomiłam sobie, że czekałam, aż pojawi się w nim któryś z chłopaków. Którykolwiek. Długo żaden z nich tu nie zaglądał, a przecież w rezydencji powinno ich być aż pięciu. Film mi się nie podobał, humor miałam do luzu, Will zniknął, zapewne zmęczony moimi fochami, wyobrażałam sobie, że Leo pije dziś z Winter może już nawet trzecią kawę, Vincent nawet do mnie nie zajrzał, a...

Nagle za kanapą rozległ się szelest.



JAJKO NIESPODZIANKA

Zanim zdążyłam się odwrócić, dostałam jakimś przedmiotem. A raczej wieloma przedmiotami. Właściwie to spadła na mnie cała lawina. Coś sypało się na czubek mojej głowy, a ja zaciskałam powieki, by chronić oczy, a nawet ukryłam twarz w zgięciu łokcia. Krzyknęłam i atak na chwilę ustał, ale szybko rozległ się kolejny szelest i runęła na mnie następna porcja.

– Hej, co jest?! – zawołałam, przyciskając brodę do piersi.

Kolejny szelest i jeszcze więcej rzeczy. Czymkolwiek były, teraz w nich brodziłam, obsypana nimi na kanapie. Słyszałam, jak w dużych ilościach upadają też na podłogę.

– Co to? – zapytałam i uniosłam głowę, gdy nastąpiła kolejna przerwa.

Za kanapą stał Shane, a w rękach trzymał kolejny wór, który unosił, by wysypać mi na głowę jego kolorową zawartość.

– Przestań! – pisnęłam, ale nie usłuchał i znowu się skuliłam. Tym razem podejrziałam, co na mnie wysypuje, i ze zdumieniem rozpoznałam, że leżę teraz w basenie słodczy.

Rozległo się szuranie i zaalarmowana wychyliłam się zza kanapy, sprawiając, że wiele paczuszek różnej wielkości zsunęło się z koca i spadło na podłogę. Nie zrobiło to wielkiej różnicy – słodczy i tak były wszędzie.

Szuranie powodował Tony, który pojawił się w salonie, ciągnąc za sobą wór na śmieci przynajmniej dwa razy większy od poprzedniego, wypełniony kolejnymi łakociami. Shane rzucił mu się do pomocy i zanim się zorientowałam, co się dzieje, bliźniacy wspólnymi siłami unieśli go i ponownie opróżnili tuż nad moją głową.

– Co wy... Czek... – przerwałam z piskiem, dając nura pod koc. – Co jest?!

– Mamy jeszcze ze dwa – oznajmił Tony.

– Więc bądź grzeczna albo oberwiesz znowu – dodał Shane.

Najpierw pogroził mi palcem, ale gdy się rozejrzał, jego twarz się rozpuściła. Czekoladki, żelki, chipsy, cukierki, lizaki, wafelki, batony, galaretki, gumy, ciastka i wiele, wiele innych pokrywały teraz całą kanapę ze mną włącznie oraz dużą część okolicznej podłogi. Tak wielu słodczy nie widziałam nawet w sklepach. Niektóre znałam i lubiałam bardziej lub mniej, a inne widziałam po raz pierwszy w życiu. W przytulnym, ale eleganckim salonie Monetów jeszcze nigdy nie było takiego śmietniska.

– Po co to? – zapytałam, podnosząc się do pozycji siedzącej. Każdy mój ruch sprawiał, że słodczy szeleściły. Patyczek od lizaka wbijał mi się w plecy.

– Nie było w domu nic słodkiego. – Shane wzruszył ramionami i rozwalił się na podłodze tuż przy mnie. W ręce porwał czekoladki z masłem orzechowym. Tony walnął się niedaleko, też na podłodze, i z jednej z wielu stert wygrzebał paczkę kwaśnych cukierków. Z nieskrywanym zadowoleniem wsypał sobie do ust połowę jej zawartości naraz.

– Ale nie rozum...

Tony odwrócił się do mnie, krzywiąc się od kwaśnych cukierków i moich pytań.

– Przestań gadać i użyj tych swoich marudnych ust do wyciumkania tej oto czekoladki – poradził Shane, a na mojej klatce piersiowej wylądowała owinięta w sreberko pralina.

Szybko przekonałam się, że czekolada naprawdę potrafi poprawić humor. Nagle uwierzyłam, że góra słodczy w salonie to klucz do

rozwiązania wszystkich moich problemów.

– Słodki Lordzie – westchnęłam.

Film leciał dalej i teraz oglądanie go przysporzyło nam nie lada frajdy. Był to romans dla nastolatków, taki z niegrzecznym chłopcem w roli głównej. Shane i Tony, sami będący w typie tego bohatera, rechotali z idiotycznych pomysłów scenarzystów.

– Skąd wy to wszystko wzięliście? – zapytałam, przebierając w paczkach żelków, bo po jakimś czasie zrobiliśmy się wybredni.

– Odwiedziliśmy kilka sklepów. Wykupiliśmy wszystko, co było – odparł Shane.

– Oszalesiście.

– Kasjerzy patrzyli na nas jak na idiotów.

– Bo nimi jesteście!

– Tłumaczyliśmy im, że to na poprawę humoru dla naszej małej siostrzyczki.

Głos Shane’a brzmiał drwiąco, ale ja wiedziałam, że mówi prawdę, i tak mnie to rozculiło, że w oczach stanęły mi łzy. Strzepnęłam z siebie zawadzające mi paczki i nachyliłam się ku niemu. Opierał się plecami o kanapę, więc od tyłu opłotałam jego szyję ramionami i dałam mu buziaka w skroń. Przyjął go ze spuszczonym wzrokiem, niby to zajmując się odpakowywaniem gum rozpuszczalnych, choć dobrze widziałam, że się uśmiecha.

– Dziękuję – szepnęłam do niego, a następnie wykonałam jeszcze więcej gimnastyki i zbliżyłam się do Tony’ego. Też opierał się o kanapę, ale do niego trudniej mi było sięgnąć, zwłaszcza że dodatkowo odwrócił twarz, żeby uniknąć moich czułości. Wyciągnęłam się więc jeszcze bardziej, aż udało mi się zostawić drobny pocałunek na jego policzku.

– Jesteście najlepsi – pochwaliłam ich, wracając na swoje miejsce, a potem przypomniałam sobie o kolacji z Leo i dodałam po chwili: – Czasem.

– Zawsze, dziewczynko – odparł Shane. Odwrócił się, by puścić mi oko, a przy okazji dostrzegł w stercie słodyczy coś, co wygrzebał i mi podał.

– Co to?

– Jajko niespodzianka.

Oczy mi rozbłysły.

– W środku jest niespodzianka? – zapytałam.

– Nie, kurwa, jest puste – mruknął Tony.

Jajko mieściło mi się w dłoni, a gdy nim potrząsnęłam, coś w środku zastukało.

– Jest nielegalne – powiedział Shane.

– Co?

– Dostaliśmy je w sklepie ze słodyczami z całego świata. Te są z Europy. Kasjer dorzucił nam kilka takich spod lady. U nas są nielegalne.

– Jasssne.

– Serio mówię. To dlatego, że w środku jest niespodzianka. Dzieci mogłyby to niechcący zeżreć.

– Czyli ja teraz łamię prawo? – zapytałam, unosząc jajko do góry.

– Tak, tak, mała dziewczynko, łamiesz prawo. Trzeba naskarżyć Vince'owi. – Shane poklepał mnie po nodze.

W zamian trzepnęłam go ręką w tył głowy, całkiem mocno, na co Tony parsknął śmiechem.

Czekolada z jajka niespodzianki zasmakowała mi tak bardzo, że rozkazałam chłopakom przekazywać mi każde takie jajko, jakie tu znajdą. Niesamowicie wiele frajdy sprawiało mi też składanie małych zabaweczek, które kryły się w środku. Stały się one powodem wielu wybuchów naszego śmiechu.

Raz do salonu zajrzał przelotnie Vince, a kilka razy Will, ale zanim zdążyłam zareagować, znikali. Tak jakby tylko kontrolowali sytuację – Will dodatkowo uśmiechał się zadowolony, że miło spędzamy czas.

Później tego dnia dołączył do nas Dylan. Wtargnął do salonu, jakby to miejsce należało tylko do niego. Trochę mnie zestresował, bo napinał ramiona i zaciskał szczękę. Omiótł też spojrzeniem naszą trójkę i bagno słodczy, w którym się taplaliśmy.

– Co wy tu odwalacie? – warknął, a jego spojrzenie zatrzymało się na mnie.

Siedziałam cicho, bo zdążyłam wyluzować się na tyle, by zapomnieć o ataku hysterii, a Dylan najwyraźniej dowiedział się o nim nie tak dawno temu i jeszcze przetrawiał tę informację.

– A na co ci to wygląda? – mruknął Shane. Dawno nie słyszałam, by mówił cokolwiek, nie mając pełnych ust. Wciąż coś przeżuwał.

– Ty. – Dylan wbił we mnie wzrok. – O co chodziło?

– O nic – mruknęłam.

– Ta? To dlaczego dowiedziałem się, że... – przerwał i zaklął siarczyście.

Uniosłam wzrok zaskoczona. Dylan często używał niecenzuralnych odzywek, ale nie bezpośrednio do mnie. Zrozumiałam, co się działo, gdy zobaczyłam, że czerwienieje mu miejsce na czole – tuż nad lewą brwią. Świdrował wzrokiem Shane’a i to do niego skierował wulgaryzm.

– Zluzuj dupę – poradził mu Shane, gotów, by rzucić w niego kolejną czekoladką.

– Jak ci zaraz zluzuję dupę, to...

Znowu przeklął.

Tym razem oberwałby całą tabliczką białej czekolady, gdyby zwinnie nie odbił jej machnięciem dłoni.

– Przestań się spinać, czubie – burknął na niego Tony.

Byłam wdzięczna bliźniakom, że po rycersku uratowali mnie przed wściekłością Dylana i w zamian sami mu się podstawili. Nie mogłam jednak beczynnie siedzieć, gdy wredny brat postanowił się im odpłacić się, chwycił w dłoń pierwszy lepszy smakołyk i wycelował w twarz Tony’ego.

– Nie, tylko nie jajko niespodzianka! – zawołałam.

Dylan spojrzał na mnie zdezorientowany, a potem przeniósł wzrok na to, co trzymał w dłoni.

– Co? Co to?

– Jajko niespodzianka – odparłam rzeczowo, a Dylan zmarszczył brwi.

– I co niby jest w środku?

– No przecież niespodzianka.

Zacisnął palce na jajku, miażdżąc je razem z papierkiem, następnie wrzucił sobie czekoladę do ust. Z powoli malującym się na twarzy uznaniem miał ją w buzi.

– Co to ma być? – zapytał z pełnymi ustami. Sceptycznie przyglądał się częściom małej zabawki, które spoczywały mu na dłoni.

– Musisz to złożyć.

– Co za bzdet.

– To nie bzdet, chodź, pokażę ci.

Dylan posłusznie wepchnął się na kanapę obok mnie, tak że leżałam teraz wciśnięta między niego a oparcie. Nie było mi za wygodnie, ale zależało mi wtedy wyłącznie na udobruchaniu go. Przejęłam od niego zabawkę i zaczęłam ją składać, tłumacząc mu instrukcję. On nie miał cierpliwości do takich rzeczy, ale komfortowo już teraz rozłożony, bez większego zaciekawienia, ale z uwagą obserwował moje działanie, w międzyczasie sięgnąwszy po paczkę chipsów.

Gdy skończyłam, zjechał zabawkę od góry w dół, ale zdążyła mu się już udzielić luźna atmosfera, więc misja zakończyła się sukcesem. Opowiedział nam nawet o swoim weekendzie. Planował z Martiną wycieczkę do Chicago, w razie gdyby ktoś był zainteresowany dołączeniem. Zakodowałam sobie tę informację w głowie, wiedząc, że zanim wyrażę chęć wzięcia udziału w podróży, powinnam najpierw to przemyśleć. W końcu to wycieczka z Dylanem, wiązałoby się więc z nią dużo upierdliwych zasad.

– Ej – szepnął cicho, szturchając mnie, gdy bliźniacy byli zajęci wyborem gry na konsolę. – Wszystko u ciebie okej?

Wzruszyłam ramionami.

– Może być.

– Z tego, co mówił Will, było dość kiepsko.

– Zdenerwowałam się i trochę mnie to wszystko przerosło – przyznałam cicho.

– Czym ty się tak zdenerwowałaś niby?

Przewróciłam oczami z niezadowoleniem.

– Różnymi rzeczami.

– Na przykład?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Cóż, na przykład tym, że podczas rodzinnej kolacji, na którą zaprosiłam swojego chłopaka, machałeś mu przed nosem tasakiem? Liczy się to jako przykład?

Dylan wywrócił oczami.

– Nic mu nie zrobiłem, dziewczynko.

– To była chamówka, byłeś niemiły i dziecinny.

– Tak, to była chamówka – przyznał. – I co? Co takiego mu się stało, hm? Nie muszę go wielbić i klepać po ramieniu jak najlepszego kumpla. Pokazałem mu, że ma się mieć na bacności, i tyle. Też mi problem.

Aż się przekręciłam na bok, żeby lepiej widzieć jego obojętną twarz.

– Chciałam, żeby się czuł dobrze.

– A ja chciałem zobaczyć, jak się zachowa, gdy będzie się czuł źle.

Ściągnęłam brwi.

– Dylan, on nie jest twoim okazem do badań.

– Słuchaj, jestem twoim bratem, nie? – Rozłożył zatłuszczone od chipsów ręce. – Jak przyprowadzasz chłopaka, to tak, może się tak zdarzyć, że wyciągnę tasak i trochę się z niego ponabijam. I co? Mógł się zaśmiać albo dźgnąć mnie widelcem, zamiast tego się obraził.

– Obraził się, bo wspomniałeś o jego bracie.

– Bo jego brat to debil! – Dylan uniósł ręce jeszcze wyżej. – Nie mam litości dla śmieci, którzy próbowali mi zabić siostrę.

– Ty... – Zacisnęłam zęby z frustracją, po czym go popchnęłam. – Spadaj stąd, to moje miejsce. Usiądź sobie na fotelu czy coś.

Ani drgnął, a nawet zaczął się śmiać. Zachowywał się tak, jakby nawet nie poczuł, gdy w wielki mięsień na jego ramieniu wbiłam paznokieć. Z jednej z napoczętych przeze mnie wcześniej paczek wyłowiłam żelka

węza, którym zaczęłam okładać Dylana po twarzy. Krzywił się przez chwilę, aż w końcu złapał go zębami, wyrwał mi z dłoni i pożarł, mlaskając głośno. Na chwilę zastygłam ogłupiała, a potem zapiszczałam głośno, gdy swoje wciąż brudne od przypraw paluchy zaczął wycierać o moje ubranie.

– Fuj, zostaw! – zaskomlałam. – To twoja koszulka!

– Co? – Dylan zabrał ode mnie ręce i przyjrzał się materiałowi. – Dlaczego czochrasz moje ciuchy po domu?

– Sam ją właśnie wyczochrałeś!

– Ej, zamknijcie mordy – warknął Tony. Już się razem z Shane’em wygodnie usadowili z padami w rękach, a krzyki moje i Dylana psuły klimat tajemniczego intro gry.

Do końca dnia siedzieliśmy w morzu słodczy, przeżywając niesamowicie porywającą fabułę gry bliźniaków. Słodkie czekolady zagryzaliśmy słonymi przekąskami. Moje ciało znienawidziło mnie za tę dawkę śmieci – brzuch bolał, czułam, że już jutro na twarzy pojawią mi się nowe pryszcze, nie mogłam się ruszyć z przejedzenia, a w ramach pokuty przed spaniem szczotkowałam zęby przez równe dziesięć minut, obiecując sobie, że przez następny miesiąc na deser będę jeść tylko owoce.

Zanim jednak wpakowałam się do łóżka, postanowiłam zrobić coś jeszcze. Na paluszkach potruchtałam do sypialni ulubionego brata. Tam go jednak nie zastałam, więc wróciłam do siebie i napisałam do niego wiadomość. Nie minęły trzy minut, jak zastukał do moich drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Jego oczy patrzyły bystro spod ściągniętych brwi. Nie zliczę, ile razy dziś już mi zadał to pytanie.

Kiwnęłam głową. Pokazałam mu miejsce obok siebie na łóżku, gdzie siedziałam z podkulonymi nogami.

– Masz chwilę?

Will przymknął za sobą drzwi, podszedł do mnie i przysiadł obok.

– Odpoczęłaś trochę? – zagadnął.

– Mhm... – wymamrotałam i się uśmiechnęłam. – Fajnie spędziłam popołudnie z Shane’em i Tonym. I nawet Dylanem.

Will odwzajemnił uśmiech.

– Zmartwili się, gdy usłyszeli, że źle się poczułaś.
– Nie wiem, co mi się stało... – Spuściłam głowę.
– Każdemu czasem puszczaają nerwy. Dużo się dzieje. Najważniejsze, że ci lepiej.

– Krzyczałam i zachowywałam się jak bachor – westchnęłam. – To żenujące.

Od razu zaczął kręcić głową.

– Nie, Hailie, absolutnie nie. Nie ma w tym nic żenującego. Hej, naprawdę... – Nachylił się, by mnie objąć, ale zanim mnie dotknął, jednak cofnął ręce i zagryzł wargę.

Przekrzywiłam głowę z niedowierzaniem. On miał obawy przed uściśnięciem mnie. Mój ulubiony brat. Jestem okropną siostrą. Błyskawicznie oplotłam go ramionami, a wtedy poczułam w sercu ciepło, tak jakby to było właśnie to, czego potrzebowałam, nie będąc tego świadoma. Tego mi brakowało, odkąd się obudziłam.

Naturalnie Will odwzajemnił mój uścisk, a nawet położył otwartą dłoń na mojej głowie, by przygarnąć mnie do siebie jeszcze mocniej. Jak dawno go nie przytulałam! On też się chyba za tym stęsknił, biorąc pod uwagę siłę, z jaką mnie obejmował.

– Byłam na ciebie zła – oznajmiłam szeptem.

– Wiem.

– Wiesz czemu?

– Za kolację?

– Wiesz, że jesteś moim ulubionym bratem?

Zaśmiał się uroczo.

– Wiem.

– Dlatego zabolalo, gdy zachowywałeś się jak reszta – powiedziałam i odchyliłam się trochę, żeby spojrzeć mu w twarz. – Bo od ciebie, Will, oczekuję więcej.

Przytulił mnie jeszcze mocniej.

– Naprawdę przepraszam, malutka, że cię zawiodłem. Dużo o tym myślałem i teraz zachowałbym się inaczej. – Zamilkł na chwilę, po czym dorzucił: – Czy to dlatego tak się wczoraj zdenerwowałaś? Przeze mnie?

– Nie tylko... Wszystko się nałożyło... Na przykład, czemu Vince wziął stronę Grace?

– Vince wziął stronę Grace? – Will zmarszczył brwi.

– Wczoraj. Wyzwała mnie, a on nic nie powiedział, tylko jeszcze kazał tłumaczyć się mnie.

– Malutka, wczoraj Vince z całą pewnością nie wziął strony Grace – odpowiedział stanowczo Will. – Zajmujecie podobne pozycje, ona jest siostrą Adriena, ty Vincenta. Obie jesteście nietykalne i nikt bez wyraźnego pozwolenia nie ma prawa naruszyć waszej przestrzeni osobistej. Zrobiłyście to sobie nawzajem, więc aby uniknąć bezsensownego konfliktu, Vince i Adrien zamietli tę sprawę pod dywan. Inaczej wszyscy mielibyśmy problem.

– Głupie te zasady – skomentowałam.

– Mamy ich niewiele, więc warto przestrzegać przynajmniej tych, które są.

Zamilkłam.

– Czy chciałabyś porozmawiać o tacie? – zapytał łagodnie.

– Dlaczego o tacie?

– Mówiłaś o nim wczoraj.

– Nie ma chyba za bardzo o czym rozmawiać. – Wzruszyłam ramionami.

– Niedługo odwiedzimy go znowu.

– Przez szybę?

Will odetchnął, przytulając mnie do swojej klatki piersiowej jak największy skarb świata.

– Może tym razem uda się już bez szyby.

Znowu zamilkliśmy. Gratulowałam sobie decyzji pojednania się ze swoim ulubionym bratem. Tak strasznie go potrzebowałam, zwłaszcza po tym, jak go ostatnio od siebie odsunęłam.

– Słuchaj – zaczął po chwili – jeśli chcesz... to może zaproś tego Leo jeszcze raz, co? Zrobię, co mogę, żeby tym razem zachować się w porządku, obiecuję.

Uśmiechnęłam się.

– Dzięki za propozycję Will, ale nie ma szans, żebym jeszcze raz kazała mu przez to przechodzić. Wystarczy, że wczoraj bez sensu zaciągnęłam go na ten bal, myśląc tylko o sobie.

– Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli chcesz się z nim spotykać, to ja się postaram cię wspierać.

– Dziękuję, świetnie to słyszeć. – Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. – Jutro zamierzam go odwiedzić.

Will uniósł brew.

– Jutro?

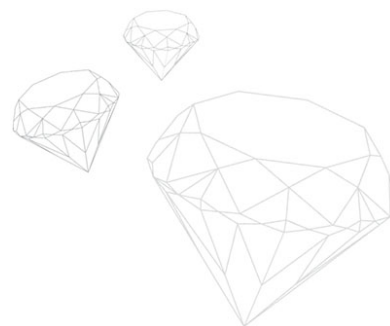
– Mhm. Jutro wstanę, przygotuję się, wsiadę w swoje auto i pojadę do Leo.

– Malutka...

– Tak zrobię, Will, a ty, w razie potrzeby, powiesz reszcie i Vincentowi, że się na to zgodziłeś.

– Hailie...

– Więc jeśli masz ochotę na pączka, to daj mi znać, bo będę jutro w cukierni.



65

SŁOŃCE, ZIMNY NAPÓJ I LEO

Upalny dzień w październiku był dla mnie przyjemnym zaskoczeniem, choć wiedziałam, że takie anomalie pogodowe oznaczać mogą tylko globalne ocieplenie i ogólnie są dowodem na to, że z naszą planetą dzieją się złe rzeczy.

W samochodzie włączyłam klimatyzację, oczy przysłoniłam markowymi okularami przeciwsłonecznymi i z uśmiechem patrzyłam, jak złoty lakier mojego porsche mieni się w jaskrawych promieniach słonecznych. Na Spotify puściłam sobie wakacyjną playlistę i sunęłam prostą drogą, co chwilę wzdychając z zachwytem. Moje dzisiejsze samopoczucie zdecydowanie nadrabiało za mój atak sprzed dwóch dni.

Cukiernię Hardy musiałam wbić sobie w nawigację, bo nie pamiętałam dokładnie, jak tam trafić. Oznaczało to, że pierwszy raz prowadziłam auto na niewyćwiczonej trasie, której nie znałam na pamięć. I szło mi świetnie.

Will przystał na moją samodzielną wycieczkę bez entuzjazmu, ale od pamiętnej nocy balowej nasze relacje się zmieniły. Will czegoś się wystraszył, w coś zwątpił, zrozumiał, że coś poszło nie tak. Tak to sobie wyobrażałam, bo inaczej nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego teraz gotów był zrobić wszystko, bym tylko była zadowolona, i to do naprawde

absurdalnych granic. Może nawet do przesady, ale wśród gromady braci, którzy potrafili być dla mnie bezlitośnie dokuczliwi, niesprawiedliwi i apodyktyczni, nowy, stojący za mną jeszcze solidniejszym murem Will balansował wszelkie nierówności i podobało mi się to.

Odchyliłam się wygodnie w fotelu kierowcy i z zadowoleniem patrzyłam na drogę. Od czasu do czasu gładziłam opuszkami palców obitą skórą kierownicę, żeby okazać swojemu porsche trochę czułości. Gdy wjechałam do miasteczka, musiałam się bardziej skupić. Prosta droga się skończyła, pojawiły się znaki, więcej uczestników ruchu, światła, pasy i piesi, którzy gapili się na mój wóz...

Zaparkowałam kawałek od cukierni, bo zależało mi na znalezieniu odpowiedniego miejsca. Swoim wymagającym autem o niskim podwoziu nie mogłam w końcu zaparkować byle gdzie.

Zanim wysiadłam, skierowałam lusterko wsteczne na twarz. Zsunęłam lekko okulary przeciwsłoneczne, by upewnić się, że tusz mi się nie rozmazał. Na usta nałożyłam nową warstwę błyszczyka, poprawiłam sobie włosy i psiknęłam się perfumami. A potem chwyciłam za torebkę i wyszłam z samochodu. Kątem oka dostrzegłam Sonny'ego, który właśnie mnie doganiał przyspieszonym krokiem.

Napisałam Willowi, że dojechałam, tak jak sobie zażyczył, a potem wyciągnęłam twarz do słońca, ignorując mijanych ludzi, z których chyba każdy zawiesił na mnie dłuższe spojrzenie. To zabawne, jak bardzo można przyzwycząć się do tego, że się przyciąga uwagę.

Dopiero przed samym wejściem do cukierni zapragnęłam upewnić się, że wyglądam tak dobrze, jak się czuję, i zerknęłam przelotnie w szybę witryny mijanej pralni. Wygładziłam dłonią przód obcisłej spódniczki z wysokim stanem. Sięgała mi do połowy łydek i miała maleńkie kilkucentymetrowe rozporki po bokach. Była granatowa w drobne białe kwiatki, pod których kolor dobrałam przykrótki T-shirt o szerokich rękawkach, które i tak przykrywała jasna dżinsowa katana. Na stopy włożyłam białe, wygodne do prowadzenia auta tenisówki, złoty zegarek od ojca błyszczał mi na nadgarstku, a małą białą torebeczkę zarzuciłam sobie na ramię. Wisiała na krótkim pasku, więc miałam ją wciśniętą prawie pod

samą pachą, tak że przytulałam ją łokciem do żeber, zwłaszcza gdy zginałam rękę, by na przykład otworzyć drzwi.

Serce waliło mi mocniej, niżbym chciała, ale nie miałam czasu go uspokoić, bo właśnie robiłam wielkie wejście niespodziankę do cukierni mamy swojego chłopaka. Poprawiłam włosy i zdjęłam okulary przeciwsłoneczne, rozglądając się po pomieszczeniu.

Cukiernia nie zmieniła się od czasu, gdy ostatnio tu gościłam – wystrój pozostał ten sam. Najwidoczniej klienci zdążyli już dziś ogołocić większość półek i zostały na nich same ostatki. Zmieniła się za to obsługa – za ladą, z głową schyloną nad telefonem, siedziała Winter. Uniosła ją na dźwięk otwieranych drzwi i nasze spojrzenia się spotkały.

Oczywiście, że od razu wpadłam na Winter.

Naprawdę tu mieszka.

– Hailie?

Natychmiast wstała, odłożyła telefon i poprawiła fartuch, który jej się lekko przekręcił. Odgarnęła też z twarzy dwa kosmyki włosów, które wydostały się z jej króciutkiej, sterczącej z tyłu głowy kitki. I tak szybko wróciły na swoje miejsce.

– Hej – przywitałam się i uśmiechnęłam uprzejmie, a dłonią, w której trzymałam okulary, wskazałam za jej plecy, tam gdzie znajdowało się zaplecze. – Przyszłam do Leo.

– A, no tak, jasne. – Winter pokiwała głową i naprawdę chciało mi się śmiać z tego, jak wielkie oczy zrobiła. – Akurat bierze prysznic, bo ćwiczył. Zaraz ma tu zejść na kawę.

– Świetnie, poczekam.

Podeszłam do jedyne go stolika i odsunęłam sobie krzesło, pilnując, by moje ruchy były powolne i pełne gracji. W tym samym miejscu siedziałam kiedyś razem z Moną i Leo, gdy czekaliśmy na wejście Rudego i jego bandy, którzy ściągali dług od pani Hardy.

Stojąca za ladą Winter rozejrzała się. Moja obecność ewidentnie sprawiała jej dyskomfort i z jakiegoś powodu odczuwałam w związku z tym małą satysfakcję.

– Może... zrobię ci kawy? – zagadnęła po chwili milczenia. Znowu zaczęła odgarniać włosy.

– Cappuccino, poproszę.

– Ciastko do tego?

– Nie, dziękuję.

– Polecam tort pistacjowy.

– Tylko kawa.

Poprzedniego dnia pochłonęłam tyle słodczy, że dziś nie miałam ochoty na żaden deser. Nawet do kawy zdecydowałam się nie dodawać cukru. Gdy Winter mi ją podała, od razu sięgnęłam po portfel.

– Nie trzeba... Znaczy ty chyba nie musisz płacić, nie?

Podrapała się po karku i lekko zaczerwieniła, a ja uniosłam brwi.

– Wolę zapłacić.

– Leo by pewnie nie chciał...

– Nie ma go tutaj.

Winter niepewnie posłuchała się mnie i nabiła odpowiednią kwotę, którą wyrównałam jednym machnięciem mojej lśniącej czarnej karty.

Wróciłam do stolika. Od czasu do czasu zerkalam na dziewczynę, która krzątała się bez celu za kontuarem. Chciałam jakoś ją zagadać, nawiązać dyskusję, dzięki której mogłabym ją lepiej zrozumieć i zaakceptować fakt, że mieszka z moim chłopakiem pod jednym dachem. Nie było ku temu dobrej okazji – co rusz zjawiali się klienci. Popijałam więc kawę i bezmyślnie przewijałam aplikacje w telefonie.

Poczułam się nieswojo, gdy na chwilę zajrzała do nas Gina. Przez to, jak zacisnęła usta i zeszywniała, poczułam się niemile widziana, ale nie potrafiłam mieć do niej pretensji. Poza tym nie mogłam jej otwarcie nic zarzucić – kulturalnie się ze mną przywitała i zaproponowała ciastko, a potem potwierdziła, że Leo zaraz zejdzie. Nie uszło mojej uwadze, jak na odchodne ścisnęła też Winter za ramię, zupełnie jakby okazywała jej wsparcie lub życzyła powodzenia. Dosyć zasepił mnie fakt, że matka mojego chłopaka za mną nie przepada, a za to kibicuje jego przyjaciółce, o którą byłam zazdrosna.

– Zaraz powinien zejść – odezwała się Winter, gdy skończyła układać kolorystycznie wszystkie babeczki w gablotce i znowu zaczęła jej ciążyć cisza. Na skroni umazała się cukrem pudrem.

Skinęłam głową i zerknęłam na zegarek, bo trochę mu się przedłużał ten prysznic. Prawie zdążyłam się zdenerwować, że każe mi tyle czekać, ale w porę przypomniałam sobie, że przecież on nawet nie wie, że przyszłam.

Winter wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i zamiast tego po raz już trzeci złapała za szmatkę i zaczęła przecierać puste półki.

Zagryzłam wewnątrz policzka, obserwując ją.

Dobra, dawaj, Hailie, chociaż spróbuj.

– A więc... – Odchrząknęłam. – Pracujesz tu?

Miałam ochotę walnąć się w czoło. Nie, Hailie, jeździ tu na nartach.

Winter wyprostowała się, miętoląc ścierkę w rękach.

– Eee, to za dużo powiedziane. Pomagam. Pomagam Ginie, bo... wiesz... Nie wiem, czy wiesz...?

– Czy co wiem?

– Że chwilowo tu mieszkam.

– Ach, to. – Pokiwałam głową. Wspinałam się na wyżyny umiejętności aktorskich. – Leo coś wspominał.

– Byłam do tego zmuszona przez sprawy rodzinne, długo by opowiadać. Próbuje się jakoś odwdziżyć za to, że mi pomagają.

Sztywnym ruchem uniosłam filiżankę do ust i wzięłam łyk kawy.

– To miło z twojej strony.

To zabrzmiało cierpko. Zabrzmiało cierpko?

– Ty... nie masz nic przeciwko, prawda? – wymamrotała.

– Hm? Dlaczego miałabym mieć?

– Wiesz, mieszkam z Leo, a ty i Leo jesteście razem...

Uniosłam brwi.

– Sugerujesz, że powinnam być o ciebie zazdrosna...?

– Nie, nie masz o co.

– No taką mam nadzieję... – Patrzyłam na nią jakby zdziwiona, że poruszyła ten temat, choć w głębi duszy byłam jej za to bardzo wdzięczna. Potrzebowałam takich zapewnień. Winter jednak na tym nie skończyła.

Westchnęła cicho i odrzuciła ścierkę na bok.

– Serio nie masz o co – powtórzyła gorzko. – Bo jak mogłabym z tobą konkurować?

Zmroziło mnie. Zacisnęłam palce na uszku filiżanki, ale nie uniosłam jej.

– Jesteś ładniejsza, genialnie się uczysz, masz mnóstwo kasy... – Pokręciła głową. – Jak mogłabym konkurować z Hailie Monet?

Przełknęłam ślinę, a rysy twarzy mi stężały.

– Uważasz, że Leo jest ze mną, bo mam mnóstwo... „kasy”?

– Nie o to mi chodziło...

– To dobrze. – Pokiwałam głową i upiłam łyk kawy, a filiżanka cicho stuknęła, gdy odstawiłam ją na spodek. – Bo byłoby to bardzo krzywdzące, gdyby jego bliska przyjaciółka miała o nim tak niskie mniemanie.

– Nie mam o nim niskiego mniemania. Leo jest niesamowity. – Winter zmieszała się i trochę poczerwieniała. Dlaczego napawało mnie to niekończącą się satysfakcją? Nie chciałam jej odczuwać, zdawała się niesłuszną i brudną. – Raczej chodziło mi o to, że mam pecha, bo ze wszystkich chłopaków, jakich mogłabyś mieć, wybrałaś akurat jego... –

Parsknęła wymuszenie i nerwowo. – A, no... z nas dwóch to ty wygrałaś w życiowej loterii.

Zmarszczyłam brwi.

– Winter – zaczęłam z wahaniem, by dobrze ubrać myśli w słowa. – Ja nie znam dobrze twojej sytuacji, to prawda, ale ty nie znasz też do końca mojej...

– Moja sytuacja jest prosta. Nie mam zbyt wielu perspektyw. – Wzruszyła ramionami, jakby dawno temu przegrała życie i już się z tym nawet pogodziła.

– Myślę, że możesz mieć ich więcej, niż ci się wydaje.

– Nigdy nie będę ich miała tyle, co ktoś o nazwisku Monet.

Zmarszczyłam czoło, żeby połapać się w jej rozumowaniu. Nie wiedziałam, czy jej współczuć, czy irytować się jej tokiem myślenia. Trochę drażniło mnie takie użalanie się nad sobą, z drugiej strony jednak nie miałam odwagi jej tego wytknąć. Odgarnęłam włosy za ucho.

– Wiesz, że w życiu nie chodzi przede wszystkim o pieniądze i znajomości?

Winter uniosła brwi, jakbym zaczynała ją trochę wkurzać.

– Powiedziała to dziewczyna z nielimitowaną kartą kredytową.

– Powiedziała to dziewczyna, która również przeżyła śmierć mamy. I babci. I wiele innych traum, z których nie zamierzam się tutaj spowiadać.

– Odetchnęłam. – Sęk w tym, że niczyje życie nie jest tak kolorowe, jak może się wydawać osobom postronnym.

Znowu przyłożyłam filiżankę do ust.

– Gdybym teraz poszła do domu, wiesz, co bym zastała? – zapytała ponuro Winter. – Pijanego ojca, śpiącego na wersalce w salonie z walającą się w pościeli pustą butelką wódki. Nie wmówisz mi, że w twoim domu czeka na ciebie gorszy widok.

Patrzyłam na nią przez moment, po czym spuściłam wzrok. Nie potrafiłam z nią rozmawiać. Nie gdy wyciągała takie działa.

– Nie czeka – przyznałam cicho.

– Od niego lepsi już byliby nawet twoi porąbani bracia.

Milcząc, zajrzałam do filiżanki, która okazała się pusta. Odstawiłam ją na spodek, a potem zmarszczyłam brwi i z powrotem uniosłam wzrok na dziewczynę.

– Winter?

Spojrzała na mnie, a ja upewniłam się, że mój wzrok jest wystarczająco dosadny.

– Nie mów tak o moich braciach.

Dziewczyna zastygła na chwilę zaskoczona. Jeszcze mocniej poczerwieniały jej uszy. Bez słowa odwróciła się ode mnie, niby to zajęta szorowaniem tej samej półki, którą przecież pucowała minutę temu.

Oczywiście. Oczywiście, że chłopcy są trochę porąbani, ale po prostu czułam, że nikt poza mną nie ma prawa mówić o tym na głos.

I chyba najlepszym, co mogło przerwać tę gęstą, niezręczną ciszę, jaka zawisła między nami, było pojawienie się Leo.

– Hailie! – zawołał, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który zakamuflował pierwsze reakcje, jakimi było zaskoczenie i zmartwienie. Wyminął Winter i podszedł do mnie. Faktycznie brał prysznic; włosy miał wilgotne, spłynęło z nich nawet kilka kropel, gdy się do niego przytuliłam. Cmoknął mnie w usta i dopiero wtedy uważnie przyjrzał się mojej twarzy. – Wszystko w porządku?

– Wszystko dobrze, po prostu chciałam przyjść i pogadać.

– Pogadać o czym? – Zmarszczka pomiędzy jego brwiami się pogłębiła.

– O niczym strasznym – zapewniłam go, kładąc dłoń na jego klatce piersiowej. – Chodzi tylko o to, że... No, chciałabym porozmawiać tak na osobności.

– Jasne, chcesz wejść na górę? A może pójdziemy na spacer?

– Może być spacer.

– Chcesz coś? Kawę na wynos na przykład?

– Piłam już jedną. – Wskazałam na filiżankę.

– To może mrożonej matchy? Przepis opanowałem do perfekcji. – Przechylił głowę, a ja się zawahałam i to wystarczyło, żeby podjął decyzję za mnie. – No dalej, pozwól mi obsłużyć moją dziewczynę.

Ścisnął mi rękę, a ja uśmiechnęłam się mimowolnie i zapatrzyłam się na jego plecy. Wszedł za ladę, przy okazji rzucając do Winter z rozbawieniem, że ma na twarzy cukier puder, który szybko starła, czerwieniejąc jeszcze bardziej. Jeśli ktoś mi powie, że ona nie jest nim zauroczona, to bez trudu i specjalnie dla tej osoby napiszę cały długi esej, w którym dowiodę swoich racji.

Cieszyłam się, gdy z gotowym napojem mogłam już stąd wyjść. Rzuciłam jej sztywne pożegnanie i nałożyłam na nos okulary przeciwsłoneczne, a do ust włożyłam papierową słomkę i poczułam błogość. Słońce, zimny napój i Leo, który właśnie stanął obok mnie i splótł palce z moimi.

– Pięknie wyglądasz – szepnął mi do ucha, a ja spuściłam wzrok na chodnik i uśmiechnęłam się ukradkiem.

Beztroski spacer po miasteczku w piękną pogodę był dla mnie nowością. A fakt, że odbywałam go w towarzystwie swojego chłopaka, przekraczał moje najśmielsze wyobrażenia. Nie prowadziłam pamiętnika, ale miałam ochotę go założyć tylko po to, żeby opisać w nim tę chwilę.

Leo opowiadał mi trochę o okolicy. Kilka metrów za nami podążał Sonny, ale starałam się o nim nie myśleć. Wyobrażałam sobie, że jestem tu bez niego. Cieszyłam się słońcem – podwinęłam rękawy kurtki, żeby poczuć je na ramionach. Palce zaś przyjemnie mroziła mi zimna zielona herbata z mlekiem kokosowym i dodatkiem syropu klonowego – przyrządzona z sercem.

Usiedliśmy w parku. Skrawek zieleni był zatłoczony przez dzieci i dorosłych zaangażowanych w przeróżne aktywności, korzystających z tak ładnej pogody. Chwilę ich obserwowaliśmy, sącząc napoje, aż wreszcie przemówiłam, gotowa, by poruszyć poważne tematy.

– Głupio wyszło z tym balem.

– Najważniejsze, że już ci lepiej. – Leo objął mnie i przysunął do swojego boku.

– Nie chodzi o to. Po tej beznadziejnej kolacji w moim domu powinnam była dać ci spokój, a nie na siłę ciągać na spotkania z moją rodziną.

– Wiem, że chciałabyś, żeby mnie zaakceptowała. To oczywiste, że próbujesz wszystkiego...

– Tak, i nic nie działa, Leo, oni cię chyba nigdy nie potraktują na poważnie – westchnęłam smętnie, wodząc spojrzeniem po roześmianych dzieciach rzucających sobie piłkę futbolową.

– Dajmy im czas. To słynni bracia Monet, z nimi nie może być za łatwo.

W głosie Leo pobrzmiwało głównie rozbawienie, ale miało ono gorzkawy pogłos.

– Nie powinnam może też się tak wściekać o Winter...

– Nie powinnaś – przytaknął, ściskając mnie jeszcze mocniej. Oparłam głowę o jego ramię.

– Denerwuje mnie, że z tobą mieszka.

– Wiem.

– I wciąż uważam, że należałoby jej pomóc, angażując w to osoby trzecie. Fundację mojej rodziny na przykład...

– Wiem – westchnął Leo. – Powiem jej, że jest taka opcja. Może się zgodzi.

– Nie zgodzi się.

– Wtedy to uszanuję.

– I będzie mieszkała u ciebie miesiącami? – Nie miałam ochoty znowu silić się na pełen pogardy ton. Bliskość Leo i miłe otoczenie trochę łagodziły moją złość.

– Jest dla mnie jak siostra. Poważnie, Hailie. Lubię ją, jest moją przyjaciółką, ale nie czuję do niej żadnego pociągu. – Zerknął na mnie. – Nie to co do ciebie.

Spuściłam wzrok na swoje tenisówki.

– Widzę, że się uśmiechasz – szepnął do mnie Leo, szturchając mnie łobuzersko.

– Wcale się nie uśmiecham.

– Przecież widzę.

– Dalej jestem zła.

Na policzku poczułam jego usta. Złożyły na nim przyjemnie łaskoczącego buziaka.

– Ty jesteś moją dziewczyną.

Tym razem nie ukrywałam uśmiechu. Patrzyłam przed siebie. Szły jakieś panie z wózkami. Jeden chłopak biegł ze słuchawkami w uszach. Sonny stał nieopodal.

– Jak to zrobiłaś, że udało ci się przyjechać tylko z ochroniarzem? – zagadnął Leo.

– Przekabaciłam Willa na swoją stronę. Długo by opowiadać.

– Jestem pod wrażeniem.

– Wiem, może byłaby szansa, żebyś wpadała częściej. Jeśli chcesz.

– Wpadaj, kiedy tylko możesz. W końcu może uda nam się być trochę jak taka typowa para. Będziemy oglądać filmy i zamawiać chińszczyznę na wynos.

– Proszę, tak, chcę tego – zaśmiałam się i wtuliłam się w niego jeszcze mocniej, a on oparł swój podbródek na czubku mojej głowy.

– Należy nam się trochę normalności.

– Tak, zwłaszcza że mieliśmy już nawet naszą pierwszą dramę.

– Aż się łąza w oku kręci.

Chwilę jeszcze posiedzieliśmy w parku, a potem znowu zaczęliśmy spacerować. Leo zaproponował, że wrócimy do niego i coś przekąsimy, ale nie chciałam oglądać Winter. Dobrze mi było z nim sam na sam i wołałam nie wystawiać się na próbę, przebywając z nią. Nie kontrolowałam się przy niej wystarczająco i mogłabym zrobić coś, po czym byłabym potem zażenowana.

Leo nie nalegał i zaproponował, że w takim razie kupimy sobie po kawałku pizzy w pobliskim barze. Potem chodziliśmy jeszcze więcej, rozmawialiśmy, aż zaczęło kropić i mżawka przerodziła się w wielką ulewę, która zaskoczyła wszystkich. Skryliśmy się pod dachem supermarketu, śmiejąc się z naszych mokrych ubrań i włosów. Sonny’ego, który stał tuż obok mnie w przemokniętym do suchej nitki garniturze, taka nagła zmiana w pogodzie za bardzo nie rozbawiła.

Mimo iż mieliśmy dziś piękny dzień, była jesień, więc deszcz okazał się nie tak przyjemnie ciepły, jak to się nieraz zdarza latem. Trochę od niego zmarzłam i Leo zaproponował, żebyśmy wysuszyli się w piwnicy Maxa, do której było stąd bliżej niż do jego domu. Szczękając zębami, zgodziłam się, jednocześnie odrzucając propozycję mojego ochroniarza, by wziąć taksówkę i wrócić do auta lub w ogóle prosto do domu.

W międzyczasie zadzwonił do mnie Vincent. Odebrałam od razu, aby przypadkiem nie przyszło mu do głowy, żeby znaleźć wymówkę na podarowanie mi kolejnego szlabanu, który – byłam pewna – bardzo chciałby mi teraz wcisnąć. Żeby nie dać mu ku temu powodów, starałam się być najuprzejmniejszą siostrą świata i nawet powstrzymałam poirytowane westchnięcie, gdy kazał mi podać telefon Sonny’emu. Na całe szczęście jego kontrolne połączenie szybko się skończyło.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Sonny rozglądał się po obskurnej klatce schodowej tak samo nieufnie, jak za pierwszym razem, gdy tutaj ze mną był. Uparł się też, że pierwszy wejdzie do środka, i zanim pozwolił mi się ruszyć, przeszedł się po pomieszczeniu i zajrzał do toalety, taksując wszystko swoim podejrzliwym wzrokiem. Jedną dłoń nawet trzymał za pazuchą marynarki, jakby w gotowości, żeby wyjąć broń i odstrzelić jakiegoś nieszczęśnika, który akurat by mu się napatoczył przed lufę.

Nic jednak nie wzbudziło jego zastrzeżeń, więc w końcu pozwolił nam się rozgościć. Teraz, gdy byłam tu tylko z Leo, a Sonny usunął się na schody, piwnica zdawała mi się nawet większa niż ostatnio. Była też bardziej uporządkowana – nie zagracały jej imprezowe bibeloty, choć przestrzeń zajmowały te same meble co ostatnio.

– Dlaczego Winter nie chciała zatrzymać się tutaj? – zagadnęłam z małym przekąsem, gdy Leo wyjął dla mnie ręcznik z jednej z komód.

– Hailie, tu nie ma nawet prysznica.

– Tak tylko zapytałam.

– Nie pomyślałbym, że z ciebie taka zazdrośnica – zażartował, kręcąc głową.

– Nie jestem zazdrosna – burknęłam, powracając do szcietkowania poplątanych włosów.

Leo usiadł na siedzisku z palet i materaca obok mnie, poczęstowawszy mnie wodą. Wtedy też znienacka mnie pocałował, tym razem dłużej niż poprzednio. A potem raz jeszcze. Zacisnęłam palce na szyjce szklanej butelki, gdy przyłgnęliśmy do siebie po raz trzeci.

Wydawało mi się, że całujemy się po cichu, ale wkrótce z naszych ust wydobyło się wyjątkowo dźwięczne mlaśnięcie i aż drgnęłam, odsuwając się od Leo czym prędzej. Rzucił mi pytające spojrzenie, ale od razu zrozumiał, o co chodzi, gdy zobaczył, jak patrzę ze zmarnowanym wyrazem twarzy w stronę, gdzie musiał siedzieć Sonny.

Znacie to uczucie, gdy chcecie całować się ze swoim chłopakiem, ale boicie się, że wasz ochroniarz usłyszy i doniesie waszemu apodyktycznemu bratu? Cóż, witam w moim świecie.

– Sonny?

– Tak, panno Monet? – Mój ochroniarz wychylił się, żeby lepiej mnie zobaczyć.

– Co ty na to, żebyś, nie wiem, poczekał na górze?

– Gdzie dokładnie, panno Monet?

– Na korytarzu. Za drzwiami, w sensie. Sprawdziłeś to miejsce, nikogo tu nie ma, a i nikt tu nie wejdzie inaczej niż przez te jedne drzwi. Myślisz, że mógłbyś zostać na zewnątrz? Ciasno tu i wiesz... nie pogardziłabym odrobiną prywatności.

– Myślę, że może być z tym problem, panno Monet... – Sonny zmarszczył brwi. Wyglądał, jakby naprawdę chciał pójść mi na rękę, ale też bił się z myślami.

– Nieważne.

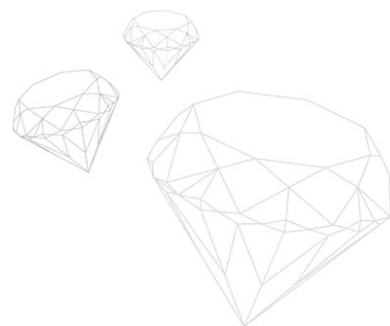
Westchnęłam. Przynajmniej spróbowałam.

Nie wróciłam do całowania. Czułam się zbyt niekomfortowo. To co innego niż buziak na szkolnym korytarzu. Takie porządne pieszczoty wymagały odpowiedniej scenerii. Podczas gdy piwnica znajomego Leo spisywała się na medal – była odpowiednio przytulna, a gdy zapaliło się kolorowe lampki, wręcz urocza – tak sterczący obok Sonny psuł wszystko.

To nie był jednak jedyny raz, gdy tu przyszliśmy, dlatego potencjał tego miejsca nie został zmarnowany. Od czasu, gdy zrobiłam ten pierwszy krok i przyjechałam do Leo sama, starałam się nie doprowadzić do tego, by znowu zamknięto mnie w domu na cztery spusty, i praktykowałam takie wypadki.

Z piwnicy Maxa zrobiliśmy sobie miejsce spotkań. Dylan czepiał się mnie za każdym razem, gdy widział, że wychodzę, a potem na dokładkę czepiał się również, gdy wracałam. Vince dzwonił do mnie o losowych porach i mnie sprawdzał, bliźniacy drwili z małej Hailie, która się buntuje, a Will zaciskał zęby, gdy stawał w mojej obronie, bo sam ledwo akceptował moje wyjścia, ale nie chciał psuć naszej relacji.

A wkrótce nastąpił kolejny wielki przełom i wróciłam do szkoły.



66

SONNY

Ktoś już to kiedyś powiedział – to, że znikalam nagle ze szkoły na całe tygodnie, a potem jeszcze bardziej niespodziewanie się pojawiałam w niej znowu, tylko nabijało mi punkty w rankingu popularności. Ludzie aż wykręcali szyje, gdy moje złote porsche zawitało na parkingu szkolnym po tak długiej przerwie. Mona twierdziła, że miejsce parkingowe Monetów stało codziennie puste, bo nikt nie miał odwagi go zająć.

Na korytarzach ludzie schodzili mi z drogi. Nie usłyszałam żadnej przykrej zaczepki na temat ojca. Nawet nauczyciele gapili się na mnie z zainteresowaniem. Stolikiem Monetów na stołówce dobrze zaopiekowała się grupka, z którą zasiadłam przy nim na samym początku. Była w niej na przykład Lavinia, z którą Mona się trochę zakumplowała. Nie mogłam mieć jej tego za złe, w końcu potrzebowała towarzystwa, gdy mnie nie było.

Teraz, po swoim powrocie, swobodnie paradowałam z Leo po korytarzach, za nami chodził Sonny, ludzie bali się być dla mnie nieuprzejmi, a z materiałem, który przerabialiśmy na lekcjach, już dawno sama zaznajomiłam się na nauczaniu domowym. Trochę więc nuda.

Po pierwszym tygodniu szkoły relaksowałam się w domu z książką. Leo pracował, więc nie było sensu do niego jechać, zresztą o tak późnej porze

i tak nikt by nie wyraził na to zgody. Pewne zasady pod tym dachem wciąż były dla mnie nie do ruszenia.

Ktoś zastukał do moich drzwi tak cicho, że przez chwilę byłam pewna, że to Vincent. Nie widywałam go zbyt często, zwłaszcza od czasu mojego ataku na balu. Upewniał się, że dobrze się czuję i wszystko jest ze mną w porządku, tego odmówić mu nie mogę, ale miałam wrażenie, że rzadko bywał w domu. Zdziwiłam się więc, że teraz nagle odwiedza mnie w pokoju, i już zdążyłam się wystraszyć, że przychodzi, żeby mi oznajmić, że ilość swobody, jaką sobie ostatnio wywalczyłam u Willa, jest nie do zaakceptowania. Nawet ułożyłam sobie w głowie, co mu odpowiem, ale gdy zaprosiłam gościa do środka, próg mojej sypialni przekroczył kto inny.

Sonny chyba nigdy do mnie nie wchodził. Trzymał się z daleka od jedyne go pomieszczenia, w którym mogłam zaznać prywatności.

– Dobry wieczór, panno Monet.

– Sonny, cześć – przywitałam się. Odstawiłam herbatę ostrożnie na stolik, a między kartki otwartej książki włożyłam zakładkę. – Coś się stało?

Stanął na środku mojego pokoju prosto, z rękami złożonymi przed sobą – czyli w swojej typowej ochraniarskiej pozie.

– Muszę spytać o twoje plany na weekend, panno Monet.

– Moje plany? Na jutro?

Skinął sztywno głową.

– Powinienem wiedzieć, co zamierzasz, żeby odpowiednio się przygotować.

– Czy zamierzam jechać z Dylanem do Chicago? – Zaczęłam kiwać głową. Miałam podjąć tę decyzję już wcześniej, ale wciąż się wahałam. Odetchnęłam. – Szczerze mówiąc, planowałam wstać jutro i zobaczyć, w jakim on będzie nastroju. Wiesz, jeśli mnie wkurzy, to zostanę. A jeśli będzie miły, to pojedę... – Zastanowiłam się. – Naprawdę musisz wiedzieć już dziś?

– W porządku, w takim razie założę, że jedziemy. Tylko tyle potrzebuję wiedzieć. Dziękuję, panno Monet.

– Sonny, czekaj. Mogę zdecydować dziś, nie szkodzi, po prostu nie wiedziałam, że muszę. Zwykle nie muszę.

– Nic się nie stało. Rozumiem, że zwykle to pan Monet podejmuje takie decyzje.

– No właśnie – przytaknęłam mu kwaśno. – Niech będzie w takim razie, że jadę.

Sonny znowu skinął głową, chyba nawet jeszcze sztywniej.

– Rozumiem, panno Monet.

– Już przeżyję tego Dylana, w jakimkolwiek humorze by był. Przynajmniej zobaczę nowe miasto... – myślałam na głos. – Nie byłam nigdy w Chicago. Ty byłeś?

I wtedy mi się przypomniało. Nawet jeszcze zanim twarz Sonny’ego się napięła. Od razu przytknęłam dłoń do ust, ale było już za późno, bo palnięte faux pas zdążyło się z nich wymknąć.

– Ty masz tam przecież córkę! O Boże, Sonny, przepraszam. Zapomniałam. Jezu, co za nietakt.

Sonny trochę się odprężył, a nawet lekko uśmiechnął.

– Nic się nie stało, panno Monet.

– Jeśli nie czujesz się komfortowo, nie muszę tam jechać.

Oczy mojego ochroniarza się rozszerzyły.

– Absolutnie nie, panno Monet. Moje prywatne sprawy nie mogą wpływać na twoje plany.

– Nie chcę, żebyś czuł się niekomfortowo.

– Nie będę, dziękuję za troskę, panno Monet.

– Wkurza mnie, jak mówisz do mnie ciągle „panno Monet”.

– Przykro mi to słyszeć... panno Monet. Obawiam się, że nie mogę nazywać cię inaczej.

Wywróciłam oczami. Już to kiedyś chyba przerabialiśmy.

– Sonny?

– Tak?

– Jeśli... chciałbyś spotkać się przy okazji z córką, to chcę, żebyś wiedział, że na spokojnie możemy to zaaranżować.

Jego proste i sztywne zwykle ramiona jakby trochę opadły.

– Panno Monet, to... nie byłoby na miejscu.

– Kogo obchodzi, co jest na miejscu. Skoro na co dzień nie masz kiedy odwiedzić swojej córki, to dlaczego by nie skorzystać z okazji i zrobić tego, gdy akurat będziemy w Chicago? Ja nie mam nic przeciwko. Jeśli tylko sam tego chcesz, oczywiście.

– To nieprofesjonal...

– Daj już spokój, Sonny, serio. Mnie nie mogłoby obchodzić mniej, co jest profesjonalne. – Wychyliłam się na fotelu, podekscytowana tą perspektywą.

– Pan Monet za to...

Znowu mu przerwałam, machnąwszy ręką.

– Vince’em się przejmuj, w razie czego biorę go na siebie.

Mimo powagi rozmowy, trochę zdołałam Sonny’ego rozbawić, bo lekko uniósł kąciki ust.

– Na serio mówię, wiesz, ja nie chcę cię do niczego zmuszać, ale jeśli chcesz zobaczyć się na chwilę z córką, to obiecuję, że pomogę ci to zorganizować.

– To bardzo miły gest, panno Monet. Nie wiem tylko... – Sonny westchnął i nigdy nie widziałam go tak zmieszanego.

– Czego nie wiesz?

– Nic ważnego, panno Monet. To nie wypada, ale dziękuję za propozycję. Masz dobry charakter.

– Czego nie wiesz? – powtórzyłam, przechylając głowę w bok.

Sonny zacisnął na chwilę usta i poprawił mankiety swojej koszuli, jakby nie wiedział, co ze sobą począć.

– Nie jestem pewny, panno Monet, czy ona chciałaby się ze mną spotkać.

– Kto? Mama twojej córki nie chciałaby się z tobą spotkać? Przecież nie ma prawa ci tego zakazywać...

– Ona na pewno nie będzie zadowolona, gdy się odezwę, ale chodziło mi o córkę. Moja... – Sonny odchrząknął – ...córka nie będzie chciała się ze mną widzieć.

– Ale czy ona nie jest... trzyletnią dziewczynką? – Uniosłam brew.

– Prawie czteroletnią.

– Sonny... myślę, że w tym wieku nie będzie miała większych obiekcji.

– Nie? – Spojrzał na mnie ze szczerą nadzieją w oczach i aż zrobiło mi się go żal. Sonny rzadko kiedy okazywał jakiekolwiek uczucia i było mi przykro widzieć, jak się przejmuje.

Wstałam powoli, odłożywszy książkę na stolik, i zbliżyłam się do niego. Widywałam go codziennie, był ze mną prawie wszędzie, a ja tak słabo go znałam.

– Hej, wierzę, że jeśli tylko tego chcesz, to im szybciej pojawisz się w jej życiu, tym lepiej.

– Nie jestem pewien, panno Monet, czy... – Sonny zamilkł i podrapał się po karku.

– Później trudniej ci będzie ją odzyskać.

Zapatrzył się na mnie, a w oczach błyszczało mu zmartwienie, niepewność i trochę strachu. Liczbę odbytych z Sonnym szczerych rozmów o jego życiu mogłam policzyć na palcach jednej ręki, ale wiedziałam, że on jest w porządku i zasługuje na dobro. Każdego dnia robił dla mnie tak dużo, że teraz nagle zapragnęłam mu się odwdzińczyć – zwłaszcza że nadarzyła się ku temu idealna okazja.

– Zrób to, Sonny, spotkaj się z nią. Ja ci pomogę – obiecałam, podchodząc jeszcze bliżej.

Ileż ja bym oddała, żeby kilkanaście lat temu znalazł się ktoś, kto tak samo powiedziałby mojemu ojcu.

– Panno Monet... nie wiem jak... – wyszeptał Sonny. – Będę w pracy, to nie może mieć miejsc...

– Pójdę z tobą. Oczywiście, że z tobą pójdę. Sonny, dzieci mnie uwielbiają. I ja też je uwielbiam. Pomogę ci. To tylko małe spotkanie. Takie na początek. Co sądzisz?

Mężczyzna odetchnął.

– Obawiam się, że pan Dylan... – zaczął, ale mu przerwałam.

– Dylana też biorę na siebie.

Sonny patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, jakby szukał w głowie wymówek. Jednocześnie widziałam, że on naprawdę chce skorzystać z tej niepowtarzalnej okazji. Cieszyłam się w duchu, że pragnie nawiązać kontakt ze swoją córką, i gorąco chciałam go w tym wspierać.

– Zadzwoń do mamy Lei... Bo na imię jej Lea, prawda? No więc zadzwoń do jej mamy i zaaranżuj spotkanie. Obojętnie kiedy, dostosujemy się.

Otworzył usta, ale ja wtrąciłam z uśmiechem:

– To było polecenie służbowe, nie możesz się ze mną kłócić.

Tym razem uśmiechnął się lekko, ale nie wytknął mi, że nie mam odpowiedniego autorytetu, by wydawać mu polecenia służbowe. Zamiast tego skinął głową i pożyczył mi dobrej nocy, wyslizgując się z mojego pokoju.

Dylan zaś wparował do niego bezceremonialnie już o bladym świetle. Otworzył drzwi na oścież i zawołał mnie podniesionym głosem. Nawet zdarł ze mnie kołdrę i zamachał głową tak, że ochlapał mnie wodą, która spływała z końcówek jego mokrych po prysznicu włosów. Wtedy prawie się rozmyśliłam.

Pamiętając jednak o swojej misji, nie zrobiłam tego i na wpół przytomna sięgnęłam po wygodne ubrania, gotowa na kilkugodzinną podróż samochodem do Nowego Jorku. Tam mieliśmy spotkać Martinę, z którą następnie zapakujemy się do samolotu – jak tłumaczył mi Dylan, gdy wrzucał moją walizkę do bagażnika. Zjedliśmy szybkie śniadanie, które popiliśmy kawą, a Dylan przesypał do papierowej torby kilka garści słodyczy. Wciąż chora ich ilość pozostała nam w zapasach po ostatnich zakupach bliźniaków.

Dylan miał trochę czepliwy nastrój, ale też zdawał się zadowolony z tego, że do niego dołączyłam, co było całkiem miłe. Czasem lubiłam podróże z nim – często robił się podczas nich w porządku, a także czułam się przy nim komfortowo i bezpiecznie. Nie mogłam bowiem mu zarzucić, że o mnie nie dba. Nawet zabrał dla mnie koczek i poduszkę.

Sonny jechał tradycyjnie za nami i w trakcie drogi zaznajomiłam Dylana z planem. Staralam się zrobić to delikatnie, bo nie byłam pewna, jak zareaguje. Mógł się zdenerwować, podważyć profesjonalizm mojego

ochroniarza, nakrzyczeć na mnie, że składałam takie obietnice bez wcześniejszego przedyskutowania ich z którymś z braci i tak dalej... Ale Dylan mnie zaskoczył i okazał się nad wyraz wyrozumiały.

– I co, on tak w ogóle nie odwiedza tej swojej córki? – zdziwił się.

– Ciągłe pracuje.

– No nie wiem, dziewczynko... – Dylan pokręcił głową, zapatrzonej przed siebie i z rękami na kierownicy. – To brzmi jak wymówka. Vince na pewno dałby mu wolne, gdyby wiedział, że Sonny chce pojechać do córki. Nie mówię, że jest jakimś zajebistym pracodawcą, ale no nie jest też takim znowu frajerem, na pewno nie dla Sonny'ego. Znamy go całkiem dobrze.

– Sonny twierdzi, że ma z nim jakiś wyjątkowo zobowiązujący kontrakt.

– Każdy kontrakt z Vince'em jest wyjątkowo zobowiązujący, ale to nie znaczy, że nie podlega negocjacji. Wydaje mi się, że Sonny trochę kręci. Prosił w ogóle Vince'a o wolne?

– Nie wiem, chyba nie...

– No i otóż właśnie.

– Myślisz, że co, że tak naprawdę nie chce zobaczyć córki? – zapytałam, zdjawszy buty, żeby wygodniej usadowić się na fotelu.

– Nie no, skoro zgodził się na to spotkanie, to raczej chce... tylko sam nie potrafi się za to zabrać. Jakbym miał zgadywać, to obstawiałbym, że się boi. I w sumie kto by się nie bał. – Dylan znowu pokręcił głową. – Trochę przerabane, ja tam nie wyobrażam sobie mieć dzieciaka i z nim nie rozmawiać, a tylko, nie wiem, wysyłać forszę.

Zamilkłam i zerknęłam w okno, ale nie musiałam długo czekać, aż Dylan zorientuje się, co za gafę właśnie strzelił.

– Sorry, młoda. Zapomniałem, że z tobą było podobnie. Ale co, takie mam w tej kwestii zdanie. Nasz ojciec też zjebał na całej linii, pozwalając na to, żebyś wychowywała się bez nas. Sam zresztą o tym wie i się do tego przyznaje.

– Słodko, Dylan, chciałbyś, żebym się z wami wychowywała? – Zagryzłam wargę i pieszczotliwie dźgnęłam go pięścią w ramię.

– A jak, wytresowałbym cię sobie na swojego małego, prywatnego sługę. Masowałabyś mi stopy, przynosiła solone orzeszki na zawołanie i trenowałbym na tobie nowe sztuki walki. Teraz, w tym wieku... – Rzucił mi spojrzenie pełne udawanego politowania. – ...trudno już cię nauczyć sztuczek, za bardzo się rozbestwiłaś.

Zmrużyłam powieki.

– Ryczałabym za każdym razem, gdybyś na mnie choćby spojrzał. Skarżyłabym na ciebie tacie i kłamała, że mnie bijesz, a on wierzyłby mi, nie tobie, i kazałby ci mnie przeproszać.

– Czyli tak jak teraz?

– Spadówka.

– Milcz, dziewczynko.

W takim przemiłym klimacie odbyła się nasza podróż do Nowego Jorku. Zleciała mi całkiem szybko, w pewnym momencie przymknęłam nawet oko, mimo głośnej muzyki, którą puszczał mój brat, i już wkrótce zatrzymaliśmy się pod niczym niewyróżniającym się budynkiem na Brooklynie, w którym mieszkanie wynajmowała Martina – takim średniowysokim, zbudowanym z brązowej cegły i na którego całej wysokości zamontowano czarne schody przeciwpożarowe. Wyglądały, jakby miały skruszyć się od samego patrzenia.

Dobrze staliśmy z czasem, dlatego Dylan zgodził się, żebyśmy wjechali na Manhattan i odwiedzili sklep Disneya. Kosztowało nas to trochę czasu i nerwów, ale wkrótce znaleźliśmy się w samym centrum, otoczeni tłumami ludzi, migającymi billboardami i śmigającymi w tę i w tę żółtymi taksówkami.

– Jakbym miała dziesięć lat, tobym tu umarła ze szczęścia – skomentowała Martina, zachwycając się słynnym sklepem już od progu. – Patrz na tamte królewny! Kochałam Jasmine.

– Ja uwielbiałam Roszpunkę – odparłam, biorąc do ręki opakowanie z lalką o długich blond włosach. – Czuję teraz, że mam z nią dużo wspólnego.

Dylan uniósł brew, a potem nagle wyszczerzył się, dostrzegłszy coś z daleka.

– Ej, może kupimy Vince’owi figurkę Yody?

Przez chwilę chodziliśmy po sklepie i oglądaliśmy zabawki i akcesoria, wymyślając, do którego z braci najbardziej by one pasowały. Dowiedziałam się przy okazji o słabości Willa do Toy Story, a także o tym, że Shane i Tony mieli kiedyś fioła na punkcie dinozaurów. Gonił nas jednak czas, więc już wkrótce przywołałam do siebie Sonny’ego.

– No więc?

– Tak, panno Monet? – zapytał kulturalnie.

– Wybrałeś coś dla Lei?

Sonny zamrugał, a potem spojrzał przelotnie na Dylana i Martinę, którzy też wpatrywali się w niego wyczekująco.

– Ja... tutaj?

– Po to tu przyjechaliśmy, Sonny – oznajmiłam mu.

– Nie pomyślałem o tym, panno Monet.

Zauważyłam, że znowu zerknął na mojego brata, tym razem bardziej nerwowo. Nie umknęło to uwadze Dylana.

– Luz, stary – uspokoił go. – Hailie mówiła, że chcesz się spotkać ze swoim dzieciakiem. Ja nie mam nic przeciwko. Ale wiesz... tak z pustą ręką nie wypada. – Puścił do niego oko.

Sonny potarł się po skroni i rozejrzał.

– Nie wiem, co kupuje się dzieciom.

– No lalkę może? – zaproponowała Martina. – Którą z królewnien najbardziej lubi Lea?

– Przepraszam, którą co? – Sonny zmarszczył brwi.

– Królewnien – poprawił ją Dylan.

– On nie będzie wiedział – szepnęłam, a potem dodałam głośniej: – Okej, a może... Spójrzcie! Zestaw do parzenia herbaty z *Pięknej i Bestii*! Jej, jakie to urocze...

Mój brat wywrócił oczami.

– Sonny, co myślisz? – zapytała go Martina, a że stała obok niego, to nawet ścisnęła go za ramię, na co mój ochroniarz się spiął,

nieprzyzwyczajony do takiej uwagi i dotyku obcych.

– Może... – mruknął, a jego palce bezwiednie prześlizgnęły się po wiszących tuż po jego lewej stronie breloczkach.

– Nie no, błagam, nie kupisz swojej czteroletniej córce zawieszki do kluczy – westchnęłam, kręcąc głową, a on zabrał od nich rękę jak oparzony.

– Stary, nie masz z nią kontaktu, odkąd się urodziła, tak? – upewnił się Dylan. – W takim razie to musi być coś wyjebanego. Ja bym kupił to.

Dylan wskazywał na disnejowski zamek, który kosztował setki dolarów i z pewnością po rozłożeniu byłby wyższy od każdej czterolatki.

– To przesada – zaprotestowała Martina. – Nie wiemy nawet, czy się bawi takimi rzeczami.

– Jak się nie bawi, to zacznie.

– Ani czy mają miejsce, żeby postawić takie coś w domu.

– A może jakieś puzzle? Lub coś edukacyjnego? Zestaw małego naukowca? – zaproponowałam.

– Nuda – ziewnął Dylan.

– Zestaw do malowania – zasugerowała Martina.

Wkrótce nasza dyskusja nabrała tempa i tak staliśmy na środku zatłoczonego przez turystów sklepu, a każde z nas przekrzykiwało się, próbując dowieść swojej racji, aż wreszcie sam Sonny nieśmiało nam przerwał i wskazał na trzymaną w ręce Myszkę Miki.

Pluszak zdawał się odpowiednio symboliczny i nieprzesadzony – tak od razu oceniliśmy z Martyną. Dylan uparł się tylko, by wymienić go na okazalszy rozmiar, a potem zapłacił za niego i niósł go przez cały Times Square, aż do samochodu, żeby Sonny mógł mieć wolne ręce – w końcu ciągle był w pracy.

Lot prywatnym samolotem Monetów trwał niecałe trzy godziny, podczas których ja zatopiłam się w książce, a Dylan w ustach Martiny. Nie no, żartuję, aż tak się nie obnosili, może trochę, ale kompletnie mi to nie przeszkadzało. Żałowałam tylko, że w porąbanym umyśle mojego brata jego całowanie się ze swoją dziewczyną nie było problemem, podczas gdy ja dająca małego buziaka swojemu chłopakowi to zbrodnia nie z tej ziemi.

Sonny chciał spotkać się ze swoją córką dziś, zapewne żeby mieć to już z głowy. Wybrał sobie dzień i godzinę, które odpowiadały mu najbardziej, bo wyjazd ten z założenia miał być relaksacyjny, a nie stresujący, więc z Dylanem i Martiną nie mieliśmy planów o sztywnych ramach czasowych. Była partnerka Sonny'ego jednak okazała się niespecjalnie zadowolona z nagłego telefonu od ojca swojego dziecka, dlatego spróbowała utrudnić mu to spotkanie i finalnie zostało ono umówione na następny dzień, czyli niedzielę.

Chicago było wspaniałym miastem na weekendowy wyjazd. Cieszyłam się, że tu przyjechałam. Najpierw poszliśmy na pizzę na bardzo grubym, drożdżowym cieście wyłożonym mozzarellą, na której szczerze porozkładano warzywa, pieczarki i gotowaną szynkę, a następnie wszystko przykryto sosem pomidorowym – czyli trochę na odwrót jak w tradycyjnej pizzy. Była smaczna i niesamowicie sycąca. Martina zdążyła też posprzeczać się lekko z Dylanem. Zaproponowała, żebym napiła się z nią piwa, a gdy mój brat stanowczo zaprotestował, wdała się z nim w dyskusję, biorąc moją stronę. W końcu sama odmówiłam alkoholu, bo psucie sobie wyjazdu takimi frustracjami nie było tego warte.

Później poszliśmy na słynny szklany balkon, czyli platformę utworzoną z szyb na sto trzecim piętrze jednego z wieżowców, skąd rozciągał się spektakularny widok na całe miasto. Zrobiłam tam całą sesję zdjęciową Dylanowi i Martinie.

Wybraliśmy się też do parku milenijnego, gdzie zrobiliśmy sobie jeszcze więcej zdjęć pod słynną fasolką, czyli olbrzymią rzeźbą, której inspiracją była kropla rtęci. Dzień zwieńczyliśmy drinkiem w hotelowym barze. Martina zamówiła sobie gorzkawe Negroni, Dylan coś z whisky, a mój był bezalkoholowym Sex on the Beach. Skoro nie mogłam pić procentów, to przynajmniej chciałam wkurzyć brata samą nazwą. Udało mi się to, co było dosyć zabawne.

W niedzielę nadszedł czas na wielkie spotkanie i Dylan pilnował mnie nawet bardziej niż zwykle, wyrozumiały dla faktu, że Sonny zdawał się nieco rozkojarzony, choć wciąż, oczywiście, czuwał nad moim bezpieczeństwem. Matka dziecka Sonny'ego wybrała dogodnie dla siebie miejsce do spotkania gdzieś nad brzegiem jeziora Michigan. Wzięliśmy tam taksówkę i przez całą drogę staraliśmy się pokrzepić ochroniarza miłym

słowem. On siedział z przodu, obok kierowcy, i po jego napiętych ramionach widziałam, jak bardzo się stresuje.

Pożółkła trawa i niemal już bezlistne drzewa oraz pochmurne niebo nad poszarzałym jeziorem tworzyły dość ponurą scenerię. Na wybetonowanym brzegu stały dwie postacie – kobieta w jasnych poszarpanych dżinsach i purpurowej bluzie z kapturem oraz mała dziewczynka ubrana w ciepłe białe rajtuzy i różową spódniczkę, taką jak dla wróżki.

Jej mama pierwsza dostrzegła cały nasz orszak, zmierzający w ich kierunku. Gdy rozpoznała Sonny'ego, jej twarz natychmiast stężała. Wydawała się bardzo młoda, ale przez ufarbowane na czarno włosy spięte w niechlujnego koka, którego raz po raz testowały silne podmuchy wiatru, wybór zbyt ciemnego podkładu, doczepiane rzęsy i najprawdopodobniej zrobione usta trudno było określić jej faktyczny wiek.

Jeszcze zanim podeszliśmy, złapała dziewczynkę za rączkę, kucnęła przed nią i poprawiła jej wełnianą czapeczkę z wyhaftowanym motylkiem, tak żeby chroniła jej uszy.

Sonny trzymał się z tyłu, jak zawsze, choć dziś raczej nie było to spowodowane jego pracą. Nie miał odwagi prowadzić, stawić czoła swojej byłej partnerce ani tym bardziej córce. Na pierwszej linii znajdował się Dylan, niosący wielką maskotkę Myszki Miki. Pod ramię trzymała go Martina, już z daleka szczerząc się do dziecka. Gdy znaleźliśmy się już przy rodzinie Sonny'ego, zacisnęłam rękę na jego dłoni. Nigdy nie pozwalałam sobie na takie poufale gesty, tym razem jednak były one naturalne i niewymuszone.

– Powodzenia – szepnęłam, ale zestresowany Sonny zdawał się tak oszołomiony, że nawet nie skinął głową. Zrobił krok do przodu. Jeden, a potem drugi. Dylan i Martina zeszli mu z drogi.

Dziewczynka przekrzywiła z ciekawością głowę na widok tyłu nowych osób, ale to nie na nią na razie patrzył Sonny. Wpatrywał się w jej matkę i dopiero po chwili zdjął z nosa czarne okulary, z którymi praktycznie zwykle się nie rozstawał.

– Dzięki, że zgodziłaś się na to spotkanie, Cali – odezwał się, odchrząknąwszy.

Kobieta zmrużyła powieki. Ależ długie i gęste miała te rzęsy.

– Jakbym miała jakiś wybór – prychnęła zachrypniętym głosem. Widocznie ścisnęła też mocniej rączkę małej Lei.

– Mogłaś mi to utrudnić. – Sonny wzruszył ramionami.

– Ta, jasne – prychnęła ponownie, tym razem wodząc wzrokiem także po naszych twarzach. Zatrzymała się na chwilę na Dylanie. – Wszyscy wiemy, co by było, gdybym tylko spróbowała, nie?

– Nic by nie było, Cali – westchnął Sonny z nutką frustracji. – Dlatego jestem wdzięczny, że przyszłaś... że przyszłyście.

Wciąż uparcie nie zerknął na dziewczynkę.

– Musiałeś przyprowadzić ze sobą cały gang? – zapytała Cali.

– Jestem w pracy...

Cali spojrzała teraz prosto na mnie. W jej oczach dostrzegłam pogardę.

– No tak, zapomniałam. Twoja praca.

Nie spodziewałam się zarobić na dzień dobry tak wrogiego spojrzenia, ale było to coś, do czego – z przykrością muszę to stwierdzić – zaczynałam się przyzwyczajać. To nie pierwszy raz, gdy ktoś za mną nie przepadał, mimo że nawet mnie nie znał.

Wody jeziora pluskały cicho, obmywając betonowy brzeg, od czasu do czasu zawiał mocny wiatr, a wszędzie unosiła się pozbawiona kolorów aura, która dodawała naszemu spotkaniu smętnawego charakteru.

– To zamierzasz się chociaż z nią przywitać? – ponagliła Cali.

Sonny zrobił krok do przodu, a potem wstrzymał oddech i zerknął w dół, na małą dziewczynkę, która już od jakiegoś czasu się w niego wpatrywała. Policzki i nosek miała zaróżowione od chłodu, co rusz pocierała też powieki, jakby powoli zbierało jej się na drzemkę.

Dylan odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę mojego ochroniarza, i wcisnął mu wtedy do rąk maskotkę, na której widok oczy dziewczynki trochę oprzytomniały. Cali patrzyła z ustami zaciśniętymi w prostą linię, jak ojciec jej dziecka próbuje wkupić się w łaski małej, ale nie protestowała. Gdy Sonny schylił się i wyciągnął pluszaka w stronę Lei, dziewczynka uniosła wzrok na mamę, szukając przyzwolenia na przyjęcie prezentu. Cali

pokiwała głową, a ta wtedy puściła jej rękę i sięgnęła dłońmi po Myszkę Miki.

– Patrz, jaka duża! – zawołała dziecięcym głosem.

Dylan parsknął z wyższością.

– Mówiłem – mruknął.

– Mhm, no ogromna! Takiej jeszcze nie masz, co? – odpowiedziała Cali, siląc się na odpowiednio podekscytowany ton. – Co się mówi?

– Dziękuję – wymamrotała Lea, zerkając nieśmiało na Sonny’ego.

– To nic takiego – odparł sztywno, drapiąc się po karku. – To tylko, wiesz, misiek.

Prawie przytknęłam dłoń do czoła, Cali wywróciła oczami, Martina unosiła brew, a Lea przechyliła głowę, marszcząc czoło. Zapanowała niezręczna cisza, której nikt nie kwapił się przerwać.

Lea przytulała swój nowy nabytek, który prawie dorównywał jej wielkością, i milczała, tak samo jak Cali, której może nawet nie zależało na rozluźnieniu atmosfery. Wtedy zdecydowałam, że to moment, w którym Sonny’emu przyda się wsparcie. Podeszłam do Lei i ukucnęłam przy niej, uśmiechając się szeroko.

– Rany, ten misiek serio jest olbrzymi! Popatrz, prawie tak duży jak ty! Lubisz Myszkę Miki?

Lea wyszczerzyła zęby i pokiwała głową.

– Cudnie, a powiedz, bo się zastanawialiśmy... którą królewnę lubisz najbardziej? Czy może żadnej?

– Kopciuszka? – wymamrotała.

– Kopciuszek! – wykrzyknęła Martina i natychmiast do nas dołączyła. – Hailie, jak mogliśmy zapomnieć o Kopciuszkę! A wiesz, Lea, że ja też kiedyś zgubiłam but na balu? Dylan go dla mnie znalazł.

Później, już nie przy dziecku, Martina opowiedziała szczegóły tej historii. Była pijana w klubie i żeby tańczyć, zdjęła niewygodne szpilki, które potem zniknęły i Dylan musiał ich szukać.

– Lubię też Arielkę.

– Lea uwielbia pływać, a w przyszłości chciałaby zostać syrenką – wtrąciła Cali, głaszcząc córkę po głowie.

– Oho, słyszałeś, Sonny? – zawołałam. – Rób notatki!

Sonny wyglądał, jakby faktycznie przez chwilę rozważał, by pożyczyć od kogoś kartkę papieru i długopis, ale wkrótce wziął się w garść i z pomocą Martiny i moją nareszcie udało mu się zaangażować w rozmowę. Nasze spotkanie nie trwało jednak długo – Cali zakończyła je po niecałych czterdziestu minutach, wymawiając się obowiązkami, rutyną Lei, pogodą i wszystkim innym. Nie była jednak negatywnie nastawiona do zapowiedzi kolejnej wizyty Sonny’ego. Wciąż sceptycznie podchodziła do jego osoby, ale widać było, że zależy jej na dobru córki – na które składała się również obecność w jej życiu ojca.

Trochę inne podejście niż miała moja własna mama. Nie chciałam tego drażnić, ale te myśli same wpraszały się do mojej głowy.

Lea polubiła nas wszystkich do tego stopnia, że na pożegnanie zapragnęła każdego uściskać. Wyraz ulgi na twarzy Sonny’ego, gdy dziewczynka wyciągnęła do niego ręce, był niezapomniany. Objął ją sztywno i lekko, ale przytulał ją dłużej niż ja i Martina. Potem machnął niezręcznie do Cali na do widzenia i powoli zaczęliśmy się oddalać.

Wtedy Dylan zjawił się u boku Sonny’ego i poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota, stary – mruknął do niego. – Nawet fajny ten twój dzieciak.

– Jest niezwykła, Sonny – powiedziałam z uśmiechem. – Gratulacje.

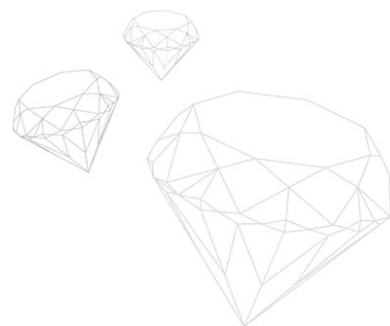
On sztywno uniósł kąciaki ust, chyba wciąż oszołomiony wydarzeniami sprzed chwili. Dopiero później, gdy wróciliśmy do centrum miasta i szukaliśmy odpowiedniego miejsca na lunch, zaszedł mnie od tyłu i szepnął:

– Dziękuję, panno Monet.

Skinął mi też formalnie głową, a ja poczułam się, jakbym zrobiła jakiś szalenie dobry uczynek. Jakbym unosiła się w bańce mydlanej. Byłam taka lekka i szczęśliwa, że udało mi się pomóc mojemu ochroniarzowi w nawiązaniu relacji z córką. Cieszyłam się, zwłaszcza że odkąd mi o niej powiedział, gdzieś w głębi serca martwiłam się, że nie ma z nią kontaktu.

Dobrze było wiedzieć, że Sonny jednak nie jest wyzbyty uczuć do własnego dziecka.

Jakoś tak zrobiło mi się lepiej z tą świadomością.



67

PROJEKTOR GWIAZD

OSTRZEŻENIE: ROZDZIAŁ ZAWIERA OPIS SCENY SEKSUALNEJ

Moje życie pędziło do przodu tak szybko, że uwielbiałam te momenty, gdy mogłam zwolnić i przytulić się do Leo na siedzisku z palet i materaca. On okrywał nas kocem i puszczał jakiś film na tablecie. Popijaliśmy colę albo wodę. Od kiedy zaczęliśmy bywać w piwnicy, Leo pilnował, by uzupełniać tutejsze zapasy, niczego więc nam nie brakowało. Czasami objadaliśmy się chipsami, innym razem winogronami. Nigdy nie piliśmy alkoholu, choć wiedziałam, że ma tu piwo.

Leo zawsze dbał o odpowiedni klimat – wiedział, że lubię urocze rzeczy, dlatego zapalał kolorowe lampeczki choinkowe, czasami nawet całowaliśmy się w otoczeniu zapachowych świec.

Pewnego listopadowego dnia zaskoczył mnie jeszcze bardziej, bo wytrzasnął skądś projektor gwiazd. Gdy go włączył, znaleźliśmy się w innym świecie. Różowo-fioletowe światła imitujące wszechświat rozsiały się po całym pomieszczeniu. Zafascynowana rozglądałam się, a Leo uśmiechał się do mnie, zadowolony, że udało mu się sprawić mi przyjemność.

Ostatnimi czasy mogliśmy całować się tu bez zażenowania, że Sonny będzie nas słyszał. Mój ochroniarz, wdzięczny za pomoc w zorganizowaniu spotkania z córką, przymykał oko na moje spotkania z Leo i godził się pilnować mnie zza drzwi.

W otoczeniu sztucznie wygenerowanego gwiazdnego nieba cieszyliśmy się swoją bliskością. Zasmakowaliśmy wolności – oboje. Nie wiem, co takiego wyjątkowego było akurat w tym dniu, ale puściły nam hamulce i zaczęliśmy się obściskować jak jeszcze nigdy, wśród tych gwiazd wokoło, bez Sonny'ego. Bez Winter. To dlatego wołałam przychodzić tu niż do cukierni. Nie było tu Winter.

A Leo udawał, że to ja jestem najważniejsza. Jego wilgotne pocałunki były słodsze od czekolady z jajka niespodzianki. Ja jedną rękę zaciskałam na jego ramieniu, drugą we włosach. On obejmował moją talię i się nade mną nachylał. Jedną z dłoni przeniosłam na jego kark, a wtedy on odsunął swoje usta od moich i złożył pełen uczucia pocałunek na mojej szyi, z prawej strony.

To wtedy przepadłam.

Jęknęłam z przyjemności. Przy Sonnym nigdy bym sobie na to nie pozwoliła i miałam nadzieję, że żadne dźwięki stąd nie docierały do jego uszu. A potem zaraz jęknęłam znowu, bo Leo pocałował mnie w to samo miejsce. Zacisnęłam paznokcie na jego karku mocniej, a głowę odchyliłam do tyłu, żeby wyeksponować dla niego szyję jeszcze bardziej.

To był inny poziom przyjemności, taki, jakiego jeszcze nie znałam.

Chciał wrócić do moich ust, ale zaprotestowałam i z powrotem nakierowałam go w moje nowe ulubione miejsce. On zaśmiał się cicho, ale posłusznie pocałował mnie tam znowu, z uczuciem tak wielkim, że po raz kolejny westchnęłam. Z zachwytem otworzyłam oczy, aby przywitał mnie widok sztucznych gwiazd wokoło. Pogłaskałam Leo po karku, na zachętę.

– Coś się tak uparła na tę szyję?

Śmiał się ze mnie, a ja ledwo złapałam oddech, by mu odpowiedzieć.

– To lepsze niż jazda moim porsche...

On parsknął i pocałował mnie raz jeszcze. Następnie zrobił to z drugiej strony mojej szyi, ale złapałam go delikatnie za włosy i poprowadziłam

tam, gdzie było mi przyjemniej.

– Wolę z prawej.

Leo nie dyskutował, tylko posłusznie całował, a ja oddałam się chwili.

To była najbardziej erotyczna rzecz, jaką do tej pory w życiu robiłam. Czułam, że chcę się zawstydzić, ale było mi tak dobrze, że nie potrafiłam.

– Hailie – mruknął Leo i złapał za mój podróbek, żebym na niego spojrzała.

– Hm?

– Jeśli chcesz pójść dalej...

– Nie chcę nigdzie iść.

– Nie, chodzi mi o to, że jeśli chcesz zrobić coś więcej...

Gdy połapałam się w tym, co miał na myśli, zaczerwieniłam się, że jestem taka niepojętna, ale zaraz zaintrygowałam się i zawahałam...

– Jeśli nie, to w porządku. Możemy zostać przy pocałunkach. Nie żeby były czymś gorszym.

Patrzyłam na jego twarz, na której odbijały się różowe światła projektora. Przyłożyłam palce do jego policzka i zastanowiłam się, czy ja naprawdę tego chcę.

Oczywiście, że chciałam. Nie wiem, czy w tamtym momencie byłam zbyt rozochociona, by myśleć trzeźwo, czy może naprawdę czułam, że to już ten czas, ale pragnęłam być z Leo. Ufałam mu, wyzwałał we mnie wspaniałe uczucia i potrzebowałam to jakoś przypieczętować.

A wtedy zerknęłam do góry, na schody i drzwi.

– Sonny tam jest...

– Wiem. – Leo zrobił kwaśną minę. – Możemy poczekać...

– Ale on zawsze tam będzie – dokończyłam znacząco.

Leo wpatrywał się we mnie długo, aż w końcu zapytał:

– Jesteś pewna?

Pokiwałam głową.

– Okej. – Rozejrzał się po wypełnionym gwiazdami pomieszczeniu.

– Wiesz... co robić? – zachichotałam nerwowo.

– Mniej więcej. – Leo podniósł się do pozycji siedzącej, tak że już na mnie nie leżał, i przecesał sobie włosy.

Zerknęłam na niego nieśmiało, spod rzęs, gdy sama też usiadłam.

– Czyli oboje jesteśmy niedoświadczeni?

– To źle?

– Właściwie to dobrze.

Podobało mi się, że dla obu stron było to coś nowego.

Próbowałam sobie przypomnieć całą wiedzę na temat seksu, jaką do tej pory zgromadziłam. Poza szkołą, gdzie wszystko wyjaśniono nam w sposób bardzo praktyczny i mało romantyczny, a także internetem, gdzie roi się od bzdur, nie miałam wielkiej wiedzy w tych sprawach.

Ach, no i jeszcze bym zapomniała – wykład Willa o kwiatkach i pszczołkach.

– Muszę najpierw do łazienki – szepnęłam. Zamknęłam się w ciasnym pomieszczeniu, próbując opanować szum w uszach i walące serce. Przejrzałam się w lustrze. Nałożyłabym więcej makijażu, gdybym wiedziała, co się dziś wydarzy. Albo nie wiem, zrobiła sobie loki.

Gdy wróciłam do Leo, uśmiechnęłam się, bo zdążył włączyć muzykę i właśnie odpalał wygrzebane skądś świece. Dodały uroku całej tej gwiazdnej scenerii, gdy porozstawiał je wszędzie.

– Lubisz takie rzeczy, mam rację? – zagadnął, częstując mnie kolejnym buziakiem w policzek, gdy mijał mnie, by schować zapalki.

Rozejrzałam się z zachwytem.

– Ubóstwiam.

– Tak myślałem. Znam cię już całkiem nieźle. – Leo złapał mnie delikatnie za dłoń i poprowadził do naszej prowizorycznej kanapy, na której uwiliśmy sobie miłe gniazdko.

Przelotnie zerknęłam na drzwi. Gdyby Sonny teraz wszedł, od razu kapnąłby się, co my tu wyprawiamy. Sprawdziłam też telefon, by upewnić się, że żaden z braci do mnie nie pisał ani nie dzwonił. Wyciszyłam go, by nikt nam nie przeszkadzał.

Usiadłam na materacu, nagle jeszcze bardziej onieśmielona niż wcześniej.

– Wszystko w porządku? – upewnił się po raz enty Leo, obejmując mnie ponownie dłonią. Lubiłam czuć ją na swojej talii.

Pokiwałam głową.

– Masz coś przeciwko, żebyśmy się jeszcze chwilę pocałowali?

– Nic a nic – odpowiedziałam i automatycznie zaczęłam wyciągać do niego szyję.

Zaśmiał się i posłusznie się nią zajął, a potem zostawił ślad swoich ust na moim podbródku, a także na dekolcie.

A potem zaczęłam się zastanawiać, czy i ja powinnam gdzieś go pocałować? Może też w szyję? Albo w ucho? Zdecydowałam się na ucho. Leo drgnął, gdy przy okazji szarpnęłam go zębami za płatek. Nie wiem, czemu go ugryzłam, ale cóż, wyśmienicie się bawiłam.

On nie pozostał mi dłużny i wkrótce również poczułam jego zęby – najpierw na dolnej wardze, a potem powoli zaczął zjeżdżać w dół, do szyi.

– Stój! – zawołałam.

Chłopak oderwał się ode mnie jak oparzony.

– Coś się stało? Zrobiłem coś nie tak?

– Nie zostaw mi malinki!

– Że co?

– Jeśli mi zostawisz tu malinkę, to jestem pewna, że ktoś ją wypatrzy – wytłumaczyłam, a gdy on uniósł brew, machnęłam ręką. – Och, po prostu nie gryź mnie w szyję.

Leo pokiwał głową, przyjąwszy do wiadomości moje instrukcje, i wrócił do pocałunków.

Szybko znowu mu przerwałam.

– Zaraz, a prezerwatywy? – wyszeptałam gorączkowo, nagle znowu bardzo się stresując.

– Spokojnie, mam je tutaj.

Poklepał się po kieszeni spodni, które do tej pory na sobie miał, a zaraz zaczął ściągać, wcześniej odrzuciwszy na bok też koszulkę.

Moje ciało drżało ze strachu, a także z podniecenia. Z niepewności i szczęścia.

Leo podobał mi się z tym swoim ładnie umięśnionym brzuchem i gładką skórą – a ja podjęłam decyzję, że to dobry moment, bym sama pozbyła się dolnych części garderoby. Najpierw zsunęłam podkolanówki, które powiesiłam schludnie na podłokietniku fotela obok. Potem sięgnęłam pod spódniczkę i zaczęłam zdejmować rajstopy. To wtedy zadrżałam, bo na nagiej, wrażliwej skórze ud poczułam chłodne powietrze.

Patrzyłam na Leo i robiłam, co mogłam, by nie zachowywać się jak dziecko, które po raz pierwszy otworzyło książkę do biologii na najciekawszej stronie.

Mój chłopak uśmiechnął się do mnie, a potem nachylił i położył mi dłoń na nagim kolanie.

– Pomóc?

Z tym pytaniem posunął rękę dalej. Zadrżałam, gdy poczułam jej chłód. Jego czyny zdawały się zakazane, ale zamiast się przed nimi wzbraniać, ja chciałam więcej. Motylki w brzuchu też robiły swoje – szalały. Czułam, jak pali mnie twarz. Co my robimy, rany!

– Mogę sama? – wyszeptałam.

– Oczywiście.

Serio cieszyłam się z tego projektora. Oprócz klimatu zapewniał nam też sporo dyskrecji. W pełnym świetle czułabym się o wiele bardziej roznegliżowana.

– Czekaj, czekaj! – zawołałam nagle.

Leo uniósł na mnie wzrok.

– Tak?

– Sprawdziłeś datę ważności?

– Prezerwatywy?

– Tak, prezerwatywy.

– Nie, ale są nowe...

– Sprawdź.

Leo nie dyskutował z moim władczym tonem i schylił się po rozerwaną saszetkę. Chwilę mrużył oczy, by w słabym świetle odczytać drobny druk, aż wreszcie ją odrzucił.

– Są okej.

Drgnąłam, gdy coś cicho strzeliło, a potem usłyszałam mruknięcie Leo:

– Cholera.

– Co jest? – zapytałam natychmiast zaalarmowana.

– Pękła.

– Co pękło?

Nie odpowiedział, ale się domyśliłam.

– Jak?

– Przy zakładaniu.

Zamrugałam i wybuchnąłam histerycznym śmiechem, a potem też przykryłam twarz dłońmi. Co za absurdałna sytuacja.

– O Lordzie, nie, proszę, nie. Co my robimy?

Leo sam nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Poczucie humoru to jednak coś, co pomagało nam to przetrwać i nie zapaść się pod ziemię, więc koniec końców śmialiśmy się tak, że potrzebowaliśmy chwili, żeby się uspokoić. To było trochę, jakbyśmy oboje odreagowywali niezwykłość tej sytuacji.

– No i co teraz? – zapytałam.

– Wezmę nową.

W międzyczasie swoją falbaniastą koszulę zostawiłam złożoną w kostkę na fotelu – później tak samo starannie odłożyłam tam spódniczkę.

Palce Leo najpierw odgarnęły mi z twarzy włosy, przesunęły się po moim boku, ścisnęły moje wystające biodro, aż rozgościły się na udzie. Chwilę tam pozostały, a w tym czasie on znowu nachylił się nade mną, zmuszając moje ciało do powrotu do pozycji leżącej. Wisiał nade mną i tym razem czułam to laskotanie od dotyku naszych ciał. Jego tors na moim brzuchu to jedyne, o czym myślałam.

Na początku trudno mi było się wyluzować, gdy jego palce błędziły tam, gdzie nikt nigdy mnie nie dotykał. Leo okazał się partnerem idealnym. Wszystko robił powoli, jakby dawał mi czas, bym mogła go zatrzymać. Sprawiał, że czułam się bezpieczna, że bez względu na to, co mieliśmy zaraz zrobić, nie miało mi się stać nic złego. W ogóle że to, co robiliśmy, nie było wcale złe i zakazane, a naturalne i piękne. Udowadniał mi właśnie, że seks to wyraz miłości, czułości i szacunku. Kiedy leżałam na tym materacu z jego ciałem nad swoim, było mi ciepło, przytulnie, a dzięki jego łagodnemu obejściu czułam się zaopiekowana.

To właśnie jego wyczucie pozbawiło mnie wszelkich obaw. Przestałam się zastanawiać, co by się stało, jeśli wszedłby tu teraz Sonny. Nie martwiłam się już, że o wszystkim dowiedzą się moi bracia. Odchyliłam głowę i moje początkowe wahanie przerodziło się w euforię.

Leo uśmiechnął się znowu, ale moja własna radość trwała bardzo krótko, bo prawie natychmiast zdominował ją ból. Zaciśnęłam paznokcie na jego ramionach, trochę, żeby sobie ulżyć, a trochę, żeby zakomunikować mu, jak się czuję.

– Mam przestać? – zapytał.

– Nie.

– Na pewno?

Syknęłam z dyskomfortu, ale uparcie zaprzeczałam.

– Staram się być delikatny...

– Wiem... – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – To nie twoja wina.

– Możemy na chwilę przerwać.

– Jeszcze trochę.

Kierowałam się zmysłami. One wiedziały, co robić, mimo iż nigdy wcześniej nie byłam tak blisko z żadnym chłopakiem. Oboje z Leo wsłuchaliśmy się w to, co mówią nasze ciała...

...i było pięknie.

– Mogę pocałować cię o tu, jeśli chcesz – zaoferował, gdy po wszystkim jeszcze leżeliśmy i się przytulaliśmy. Przejechał palcami po prawej stronie mojej szyi, aż przymknęłam powieki.

– Mhm, całuj – zgodziłam się łaskawie, a on zaśmiał się i zabrał do roboty.

Szczerze mówiąc, te pocałunki sprawiały mi wcale nie mniej uciechy niż sam seks. Na pewno poczułam irytację, gdy przerwał je dźwięk dzwonka telefonu.

W pierwszej chwili. W drugiej zerwałam się po komórkę z przejęciem i aż przeszły mnie dreszcze – tylko że tym razem nie dreszcze przyjemności, które zostawiały po sobie buziaki mojego chłopaka.

– Co jest?

– Dzwoni Vincent – wyszeptałam gorączkowo.

– To lepiej odbierz, co?

– Jestem w samym staniku!

– Dzwoni na wideo?

– Nie! Żartujesz? Jeszcze tego by brakowało. – Znowu zadrżałam.

– Więc w czym problem? – Leo zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– W tym, że czuję się winna!

– Czego winna?

– Złamałam jego zasady. Od razu to usłyszy! – tłumaczyłam mu, z walącym sercem wpatrując się w imię brata na ekranie.

– Hailie, musisz odebrać, inaczej się wkurzy. Zadzwoń do twojego ochroniarza, który tu zejdzie. – Teraz nawet w głosie Leo pobrzmiwała panika.

Wiedziałam, że ma rację. Prędko zaczęłam owijać się kocem, żeby się zakryć. Nie obchodziło mnie, jak dziwaczne moje rozumowanie mogło się wydawać. Vince miał nadnaturalne moce i wierzyłam, że potrafiłby wyczytać z mojego głosu nawet markę szamponu, którym umyłam dziś rano włosy.

– Czy ja dyszę? – zapytałam, próbując wsłuchać się w swój głos.

– Hailie, nie ma czasu, odbierz!

Odebrałam. Nie wiem, co Vince sobie pomyślał i czy rozpoznał, że jestem zestresowana. Leo twierdził, że prowadziłam rozmowę zupełnie

naturalnie. Był to jeden z tych kontrolnych telefonów. Ostatnimi czasy, z racji tego, że częściej wychodziłam sama, zdarzało się ich dużo więcej. Generalnie ich zamysłem było to, że mam je odbierać i zawsze być gotowa się zameldować, co dziś zrobiłam, dlatego Vince o nic innego się nie przyczepił.

Gdy odłożyłam komórkę, odetchnęłam z ulgą, ale powrót do pieśczoć absolutnie nie wchodził w grę. Głos mojego najstarszego brata skutecznie oziębił cały gorący klimat, jaki sobie tu z Leo zgotowaliśmy. Zresztą Vince i tak kazał mi już wracać.

– To, co tu stworzyliśmy między sobą, Hailie, to magia – wyznał mi Leo na pożegnanie, kiedy już ubrana wyszłam z łazienki.

Weszłam prosto w jego ramiona, poruszona jego słowami.

– Leo? – wymamrotałam.

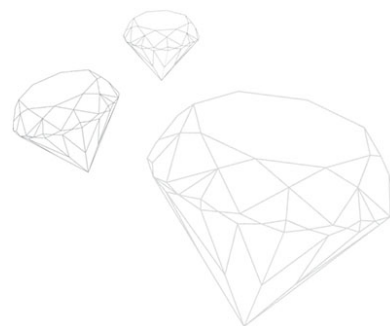
– Hm?

– Dziękuję, że mnie powstrzymałeś wtedy, na imprezie Shane’a i Tony’ego, gdy rzuciłam się na ciebie w samej bieliźnie.

Zapadła chwila ciszy.

– Nie ma za co – wyszeptał i pocałował mnie w czubek głowy.

A ja przymknęłam oczy, pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie.



68

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Hejka!

Mój wesoły głos odbił się od białych ścian pustej na pozór Rezydencji Monetów. Zrobiłam kilka kroków do przodu i rozejrzałam się po eleganckim wnętrzu mojego tajemniczego domu.

Pomyślałabym, że chłopcy ucieli sobie drzemkę, ale przecież lichy nie śpi.

Zachichotałam z własnego żartu i odłożyłam torebkę na jeden z najniższych stopni schodów. Pozwoliłam, by kluczyki od porsche wylądowały w niej z grzechotem, i poczłapałam do kuchni. Zdawało mi się, że usłyszałam dochodzący stamtąd jakiś cichy stukot.

Nie pomyliłam się, Tony właśnie wyciągnął sobie napój z lodówki. Ciemną butelkę trzymał w jednej ręce, a drugą, tą wytatuowaną, sięgał po otwieracz. Będąc w typowym dla siebie, naburmuszonym nastroju, nie raczył nawet odpowiedzieć na moje powitanie.

Zupełnie niezniechęcona zaszłam go od tyłu i zaplątałam ręce wokół niego, przytulając policzek do jego pleców. Dopiero gdy w ten sposób naruszyłam jego prywatną sferę, zareagował.

– Co robisz?!

- Przytulam się. To ja, twoja ulubiona siostra.
- Nie jesteś moją ulubioną siostrą.
- Przecież jestem twoją jedyną siostrą.
- Nadal nie ulubioną.

Wiedziałam, że się ze mną droczy, po tym jego kpiarskim uśmiechu, który szybko zastąpiła łagodna frustracja, gdy go nie puszczałam i musiał ciągnąć mnie za sobą, próbując iść.

- Co jest z tobą, odczep się.
- Tonyyy...
- Hailie? – zapytał Vincent, znienacka wkraczając do kuchni.

Wraz z nim wpłynęła tu aura mroku i niepokoju, która od razu ostro starła się z moją radością i pogodą ducha.

- Vince! – zawołałam.

Zostawiłam jednego brata i z otwartymi ramionami skierowałam się w stronę drugiego. Uniósł brwi, gdy do niego przylgnęłam, i chyba nawet rzucił coś na kształt pytającego spojrzenia Tony’emu, który mruknął:

- Chyba coś piła.

Od razu poczułam na podbródku palce Vince’a.

- Czy to prawda? – spytał surowo, mrużąc swoje jasne oczy.
- Tony jest głupi. – Odsunęłam twarz i się skrzywiłam. – Nic nie piłam, rany, mam po prostu dobry dzień. Co wy tacy ponurzy?

Vincent nie odpowiedział, ale zgodził się łaskawie mnie objąć. Tylko na chwileczkę, ale zawsze to coś.

- Widzisz, co się z nią dzieje, jak pozwalasz jej wychodzić samej? – podjudzał go Tony.
- Aha, no co się ze mną niby dzieje? Jestem wesola. Nie to co ty, smutasio.

Nie doczekałam się odpowiedzi, bo wyszedł. W zamian odezwał się Vince:

- Hailie, właściwie to chciałbym porozmawiać o tych twoich wyjściach.

Zamilkłam i rzuciłam mu podejrzliwie spojrzenie, starając się nie wyciągać pochopnych wniosków.

– Tak?

– Chciałbym, żebyś na chwilę obecną wracała do domu przed szesnastą.

– To żart? – Uniosłam brwi.

– Czy cokolwiek w mojej postawie sugeruje ci, że sobie żartuję?

Zmierzyłam go wzrokiem. Był poważny, wyprostowany, ubrany w białą koszulę i miał zmarszczone brwi. Klasyczny Vincent. Chciałam odpowiedzieć coś nieuprzejmego, ale w porę ugryzłam się w język. Z nim należało być ostrożnym. Zbyt wiele mogłam stracić, głupio się kłócąc.

– Nie podoba mi się fakt, że prowadzisz samochód po ciemku. W związku z tym, że słońce zachodzi coraz wcześniej, twoja godzina policyjna również musi się przesunąć. Przykro mi.

Jemu chyba rzadko kiedy było faktycznie przykro, gdy używał tych słów.

– Vince, to oznacza, że mogę wychodzić tylko w weekendy, w tygodniu robi się ciemno, już gdy wracam ze szkoły.

– Trafne wnioski, droga Hailie.

Ależ miałam ochotę go uderzyć, przysięgam.

Westchnęłam głośno i dramatycznie, ale tak naprawdę mało co było w stanie jakoś bardzo negatywnie wpłynąć na mój nastrój. Tamte motylki, które szalały, gdy po raz pierwszy doszło do naszego zbliżenia z Leo, teraz może i trochę się uspokoiły, ale wciąż fruwały sobie swawolnie po moim brzuchu.

Czułam się dziwnie, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Już mnie nie bolało, przynajmniej nie w tak niepokojący sposób. A wszelkie wspomnienia zażenowania ustępowały dumie, ekscytacji i lekkości. Zrobiłam to i było mi z tym świetnie.

– Dobrze, Vince – powiedziałam grzecznie.

Nic nie odpowiedział. Spodziewał się, że tak czy siak postawi na swoim.

– Co tam, mała dziewczynko? – zagadnął z kolei Dylan, gdy dołączyłam do niego i Tony’ego w salonie, żeby popatrzeć chwilę na strzelankę,

w którą grali na PlayStation.

Dobrze, że wgapiali się w ekran, a nie na mnie, bo nie widzieli mojego pełnego podejrzanego uśmiechu.

– Nie jestem już wcale taka mała... – powiedziałam cicho, pozwalając sobie, by w moim głosie zabrzmiała tajemniczość. Wzięłam łyk coli, sadowiając się w fotelu i podciągając pod siebie nogi.

Dylan prychnął, pochylając się z padem w rękach jeszcze bardziej do przodu. Niewiele brakowało, by wszedł do telewizora.

– Dla nas zawsze będziesz mała.

Zagryzłam wargi, żeby mój uśmiech nie zrobił się jeszcze większy.



Z Leo pisałam i jeździłam do niego w weekendy. Wracalam zawsze na czas, a Vincent zawsze pytał, co jadłam w ciągu dnia i o której dotarłam do domu. Kazał mi mówić prawdę, zagroziwszy, że może wyrywkowo sprawdzić na kamerach czas, kiedy otworzyła się dla mnie brama wjazdowa na posesję. A gdyby na spóźnieniu przyłapał mnie któryś z pozostałych chłopaków, na pewno by mu na mnie naskarżył. Naprawdę Vince miał fioła na punkcie swoich zasad, jednak ja dzielnie je znosiłam. Zaznałam już w końcu smaku życia w prawdziwym zamknięciu.

Nasze spotkania z Leo nie opierały się na koniecznym testowaniu nowych granic. On nie naciskał. Żeby sprawić mi przyjemność, całował mnie dużo po szyi. Już się nauczył, że wolę prawą stronę. Oglądaliśmy też mnóstwo seriali, a Leo często przynosił na nasze spotkania pyszności z cukierni. Śmiałam się wtedy i mówiłam, że się roztyję, a on protestował i szeptał mi, że jestem piękna.

Pierwsza połowa listopada minęła mi bardzo szybko, bo chodziłam do szkoły, a w weekendy widywałam się z moim chłopakiem i czasem też z Moną. Raz nawet z nią i Lavinia. Choć nie były to długie wypady, to wszystko to razem wzięte sprawiło, że mój miesiąc wydawał się wyjątkowo wypełniony. I taki rzeczywiście był, jeśli przyrównać go do tych, w których całymi dniami siedziałam w domu, a jedyną rozrywką były lekcje.

Niestety, zasmakowawszy trochę życia, chciałam więcej i więcej swobody, a weekendy z Leo zdawały się trwać nie dłużej niż mrugnięcie okiem. Którejś soboty trochę się u niego zasiedziałam. Obejmowaliśmy się na materacu, przykryci kocem, z poduchami wepchniętymi za plecy, i oglądaliśmy serial, który wyjątkowo nas wciągnął, a obok stała buchająca ciepłem farelka. W piwnicy nie było okien, dlatego też trudniej nam było kontrolować porę dnia i aż zachłysnęłam się powietrzem, gdy zobaczyłam, że jest już kwadrans po trzeciej.

Kwadrans po trzeciej!

Zerwałam się jak opętana, a Leo, gdy tylko zrozumiał, że właśnie prawdopodobnie spóźniam się do domu, zerwał się razem ze mną. Razem pobiegliśmy do mojego porsche, ale już wtedy wiedziałam, że szanse, bym dotarła przed godziną policyjną, były bardzo nikłe.

Odpaliwszy silnik, wciąż liczyłam na to, że zdążę, i tej myśli chwyciłam się z całej siły. Marszczyłam czoło i ścisnęłam kierownicę, skupiona jak nigdy wcześniej na tak dobrze mi już znanej drodze. Byłam tak zdesperowana, że próbowałam ją skrócić siłą umysłu. Raz po raz zerkiałam na zegarek.

Zdążę.

Robiło się ciemno i liczne tu łyse drzewa zaczynały wyglądać strasznie na tak ponurym tle. Na dworze było też zimno, choć warunki pogodowe nie utrudniały mi prowadzenia – nie padał deszcz ani śnieg, nie wiało. Tylko to zimno. Podkręciłam ogrzewanie i znowu zerknęłam na zegarek.

Zdążę.

I wtedy właśnie podskoczyłam na widok kolorowych błysków, które odbiły się gdzieś w moich szybach i lusterkach, mocno wyróżniając się w poszarzałej, jesiennej scenerii pensylwańskich lasów. Spojrzałam w lusterko wsteczne, z niedowierzaniem dostrzegając więcej czerwono-niebieskich świateł.

Szybko zorientowałam się, że migocącym autem, które siedziało mi na ogonie, był radiowóz. Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiegoś, nie wiem, kryminalisty czy kogoś, kto mógłby skłonić policję do interwencji. Na drodze nie było jednak innego człowieka ani auta poza podążającym gdzieś w tyle czarnym SUV-em Sonny'ego.

Przez chwilę jechałam dalej, uparcie nie dopuszczając do siebie możliwości, że uwagę policji ściągnęłam właśnie ja. To nie miało sensu. Gdy jednak zniecierpliwieni funkcjonariusze uruchomili syrenę, od razu się wystraszyłam i włączyłam kierunkowskaz, żeby bez dalszego ociągania się zjechać na pobocze.

Siedziałam spięta, obserwując w lusterku, jak wóz policyjny zatrzymuje się za mną. Wysiadł z niego krępy mężczyzna w mundurze. Żołądek ścisnął mi się tak mocno, że obawiałam się, że zaraz zwymiotuję na piękną, skórzaną tapicerkę. Nie wierzyłam w to, co się działo.

Właśnie zatrzymała mnie policja.

Auto Sonny'ego wyprzedziło mnie i wcisnęło się w wolną przestrzeń tuż przed moim porsche, tak że teraz wszystkie trzy samochody stały w rzędzie. Policjant zwolnił swój chód, zanim jeszcze dotarł do mnie, z podejrzliwością wpatrując się w Sonny'ego, który także wysiadł. Policjant coś do niego zawołał, a Sonny uniósł ręce i wtedy uchyliłam okno, by słyszeć, co mówią.

– Jestem tylko ochroniarzem, panie władzo. Muszę być w pobliżu – wyjaśnił, a że wciąż unosił ręce, to na moje auto wskazał głową.

– Ochroniarzem, tak? – Policjant zmrużył oczy i po brzmieniu jego głosu poznałam, że jest coraz bardziej zaintrygowany (lub uprzedzony!). – Cóż, ja muszę porozmawiać z kierowcą tego porsche. Jeśli to konieczne, to przynajmniej proszę trzymać się z boku i nie utrudniać mi pracy.

– Oczywiście, panie władzo.

Zagryzłam wargi, starając się wyczytać z niewzruszonej miny Sonny'ego, czy jest źle i czy mam kłopoty, jednocześnie wstydząc się nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Sam wyglądał na dość zrelaksowanego, ale z drugiej strony to nie on odpowiadał u Vince'a za moje spóźnienia i problemy z prawem. Podskoczyłam, gdy usłyszałam stukot na dachu samochodu. To był funkcjonariusz, który podszedł już do mojego auta i zabębnił o nie palcami.

– Proszę opuścić szybę jeszcze bardziej. Muszę widzieć, z kim rozmawiam.

Wykonałam jego polecenie i do auta wdarło się chłodne powietrze z zewnątrz. Nieśmiało przyjrzałam się mężczyźnie. Był raczej starszy, na co wskazywał fakt, że ciemne włosy, a nawet gęsty wąs, zaczynały mu już siwieć. Minę miał poważną i nie był to jeden z tych zabawnych oficerów, którzy puszczają oczka i rzucają żartami przy zatrzymaniu. Ten co najwyżej zmarszczył brwi, gdy jego srogie spojrzenie padło na moją osobę.

– No proszę, nastolatka – powiedział i pokręcił głową z dezaprobatą. – Kolejny nieodpowiedzialny dzieciak za kierownicą, tego nam wszystkim trzeba.

– Eee, dzień dobry?

– Tak, dobry. – Wyciągnął dłoń. – Prawo jazdy, dowód rejestracyjny i ubezpieczenie.

Zamarłam na chwilę i zamrugałam, a policjant spojrzał na mnie, jakbym była ciężko rozumująca. Drżącymi rękami wyłowiłam prawo jazdy z torebki, a potem zaczęłam bezradnie rozglądać się po wnętrzu za kolejnymi dokumentami. Bez większych nadziei sięgnęłam do schowka, zwyczajnie nie mając pomysłu, gdzie jeszcze mogłabym zajrzeć. Nerwowo przerzucałam znajdujące się w środku szpargały. Połowa z nich została tu naznoszona przez bliźniaków i Dylana, nawet nie wiem kiedy.

Policjant obserwował moje zmieszanie z uniesioną brwią, ale gdy w końcu podałam mu żądane dokumenty, przyjął je i zaczął przeglądać, zagadując mnie przy okazji.

– Śpieszy się pani dokądś?

– Nie, ja... – Przymknęłam powieki, nagle rozumiejąc. – Przekroczyłam prędkość?

Przesunął wzrok z dokumentów na mnie.

– Czy nie wie pani, z jaką maksymalnie dopuszczalną prędkością wolno pani jechać? Nie zna pani zasad ruchu drogowego? – spytał, po czym uniósł lekko moje prawo jazdy. – Czy to na pewno należy do pani, panno...

Zamrugał i wyteżył wzrok, z powrotem przenosząc go na dokument. Wpatrywał się w niego przez chwilę, a gdy nasze oczy z powrotem się spotkały, jego wzrok był już inny.

– ...Monet?

Odchrząknęłam, z nerwów szarpiąc kolczyk w uchu.

– Tak, należy do mnie, ja... przepraszam. Nie wiedziałam, że przekroczyłam prędkość. Zwykle jeżdżę przepisowo. Słowo.

Policjant jeszcze raz przeskanował wzrokiem moje prawo jazdy i potarł brodę.

– Czy... dostanę mandat? – wymamrotałam, zagryzając ze zmartwieniem wargę, gdy policjant sięgnął do kieszeni munduru.

– Z przyjemnością wlepiłbym pani mandat, panno Monet. Niestety... – wyjął komórkę i uśmiechnął się cierpko – ...są równi i równiejsi.

Schyliłam głowę, by uciec przed jego nieprzyjemnym spojrzeniem, a on przytknął telefon do ucha.

– Szeryfie, jest sprawa. Jestem na patrolu, złapałem nastolatkę szarżującą złotym porsche...

Wcale nie szarżowałam.

– ...tak, nie, chodzi o to, że... ma na nazwisko Monet. Tak, Hailie Monet. – Przeczytał też na głos moją datę urodzenia, a ja zaczęłam się zwijać w środku. Zerknęłam na Sonny'ego. Stał nieopodal z rękami złożonymi z tyłu i milczał, a wyraz jego oczu skrywały okulary przeciwsłoneczne, mimo że światło dnia już wcale nie raziło. Potem spojrzałam na zegarek. Dochodziła szesnasta.

Już nie zdążę.

– Eee... no dobrze, skoro tak to działa, to... proszę łączyć – powiedział policjant, a jego głos nagle zachrypnął. Odchrząknął nawet kilka razy, gdy czekał na coś z telefonem wciąż przy uchu. A kiedy usłyszałam jego następne słowa, aż zbladłam. Podniósłszy głowę, odkryłam, że i z jego twarzy odpłynęła krew. – Witam, panie Monet.

Odchyliłam się w fotelu, uderzyłam tyłem głowy o zagłówek, wypuściłam z płuc powietrze przepełnione frustracją i, nie ukrywam, strachem trochę też. Nie mogłam uwierzyć we własnego pecha. Słuchałam, jak policjant przekazuje mojemu bratu szczegóły mojego wykroczenia. Wynikało z nich, że wcale nie jechałam tak szybko, ledwo przekroczyłam limit prędkości.

– Oczywiście, panie Monet. Rozumiem. Spokojnego popołudnia. – Rozłączył się, a potem poczułam na sobie jego spojrzenie, gdy sztywno mi przekazał: – A pani, panno Monet, życzę bezpiecznej i przepisowej jazdy do domu.

Skinął głową i odszedł, a ja odprowadziłam go rozzalonym spojrzeniem. Niedługo mogłam je demonstrować, bo zawibrował mi mój telefon i nie musiałam patrzeć na ekran, by wiedzieć, kto dzwoni.

Westchnęłam, zgarbiłam się i przyłożyłam telefon do ucha.

– Tak, Vince?

– Jak daleko od domu jesteś? – odezwał się swoim niskim, ostrym głosem.

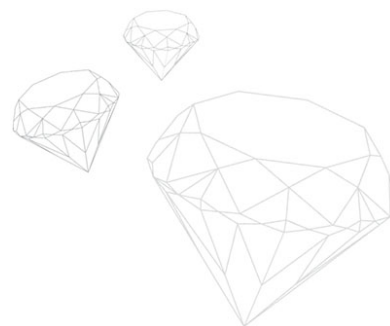
– Niecałe dziesięć minut...

– Wrócisz teraz prosto do rezydencji, pilnując dokładnie licznika. Masz jechać powoli, rozumiesz? I tak jesteś spóźniona. Następnie weźmiesz ze sobą kluczyki i dołączysz do mnie w gabinecie.

– Okej – odparłam cicho.

Rozłączył się, a ja dopiero wtedy przełknęłam ślinę i założyłam włosy za uszy. Odechciało mi się prowadzić, przez chwilę bałam się z powrotem dotknąć kierownicy, ale policjant właśnie odjeżdżał, nie rzuciwszy mi więcej nawet spojrzenia, a Sonny już też cofał się do swojego auta i był to czas najwyższy, by odpalić silnik.

W końcu Vincent czekał.



69

O WILKACH MOWA

W domu, zgodnie z instrukcjami brata, wspierałam się po schodach, w spoconej dłoni miętosząc kluczyki mojego tak drogiego mi wozu. Ochroniarz Vincenta, odkąd wdałam się z nim w szarpaninę, zawsze spinał się na mój widok, ale dziś zszedł mi z drogi bez słowa. Na pewno został poinformowany, że ma się mnie spodziewać.

Vincent siedział za swoim biurkiem zapatrzony w komputer. Jasny ekran oświecał jego bladą twarz i odbijał się w błękitnych tęczówkach, a pomiędzy jego ciemnymi brwiami formowała się pionowa zmarszczka. Mimo iż zdawał się skupiony, to na mój widok od razu wyprostował się w swoim fotelu i zmrużył oczy, wcześniej na sekundę je przymknąwszy, trochę jakby z ulgą, że dojechałam do domu i po drodze się nie rozbiłam.

– Dziesięć minut po szesnastej – odezwał się szorstko. – To tydzień bez wychodzenia.

– Vince – westchnęłam z rozdrażnieniem.

– Zatrzymanie przez policję spowodowane zbyt szybką jazdą – kontynuował. – To miesiąc bez auta.

Wybałuszyłam oczy.

– Kluczyki zostaw tutaj – polecił mi, leniwym ruchem wskazując na szeroki blat biurka.

– Vince, miesiąc? – jęknęłam.

Rzucił mi zimne spojrzenie.

– Wolisz dwa?

– Daj mi wytłumaczyć – poprosiłam. Zbliżyłam się do biurka i złapałam za jego kraniec.

– Czy policjant zatrzymał cię bezpodstawnie?

– Nie, ale...

– Zakładam, że spieszyłaś się do domu, bo za późno się zebrałaś i nie chciałaś się spóźnić, nieprawda?

Odetchnęłam.

– Trochę tak, ale nawet się nie zorientowałam, że jadę za szybko. To nie było celowo, przysięgam.

– Mówisz więc, że nie byłaś skupiona.

Spuściłam wzrok, a Vince postukał palcem o blat.

– Kluczyki.

Zacisnęłam na nich palce.

– Jak będę jeździć do szkoły?

– Ktoś cię będzie woził.

– Codziennie? W tę i z powrotem?

– Jeśli będzie z tym problem, załatwię ci szofera.

Przez chwilę patrzyłam na niego spode łba, ale widząc, że nie robi to na nim wrażenia, westchnęłam i spróbowałam innej strategii. Wygięłam usta w podkówkę i powiodłam palcem wolnej ręki po dębowym blacie.

– Za dwa tygodnie mam urodziny, chciałam jechać do Leo...

– Miejmy nadzieję, w takim razie, że uda ci się uprosić któregoś z braci, żeby cię tam zawiózł.

Wypuściłam powietrze z płuc i odrzuciłam klucze na biurko, pilnując jednak, by gest mój nie był zbyt gwałtowny. Vince potrafił doszukać się

braku szacunku nawet w zwyczajnym zniecierpliwieniu.

– Dlaczego taki jesteś – wymamrotałam, jeszcze bardziej podwijając dolną wargę.

Vince nachylił się w moją stronę, marszcząc z powagą brwi.

– Bo, drogie dziecko... Zatrzymała. Cię. Policja.

– To nie fair, że nie dostałam mandatu jak każdy normalny człowiek. Zapłaciłabym go i o niczym nawet byś się nie dowiedział – poskarżyłam się, a on wzniósł oczy do sufitu.

– Hailie, ja zawsze dowiem się o każdym mandacie, jaki dostaniesz.

– Ale skąd? Jak to jest, że szef policji informuje cię o wszystkim?

Vince nie odpowiedział, tylko patrzył na mnie przez chwilę, dobrze skrywając delikatne rozbawienie.

– Co dzisiaj jadłaś na lunch? – zapytał, a ja zacisnęłam z niezadowoleniem usta wobec takiej zmiany tematu.

– Zamówiliśmy z Leo pizzę.

Skinął głową, przyjmując tę informację do wiadomości. Właśnie to miałam na myśli, mówiąc o jego irytującej kontroli.

– Mogę już iść? – zapytałam ze zmęczeniem, wiedząc, że na poprzednie pytanie i tak nie dostanę odpowiedzi.

Znowu skinął głową, ale gdy moja dłoń dotknęła klamki, usłyszałam jeszcze jego głos.

– Hailie.

– Tak? – Odwróciłam się.

– Jeśli znowu zatrzyma cię policja, zabiorę ci auto i nie oddam aż do osiemnastych urodzin – powiedział o kilka tonów chłodniej.

Przełknęłam cicho ślinę.

– Miłego popołudnia, Vince – szepnęłam i wyszłam.

Bardzo przyzwyczaiłam się do auta – prowadzenie go okazało się nie tylko przyjemnością, ale i wygodą. Na samą myśl, że teraz przez miesiąc będę musiała prosić się o podwózki chłopaków, aż mnie skręcało.

Moi bracia przerzucali się obowiązkiem wożenia mnie do szkoły jak piłeczką. Każdy z nich robił mi ogromną łaskę, no może poza Willem, który litował się nade mną najczęściej. Żaden z nich nie był jednak zadowolony z faktu, że zostałam zatrzymana przez policję, i wytykano mi to przy każdej okazji. Najbardziej irytowały mnie jazdy z Dylanem, bo ciągle próbował wysłać mnie na tylne siedzenie, twierdząc, że małym dzieciom nie wolno jeździć z przodu. Raz nawet prawie skusiłam się, by go usłuchać, tylko po to, żeby od tyłu rąbnąć go w jego pusty łeb.

Gdy nadszedł dzień moich urodzin, byłam już poważnie stęskniona za Leo. Widywałam go w szkole, ale brakowało mi bardziej intymnych spotkań. Marzyłam, żeby przykryć się z nim znowu kocem, przytulić się, poczuć ciepło bijące od jego ciała i spędzić kolejne miłe popołudnie. Zastanawiałam się, czy tego dnia skusimy się na zbliżenie, bo mieliśmy nie mieć za wiele czasu. Na późne popołudnie moi bracia zaplanowali kolację w naszej ulubionej restauracji, to dlatego.

Przed wyjściem potruchtałam do jednego z pokoiów gościnnych, w którego łazience, jak pamiętałam, znajdował się spory zapas prezerwatyw. Wrzuciłam kilka do torebki. Tutaj się tylko marnowały, a myśmy z Leo z pewnością mogli zrobić z nich użytek.

Włosy zakręciłam sobie lokówką i pewną ich część spięłam z tyłu beżową kokardką. Obcisły golf w tym samym kolorze dobrałam do długiej brązowej sukienki w kratkę. Ledwo odkrywała mi kostki, ale też rozszerzała się przy dole, podczas gdy jednocześnie podkreślała moją talię, więc wyglądała dość uroczo. Na nogi włożyłam brązowe kozaczki na niskich obcasach. Skoro już miałam nie prowadzić samochodu, to przynajmniej mogłam wybrać obuwie nie na zupełnie płaskich podeszwach.

Owinięta ciepłym płaszczkiem, siedząc na fotelu pasażera, dyskutowałam z Willem na temat, dlaczego nie zamierzam założyć czapki. Kręcąc głową, pożegnał mnie, gdy wysiadłam, i kazał mi być grzeczną, na co w duchu wyszczerzyłam się psotnie.

Sonny tradycyjnie wepchnął się do piwnicy pierwszy, żeby skontrolować sytuację, a ja weszłam za nim i zaniemówiłam na widok tego, co zastałam w środku. Poza pięknymi dekoracjami takimi jak balony z helem w pastelowych kolorach, świeczki i świeże blad różowe kwiaty, na dole

przywitała mnie również Mona. Aż pisnęłam na jej widok i wyściskałam ją, co najmniej jakbym nie widziała jej od lat, a przecież siedzieliśmy razem wczoraj na lunchu.

Zaśpiewali mi „Sto lat” nad małym tortem, który upiekła dla mnie mama Leo. Dostałam prezenty, graliśmy w gry, co chwila przerywając, by omówić plotki ze szkoły. Zajadaliśmy się też przekąskami, a gdy w końcu nadszedł czas, by się zbierać, to mimo iż bawiłam się przednio, nie żałowałam, bo perspektywa wyjścia z braćmi w komplecie też mnie cieszyła. Shane i Tony mieli odebrać mnie spod cukierni, toteż wszyscy się tam wybraliśmy jeszcze przed umówioną porą, żeby się bliźniakom czasem nie narazić spóźnieniem. Dobrze zrobiliśmy, bo idąc, ciągle sobie z czegoś żartowaliśmy i raz po raz wybuchaliśmy śmiechem, więc nasze tempo było bardzo wolne.

Sonny szedł przy nas, ale chyba się nieco niecierpliwił. Jako że sobotni wieczór i całą niedzielę miałam spędzić z braćmi, zwęszył okazję, by wyskoczyć do Chicago, gdzie miał spotkać się ze swoją córką. Miał wrócić do pracy w poniedziałek rano. Cieszyłam się z jego kontaktów z Leą i gorąco go w tych sprawach wspierałam, toteż starałam się przyspieszyć kroku.

Ostatni dzień listopada nie traktował nas łagodnie, bo gdy wyszliśmy z piwnicy, rozwiął się mocny wiatr, który poczochnął mi włosy. Mona wróciła do domu swoim samochodem, żegnając się ze mną wylewnie, a my z Leo zostaliśmy pod cukiernią, czekając na chłopaków. Nagle zebrało się na deszcz i żeby się przed nim schronić, weszliśmy do środka. Ja przyciskając do piersi kwiaty, które dostałam od Leo, a on niosąc moje dwie torebki prezentowe.

Gdy znaleźliśmy się w cukierni, z zaplecza wyłoniła się Winter. Oczy miała wielkie, a twarz pobladła i naprawdę nie wyglądała zdrowo.

– Hej, Win – przywitał się z nią Leo i chyba próbował ukryć zakłopotanie.

Rozumiałam go akurat, bo rzeczywiście wpadliśmy tu bez oglądy, cali mokrzy, śmiejąc się, błocąc podłogę i szeleszcząc moimi prezentami, podczas gdy jego przyjaciółka spędzała samotne popołudnie za ladą.

– Hej. – Winter wymusiła krzywy uśmiech i nawet machnęła bez sensu ręką, po czym spojrzała na mnie. – Eee, wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję – odparłam o wiele mocniejszym głosem. Ten jej brzmiał, jakby miał się załamać. Czułam się niezręcznie, widząc, w jak mizernym jest stanie, podczas gdy sama bawiłam się tak dobrze.

– Wchodźcie na górę? – zagadnęła.

– Chcesz wejść? – zapytał mnie Leo, odgarniając sobie z twarzy wilgotny blond kosmyk.

– Nie, moi bracia zaraz tu będą.

– Nie chcesz się osuszyć? Łatwo się przeziębic – powiedziała cicho Winter.

Spojrzałam na nią dziwnie. Leo też był zaskoczony jej troską o moje zdrowie, ale żadne z nas tego nie skomentowało.

– Shane i Tony zaraz... O, już są. O wilku mowa. A raczej o wilkach – zaśmiałam się sztucznie, a Winter od razu mi zawtórowała.

Marszcząc brwi, przyjęłam buziaka, którego Leo podarował mi na pożegnanie w policzek, a potem torby, które mi przekazał.

– Baw się dobrze na kolacji z braćmi.

– Dzięki. I dziękuję za dziś. – Na odchodne błysnęłam zębami w uśmiechu, a do Winter już tylko mruknęłam liche pozdrowienie, na które nie chciało mi się silić w obawie, że znowu odpowie mi coś, czego nie zrozumie i tylko po raz kolejny poczuje się zażenowana.

Chyląc głowę przed deszczem, potruchtałam w stronę jaskrawej sportowej fury, która przystanęła tuż przy wejściu do cukierni. Wgramoliłam się na tylne siedzenie jak najprędzej, by nie zmoknąć. Pomachałam też naprędce Sonny’emu, który na znak od chłopaków pożegnał się z nami i biegiem, żeby schronić się przed deszczem, udał się już w stronę swojego samochodu. Torebkę, torby prezentowe i kwiaty rzuciłam na środkowe siedzenie obok i szarpnęłam pasem, by się zapiąć.

– E, tylko tam nie nabłóć, co – upomniął mnie Shane, wykręcając szyję, by sprawdzić, czy zdążyłam zabrudzić dywaniki w samochodzie.

Rozplątując szalik i raz po raz odgarniając na plecy poplątane, mokrawe włosy, wywróciłam oczami.

– Nie nabłociłam, jedź już lepiej.

– Tam z tyłu na siedzeniu są moje rzeczy, nie kładź na nich tych mokrych toreb i ciuchów, słyszysz? Przesuń je. – Shane sięgnął na oślep do tyłu.

– Słyszę przecież! Zostaw.

Trzepnęłam go w rękę, żeby ją zabrał, a przy okazji zahaczyłam dłonią o wstążkę papierowej torby prezentowej, o którą z kolei zaczepił się pasek mojej torebki. Niechcący zrzuciłam ją między fotele. Zirytowana miałam już się po nią schylić i przy okazji ochrzanić Shane’a, pytając, czy zadowolony jest z tego, co narobił, ale gdy mój wzrok przelotnie prześlizgnął się po jego twarzy, zaniemówiłam.

Patrzył w dół, marszcząc swoje ciemne brwi. Usta lekko mu się rozdziawiały, a oczy nie mrugnęły ani razu. Uparcie nie zerkiałam w dół, bo błyskawicznie przeanalizowałam w pamięci zawartość swojej torebki i zastanowiłam się, co mogło z niej wypaść i aż tak go zdumieć. A gdy sobie przypomniałam, serce mi stanęło.

Tony zainteresował się nagłą ciszą i powoli uniósł wzrok znad swojego telefonu. Spojrzał przez przednią szybę na wciąż nieprzerwanie bębniący o nią i ulice deszcz, a potem zerknął na swojego bliźniaka. Naturalnie, szybko podążył za jego wzrokiem. Teraz i on się gapił na dół. Wyraz twarzy wciąż miał jakby znudzony, ale w jego tęczęwkach coś się rozbudziło, coś, co nadało im wyrazistości, ale wcale nie w pozytywnym znaczeniu.

Przełknęłam ślinę.

Shane wreszcie uniósł na mnie swoje również w mgnieniu oka nasrożone spojrzenie.

Zacząłam panicznie układać w myślach plan, jak się wytłumaczyć, ale nie potrafiłam myśleć na tak intensywnych obrotach. W końcu udało mi się jedynie zacząć cienkim głosem:

– To...

Drzwi trzasnęły.

Z przerażeniem wstrzymałam oddech.

Tony zniknął.

Zerwał się jak oparzony i w ułamku sekundy wypadł z auta. Nie poczekał na moje wyjaśnienia, nie dbał o nie. Jego nagła wściekłość rozbudziła drżące w nim na co dzień agresywne zapędy. Pamiętając, że w jego przypadku praktycznie zawsze kończą się one bójkami, zaczęłam poważnie panikować.

Pokręciłam błagalnie głową, patrząc na Shane'a. Niemo próbowałam przekazać mu błaganie, żeby ratował sytuację. Byłam pewna, że mnie zrozumiał, ale nie spełnił mojej prośby – wręcz przeciwnie. Sam zerwał się ze swojego miejsca i poleciał w ślad za bliźniakiem. Jego sztywne ruchy i ogień w pociemniałych oczach mówiły jedno. Bynajmniej nie pobiegłam tam, żeby Tony'ego powstrzymać.

Siedziałam tak jeszcze przez ułamki sekund, z walącym sercem przetwarzając, co się właśnie wydarzyło, a następnie sama wybiegłam na deszcz i wleciałam do cukierni. Widziałam, jak Shane znika na zapleczu, wyminąwszy wcześniej wciąż białą jak duch Winter.

- Hailie – wymamrotała słabo. Stała za ladą, tak jak ją tu zostawiłam.
- Daj mi przejść – zawołałam.
- Czekaj!

Złapała mnie za łokieć, gdy przebiegałam obok niej, ale wyrwałam się natychmiast, rzucając jej tylko przez ramię pełne niedowierzania spojrzenie. Wpadłam na schody i pokonałam je w kilku skokach, a do moich uszu docierały już odgłosy szamotaniny z salonu Hardych.

– Tony! – wydarłam się, gdy pierwsze, co dostrzegłam, to mój brat rzucający się do gardła Leo.

Leo sekundy wcześniej stał z założonymi na piersi rękoma obok siedzącej na krześle przy stole Giny. Wyraz zmartwienia zniknął właśnie z jego twarzy i ustępował przerażeniu, gdy wytatuowana dłoń Tony'ego zacisnęła się na jego koszulce.

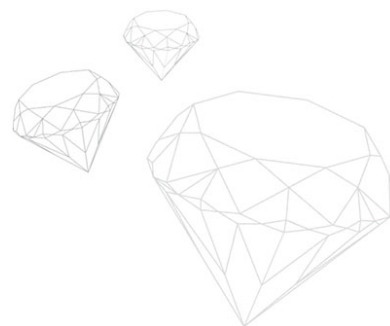
– Hej! – ryknęła mama Leo. Zerwała się na równe nogi, odsuwając gwałtownie krzesło. Nie wyglądała najlepiej. W oczach błyszczały jej łzy, ale wyparowały, gdy tylko rzuciła się na mojego brata w obronie swojego syna. – Odczep się od niego, co ty sobie...

Paznokcie Giny zacisnęły się na tyle koszulki Tony'ego.

– Ej, zostaw go – zawołał Shane i on z kolei złapał ją za ramiona, by bez agresji, ale i zdecydowanie odciągnąć ją od szamocącej się dwójki chłopaków.

Nastroszyłam brwi i sama rzuciłam się, by uczepić się nadgarstka Shane'a i oderwać go od Giny. W tej chwili z daleka mogliśmy wyglądać wszyscy razem jak dzieci, które bawią się w pociąg, i była to istna komedia, dopóki zza moich pleców ktoś się nie odezwał:

– O, goście. Może sobie usiądziecie, żeby wam było wygodniej, c'nie.



70

PIĘĆ BANIEK W WALIZECZCE

Zanim zdążyłam zareagować, poczułam, jak ramię tej osoby oplata moją klatkę piersiową, a potem zastygłam zdjęta grozą, gdy tuż pod swoim uchem poczułam lufę pistoletu.

Po chwili konsternacji wszyscy rozproszyli się jak aktorzy na scenie, a każdy patrzył w przerażeniu prosto na mnie i grożącego mi właśnie Rydera.

Cisza.

Moi bracia wybałuszali oczy na ten nagły, niespodziewany widok. Nie śmiałam się ruszyć i tylko wodziłam wzrokiem po zebranych z głową przechyloną pod dziwnym kątem. Pragnęłam uciec od metalu, który wbijał mi się w skórę. Na samą myśl, że z jednym pociągnięciem spustu byłoby po mnie, miękły mi kolana.

Słyszałam własny oddech, dudnienie serca, pulsowanie w mózgu, szmer krwi płynącej w żyłach. Ciemniało mi przed oczami, ale nie mdlałam. Byłam boleśnie przytomna.

Gina przykrywała usta dłonią, Leo swoje rozchyłał, ale najtrudniej patrzyło mi się na bliźniaków. Shane i Tony w tym momencie nie przypominali pewnych siebie, rozpuszczonych chłopaków, na jakich na co

dzień udało im się wykreować. Obecnie patrzyło na mnie, można by powiedzieć, dwóch dzieciaków, których twarze wyrażały ogromny strach. Shane mrugał, jakby coś wpadło mu do oka, a Tony marszczył brwi, chyba modląc się, by to był tylko sen.

– Monetowie nie mają nic do powiedzenia? Co jest? – zadrwił Ryder.

Jego usta znajdowały się tuż przy moim uchu, blisko broni. Czułam na nim jego ciepły oddech, a do moich nozdrzy docierał nieprzyjemny zapach potu i aż zaskomlałam cichutko, zaciskając na chwilę powieki, gdy jego donośny głos nieprzyjemnie zawibrował mi w bębenkach.

– Ty siedź cicho – syknął na mnie i szarpnął mną. Choć trochę zabolalo, to starałam się nie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Widząc to, rysy twarzy bliźniaków się wyostrzyły. Oprzytomnieli, a ich błękitne tęczówki spochmurniały. Widziałam, jak szczeka Tony’ego się zaciska, a powieki Shane’a zwężają.

– Ryder... puść ją.

To odezwał się Leo. Jego głos lekko się załamał. Zrobił krok do przodu i choć był on bardzo mały, to Ryder szarpnął mną raz jeszcze, a metalową lufę przycisnął do mojej delikatnej skóry jeszcze mocniej.

– Ty też siedź cicho – warknął mój oprawca. – Menda z ciebie, jakich mało, c’nie.

– Nic ci nie zrobiłem.

– Masz mnie za debila? Myślisz, że nie wiem, że sprzedałbyś mnie Monetom bez machnięcia paluchem?

Wstrzymywałam oddech, gdy Ryder się denerwował, bo miałam wrażenie, że zaraz z tego przejęcia pociągnie za spust choćby niechcący. I tak za bardzo machał tym pistoletem, jak na mój gust.

– Ryder... – wyszeptała Gina, a do jej oczu zaczęły napływać łzy. – Ryder, zostaw ją.

– A ty – zwrócił się Ryder do matki – ty byś mu tylko przyklasnęła. Taka zajebista rodzinka mi się trafiła. – Na koniec Ryder spuścił lekko głowę, ostatnie słowa kierując do mnie. – Chociaż wiem, że twoja nie jest lepsza, c’nie.

– Nigdy nie pozwoliłabym cię skrzywdzić – zaprzeczyła Gina. Wierzchem dłoni starła łzy z policzków. – Jesteś moim synem.

– To co ci zależy na tej smarkuli?

Drgnęłam, gdy pchnął pistolet mocniej w moją szyję.

– Nie zależy, zależy mi na tobie, zostaw ją, niech Monetowie ją sobie biorą, niech się od nas wreszcie odwalą. Daj im ją, to sobie pójdą – mówiła Gina.

– Głupia jesteś. Nie odpuszczą, bo za bardzo poharatałem im siostrzyczkę. Mam rację, c’nie, chłopaki?

Tony stał nieruchomy i zimny jak góra lodowa, gdy przemówił:

– Czego chcesz?

– Pieniędzy? – zgađł Shane, siląc się na luźny ton. – Jeden telefon, stary, i załatwię ci fortunę, słowo.

Czekałam z nadzieją na odpowiedź Rydera. Nie widziałam jego twarzy, więc polegałam jedynie na jego słowach, tonie głosu i mocy, z jaką zaciskał wokół mnie swoje chude, ale silne ramię. Aktualnie nieco poluzował uścisk, ale wciąż przytulał broń do mojej szyi. Jeden niewłaściwy ruch i po mnie. Głównkowałam, by wpaść na jakiś trik, który pozwoliłby mi go powalić, jakiś cios, który wytrąciłby mu pistolet z ręki, ale to nie film, a rzeczywistość i każda próba choćby drgnięcia w jego ramionach mogłaby doprowadzić do tragedii. Zwłaszcza że ciągle słyszałam, jak Ryder pociąga nosem. Prawdopodobnie jak zwykle naćpał się na dobry dzień.

– Może jakiś hajs nie byłby zły – uznał w końcu, a potem się zaśmiał. – Nie no, w sumie byłby całkiem spoko.

Shane rzucił mu wymuszony uśmiech, gdy powolnymi ruchami sięgał do kieszeni po telefon.

– Wiadomo. Zaraz coś ogarnę.

– E, czekaj – oprzytomniał Ryder. – Czekaj z tym dzwonieniem, żebyś mi tu zaraz nie ściągnął tej całej durnej mafii, c’nie.

– Nie no, co ty, nie jestem głupi – mruknął Shane, trzymając teraz telefon na wpół wysunięty z kieszeni spodni i czekając na zgodę Rydera.

Jemu podobała się taka kontrola. Liczyłam, że choćby z tego powodu na razie mnie nie zabije, choć nadal obawiałam się, że zrobi to przez przypadek.

– Bym potrzebował jakoś stąd szybko uciec – myślał na głos.

– Luz, weźmiesz nasze auto – zaproponował Shane. – Jest bardzo szybkie.

Tony wciąż milczał.

– Znowu chcesz zrobić ze mnie debila? Wiem, że macie tam na pewno GPS-y i te sprawy, żeby się śledzić i tak dalej...

Uniosłam brew, ale na szczęście tego nie widział.

– Co ty, po co mielibyśmy trzymać pluskwy we własnych wozach – zażartował Shane.

Ryder chwilę milczał.

– No dobra, c’nie, a co z tym hajsem? Chcę gotówki.

– To trochę zajmie, ktoś musiałby ją przywieźć.

– Z banku?

– Albo z domu. Wiesz, bo teraz przy sobie nie mam nic... – Shane pomacał się po kieszeniach i wyjął z jednej zmiętolony studolarowy banknot. – Tylko to. Położę go dla ciebie tutaj, na stole, niech już sobie leży, nie?

Poczułam, jak Ryder kiwa za mną głową.

– Elegancko – zachichotał.

– Tony. – Shane szturchnął bliźniaka. – Masz coś do dorzucenia? Ryderowi na... zaliczkę? Wiesz, żeby chłop wiedział, że jesteśmy poważni.

Tony wyglądał spokojnie i groźnie. Zdawał się mniej skłonny do gry aktorskiej, ale posłusznie włożył dłoń do swoich kieszeni. Najpierw przednich, potem tylnych, żeby na koniec wyciągnąć dwa zwitki banknotów. Sam zmarszczył brwi na ich widok, jakby o nich zapomniał i nie spodziewał się ich znaleźć.

– O, popatrz, tu są jakieś dwa koła. – Shane przejął pieniądze od brata, przejrzał je i rzucił na stół, tuż obok sfatygowanej studolarówki.

Ryder za mną wyciągał szyję, jakby nie dowierzał, że nagle udało mu się zarobić ponad dwa tysiące dolarów.

– Okej, no i essa – przytaknął ucieszony, ale szybko się zreflektował. – Ale chcę więcej, c’nie.

– Jasna sprawa. – Shane pokiwał przyjaźnie głową. – To ile byś chciał?

Dłoń, którą Ryder przytrzymywał broń, drgnęła, jakby w pierwszym odruchu chciał się nią z namysłem podrapać po głowie.

– Tak z milion chociaż, c’nie?

Gdy Shane kiwał głową i prowadził z nim tę idiotyczną rozmowę, dostrzegłam, że Tony wpatruje się we mnie coraz intensywniej. Gdy już ściągnął na siebie moją uwagę, upewnił się, że nie odwrócę od niego wzroku. Zerknął w dół, ale tak, że poruszył tylko gałkami ocznymi. Jego głowa i szyja ani drgnęły.

Odebrałam to intuicyjnie jako znak i sama przeniosłam wzrok niżej. Nie pomyliłam się. Dłoń Tony’ego ruszyła się lekko. Do tej pory wisiała sobie spuszczone wzdłuż jego tułowia, ale teraz trzymał ją sztywniej. Wciąż znajdowała się nisko, tak na wysokości uda, gdy uniósł minimalnie palec wskazujący. Wlepiałam w niego oczy, przerażona tym, że on próbuje mi coś zakomunikować, a ja pojęcia nie mam co.

– Ta wasza mała suka nieźle mi się ostatnio naraziła, więc chcę więcej – warknął Ryder nad moim uchem, nagle o kilka tonów głośniejsze.

– Okej, okej, będzie pięć baniek – odpowiedział Shane niby uspokajająco, choć ton miał dość chłodny. Chyba tracił cierpliwość.

Znowu skupiałam się na dłoni Tony’ego. Teraz złączył palce, wyprostował ją i powoli zrobił ruch, jakby próbował wcisnąć coś niewidzialnego w ziemię. Poruszał nią milimetr w dół i w górę, w dół i w górę...

Wstrzymując powietrze, delikatnie zmusiałam kolana do ugięcia i sama obniżyłam się o milimetry w dół, tak jakby ta dłoń mnie czarowała. Nie wiedziałam, czy dobrze odczytuję znaki Tony’ego, ale upewniłam się, że tak, gdy jego dłoń zamarła w miejscu.

Natychmiast zatrzymałam się i ja.

Kącik ust Tony’ego uniósł się nieznacznie.

Nie wiem, jakim cudem go rozumiałam, ale wierzyłam, że właśnie mnie pochwalił.

– Ma być wszystko, wiesz, elegancko zapakowane, w walizeczce... c’nie... – mówił Ryder.

– Będzie w walizeczce – obiecał Shane.

Gina i Leo milczeli. Ona wpatrywała się w Rydera, trochę z rozpaczą, a mój chłopak w Shane’a z bólem, ale i trochę też nadzieją. Nikt nie skupiał uwagi na Tonym ani na mnie.

– Ale tak na serio to na hajsie nie koniec, c’nie – zapowiedział Ryder. Czulałam przez ten pistolet, jak drży mu ręka. Pociągał nosem. Wiedziałam, że potrzebuje ulżyć sobie dawką białego proszku. – Zaplanować trzeba, jak stąd zwieję. Wiesz, tak żeby było logistycznie, c’nie.

Shane uśmiechnął się, pstryknął palcami i skinął głową.

– No tak, logistycznie, dobrze kombinujesz.

– Wiadomo, główka pracuje, c’nie – zaśmiał się Ryder, chyba wierząc, że Shane właśnie sprawił mu szczerzy komplement.

Niecierpliwie zerkiałam na dłoń Tony’ego i aż się napięłam, gdy znowu uniósł lekko palec wskazujący, każąc mi czekać.

Więc czekałam.

Shane właśnie kreował dla Rydera plan ucieczki. Brat Leo zdawał mi się durniejszy, niż go zapamiętałam. W końcu Shane rzucił jakimś świetnym pomysłem, który spodobał mu się tak bardzo, że aż zaśmiawszy się, odrzucił głowę w tył i odchylił lekko broń od mojej szyi.

Dłoń Tony’ego gwałtownie opadła w dół.

Bez upewnienia się, czy dobrze wszystko zrozumiałam, zgarbiłam się i skorzystałam z całej siły, jaką dysponowałam, by rzucić się na klęczki.

Tony w tej samej chwili złapał swoją silną, wytatuowaną ręką za szyjkę butelki wina, która stała wystawiona nieopodal niego i rzucił się z nią w stronę Rydera. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, gdy szkło rozbiło się o jego głowę. Zasłoniłam oczy, czując, że na włosy opada mi kilka większych odłamków. Siedziałam na podłodze, bo gdy uderzyłam o nią kolanami, z bólu się na nich nie utrzymałam.

Ryder się nie wydarł, mimo że oberwał tak mocno. Gdy odważyłam się spojrzeć, okazało się, że leży na podłodze i dopiero odzyskuje przytomność, którą stracił na chwilę.

W międzyczasie bliźniacy nie próżnowali i przejęli kontrolę nad sytuacją. Tony usiadł okrakiem na Ryderze i w zakrwawionej teraz, bo okaleczonej od szkła, dłoni trzymał resztki butelki, które przytrzymywał tuż przy jego szyi. Shane natomiast podnosił z ziemi pistolet, który Ryder wypuścił, upadając.

Z ust Rydera wyrwał się jęk, ale Tony szybko uciszył go niemą groźbą rozharatania mu gardła.

Shane rzucił szybkie spojrzenie na broń, potem na swojego brata, by upewnić się, że wszystko ma pod kontrolą, następnie jego wzrok przesunął się po zszokowanych postaciach Leo i Giny, a na koniec znalazł przy mnie. Schylił się i położył wolną dłoń na mojej potylicy, gładząc mnie po włosach i strzepując z nich szkło.

– Hej, wszystko okej?

Otumaniona, skinęłam głową sztywno.

Shane nachylił się jeszcze bardziej i pocałował mnie w czoło.

– Moja mała siostra – mruknął, patrząc na mnie ze zmartwieniem, ale zaraz się wyprostował i wyjął telefon. Podczas gdy Tony groził Ryderowi rozwaleniem mu tętnicy ostrą butelką, on czekał na połączenie. – Vince? Sprawa jest, potrzebujemy cię.

Rozluźniłam się, gdy informacja o zajściu została przekazana naszemu najstarszemu bratu. Wiedziałam, że gdy pojawi się tu Vincent, przejmie panowanie nad sytuacją. Mój najstarszy brat był niezastąpiony, choć musiałam przyznać, że bliźniacy też nieźle sobie radzili.

Ryder bał się wydobyć z siebie choćby słowo, więc tylko leżał z wykręconą pod dziwnym kątem szyją. Tony siedział na nim tak, żeby mieć pewność, że chłopak ma unieruchomione ręce i nogi. Shane'owi natomiast przypadła rola ogarnięcia otoczenia.

Leo, otrząsnąwszy się z szoku, podbiegł do mnie. Gina chciała go powstrzymać, ale zapatrzyła się na swojego drugiego syna, bo wizja, że w każdej chwili mój brat mógł zakończyć jego żywot, bez dwóch zdań ją

przerażała. Gdy Leo do mnie dopadł, szeptem upewnił się, że nic mi się nie stało. Wtedy sama zaczęła poczuwać się do odpowiedzialności. Odsunęła od stołu krzesło i sztywną ręką, bardzo delikatnie, objęła moje ramię, ledwo je musnąwszy.

– Możesz wstać? – zapytała zachrypniętym głosem. – Chcesz usiąść?

Siedziałam, ale na podłodze, i dokuczały mi: kolana, którymi rąbnęłam o drewnianą podłogę, miejsce na szyi, do którego Ryder przytykał swój pistolet, głowa od nadmiaru wrażeń oraz brzuch z nerwów. Zerkałam ciągle na Tony’ego. Bałam się, że krępowany przez niego chłopak jakoś się oswobodzi i go zaatakuję.

Nim się obejrzałam, a pomagano mi się podnieść i na wpół świadomie dałam podprowadzić się do krzesła, na którym z troską zostałam usadzona.

– Wy też siadajcie – rozkazał Shane Ginie i Leo.

Miał groźną minę, w rękę trzymał pistolet, a ton jego głosu zdawał się wyjątkowo nieznoszący sprzeciwu. Nie znałam go z tej strony. Wychodziła z niego Monetowska krew. Wiedziałam skrycie, że każdy z moich braci potrafi być w jakimś stopniu przerażający, ale do Shane’a, który przynosił mi słodycze, gdy miałam zły humor, zupełnie mi to nie pasowało.

– Siadajcie przy stole i się nie ruszajcie. Ręce na blacie.

Gina i Leo nie kłócili się więcej, a ja nie znalazłam w sobie głosu, którym zechciałabym przemówić w ich obronie. Pozwalałam Shane’owi by działał wedle swoich instynktów. Oni usłuchali go i usiedli obok siebie, twarzami zwrócenii na pokój, a ich dłonie spoczęły na stole, tak by były widoczne.

Mniej więcej wtedy Ryder zaczynał się niecierpliwić. Trochę się szamotał i drażnił Tony’ego, który starał się mimo wszystko utrzymać go przy życiu. Shane rozejrzał się po pokoju.

– Macie jakąś linę? – zapytał gospodarzy.

Gina zamrugła.

– Linę, kajdanki, cokolwiek? – drażył Shane.

– N-nie...

Prawdopodobnie w Rezydencji Monetów nie byłoby żadnego problemu ze zorganizowaniem takich przedmiotów w ciągu minuty czy dwóch.

Shane wywrócił oczami, ale nie rozłożył beczynnie rąk. W skupieniu powiódł wzrokiem po otoczeniu jeszcze raz, aż jego uwagę przykuło okno. Złapał za ozdobną zasłonę, która ciągnęła się od sufitu aż do ziemi. Materiał zdawał się dość cienki, ale nie, jeśli się go zrolowało i zrobiło z niego grubą linę, co też Shane uczynił, po tym, jak jednym ruchem zerwał zasłonę z karnisza. Przy okazji ten też opadł i narobił hałasu.

Gina patrzyła na to wszystko ze względным spokojem, ale nie mogło to być dla niej łatwe. Nie dość, że życie jednego z jej synów wisiało na włosku, to jeszcze demolowano jej mieszkanie.

Shane podał Tony'emu prowizoryczną linę, którą ten zaczął owijać Rydera. Związał mu ręce i tułów, a z drugą zasłoną w rękach Shane podszedł do jego nóg i utworzył na nich dziwny, ale całkiem mocny supeł.

– Ej, ty! – krzyknął nagle Shane i podniósł się znad Rydera. Zobaczył coś przy schodach, bo tam teraz patrzył i celował bronią. – Wyłaż, już!

Po kilku sekundach ciszy podłoga zaskrzypiała, gdy na progu pokoju przystanąła Winter. Oddychała ciężko, czoło błyszczało jej od potu i wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować.

– Co tu robisz? – warknął na nią Shane.

Winter poruszyła ustami, ale była zbyt przestraszona, by wydobył się z nich jakiś dźwięk.

– Pomaga w cukierni – oznajmiła za nią Gina.

Shane pistoletem wskazał na stół.

– Siadaj, ręce na blacie.

Winter czmychnęła posłusznie w tamtą stronę, nie śmiąc na mnie spojrzeć, gdy mnie mijała. Chyba ulżyło jej, że znajdzie się tuż przy Ginie i Leo. Krzesło zaszurało i prawie opadła jej szczeka, bo gdy na nim zasiadła, miała dobry widok na owiniętego w firanki Rydera.

Shane stał przez chwilę na środku pokoju i rozglądał się po nim, sprawdzając, czy wszystko jest dobrze, a potem podszedł do mnie jeszcze raz, by tym razem dokładniej się upewnić, że czuję się w porządku. Dotknął

mojej szyi i rzucił mi nikły uśmiech, ale go nie odwzajemniłam. Dostrzegł, że ciągle zerkam z niepokojem w stronę Tony'ego i Rydera.

– E, Tony – zawołał, odchylając głowę. – Wszystko pod kontrolą?

– Jak chuj – odparł zwyczajnie bliźniak. Wciąż siedział na swojej ofierze, a szklaną butelkę przerzucił sprawnie z jednej ręki do drugiej. Sięgał nią do ust Rydera, gdy te tylko miały czelność lekko się rozchylić. Podziało, bo chłopak nie wymruczał ani słowa.

Shane mrugnął do mnie.

Do moich uszu dotarł stłumiony szept. Winter mówiła coś do Giny, która powtórzyła zaraz głośniej:

– Ona potrzebuje wody.

– Wytrzyma jeszcze chwilę – odpowiedział Shane dużo ostrzej.

– Jest jej słabo.

– Poczeka.

– To tylko woda, Shane – wtrącił się Leo z irytacją. – Przecież nikt z nas nie zamierza ratować Rydera, nie masz się czego bać.

– Bądź ci... – zaczął Shane, ale mu przerwałam zachrypniętym głosem.

– Ja też chcę pić.

Mój brat zamilkł i spojrzał na Ginę spode łba.

– No dobra, to gdzie masz tę wodę?

Gdy Shane stanął w odpowiednim miejscu na progu salonu, mógł obserwować kuchnię, z której wkrótce Gina posłusznie przyniosła dwie butle wody. Jedną wręczyła mnie, drugą Winter i obie przyssałyśmy się do nich z ulgą. Shane głównie stał u mojego boku, ale czasami też przechadzał się do okna, by ostrożnie przez nie wyjrzeć, lub podchodził do szczytu schodów, by nasłuchiwać, czy z dołu dobiegają jakieś odgłosy.

Bliźniacy wykonali kawał dobrej roboty z przejęciem kontroli nad Ryderem i utrzymywaniem jej, ale widziałam po nich, że nie wiedzą zbyt wiele, co robić dalej. Tutaj potrzebni byli dorośli, osoby decyzyjne takie jak Vincent, Will czy nawet Dylan, dlatego gdy ta trójka w końcu się zjawiała, wszyscy odczuliśmy ulgę.

Najpierw zadzwonił Dylan, żeby powiedzieć, że są już na miejscu, i niedługo potem usłyszeliśmy kroki na schodach. Twarz Giny stężała na sam ten dźwięk, Winter serio wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć, Leo spuścił wzrok i chyba tylko ja i bliźniacy ucieszyliśmy się na widok Vincenta, który jako pierwszy wkroczył do salonu.

Vincent jak to Vincent, zjawił się w długim czarnym płaszczu i czarnych skórzanych rękawiczkach, elegancki i bezlitosny. Chłodnym spojrzeniem analizował sytuację, którą zastał. Towarzyszący mu Will był podobną jego wersją, jednak jego płaszcz i rękawiczki były ciemnobrązowe. On również czujnie się rozglądał.

Na koniec dołączył do nas Dylan. On odstawał stylem od starszych braci. Ubrany był bardziej na sportowo – na szerokie, muskularne ramiona narzucił grubą czarną kurtkę. Okazał się też mniej ostrożny, bo gdy tylko mnie zobaczył, od razu do mnie podszedł, nie zlustrowawszy pomieszczenia jak reszta.

Na jego widok miałam ochotę się popłakać i to było dla mnie bardzo dziwne. Nie uroniłam ani jednej łzy podczas ataku Rydera ani po nim, a teraz na widok Dylana zachciało mi się ryczeć, jakbym pragnęła, żeby mnie w swoim stylu poniańczył. Czułam się trochę zażenowana, ale jednocześnie ucieszyłam się, gdy opiekuńczo przytulił mnie do swojego boku.

– Nic jej się nie stało, ale groził jej bronią – wyjaśnił Shane.

Will, gdy mnie mijał, przelotnie pocałował mnie w czubek głowy, a następnie zrobił krok nad leżącym na ziemi karniszem, by podejść do okna i zasunąć rolety, odcinając nas tym samym od oka ulic. Vince w tym czasie zapalił światło i uniósł brew na widok obwiązanego zasłonami Rydera.

– Wstawaj – powiedział do Tony’ego, podając mu dłoń. On posłusznie przyjął pomoc i podniósł się na równe nogi. Vince wskazał na jego skaleczenia. – Zostaw tę butelkę i opatrz to sobie.

– Nic mi nie jest. – Tony wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, żebyś to opatrzył.

Tony wzniosł oczy do sufitu, ale nie kłócił się więcej, tylko poszedł do łazienki, skąd usłyszeliśmy odgłos tłuczonego szkła, zapewne gdy odrzucił gdzieś resztki butelki, oraz strumień puszczonej z kranu wody, gdy zaczął przemywać swoje rany.

– Dylan, zrób z nim porządek – rzucił Vince chłodno, podbródkiem wskazując na nędznie prezentującego się Rydera, leżącego nieruchomo na ziemi.

Dylan puścił mnie, ścisnąwszy jeszcze moje ramię w pokrzepiającym geście. Patrzyłam teraz na jego szerokie plecy, gdy zbliżał się do skrępowanego chłopaka.

– Czym wy go owinęliście? – parsknął z rozbawieniem, trącając go butem w bok.

– Musieliśmy improwizować – mruknął Shane, wzruszając ramionami.

– Dobrze się spisaliście – pochwalił ich Will.

– Okej, ułomie, chodź no tu – wymruczał Dylan, gdy schylił się, by podsunąć chłopaka do ściany. Oparł go o nią plecami, tak że już nie leżał, a siedział, wciąż unieruchomiony.

– Ech, ledwo oddycham... c’nie – westchnął zmordowany Ryder, krzywiąc się na mało delikatne obejście Dylana.

– Zawsze mogę ci zrobić dziurę w szyi.

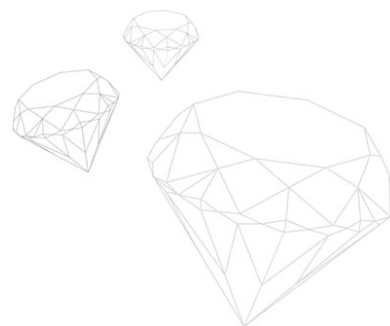
To zabrzmiało, jakby wcale nie żartował.

Tymczasem Vincent sięgnął po wolne krzesło i postawił je obok mnie, tak że gdy usiadł, znajdowaliśmy się ramię w ramię. Przed chwilą jeszcze czułam się okropnie, ale to się zmieniło, gdy tylko znalazł się blisko i objął mnie swoją wyjątkową aurą. Biły od niego pewność siebie i moc.

Dopiero teraz, gdy wreszcie mogłam się Ryderowi lepiej przyjrzeć, dostrzegłam zmiany w jego wyglądzie. Już wcześniej, jak pamiętałam, był szczupły, tym razem jednak sprawiał wrażenie chorobliwie wręcz wychudzonego. Cerę miał białą i niezdrową, twarz była wymizerowana. Z grozą doszukałam się drobnej, przecinającej jego policzek szramy i próbowałam wmówić sobie, że nie mogła to być przecież moja robota.

Ubrania zaś miał wypłowiałe i zbyt obszerne. Nie wyglądał na kogoś, kogo życie rozpieszczęło.

– Dobrze – rozpoczął oficjalnie Vincent. – A więc zacznijmy od początku. Kto mi wyjaśni, co tu zaszło?



71

NIESPODZIANKA, MONETOWIE W SALONIE

Ryder westchnął ciężko, ubolewając nad swoim losem, i spróbował zmienić pozycję, niestety bezskutecznie. Vince zerknął na niego z kryjącą się w lodowatych oczach pogardą.

– To pytanie było skierowane do mojego rodzeństwa. Czas na ciebie przyjdzie później.

Jego złowrogie słowa brzmiały jak zapowiedź tortur i męczeństwa, aż zadrżałam.

Odchrząknęłam, gdy uświadomiłam sobie, że właśnie wpatruje się we mnie.

– Eee... no... ja... wbiegłam tu za Shane'em – wymamrotałam.

Vincent przeniósł spojrzenie na Shane'a, który podrapał się po głowie.

– Ja za Tonym.

Nasz brat coraz bardziej się niecierpliwił, gdy z kolei patrzył na Tony'ego. Ten wychodził w tym momencie z łazienki, uciskając dłoń jakimś ręcznikiem w niebieskie szlaczki.

– Ja... – zaczął Tony, rzucając mi przelotne spojrzenie, przed którym natychmiast uciekłam. Wszyscy wiedzieliśmy, od czego wszystko się zaczęło. Tony odchrząknął i trochę się zamotał. – Wbiegłem tu ja.

– Wleciał tu i rzucił się na mojego syna! – wtrąciła się Gina, marszcząc gniewnie brwi i wskazując na Leo.

– Dlaczego? – zapytał Vincent Tony’ego.

– Tak jakoś...

Jezu, zaraz to z niego wycisną. Zagryzłam wargę.

– Tony – ponaglił go ostro Will. Zakładał ręce na piersi i opierał się o ścianę, czujny i tak samo żądny wyjaśnień jak nasz najstarszy brat.

– Bo...

Będzie wstyd. Przymknęłam powieki. Dlaczego moje sprawy prywatne nie mogą nigdy pozostać prywatne?

– Chodzi o tę kłótnię, że Winter u mnie mieszka? – zapytał Leo.

Spojrzałam na niego.

Nie wiedział, że chłopcy zobaczyli prezerwatywy w mojej torebce. Nie mógł tego wiedzieć, bo nawet nie mówiłam mu przecież, że je mam. Nie był jednak głupi i domyślał się, że cokolwiek skłoniło bliźniaków do tak gwałtownej reakcji, musiało to być coś większego kalibru.

– Spędziliśmy superdzień, a na koniec się posprzeczailiśmy – wyjaśnił Leo, ignorując wielkie oczy Winter, które patrzyły to na niego, to na mnie.

– Zrobiłeś jej przykrość w jej własne urodziny, rycerzu – warknął na niego Shane, podłapując tę wersję.

– Co? – oburzył się od razu niczego nieświadomy Dylan. – Co to ma, kurwa, znaczyć?

– Nic, to już nieważne... – westchnęłam, by się za bardzo nie nakręcił.

– Robisz jej przykrość w urodziny? Kłócisz się z nią w jej urodziny? Idioty, powinienes ją nosić na rę...

– Dylan, przestań – powtórzyłam.

– Dobrze już, co wydarzyło się dalej? – drążył dalej Vincent. Trudno było mi wyczytać z jego twarzy, czy nam uwierzył, ale cokolwiek pomyślał,

uznał najwyraźniej, że na wyjaśnienie czekały poważniejsze kwestie.

Dylan zamilkł niechętnie, a ja aż zadrżałam na samą myśl, co by było, gdyby poznał prawdziwą przyczynę złości bliźniaków.

– Tony rzucił się na Leo, pani Hardy na Tony’ego, Shane na panią Hardy, ja na Shane’a, a wtedy Ryder... się pojawił.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał Dylan. Stał obok niego niczym strażnik i oczekiwał odpowiedzi.

– No wpadłem do rodziny, c’nie...

Gina marszczyła czoło, a w jej oczach znowu błysnęły łzy. Poprawiła się na krześle, jakby chciała wstać i podejść do syna, ale spojrzenia Willa i Shane’a ją powstrzymały. Zamiast tego Leo dodał jej otuchy, kładąc na jej dłoni swoją, tak żeby wciąż widoczne były na blacie stołu, zgodnie z życzeniem moich braci.

– Nie wpadłbyś do rodziny, gdybyś nie miał w tym interesu – odezwał się Will. – Coś się wydarzyło, prawda?

Ryder milczał, ale Dylan dźgnął go nogą – w pośladek tym razem.

– Odpowiedz.

– Aua, kurwa – syknął Ryder. – Nie wiem no. Cały czas się coś dzieje, c’nie...

Tony się skrzywił.

– O co ci chodzi z tym „c’nie”?

– Gdzie ukrywałeś się od czasu swojej próby porwania Hailie? – zapytał Will, świdrując go naprawdę przerażającym jak na swoją łagodną naturę spojrzeniem.

– Nie wiem.

Jęknął, gdy Dylan znowu go trącił.

– Serio nie wiem! – wydusił. – Jak mnie postrzeliła wtedy ta wasza... Jak mnie postrzeliła, to pomógł mi jakiś, nie wiem, dziad. Wiedziałem, że nie ma co wracać do domu, bo będziecie kręcić dramę. Wziąłem portfel jakiemuś typowi na stacji, zatrzymałem się w motelu... Ogarnąłem se tą nogę, c’nie...

– Ogarnąłeś sam sobie ranę postrzałową? – zdumiał się Leo.

– A co, myślisz, że jak ty chcesz być doktorkiem, to jesteś taki wielce wyjątkowy? Okazuje się, że to wcale żadna filozofia wyjąć sobie kulkę...

– I nie wdało ci się tam żadne zakażenie? – nie dowierzał jego brat.

– Dobra, ja pierdolę – przerwał im Shane. – W dupie z jego zakażeniem. Niech gada, co robił przez te wszystkie miesiące.

– Właśnie, nie siedziałeś przecież cały czas w motelu – dodał Dylan.

– No nie siedziałem – przyznał Ryder. – Namierzyła mnie tam jakaś dama, c’nie.

– Co? – mruknął Tony.

– Kto? – prychnął Dylan.

Wszyscy zmarszczyliśmy brwi, nie rozumiejąc i podejrzewając, że Ryder zaczyna majaczyć. Widziałam, jak się poci, trochę nim trzęsło.

Vince zmrużył oczy.

– Kobieta? – zapytał chłodno.

– Kto? – powtórzył Will.

– Nie wiem, jakaś picz, nigdy jej nie widziałem.

Dylan prychnął z niezadowoleniem.

– Słuchaj, zacznij gadać normalnie, a nie zadawać nam tu zagadki, bo zaraz ja ci...

– Dobra, już, c’nie! Nie wiem, co to za babsko, dookoła mnie kręcili się sami goście. Zaproponowali mi współpracę, że coś tam, nie wiem, że wiedzą, że Monetowie mnie szukają, że załazłem wam za skórę i że jak chcę się zemścić, to zapraszają. No i że w sumie to i tak nie mam wyboru, bo bez ich pomocy zaraz mnie znajdziecie i dupa, będę żarł ziemię na cmentarzu. To se pomyślałem, że dobra, w sumie to co mi tam.

Gina i Leo marszczyli brwi, Winter siedziała zgarbiona i przestraszona, jakby nie wiedziała, co ona tu robi, ja wpatrywałam się to w Rydera, to w skupione twarze Vince’a i reszty braci...

– Zasłonili mi oczy i zabrali do jakiejś willi, czy coś, nie wiem, trzymali mnie w piwnicy. Ale w sumie spoko, dobre warunki, zajebiste łóżko, dobra szamka, żyć nie umierać. – Ryder spojrzał na swoją matkę. – Lepiej niż u ciebie, heh.

– I ktoś trzymał u siebie takiego darmozjada? – zapytał Dylan.

– Planowaliśmy wielki powrót, c’nie. Dobra, w sumie ja tam nie planowałem, ale ona chciała się dostać do niej... – wskazał podbródkiem na mnie – ...przeze mnie.

– Jaka ona? – warknął Will.

– Mówię, że nie wiem, nigdy jej nie widziałem. Rozmawiałem tylko z jakimiś jej przydupasami, c’nie. Dowiedziałem się, że to baba, przez przypadek.

Vincent nagle podniósł się ze swojego miejsca. Stał teraz prosto i wpatrywał się w Rydera groźnie, ze zmarszczką między brwiami. Wyglądał jak bóg zagłady, zwłaszcza w tym długim płaszczu.

– Opiszysz wszystko, co pamiętasz – powiedział zimno. – Miejsce, to, jak spędzałeś tam całe dnie, ludzi, z którymi rozmawiałeś, każdy szczegół i lepiej dla ciebie, żebyś nie pominął żadnego drobiazgu.

Ryder odchylił głowę do tyłu i westchnął, coraz bardziej mokry na twarzy. Nawet włosy mu zwilgotniały.

– Jasna sprawa, panie szefie – odpowiedział sztywno, a potem rzucił mojemu bratu cierpki uśmiech. – Potrzebuję tylko... trochę cukru, c’nie...

Vince uniósł brwi.

– Mówi o narkotyku – szepnęłam.

Rzadko kiedy widywałam w oczach mojego najstarszego brata tak wielką pogardę jak ta, z którą spojrzał na Rydera.

– Skoro ta... kobieta planowała wdrożyć cię do swojego planu, dlaczego jesteś tutaj? – zapytał Will, marszcząc czoło.

– E, a co jeśli to jest ten plan – wymamrotał Shane. – Żeby nas tu zebrać wszystkich i...

Rozległ się suchy jak kaszel śmiech Rydera.

– Nie, to nie część planu, ale dobrze kombinujesz. Ona pewnie by cię polubiła, c’nie. Lubiła knuć. Jak to baba, c’nie.

– Ja pierdolę – warknął Tony, łapiąc się za głowę. Ranną rękę wciąż miał owiniętą ręcznikiem. – O co mu chodzi z tym „c’nie”?!

– Odpowiedz na moje pytanie – wtrącił znowu Will, a dłonie zacisnął w pięści. – Dlaczego pozwoliła ci odejść?

– Bo uznała... – Ryder pociągnął nosem. – ...że jej się nie przydam jednak.

– Domyślam się, ale dlaczego pozwoliła ci odejść? – Will położył nacisk na ostatnie słowa.

– Dlaczego cię nie zabiła, skoro cię nie potrzebowała – przełożył Leo słabym głosem.

Ryder parsknął. Pot zaczynał się z niego łać. Moczył mu ubranie i zasłonę, którą ciągle był owinięty.

– Bo może, nie wiem, nie każdy morduje ludzi, jak mu coś nie przypasi?

– Jeśli osoba ta planuje się na nas zemścić, to wątpię, by zmartwiło ją zabójstwo przypadkowego narkomana – powiedział Will.

– Nie wiem do końca, czy na was – poprawił go Ryder, szczerząc zęby. – Na pewno na niej.

Swoimi ciemnymi, szalonymi teraz oczami wpatrywał się prosto we mnie.

Chciałam zapaść się pod ziemię, bo nie dość, że przeraziły mnie słowa brata Leo, to jeszcze bałam się tych wszystkich poblądłych twarzy skierowanych teraz w moją stronę. Vince zaciskał mocno usta.

– Skoro już kończymy przesłuchanie, to mogę liczyć na odrobinę starego dobrego przyjaciela? Ociupinkę? – zagaił Ryder.

Vincent odwrócił się z powrotem do niego.

– Przesłuchanie dopiero się zacznie. Will zadzwoń po... wiesz kogo.

Will natychmiast skinął głową i sięgnął do kieszeni płaszcza po komórkę.

– Wasza trójka wróci do domu – zarządził nasz najstarszy brat, zerkając na mnie i bliźniaków.

– Ale... – zaczął Shane, lecz został zignorowany.

– Chwila – odezwałam się.

Ponownie znalazłam się pod ostrzałem spojrzeń.

– Ja chcę wiedzieć... – Żeby dodać sobie odwagi, powoli podniosłam się z krzesła. – Chcę wiedzieć, kiedy Ryder tu przyszedł. I kto wiedział o tym, że tu jest.

Nie patrzyłam na Leo, Winter ani Ginę.

– Dobrze pytanie – przytaknął mi Shane.

– Odpowiedzcie jej. – Dylan ponaglił siedzącą przy stole trójkę.

– Zobaczyłem go, dopiero gdy zaatakował Hailie – powiedział od razu Leo. Patrzył na mnie wielkimi oczyma. – Przysięgam, gdy byliśmy razem w cukierni, nie wiedziałem, że jest na górze. Gdy wyszłaś, Winter powiedziała, że muszę iść na górę, do matki.

– Przyszedł jakieś pół godziny wcześniej – kontynuowała za niego Gina. Słysząc było, że bardzo stara się brzmieć rzeczowo. – Rozmawialiśmy, potem poszedł do łazienki, Leo wszedł na górę, opowiedziałam mu, co się stało...

– Poszedłem się odlać – wciął się Ryder. – A jak wylazłem z kibla, to niespodzianka, kurwa, Monetowie w salonie, c'nie.

– Jaka była umowa? – zapytał chłodno Will. Patrzył wrogo na Ginę.

– Zaskoczył mnie – wymamrotała, spuszczaając spojrzenie na swoje wyciągnięte dłonie.

– Wpuściłaś go i rozmawiałaś z nim przez ile? Pół godziny, powiedziałaś?

Gina zamilkła.

– J-ja go wpuściłam – wyszeptała Winter łamiącym się głosem, zanim Gina zdążyła ją powstrzymać.

Surowe spojrzenie Willa przeniosło się na zniechęconą przeze mnie dziewczynę.

– Nie przekazałaś jej, Gino, jak się ma zachować, gdy w twoim domu pojawi się Ryder?

Mama Leo otworzyła usta, a Winter jej przerwała.

– Przekazała. Ja... nie wiem, czemu nic nie zrobiłam.

– Chciałaś, żebym weszła na górę! – zawołałam, przypominając sobie nasze spotkanie. – Chciałaś, żebym weszła i się osuszyła, żebym co,

spotkała Rydera?!

– Ja... – Głos Winter uwiązł jej w gardle i nie powiedziała więcej nic sensownego, a ja i tak nie miałam ochoty jej słuchać.

– O kurdele, bracie, dwie typiary się przy tobie kręcą, nieźle, nieźle – pochwalił Ryder Leo, który z kolei patrzył na Winter ze zmarszczonymi brwiami.

– Tony, Shane, Hailie, czas już na was – zdecydował Vince, pozwalając sobie przerwać naszą małą dramę.

– Chcę wyjaśnień – zaoponowałam.

– Ja chcę cukru – zawtórował mi Ryder.

– Ogarnij się, chłopie, skąd mamy ci wziąć ćpanie? – warknął na niego Dylan.

– Z mojej kieszeni, c’nie. – Ryder zaszamotał się w zasłonach.

– Nikt ci nie będzie tam grzebał.

Ryder odchylił gwałtownie głowę do tyłu, tak że uderzył nią mocno o ścianę. Aż się skrzywiłam, ale mu się chyba spodobało, bo rąbnął nią znowu.

– DAWAJ MI TO! – ryknął.

Gina zakryła usta dłońmi i wstała, Leo też się podniósł. Winter wyglądała, jakby pragnęła schować się pod stołem, i nawet moi zwykłe odporni na mocne sceny bracia krzywili się na widok Rydera, który wyglądał jak wrak człowieka.

– Wychodźcie w tej chwili – polecił Vincent mnie i bliźniakom tak ostro, że nikt już się z nim nie kłócił.

Shane splótł swoje palce z moimi i pociągnął mnie na schody, a Tony szybko podążył za nami, by zasłonić mi widok Rydera łupiącego czaszką o ścianę, na której już widać było pierwsze ślady krwi.

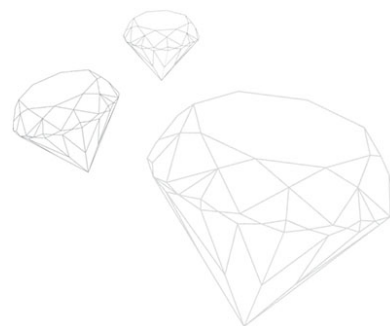
Szumiało mi w uszach, mimo to dotarły do nich wyraźnie ostatnie krzyki Rydera:

– Hailie! Ona po ciebie przyjdzie, c-c’nie!

Chciałam się odwrócić, ale Tony mi zabronił i kazał iść przed siebie. Ryder darł się, ale nie wiem, co dalej się tam stało, bo wyszłam

z bliźniakami na zewnątrz. Było już ciemno i nadal lał deszcz.

Ucieszyłam się, bo w tym samym momencie z moich oczu trysnęły łzy i przynajmniej warunki na dworze pomogły mi je skryć.



72

BĄBELKI

Nawet nie schyliłam się, żeby pozbierać rozsypane prezerwatywy. Zrobił to Tony, wychyliwszy się z przedniego siedzenia. Trzymając je w dłoni, najpierw zawahał się, jakby w pierwszej chwili chciał wrzucić je z powrotem do mojej torebki, ale zmienił zdanie i schował je sobie do kieszeni.

Nie obchodziło mnie to, bo cudowne wspomnienia zbliżeń z moim chłopakiem i tak zostały w tej chwili wyparte z mojej głowy i zmaczone przez wielki powrót jego psychicznego brata.

Rezydencja Monetów w wieczornym wydaniu zawsze prezentowała się nad wyraz dostojnie. W wielu pomieszczeniach na parterze pozapalane były światła. Dom wyglądał też spokojnie i beztrosko, zupełnie jakbym w środku miała zastać wszystkich jego mieszkańców, spędzających kolejny leniwy wieczór, jeden z wielu.

Nie dałam się jednak zwieść. Nie po tak świeżych traumatycznych przeżyciach z cukierni. Tak trudno przetwarzało mi się wydarzenia sprzed chwili! Tak abstrakcyjne one były. Ryder? Chciałam zapomnieć o tym człowieku i do tej pory nawet nieźle mi szło ignorowanie jego istnienia, a tu proszę, pojawił się. Wrócił. W moje urodziny. Akurat, żeby mi je zniszczyć.

O Leo nawet nie chciałam wspominać. Zastanawianie się nad tym, jak to dzisiejsze popołudnie wpłynie w przyszłości na naszą relację, zwyczajnie łamało mi serce.

– Czekaj. – Shane złapał mnie za nadgarstek, gdy wysiedliśmy w garażu i chciałam wejść do domu. – Może pogadajmy.

– O?

– No, jakby, wiesz... – puścił mnie, widząc, że się nie wyrywam
– ...tematów nie brakuje.

Miałam ochotę mu odmówić, wymawiając się złym samopoczuciem, ale wtedy pasowałoby, żebym uciekła do swojego pokoju, a ja wcale nie chciałam siedzieć teraz sama.

Najpierw jednak poszłam się przebrać. Wilgotne ubrania zostawiłam w łazience, wytarłam swędzącą skórę ręcznikiem, zarzuciłam na siebie ulubione dresy, a włosy przeczesalam i związałam w kitkę. Torebkę odłożyłam na półkę w garderobie, nie kłopotząc się nawet opróżnieniem jej. Prawdopodobnie zostało w niej kilka prezerwatyw – te, które się nie wysypały. Nie wiem, nawet nie sprawdziłam, żeby się upewnić, było mi to zupełnie obojętne.

Cichutkim truchtem zbiegłam na dół. Wpadłam na Eugenie, która od razu wyczuła wiszącą w powietrzu napiętą atmosferę. Gdy machnięciem ręki zbyliśmy z chłopakami jej pytanie o nasze samopoczucie, poprosiłam ją o zaparzenie mi kubka gorącej herbaty. Dopiero z nim w ręku rozsiadłam się w fotelu i przerwałam ciszę.

– No to rozmawiajmy.

Bliźniacy zajęli kanapę, wyglądając na gotowych do dyskusji, chociaż widocznie też poczuli się trochę zakłopotani.

Shane zmierzwił sobie rozczochrane i tak włosy.

– Eee... jak... jak się...

– Jak się czuję? – zgađłam.

Skinął głową.

– Średnio, wiesz.

Odchrząknął.

– Słuchaj, sorry, Hailie, nikt się nie spodziewał, że ten typ pojawi się aku...

– Przeprosiny nieprzyjęte – mruknęłam, a palce zacisnęłam na kubku tak mocno, że zaczął parzyć mnie w opuszki.

– Ej – odezwał się Tony. – Skąd mieliśmy wiedzieć...

– Znikąd – ucięłam ostro.

Nogi podkuliłam jeszcze bardziej, usta przyssałam do brzegu naczynia i zapatrzyłam się gdzieś w ścianę, byle nie oglądać braci.

– Kiedy tam wbiegałem, to przecież nie miałem pojęcia, że znikąd wyskoczy ten debil, nie? – Tony wyciągnął rękę w bok i zmarszczył oburzony brwi.

– Ale rozumiesz, że gdybyś nie wbiegł tam w pierwszej kolejności, to nic by się nie wydarzyło? – syknęłam.

– No ale wbiegł, bo miał powód, prze... – zaczął Shane.

– Ty – przerwałam mu. – Nawet mnie nie denerwuj. Powód miał? Serio?

– A nie?

– Po co ci były te, kurwa, te... – Tony zamachał rękoma.

– Te co? – zapytałam i uniosłam brew. – Prezerwatywy?

Skrzywił się, a Shane zawołał ze śmiesznym wręcz oburzeniem:

– Ty miałaś je w torebce!

– Bo w torebce... uwaga, bo to może być dla was szok... nosi się rzeczy!

– Ta, rzeczy dla dziewczyn, jakiś błyszczak, krem czy nie wiem co, serwetkę...

– Co, jaką serwetkę?

– Chusteczkę w sensie, nieważne, chodzi o to, że nie prezerwatywy, no co jest!

– Słuchaj, a może by zrobić tak, że w mojej własnej torebce będę nosić to, co sobie chcę, hm? Co ty na to, Shane?

– No, al...

– To było pytanie retoryczne! – warknęłam i nachyliłam się, by odstawić kubek na stolik, bo tak się zaczynałam denerwować, że byłam pewna, że zaraz obleję się jego gorącą zawartością.

Shane i Tony popatrzyli po sobie. Jak nigdy denerwowała mnie ich bliźniacza telepatia. Miałam wrażenie, że coś tam mamroczą o mnie do siebie w myślach.

– Dobra, przede wszystkim... – spróbował znowu Shane. Siedział w rozkroku, łokcie oparł o uda, a dłonie splótł przed sobą. Brwi marszczył, jakby miał do czynienia z nie lada zagadką. – Skąd je wzięłaś?

Wzruszyłam ramionami.

– Od was.

– Jak od nas?

– No, z domu.

– Co, szperałaś w naszych pokojach? – Tony rzucił mi przedsmak swojego morderczego spojrzenia.

– Nie musiałam. Tak się składa, że z racji, iż mieszkam z pięcioma starszymi braćmi, prezerwatywy walają się tu wszędzie. Jestem pewna, że gdybym zajrzała chociażby pod tę kanapę, na której siedzicie, znalazłabym ze dwie.

– Nieprawda, nie ma tam nic – burknął z kolei Shane, ale wyglądał przez chwilę, jakby chciał kucnąć i zerknąć pod mebel, by się upewnić. – Mów dokładnie, skąd je wzięłaś.

Odchyliłam głowę.

– Z pokoju gościnnego.

– Którego?

– Co za różnica? – westchnęłam. – Pewnie są w każdym.

Bliźniacy popatrzyli po sobie.

– Dylan – mruknęli jednocześnie.

Uniosłam dłonie do twarzy i wymamrotałam:

– Dobra. Już. Proszę. Mamy chyba ważniejsze tematy. Na przykład, co z Ryderem?

– Jak dla mnie to akurat ten typ jest totalnie nieważnym tematem – odparł Shane. – Wolę się dowiedzieć, co się dzieje z moją młodszą siostrą.

– Nic się z nią nie dzieje.

– Po co ci były te prezerwatywy?

– Shane...

– No mów, a nie... – ponaglił Tony.

Zawahałam się, bo tak nakazała mi ostrożność, ale wreszcie odetchnęłam i odpowiedziałam im uprzejmie, choć dobitnie:

– Żeby uprawiać bezpieczny seks.

Obaj się wzdrygnęli.

– Hailie... – wymamrotał Shane. – Ty... Przecież ty...

– Za młoda jesteś – warknął Tony.

– Mam siedemnaście lat!

Pokręcił głową.

– Za młoda.

Rozłożyłam dłonie.

– Nie wam oceniać, kiedy mam być gotowa. Zrobiłam, co chciałam zrobić, nie wasza sprawa. Koniec.

– Czyli ty już... już?

– Tak, Shane, ja już, już. Uprawiałam seks.

Tym razem obaj w zdegustowanym grymasie unieśli górną wargę i zmarszczyli czoła.

Odwróciłam głowę zirytowana. Dlaczego to akurat moi bracia muszą być tacy uciążliwi? Chciało mi się krzyczeć ze złości. Dlaczego moje prywatne sprawy muszą wiecznie być wywlekane? I to jeszcze przez chłopaków niewiele starszych ode mnie? Dlaczego nie mogą mnie zostawić w spokoju?

– Ej – mruknął na mnie Shane.

– Co? – warknęłam nieuprzejmie.

– No, powiedz, czy chociaż... – Podrapał się w kark. – Dobrze... wszystko?

– Co...? – powtórzyłam, ale już dużo mniej agresywnie.

– Dobrze wszystko? W sensie... dobrze się... czujesz?

Zamrugalam.

– No... dobrze...

– Na pewno?

– O co ty teraz pytasz?

– Nie zmuszał cię do niczego, nie? Rycerzyk w sensie? – Głos Shane’a był teraz dużo łagodniejszy niż przed chwilą.

– Nie – odpowiedziałam szybko.

– Był dla ciebie dobry?

– Tak!

– Szanował cię? – zapytał z niechęcią Tony.

Zamknęłam usta i spróbowałam zapanować nad gorącem w policzkach. Nie chciałam się zarumienić.

– No tak.

– Na pewno? – dopytywał Shane.

– Tak – szepnęłam.

– Dlaczego sam nie ogarnął gumek, tylko kazał je nosić tobie? – Tony zmrużył oczy.

– Właśnie? – podłapał Shane.

Poprawiłam się na fotelu.

– Nic mi nie kazał, sama chciałam je wziąć, to wzięłam. Jestem... – uniosłam brodę – ...odpowiedzialna.

Tony prychnął.

– Ta, gratulacje, przez tę twoją odpowiedzialność prawie zabiłem twojego chłopaka.

– Tego to pogratulować możesz tylko sobie.

– No i pogratuluję.

Zmierzyłam go zmęczonym spojrzeniem. Przepychanki słowne z Tonym wykańczały jak nic innego.

– Ty, a ty nie powinnaś... nie wiem – zamotał się Shane, tym razem pocierając czoło.

– Co znowu? – syknęłam. Nie miałam już dla nich litości, ani tym bardziej cierpliwości.

– Iść do jakiegoś lekarza czy coś, nie...

– Lekarza? – Tony ściągnął brwi.

– No tego wiesz, specjalnego od tego...

– Jezu słodki – szepnęłam do samej siebie pod nosem, a na głos powiedziałam: – Chodzi ci o ginekologa?

Rozmawianie o kobiecych, intymnych jakkolwiek by było sprawach z moimi najmłodszymi braćmi było dla mnie koszmarnie niekomfortowe, ale nabierałam odwagi, gdy widziałam, jak niewygodne jest to też dla nich samych.

Tony, na przykład, minę miał jak wtedy, gdy poprosiłam go o podpaski.

– Shane i Tony – zaczęłam poważnie. – Pozwólcie, jeśli łaska, że sama zajmę się swoimi sprawami.

– Ej, martwimy się, tak? – oburzył się Shane.

Odetchnęłam.

– Rozumiem, ale... to jest jakaś najgorsza rozmowa! – Spuściłam nogi na podłogę, włosy odgarnęłam do tyłu i nachyliłam się w stronę bliźniaków.

– Słuchajcie, doceniam waszą troskę, naprawdę, ale to nie może wyglądać tak, że wtryniacie się w moje życie...

– Nigdzie się nie wtryniamy – zaprzeczył Shane.

– Może porozmawiamy o waszych podbojach, co? – Machnęłam na Tony'ego. – Powiedz nam, z kim i kiedy ostatnio wylądowałaś w łóżku.

W odpowiedzi od niego jedyne, co dostałam, to spojrzenie spode łba.

– Dobra, dobra. – Shane wyciągnął dłoń w geście pokoju. – Już. Kumam, że jest to niezręczne.

– „Niezręczne” to niedopowiedzenie – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

– Dla nas to też nie jest spacer w parku – burknął Tony.

– Słuchaj, może po prostu powiedz Willowi, co? – rzucił szybko Shane, widząc, że już otwieram usta, by się kłócić dalej. – On będzie wiedział, co zrobić, gdzie pójść...

– Jak ty nie powiesz Willowi, to my powiemy Vince’owi – odezwał się Tony.

Shane od razu go szturchnął i mruknął:

– Przestań ją szantażować, spłoszysz ją.

– Po dobroci gównu załatwisz – odszepnął mu.

Spod pleców wyszarpnęłam sobie poduszkę i rąbnęłam nią siebie w twarz, przy okazji wydając z siebie przeciągły, rozpaczliwy jęk.

– Na pewno możemy zgodzić się z jednym – powiedział Shane. – Ani pary z ust przy Dylanie.

– Nie musisz, stary, nic mówić – mruknął Tony.

– Hailie?

– No przecież nie naskarzę mu sama na siebie. – Wywróciłam oczami.

– Ja wiem? Twój instynkt samozachowawczy zdaje się szwankować.

– On raczej przestał istnieć – prychnął pod nosem Tony.

– W sumie nigdy go nie miała.

– Albo wypadł jej z torebki razem z gumkami.

Tym razem poduszką cisnęłam w bliźniaków. Popisując się refleksem, odchyłili się w przeciwnych kierunkach, żeby zrobić unik, więc przeleciała między nimi, lądując hen za kanapą.

Shane wyprostował się i wycelował we mnie palcem.

– Powiesz o wszystkim Willowi.

– Ty też mówisz mu o swoich intymnych przeżyciach?

– Jest odpowiedzialny i będzie wiedział, co z tobą zrobić – dokończył, ignorując moje pytanie. – Więc powiesz mu, tak?

Czy powinnam się z nim kłócić? Tak. Czy mi się chciało? Absolutnie nie.

– Tak.

– Bo wiesz, jak mu nie powiesz, to będziemy mieli na ciebie największego haka, jakiego widział ten świat – dodał na koniec.

– Okej, Shane.

– No. Zuch dziewczynka – pochwalił mnie i wyglądało na to, że jemu samemu też ulżyło.

Zamierzałam powiedzieć Willowi, tak. Kiedyś.

– Boli cię? – Na to pytanie Shane’a znowu na niego spojrzałam, zaskoczona, główkując, o co mu chodzi. Przestraszyłam się, że nawiązuje do poprzedniego tematu, ale tym razem miał na myśli moją szyję, do której Ryder nie tak dawno temu przyciskał broń. Formował mi się tam siniak, dlatego nieświadomie przytykałam do tego miejsca palce, co zwróciło uwagę mojego brata.

– Nie boli – odmruknęłam i prędko opuściłam rękę.

– Może trzeba to opatrzyć?

– Nie ma czego.

– Posmarować jakąś maścią?

– Nie trzeba.

– Może weź ty pij tę herbatę czy coś – wtrącił się Tony.

Prawie za każdym razem, gdy się odzywał, brzmiał, jakby robił to na odwal albo miał do kogoś jakiś problem, ale posłuchałam go i sięgnęłam po kubek. Z powrotem z przyjemnością przycisnęłam wargi do jego ciepłego brzegu.

– Chcesz może... obejrzeć film? – zagadnął Shane.

– Co się stanie z Ryderem? – odpowiedziałam pytaniem.

Shane zawahał się, a Tony odetchnął i rozłożył się na kanapie jeszcze bardziej, nogi opierając o stolik.

– Pewnie umrze – rzucił beztrosko.

– Boże – wyrwało mi się i szybko odsunęłam od ust herbatę, żeby przykryć je dłonią, a wtedy Shane trzepnął go w ramię i warknął:

– Co jest z tobą?

– Co, to żadna tajemnica, nie? Nawet jak Vince go nie załatwi, to typ sam zaćpa się na śmierć.

– Vince naprawdę...? – wyszeptałam, przełykając gorzką ślinę. – Nie można... Nie może...

– Groził ci już dwa razy – westchnął Shane. – To świr, widziałś go.

– Bo jest uzależniony od narkotyków! Dlaczego nie wysłać go na odwyk?

– Przecież był na odwyku nieraz, na żadnym nie wysiedział. Zresztą widziałś go, nie wyglądał, jakby interesowała go zmiana stylu życia.

– To...

– No co? – powtórzył Shane łagodnie.

– To brat mojego chłopaka – wymamrotałam, spuściwszy wzrok.

– Ej. – Shane uniósł ostrzegawczo palec. – Wiedziałaś, że tak będzie. Mówiliśmy ci. Wiedziałaś, że go szukamy.

Odwróciłam wzrok, ze wszystkich sił powstrzymując łzy. Bliźniacy od razu to zauważyli. Shane opuścił ręce, a Tony, wciąż wyłożony jak szlachcic na szezlongu, założył swoje na piersi.

– Luz no, na razie nic mu nie będzie – powiedział. – Vince go potrzebuje, to nikt mu nic nie robi.

Wcale mnie to nie uspokoiło.

– Potrzebuje go, żeby dowiedzieć się więcej o... niej? – zapytałam zachrypniętym głosem.

– Tym też się nie zamartwiaj – odparł prędko Shane. – Nie zamartwiaj się słowami ćpuna, jest niezrównoważony i możliwe, że gada, co mu ślina na język przyniesie.

– Tak? – Uniosłam brwi. – Czyli nie zamkniecie mnie znowu w domu? Skoro nie wierzycie słowom Rydera, to będę mogła wychodzić jak dotychczas?

Tony popatrzył w sufit, a Shane potarł swoją skroń.

– Nie wiadomo, co Vince zadecyduje...

Prychnęłam.

– Hailie, tu chodzi...

– Chodzi o moje bezpieczeństwo, tak, wiem – westchnęłam, unosząc dłoń. – Ciągłe to słyszę. I żeby nie było, nie zamierzam się kłócić. Jeśli faktycznie gdzieś tam nadal jest ktoś, kto mi, nie wiem, zagraża...? To ja się zgadzam, żeby zostać w domu, nie chcę się wystawiać, to tylko... Ja zwyczajnie... Ja nie wiem, nie rozumiem, dlaczego to ciągle się dzieje, co ja... Co ja takiego zrobiłam... – Pociągnęłam nosem, nie dbając już o spływające po moich policzkach łzy. – Bo dlaczego to mnie tyle osób życzy źle?

Shane nachylił się ze współczującym wyrazem twarzy, wyciągnął dłoń i powiedział cicho:

– Hej, chodź, podejdź tu.

Zacisnęłam usta i pokręciłam głową.

– No chodźże – ponaglił mnie Tony, a pokrytą tatuażami ręką poklepał wolną przestrzeń na kanapie między sobą a bratem.

Nie od razu, bo ociągając się chwilę, wstałam i powłócząc nogami, zbliżyłam się do nich. Opadłam na wskazane miejsce i jakoś tak płynnie się wszystko zadziało, że gdy Shane splatał swoje palce z moimi, moja głowa opadała akurat na ramię Tony'ego.

Puścili jakiś naiwny thriller, a ja gapiłam się w ekran i nie zmieniałam pozycji, dopóki Eugenie nie przyniosła nam kolacji. Jeszcze zanim to nastąpiło, wiedziałam już, że nici z naszego urodzinowego wyjścia do restauracji. Zrobiło mi się trochę smutno, ale doceniałam to, że mam przy sobie przynajmniej bliźniaków. Po obejrzeniu jednego filmu Shane włączył kolejny i na tym zaczęłam już pod koniec przysypiać. Powieki same mi się zamykały, aż nagle otworzyły się szerzej, gdy poczułam coś na czubku głowy.

Dostałam w nią właśnie całusa. Zamrugałam i uniosłam brodę. Nadal opierałam się o Tony'ego, który też jeszcze przed chwilą drzemał, bo teraz wykręcał szyję i patrzył do góry równie nieprzytomnym wzrokiem.

Za kanapą stał Will. Dopiero wrócił, ubrany wciąż w ten długi płaszcz. Głaskał mnie teraz po włosach, a jego bystre niebieskie oczy odwzajemniały moje spojrzenie.

– Jak się czujesz?

Nie odpowiedziałam, ale nie musiałam. Will nachylił się lekko, drugą dłonią podpierając się o oparcie kanapy.

– Przepraszam, że nie udało nam się należycie uczcić twoich urodzin.

Wzruszyłam ramionami.

– Obiecuję, że jeszcze wszyscy ci to wynagrodzimy, dobrze?

Skinęłam głową, a on znowu mnie w nią ucałował i nie przestając delikatnie mnie po niej głaskać, popatrzył po twarzach bliźniaków.

– Z wami też w porządku?

– Yhy.

– Leci jakoś.

– Vince będzie chciał z wami rozmawiać – kontynuował Will. – Ale to rano. Teraz jest już późno. Idźcie spać, dzieciaki.

– Sam jesteś dzieciak – mruknął Shane pod nosem, naprawdę niczym dziecko, ale podniósł się posłusznie, a także ostrożnie, żeby mnie nie szturchnąć.

Wszyscy byliśmy zmęczeni tym wieczorem, więc nikt się z Willem nie kłócił. Przed spaniem Dylan jeszcze powtórzył mi obietnicę Willa, że na pewno sobie odbijemy celebrację mojej siedemnastki, na co zrobiło mi się ciepłej w sercu.

Następnego dnia natomiast siedziałam w odrzutowcu Monetów. Nie zaskoczyło mnie to, że Vince po krótkiej rozmowie przeprowadzonej ze mną po śniadaniu obwieścił, iż podjął decyzję, żebym poleciała na mały urlop do Europy. Wiedziałam, że ta ładna nazwa to tylko eufemistyczny zamiennik wyrażenia „areszt domowy”.

Miałam nadzieję, że zostanę wysłana do Francji, żeby spędzić kilka miłych dni lub tygodni w Paryżu z ciotką Mayą, wujkiem Montym i małym Flynnem, ale zamiast tego zdecydowano, że zatrzymam się na Kanarach, u Blanche.

Trochę robiło mi się smutno na myśl, jak bardzo kojące byłoby spotkanie tam ojca. Bolało mnie, że kiedyś ta wizja była jak najbardziej możliwa, a teraz mogła być co najwyżej marzeniem.

Lot trwał długo, ale nie niecierpliwiłam się – nie miałam za bardzo czego wyczekiwać. Na przemian czytałam książki i spałam, a czasem z ukrycia obserwowałam przyklejonego przez większość czasu do laptopa Willa, który to, poza oczywiście Sonnym, został oddelegowany do podróży wraz ze mną. Will przypominał mi dość mocno Vincenta, ale on stanowczo częściej niż Vince odkładał komputer, by podejść i mnie przytulić. Sympatyczniej proponował mi też jedzenie – nie rozkazywał mi tyle, co najstarszy brat.

Na Kanarach wylądowaliśmy w środku nocy. Podróż do domu babci Blanche nocną taryfą sunącą po pustej drodze na śpiącej, dziko prezentującej się w ciemności wyspie, skojarzyła mi się z tym, jak niegdyś wracałam z wyjścia z bliźniakami. Wypiłam wtedy dzban sangrii i nieźle im dałam popalić. A w domu przywitał nas ojciec i był zły. Na chłopców najbardziej.

Uśmiechnęłam się blado do wspomnień, ale tylko na ułamek sekundy, bo na mojej wymęczonej, zbolalej i zmartwionej twarzy nie przetrwałoby teraz odzwierciedlenie żadnej wesołej emocji. Smutno mi też było, bo chłopcy nie mogli do nas od razu dołączyć, choć zapowiedzieli, że dojadą później. Vincent miał swoje zadbane ręce pełne roboty, a Shane, Tony i Dylan nie mogli zawałać zajęć w college'u. Gdy zapytałam o potencjalne zawalenie szkoły przeze mnie, usłyszałam w odpowiedzi, że ja przecież chodzę do liceum, więc to co innego, mogę mieć bez problemu zajęcia zdalne z prywatną nauczycielką, a poza tym, jestem za mądra, żeby sobie nie poradzić.

Tak, to słowa Willa.

Podróż na Kanary próbowałam więc traktować jak rodzaj terapii. Może i Blanche daleko było do psychologa, ale mimo iż nie była najcieplejszą znaną mi osobą, to nie mogłam jej odmówić mocnego charakteru i było to coś, co zaczęłam podziwiać, zwłaszcza pamiętając historię kłótni Monetów.

Blanche słyszała jednak z chodzenia własnymi ścieżkami, dlatego większość czasu i tak spędzałam tu z Willem. Staralam się doceniać, że porzucił swoje obowiązki i się ze mną tu zatrzymał. Poza tym był kochany, jak zawsze. Chodził ze mną na spacer po wyspie, specjalnie na moją prośbę wziął mnie do księgarni, żebym mogła obkupić się w zapas książek, i chętnie jeździł ze mną do przeróżnych restauracji, by testować nowe potrawy.

Czasami nawet zgadzał się nie brać Sonny'ego. Ufał sobie na tyle, by wiedzieć, że potrafi zapewnić mi wystarczające bezpieczeństwo. Cieszyłam się, że czasem dawał odetchnąć mojemu ochroniarzowi, bo i tak miałam już wystarczająco wielkie wyrzuty sumienia, że jego zaplanowana wizyta u córki z mojego powodu musiała zostać przełożona.

Grudzień na Kanarach objawiał się łagodnymi temperaturami. Nie było upalnie, ale też i nie zimno, co okazało się miłą odskocznią od pensylwańskiej zimy. Zdarzały się też takie dni, w które dało się nawet poczuć smak lata. Taki był właśnie jeden z poniedziałków i grzechem byłoby go zmarnować, rezygnując z plaży.

Wzięłam książkę, a Will zajął się targaniem piknikowego ekwipunku, z wielkim słomianym koszem na czele. Sonny został tego dnia w domu. Korzystając z wolnego, szykował się na popołudnie, by połączyć się z Leą przez kamerkę internetową.

Niebieska migotliwa woda, błękitne niebo, szeroka piaszczysta plaża i szum fal przypominały mi, jak bardzo kocham taki wakacyjny klimat. Will opowiadał mi o wyspie. Zawsze udawało mu się znaleźć nowe tematy lub wspomnienia, którymi nierzadko rozbawiał mnie prawie do łez. Mówił, jak pływali tu z chłopakami na łódkach, szaleli na skuterach wodnych, a kiedyś nawet nurkowali razem z Vince'em, gdy byli młodszy. Z zafascynowaniem słuchałam, jak mój najstarszy brat wykonywał czynność niebędącą pracą w garniturze.

Tego dnia lunch przynieśliśmy ze sobą w koszu piknikowym. Mieliśmy tam ze trzy spore butle wody plus jedną wypełnioną po brzegi domowej roboty gazpacho prosto z lodówki. Oprócz tego Blanche zrobiła nam pyszny hummus, do którego Will wcześniej umył i pokroił w słupki marchewki, seler naciowy i czerwoną paprykę. Zabrał też długą bagietkę

i nóż, ser Herreño, który niezwykle ładnie prezentował się dzięki uwędzonej, mocno pożółkłej skórce, zwłaszcza podany w towarzystwie fig, a na danie główne dostaliśmy zrobioną przez Benny'ego tortillę *de patata*, którą zapychaliśmy się wraz z sałatą z pomidorkami koktajlowymi polaną octem i oliwą. Na deser wsunęliśmy owoce – figi, pomarańcze i pokrojonego przez Willa wcześniej w trójkąty ananasa.

Po takiej uczcie wyłożyłam się na wielkim kocu, tuż obok brata, który sam chętnie zmrużył oko. Warunki były ku temu idealne – wyjątkowo gorący grudniowy dzień, delikatna bryza, pełny brzuch, brak żywej duszy wkoło i miarowa kołysanka nucona przez fale.

Było pięknie, dopóki w mojej głowie nie pojawił się Ryder, broń oraz to jego „c'nie”. Mój mózg zrobił sobie nieśmieszny żart, gdy faktyczne wydarzenia wymieszał z idiotycznymi wytworami mojej wyobraźni. Ryder nie celował do mnie. W drżącej dłoni trzymał, co prawda, pistolet, ale groził nim Tony'emu. Do mnie za to tylko uśmiechał się podle, bredził coś o cukrze, a gdy wreszcie nie wytrzymałam z nerwów i histerycznie na niego wrzasnęłam, padł strzał, chlusnęła krew i zerwałam się z koca jak oparzona.

Pierwszy raz obudziwszy się z kosmaru, od razu stanęłam na równe nogi. Prawie upadłam, bo zakręciło mi się w głowie od tak szybkiej zmiany pozycji. Serce waliło mi jak oszalałe i aż przytknęłam dłoń do piersi, byle je uspokoić. Zaczęłam poruszać palcami u stóp, by poczuć piasek i wrócić tym samym do rzeczywistości. A potem zerknęłam z góry na Willa, który wciąż spał. Leżał na plecach, jego głowa spoczywała na zgiętych rękach, a klatka piersiowa schowana pod białą firmową polówką unosiła się i opadała łagodnie.

Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę, próbując się uspokoić. Przetarłam palcami załzawione oczy, przejechałam dłońmi po twarzy, a na koniec zatopiłam palce we włosach. Na ciele czułam dreszcze, ale nie było mi zimno – wręcz przeciwnie, zrobiło mi się jakoś tak podejrzanie gorąco, tak gorąco, że niewiele myśląc, zbliżyłam się do brzegu oceanu. Drgnęłam, gdy zamoczyłam stopy w zimnej wodzie.

Nie wiem, ile tak tam stałam. To mogła być minuta, a mogło też być ich dwadzieścia. Gdzieś na horyzoncie majaczył niewielki statek, może jacht. A woda była taka ładna i stoicka. Zapragnęłam poczuć ten spokój w swoim

udręczonym wnętrzu. Może uda mi się ostudzić ten palący mnie pod skórą ogień w chłodnym, relaksującym oceanie?

Nie zdążyłam się zorientować, kiedy zrobiłam kilka kroków do przodu. Woda szybko dosięgła moich kolan i zmroziła łydki. Przyzwyczaiłam się do niej prawie od razu. Nie była taka zła, naprawdę przynosiła ukojenie. Nie dbałam nawet o to, że wkrótce już moczyłam rąbek sukienki. Przecież wyschnie.

Poruszałam się do przodu, a poziom dna długo się nie zmieniał, aż w końcu zaczął się spadek i pisnęłam, gdy tym razem woda od razu sięgnęła mojego brzucha. Aż go wciągnęłam zaskoczona, ale znowu – oswoiłam się z nowym uczuciem i odetchnęłam.

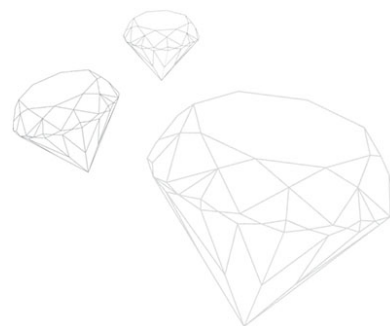
Unosiłam teraz ręce nad taflą i posuwałam się do przodu. Zatrzymałam się dopiero, gdy coś smyrnęło mnie po stopie. Powoli zaczynałam moczyć stanik. Niezbyt się tym przejęłam, bardziej zainteresowana tym, co działo się pod wodą.

Niewiele myśląc, schyliłam się lekko i zanurzyłam całą twarz, nie dbając nawet o to, by zamknąć oczy. Ze względu na piaszczyste dno woda nie była tu idealnie przejrzysta, ale i tak dało się co nieco dostrzec. Mrugałam i rozglądałam się, poruszałam stopami i rozkoszowałam wodą w uszach, która mi je przyjemnie wypełniła, tak że słyszałam tylko podwodny szum.

Uśmiechnęłam się na widok bąbelków i kilku maleńkich czarnych rybek, kręcących się gdzieś przy samym dnie. Obserwowałam z fascynacją podwodny świat, mimo iż niewiele się tu działo. Tylko jasny piach i te pojedyncze żyjątka. Złapałam się na tym, że w dziwnym ośpieniu zaczęłam zazdrościć im tego spokoju.

No i te bąbelki.

Zanim zdążyłam zastanowić się, skąd się brały, poczułam, jak coś obejmuje moje ramiona i szarpie mną do góry. W ułamku sekundy gwałtownie wynurzyłam się na powierzchnię i rozkaszałam w momencie, gdy do moich płuc dotarło powietrze.



73

WINO WŁASNEJ ROBOTY

Co ty robisz?! – wołał Will ostrym, a jednocześnie też bardzo przejętym głosem. Trzymał mnie mocno i raz za razem mną potrząsał. – Co to było?!

Doznałam wrażenia, jakby właśnie mnie spoliczkował, tak nagle i brutalnie wróciłam do rzeczywistości. Wiedziałam jednak, że na pewno tego nie zrobił, bo jego dłonie zaciskały się na moich ramionach. Zamiast tego świdrował mnie spojrzeniem – oczy Willa miały aktualnie bardziej intensywny kolor niż ocean i czyste niebo razem wzięte.

Moje oczy zaczęły bardzo mnie szczypać, jakbym dopiero po chwili zorientowała się, że dostała się do nich przecież sól. Mrugałam, żeby pozbyć się nieprzyjemnego uczucia i łez.

– Wołałem cię! – powiedział z wyrzutem Will. – A ty co? Co to było?

Milczałam ze spuszczonymi oczami i wciąż trochę pokasywałam, sama będąc w szoku. Will zrozumiał, że raczej nie otrzyma ode mnie teraz zadowalającej odpowiedzi, dlatego silną ręką chwycił mnie za ramię, tak że nie wyrwałabym mu się chyba nawet, gdybym spędzała na siłowni tyle czasu co Dylan, i pociągnął mnie do brzegu.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak daleko od brzegu odeszłam. Łagodne zejście okazało się zdradzieckie. Chciałam się wytłumaczyć, ale

Will był zbyt zły, żeby słuchać. Widać było, że za cel obrał sobie powrót na brzeg, dlatego nie chciałam się odzywać, dopóki nie wyjdziemy z wody. Rozbryzgiwał ją bezlitośnie, a dżinsowe spodenki przemoczone miał do suchej nitki. Wszedł tu za mną w ubraniu. Niedobrze.

Nie lubiłam, gdy Will się na mnie złościł. W porównaniu do reszty braci rzadko tracił do mnie cierpliwość, a gdy tak się działo, wiedziałam, że przegięłam i wina raczej leżała po mojej stronie.

Puścił mnie, dopiero gdy znaleźliśmy się obok naszego koca. Wytrzeptał go, złożył na pół, tak że koc miał teraz trójkątny kształt, i mnie nim opatulił. Zaproponowałam mu nieśmiało, żeby może się chociaż nim wytarł, w końcu Will też był mokry, ale on pokręcił głową, nawet na mnie nie patrząc. Kosz piknikowy złapał w jedną rękę, a drugą położył sztywno na moich plecach i pokierował mnie w stronę schodów. Wspinaliśmy się po nich w nieprzyjemnej ciszy.

– Ciepła woda? – zagaił Benny, gdy przechodziliśmy przez ogród. Robił coś przy rynn timerze i wyprostował się na chwilę, by posłać nam miły uśmiech, który zastąpiło zaskoczenie na widok naszych mokrych ubrań.

– Nawet – odpowiedziałam, siląc się na przyjazny ton.

– Zimna – warknął Will w tym samym czasie.

Jego napięcie nie zelżało do kolacji. Dało się je odczuć przy stole i nawet Blanche nie zdobyła się, by je skomentować. Ja sama grzecznie jadłam, nie chcąc narażać się więcej bratu. Widziałam, jak zerka na mój talerz. Odszedł od stołu, dopiero gdy opustoszał.

Wyszedł na werandę, gdzie po chwili walki z własnymi myślami do niego dołączyłam. Siedział w słomianym fotelu, oparty o poduszki i jadł brzoskwinie na deser, mocno zaciskając na niej pięść. Powoli robiło się ciemno, a on wpatrywał się w dal. Deski, którymi wyłożono werandę, zaskrzypiały pod ciężarem mojego ciała, ale Will nawet na mnie nie spojrzał.

– Will? – wymamrotałam, bawiąc się palcami. – Przepraszam. Nie gniewaj się na mnie, Will.

Spojrzał na mnie, opuszczając rękę z owocem. Błękitne tęczęwki mu błyszczały, gdy tak chwilę się we mnie wpatrywał, aż pokręcił głową.

– Co to było, Hailie?

Przełknęłam ślinę, zalana falą wstydu.

– Potrzebowałam się schłodzić...

– Nie planowaliśmy kąpieli. Nie wzięliśmy strojów. Jest grudzień, woda jest zimna. No i wiesz, że nie wolno wchodzić ci do oceanu bez niczyjej wiedzy.

– Zrobiłam to bez zastanowienia, naprawdę przepraszam.

– Nie chodzi mi o to, żebyś przepraszała – powiedział surowo. – Wiesz, że mogłaś się utopić? Zachłysnąć? To ocean, to nie są żarty. Nie możesz robić takich rzeczy i tłumaczyć się, że to tak tylko bez zastanowienia zachciało ci się schłodzić. Bądź poważna.

Spuściłam głowę.

– Co ty sobie myślałaś, wchodząc do tej wody?

– Ja... To było spontaniczne... Miałam sen – westchnęłam.

– Jaki sen?

– ...Zły.

– O czym?

Zerknęłam na niego ze zmartwieniem.

– Ryder tam był – szepnęłam.

Rysy twarzy Willa nieco złagodniały.

– Zrobił ci krzywdę?

Pokręciłam głową.

– Nie mnie.

– Komuś innemu?

Odetchnęłam.

– ...Tony'emu.

Will odchylił lekko głowę, nie przestając się we mnie wpatrywać. Odłożył niedojedzoną brzoskwinę, której i tak nie ruszył, odkąd zaczęliśmy rozmawiać, a dłonie wytarł w kuchenną ścierkę wiszącą na oparciu ławki obok. Następnie poprawił się w fotelu i wyciągnął rękę

w moją stronę, gestem nakazując mi podejść. Znowu przypomniał mi Vincenta, który też przepadał za takimi władczymi gestami.

Posłuchałam i zbliżyłam się do brata, a wtedy on pokierował mną, bym wcisnęła się na fotel obok niego i przy okazji przylgnęła do jego boku.

– Często miewasz takie sny?

– Czasami.

– Jak często?

– Nie wiem – westchnęłam znowu. – Czasami. Ale to nic, to tylko koszmary. Po prostu ten był jakiś taki wyjątkowo paskudny. Chyba za dużo zjadłam przed samą drzemką, to pewnie dlatego.

– I dlatego weszłaś w ubraniu do wody? – zapytał, unosząc brew.

– Więcej tak nie zrobię. Nie martw się, proszę.

Ramię Willa, które mnie obejmowało, zacisnęło się, a z jego ust wydobyło się ponure parsknięcie.

– Czy ty rozumiesz, Hailie, jak mnie wystraszyłaś? Czy ty jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo się o ciebie boję, gdy zauważam, że przez dłuższy czas nie wyszłaś ze swojego pokoju? Albo bierzesz dłuższy prysznic? Albo schodzisz późno na śniadanie? Czy ty wiesz, ile scenariuszy tworzy mi się wtedy w głowie? A zapewniam cię, malutka, że każdy następny jest okropniejszy od poprzedniego.

– To... – zaczęłam z wahaniem i wzrokiem wbitym w drewnianą podłogę – ...to męczące.

– Oczywiście, że to mę...

– Dla mnie – weszłam mu w zdanie, unosząc głowę. – Nie mogę wziąć dłuższego prysznica, żebyś nie zapukał do drzwi i nie zapytał, czy wszystko dobrze. To męczące.

– Nie będę przeproszał cię za to, że martwię się o młodszą siostrę – powiedział, a tym razem jego obejmujące mnie ramię zeszytniało.

– I nie pomyślisz nawet przez chwilę, że może martwisz się przesadnie?

– Głodziłaś się.

– Kiedyś i tylko przez chwilę, teraz już przecież jem – zirytowałam się.

– Powiedziałaś, że chcesz umrzeć.

– Gdy myślałam, że zniszczyłam tacie życie! Byłam przejęta, zrozpaczona... Przecież w takim stanie ludziom często wymykają się takie rzeczy! W większości wypadków nic nie znaczą...

– I co, ja mam ot, tak założyć, że w twoim też nic nie znaczyły?

– Nie znaczyły! – warknęłam i wstałam, żeby już obok niego nie siedzieć.

– A co, jeśli znaczyły?! – krzyknął, nachylając się. – Skąd ja mam wiedzieć? Naprawdę dziwisz mi się, że jestem ostrożny? Sama miałaś przed chwilą sen o Tonym, który cię przeraził, a pomyślałaś kiedykolwiek, że ja miewam podobne o tobie?!

W oczach wezbrały mi łzy.

– Ja odróżniam sny od rzeczywistości!

– Tak? Bo dziś wyglądałaś, jakbyś zasnęła pod tą wodą.

– Nie spałam – wycedziłam.

– To czego żeś się nie wynurzała?! – ryknął. – Kończyło ci się powietrze, widziałem, dlaczego więc się nie wynurzyłaś?!

– BO SIĘ DUSZĘ! – wykrzyknęłam.

Nie wiem, któremu z nas szybciej unosiła się klatka piersiowa. Oboje mieliśmy zaczerwienione twarze, rozemocjonowane od buzującej w żyłach krwi. Od adrenaliny rozszerzały nam się źrenice, zupełnie jak Ryderowi, gdy ćpał. Will podniósł się ze swojego siedzenia i chyba zrobił to na wpół świadomie. Nie podobało mi się to, bo dotychczas mogłam patrzeć na niego z góry, a teraz role się odwróciły.

– Dusisz się? – powtórzył bezbarwnym głosem.

Uniosłam drżącą dłoń i najpierw położyłam ją sobie płasko na mostku, a potem podsunęłam do góry.

– Jakbym miała sznur na szyi.

Will patrzył na mnie z powagą.

– A najgorsze w tym wszystkim jest to – ciągnęłam, powoli zaczynając krztusić się przez płacz – że to wyście mi go założyli.

Odwróciłam się i wpadłam z powrotem do domu, przedarłszy się przez zwisające w przejściu, grzechocące koraliki.

Czułam panikę. Złapałam się obręczy schodów i nie wiedziałam, gdzie iść, co robić. Uciec do pokoju? Nawet nie jest mój. Do wspólnej łazienki? Do kuchni? Co ja miałam zrobić? Co ja powiedziałam, dlaczego ja się z nim tak pokłóciłam? Przecież tego nie chciałam. Nie z Willem...

– Hailie?

Powoli uniosłam głowę i odwróciłam się w stronę ciemnego salonu, skąd do moich uszu dobiegł ten dźwięk. Właśnie wyłaniała się z niego Blanche. Pomimo niepełnosprawności udawało jej się poruszać bezszelestnie. Jedną ręką podtrzymywała się framugi, a niewidzącymi oczami wodziła po przedpokoju, w którym stałam. Twarz miała bladą, a długie siwe włosy rozpuszczone. Szara spódnica majdała jej się przy samych kostkach, a na górę zarzuconą miała luźną koszulę.

Przez chwilę milczałam, podświadomie licząc na to, że Blanche mnie nie namierzy.

– Słyszę cię, dziewczyno – powiedziała cierpko, niezadowolona, że ją ignoruję.

– Ja tylko... zażywałam trochę świeżego powietrza – wymamrotałam, walcząc z zaciśniętym gardłem i dziękując w duchu, że nie może zobaczyć moich mokrych policzków i zaszklonych oczu.

– Toś musiała się go dużo nałykać, skoro teraz tak sapiesz.

Zamrugłam i zamilkłam, nie mając dla niej odpowiedzi.

– Jak ci się nudzi, to chodź ze mną do kuchni, mam robotę – burknęła.

– Ja...

– Na pewno z przyjemnością pomożesz babci, myślę się?

Westchnęłam cicho.

– Oczywiście, że ci pomogę.

Blanche minęła mnie i przeszła do kuchni, a ja podążyłam za nią, na chwilę obróciwszy się do tyłu. Zastanawiałam się, co robi teraz Will. Nie wszedł do domu, ciekawa więc byłam, czy nadal stoi na ganku.

Może dojada swoją brzoskwinię?

Wytarłam moką twarz i wzięłam się w garść, by skupić się na zadaniu, które szykowałam dla mnie babcia.

– Siadaj tu. I weź tę miskę. Benny wiecznie znosi mi mnóstwo orzechów... Trzymaj to. Orzechów i migdałów. Trzeba coś z nimi robić, bo gniją... I to też trzymaj, tylko sobie krzywdy nie zrób, bo mi się oberwie. Jutro chcę narobić pesto do słoików i może upiec blachę orzechowca...

– Brzmi przepysznie – skomentowałam, odchrząkując. Sztywnymi palcami zaczęłam siłować się z dziadkiem do orzechów, który mi przed chwilą podała.

– Mhm – mruknęła i wyciągnęła z szafki dwa kubki. – Napijesz się wina?

– Wina? – powtórzyłam zszokowana. – Nie, dziękuję...

– Własnej roboty.

– Will będzie zły.

– Czy i tak nie jest już zły?

Spojrzałam na butlę, przy której korku teraz majstrowała.

– Słyszałaś nas?

– Ze słowo czy dwa. – Wzruszyła ramionami, a korek puścił. Uniosła butelkę do góry, patrząc gdzieś ponad moim ramieniem. – To jak?

– Napiję się coli.

Blanche zrobiła minę, ale nie skomentowała mojego wyboru. Najpierw obsłużyła siebie, a potem wymacała w lodówce puszkę oranżady i zaserwowała mi ją, biorąc ją pewnie za colę. Postanowiłam nie wyprowadzać jej z błędu.

– Przepraszam, nie powinniśmy byli tak krzyczeć – powiedziałam.

– Już przywykłam do tego, że moje wnuczyska to niewychowane bachorstwo.

Przez chwilę panowała cisza i dało się słyszeć jedynie odgłosy dziadka do orzechów, kruszącego twarde skorupki.

– Ja też się dusiłam – odezwała się nagle znikąd zmienionym głosem.

Uniosłam na nią spojrzenie. Opierała się jednym łokciem o stół, a palcami drugiej ręki trzymała ucho kubka.

– Słucham?

– Też miałam linę na szyi, a może nawet i nie jedną. – Jej pomarszczona dłoń powędrowała do kołnierzyka, który sobie poprawiała.

Przełknęłam wolno ślinę.

– I widzę, że w tej rodzinie od czasów mojej młodości niewiele się zmieniło.

– Też miałaś stado nadopiekuńczych braci? – zażartowałam sztywno, a ona prychnęła.

– Miałam porąbanego męża.

Uniosłam brwi, a Blanche pokiwała głową.

– Tak, oszołom jakich mało.

– Ale kochałaś go?

– Ha. – Blanche wzięła łyk wina. – Trudno powiedzieć. Może. Do tej pory nie wiem. Na pewno nie był mi obojętny, to w końcu ojciec moich dzieciaków, nie?

Skinęłam głową.

– Ale były momenty, w których łapałam powietrze, a płuca mi się zamykały. Fatalne momenty. Poroziłam jedną ciążę, nie wiem, czy ktoś ci o tym mówił. – Blanche zagryzła wargę. – Miałam mieć córę i teraz nadal myślę czasem, jak by to się potoczyło, gdyby się urodziła. Czy może też miałyby te sznury na szyi. A potem słyszę ciebie i już znam odpowiedź.

Zrobiło mi się bardzo smutno.

– Twoja córka byłaby silniejsza niż ja.

Blanche machnęła ręką.

– Jesteś wystarczająco silna. Problem jest taki, że tutaj siła to nie wszystko. Potrzebny jest jeszcze spryt. – Uniosła brew, w ogóle nie patrząc w moją stronę, ale zwracając się do mnie. – Jesteś sprytna?

– Eee... może?

– Czy masz coś, co pozwala ci wziąć oddech?

Patrzyłam na nią nieporadnie, łamiąc kolejne skorupki.

– Na przykład?

– Ja miałam motocykle. – Na ustach Blanche zagościł nieobecny uśmiech. – Za każdym razem, gdy traciłam grunt pod nogami, wybierałam się na przejażdżkę. To zawsze pomagało. I pytanie, czy ty też masz coś takiego?

Zastanowiłam się.

– Trudno powiedzieć...

– Nie masz absolutnie nic, co pozwala ci się poczuć lepiej?

Zastanowiłam się mocno, bo chciałam dać jej sensowną odpowiedź.

– Na przykład zawsze dobrze się czuję po spotkaniach z Leo.

Blanche od razu się skrzywiła.

– To przyjaciel czy chłopak? – prychnęła i nachyliła się w nieco innym kierunku niż tym, gdzie siedziałam ja. – Słuchaj, to akurat jest najgorsze, co można sobie zrobić. Pamiętaj moje słowa, nigdy nie uzależniaj swojego szczęścia i komfortu od innej osoby. Zwłaszcza od chłopaka. Oni przychodzą i odchodzą, a jak już odejdą, to zabiorą ci wszystko. Idzie się wtedy załamać. Przetrwasz tylko wtedy, jeśli nie pozwolisz, żeby inna osoba definiowała ciebie i twoje życie, a poza tym będziesz miała inne przyjemności.

Spuściłam wzrok.

– A zatem, masz coś jeszcze? – drążyła.

– Lubię... – Wzruszyłam ramionami. – Lubię się uczyć.

– Szkoła to twój obowiązek. Miło jest czerpać przyjemność ze swoich obowiązków, ale wciąż trzeba mieć coś poza nimi.

– To może czytanie?

– Już lepiej. – Blanche skinęła głową. – To coś, co pomaga ci w gorszych chwilach?

– Zdecydowanie. Nie zliczę, ile już się naczytałam przez te wszystkie areszty domowe. Recenzuję też książki w internecie.

– Dobrze więc, jest to jakiś punkt zaczepienia. Teraz kolejna sprawa. – Uniosła kubek. – Wiesz, dlaczego piję to wino?

– Bo je lubisz?

– Jest paskudne.

– Chłopaki mówiły, że twoje wino im smakuje.

Blanche zachichotała.

– Ano, bo boją się powiedzieć inaczej.

Uśmiechnęłam się lekko.

– No to dlaczego je pijesz?

Palce Blanche zacisnęły się mocniej na kubku.

– Bo jest, kurwa, moje.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

– Jest moje i będę się nim opijać do śmierci. Mam całą piwnicę drogich, wymyślnych win z każdego regionu świata, a najczęściej i tak do sączenia wybieram te gorzkie siuśki.

Zaśmiałam się cicho, a Blanche znowu skinęła głową.

– Tak, tak, Hailie. Musisz mieć coś, co jest twoje. Co możesz zrobić po swojemu. W związku z czym możesz podejmować własne decyzje. Nasza rodzina jest potężna, kontrolują właściwie wszystko, więc jako jednostka dobrze jest mieć własne, choćby małe pole do popisu. Ja sama zaczęłam o to walczyć zbyt późno.

– Vince’owi twoje rady by się nie spodobały – zadrwiłam.

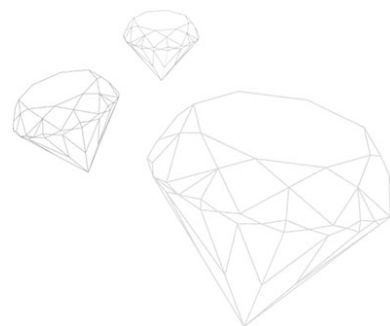
– Jak będzie miał z nimi problem, to wyślij go do mnie, już ja sobie z nim pomówię.

– Zapamiętam to.

Po raz pierwszy pomyślałam sobie, że mam z babką więcej wspólnego, niż mi się dotychczas wydawało.

Blanche, kończąc swoje wino, opowiadała mi już o lżejszych sprawach. Na przykład zdradzała mi tajniki zachowania równowagi pomiędzy wilgotnością a chrupkością orzechów w cieście, zarzekając się przy tym, że nienawidzi piec.

Na koniec zaczął jej się plątać język i przyznała, że wino uderzyło jej do głowy, więc pożegnała się ze mną, a ja odprowadziłam ją z uśmiechem, niespodziewanie pokrzepiona jej towarzystwem.



74

TRZY KONWERSACJE

Orzechy łupałam jeden po drugim jeszcze długo. Robiłam to już automatycznie. Niewidzącym wzrokiem patrzyłam w dół.

– Hailie.

Will stanął na progu kuchni i patrzył na mnie podkrążonymi oczami.

– Już po północy, dlaczego nie śpisz?

Drgnęłam, wyrwana z transu. Rzuciłam okiem na zegar na ścianie, bo trudno mi było uwierzyć, że tak długo tu siedziałam.

– Nie wiedziałam, że już tak późno – odpowiedziałam cicho. – Pomagałam Blanche z orzechami. Dlaczego ty nie śpisz?

Odetchnął.

– Bo i tak bym nie zasnął.

Zbliżył się i uniósł palcami mój podbródek, by zajrzeć mi w oczy. Odłożyłam dziadka do orzechów na bok. Dopiero wtedy sobie uświadomiłam, jak bardzo dłonie zesztyniały mi od pracy.

– Mam ogromne wyrzuty sumienia. Malutka, tak bardzo cię przepraszam.

Rozchyliłam usta, a on kontynuował:

– Nie powinienem był podnosić głosu ani się na ciebie obrażać. Nie zasługujesz na takie zachowanie. Jesteś taka młoda, dobra i delikatna... Powinienem być dla ciebie cierpliwy. Przykro mi, że puściły mi nerwy. Dużo bym oddał, by potrafić kontrolować się tak jak Vince.

Przekrzywiłam głowę, a do oczu znowu napłynęły mi łzy.

– Will, jesteś najcierpliwszą osobą, jaką znam. Weszłam do wody w ubraniach, byłam dziwna, to oczywiste, że się wystraszyłeś...

Przymknął powieki i pokręcił głową.

– To nie jest usprawiedliwienie. Powinienem był z tobą porozmawiać, zrozumieć cię i może pomóc, a nie krzyczeć. Należy ci się o niebo lepsze traktowanie. Obiecuję, że będę nad sobą pracował. Nie chcę, żebyś czuła, że masz sznur na szyi. I nie chcę, żebyś myślała, że nie masz we mnie wsparcia.

– Wiem, że je mam – wymamrotałam.

Odgarnął mi włosy za ucho.

– Naprawdę się o ciebie martwię. Tyle się dzieje... Nie chciałbym, żebyś musiała czekać z terapią, aż wrócimy do Stanów. Myślę, że załatwimy jak najszybciej spotkania online, co uważasz?

– Może to niegłupie – przyznałam.

– Cieszę się, że tak mówisz. Porozmawiam z Vince'em. I... daj mi znać, malutka, gdy będziesz czegoś potrzebowała. Cokolwiek mi powiesz, obiecuję, że nie będę cię oceniał, a spróbuję ci pomóc. W porządku?

Pokiwałam głową, uśmiechnęłam się lekko i podniosłam, by go przytulić, bo oto stała przede mną najlepsza wersja mojego ulubionego brata.

– Bardzo cię kocham, malutka.

Zamknęłam oczy, a twarz wcisnęłam w jego klatkę piersiową.

– Też cię strasznie kocham, Will – odparłam i dodałam, gdy poczułam, że ściska mnie mocniej: – Jesteś moim ulubionym bratem.

– Wciąż? – zaśmiał się cicho. – Bałem się, że straciłem ten zaszczytny tytuł.

– Nigdy go nie stracisz.

Doceniałam jego dojrzałość, bo gdy Tony, na przykład, się na mnie obraził, nie odzywał się do mnie przecież ponad miesiąc. Will tymczasem przeprosił mnie i jeszcze wyznał, że mnie kocha. Też go kochałam, czułam to szczerze w środku.

Tak naprawdę kochałam wszystkich braci Monet, dlatego równo tydzień później, gdy Will przekazał mi nowinę, zrobiło mi się przykro.

Owinięta szczelnie kocem siedziałam w fotelu Blanche na ganku i pisałam recenzję książki. To był spokojny, rześki dzień. Gdzieś obok był pilnujący mnie Sonny, a po ogrodzie jak zwykle kręcił się Benny. W pewnym momencie z chatki wyszedł też Will. Wtedy wiszące w przejściu koraliki zagrzechotały, a deski zaskrzypiały.

Od incydentu na plaży minął tydzień i przez ten czas ani razu już na nią nie poszliśmy. Winą za to obarczyć można pogodę, bo ostatnio się popsowała, ale też podejrzewałam, że miałam niepisany zakaz zbliżania się do oceanu. Wiedziałam, że Will za to chodzi tam codziennie biegać, zwykle rano, gdy ja odbywałam sesję z terapeutką. Vince musiał płacić krocie za to, że były tak elastyczne i częste – zasiadałam do zdalnych spotkań co dwa dni.

Z początku Will nic nie mówił, więc pomyślałam, że ot, tak wyszedł sobie na dwór z kubkiem kawy w ręku. Był świeżo po prysznicu, więc wilgotne włosy przykrył sobie kapturem szarej, grubej bluzy, którą miał na sobie. Stanął najpierw przy barierce i obserwował przez chwilę Benny'ego w ogrodzie, a potem odwrócił się i zmierzył spojrzeniem mnie.

– Powinnaś się cieplej ubrać – zauważył, biorąc łyk kawy.

– Mam koc – odmruknęłam i podciągnęłam go sobie pod szyję.

Widziałam, jak oblizwał usta i potarł sobie też brodę, jakby się na coś szykując. Nie pomyliłam się, bo już zaraz usłyszałam słynne, zwykle niewróżące nic dobrego słowa.

– Hailie, musimy porozmawiać.

Uniosłam głowę, a na dźwięk oficjalnego tonu jego głosu serce zabiło mi mocniej.

– Coś się stało?

– Nic poważnego – uspokoił mnie natychmiast. – Pozmieniały nam się plany.

– Jakie plany?

Will podrapał się po karku wolną ręką, widocznie szukając odpowiednich słów.

– Chłopcy mieli spędzić tu święta...

Uniosłam brew. Czyżby déjà vu sprzed roku?

– Nie przyjadą?

– Wyskoczyła nam pewna... rodzinna uroczystość.

– Co za uroczystość?

– Zaręczyny.

– Och – wymsknęło mi się i zamrugałam. – Czyje?

– Vincenta.

Wybałuszyłam oczy.

– Vincenta... z...?

Will patrzył na mnie ostrożnie.

– Grace.

Książka, której recenzję pisałam, upadła z łoskotem. Nie ruszyłam się nawet, by ją podnieść.

– Co? – sapnęłam w końcu. – Przecież zerwali!

– Cóż, zeszli się.

Zaczęłam kręcić głową.

– Nie. Nie, Will.

Odetchnął głęboko i oparł się tyłem o barierkę.

– Vince’a i Grace łączy długa relacja i każdy spodziewał się, że któregoś dnia zostanie ona przypieczętowana małżeństwem.

– Zerwali! Pamiętam, Vince sam to potwierdził!

Will milczał, pozwalając mi oswoić się z nową informacją. Marnie mi to szło – marszczyłam czoło z przejęcia i rozpacz.

– Rozmawiałeś z nim?

– Uznał, że to odpowiedni moment, żeby się ustatkować, i...

– Teraz? Akurat teraz jest ten odpowiedni moment, gdy ja jestem tu? I ta sprawa z Ryderem...? Czemu tak nagle? – Uniosłam dłoń i od razu opuściłam ją bezsilnie. – I czemu z nią?

– Najwyraźniej uznał, że to najlepsza decyzja.

– Jest najgorsza. Pytam, dlaczego podjął ją tak nagle?

– Nie sądzę, że podjął ją nagle. Znasz Vincenta, jest skryty. Nie oznacza to, że nie myśli o swojej przyszłości. O tym, z kim ją spędzi.

– I ze wszystkich kobiet na świecie wybrał właśnie Grace? – Nawet nie ukrywałam obrzydzenia w głosie, gdy wypowiadałam jej imię.

– Znają się długo, no i mają podobne preferencje oraz oczekiwania względem małżeństwa...

– Ta kobieta to robot! Czy on się kiedykolwiek umawiał z normalną dziewczyną, której celem w życiu nie jest patrzenie z góry na jak największą liczbę osób?

Will przeczesał sobie włosy, patrząc w bok, i mruknął cicho:

– Był w krótkim związku, całkiem niedawno.

– Naprawdę? – Zamrugalam. – Nic nie mówił.

– Oczywiście, że nie. To nie była długa relacja. Vince dał jej szansę, zaprzestał spotkań z Grace. Jeździł często do Nowego Jorku, może zauważyłaś. Szczerze polubił tę dziewczynę. Sam mi się do tego przyznał, a dobrze wiesz, że on waży słowa.

– Co się więc stało?

Westchnął.

– Vince żyje pod ogromną presją, Hailie – powiedział cicho. – Nie jest też prostym człowiekiem. Wie, że jego żona nie będzie miała z nim łatwo. Dodatkowo to była zwykła dziewczyna, poznana przypadkowo, nieznająca naszego świata, stylu życia. Myślę, że Vince bał się ją w niego wciągać... Malutka, on widzi, jak ty sama się męczysz. Wszyscy to widzimy. A przecież jesteś naszą siostrą, jedną z nas. Twoje życie, plus obecne wydarzenia, jeszcze bardziej mu uświadomiły sytuację, w jakiej musiałby postawić nową partnerkę. Vince bał się narażać kolejną kobietę na to, przez co przechodzisz ty. No i przez co przechodziła też... To znaczy...

– Wasza matka – podsunęłam mu wypranym z emocji głosem.

– Nasza matka, tak. Skąd wiesz?

– Opowiadał mi o niej.

Will popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Opowiadał o niej? To... dobrze. Nieczęsto o niej mówi.

– Tylko raz. Mówił mi, że chorowała.

Pokiwał głową, a w jego oczach na ułamek sekundy pojawił się smutek.

– Tak było. I obawiam się, że te doświadczenia skutecznie go zniechęciły do szukania miłości. Grace za to jest bezpieczną kandydatką na żonę.

– To okropne, on zasługuje na miłość. A od Grace jej nie dostanie, przecież ona nie ma ani krzty człowieczeństwa. Will, ja nie chcę jej w naszej rodzinie – jęknęłam.

– Nie jest taka zła. Nie wiemy też, jak się zachowują, gdy są sam na sam. Może jest między nimi coś wartościowego, czego nie widać z zewnątrz.

Uniosłam brwi.

– Nienawidzę jej.

– Hailie, to nie my mamy ją lu...

– Założę się, że Vince też za nią nie przepada – weszłam mu w zdanie.

Westchnął.

– Postaraj się ją zaakceptować.

– Nie zamierzam – burknęłam.

Milczeliśmy przez chwilę. Mój nastrój pogorszył się tak bardzo, że teraz na jego dziennym wykresie reprezentująca go linia znajdowała się gdzieś pod osią. Will usilnie próbował znaleźć słowa, które wyciągnęłyby mnie z przygnębienia.

– Powodem, dla którego w ogóle mówię o tym w tym momencie... – zaczął po chwili – jest przyjęcie zaręczynowe. Odbędzie się tuż przed świętami. Oczywiście wypada, żeby zjawiła się cała rodzina, jednakże

w świetle aktualnych wydarzeń dla ciebie najlepiej byłoby się stąd nie ruszać. Powiedz więc, Hailie, czy zależy ci, żeby tam być?

Uniosłam brwi.

– Czy zależy mi, żeby być na przyjęciu zaręczynowym Vincenta i psychopatki?

– Vince bardzo by chciał, żebyś się zjawiła, ale martwi się o twoje bezpieczeństwo.

– Czy ty się wybierasz? – zapytałam.

– Oczywiście.

– A reszta chłopców? Też będą?

Will skinął głową.

– To będzie spore, formalne przyjęcie z mnóstwem gości, głównie tych biznesowych. Vince jest... głową rodziny, a więc według tradycji musi wyprawić dla innych ważnych osobistości bal zaręczynowy, na którym przedstawi swoją przyszłą żonę. Taka panuje zasada – wyjaśnił.

– W takim razie też chcę tam być – zdecydowałam niechętnie.

Pokiwał głową; chyba spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Sonny będzie ci towarzyszył cały czas, dobrze?

– Jak zawsze. – Wzruszyłam ramionami.

– Hailie?

– Hm?

– Popatrz na mnie.

Posłuchałam, a do oczu z jakiegoś powodu napłynęło mi trochę łez. Ostatnimi czasy czułam się wyjątkowo nadwrażliwa. Kolejna oznaka nędznego stanu, w jakim znajdowała się moja psychika.

– Co, Will?

– Nie smuć się. Wszystko się ułoży. Jeśli masz ochotę, to wieczorem możemy usiąść do komputera i poszukać ci odpowiedniej sukienki, chcesz? Moglibyśmy też spróbować załatwić coś szytego na miarę, choć nie mamy wiele czasu. Co myślisz?

Przystałam na tę propozycję i faktycznie wieczorem zasiedliśmy razem do wyboru sukienki, tak że już niecały tydzień później stałam w niej w swoim wynajętym pokoju w uroczym pensylwańskim pałacyku, w którym odbywało się przyjęcie zaręczynowe. Okręcałam się przed lustrem, żałując, że taka piękna suknia marnuje się na okazję, której współorganizatorką jest Grace.

Will zachęcił mnie do kupienia jednej z bardziej strojnych sukien, bo i wydarzenie przecież było wyjątkowe, a ja, jako siostra Vincenta, będę na językach wszystkich gości jeszcze częściej niż zwykle.

Wyglądałam dziś jak księżniczka i nie mogłaby konkurować ze mną nawet disnejowska elita. Brakowało mi tylko korony na głowie. Will zaproponował, co prawda, diadem, ale odmówiłam. Uznałam, że to mogłoby być o dodatek za dużo.

Suknia była w różnych odcieniach pudrowego różu i lilii. Góra trzymała się na cieniutkich ramiączkach i opinała mój tułów i piersi. Na brzegu dekoltu i pośrodku mostka malował się też dyskretnie haftowany srebrną nitką wzór damasku. Talię podkreślał cienki, srebrny paseczek, spod którego wydobywała się masa gęstych pasm miękkiego tiulu. Było ich tak wiele, że poszerzały dół sukni do igrzysk królewskich rozmiarów. Jej wielką zaletą okazała się wysoka jakość materiału – dzięki temu kreacja ważyła tyle co pióra, i słuchała się każdego mojego ruchu. W tym liliowo-różowym morzu tiulu znajdowały się też sporadycznie umiejscowione płatki kwiatów. Niektóre miały kolor mocniejszego fioletu, inne jasnego różu, a były i takie, co niemal wpadały w biel. Buty założyłam natomiast srebrne i na niewysokich obcasach, ale szczerze mówiąc, przy takiej sukience nikogo one nie interesowały.

Włosy zakręciłam, nałożyłam makijaż, wysikałam się perfumami i przeszłam do apartamentu bliźniaków, żeby spotkać się z chłopcami, poprawić sobie humor i nie myśleć o wiedźmie, która dziś zostanie narzeczoną mojego brata.

Najpierw natknęłam się na Shane'a, który stał ubrany już w czarny gajer, poprawiając sobie muchę.

– A co to za przystojniak? – zagadnęłam go, szczerząc się słodko.

On uniósł kącik ust do góry, rzucając mi spojrzenie w lustrze, po czym wzruszył ramionami i odparł:

– A ja.

Zaśmiałam się.

– Chyba brzydal – rzucił Tony. Wyszedł ze swojej sypialni, pchnął Shane’a i zajął jego miejsce przed lustrem.

– Wyglądamy tak samo, dekle.

Tony obrzucił spojrzeniem swoje odbicie i przeczesał sobie włosy. Zwykle sprawiał wrażenie, jakby własna aparycja mało go interesowała, ale ja dobrze widziałam tę lubieżność w jego oczach, gdy podobało mu się to, co widział w odbiciu. Cóż, czasem dobrze jest być pewnym siebie.

À propos pewności siebie.

– A gdzie moje komplementy? – upomniałam się i cofnęłam, żeby zaprezentować kreację.

Shane uśmiechnął się szeroko.

– No wiadomo, że wyglądasz pięknie, mała księżniczko.

– Za dużo przestrzeni zajmujesz tą suknią, nie da się obok ciebie nawet stanąć – stwierdził Tony.

– Jak ci się nie podoba, to wcale nie musisz stawać obok mnie – odpyskowałam.

– Obojętnie mi. Byleby nie wylądować nigdzie w pobliżu Vince’a.

– O tak – zgodził się Shane. – Nie wiem, Hailie, czy go dziś widziałaś, ale jest strasznie drażliwy.

– Nie miałam okazji, całe szczęście – mruknęłam. – Ale nie dziwię mu się. Też bym była drażliwa, gdybym musiała oświadczyć się dziś tej żoźie, Grace.

– Co, jeśli od dzisiaj on zawsze taki będzie? – wyszeptał dramatycznie Shane.

– Jeszcze gorszy niż zwykle? – Tony się skrzywił. – Nie wiem, chyba nadejdzie czas na pełnoetatową wyprowadzkę.

– Nie, błagam, nie możecie mnie zostawić! – zawołałam z przerażeniem.

– Gdzie cię chcą zostawić? – zapytał Dylan, pojawiając się nagle za mną.

Ubrał się jak bliźniacy i mimo iż był od nich trochę wyższy i postawniejszy, to w tej chwili chłopcy mogliby nawet spróbować udawać trojaczki, gdyby naprawdę bardzo chcieli, i dają głowę, że nabraliby wiele osób.

– Mówią o wyprowadzce – poskarżyłam się.

– Ta, już ci się te wygodne dupy wyprowadzą. Daj spokój, przestań im wierzyć w każde słowo, dziewczynko – wyśmiał mnie Dylan.

Nagle przykryłam usta dłonią – delikatnie, by nie zmazać sobie perłowej szminki.

– A czy Grace wprowadzi się do nas?!

– Cholera wie.

Staliśmy tak i dyskutowaliśmy o obecnej sytuacji. Już wczoraj, gdy przyleciałam z Willem z Kanarów, spędziłam z świętą trójcą miły wieczór, obgadując bez litości przyszłą narzeczoną naszego brata. Żadne z nas za nią nie przepadało, ale to chyba mnie należał się tytuł jej naczelnej hejterki. Dziś znowu zaczynałam się nakręcać, aż pojawił się Vincent i zamilkliśmy.

Nasz najstarszy brat prezentował się tak, jak wszyscy spodziewaliśmy się, że prezentować się będzie. Nienagannie, w perfekcyjnie skrojonym na miarę garniturze, z posłusznie zalizanymi w tył włosami i ostrym, pewnym siebie spojrzeniem, które zdawało się wyzywać nas do wypowiedzenia choćby słowa krytyki. Wydawał się spięty, ale zupełnie nie w taki uroczy sposób jak chłopak denerwujący się przed poproszeniem dziewczyny o rękę. Nie, Vince wyglądał tak, jakby zamierzał zabić wzrokiem każdego, kto spróbuje odezwać się do niego bez pytania.

Lecąc tu, marzyłam o tym, żeby udało mi się porozmawiać z najstarszym bratem i spróbować siłą mego uroku osobistego przekonać go, żeby rzucił to wstrętne babsko i dał sobie szansę na miłość, ale on okazał się zbyt zajęty na dłuższą rozmowę. Wręcz celowo jej unikał. Pytał jedynie o moje samopoczucie, kładąc nacisk na zdrowie psychiczne, a potem, gdy to ja spróbowałam dowiedzieć się czegoś na temat sytuacji

z Ryderem lub genezy jego durnowatego pomysłu zaręczyn z Grace, on zbył mnie bez skrpułów. Czyli klasycznie.

Jeszcze zanim przyjechali pierwsi goście, przechadzałam się po budynku, zachwycając się jego wnętrzem. Wystrój panował tu surowy, ale bardzo dostojny. Moje buty stukały po kamiennych posadzkach, podczas gdy pantofle Sonny'ego, który wszędzie za mną podążał, zostawiały ciszę. Często zatrzymywałam się, by podziwiać obrazy na ścianach, i czasem nawet komentowałam je na głos, dostarczając rozrywki ochroniarzowi, sądząc po tym małym uśmiechu na jego poważnej zwykle twarzy. Oprócz towarzystwa Sonny'ego miałam też, jak zwykle na balu, opaskę na udo, gdzie polecono mi schować telefon.

Nie udało mi się przejść całego pałacyku, bo spora jego część była wyłączona z użytkowania. Tylko dwa skrzydła zostały nam udostępnione – to z salą balową i wychodzącą na dwór altaną oraz z pokojami dla najważniejszych gości, czyli rodziny, rodziny przyszłej narzeczonej i kilku innych VIP-ów.

Jeden apartament zarezerwowany został dla Mayi i wujka Monty'ego, ale kilka dni przed wydarzeniem na skórze Flynna pojawiły się pierwsze czerwone krosty i teraz ciocia Maya musiała zajmować się nie tylko chorym synkiem, ale i mężem. Tak, wujek Monty nie przechodził ospy w dzieciństwie i teraz podobno szykował się na śmierć. Rozbawiło mnie to, ale też przykro mi się zrobiło, bo spotkania z ciocią Mayą były czymś, za czym bardzo tęskniłam.

Shane i Tony zapowiedzieli, że połowę imprezy spędzą w jednej z komnat, która podobno została przerobiona na łóżę cygar. Ja się tam za nimi nie pchałam, bo wiedziałam, że marne były szanse, iż zostanę tam wpuszczona chociażby ze względu na mój wiek. Poza tym nie chciałam, żeby suknia i włosy zaśmierdły mi od dymu. Dylan też na moment mnie zostawił, bo wyszedł na dwór, żeby w spokoju odebrać telefon od Martiny.

I to mniej więcej wtedy, gdy zostałam na chwilę sama, nastąpiły jedna po drugiej trzy konwersacje. Dwie pierwsze mój mózg wyparł na chwilę obecną ze względu na tę trzecią. To ona wywołała u mnie eksplozję adrenaliny i to podczas niej zapanował chaos – zmieniło się wszystko.

To bardzo dezorientujący opis, wiem, ale na potrzeby tej historii muszę opowiedzieć ją właśnie w taki sposób.

Najpierw przechadzałam się wśród gości, budząc zachwyt swoją suknią. Zbierałam z uśmiechem słowa uznania, chodząc wszędzie tam, gdzie nie spodziewałam się wpaść na Grace. Gdy dostrzegłam ją na sali, niebezpiecznie blisko mnie, zrobiłam w tył zwrot, jeszcze zanim mój mózg zdążył mnie zdradzić i docenić to, jak dobrze wyglądała w srebrnej sukience składającej się z samych mieniących się, prostych frędzli, które powabnie poruszały się z każdym jej ruchem.

Uciekłam przed nią do holu wejściowego, żeby nie musieć jej pozdrawiać. Wiedziałam, że tutaj się na nią nie natknę, bo była zbyt dumna, by witać nadchodzących gości już na progu. Wolała, żeby ludzie sami się do niej fatygowali.

Hol był ciemny i ponury, ale przybywający ludzie przynosili ze sobą dobre humory, zadowoleni z perspektywy uczestnictwa w tak wyjątkowej okoliczności. Wraz z nimi przez wielkie wejściowe drzwi wpadało też rześkie powietrze z dworu. Aktualnie w Pensylwanii panowała piękna zima, taka z białym śniegiem, ale bez deszczu czy zamieci. To była dla mnie spora odmiana po ciepłych Kanarach. Łatwo można oszaleć od tych zmian temperatur.

A mówiąc o szaleństwie...

Pierwsza konwersacja miała miejsce właśnie tutaj.

Niedaleko komnaty przerobionej na szatnię, w której wieszane przez specjalnie zatrudnioną obsługę były wszystkie drogie płaszcze gości, zaczęła mnie jakaś kobieta. Dopiero po krótkiej chwili rozpoznałam w niej Ruby, prawą rękę Vince'a z fundacji, i prawie pisnęłam na jej widok. Zawsze doceniałam jej pozytywną energię oraz przyziemne usposobienie. Dziś stała przede mną i z całej naszej rozmowy zapamiętałam jedynie jej workowatą, zieloną sukienkę w brązowe kwiaty i to, że na twarz nie nałożyła ani grama makijażu. Pamiętam też, jak ucieszyłam się, że Vince postanowił ją zaprosić, nawet jeśli było to ze zwykłej kurtuazji.

Wiem, że mówiłyśmy o czymś ważnym. Wymieniwszy z nią kilka grzeczności, ja, chyba wiedzioną impulsem, zadałam jej pytanie.

Zanotowałam w głowie, jak jej twarz wtedy zmieniła wyraz z serdecznego na skupiony i profesjonalny.

Drugą konwersację nawiązałam dosłownie minuty później.

Ruby poklepała mnie pokrzepiająco po ramieniu i odeszła. Opuszczały mnie emocje i zaczynały nachodzić wątpliwości, ale szybko zostały zepchnięte na drugi plan. Na pewno pamiętam, że gryzłam się, czy dobrze robiłam. Moje zmartwienie nie trwało długo, bo już zaraz zaczęła mnie kolejna kobieta, tym razem obca. Z tamtej chwili pamiętam swoją ostrożność i to, jak rozejrzałam się za Sonnym, bo po przepowiedni Rydera, byłam do obcych kobiet nastawiona negatywnie.

Szczupła nieznajoma była ubrana w brązowy kombinezon z obcisłą górą i szerokimi nogawkami. Miała złotą obręcz na szyi i zegarek w podobnym, klasycznym stylu, ale poza tym nie przesadziła ze strojnnością. Stałyśmy naprzeciwko siebie jak totalne przeciwieństwa. Włosy koloru kawy z mlekiem miała spięte w kok, makijaż delikatny, na powiekach brązowe cienie. W oczy rzucił mi się też jej ładny, hollywoodzki uśmiech.

Pamiętam, że pytała o Grace i sprawiała wrażenie, jakby nie czuła się komfortowo. Pamiętam też, że zainteresowała się, gdy powiedziałam jej, że jestem Hailie Monet. Nie powinno mnie dziwić, że kojarzy moje imię i nazwisko. Cała impreza została wyprawiona właśnie dla tego biznesowego światka, w którym obracali się moi bracia, więc to było oczywiste, że każdy wiedział, kim jestem.

Co jeszcze... Rozmowa z kobietą toczyła się gładko, chyba złapałam z nią wspólny język. Chyba niespodziewanie ją polubiłam. Chyba skarżyłam jej się na coś...

Dlaczego nie pamiętam?

Nie pamiętałam z powodu kolejnych wydarzeń.

Tę dopiero rozpoczynającą się imprezę przyćmiły szok i adrenalina. Rozmyły jej początki.

Wyraźne, jaskrawe wręcz wspomnienia zachowałam dopiero z trzeciej konwersacji.

Stałam zwrócona twarzą ku szerokim oknom, pod którymi znajdował się długi stół bogato zastawiony tacami ze świeżo przyrządzonymi drinkami,

butelkami drogich alkoholi, ponczem oraz różnymi napojami bez procentów do wyboru. To po jeden z nich sięgałam, zdecydowawszy się na sok porzeczkowy, podczas gdy stojący obok mnie Adrien łapał właśnie za karafkę whisky.

Uśmiechał się dobrze mi znanym figlarnym uśmiechem.

– Łączą nam się rodziny – powiedział, nawiązując do czegoś, co mówił wcześniej.

– Szkoda tylko, że przez twoją siostrę – odparłam cierpko. Nie przestawałam demonstrować niechęci, którą żywiłam wobec Grace.

– To nierozsądne mówić o niej w takim tonie, zwłaszcza przy mnie – wytknął mi, ale nie wyglądał na zagniewanego.

– Nie będę kłamać, że ją lubię.

– W takim razie nie zazdroszczę. Czy to nie tak, że formalnie ona będzie teraz twoją macochą? – zakpił, unosząc szklaneczkę z whisky do ust.

– Faj, w życiu – skrzywiłam się.

– A ja w takim razie wujkiem? – Adrien udał, że się zastanawia.

Odstawiłam sok na blat, bo momentalnie zebrało mi się na wymioty.

– Vince to mój brat, nie ojciec, co z tobą?

Adrien uniósł ze śmiechem dłonie w górę.

– Tylko żartuję.

– Zabawne.

Kręciłam zdegustowana głową, bo nie ukrywam, że na samą myśl o Grace jako mojej macosze przechodziły mnie ciarki i brzmiało to w mojej głowie niczym najgorszy koszmar.

Sięgnęłam po szklaną karafkę z sokiem, by sobie go dolać, i rzuciłam ostatnie, poirytowane spojrzenie Adrienowi, który nadal patrzył na mnie z rozbawieniem. Wiedziałam, że na tym przyjęciu nie obędzie się bez interakcji z nim. Jak ja się tu obok niego znalazłam? Nie powinnam z nim w ogóle rozmawiać. Wciąż chowałam zbyt wiele uraz, by chichotać z nim jak z dobrym kumplem, poza tym wiedziałam, że jest współnikiem Vincenta. Mógłby się tak nie spoufalać.

Gdy złapałam go na tym, jak jego oczy wędrują z mojej twarzy nieco w dół i tam się zatrzymują, zastygłam. Nie dowierzałam. Czy on gapił się na mój biust? Zmarszczyłam brwi i czekałam, aż uniesie spojrzenie, natrafi na moje, karcące, i co najmniej się zawstydzi. Chciałam syknąć coś do niego i odejść, ale on wciąż tam patrzył, a jego rozbawienie powoli zaczynało znikać.

Zmrużyłam powieki na widok jego uniesionych w zdziwieniu brwi. Wtedy wydawało mi się, że trwało to długie minuty, ale w rzeczywistości wszystko działało się bardzo szybko.

Powędrowałam wzrokiem za jego spojrzeniem, żeby zrozumieć, na co reaguje w taki dziwny sposób. Do głowy przyszło mi, że czymś się poplamiałam.

Moja suknia miała się jednak dobrze. Nie zniszczyła się, nie zaciągnęła, nie pobrudziła. Patrzyłam na swoją klatkę piersiową i materiał, z początku nie rozumiejąc, dlaczego twarz Adriena wyrażała teraz przerażenie, aż w końcu to dostrzegłam.

Wciągnęłam powietrze do płuc.

We wzorze na mojej sukni gubiła się maleńka czerwona laserowa kropeczka. Odruchowo chciałam ją strzepnąć, gdy tylko ją zobaczyłam, ale ona szybko powędrowała do góry i odbiła się od nagiej skóry na moim dekolcie.

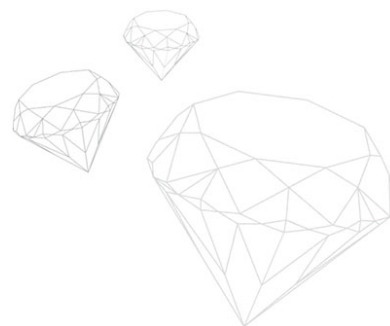
Zdezorientowana uniosłam wzrok na Adriena, a on w tej samej chwili odwzajemnił moje spojrzenie. Na jego twarzy wszystkie emocje były teraz widoczne jak na dłoni, a ja stałam jak wryta, bo nie rozumiałam, co się dzieje.

Czas się zatrzymał, gdy pustym wzrokiem spojrzałam w okna na niepozorny las i pokrytą białym puchem ziemię.

A potem momentalnie poczułam ból w ramieniu i nieprzyjemne, ostre szarpnięcie, które poprzedził głośny, spanikowany krzyk Adriena:

– Padnij!

I się zaczęło.



75

PANNO MONET

Padłam.

Karafka z sokiem porzeczkowym, którą wypuściłam z rąk, poleciała na ziemię razem ze mną. Szklane naczynie potłukło się, a jego ciemna zawartość rozlała się na posadzce, płamiąc moją suknię.

Na pierwszy rzut oka nie było widać, by czarny garnitur Adriena ucierpiał tak samo, choć mężczyzna znajdował się tuż obok mnie – razem kuliliśmy się na podłodze, szukając schronienia za stołem, byle z dala od okien.

On właśnie raptownie zabierał ode mnie palce, jakby moja skóra poraziła go prądem. Trzymał je wcześniej na moim ramieniu, mocno zaciśnięte, gdy ciągnął mnie w dół. Zostawił mi w tym miejscu czerwony ślad, który bolał, i potarłabym go dłońmi, gdyby nie to, że instynktownie opłotłam nimi głowę, brodę przyciskając do klatki piersiowej. Zupełnie jakby mogło mnie to ochronić przed śmiercią od strzału w skroń lub czoło.

W tej pozycji jednocześnie próbowałam zerkać spod łokcia na salę, z walącym sercem obawiając się tego, co zobaczę. Przez krótki moment nic się nie działo. W pierwszej sekundzie ja i Adrien rzuciliśmy się na podłogę, w drugiej stojący najbliżej nas goście oglądali się na nas z zaskoczeniem.

W trzeciej marszczyli brwi i unosili głowy, żeby spojrzeć na okna. Dopiero w czwartej rozbrzmiały pierwsze strzały.

To nie był głośny huk, do jakiego byłam przyzwyczajona ze strzelnicy. Te wystrzały były ciche i podstępne. Z sykiem wbijały się w szyby, które roztrzaskiwały się w akompaniamencie dźwięku kruszonego szkła. Miał on w sobie coś delikatnego, ale i hałaśliwego – jakby ktoś przesypywał szklane kawałki z jednego porcelanowego kontenera w drugi. Aż rozdzwoniło mi się w uszach.

Ludzie zorientowali się, że zrobiło się niebezpiecznie – wydawali głuche okrzyki, padali na ziemię, uciekali na boki. Inni krzyczeli, by kucać, kłaść się, usunąć z linii ognia.

Trudno było rozróżnić, które krzyki powodowane były bólem, a które tylko przerażeniem. Posadzka w sali usłana była teraz kolorowymi sukienkami rozplaszczonych na niej pań i odzianymi w garnitury sylwetkami panów. Każdy się chował i kulił, każdy więc wyglądał, jakby potencjalnie mógł ucierpieć.

Seria strzałów zdawała się trwać godzinami, choć w rzeczywistości była bardzo szybka. Każdy znieruchomiał wreszcie i modlił się tylko o koniec – ja też. A gdy on nastąpił i powoli zaczęła rozbrzmiewać cisza, ludzie zaczęli się poruszać. Najpierw ostrożnie, ale nie trzeba było długo czekać, żeby wybuchła panika, taka, której zaczęły towarzyszyć stopniowo nasilające się wrzaski, nawoływania i przepychanki.

Z ciężką, lepką kulą w gardle wyciągałam szyję, szukając wzrokiem znajomych twarzy. Przecież cała moja rodzina znajdowała się na tym cholernym przyjęciu, a nie widziałam teraz nikogo z nich. Coraz bardziej panikowałam, łzy napłynęły mi do oczu, zniekształcając obraz, i jeszcze trudniej było mi cokolwiek dostrzec.

Muszę ich znaleźć, muszę zobaczyć, że nic nikomu się nie stało...

– Panno Monet! – zawołał Sonny, który nagle się pojawił, kucając tuż przede mną.

Podtrzymał mnie za ramię, na szczęście nie to, które było obolałe po uścisku Adriana. Omiótł mnie wzrokiem, upewniając się, że nic mi nie jest, a ja, ucieszywszy się na chwilę, że i on wygląda na całego, zaczęłam się

wychylać zza jego szerokich barków, by kontynuować poszukiwanie moich braci.

– Gdzie oni są? – zawołałam zachrypłym głosem, błędząc wzrokiem po pogrążonej w chaosie sali.

Intuicyjnie chciałam się podnieść i rzucić w tłum, ale Sonny mnie powstrzymał, mrucząc, że jeszcze nie czas, że lepiej zostać w miejscu.

Adrien też nie wstawał. Skupionym i zaskakująco jak na te okoliczności trzeźwym spojrzeniem skanował salę. W końcu on też miał tutaj swoich bliskich... Ktoś właśnie dopadł do jego boku, tak jak przed chwilą do mojego dopadł Sonny. Ubrany był w prosty czarny garnitur, miał pistolet w ręku i słuchawkę w uchu. Nie wyglądał jednak, jakby miał Adrienowi zagrażać, zapewne był jego prywatnym ochroniarzem. Zaczął przekazywać mu do ucha jakieś instrukcje. Adrien go słuchał, ale nie przestawał sondować pomieszczenia spojrzeniem ciemnych oczu.

– Psst.

Odwróciłam głowę.

Nieopodal kucał młody kelner, który wcześniej rzucił mi się w oczy, gdy niósł tace z alkoholami. Teraz machał na mnie, próbując ściągnąć moją uwagę. Z jego bardzo czarnymi włosami i ciemną karnacją kontrastował jasny strój, białka jego oczu i zęby, które mignęły mi, gdy rozchyłał usta.

– Wejdź pod stół – poradził mi, odchylając sięgający ziemi obrus.

Zerknęłam nieufnie na pustą przestrzeń pod długim, ciągnącym się przez prawie całą salę bufetem.

Nie ruszyłam się, ale mimo to Sonny wyciągnął ramię na wysokości mojej piersi, blokując mnie niczym szlaban. Mój zawsze podejrzliwy ochroniarz marszczył też brwi.

– Tędy łatwo przejdziesz do tamtych drzwi – wyjaśnił kelner. Odrobinę sepleniał. Wskazywał na otwarte drzwi, które robiły tu za boczne wejście. Rzeczywiście znajdowały się tuż przy końcu stołu. – Bez przepychania się przez tłum.

Nadal nie reagowałam, a on pokiwał energicznie głową i dał nura pod obrus. Rozglądałam się po kłębiących się w popłochu ludziach, wypatrując

znajomych twarzy, ale zezowałam też w stronę końca stołu, czekając, aż chłopak się tam wynurzy.

Gdy tak się stało, podniósł się i przylgnął do ściany, a wtedy spojrzał prosto na mnie. Szarpnął głową znacząco w stronę przejścia. Niektórzy ludzie zmierzali w tamtą stronę, ale większość jednak próbowała wydostać się stąd przez główne drzwi.

– Hailie! – usłyszałam nagle czyjś krzyk, który niemal zgubił się w całym tym harmidrze, ale głos był mi znajomy, dzięki czemu udało mi się namierzyć wzrokiem jego właściciela.

Dylan, który właśnie dotarł na salę, przedzierał się przez tłum w przeciwnym kierunku do tego, w którym podążała większość ludzi. Twarz miał spiętą i zaalarmowaną, oczy szeroko otwarte, a w nich przejęcie i determinację, jakich nie widziałam u niego nigdy. Przepychał się, nie dbając o to, na kogo naprze swoimi wielkimi bicepsami. Miał misję. Niestety, nie widział mnie. Każdej mijanej twarzy poświęcał ułamek sekundy na przyjrzenie się.

– Dylan, jestem tutaj! – odkrzyknęłam i nawet pomachałam mu obiema rękami, ale mnie nie widział. Ani nie słyszał, bo mój cienki głos zagłuszył wszechobecny chaos.

Chciałam wstać, ale Sonny ponownie mnie powstrzymał. Wyjął telefon i wstukał coś na ekranie, może dawał komuś znać, gdzie jesteśmy? Nie wiem, ale Dylan i tak nie wyglądał w tej chwili na kogoś, kto odczytałby SMS-a. Wyciągał szyję i co chwila znikał w tłumie, zasłonięty przez kłębiących się ludzi.

Prychałam z frustracją, ciągle machając i wołając go, gdy nagle zobaczyłam, jak obok Dylana pojawia się tamten kelner. Znowu błyskał białymi zębami, gorączkowo tłumacząc coś Dylanowi i pokazując na tylne drzwi, które wcześniej wskazywał również mnie.

Zmarszczyłam brwi.

Dylan wskazał na nie, żeby się upewnić, a kelner pokiwał prędko głową i ruchem ręki pokazał najpierw na przejście, a potem kierunek w lewo. Dylan rzucił się w tamtą stronę, a pionowa zmarszczka na moim czole się pogłębiła.

Wtedy kelner odwrócił się i odnalazł moje spojrzenie. Ostatni raz zobaczyłam jego zęby, gdy się uśmiechnął złowroźnie, a potem zniknął, pożarty przez spanikowany tłum.

Zamarłam.

A potem, wiedziona impulsem, uniosłam obrus i wślizgnęłam się pod stół. Zarejestrowałam tylko, jak Adrien zerka na mnie i unosi zaskoczony brwi, a także usłyszałam, jak Sonny za mną woła. Zignorowałam ich. Poczułam, jak mój ochroniarz ciągnie mnie za rąbek sukienki, ale poza tym, że naderwał delikatny materiał, nie udało mu się mnie zatrzymać. Powtarzał moje imię i chyba nawet w pewnym momencie zaklął.

Zgarbiona raczkowałam w pośpiechu przez cały długi tunel, jaki się tu tworzył. Opadający po obu stronach obrus zapewniał dyskrecję i odcinał mnie od piekła, które rozgrywało się na sali. Słyszałam, jak ktoś drze się piskliwie, że trzeba zatamować krwawienie. Zrobiło mi się niedobrze.

Podrażniłam sobie kolana, golenie, jak również łokcie i nadgarstki, dlatego sapnęłam z ulgą, gdy w końcu mogłam wynurzyć się spod bufetu. Nie omieszkłam walnąć się czubkiem głowy o kant stołu, ale zignorowałam mocny ból zapowiadający guza, skoncentrowana na odszukaniu Dylana.

Przeciskałam się między ludźmi, nie dbając o nic. Zepchnęłam na bok jakąś niższą ode mnie kobietę i nadepnęłam pewnemu panu na but. Wydostawszy się przez zbyt wąskie jak na tyłu napierających przejście, wskazane wcześniej przez kelnera zarówno mnie i Dylanowi, mogłam już trochę odetchnąć. W korytarzu ścisk wciąż był duży, ale jednak troszkę się tu przerzedziło i po prawej stronie widać było w oddali otwarte na oścież drzwi główne do budynku, przez które można było dojrzeć jasne niebo i poczuć świeże, nieskażone paniką powietrze.

Niestety ten przeklęty chłopak pokierował Dylana w lewą stronę i to zapewne tam pobiegł mój brat.

Wyskoczyłam z płynącego na prawo jak rzeka tłumowi i odbiłam w przeciwnym kierunku. Do tej części korytarza nikt nie zbaczał. Każdy szukał wyjścia, nikt nie pakował się do ciemnego skrzydła budynku. Kiedyś stały tu gustowne złote słupki połączone ozdobnym czerwonym sznurem,

które informowały o braku przejścia. Ktoś je powalił, bo teraz leżały przewrócone.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam niezważającego na nic, taranującego je w pośpiechu Dylana.

Rzuciłam się biegiem. Moje buty stuknęły na posadzce, a płytki oddech odbijał się od ponurych ścian. Gdzieś tam wisiały na nich obrazy i szczególnie przerażały mnie te przedstawiające portrety dostojnych starszych panów lub pań, którzy łypali na mnie surowo, jakbym mąciła ich spokój.

– Dylan! – wołałam, drżąc w tej nieprzyjemnej ciszy. Nie była głucha, bo oprócz moich kroków słyszeć było w tle echo dramatu rozgrywającego się w głównej części budynku. – Dylan! Dylan!

Ciemny korytarz ciągnął się i zakręcał to w prawo, to w lewo, aż w końcu w oddali dostrzegłam jasne światło. Wystrzeliłam w tamtą stronę pełną nadziei, że spotkam tam brata. Może będzie stał w towarzystwie bliźniaków i nakrzyczy na mnie, że odłączyłam się od Sonny’ego...

– Panno Monet!

Odwróciłam się, nie zwalniając.

Hm, może wcale się od niego nie odłączyłam.

Użyło mi, że za mną podążył. Zamiast mu jednak odpowiedzieć, wciąż nawoływałam Dylana, ale nie wydzierałam się już tak bardzo. Im bliżej znajdowałam się tej jasności na końcu holu, tym gorsze przeczucie miałam. Co, jeśli on wcale tu nie wbiegł? Co, jeśli to pułapka? To akurat było bardzo prawdopodobne, no bo w końcu o co chodziło tamtemu kelnerowi?

Na dodatek bieg przez ciemny korytarz w stronę światła skojarzył mi się z brzydką metaforą śmierci i aż zastanowiłam się, czy ja czasem nie umieram.

Bardzo nie chciałam umrzeć.

Zwolniłam i cała się spięłam, gdy wkraczałam do otwartego pokoju na końcu korytarza. Czułam się jak bohaterka książki, która przeniesie się zaraz do innego świata. Czy się do niego faktycznie przeniosłam, tego nie wiem. Nie poczułam różnicy, musiałam tylko zmrużyć oczy.

Pokój był zadziwiająco przytulny, choć niezbyt liczne, ładne meble, które tutaj stały (jak spora kanapa na giętych nogach, okrągły stolik z ciemnego drewna na jednej nóżce czy szklana gablotka, idealna do wyeksponowania wyjątkowej zastawy stołowej) przykryte były przezroczystymi płachtami, chroniącymi je przed kurzem.

Moje kroki przytłumił gruby, wzorzysty dywan. Zatrzymałam się na chwilę pośrodku niego i zdeorientowana rozejrzałam się wkoło.

Spore okna przysłonięto ciężkimi kotarami, które nie przepuszczały blasku słońca, ale za to drzwi do ogrodu otwarto na oścież, a podmuchy wiatru z białego dworu igrały z poszarzałą już ze starości firanką. To to przejście odpowiadało za panującą tu światłość. Gdy upewniłam się, że pokój jest opuszczony i pusty, zbliżyłam się do wyjścia na zewnątrz. Serce waliło mi coraz mocniej.

Podwórze składało się z placyku zasypanego śniegiem, w bliskiej odległości widać było ścianę gęstego lasu. Zaczęłam znowu drzeć, bo natychmiast zrobiło mi się zimno. Co więcej, przed oczami jawił mi się okrutny spokój. Bardzo mi tu nie pasował, zwłaszcza że wiedziałam, iż od frontu dworku ludzie się traktują w strachu o własne życie.

Dlaczego tutaj jest tak spokojnie?

Gdzie jest Dylan?

Intensywnie szukałam odpowiedzi szczególnie na to drugie pytanie. Wtedy dostrzegłam ślady na śniegu. To były ślady dużych męskich butów. Mogły należeć do Dylana, ale było ich dużo, więc albo mój brat chodził w tę i z powrotem, albo więcej ludzi niedawno przeszło z tego pokoju w stronę lasu.

I co ja miałam zrobić? Wracać? Iść do przodu? Wierzyłam, że Dylan tam polazł. Właściwie to byłam o tym przekonana. Wpadł do tego korytarza niewiele wcześniej przede mną i raczej nie miał czasu zawrócić. Na pewno pobiegł prosto do lasu. Na pewno nawet nie przystanął w progu, tak jak ja, żeby się zastanowić, tylko wiedziony jednym ze swoich słynnych impulsów po prostu gnał przed siebie.

– Panno Monet! – To znowu rozbrzmiał głos Sonny’ego. Wiedziałam, że gdy tylko mnie dopadnie, powstrzyma mnie przed dalszą pogonią za

Dylanem. Dla niego priorytetem było zapewnienie bezpieczeństwa przede wszystkim mnie.

Na tę myśl spanikowałam i rzuciłam się biegiem przed siebie. Podążałam wydeptaną w śniegu ścieżką, ale nie uratowało mnie to przed natychmiastowym przemoczeniem moich nieprzystosowanych do takich warunków butów. Dolna część sukni majtała mi się przy kostkach i niezwykle mnie irytowała, ale byłam zbyt roztrzęsiona, by ją przytrzymać.

Przed wkroczeniem do gęstego i mrocznego lasu zatrzymałam się jeszcze na ułamek sekundy, wahając się. Wtedy kątem oka dostrzegłam nieruchomy czarny kształt, który wyraźnie wyróżniał się w tym białym krajobrazie.

Człowiek.

Leżał bez ruchu cały siny, nie wiem, czy to przez mróz, czy dlatego, że był martwy. Nie jestem w stanie opisać strachu, jaki poczułam, gdy dopuściłam do siebie myśl, że to może być Dylan. Prawie zemdlałam. Nie stało się to tylko dlatego, że dostrzegłam więcej szczegółów – mężczyzna ubrany był w kurtkę moro i miał słuchawkę w uchu. Wyglądał jak stróż, ochroniarz albo zdrajca, trudno było mi to ocenić. Jako że nie byłam pewna, po czyjej był stronie za życia, nie opłakiwałam go jeszcze, tylko ruszyłam dalej, bo mimo bólu, smutku i przerażenia wywołanego widokiem martwego ciała poczułam jeszcze większą motywację do odnalezienia brata.

W swojej liliowo-różowej sukni musiałam wyglądać pośród drzew niczym leśna wróżka. Nawoływania Sonny'ego przybrały na intensywności. Też już wybiegł na dwór i lada moment miał mnie dogonić. Tym bardziej zdeterminowana byłam, żeby sunąć do przodu. Moja suknia raz po raz zaczepiała się o sterczące gałązki i nie zliczę, ile razy ciągnęłam ją bez litości, strzepiąc jej materiał.

Wciąż podążałam po śladach. Z jednej strony bałam się odkrycia, czyje one mogą być, z drugiej cieszyłam się, że mam jakiś punkt zaczepienia. Inaczej z pewnością bym się tu zgubiła. Wszystko wkoło było takie same, każde łyse drzewo, każdy zbrązowiały krzew. Jakby ktoś wpuścił mnie do niedopracowanej gry komputerowej.

Innym pożytkiem ze śniegu było to, że od razu rzucił mi się w oczy telefon, który leżał na mojej drodze. Cały czarny, wyróżniał się już z daleka. Zmrużyłam oczy i zanim się po niego schyliłam, rozejrzałam się podejrzliwie wkoło.

– Panno Monet!

Wzięłam telefon do ręki. Był zimny, ale nie zmarzł jeszcze na tyle, żeby nie dało się go włączyć. Wystarczyło, że odblokowałam ekran, a prawie wypuściłam go z palców.

Z tapety tej przeklętej komórki uśmiechała się do mnie Martina.

Dylan całował ją w żuchwę, a ona marszczyła nos i szczyrzyła zęby. Jej ciemne oczy błyszczały szczęściem, palce trzymała na uchu kufla piwa, który stał na stole przed nimi.

Zacisnęłam dłoń na obudowie aparatu i zebrało mi się na wymioty. Serce galopowało mi, a broda drżała – tak bardzo, bardzo się właśnie wystraszyłam.

– Hailie – odezwał się Sonny, tym razem z bliska. Przystanął gdzieś niedaleko za mną, nieco zdyszany, mniej jednak niż ja.

Ekran telefonu zgasł, a ja spuściłam wzrok, żeby go odblokować, i wtedy zobaczyłam ją znowu.

Małą czerwoną kropeczkę, która hasała zaczepnie wśród odcieni pudrowego różu i fioletu oraz srebrnej nitki w górnej części mojej fantazyjnej kreacji.

Błyskawicznie poderwałam głowę do góry. Mrużyłam oczy, próbując wypatrzeć snajpera, ale wśród drzew i śnieżnej scenerii nie widziałam nikogo, ani żywej duszy.

Na moje czoło wstąpiły krople potu i zaczęłam się cała trząść, jak jeszcze nigdy wcześniej. Upuściłam telefon i zdrętwiałymi dłońmi zaczęłam otrząpywać swoją suknię, jakby oblażło mnie stado pajaków. Jakbym mogła w ten sposób pozbyć się czerwonej kropki.

Przez jedną naiwną chwilę wierzyłam nawet, że to zadziało, bo proszę bardzo – zniknęła.

Poruszałam tiulem, upewniając się, że to prawda.

– Na ziemię!

Na ziemię, no tak! Dopiero ten okrzyk Sonny’ego przypomniał mi, co należy zrobić, gdy jest się na celowniku snajpera, i po raz drugi dziś rzuciłam się w dół. Rozłożyłam się na pokrytej mokrym, lodowatym śniegiem ściółce jak naleśnik. Krzywiąc się z dyskomfortu, znowu osłoniłam głowę i przez chwilę trwałam tak przerażona tym, co się zaraz wydarzy.

Przecież my tu nie mamy szans ze snajperem. Wybije nas jak muchy.

A może on wcale nie chce mnie zabić? Celował do mnie w sali, celował także tu i za każdym razem zdawał się mieć dobre warunki do odebrania mi życia. Nie zrobił tego jedn...

Syk, który przeszył ciszę, świsnął gdzieś nad moim uchem. Ten sam, który w zmożonej wersji wcześniej rozbrzmiał znienacka na sali. Napięłam mięśnie, wciskając twarz w śnieg i haratając sobie policzek o jakiś ostry kamień. Nigdy wcześniej jeszcze nie wstrzymywałam powietrza tak długo. Z taką umiejętnością zdołałabym przepłynąć ocean.

Byłam tak spięta, że nie zdziwiłabym się, gdyby w końcu popękały mi ścięgna. Czułam, że oberwałam kulkę albo że oberwę za ułamek sekundy, ale poruszyłam się, gdy po cichym, śmiertelnośnym wystrzale minęło kilka dłuższych chwil, a ból nie nadchodził.

Odrobinę się wyluzowałam, a potem do moich uszu doleciał jakiś szelest. Drgnęłam i powoli uniosłam głowę, o milimetr. Przed sobą nie zobaczyłam nikogo, tylko konary drzew. Od śniegu zaczynały mi drętwieć nos i broda.

Tym razem coś zaszurało głośniejsze. To musiał być Sonny. Wciąż ostrożnie, trzymając się nisko, podparłam się na łokciach i odwróciłam głowę, by zerknąć do tyłu.

Sonny kulił się, tak jak i ja, ale nie cicho i zwinnie, czujny niczym kot – jak się po nim spodziewałam. Zamiast tego niezgrabnie dźwigał się właśnie na kolana, z opuszczoną głową i dłonią przyciśniętą do szyi.

Sapnęłam, gdy zobaczyłam, jak po nadgarstku spływa mu krew.

– Sonny!

Nie odpowiedział, zajęty szukaniem pozycji, w której cierpiałby najmniej, ale takowa chyba nie istniała, bo gdy uniósł twarz, cała była wykrzywiona bólem. Siły, z jakimi próbował się podnieść choćby do pozycji siedzącej, opuszczały go tak szybko, że w pewnym momencie znowu osunął się w dół.

– Sonny, nie!

Zapominając o snajperze, szarpnęłam swoim ciałem, podniosłam się na dłoniach i najszybciej jak potrafiłam, przeczołgałam się do swojego ochroniarza. Znajdował się jedynie parę metrów dalej, ale im bliżej niego byłam, tym więcej niepokojących szczegółów widziałam. Błyskawicznie robił się blady i gdy kucnęłam tuż obok niego, twarz miał koloru śniegu. A śnieg z kolei, przynajmniej ten, na którym leżał, barwił się na czerwono.

Wszystko to przez krew, która sączyła się z jego rany na szyi niczym najbardziej rwący górski strumyk.

Przytknęłam swoją chłodną dłoń do ust z takim impetem, że rozległ się plask.

– Co się dzieje?! – zawylałam, zaślepiona przez łzy.

Nie kierowałam tego pytania do Sonny’ego, który i tak poruszał bezgłośnie ustami raczej z bólu i dyskomfortu aniżeli z chęci sformułowania odpowiedzi, a do wszechświata, który postanowił dziś zgotować mi piekło.

– Sonny... – załkałam.

Zamachałam nad nim rękoma. Wyglądało to tak, jakbym uprawiała nad nim czary, ale rzeczywistość była dużo okrutniejsza – ja po prostu szalałam z bezsilności.

Mój ochroniarz leżał na plecach, a jego ciałem wstrząsały okrutne dreszcze. Jego twarz zlane była potem, od którego wilgotniały też jego jasne włosy. Usta mu purpurowiały, a oczy wpatrywały się w niebo, jakby pragnęły dostrzec w nim ukojenie. Jedynej nadziei doszukałam się w jego dłoni, która wciąż mocno uciskała ranę na szyi. Niestety wciąż bardzo mocno krwawiła.

Zaczęłam rozglądać się za czymś, czym mogłabym zatamować krwotok. Oczywiście niczego takiego nie wypatrzyłam. Załkałam przeciągle, a łzy

z moich oczu tryskały prawie tak obficie, jak krew z rany Sonny'ego.

– Błagam, błagam, proszę!

W przypływie desperacji sięgnęłam po dolną część sukni. Mimo iż jej materiał nadawał się na opatrunek mniej więcej tak jak moje pantofelki na śnieg, to przycisnęłam go do gardła Sonny'ego.

Moim ochroniarzem wstrząsnął dreszcz bólu, a jego wzrok skupił się na mnie. Zamrugał i nieco oprzytomniał.

– Hailie...

– Sonny, przepraszam, czekaj, proszę... – lamentowałam.

Chciałam pobiec do pałacyku po pomoc, ściągnąć tutaj kogoś, kto go uratuje. Zapomniałam już, że ten, kto do nas strzelał, wciąż musi gdzieś tam się czaić.

Pamiętał jednak o tym Sonny, dlatego uniósł swoją wolną rękę z wysiłkiem, jakby ważyła tyle, co hantle Dylana, i szarpnął połą swojej marynarki. Jego czarny garnitur wydawał się nieskazitelny, na czarnej tkaninie nie było widać krwi, zupełnie jak wcześniej soku porzeczkowego na ubraniu Adriana.

Sonny się poruszył, łapał palcami teraz za guziki swojej koszuli, próbując ją rozpiąć. Pod nią ukazał się kawałek masywnej kamizelki kuloodpornej, którą chyba chciał mi oddać, ale nie było mowy, by w tym stanie dał radę ją z siebie ściągnąć. Oddychał z wysiłkiem, chwilę się z nią mocując, ale wreszcie zrezygnował.

Po chwili inny pomysł przyszedł mu do głowy – ręką, którą wcześniej naderwał swoją koszulę, teraz sięgnął do boku, za pas spodni. Wyciągnął stamtąd niewielki nóż – koniec ostrza zakrzywił się lekko do góry, a rękojeść była czarna i miała wyżłobione wgłębienia, w które wpasowały się moje palce, gdy go od niego przejęłam, na wpół świadoma tego, co on w ogóle mi podaje.

Trzymałam nóż w ręce, ale nie zwracałam na niego uwagi. Wołałam patrzeć na twarz Sonny'ego i pilnować, by nie odrywać sukni od jego szyi. W miejscu, w którym się z nią stykała, nie była już liliowa. Teraz zabarwiła się na bordowo.

– Jeszcze... – wycharczał. Próbował namierzyć pistolet, który wcześniej miał w dłoni. Wypuścił go zapewne podczas ataku snajpera. – Hailie, znajdź...

Palce jednej ręki miałam ubrudzone jego jeszcze ciepłą krwią. Drugą ściskałam rękojeść noża. Nie miałam trzeciej, więc wisiałam nad nim i ryczałam, nie wiedząc, co zrobić.

Płakałam, bo nie mam trzeciej ręki.

Poza tym nie potrafiłam się ruszyć.

Sonny, co robić, co ja mam zrobić?! Pytałam się go o to w myślach, bo dusiłam się łzami tak bardzo, że nie byłam w stanie wydusić choćby dwóch głošek.

– Scho... waj – wyjęczał, szturchając wierzchem dłoni mój nadgarstek.

Spojrzałam na nóż, ale ledwo rozróżniałam jego kształt.

– Ucie... – wybełkotał, ale głos mu się załamał, a ja zaskomlałam, gdy dostrzegłam w jego ustach krew.

Natychmiast mocniej przycisnęłam materiał sukienki do jego rany.

– POMOCY! – wydarłam się.

Obejrzałam się za siebie. Pusto, do cholery, było tu pusto.

– POMOCY! POMOCY! POMOCY!

– Lea.

Załamione oczy przeniosłam z powrotem na Sonny'ego. Jego znowu wpatrywały się w niebo, usta drżały. Czułam, że pędząca, gorąca, szalejąca krew zaraz rozerwie mi żyły.

– Lea – powtórzył cichutko, jakby tylko echem swojego prawdziwego głosu.

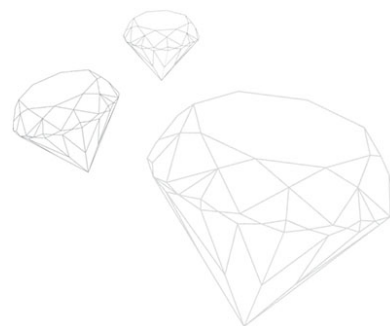
– Obiecuję... że będzie szczęśliwa... Zadbam... Sonny, zadbam... przysięgam.

Mimo stanu, w jakim się znajdowałam, udało mi się złożyć zrozumiałe zdanie, a przynajmniej chciałam myśleć, że Sonny mnie zrozumiał, bo na koniec przeniósł spojrzenie na mnie, a kącik jego ust drgnął.

Nie zarejestrowałam momentu, kiedy jego dusza uleciała. Spojrzenie Sonny'ego po prostu zatrzymało się w jednym punkcie i już więcej nie poruszyło. Krew wylewała się z jego ust i mieszała z tą na szyi. Plamiła jego ubranie, śnieg oraz moją suknię.

Najpierw jego ręka opadła bezwładnie, a dopiero po chwili moja ubrudzona czerwienią dłoń powoli poszła jej śladem i spoczęła na jego klatce piersiowej. Szarpnęłam nim, próbując sprawić, żeby się ocknął, ale jego ciało było ciężkie i nieruchome. Martwe.

Wtedy zaczęły opuszczać mnie siły – zupełnie tak, jak Sonny'ego opuściło życie. Niczym szmaciana lalka osunęłam się na niego. Czoło przycisnęłam do wierzchu dłoni, a tę drugą, z nożem, ułożyłam obok swojego policzka. Łkałam w jego martwe ciało, mocząc je łzami rozpacz.



76

LINY

OSTRZEŻENIE: ROZDZIAŁ ZAWIERA OPIS PRZEMOCY SEKSUALNEJ

Zmysły zawodziły mnie podczas tego oblędu, w jaki wpadłam. To dlatego dźwięk skrzypiącego śniegu dotarł do moich uszu o wiele za późno.

Wilgotną twarz odsunęłam od koszuli Sonny'ego i uniosłam ją lekko. Jakby w zwolnionym tempie docierało do mnie, w jakich okolicznościach doszło do tak tragicznej i bolesnej dla mnie śmierci mojego ochroniarza. Zabił go snajper. Ktoś, kto czał się gdzieś w tym lesie. Kto celował do mnie na sali, na zaręczynach Vincenta. Potrzebowałam chwili, by przypomnieć sobie te wszystkie rzeczy, jakby od tych wydarzeń minęło dużo czasu, choć w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka minut.

Znieruchomiałam.

Przypomniałam też sobie, dlaczego w ogóle zdecydowałam się wejść do tego lasu.

Dylan.

Nie wiem, czy kiedykolwiek czułam podobny strach. Nie życzyłabym go najgorszemu wrogowi.

Odwróciłam się, gdy znowu zaskrzypiał śnieg. Odgłos ten dolatywał zza moich pleców.

Zbliżała się do mnie wielka sylwetka jakiegoś mężczyzny.

Wzięłam głośny wdech i poderwałam się do pozycji siedzącej. Chciałam ruszyć drugą ręką i przypomniałam sobie, że wciąż trzymam w niej nóż. Dyskretnie wsunęłam sobie go w dekolt sukienki, w okolice stanika. Poczułam pieczenie na piersi, gdy spiczastym ostrzem drasnęłam sobie skórę, poza tym mnie uwierał, ale czynników, które wpływały na mój obecny, krytyczny poziom dyskomfortu, było przecież znacznie więcej, dlatego ten jeden zignorowałam.

Znowu spojrzałam przez ramię, żeby się przekonać, że mężczyzna coraz szybszym krokiem idzie w moją stronę. Zobaczyłam, że przyspieszył prawie do truchtu, a wtedy przeraziłam się i spróbowałam wstać. Ramiona jednak miałam rozdygotane, a nogi jak z galarety, więc tylko przekręciłam się i rzuciwszy ostatnie, zdruzgotane spojrzenie na ciało Sonny'ego, zaczęłam cofać się na siedząco. Szurałam tyłem sukni o śnieg, niszcząc jego idealnie gładką, nienaruszoną powierzchnię.

Mężczyzna, który szedł w moją stronę, był większy nawet od Dylana. Na głowę zarzucony miał kaptur, ale widziałam kawałek jego kanciastej szczęki, wąskich ust i najgorsze – oczy, których świdrujące spojrzenie było wbite we mnie.

Nawet nie zerknął na Sonny'ego, gdy mijał go, by dorwać mnie. Zamotałam się, gdy próbowałam jednocześnie oddalić się i podnieść.

– Nie podchodź do mnie! – zawołałam drżącym głosem. – Nie waż się...

Pisnęłam, gdy głuchy na moje protesty znalazł się tak blisko, że nachylił się nade mną i wyciągnął do mnie rękę. Działał tak szybko, że nie miałam czasu na reakcję.

– ZOSTAW... – zaczęłam, gdy poczułam jego wielkie, twarde paluchy na swojej szczupłej ręce, ale szybko zamilkłam, bo mężczyzna przycisnął mi je do ust.

– Zamknij się – wycharczał.

Facet przerzucił mnie sobie przez ramię, jakbym była paskiem torby, i zaczął truchtać przed siebie. Wykręcał ramię, by sięgać moich ust

i powstrzymywać mnie od krzyku. Odczuwałam mocno jego niedelikatne ruchy, nieprzyzwyczajona do tak brutalnego obejścia.

Świadomość bycia niesioną w nieznane przez olbrzymiego, obcego faceta była straszna, ale jeszcze straszniej było patrzeć, jak oddalały się od miejsca, w którym leżało ciało Sonny'ego. Widok mojego ochroniarza, który wpadł do tego lasu za mną, gotów ratować mi życie, a w efekcie stracił własne, rozrywał mi serce.

Moje łzy moczyły dłoń mężczyzny, którą przyciskał do moich ust. Unieruchomiona, mogłam tylko machać nogami. Widziałam też, że poruszamy się wydeptaną trasą, którą podążałam sama, zanim dogonił mnie Sonny i pojawił się snajper.

A może on jest po naszej stronie. Może mnie ratuje. Może zabiera mnie do Vince'a, który będzie na mnie zły, że nie wykonywałam poleceń.

Ta, jasne, wtedy snajper, który wykończył Sonny'ego, zastrzeliłby i jego. Z jakiegoś powodu jednak nikt nie zabił mnie.

Na razie.

Wreszcie dotarliśmy do celu. Mój porywacz zdjął mnie sobie z ramienia i wreszcie zabrał rękę z mojej buzi, dzięki czemu mogłam wziąć normalny oddech przez usta. W zamian wykręcił mi z tyłu ręce, a ja chwiałam się, próbując złapać równowagę.

– Mam ją.

Gdy uniosłam głowę i wreszcie przestało mi się w niej kręcić, ustaliłam, że nadal znajdowaliśmy się w lesie, ale wkoło było więcej ludzi. Sami mężczyźni, którzy zrobili sobie tu chyba jakąś mobilną bazę, jak zgadywałam, widząc zaparkowane dwa auta – jedno z nich było takim większym, masywnym busem.

Nie znałam tu nikogo. Obserwowałam, jak metodycznie się zwijają. Każdy miał tu przydzielone zadanie i ze smutkiem musiałam stwierdzić, że wyglądało na to, iż celem ich misji byłam ja. Ktoś wszedł już do jednego z samochodów, szykując się do odjazdu, ktoś inny klasnął z zadowoleniem, jakby cieszył się, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Nie, kurwa, nie...

Przełknęłam ślinę na dźwięk tego głosu. Zwykle mocny, pewny siebie i donośny, nierzadko też bardzo mnie irytujący...

Dylan siedział na zaśnieżonej ściółce, opierając się plecami o busa. Wyraz twarzy zmienił mu się z napiętego i względnie obojętnego na przejęty. Jego ciemne oczy wpatrywały się we mnie z wybuchającą w nich właśnie rozpaczą, jakiej jeszcze u niego nie widziałam.

– Dylan – szepnęłam z cichą i trwającą tylko mizerną chwilę ulgą.

Zerwał się nagle, jakby chciał biec w moją stronę, ale został od razu powstrzymany. Dopiero się zorientowałam, że pilnują go dwaj mężczyźni. Jeden trzymał broń wycelowaną w jego głowę, co tłumaczyło, dlaczego do tej pory Dylan siedział tak spokojnie. Teraz lufa została przyciśnięta do jego policzka. Gdy mój brat mimo to się zaszamotał, drugi strażnik kopnął go w brzuch, coś do niego warcząc.

Dylan był niezwykle umięśniony, to fakt, ale tak perfidnie wymierzony kopniak powaliłby każdego, więc i on sapnął, skrzywił się i trochę nawet skulił.

– Hej! – wrzasnęłam i sama się szarpnęłam. Na szczęście mnie nikt nie postanowił kopać, a to dlatego, że mojemu porywaczowi wystarczająco łatwo było krępować moje ruchy tylko swoim silnym ramieniem.

Próbowałam walczyć, nawet sięgnęłam pamięcią do sztuczek z lekcji samoobrony, ale popełniałam też w tej chwili największy błąd, który dyskwalifikował mnie w każdym pojedynku już na starcie.

Nie byłam skupiona.

Tak nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa śmierć Sonny'ego sprzed chwili zaciemniała mój umysł, otępiała go wręcz. Widok Dylana w niebezpieczeństwie nie pomagał. Strach mnie zabijał i nie zostawiał miejsca na pewność siebie.

Dylan się nie uspokajał. Nie był w tej chwili godnym przeciwnikiem dla kilkorga mężczyzn, bo wciąż zwijał się z bólu i nie miał najwyraźniej przy sobie broni, ale mimo wszystko nie przestawał się rzucać. Obserwowałam ze zgrozą, jak facet, który go kopnął, teraz się nad nim pochylał, by go przytrzymać...

Przestałam ich obserwować, bo zostałam właśnie zmuszona do skupienia wzroku na białej szmatce, którą ktoś podsuwał pod mój nos. Zaskoczona odchyliłam głowę, ale nie miałam gdzie uciec od wilgotnego kawałka materiału, który przytknięto do mojej buzi. Wstrzymałam oddech, żeby nie wdychać tego, czymkolwiek został nasączony.

Szybko jednak przegrałam tę nierówną walkę. Do moich uszu przestały dolatywać jakiegokolwiek odgłosy, obraz przed oczami się rozmazał, a powieki zaczęły ciążyć, zapowiadając niechciany, acz niechybny sen.



Coś łupało głucho.

To były powtarzające się dźwięki, którym czasem towarzyszyło ciche posapywanie.

Nie przestawały rozbrzmiewać, dlatego trudno mi było z powrotem zasnąć. Zatrzepotałam więc powiekami, żeby namierzyć źródło irytujących odgłosów i ewentualnie je zlikwidować. Liczyłam na szybki powrót do drzemki.

Pomieszczenie, w którym się obudziłam, pogrążone było w półmroku. To pierwsza rzecz, która wzbudziła moje podejrzenia. Czyżbym zasnęła podczas wieczornego czytania i zapomniiała zgasić lampkę?

Lampka faktycznie była zapalona i szybko odszukałam ją wzrokiem. Od razu jednak zmarszczyłam brwi, bo nie znałam tego papierowego klosza w kolorze brudnej bieli. Po jednej stronie był zaciągnięty, co nadawało mu niechlujny wygląd. Dalej mój wzrok padł na ścianę z obskurnej kostki, jaką można znaleźć pod tynkiem opuszczonych domów. Na dodatek w wielu miejscach zamazano ją brzydkimi napisami i rysunkami namalowanymi ręką pozbawioną artystycznego zmysłu.

Czy ja we śnie trafiłam do nawiedzzonego domu? Jeśli tak, to bardzo chciałam jak najszybciej się obudzić.

Coraz bardziej przytomna uniosłam głowę, a na mojej twarzy zawitał grymas, który był reakcją na mocne ukłucie bólu w mojej czaszce, które wzmogło się przez ten gwałtowny ruch.

Leżałam na grubym, podwójnym materacu, całym poplamionym i w kolorze postarzałej żółci. Nic dziwnego, że bolało mnie całe ciało – był niewygodny i rzucony na twardą ziemię. Gdzieś obok leżała cienka płachta, którą chętnie bym się okryła, bo drżałam z zimna. Zanim jednak po nią sięgnęłam, zorientowałam się, że ktoś splótł moje nadgarstki razem i zaczepił linę o metalową rurę, która biegła nad moją głową. Serce zabiło mi mocniej i zaszamotałam się.

Głuchy dźwięk, który mnie obudził, teraz ucichł.

– Uważaj – szepnął do mnie Dylan.

Odwróciłam głowę, zalana falą ulgi, gdy odkryłam, że mój brat jest obok. Stał na ugiętych nogach, tuż przy równoległej do mnie ścianie, i z czymś się tam mocował. Szybkie spojrzenie i już wiedziałam, co się dzieje. Ręce Dylana też były skrupowane i przytwierdzone do starego kaloryfera. Grzejnik był wiekowy, ale najwyraźniej wciąż wytrzymały, bo rury ani drgnęły, mimo że siłował się z nimi najbardziej napakowany z moich braci.

– Dobrze się czujesz? – zapytał cicho, obserwując mnie. Nawet nie krył zmartwienia na twarzy. Miał czerwoną śliwę pod okiem – ktoś zdążył mu przyłożyć, gdy nie widziałam. Jego garnitur, wcześniej elegancki, teraz był w dość opłakanym stanie.

Moja suknia nie wyglądała lepiej. Brudna od krwi oraz ziemi, wilgotna od szargania po śniegu i poszarpana, robiła teraz zupełnie inne wrażenie niż na początku przyjęcia zaręczynowego.

Zadrżałam, bo stopniowo zaczynałam sobie przypominać wszystko, co wydarzyło się w lesie. Uświadamiałam też sobie, jak bardzo mi zimno. Kaloryfer, do którego przywiązano Dylana, najwyraźniej nie spełniał swojej podstawowej funkcji.

Kaloryfer, do którego przywiązano Dylana!

Przywiązano Dylana!

Znowu rozejrzałam się po pomieszczeniu, tym razem bardziej panicznie, ale i trzeźwiej. Znajdowaliśmy się w piwnicy – nie było tu nawet lufcika przy suficie. Sam sufit zdobiły liczne plamy i pęknięcia. Na środku pokoju znajdował się brzydki, zniszczony dywan i poza nim, wcześniej

zlokalizowaną lampą oraz materacem, na którym wciąż tkwiłam, nie było tu nic więcej.

– Co my tu... Dylan... co jest? – wymamrotałam. Szumiało mi w uszach, a serce podchodziło mi do gardła. Zaczęłam się trząść.

– Jesteś cała? – zapytał, trąc nadgarstki, teraz, gdy przestał na chwilę nimi szarpać. W miejscu, w którym opinały je liny, miał je okropnie zaczerwienione.

– Nie, nie jestem cała! Co jest?! – zawołałam żałośnie, a do oczu napłynęły mi gorące łzy. Miło było poczuć ich ciepło, gdy spłynęły po moich zziębniętych policzkach.

– Cicho! – syknął i rzucił złężnione spojrzenie ku drzwiom. Wykonane prawdopodobnie ze stali, wyglądały solidnie i idealnie dopełniały klaustrofobiczności całego pomieszczenia.

Zacisnęłam wargi, przestraszona, że ściągnęłam na nas kłopoty. Nie żebyśmy i tak nie brodzili w nich już po uszy.

– Nie wiem, co jest – odpowiedział Dylan przyciszonym głosem po chwilach nadsłuchiwania. – Zadziało się jakieś gówno, nie wiem. Pracuję nad tym. – Poruszył głową, żeby pozbyć się włosów z mokrego od potu czoła, i pociągnął znowu związanymi rękoma.

– Ktoś nas porwał! Ktoś nas porwał, Dylan! – zaskomlałam, tym razem też pilnując, by szeptać.

– Pracuję nad tym – powtórzył, wracając do szarpania się z kaloryferem. Nie mogłam patrzeć, jak z każdym pociągnięciem lina wrzyna się w jego poranioną skórę. – Sprawdź, czy twoje nie są luźne.

Posłusznie pociągnęłam za własne kajdany, ale ani drgnęły. Przywiązana byłam do pojedynczej rury, nie do całej ich płataniny jak on, ale miałam też bez porównania mniej siły, dlatego marnie widziałam szansę na wyswobodzenie się.

– To nie zadziała, trzeba wymyślić coś innego – jęknęłam, podnosząc się do pozycji siedzącej.

– Daj mi chwilę. Zaraz rozwalę te sznurki – mamrotał pod nosem Dylan, a potem zaklął siarczyście, gdy „te sznurki” otarły się o jego nadgarstki tak mocno, że zmiękły mu nogi i na chwilę musiał kucnąć.

Patrzyłam na niego i drżała mi broda.

– Dylan?

Opuścił głowę, a czoło na chwilę przytulił do bicepsa.

– Co?

– Sonny nie żyje.

Spojrzał na mnie przez ramię, a twarz wykrzywiła mu się od bólu, tym razem nie fizycznego. W jego ciemnych tęczówkach błysnęły łzy, ale w przeciwieństwie do moich nie spływały.

– Jak? – zapytał zachrypniętym głosem.

Odetchnęłam i zapłakałam:

– Postrzelono go w lesie.

– Kurwa – syknął do siebie.

– Dylan, to chyba przeze mnie – dodałam przez zaciśnięte gardło. – Wbiegłam do...

– Cicho bądź – warknął na mnie, nagle podminowany, jak to tylko stary, dobry Dylan potrafił. – Nic nie jest przez ciebie. To przez tych tam. –

Wskazał podbródkiem na stalowe drzwi. Kipiał furia i gdyby nie był przywiązany do kaloryfera, to chyba zacząłby latać po ścianach. Mądrze jednak nie marnował energii na użalanie się, bo już zaraz dźwignął się na nogi i na powrót zaczął ciągnąć za sznury, mrucząc zdecydowanie: – Dlatego spadamy stąd.

Starałam się wymyślić coś bardziej kreatywnego niż mozolne siłowanie się z grubą liną, ale brakowało mi rekwizytów. Wtedy przypomniałam sobie o telefonie, który powinnam była mieć wsunięty za opaskę na nodze. Wpuszczając do serca nadzieję, zaczęłam energicznie się szamotać, próbując potrząsnąć udem o udo, by sprawdzić, czy nadal tam jest, a potem zrobiło mi się niedobrze, gdy uświadomiłam sobie, że nic mnie tam nie uwiera, jak uwierać powinno.

Ktoś zabrał mi telefon.

Ktoś grzebał mi pod suknią!

A potem znieruchomiałam, bo przypomniałam sobie coś jeszcze.

Nóż!

No przecież, nóż!

Miałam w głowie takie dziury, że zupełnie zapomniałam, że Sonny, zanim odszedł, wyposażył mnie w broń.

Obawiając się, że zaraz odkryję, że i tego przedmiotu mnie pozbawiono, spróbowałam podciągnąć się tak, by przycisnąć łokieć do klatki piersiowej. Żałowałam, że nie jestem bardziej wysportowana. Powinnam była uprawiać gimnastykę, chociażby na wypadek porwania i bycia przywiązaną do starej rury.

Wyczułam twardej metal ostrza i wypuściłam powietrze z płuc. Wciąż tam był! Musiałam tylko wymyślić, jak po niego sięgnąć bez użycia palców. Rozchyliłam nawet usta i pociągnęłam brodę w dół, licząc, że może uda mi się capnąć go zębami.

Niestety zaledwie jakąś minutę później za drzwiami rozległy się kroki. Napięłam mięśnie, a Dylan przestał się szamotać i przykucnął na ziemi.

Stalowe drzwi zaskrzypiały nieprzyjemnie i otworzyły się. Do pomieszczenia zajrzał mężczyzna, w którym bez kłopotu rozpoznałam swojego porywacza. To on odciągnął mnie od Sonny'ego.

Nie miał już kaptura na głowie, co działało na jego niekorzyść, bo teraz widoczna była jego mało atrakcyjna, zbirowata twarz.

Nawet nie zwrócił uwagi na Dylana. Gdy zobaczył, że nie śpię, ruszył w moją stronę. Pomieszczenie i tak było niewielkie, a kiedy ten ogromny facet się do niego wepchnął, zrobiło się tu ciasno.

Dylan poderwał się do góry.

– Ty, słuch... E, nawet nie... NIE DOTYKAJ JEJ!

Mężczyzna zacisnął swoje paluchy na moim ramieniu, tak jak zrobił to wcześniej, ignorując fakt, że przyciskam się do ściany, starając się trzymać jak najdalej od niego. Wyjął też z kieszeni nóż, trochę inny niż ten, który dostałam ja, ale pewnie nie mniej ostry. Zanim zdążyłam wyobrazić sobie, jak podrzyna mi nim gardło, on kilkoma wprawnymi ruchami rozciął krępujące mnie liny.

Czego on ode mnie chce, o co mu chodzi?

– Puszczaj! – pisnęłam, ale oczywiście nie posłuchał.

– Siedź cicho albo włożę ci do mordy knebel – warknął na mnie tym samym gardłowym, zachrypniętym głosem, którym odezwał się do mnie w lesie.

– Puszczaj ją, śmieciu! – wydierał się Dylan, szarpiąc się jak nigdy, ale do niego mężczyzna tylko lekko się uśmiechnął, jakby rozbawiony jego nieskutecznymi próbami zagrożenia mu.

Zostałam pchnięta w stronę wyjścia i zdążyłam tylko wymienić z Dylanem ostatnie spojrzenia, gdy mężczyzna zatrzasnął stalowe drzwi, odcinając mnie od mojego szalejącego teraz brata. Bałam się, że poranił sobie nadgarstki do żywego mięsa.

– Czego ty ode mnie chcesz? – załkałam, gdy facet prowadził mnie po schodach w górę. Akompaniował nam przytłumiony odgłos wrzasków Dylana.

Miałam rację, że zamknięto nas w piwnicy. Same pnące się w górę schody, które właśnie byłam zmuszona pokonywać, były drewniane i proste, ale kamienne ściany oddawały klimat lochów jak z pełnoprawnego horroru.

Mężczyzna nie odpowiadał na moje pytania ani nie charakteryzował się cierpliwością, bo gdy próbowałam przystanąć albo chociaż zwolnić, wyjątkowo niedelikatnie napierał na mnie, ponaglając do szybszego marszu. Dzięki temu mimo moich zdrętwiałych kończyn, niewygodnych już po tylu przebojach butach, zdrętwiałych od zimna stóp i płaczącej się przy kostkach sukience poruszaliśmy się dość szybko i już wkrótce wynurzyliśmy się z piwnicznej części domu.

Wtedy przeżyłam szok, bo po tak obskurnych warunkach, jakie przywitały mnie po przebudzeniu, nie spodziewałam się ujrzeć pod tym samym dachem szczególnych luksusów, a korytarz, do którego właśnie weszliśmy, jawił się wyjątkowo schludnie.

Wyłożony był miękkim czerwonym dywanem, który choć odrobinę umilił mi stawianie kolejnych kroków. Ściany przykryto jasnobrązową tapetą, w którą wydrążono wzory rozet. Szliśmy długim labiryntem, co jakiś czas mijając rzędy białych drzwi. Wszystkie były zamknięte, z powodzeniem strzegąc wszelkich sekretów ukrytych w tym domu.

A sekretów musiało tu być od cholery, skoro jej właściciel, kimkolwiek był, godził się, by przetrzymywać w niej porwanych ludzi.

Wahałam się właśnie, czy po raz kolejny spróbować użyć któregoś z trików z samoobrony, czy może zadać zbirowi jakieś pytanie, gdy nareszcie dotarliśmy do drzwi, które dla odmiany były uchylone.

Zaskoczyła mnie sztuczna jasność panująca w pomieszczeniu, do którego zostałam wepchnięta. W rozległym pokoju stało wielkie, starannie zasłane łóżko z czerwonym baldachimem. Dalej znajdowało się podium, do którego prowadziły trzy niskie schodki. Na nim urządzono część wypoczynkową z dwiema beżowymi kanapami. Olbrzymie, mięsiste kotary nadawały wystrojowi dostojności, zwłaszcza teraz, gdy były zaciągnięte, bo prawdopodobnie był już wieczór lub noc...

– Obudziła się – oznajmił eskortujący mnie olbrzym, gdy zatrzymaliśmy się tuż za progiem.

Wtedy zorientowałam się, że na jednej z kanap siedzi kobieta. Blond włosy miała zaplecione w fantazyjny kok, który mogłam podziwiać, zanim odwróciła się w naszą stronę. Była to dojrzała kobieta, bardzo ładna, ale szybko przerwałam obserwacje dotyczące jej urody, bo przestraszyłam się uważnego spojrzenia, które rzuciły mi jej jasne oczy.

Na ramiona zarzuciła sobie złotą chustę z połyskującą nitką. Sukienkę miała podobnie kwiecistą jak filiżankę, którą trzymała palcami za drobne uszko. Rozległ się brzdęk, gdy delikatnie odstawiała ją na srebrną tacę.

Gdy zstępowała z podestu, słyszałam cichy stukot jej obcasów. Spodziewałam się, że jest panią domu, ale kto normalny przechadza się w wysokich butach pod własnym dachem? Z drugiej strony może zamożne damy tak mają? Ona zamożna być musiała, inaczej jak mogłaby pozwolić sobie na tak szczodre obwieszenie się złotą biżuterią? Bransolety na jej nadgarstkach były grubsze niż moje palce.

– Hm – mruknęła, przechylając lekko głowę, zadzierając podbródek i ściągając umalowane jasnobrązową szminką usta.

Gotowa byłam otworzyć swoje, by zapytać o cokolwiek, z nadzieją, że okaże się bardziej skora do rozmowy niż jej gburowaty kolega, jednak nagle zacisnęła palce na mojej żuchwie, a ja sapnęłam zaskoczona tym nieprzyjemnym gestem.

Oglądała moją twarz z największym skupieniem, jakby studiowała średniowieczny obraz. Jej wielkie pierścionki odbijały mi się na szczęce.

– Perełka – wymamrotała do siebie słodkim, bardzo dziewczęcym głosem.

– Kim... – zaczęłam, gdy mnie puściła, ale przerwałam, gdy wymierzyła mi mocny policzek.

– Ciii.

Skrzywiłam się, bo nie miałam nawet sobie jak ulżyć i potrzeb piekącej skóry. Wciąż nie mogłam ruszyć rękoma. Kobieta cofnęła się, opatulając się szczelniej złotą chustą. Pokiwała głową, jakby przytakiwała swoim myślom, i rzuciła mi ostatnie analizujące spojrzenia, a potem zerknęła na stojącego za mną mężczyznę.

– Jest twoja, Moe.

Nim się obejrzałam, Moe rzucił mnie na łożo. Przerażona tym, co się dzieje, zaczęłam się szamotać.

Próbowałam odepchnąć mężczyznę, zwłaszcza gdy zaczął ładować się na łóżko za mną. Nie mogłam uwierzyć, że jego intencje mogłyby być tak grzeszne, jak wskazywały na to jego czyny.

Mój biedny, niewinny umysł najzwyczajniej w świecie nie potrafił pojąć, co się właśnie działo. Szukając ratunku przed dłońmi napastnika, kątem oka dostrzegłam, że kobieta, jak gdyby nigdy nic wraca w stronę kanapy, którą zajmowała wcześniej. Cichym odgłosem szamotaniny mojej i tego wielkiego faceta akompaniował stukot jej obcasów. Cichym, bo nie krzyczałam.

Krzyk uwiązł mi w gardle. Chciałam, ale nie mogłam.

Poczułam, że mężczyzna ciągnie mnie za sukienkę. Myślałam, że lada moment zwymiotuję.

Moe fachowo przekopywał się przez gęsty tiul mojej kreacji. Dojrzałam jego twarz i skrzywiłam się z niesmakiem. Wisiał nade mną, siłował się ze mną i marszczył brwi, skupiony na celu, jakkolwiek okropnie by to nie brzmiało.

Przecież on...

Zacząłam wierzgać jeszcze mocniej, zdesperowana, by go powstrzymać. Próbowałam się podnieść, ale on pchnął mnie tak, że padłam znowu na plecy. Lądowanie było miękkie, ale nie zaznałam komfortu. Złapałam w rękę jedną z poduszek i cisnęłam nią prosto w niego. A potem na chwilę znieruchomiałam, bo jego wielka, oblesna łapa dotknęła mojego nagiego uda. Aż się zatelepałam z obrzydzenia. Nie życzyłam sobie być tam dotykana. Nie przez niego.

To było jak bodziec, dzięki któremu odzyskałam siłę w płucach. Od razu z niej skorzystałam, wydzierając się, aż zapiekło mnie w gardle. Nie krzyczałam długo, bo mężczyzna silnym pociągnięciem urwał spory kawałek materiału z mojej sukni, a potem barbarzyńsko wcisnął mi go w usta, prawie mnie przy tym dławiąc. Odruch wymiotny pomógł mi w pozbyciu się ciała obcego z ust, ale straciłam na to zdecydowanie zbyt wiele energii.

Splunęłam na bok i mruganiem próbowałam walczyć ze szczypiącymi mnie w oczy łzami, a wtedy poczułam, że zaczynam przegrywać. Szarpałam się, jakby obdzierano mnie ze skóry. Okładałam dłońmi szerokie barki i głowę mężczyzny. Zebrałam resztki śliny i między krzykami go oplułam. Zaryzykowałam też i rozchyliłam nogi szerzej, ale bynajmniej nie w geście zaproszenia. Dzięki temu po prostu łatwiej było mi zacząć kopać go obcasami. Były niskie, ale skuteczne, bo gdy wystarczająco mocno wbiłam mu jeden z nich gdzieś w nogę, przestał krępować moje ręce.

Tego potrzebowałam, by wyszarpnąć z głębin dekoltu nóż i trochę na oślep, ale i z zimną jak nigdy wcześniej krwią zamachnęłam się nim.

Z gardła mężczyzny dobył się dziwny dźwięk. To był syk przemieszany z ryknięciem, odgłos doprawdy przerażający, ale i satysfakcjonujący.

Na jego czole pojawiła się długa, pozioma krecha, którą nabazgrałam mu spiczastym ostrzem Sonny'ego.

W mig wylała się z niej krew, całą falą zalewając mu brwi, oczy i resztę paskudnej twarzy. Zabarwiła też część mojej sukienki, mieszając się ze śladami zaschniętej krwi Sonny'ego, i trudno już teraz byłoby odgadnąć, jaki moja kreacja pierwotnie miała kolor.

Rozwścieczyłam go. Przysięgam, że widziałam nawet trochę piany w okolicy jego ust. Moe uniósł dłoń i przejechał nią sobie po czole,

zbierając krew, ale na jej miejsce z rany wypłynęła nowa. Wyglądał jak czarny bohater horroru, taki, dla którego jedynym sensownym zakończeniem będzie przegrana i śmierć.

Wzięłam sobie tę myśl do serca, gotowa w takim razie, by odegrać swoją rolę.

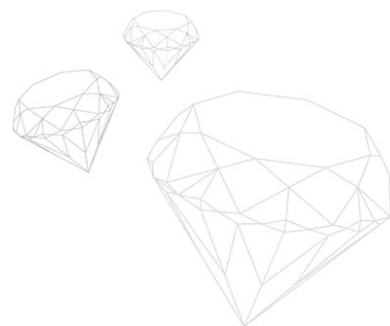
Podnosił się, zamierzając wyrwać mi nóż albo zrobić milion innych krzywd, dlatego korzystając z okazji, że w jednej chwili na wyciągnięcie mojej ręki pojawiła się jego klatka piersiowa, uniosłam ponownie swoją broń. Moe zdołał mnie pociągnąć i w rezultacie nie dźgnęłam go poniżej obojczyka, jak planowałam.

Moja ręka osunęła się i zamiast tego wbiłam ostrze w okolice jego brzucha.

Przypomniały mi się słowa Tony'ego na kolacji z Leo, gdy mówił, że jego nóż przecina mięśnie jak masło.

Nóż Sonny'ego też całkiem nieźle sobie z nimi poradził. Czułam się, jakbym wsunęła go w najzwyklejszy kawałek piersi kurczaka ze sklepu.

A w rzeczywistości właśnie poważnie zraniłam człowieka.



77

LALE CZKA LISSY

Moe uniósł się, a potem zakołysał. Podparł się dłońmi, ale i tak runął na brzuch, z którego sterczał mu nóż. Podsunęłam się pod sam zagłówek łóżka i patrzyłam, jak walczy.

Tylko przez chwilę. Zaraz potem przeniosłam spojrzenie na kobietę, przypomniawszy sobie o jej obecności. Przez chwilę byłam przekonana, że opuściła to pomieszczenie, ale nie, została. Nie mieściło mi się w głowie, że była skłonna oglądać, jak ktoś wyrządza mi krzywdę. Musiała być bardzo chora.

Ze względu na okoliczności ukłucie satysfakcji, jakie poczułam na widok jej ust formujących się w kształt litery O, było bardzo małe. Wytrzeszczała też oczy, a jej dłoń z kwiecistą filizanką zastygła w powietrzu.

Zdawała się bezbronna i chyba przeżywała szok, dlatego ja, korzystając z faktu, że i Moe był niedysponowany, zaczęłam się wycofywać. Nie zabiłam go, więc nie odważyłam się zbliżyć, by zabrać nóż. Nie tracąc czasu, niezdarnie, ale szybko wzięłam się w garść i rzuciłam do drzwi. Wyleciałam na korytarz jak wystrzelona z łuku strzała.

Włosy majdały mi się wokół twarzy, bo okropnie się rozczochrałam. Twarz miałam nadal mokrą od łez i potu, przez co szczypała mnie skóra, a oczy piekły. Wargi przygryzałam do krwi, klatka piersiowa unosiła się w spazmatycznym oddechu. Dłońmi odbijałam się od ścian, licząc, że w ten sposób poruszam się szybciej.

Dopiero się zorientowałam, że jedną ze stóp miałam bosą. Moe musiał zerwać mi z niej but, a ja tego nawet nie poczułam. Zatrzymałam się na moment, by prędkimi, napędzanymi paniką ruchami zdjąć drugi. Nie zostawiłam go nigdzie za sobą. Biegłam z nim w ręce w nadziei, że w razie czego będę mogła użyć go jako broni.

Plakałam. Lecąc przed siebie, ryczałam jak małe dziecko, nie rozumiejąc, czym zasłużyłam sobie na to, że spotykały mnie takie tragedie.

I jeszcze Sonny.

Aż zadrżały mi kolana. Wywróciłabym się, skreśliła kostkę i nawet by mnie to nie obeszło, gdybym nie pamiętała, że w tym budynku znajduje się tak bardzo ważna dla mnie osoba, którą musiałam ratować, choćbym po drodze miała połamać sobie wszystkie kończyny.

Nie pamiętałam, które drzwi prowadzą do piwnicy, dlatego otwierałam pośpiesznie wszystkie, które napotkałam. Nie patrzyłam, dokąd prowadzą. Interesowało mnie tylko, czy tuż za nimi zobaczę schody prowadzące w dół. Miałam gdzieś, które z pomieszczeń to salony, a które sypialnie. Zapamiętałam tylko, że jedne prowadziły do biblioteki, bo kątem oka zobaczyłam regały z książkami. Inne, takie ze srebrną kratą przy podłodze, musiały kryć za sobą garaż, bo dojrzałam kawałek opony. Większość z nich jednak i tak była zamknięta.

Aż wreszcie gdy otworzyłam któreś z kolei i postawiłam stopę na ich progu, prawie sturlałam się w dół.

Zamarłam na sekundę, a potem odetchnęłam z ulgą. Przeskakiwałam prawie po dwa stopnie. Nagie podeszwy moich stóp drażniły drewniane schodki, z których gdzieśgdy musiały wystawać drzazgi. Mogło mi się ich wbić i ze sto, i tak mnie to teraz nie obchodziło. Wpadłam na stalowe drzwi i wcześniej szarpnąwszy wielką zasuwę, która je blokowała, otworzyłam je na oścież.

– Dylan! – zapłakałam, jeszcze zanim go zobaczyłam, jakbym nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłoby go tu nie być. Prawie dostałam zawału, bo w pierwszej chwili go nie dostrzegłam.

Ale był tu.

Kucał przy kaloryferze, z ustami przyciśniętymi do liny. Obok niego znajdowała się imponująco duża kałuża śliny, w którą dodatkowo napluł na mój widok.

– Hailie!

W jego głosie pobrzmiwała ulga i absolutna dezorientacja.

– Dylan – jęknęłam, zalewając się łzami. Tak bardzo chciałam się do niego przytulić i poczuć się bezpieczna, a świadomość, że nie był teraz w stanie zapewnić mi tego bezpieczeństwa, była dla mnie straszna.

On chyba czuł podobnie, bo w jego ciemnych oczach skrywał się dobrze widoczny ból.

– Uciekłaś?

Pokiwałam głową, zagryzając wargę. Och, nie wiedział nawet, przez co przeszłam. Tak bardzo potrzebowałam pocieszenia, ale nie było na to czasu.

– Świetnie, dziewczynko, tak... – Dylan kiwał gorączkowo głową, a na jego twarzy zakiełkowała dodatkowa motywacja. – Jeszcze sekunda, dobra? Dasz radę jeszcze sekundę?

Też zaczęłam kiwać głową, a on wziął się ponownie za gryzienie swojej liny. Najwyraźniej zmienił taktykę podczas mojej nieobecności. Znowu splunął w kałużę, wypluwając ślinę wymieszaną ze strzępkami sznura. Mozolna to była praca, ale chyba nie taka znowu nieskuteczna.

Rozejrzałam się, zastanawiając się jak mogłabym mu pomóc, i przeklinając w duchu fakt, że nie miałam już noża.

Zamiast tego spojrzałam na but, który nadal dzierżyłam w jednej ręce. Nadawał się do niewielu rzeczy, zwłaszcza po tylu przejściach, ale jego obcas pozostał wciąż całkiem spiczasty, więc rzuciłam się na kolana obok Dylana i zaczęłam dźgać nim jego linę. Skrzywiłam się na widok jego zsiniałych już nadgarstków.

On gryzł, a gdy pluł, ja dźgałam. Wreszcie przekonałam się, że durny but nie pomagał tak, jakbym sobie tego życzyła, więc odrzuciłam go na bok i sama użyłam zębów. Na zmianę szarpaliśmy linę Dylana jak gryzonie. Robiła się coraz cieńsza, fakt, ale trwało to zbyt długo i w pewnym momencie rozległ się za moimi plecami szcęk stalowych drzwi.

Znieruchomiałam, a na plecach poczułam ciarki.

Dylan uniósł wzrok z ustami wciąż przyciśniętymi do liny, a ja obróciłam powoli głowę i zadrżałam raz jeszcze.

W drzwiach do piwnicy stała ta kobieta.

Jej fryzura była nienaruszona. Oczy nadal miała wybałuszone, a nozdrza rozszerzały jej się, gdy gniewnie sapała. Wciąż owijała się złotą chustą, a w jednej z rąk trzymała nóż Sonny'ego.

Ostrze było zakrwawione, ale nie wyglądało, by straciło na użyteczności. Kobieta trzymała nóż na sztorc, tak że jego czubek wskazywał sufit. Palce zaciskała mocno na rękojeści, aż jej pobieleały.

Dylan zmarszczył brwi, wypuścił linę z ust i podniósł głowę, a z jego brody pociągnęła się strużka śliny. Analizował twarz kobiety ze skupioną miną, a ta patrzyła na niego z takim samym skupieniem.

– Ty... – syknął mój brat, ale urwał, jakby nie był czegoś pewien, nie dowierzał.

Ona też na niego patrzyła. Przyglądała mu się nie mniej uważnie jak wcześniej mnie. Wreszcie odchyliła głowę nieco w tył i skrzywiła się, jakby coś jej się nie spodobało.

– Jesteś do niego taki podobny.

Dylan zmrużył oczy, a ja patrzyłam to na niego, to na nią, najbardziej ze wszystkich tu zdezorientowana. Skuliłam się w sobie, gdy kobieta niespodziewanie odwzajemniła moje spojrzenie.

– Do niej też. Do niej też jesteś podobny – szepnęła. – Bardzo.

– Eee, bo to moja siostra? – burknął Dylan, łypiąc na nią spode łba.

– Przyrodnia! – syknęła natychmiast.

– Kogo obchodzi jaka?

Kobieta parsknęła gorzkim śmiechem.

– Niewielu, to prawda. – Pokiwała głową. – Cały świat zdążył zapomnieć.

Dylan gapił się na nią z niedowierzaniem, ale i szczyptą strachu, tak mi się wydawało. To takie spojrzenie, które przeznacza się dla osób niepoczytalnych.

– Zapomnieć o czym? – zapytałam cicho, mając wrażenie, że mnie jedynej coś tutaj umyka. Mój brat niemal niezauważalnie pokręcił głową, pokazując mi, bym lepiej siedziała cicho.

– Dobrze pytanie, Perełko – pochwaliła mnie kobieta. – Jedyne ciut źle sformułowane. – Owinęła się ciaśniej chustą, w jednej ręce nadal ścisnęła nóż. – Powinno brzmieć: „Zapomnieć o kim?”. Zapytaj.

Zerknęłam na Dylana.

Patrzył na kobietę, ściągając brwi i zaciskając usta.

– Zapytaj! – warknęła na mnie.

Drgnęłam.

– Zapomnieć o kim? – wymamrotałam.

– O niej – odparła. – Lindsay Brockenshire.

Wzięłam wdech.

– Na nazwisko miała Monet – warknął Dylan.

– Nazwisko Monet było jej przekleństwem!

Widząc, że ani ja, ani Dylan z nią nie dyskutujemy, uspokoiła się i kontynuowała:

– Zrujnowało jej życie. Jej prawdziwe nazwisko to Brockenshire.

– Aha, taki chuj, wyszła za naszego ojca i na nazwisko miała Monet – kłócił się Dylan. – I jeszcze co, nikt o niej nie zapomniał. Co ty w ogóle bredzisz?

Kobieta skrzywiła się, ale zaraz potem jej mina ponownie stała się wyniosła.

– Twój dobór słownictwa zniesmacza mnie, chłopcze, ale wiem, że nie było przy tobie matki, która nauczyłaby cię kultury. A skoro przez

większość dzieciństwa jedynym przykładem był dla ciebie zidiociały ojciec, oto, proszę, efekty.

– Odwal się od moje...

– Dylan – szepnęłam ostrzegawczo. Za łatwo dawał się podpuszczać, ale wiedział o tym, bo posłuchał mnie i zamilkł, a wtedy ja przełknęłam ślinę i znowu przeniosłam spojrzenie na kobietę. – Eee, przepraszamy bardzo. Po prostu nie do końca rozumiem, co my tu robimy. Czy możemy... jakoś... pani pomóc?

Robiłam wszystko, co w mojej mocy, by brzmieć uprzejmie i jej nie zdenerwować, teraz, gdy w końcu akceptowała fakt, że otwieram przy niej usta.

– Twoja bękarcia siostra ma lepsze maniery niż ty. Wstyd. – Kobieta przybrała wyraz twarzy męczennicy. – Jestem pewna, że Lissy patrzy na to z góry i cierpi.

– Taaa, na pewno cierpi dlatego, że przeklinam, a nie dlatego, że jej siostra to walnięta psycholka...

– Walnięta! – huknęła i aż zamachnęła się nożem. – Ja jedyna szanuję jej pamięć! Patrzże na siebie, swoje rodzeństwo, okropnego ojca!

– Co ci zrobiło moje rodzeństwo i ojciec?

– Camden Monet to szuja, jakich mało! – wykrzyczała i spojrzała na mnie wściekle. – W którym miesiącu się urodziłaś?

Przełknęłam ślinę.

– W... w listopadzie – szepnęłam.

– Czyli poczęto cię w marcu. – Skinęła szybko głową, bo najwyraźniej i tak wszystko już miała obliczone. Zwróciła się do Dylana: – A w którym miesiącu zmarła twoja matka?

– Po co...

– W którym miesiącu?! – Znowu machnęła nożem. Robiła to chyba nieświadomie, ale i tak nas przerażała, bo zaciskaliśmy z Dylanem usta i wzdrygaliśmy się za każdym razem.

– W styczniu.

Kobieta uśmiechnęła się cierpko.

– Trzy miesiące – powiedziała i pokręciła głową, znowu oplótłszy się ciaśniej chustą, która zjeżdżała jej z ramion, gdy wykonywała bardziej porywcze ruchy. – Nie minęły trzy miesiące od śmierci jego żony, a on już zapłodnił obcą lafiryndę.

Znowu z Dylanem milczeliśmy, a kobieta parsknęła sucho.

– Nikt mi nie wmówi, że ją kochał. Ta tutaj... – Wskazała na mnie nożem. – ...jest dowodem, że było inaczej. I nie tylko ja to wiem, niestety – westchnęła, przymykając powieki. – Wszyscy to wiedzą. Od kiedy świat dowiedział się o waszej Perełce, czyli od kiedy wy tak chętnie przyjęliście ją pod swój dach, upokorzenie Lissy sięgnęło zenitu.

– Jakie upok...

– Wzięliście ją i potraktowaliście jak swoją! Obcą dziewczynę, owoc romansu niepoczytalnego ojca! – krzyczała, machając w moją stronę czubkiem noża. Loczki wokół jej twarzy falowały, gdy wykonywała te dramatyczne gesty. – Jak wam nie wstyd tak bezczęścić pamięć matki. Ona życie sobie dała zmarnować u boku tego okrutnika, dla was między innymi, a wy tak jej odpłacacie.

– Ona nie żyje! – zawołał Dylan i poruszył liną, jakby chciał wyrzucić ręce w powietrze lub je rozłożyć. – Nawet jeśli wkurzasz się na naszego ojca, chociaż to nie twój zakichany interes, jak przeżywał własną żalobę, to co ci, do jasnej cholery, zrobiła Hailie?

– Wasza Hailie to symbol upokorzenia Lindsay – wycodziła. – Samo jej istnienie już powoduje niesmak, ale szala goryczy się przelała, gdy nieco ponad dwa lata temu bez słowa wzięliście ją do siebie. – Zmarszczyła zde gustowana brwi. – Jak wyście mogli? Lindsay została zdradzona przez swoje własne dzieci. Świat dowiedział się o niewierności Camdena, o tym, jak szybko pocieszył się po śmierci mojej siostry. – Kobieta wzięła drżący oddech. – Co to za wstyd dla biednej Lissy.

Ze zgrozą malującą się na twarzy obserwowałam górującą nad nami kobietę. Ciężko znosiłam fakt, że według jej tłumaczeń odgrywałam w całym tym zamieszaniu większą rolę, niż z początku się spodziewałam.

– A wszyscy szybko podłapali nowe oczko w głowie Monetów, czyż nie? – Jej głos przesycony był cukrowym jadem. – Słodkie, urocze dziecię, ubrane w piękną sukieneczkę. Czegoś ci to nie mówi? Czegoś nie

przypomina? Laleczka Lissy szybko została zapomniana na rzecz Perełki Monetów, co? – Tym razem kobieta zacisnęła palce przy piersiach, tam gdzie spotykały się oba końce jej chusty. – Nie dość, żeście zhańbili jej wspomnienie, to jeszcze zupełnie je pogrzebaliście. Tak łatwo było zastąpić Lissy...

– Czekaj, czekaj... – Dylan patrzył w podłogę, intensywnie główkując. Widziałam, że naprawdę dawał szansę jej słowom, ale nieważne, jak je analizował, nie doszukiwał się w nich sensu. – Czyli ty twierdzisz, że zastąpiliśmy naszą matkę siostrą? Dobrze się czujesz?

– Poczuję się dobrze, dziecko, dopiero gdy pomogę wam właściwie zastąpić Lissy waszą Perełką. Skoro tak bardzo tego chcecie, to obiecałam sobie, że wam to ułatwię – powiedziała sucho, a jej niebieskie oczy na przemian błyszczały i ciemniały.

Ileokroć słyszałam, jak o mnie mówi, przechodził mnie dreszcz.

– Nie rozumiem. – Dylan kręcił głową. – Może jestem, kurwa, tępy, ale nie rozumiem. Moja matka nie żyje, więc żeby ją pomścić, chciałaś skrzywdzić nastolatkę, która nie ma z nią nic wspólnego? Która nic nie zrobiła i sama przeszła piekło? Tak to wygląda? Czy tobie brakuje piątej klepki?

Chciałam go szturchnąć, by przestał się tak denerwować. Na razie kobieta zdawała się zasługiwać na wszystkie obelgi świata, ale wyzywanie jej nie wydawało się bezpieczną drogą. Widać było zresztą, że ona też zaczyna się irytować. Wykrzywiła usta.

– Oburzające – skwitowała. – Gdyby Lissy słyszała, że jej syn tak się wypowiada... Słysząc, że przemawia przez ciebie diabelskie nasienie. Wiemy wszyscy czyje. Moja biedna siostra... – Kobieta po raz kolejny westchnęła dramatycznie, ale szybko uniosła głowę i zmrużyła oczy. – Was wszystkich chciałam pozabijać, przyznaję, i może powinnam była tak zrobić. Zmieść z powierzchni ziemi tych, którzy dostali miłość Lissy, a tak potwornie jej nie uszanowali.

Dylan mrugał, nieprzyzwyczajony do wysłuchiwania tyłu gróźb naraz. Tutaj ja starałam się wykorzystać swoją spokojną zwykłą naturę, bo może miało mi się udać ją zagadać. Widać, że teraz mówiła chętnie.

– Ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiłaś – odezwałam się cicho, ściągając tym na siebie jej wzrok. – Zmieniłaś zdanie.

Uniosła brodę wyżej i popatrzyła na mnie przez cienkie szparki zmrużonych oczu.

– To niełatwe zadanie, zwłaszcza jeśli chodzi o Vincenta. Niemożliwe wręcz, wiadomo, jest zbyt dobrze chroniony.

– Ale... ja... – Zwoje mózgowe Dylana przegrzewały się pod jego czaszką. – Znowu nie ogarniam. Chciałaś dorwać też Vince’a? Po cholere?

Kobieta cmoknęła zirytowana, że musi nam wszystko tłumaczyć. Jednocześnie przemawiała przez nią tak wielka gorycz, jakby potrzebowała wyrzucić z siebie to, co leżało jej na sercu przez długie lata.

– To on w pierwszej kolejności zdecydował się wziąć tę dziewczynę pod swoje skrzydła, tak czy nie? A wierzyłam, że jest mądrzejszy. Przecież z was wszystkich musi najlepiej pamiętać Lissy. To dla niego oddała swojego ochroniarza. – Zadrżała. – Och, Boże, przecież można powiedzieć, że oddała za niego życie... A ten niewdzięcznik? Proszę, ot tak zdeptał pamięć po matce.

– Ale zmieniłaś zdanie, coś cię do tego skłoniło – powtórzyłam, desperacko starając się naprowadzić ją na odpowiednie tory, choć ledwo mówiłam, bo gardło miałam ściśnięte, przejęta jej nienawiścią.

Spojrzała na mnie z pogardą.

– Cięża, dziewucho – warknęła. Automatycznie spojrzałam na jej brzuch, który mógł być sporych rozmiarów, luźna suknia dobrze go kryła, ale kobieta prychnęła. – Już urodziłam, głupia. Urodziłam i w międzyczasie co nieco zrozumiałam. – Wyprostowała się wyniośle. – Zrozumiałam, że dla matki, nawet jeśli jej dzieci są durne, przywiązanie robi swoje, i jednak ich szkoda. Myślę, że koniec końców Lissy nie chciałaby mścić się na swoich synach. – Uniosła brodę, dumna ze swoich wniosków. – Ale ktoś na zemstę ciągle zasługiwał. Ciągle myślałam o waszej Perełce, ale zaczęłam znowu działać, gdy okazało się, że Cam Monet jednak żyje.

Kobieta przerwała na chwilę i musiała odetchnąć, żeby poradzić sobie z gniewem, a ja nie odrywałam wzroku od noża, który ciągle trzymała

w ręce. Szkoda, że tak mocno go ścisnęła, bo nie było szans, by go upuściła, a bardzo chciałabym go dorwać.

– Ależ to była ulga, gdy podobno umarł. Sprawiedliwość, może i spokój.
– Kobieta wygięła usta w podkówkę. – A on wrócił. Potwór wrócił z zaświatów! Krzywda należała mu się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Was ruszyć nie mogłam, to choćby nie wiem co, postanowiłam dorwać waszą Perełkę, marną podróbkę Lissy, z którą tak się wszyscy cackacie. To opcja idealna, sam przyznasz, bo nie dość, że zmora Lissy ucierpi, to jeszcze zaboli i Cama. Dwie pieczenie na jednym ogniu, jak to się mówi.

Jej twarz przybrała teraz surowy wyraz. Miałam wrażenie, że zmarszczki, które wcześniej uznałam za delikatne, teraz się pogłębiły. Złość postarzała ją przynajmniej o dwie dekady.

– Tak jej pilnujecie, że niełatwo było się przebić, ale wreszcie się udało.
– Prychnęła z zadowoleniem. – Każdy bal mieliśmy obstawiony, ale to, o ironio, na zaręczynach jej własnego brata najłatwiej okazało się ją dorwać. Nawet z efektem ubocznym, jakim był mus schwytania również ciebie, Dylanie. Gdybyś tak za nią nie wyrwał, ułatwiłbyś nam wszystkim zadanie. – Mój brat gapił się na nią i nie dowierzał. Chyba po raz pierwszy widziałam, jak zabrakło mu słów. Za to mnie ich wręcz przybyło.

– Czy... – zaczęłam, opierając się zdrtwiałymi dłońmi o chłodną betonową podłogę. – Czy ty chciałaś, żeby obcy mężczyzna mnie skrzywdził, bo tak... skończyła ich mama?

Kątem oka zerknęłam na Dylana, który drgnął, jakby poraził go prąd.

– Co? – sapnął, niemal spluwając.

Znowu ogarnęła go wściekłość i zaczął szarpać liny. Nigdy nie widziałam go tak bezsilnego.

– Nawet o niej nie mów, dziecko, nie masz prawa – syknęła kobieta.

– A potem... – ciągnęłam wypranym z emocji szeptem – miał mnie... zamordować? Jak zamordowano ją?

Na końcu głos mi zadrżał.

– Oszalałaś?! – ryknął na nią Dylan, marszcząc brwi i szarpiąc rękoma tak mocno, że przez jedną, piękną chwilę wydawało mi się, że zdołał się

wyrwać. Niestety było to tylko błędne wrażenie.

– Milczcie oboje! – zawołała kobieta. Zrobiła się jeszcze bardziej czerwona na twarzy i nawet zabłyszczało jej czoło od potu. – Wy, ignoranci, żyjecie oboje w swojej bańce, ślepi na uczucia innych! Brzydę się waszą, pożałujcie Boże, rodziną!

– Co ci do naszej rodziny?! – warknął Dylan. – Nie należysz do niej. Nasza matka należała, ty nie...

– Lindsay była MOJĄ rodziną! – ryknęła piskliwie, a w jej oczach po raz pierwszy zabłyszczały łzy. – Była dla mnie wszystkim! A wyście mi ją zabrali. Zabraliście ją, ona dla was oddała wszystko, a wy nawet nie potraficie teraz w zamian umiłować jej i oddać jej hołdu? Jej docenić? Zamiast tego cackacie się z jakąś obcą wam dziewczyną. Lindsay nigdy nie powinna była wychodzić za Cama ani rodzić mu dzieci, nie powinna była wyprowadzać się z domu, zostawiać...

– Nie powinna była mieć swojego życia, tak? – wtrącił Dylan. – To chcesz powiedzieć?

– Zostawiła mnie samą! Była jedyną osobą, na którą mogłam liczyć w tej przeklętej rodzinie. Ze wszystkich moich sióstr jako jedyna mnie rozumiała i stawiała w mojej obronie, gdy ojciec podnosił na nas rękę. Zgadnij, kto mnie bronił, gdy się wyprowadziła?

Mimo iż chusta zdążyła znowu jej się osunąć, tym razem jej nie poprawiła. Nóż trzymała teraz w dole, obie dłonie zaciskając mocno w pięści.

– Byłyśmy nierozłączne, a ona nagle zniknęła. Cam Monet ściągnął jej na głowę problemy, przez które tak szybko gasł jej blask... Przez niego i przez was straciłam siostrę, a wyście wszyscy tak bardzo na nią nie zasługiwali!

Obfite łzy spływały jej po policzkach, oczy zrobiły się czerwone i zapuchły, a szminka się rozmasała. To, co rozgrywało się właśnie na oczach moich i Dylana, czyli płacz tej kobiety, to było coś jak wulkan uczuć, który od lat był uśpiony, a teraz wybuchł, zalewając jej ciało tłumioną od dawna lawą rozpacz i żalu.

Trudno mi było na to patrzeć. Nigdy w życiu nie widziałam na własne oczy tak wielkiego bólu ani tylu przykrych emocji w jednej osobie. Najpierw się odchyliłam, bo ten widok mnie przeraził.

Poczułam potrzebę pocieszenia jej, uspokojenia. Nie potrafiłam przyglądać się takiemu cierpieniu i czuć cokolwiek innego niż współczucie, pomimo sytuacji, w jakiej z winy kobiety znalazłam się wraz z Dylanem. Rozchyliłam usta, by przemówić do niej kojąco, choćby wymówić jej imię, ale go nie znałam.

Dylan zdawał się tak samo omamiony jej zachowaniem jak ja.

W jego przypadku jednak szok trwał krócej, no i chyba nie współczuł jej aż tak bardzo. Nagle jakby wziął się w garść, pochylił się nad swoimi nadgarstkami i z nową energią, jeszcze prędzej niż wcześniej, wziął się za szarpanie zębami lin.

A ja drgnęłam – raz, potem drugi, bo nie wiedziałam, czy posłuchać się instynktów, które radziły mi, bym wstała.

Kobieta prawie osunęła się na ziemię. Zalewała się łzami, krztusiła się i chciała chyba jeszcze coś mówić, jakby ktoś pierwszy raz w życiu dał jej na to przyzwolenie i bała się, że zaraz znowu straci je na wieki, jeśli nie wykorzysta tej szansy.

Uniosłam się na drżących nogach.

Sama byłam słaba. Mój organizm się wyziębiał, nie wspominając o wysiłku, z którym przyszło mu się zmagać. A rany na psychice? One się w niej wyrzynały, powodując na razie jedynie ból głowy, zapowiadający słoną dawkę cierpienia na później.

Jeśli tego „później” przyjdzie mi dotrzeć.

Zrobiłam krok w stronę kobiety. Bardzo powolny. A potem drugi. Patrzyła na mnie przez wypełnione łzami oczy i brzydko wykrzywiła twarz. Łzy zmywały jej makijaż, miała potargane włosy i z eleganckiej damy zmieniła się w nędzarzkę w drogiej biżuterii.

– Tak mi przykro, że straciłaś swoją ukochaną siostrę – wyszeptałam do niej głośno, by mnie usłyszała. Starłam się, by w moich słowach wybrzmiewało współczucie i łagodność.

– Hailie. – To Dylan syknął na mnie ostrzegawczo. – Stój.

– Przykro mi, że nie zaznałaś spokoju – dodałam i zagryzłam niepewnie wargę, gdy bardzo wolnymi ruchami wyciągnęłam do niej rękę. Chciałam ją objąć, ale jednocześnie jej nie przestraszyć poufałymi gestami. Czułam, że ona tego potrzebuje.

Serce mi zadrżało, gdy zamknęłam ramiona na jej przysadzistej sylwetce, ukrytej pod drogim materiałem kwiecistej sukienki, a ona zapłakała jeszcze bardziej. Sięgała mi zaledwie brody, tyle niższa ode mnie była. W pewnym momencie złożyła czoło na moim ramieniu, natychmiast mocząc mi skórę swoimi łzami.

– Wy nie wiecie... – wydusiła ledwo zrozumiale – jak to boli.

Wzięłam przerywany wdech, sama przeżywając katusze na widok jej męczarni, a wtedy niespodziewanie znowu odezwał się Dylan.

– Znam ten rodzaj bólu – powiedział zupełnie zmienionym, poważnym głosem. – Trochę go czuję na samą myśl, że mógłbym stracić ją. – Odwróciłam lekko głowę, akurat żeby dostrzec, jak patrzy na kobietę i wskazuje podbródkiem na mnie. – Ona jest dla mnie, dla nas, takim oddechem, jak mama była dla ciebie. – Dylan przełknął ślinę, a kobieta łkała ciszej, jakby starała się go wysłuchać. – Dlatego ja, syn Lissy, proszę cię, żebyś odpuściła Hailie. To nie ona jest winna tej tragedii. Nie zasługuje, by za nią płacić.

Kobieta tuliła mnie mocno, coraz mocniej, niczym najdroższą przyjaciółkę w ciężkiej chwili. Pozwalałam jej odreagowywać na mnie rozpacz, odsuwając własny komfort na dalszy plan. Ona tak bardzo potrzebowała pomocy...

Wreszcie uniosła głowę. Na jej okrągłej twarzy malowała się żalność, a oczy błyszczały udręką, aż nie wiedziałam, co powiedzieć. Znieruchomiałam, gdy poruszyła ustami tuż przy moim uchu. Lekko się nachyliłam.

– Przepraszam – szepnęła.

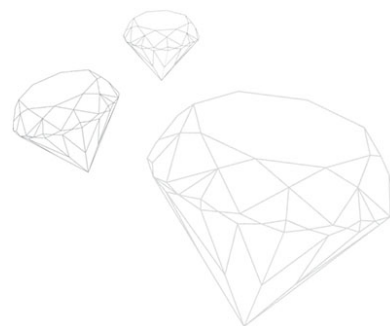
A potem poczułam coś mokrego i ciepłego pod zębem.

Zmarszczyłam brwi, głowiąc się, co mi się tam właśnie rozlało, i dopiero gdy kobieta odsunęła się ode mnie i cofnęła, zrozumiałam, że czegoś jej brakuje.

Nie miała w ręce noża.

Zerknęłam w dół.

Nie miała go, bo właśnie wbiła go w mój brzuch.



78

KOLEJNY POWÓD, ŻEBY ZASNAĆ

Wypuściłam z płuc długi oddech, który zdawał się trwać wieczność. Kobieta uderzyła plecami o ścianę, jej klatka piersiowa unosiła się prędko, a oczy wpatrywały we mnie ze strachem.

Wtedy zorientowałam się, że na chwilę ogłuchłam, bo gdy wrócił mi niespodziewanie słuch, uświadomiłam sobie, jak głośno Dylan wrzeszczy.

Niezgrabnie sięgnęłam dłonią w dół, by wyszarpnąć nóż. Zacisnęłam słabe palce na jego rękojeści.

– Nie wydaj go, nie! – ryknął na mnie brat.

Zabrałam dłoń i zakołysałam się, bo nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa. Stawały się niezdolne do utrzymania ciężaru ciała.

Kobieta patrzyła na mnie, a po wyrazie jej twarzy można by rzec, że nie docierało do niej, co narobiła. Zagubiona w swoich mękach i otępieniu, wypadła z piwnicy tak nagle, jak do niej zawitała.

– Stój, pomóż jej! Pomóż jej! – wołał Dylan, szamocząc się z linami i patrząc na mnie z absolutnym przerażeniem.

Ukucnęłam, wypuszczając z płuc drżący oddech, płytszy od poprzedniego. Z jakiegoś powodu niemożliwe dla mnie stało się branie pełnych wdechów. Błądziłam rękami w okolicy brzucha, szukając sposobu, żeby sobie pomóc. Nie potrafiłam.

Dylan gryzł teraz sznury jak szalony, plując i raniąc swoje nadgarstki do krwi. Nie zwracał uwagi, czy łapiąc między zęby linę, ciągnie też swoją skórę.

– Dylan – wydusiłam. Opierając się na udzie, podciągnęłam się w jego stronę. Kosztowało mnie to stanowczo za wiele wysiłku.

Dylan chciał do mnie mówić, ale miał zajęte usta. Wpadł w szal i widziałam, jak po jego policzkach spływają łzy.

– Dylan, muszę go wyjąć – wyszeptałam.

Splunął w kałużę i spojrzał na mnie boleśnie przejętymi oczami. Jego ciemne tęczęwki naładowane były tak mocnymi emocjami, że sama się rozpłakałam.

– Nie! Wykrwawisz się!

– I tak... się... wykrwawiam... – Skrzywiłam się, bo na początku nie odczuwałam bólu prawie wcale, a teraz on ciągle tylko zyskiwał na sile.

– Nie wydaj noża, zaraz się uwolnię... – Dylan wrócił do szarpania się z liną, a ja wierzyłam, że on w tej chwili gotów jest wyrwać sobie rękę, byle się wyswobodzić. Nigdy nie widziałam go w takim amoku.

Wizja tego, jak umieram tu na jego oczach, podczas gdy on walczy, była dla mnie tak niebywale tragiczna, że bolała mocniej niż rana od dźgnięcia. Żebym jeszcze była pewna, że on się uwolni. A co, jeśli nie da rady i przyjdzie tu ktoś, kto zabije i jego? Co, jeśli umrę, zanim uda mu się przegryźć linę, a wtedy opadnie z sił i nagle będzie mu wszystko jedno? Teraz przynajmniej będzie próbował jak najszybciej nas uratować. I siebie przede wszystkim.

Nie widział, jak ponownie zaciskam dłonie na rękojeści. Zorientował się, co robiłam, dopiero gdy podsunęłam mu pod nos zabarwione czerwienią mojej krwi ostrze.

– Nie!!! – wyrwał mu się paniczny okrzyk. Jego twarz zawisła nad związanymi nadgarstkami, gdy spojrzał na mnie z przerażeniem.

Nie poczułam większej różnicy. Gdy wyciągnęłam nóż, zrobiło mi się tylko chłodniej. Ból, niestety nie zelżał.

Sapiąc z wysiłku, przyciągnęłam się jeszcze bliżej dłoni Dylana i używając ostatnich sił, których ciągle mi ubywało, dźgnęłam jego liny. Każde uniesienie ręki i chwila skupienia sprawiały, że robiło mi się ciemno przed oczami.

Nadszarpnięta już lina szybko puściła, potraktowana tak porządnym nożem, i w kilka sekund nadgarstki Dylana zostały uwolnione. Mój brat zamachał nimi na oślep, żeby strząsnąć z nich sznur, a ten jeszcze nie opadł na ziemię, gdy on już sięgał do mnie. W końcu mogłam się położyć, choć ta pozycja nie przyniosła mi ulgi.

Dylan przytknął dłoń do mojej rany, powodując, że przez moje ciało przeszła kolejna fala bólu.

– Czekaj, trzymaj się, czekaj... – panikował i płakał.

On naprawdę płakał, desperacko krztusił się łzami.

Rozejrzał się i rzucił się na złotą chustę, którą kobieta tu zgubiła. Przyłożył ją do mojej rany, od razu oplątując też moje ramiona swoim. Syknęłam przeciągle, gdy poczułam, że mnie unosi.

Gapiłam się w sufit, ale widziałam niewiele. Czasem dostrzegałam tylko wykrzywioną od hysterii twarz Dylana, który na mnie zerkął, ale przez większość czasu trzymał głowę prosto przed sobą, gdy szukał ucieczki z budynku.

Zaciskałam od czasu do czasu powieki, głównie z bólu. Powodował go każdy najmniejszy krok Dylana, a on przecież biegł i mimo iż byłam pewna, że stara się amortyzować gwałtowniejsze ruchy, ja już nie wytrzymywałam.

Odrobinę lepiej się zrobiło, gdy pokonał schody i biegł ze mną przez korytarz. Odchyliłam w pewnym momencie głowę do tyłu, szukając wygodniejszej pozycji. Dylan zmusił jedną z moich dłoni do uciskania rany, ale nie wiem, czy robiłam dobrą robotę. Za dużo wysiłku mnie to wszystko kosztowało.

– EJ!!! – wrzasnął na mnie, gdy zamknęły mi się oczy. Szarpnął też mną w swoich ramionach i skrzywiłam się, ale zamrugałam świadomie. –

Wyjście, gdzie wyjście...?!

Dylan krzyczał albo mamrotał te słowa pod nosem, nie wiem, ale nie potrafiłam mu pomóc.

A wtedy, gdy moja głowa znów zwiśla bezwładnie, do góry nogami zobaczyłam kratkę u dołu jednych z mijanych przez nas drzwi, i to uruchomiło alarm w mojej głowie.

Tam był garaż, prawda?

Bezmyślnie wyciągnęłam rękę i w ostatnim momencie capnęłam palcami za klamkę, Dylan jednak biegł tak szybko, że moja dłoń od razu się z niej, niestety, ześlizgnęła.

Jęknęłam, nie mając siły zaprotestować głośniej.

Ale on się zatrzymał.

– Co jest?! Co robisz? – Przymknęłam powieki, moja dłoń zwiśla. Poczułam, jak mój brat się odwraca.

Nie miał wolnych rąk, ale przerażająco silny kopniak, którego wymierzył w drzwi, wystarczył, by wywalić je z zawiasów.

– Dobrze – odetchnął z ulgą na widok aut, które skrywało pomieszczenie. – Dobrze, tak, dobra robota, dziewczynko...

Uchyliłam oko akurat, by zobaczyć, że o tył jednego z aut krzywo opierały się drzwi, które rozwalił mój brat. A potem zadrżałam, bo dostrzegłam, że w progu zatrzymuje się jakiś wąsaty mężczyzna w czarnych spodniach i eleganckiej czerwonej marynarce.

– Hej! – zawołał, wybałuszając oczy. – Co tu się...

Dylan odwrócił się do niego.

– Pomóż, proszę – zawołał błagalnie. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby mówił takim tonem. – To moja siostra. Umiera. Proszę.

Mężczyzna mrugał, a potem rozejrzał się po holu.

– Co... Jak wy tu...

– Proszę, do cholery, proszę! – krzyknął Dylan.

Znowu odleciała mi głowa, ale postarałam się skupić i spojrzeć na mężczyznę najtrzeźwiej, jak umiałam, przez swoje na wpół przymknięte

powieki.

Niech on nam pomoże.

Odwzajemnił moje spojrzenie, nagle cały pobladł. Przykrył sobie nawet usta dłonią; ewidentnie niecodziennie oglądał takie dramatyczne sceny. Chwilę się wahał, rozejrzał się raz jeszcze, a potem wpadł do garażu i wskazał Dylanowi jedno z aut, to stojące najbliżej wyjścia.

– Wsiadaj tam.

Dylan nie miał wyboru, musiał mu zaufać i ruszył w stronę sportowego, niskiego auta, od razu ładując się na miejsce kierowcy ze mną na rękach. Najpierw zadbał, by wsunąć moje nogi, które spoczęły na fotelu pasażera. Starałam się z nim współpracować, jak tylko mogłam, ale ta gimnastyka sprawiała mi za wiele bólu i potrafiłam tylko skomleć.

– Już, młoda, już.

– Boli – jęknęłam.

– Wiem, jeszcze chwila.

Dylan wpakował się na siedzenie i od razu je odchylił, żeby mieć więcej miejsca i móc wygodnie położyć sobie moją głowę na kolanach.

W tym czasie pomagający nam mężczyzna zdobył dla nas kluczyki, a po drodze, przechodząc obok włączników, uruchomił jeden z nich i brama garażowa zaczęła podjeżdżać do góry. Przywitała nas nieprzyjazna ciemność na dworze.

Była noc. Kolejny powód, żeby zasnąć.

Auto obudziło się i zawarczało. Dylan wołał coś do mężczyzny, przekrzykując silnik. Ten w odpowiedzi gorączkowo mu coś tłumaczył. Mówili chyba o szpitalu. Biedny Dylan, nie wiedział przecież nawet, gdzie jesteśmy.

Skrzywiłam się, gdy silnie poklepał mnie po policzku. Zabolało, ale odzyskałam trochę przytomności. Zobaczyłam, jak nad moją twarzą mój brat przejmuje telefon od tego dobrego człowieka. Czy to pracownik tego wielkiego domu?

Nie wiem, ale dał Dylanowi swoją komórkę. Prawie zaczęłam płakać, gdy mój brat uruchomił mapy i korzystając z poleceń głosowych, kazał

nawigacji się dowieść do najbliższego szpitala.

– Brama na końcu będzie otwarta – obiecał mężczyzna i ostatni raz, widząc jego surową, ale i zmartwioną teraz twarz i współczujące oczy, które akurat rzucały mi spojrzenie, usłyszałam, jak szepcze: – Powodzenia.

– Jest dobrze, Hailie, słyszysz mnie? – mówił Dylan, gdy trzasnęły drzwi, a on ruszył z piskiem opon. Mrużył oczy, nawet to zaczerwienione i podbite, skupiony na jeździe po ciemku w nieznanych mu rejonach.

– Mhm...

– Mam nawigację, jedziemy do szpitala. Zawiozę nas, okej? Ty musisz tylko wytrzymać, tak?

Nie było mi wygodnie, ale cieszyłam się, że leżę na jego kolanach i mogę go widzieć. Co chwila rzucał mi spojrzenia, pilnując, bym nie zamknęła oczu. A gdy tak robiłam, szczypał mnie w policzek, jakby to była psota, ale to nie były żarty, w przeciwnym razie przecież tak by nie panikował.

Coś ugniatało mnie w ramię, czegoś mi stamtąd ubywało. Nie mogłam zapomnieć o tym odczuciu niekompletności, które gnębiło mnie nie mniej niż ból. Leżałam sztywno, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. Oddychanie stawało się coraz mniej wykonalne.

– Bądź otwarta, bądź otwarta – szeptał pod nosem Dylan, wpatrując się namiętnie w szybę. Dłonie zaciskał na kierownicy.

– Brama? Czy brama jest otwarta...? – wystękałam.

Milczał przez chwilę, mrużąc ciągle powieki, aż w końcu jego twarz zalała fala ulgi.

– Tak! – zawołał ucieszony. – Jest otwarta, jedziemy, dziewczynko. Już jedziemy, wyjechaliśmy, jedziemy do szpitala...

Przełknęłam ślinę. Nie potrafiłam podzielać jego ekscytacji. Nie sądziłam, bym miała szansę długo tak pociągnąć. Tak bardzo bałam się śmierci, a czułam ją blisko, dlatego musiałam podzielić się z Dylanem swoimi obawami.

– Chyba umieram – wymamrotałam.

– To tylko trochę krwi, dziewczynko.

– Boli, Dylan.

– Wiem – jęknął. – Ale to dobrze, że boli, znaczy, że kumas, co się dzieje, to dobry znak.

Kłamał.

– Nie chcę, żeby bolało...

Dylan nachylił się nad kierownicą jeszcze bardziej, a potem oderwał od niej jedną rękę i złapał za telefon. Bez patrzenia w ekran wystukał tam znany mu na pamięć numer.

– Jeszcze trochę – szepnął, czekając na połączenie. Nagle się ożywił. – Vince!

Dzwonił do Vincenta. Ta świadomość przyniosła mi trochę ukojenia, którego nie spodziewałam się poczuć w takich warunkach. Nie słyszałam lodowatego głosu naszego najstarszego brata, ale wyobrażałam go sobie i zaczęłam odpływać, aż palce Dylana znowu uszczypnęły mnie w policzek.

– Nie ma spania – przypomniał mi. – Vince, ja... ja muszę pilnować, żeby nie spała...

Mówił jednocześnie do słuchawki i do mnie. Ustalał coś z Vincentem, a potem szczypał mnie, żeby wyrwać mnie z macek snu.

A może i śmierci.

– EJ! – zawołał, aż podskoczyłam. Już odłożył telefon. Nawigacja mówiła coś automatycznym głosem. Kazała gdzieś zaraz skręcić. Dylan starał się śledzić uważnie ciemną drogę, jednocześnie poświęcając wystarczająco dużo uwagi mnie. – Ej, no już, powiedz mi coś.

– Co? – westchnęłam i skrzywiłam się.

– Nie wiem, coś, o czym nie wiem!

Wyteżyłam umysł tylko dlatego, że wiedziałam, że to ważne. Nie miałam szans na przeżycie, ale Dylan tak strasznie się starał... To dla niego pragnęłam walczyć jak najdłużej.

– Pamiętasz... – sapałam z trudem, próbując sformułować zdanie. – ... jak odwiedzałam Mayę i Monty'ego w Saint Tropez?

– Aha, tak, zeszłe wakacje, nie? – podłapał, najwyraźniej szczęśliwy, że zaczęłam mu coś opowiadać.

– Poszliśmy wtedy na imprezę i... się upiliśmy.

Zasychało mi w gardle, kręciło mi się w głowie.

– Tak? – Dylan się zaśmiał, nie odwracając wzroku od przedniej szyby. – Co piłyście?

– Nie... wiem... różne rzeczy... tequilę chyba? – Chciałam się skulić, ale nie mogłam, nie było tu miejsca. Dopiero sobie przypomniałam, że przy ranie przytrzymuję złotą chustę, tak jak wcześniej nakazał mi Dylan. Czułam, że moje palce robią się lepkie. Chusta przesiąknęła krwią.

– Tequilę mówisz? – ciągnął, a w jego łagodnym, lekko rozbawionym i nieco nieobecnym głosie pobrzmiwała ciągle panika. – Z cytryną i solą, mam nadzieję?

– Mhm... – jęknęłam, gdy zalała mnie wyjątkowo silna fala bólu – ... właśnie tak.

– Maya wie, co dobre.

Zmarszczyłam brwi nie tylko z wysiłku, ale i zdziwienia.

– Nie jesteś zły?

– Co ty – parsknął. – Poczekaj tylko, aż razem nawalimy się na twoją osiemnastkę.

– Vince mówił, że pozwoli mi pić, dopiero jak skończę dwadzieścia jeden lat – przypomniałam mu, co chwila robiąc przerwy między słowami. Jako że samo oddychanie był dla mnie wyzwaniem, klecenie zdań równało się prawie misji niemożliwej.

– Zrobimy wyjątek.

– Paliliśmy też... wtedy... cygaro...

Na samo wspomnienie uśmiechnęłam się delikatnie do sufitu samochodu.

– To też zrobimy – podłapał od razu Dylan. – Wiem, gdzie Vince trzyma swoje najlepsze sztuki.

Chciałam parsknąć śmiechem, ale zamiast tego skrzywiłam się z bólu.

– Co jeszcze, mów, co jeszcze? – ponaglał mnie.

Otworzyłam oczy; nawet nie wiem, kiedy je zamknęłam. Sięgnęłam pamięcią do wakacji we Francji.

– Udało nam się zmylić Sonny’ego...

Dylan zamilkł, a ja zaskomlałam cicho i przeciągle. Tym razem ból sięgnął bowiem również mojego serca.

– Dylan... – szeptałam. Ależ zaschło mi w ustach. Prawie nie byłam już w stanie artykułować dźwięków. Miałam nadzieję, że brat nadal mnie rozumie, choć widziałam, jak nadstawia ucha, skupiony na szybkiej jeździe.
– Obiecałam mu coś, gdy umierał...

Bo nie wiedziałam jeszcze, że sama umrę.

– Jeśli... – Przełknęłam gęstą ślinę. – W razie czego... wesprzesz Leę? W moim imieniu?

Rozległ się syk, gdy Dylan wziął zamaszysty, głęboki wdech.

– Nie będę nikogo, kurwa, wspierał w twoim imieniu – warknął głośno.
– Sama będziesz ją wspierać w swoim imieniu. Rozumiesz?

– Al...

– Rozumiesz mnie?!

– Mh-m – załkałam.

Poczułam jego dłoń na policzku. Tym razem nie szczypał mnie, a pogłaskał mnie po nim lekko.

– Już niedaleko, dziewczynko, musisz być dzielna, tak?

– Mh-m – potwierdziłam jeszcze bardziej płaczliwie.

Myślałam na początku, że to tylko moje łzy moczą mi twarz, ale gdy zerknęłam słabo na brata, odkryłam, że jego łzy też mi na nią kapią.

Ciemniało mi przed oczami.

– Masz zostać ze mną – wycedził przez zęby.

– Nie szczyp...

– Zostajesz ze mną.

Zadzwonił telefon.

Mrugałam powiekami, które nagle zaczęły mi się okropnie kleić. Nie potrafiłam tego kontrolować. Już nawet nie czułam dotyku Dylana. Ledwo

też słyszałam, co mówi.

– Już prawie jestem!

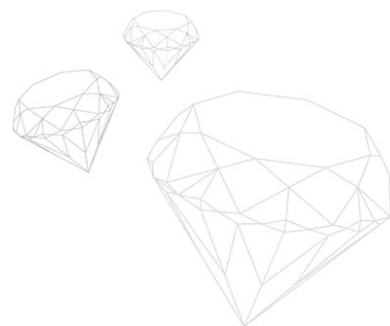
– Wszyscy na was czekają – powiedział Vincent, a jego skupiony do maksimum możliwości głos rozbrzmiał tym razem wyraźnie, bo Dylan wrzucił go na głośnik. – Zatrzymaj się przy wjeździe dla karetek.

– Jakim, kurwa, wjeździe dla karetek?! Skąd mam wiedzieć, gdzie jest wjazd dla karetek?! – wydzierał się Dylan. – Vincent, ona... Hailie, budź się, ale już!

Zapłakałam, bo nie pozwalał mi spać. Zapiekł mnie policzek. Mocno. Dlaczego on nie daje mi spać, dlaczego tak mnie męczy? Ja już nie mogłam. Odpływałam i nie dawałam rady utrzymać się przy życiu. Za wiele mnie to kosztowało. Już nic do mnie nie docierało.

Ostatnią moją myślą było to, że bądź co bądź przynajmniej Dylan się uratował, i uśmiechnęłam się do siebie sennie.

A potem nagle moim ciałem coś szarpnęło i rozległ się pisk opon, gdy samochód ostro zahamował.



79

STOKROTKI

Pod powiekami widziałam światła, mimo iż była noc, a ja miałam zamknięte oczy. Już przestawało mnie boleć. Ledwo czułam nawet, że jestem przekładana z rąk do rąk, albo że położono mnie na czymś twardym. Miałam wrażenie, że siedzę pod wodą. Wiedziałam, że wkoło panuje chaos, ale ja byłam do niego w dziwny sposób zdystansowana. Słyszałam głosy jakby z oddali – ludzie wołali coś do siebie.

Ktoś krzyczał, że potrzeba więcej jednostek krwi.

Dylan krzyczał, żeby ją ratować.



Moje życie.

Kiedy tak niespodziewanie dostałam czas na to, by pokontemplować je tu, w tej pustce, w której zawisłam, uświadomiłam sobie, o jak wielu rzeczach nie opowiedziałam. Nie o każdym drobiazgu jestem w stanie tu wspomnieć, a szkoda, bo na koniec często takie pozornie nic nieznaczące chwile okazują się najistotniejsze.

Bo czy opowiadałam, jak zrobiliśmy z Shane'em naszą własną pizzę? Do tego celu nawet kupiliśmy przez internet olbrzymi kamienny piec, który teraz służy nam jedynie jako dekoracja ogrodu. Przy okazji odkryłam, że Shane ma dryg do gotowania, i pomyślałam sobie, że mógłby być z niego całkiem przyzwoity kucharz, gdyby tylko nie był taki leniwy.

A to jak Will wyciągnął mnie na jeden ze swoich słynnych porannych biegów w pobliskim lesie? Po tym treningu myślałam, że wypłuję swoje płuca.

A że Tony uczył mnie strzelać z łuku? Tak, Monetowie, oprócz pistoletów, mieli w swojej rezydencji pochowane różne inne typy broni. Kiedyś się nudziłam i Tony chyba też, bo ulitował się nade mną, jednocześnie zastrzegając sobie, że nauczy mnie posługiwać się łukiem tylko wtedy, gdy będę robić wszystko, co mi każe, dlatego musiałam biegać, jak na sfrajerzoną, młodszą siostrę przystało, i znosić mu wszystkie strzały.

Dylan raz obiecał zabrać mnie do kina, po czym wybrał film totalnie nie w moim guście (coś o robotach w kosmosie) i zżerany przez poczucie winy następnego dnia wziął mnie na seans znowu, tym razem na melodramat. Zasnął na nim, ale to nie szkodzi, bo przynajmniej nie wyjadał mi popcornu.

Z Vince'em, na przykład, mogłabym przywołać bardzo miłe południe, kiedy to pogoda dopisywała i mój brat spędził ze mną swoją przerwę lunchową. Po jedzeniu robiłam mu czarną jak zło kawę, a sobie herbatę z jaśminem i rozsiedliśmy się na tarasowych leżakach. Pamiętam, że udało mi się go tak rozśmieszyć, że po raz pierwszy widziałam, jak coś rozlał. Potem musiał iść zmienić koszulę.

Tyle wspaniałych chwil przeżyłam razem z chłopakami i tyle mogliśmy jeszcze zrobić. Tyle przed nami. Chciałam studiować, podróżować, jeść dobre jedzenie i śmiać się do upadłego. Chciałam się upić, zatańczyć na barze, spać na plaży. Chciałam jeszcze raz usiąść za kółkiem złotego porsche.

Chociaż raz, błagam.

To nie fair, że zamiast tego walczyłam o życie na stole operacyjnym, a chłopcy przeżywali katusze w poczekalni.

Vincent w swojej desperacji podobno groził lekarzom. Dylan proponował dziesiątki, jeśli nie setki milionów dolarów za uratowanie mnie każdemu, kto miał wstęp na blok, tak jakby personel szpitala i tak nie robił już wszystkiego, co w ich mocy, żeby tylko ocalić tę siedemnastoletnią dziewczynę z całym życiem przed sobą.

Tony wypalił tyle papierosów, że w końcu zwymiotował gdzieś pod szpitalem. Shane siedział na podłodze pod ścianą w poczekalni ze zgiętymi nogami i czołem opartym o kolana. Chował twarz, bo prawdopodobnie spływały po niej łzy i nie chciał, żeby inni je widzieli. Will chodził po korytarzu sztywny jak struna, ani na moment się nie rozluźniając. W czasie mojej operacji zrobił więcej kilometrów niż niejeden pielgrzym.

Opowiadał mi, że zatrzymał się dopiero, gdy wyszedł do nich chirurg i potwierdził, że operacja się udała.

Przeżyłam.

Willowi ugięły się kolana. Vince, cały pobladły na twarzy, wpatrywał się w lekarza tak intensywnie, że ten zaczął się jękać i wyglądał, jakby chciał uciec z powrotem na salę operacyjną. Shane dopiero wyprostował nogi na podłodze i odchylił głowę, uderzając się jej tyłem o ścianę. Przymknął oczy. Dylan prawie staranował drobną pielęgniarkę, byle tylko dostać się do sali, do której mnie przewozili, a Tony chciał ruszyć za nim, ale zakręciło mu się w głowie tak mocno, że osunął się na krzesło.



Za pierwszym razem, gdy rozchyliłam powieki, towarzyszyło mi uczucie znajdowania się pod wodą. Ledwo byłam w stanie je unieść, więc widoczność miałam ograniczoną. Na dodatek oślepiło mnie światło dzienne. Dostrzegłam wtedy Shane'a, który siedział wciśnięty na szerokim parapecie przy oknie niedaleko mojego łóżka. O uda oparł laptopa, był wpatrzony w jego ekran, a na głowę włożył wielkie słuchawki.

Nie miałam jeszcze siły kręcić szyją, więc ruszyłam tylko oczami. Zerknęłam w bok i zobaczyłam, że tuż przy mnie, na fotelu, siedzi Dylan. On też nie widział, że się obudziłam, bo sam spał z otwartą buzią i odchyloną do tyłu głową, którą opierał na zgiętym, umięśnionym

ramieniu. Drugie zaś wyciągał tak, żeby sięgać mojej dłoni na kołdrze. Lekko zaciskał na niej swoje palce.

Zapatrzona na nie, zasnęłam znowu.



Kiedy drugi raz otworzyłam oczy, było ciemno i minęła chwila, zanim zaczęłam rozróżniać kształty. Widziałam, że dłoń Dylana, która spoczywała wcześniej na mojej, zastąpiła teraz inna – taka z masywnym sygnetem na palcu.

Zamknęłam oczy.



Do trzech razy sztuka.

Gdy znowu otworzyłam oczy, czułam się silniejsza. Odrobinę.

Tym razem moją drobną dłoń, w którą jak dopiero zarejestrowałam, miałam wbity wenflon, przykrywała ręka Willa. Wszędzie poznałabym te jego zadbane paznokcie. Najbardziej też ze wszystkich chłopaków dbał o to, żeby regularnie używać kremu nawilżającego.

Docierało do mnie coraz więcej bodźców. Coś ciamkało w oddali i dzięki temu odgłosowi namierzyłam Shane'a, który znowu siedział na parapecie, też z komputerem na kolanach i słuchawkami na uszach, tym razem wsuwając batonika. Już go kończył i okropnie szeleścił papierkiem.

Poczułam też łagodny, ziemisty zapach, taki świeży i lekko rześki. Szybko znalazłam jego źródło – wystarczyło tylko rozejrzeć się po pokoju, który był nieduży, jednoosobowy. Okazało się, że w każdym możliwym miejscu ktoś poustawiał bukiety stokrotek. Były wszędzie – na podłodze, stolikach i na parapecie (wazon z parapetu Shane zdjął i postawił na ziemi, żeby zrobić sobie miejsce do siedzenia).

Tak wielka ilość tych uroczych kwiatków upchnięta w tym małym pomieszczeniu mnie zafascynowała – stokrotki były piękne, z drobnymi,

podłużnymi białymi płatkami i żółtawym środkiem. W pierwszym momencie pomyślałam sobie nawet, że może umarłam.

Wyobrażałam sobie, że moje niebo mogłoby być usłane stokrotkami.

– Hailie.

Na progu pokoju stanął właśnie Vincent i patrzył na mnie z wielkim napięciem malującym się na twarzy. Przymknął za sobą drzwi, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego.

Kilka razy w życiu miałam już okazję oglądać wymęczonego Vincenta. Często sporo pracował, a w przeszłości zdarzyły się też takie sytuacje, które spędzały mu sen z powiek, jak wypadek Tony’ego czy moje porwanie. To znaczy jedno z wielu moich porwań.

Vincent, który w tej chwili zbliżał się do mojego łóżka, uosabiał jednak inny poziom wycieńczenia. Nie utracił swojej perfekcyjności, ale gdzieś tam ją zaniedbał, bo jego włosy były zaczesane do tyłu – jak na niego – dość niechlujnie, a cera miała niezdrowy, blady odcień. Zdawało mi się też, że wokół wiecznie zmrużonych z wysiłku i stresu oczu zaczęły mu się tworzyć zmarszczki, takie, które na twarzy zaledwie trzydziestoletniego mężczyzny prawa bytu mieć nie powinny.

Mój najstarszy brat nadrabiał jednak swoim klasycznym strojem, którym były biała koszula i ciemne spodnie od garnituru, nie pozwalając sobie spuścić z tonu nawet w szpitalu.

Gdy wymówił moje imię, natychmiast zwrócił tym uwagę Willa. Ten, jak się okazało, zaczytany był w książce, którą natychmiast odłożył, gdy zobaczył, że oczy mam otwarte. Wyprostował się i ścisnął lekko moją dłoń, jakby chciał przekazać mi impuls wsparcia. Zamiast tego boleśnie mocno uświadomiłam sobie, że nasze palce się zetknęły, i przez moje ciało przeszedł niewytłumaczalny, silny prąd, który zmusił mnie do wyrwania dłoni.

Czegoś się wystraszyłam.

Wtedy głowę uniósł Shane, a gdy zobaczył, że się obudziłam, z wrażenia laptop prawie zsunął mu się na podłogę. Złapał go w ostatniej chwili, jednocześnie niedbałym szarpnięciem wyrywając z uszu słuchawki.

– Hej, malutka – wyszeptał Will z przejęciem.

– Idź po pielęgniarkę i chłopaków – rzucił cicho Vincent do Shane’a, który bez słowa dyskusji przemknął za jego plecami i wypadł na korytarz, oglądając się za mną z przestachem w oczach.

– Popatrz na mnie, słyszysz mnie? – powiedział Will i posłał mi delikatny uśmiech, gdy nasze oczy się spotkały. W jego spojrzeniu zobaczyłam strach i zmartwienie.

Miałam wrażenie, że moja dłoń wciąż pulsuje, i to na pewno nie od kroplówki, a od dotyku ulubionego brata. Przycisnęłam ją mocniej do klatki piersiowej, złęczona, bo wraz z tym pulsowaniem budziły się też inne odczucia, niekoniecznie przyjemne. Stopniowo odkrywałam właśnie, że bardzo mnie boli. Coś ciągnęło mnie nieprzyjemnie na wysokości brzucha i na początku myślałam, że to tylko chwilowy dyskomfort, ale uczucie to bezlitośnie rosło w siłę.

Przełknęłam ślinę i zapłakałam.

– Hej, ciii, spokojnie, Hailie – powiedział szybko Will, przerażony, że zaraz narobię sobie jeszcze większej biedy.

– Jesteś w szpitalu – dodał Vincent swoim spokojnym głosem. – Miałaś operację, która się udała. Właśnie się wybudziłaś. Wszyscy tu z tobą jesteśmy.

– B-boli – załkałam, wpatrując się w niego załzawionymi oczami.

Zacisnął szczękę, ale w żaden inny sposób nie dał po sobie poznać, że się przejął.

– Ma prawo boleć. Masz założone szwy, ale operacja się udała. Popatrz na mnie, Hailie. Słyszysz? Nic złego ci się nie dzieje, boli cię, bo rana się goi. Zaraz przyjdzie pielęgniarka i zwiększy ci dawkę środków przeciwbólowych, dobrze?

Nie, nie dobrze. Z każdą sekundą byłam coraz bardziej przytomna i świadoma tego rwącego bólu. Dłonie zacisnęłam w pięści – jedną na swojej koszulce, a drugą na pościeli.

– Bardzo boli – pisnęłam tylko. Oddychałam tak płytko, że ledwo byłam w stanie mówić. A gdy chciałam się uspokoić i wziąć głęboki wdech, nie mogłam. Fizycznie nie mogłam – za bardzo cierpiałam.

Zrozpaczony Will spojrzął na drzwi, jakby telepatycznie starał się przywołać pielęgniarkę, i chyba mu się to udało, bo drzwi nagle się otworzyły i do środka weszła kobieta w szpitalnym uniformie. Tuż za nią podążał zaaferowany Dylan w towarzystwie bliźniaków.

– Trzeba jej w tej chwili dać coś przeciwbólowego – oznajmił natychmiast Will rozkazującym tonem.

– Wszystko z nią okej? – zapytał głośno Dylan starszych braci, a potem zwrócił się do pielęgniarki równie nagłym tonem co Will: – Zbadaj ją.

Kobieta zacisnęła usta, wyraźnie niezadowolona ze sposobu, w jaki była tu traktowana, ale nic nie odpowiedziała, tylko skupiła się na swoich zadaniach. Rozumiała chyba, że moi bracia są teraz zbyt przejęci, by przestrzegać zasad dobrego wychowania. Uśmiechnęła się do mnie łagodnie i kojącym głosem spytała, jak się czuję. Choćbym chciała jej odpowiedzieć równie spokojnie, to nie byłam w stanie; mogłam tylko płakać, że bardzo mnie boli.

W pewnym momencie dołączyła do nas lekarka i przejęła stery od pielęgniarki. Teraz to ją moi bracia zaczęli bombardować żądaniami, by ulżyła mi w cierpieniu.

Leżałam otoczona przez nich wszystkich, przytłoczona bólem i panującym w salce zamieszaniem. Gdzieś w tle mignęła mi twarz Tony’ego i jego duże oczy, okolone mokrymi rzęsami. Czy to możliwe, że były mokre od łez?

Nie miałam siły się zastanawiać, bo za bardzo bolało. W pewnym momencie zacisnęłam powieki i wtuliłam wilgotny policzek w poduszkę, żałując, że się obudziłam.

Albo że nie umarłam.



Chwilę to zajęło, ale wreszcie nieco się uspokoiłam i odzyskałam świadomość tego, co się działo wokół mnie. Lekarka wyszła, obiecawszy, że niebawem wróci. Pielęgniarka jeszcze gmerła przy mojej kropłówce. Rana na brzuchu ciągnęła, sprawiając mi duży dyskomfort, ale już tak

bardzo nie bolała. Gdy jednak z malało nieco cierpienie fizyczne, odezwały się złe wspomnienia i trudne emocje.

Wzięłam niespokojny oddech.

– Tak, Hailie? – Will natychmiast się nade mną nachylił. – Chcesz coś powiedzieć? Potrzebujesz czegoś?

– Leki przeciwbólowe powinny już działać – wtrąciła pielęgniarka, zatrzymując się na chwilę. Zerknęła na mnie z obawą, że coś poszło nie tak i bracia będą mieć do niej pretensje.

Zanim się odezwałam, zakaszlałam, bo gardło miałam wysuszone jak po imprezie z Mayą w Saint-Tropez. Miałam wrażenie, że to było w jakimś innym życiu.

– Sonny? – wychrypiałam. Popatrzyłam na Willa, a gdy ten spuścił wzrok, spojrzałam na Vincenta i zadrżała mi warga, gdy powtórzyłam: – Sonny?

– Sonny nie żyje – powiedział Vince, dzielnie wytrzymując moje pełne bólu spojrzenie.

Rozpłakałam się jeszcze bardziej. Łzy spływały mi wszędzie – po twarzy, szyi, ale i w gardle i niby je zwilżały, więc powinny przynieść mi ulgę, ale ja potrafiłam się nimi tylko krztusić.

Tym razem moi bracia nie wiedzieli, jak mnie uspokoić. Will chciał mnie pogłaskać, ale odwróciłam twarz od jego dłoni, więc posłusznie ją cofnął. Każdy z nich wyglądał, jakby szukał słów, które uśmierzyłyby mój ból, ale w tamtej chwili to było zwyczajnie niemożliwe.

Sonny nie żył i nie istniało nic, co mogło uczynić pogodzenie się z jego śmiercią łatwiejszym.

– Pogrzeb? – wymamrotałam słabo.

Na samą myśl o pochówku tak drogiego mi Sonny'ego robiło mi się niedobrze.

Chłopcy popatrzyli po sobie.

– Pogrzeb odbył się kilka dni temu – powiedział wreszcie Vince, który miał do siebie to, że najlepiej czuł się w udzielaniu prostych, zgodnych

z faktami informacji. Mógł do tego używać swojego wyzutego z emocji głosu.

Poczułam bolesne ukłucie w sercu.

– Ale jak to? – wyszeptałam, po czym zaczęłam kręcić głową. – Nie, nie, jak to kilka dni temu?

– Po operacji zostałam wprowadzona w śpiączkę farmakologiczną, żebyś szybciej doszła do siebie. Spałam kilka dni. W tym czasie odbyła się ceremonia.

– Wiemy, że ci przykro, że nie mogłaś tam być... – dorzucił pospiesznie Will, widząc wyraz mojej twarzy.

Zaczęłam szlochać, a piątka moich braci stała nade mną w mojej szpitalnej sali, każdy z nich tak samo bezradny.

– Ej, za to my wszyscy tam byliśmy – odezwał się Shane. Zwykle był wesoły albo przynajmniej wyluzowany, a teraz stał z rękami w kieszeni swojej czerwonej bluzy i nie wiedział, co ze sobą zrobić. – Oprócz Willa w sensie, Will został z tobą. A tak to my wszyscy poszliśmy, żeby go pożegnać. W twoim imieniu też.

Kręciłam głową, a łzy ciurkiem spływały mi po policzkach.

– Zabierzemy cię na cmentarz, jak tylko odzyskasz siły – obiecał Will.

– On... – zaczęłam łamiącym się głosem – nie żyje...

Zaczynałam oddychać coraz szybciej i szybciej, poczułam też mrowienie przy ranie. Nie potrafiłam przestać przeżywać śmierci swojego ochroniarza. Im bardziej byłam świadoma tego, że martwy Sonny, jego pusty wzrok, krew barwiąca moją liliową suknię i śnieg to nie są tylko wymysły mojej wyobraźni, ale realne wydarzenia, tym trudniej było mi sobie z tym poradzić.

Bracia mówili coś do mnie, w pewnym momencie jeden przez drugiego, chyba nawet Vincent podniósł głos, ale nic do mnie nie docierało. Wtedy wróciła pielęgniarka i znowu odpłynęłam.



Gdy kolejny raz obudziłam się ze snu, przy moim łóżku przywitało mnie trzech z moich braci. Shane siedział na swoim ulubionym parapecie, ale tym razem bez komputera i nie w poprzek, a ze spuszczone nogami i oparty o szybę. W ręku trzymał paczkę chipsów, którymi objadał się, pogrążony w rozmowie ze stojącym naprzeciwko mojego łóżka Dylanem i czuwającym na fotelu obok mnie Willem. To Shane tym razem jako pierwszy zorientował się, że się obudziłam. Miał akurat pełne usta, ale wybałuszył oczy i pomachał paczką chipsów, jakby chciał koniecznie obwieścić światu, że nie śpię.

Will i Dylan bezbłędnie odczytali ten przekaz i nie zdążyłam mrugnąć, a rzucili się do mnie z obydwu stron.

– Cześć, malutka – powiedział cicho Will, uważnie mnie obserwując. – Boli cię?

Żeby być fair, musiałam przyznać, że tym razem rana na brzuchu tylko trochę dawała o sobie znać, no i jakoś łatwiej było mi zapanować nad płaczem. Wciąż na myśl o Sonnym szkliły mi się oczy, ale tym razem obudziłam się otepiała na tyle, że dałam radę się nie rozpłakać.

Wzruszyłam więc tylko ramionami i jęknęłam cicho. Dawno nie czułam się tak słaba. Miałam wrażenie, że moje ciało jest zupełnie bezużyteczne, i nachodziły mnie myśli, że najlepiej byłoby je opuścić.

– E – warknął Dylan na Shane’a, który wyjątkowo głośno zaszeleścił paczką. – Spadaj stąd z tymi chrupkami.

– Co? – zdziwił się Shane.

– Ona nie może na razie jeść, a pewnie jest głodna, więc może byś jej nie dręczył? Wypad.

– Dylan ma rację – przyznał Will, oglądając się z wyczekiwaniem na Shane’a, który zrozumiał, o co im chodzi, i już się nie kłócił, ale zamiast wyjść, po prostu zgniótł paczkę i wrzucił ją do kosza.

Po tej wymianie zdań uświadomiłam sobie, że faktycznie konam z głodu.

Dzięki, Dylan.

Ssało mnie nieprzyjemnie w żołądku, a uczucie suchości w ustach stawało się nie do zniesienia. Zamarzyłam o zimnej coli. Mocno gazowanej,

w oszronionej puszcze. A potem o jakimś ciężkim, bogatym w węglowodany obiedzie. Na przykład wielkiej misie włoskiego makaronu. Z sosem pomidorowym i może tuńczykiem.

Poruszyłam się niespokojnie.

Gdy cienkim głosem wyartykułowałam swoje potrzeby, nie spodziewałam się, że bracia mi odmówią. Widziałam po nich, że byli gotowi zrobić absolutnie wszystko, żeby mi ulżyć, ale cóż, możliwości mieli mocno ograniczone.

Pozwolono mi tylko na kilka łyków wody. Wciąż miałam podłączoną kroplówkę i z tego, co tłumaczył mi Will, na razie o jedzeniu mogłam tylko pomarzyć, bo nóż uszkodził mi jelito, które teraz potrzebowało czasu na regenerację. Z tego też powodu czekała mnie ostra dieta, która miała być bardzo powoli i ostrożnie rozszerzana.

Czekało mnie też wiele innych rzeczy. Oprócz częstych badań i obserwacji, niekończących się zmian opatrunku, brania leków i kontroli w trybie pilnym załatwiono mi terapeutkę. Wtedy zrozumiałam, dlaczego kulę się za każdym razem, gdy któryś z chłopców stanie za blisko, albo czemu teraz, gdy się obudziłam, nie pozwalałam im się trzymać za rękę, mimo iż przecież zawsze byłam najbardziej spragnioną czułości osobą pod słońcem.

Tym razem miałam inną terapeutkę niż ta, do której chodziłam dawniej. To smutne, że choć skończyłam dopiero siedemnaście lat, mogłam się już pochwalić takim całkiem bogatym doświadczeniem z terapią. Na początku nie uśmiechało mi się z nikim rozmawiać, czułam się fatalnie, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale gdy Vincent dowiedział się od Dylana, co się wydarzyło, postanowił zapewnić mi opiekę psychoterapeuty, nawet jeszcze zanim zasugerowali to lekarze.

Co więcej, Vince również Dylana zmusił, by ten sięgnął po takie wsparcie. Doświadczył on w końcu traumy, śmiem twierdzić, że nie mniejszej niż moja. Wiem, że Dylan uległ Vincentowi, ale stało się tak dopiero, gdy się wybudziłam. Wcześniej twierdził, że nie jest w stanie się skupić na, cytuję, jakichś głupich pogaduszkach.

Cóż, te „pogaduszki” na pewno miały mu się przydać. Byłam raz świadkiem, jak drzemał na fotelu obok mojego łóżka i w pewnym

momencie poderwał się, otwierając gwałtownie oczy. Dobrze widziałam, że były wilgotne, choć próbował to przede mną zamaskować, pocierając powieki i klnąc na głośną wicherę za oknem.

Miedzy nami pojawił się też dziwny dystans. A może napięcie? Oczywiście Dylan i tak przesiadywał przy mnie prawie cały czas, i to z własnej woli, a ja bardzo chciałam, żeby przy mnie był; nasza obecność obok siebie była taką naturalną potrzebą, niczym picie wody.

Często zdarzało mi się na niego zapatrzyć, a wtedy czasem przyłapywałam go na tym, że i on mi się przygląda, jakby zamyślony. Wydawało mi się, że powoli oboje coś sobie uświadamiamy. Bo choć wiedziałam już od dawna, że zależy mi na moich braciach, i że ja także nie jestem im obojętna, to my naprawdę przyzwyczailiśmy się do siebie tak bardzo, że nasza więź stała się niesamowicie silna.

Wręcz przerażająco.



Odłożyłam na bok książkę. Will przyniósł mi tu ich kilka w nadziei, że czytanie, które uwielbiam, choć odrobinę pomoże mi w powrocie do dawnej siebie. Nie potrafiłam jednak skupić się na lekturze. Moją głowę spowijała ponura mgła, niepozwalająca mi myśleć o niczym innym niż śmierć Sonny'ego i wszystkie straszne rzeczy, które mnie spotkały.

Próba gwałtu, ranienie mnie nożem w brzuch przez tamtą kobietę... A także rzeczy, o których dowiedziałam się po wybudzeniu, jak to, że w śpiączce spędziłam tegoroczne święta (i w związku z tym moi bracia również spędzili je w szpitalu), czy że na przyjęciu zaręczynowym Grace i Vincenta kilka osób zostało rannych, w tym dwie poważnie. Zginął Sonny i kilkoro innych ochroniarzy z zewnątrz. Ludzie, którzy mieli dzieci, rodziny, marzenia i plany. Za nich również wylałam wiele łez. Nie potrafiłam przeżyć tej tragedii i znieść faktu, że sprawy miały się aż tak źle.

Nie potrafiłam nawet cieszyć się z tego, że ostatecznie do oficjalnych zaręczyn na razie nie doszło.

Skoro więc nie mogłam czytać, z braku lepszych opcji postanowiłam się zdrzemnąć, ale najpierw zerknęłam na siedzącego obok Dylana. W tej chwili tylko on tu ze mną był. Odkąd znalazłam się w szpitalu, jeszcze nigdy nie zostałam w tej salce sama, bez żadnego z braci. Lubiłam wiedzieć, że oni wszyscy są w pobliżu.

– Dylan?

– Hm? – Uniósł głowę znad telefonu. Pisał w nim coś od dłuższej chwili, pewnie do Martiny. Ostatnio trochę ją przeze mnie zaniedbywał, tak jak swoje studia zresztą. Przyniósł ze sobą do szpitala laptopa, żeby pisać jakąś pracę zaliczeniową, ale nawet na niego nie spojrzał. Twierdził, że ma to „w dupie”, ale ja wiedziałam, że i jemu ciężko jest się skupić.

– Gdzie Will?

– Podjechał na chwilę do domu, przecież mówił.

– Długo go nie ma.

– Krótko, godzinę.

– ...a gdzie Tony i Shane?

Dylan westchnął znużony. Nie mogłam go o to obwiniać, bo ciągle dopytywałam o nieobecnych braci. Wystarczyło, że któregoś nie było przy moim łóżku dłużej niż kilkanaście minut, a ja już zerkałam nerwowo w stronę korytarza.

– Pojechali po żarcie.

– A...

Nie zapytałam o Vince’a, bo akurat drzwi do salki otworzyły się, coś zagrzechotało i rozległy się też ciężkie kroki.

Serce na moment zatrzymało mi się w piersi.

Zagrzechotały bowiem kajdanki, które znajdowały się na nadgarstkach naszego ojca.

Cam ubrany był w swój czerwony więzienny strój, na który narzucił grubą czarną skórzaną kurtkę na czarnym misiui. Na nogach miał masywne, lekko zabłocone buty. Cała jego postura robiła wrażenie. Jego włosy były wilgotne; zgadywałam, że to dlatego, iż za oknem akurat dość gęsto przószył śnieg.

Choć dawno go nie widziałam, nie zmienił się za wiele. Przybyła mu chyba mała podłużna blizna w kącie lewego oka. Brodę wciąż miał okazałą, twarz porośniętą zmarszczkami, włosy tylko trochę podcięte. Gdyby podmalować mu oczy czarną kredką i zamiast kajdanków założyć na nadgarstki rzemyki, które nosił, gdy przesiadywał na rajszych wyspach, mógłby grać pirata w filmie.

Na jego widok miałam ochotę wyskoczyć spod kołdry i paść mu w ramiona, ale przed takimi myślami powstrzymywał mnie tępy ból rany na brzuchu. Zamiast tego poruszyłam się i z otwartymi ustami wpatrywałam się w niego, gdy się do mnie zbliżał.

Mina mi rzędła, gdy za tatą do pokoju weszli dwaj uzbrojeni policjanci o skupionych, oficjalnych twarzach. Na szczęście tuż za nimi podążał też Vincent.

Cam przystanął przy moim łóżku i uśmiechnął się do mnie łagodnie, a potem z tym samym uśmiechem spojrzał na Dylana. Uniósł ręce, jakby chciał je rozłożyć i jedną dłonią dotknąć mnie, a drugą syna, ale kajdanki na jego nadgarstkach mu to uniemożliwiły. Nie umknęły mojej uwadze jego poharatane knykcie.

– Ej, ty – warknął na jednego z policjantów, odwracając się do niego ze zniecierpliwieniem. Albo mi się zdawało, albo mocniej zachrypł mu głos. – Zdejmijże mi z łap to żelastwo.

Funkcjonariusze unieśli brwi.

– Nie mamy pozwolenia na...

– Przecież ja tylko odwiedzam w szpitalu córkę – przerwał mu Cam i wskazał na mnie głową – a z tym szajsem na rękach nie mogę jej nawet porządnie objąć.

Strażnicy zerknęli na mnie, a ja zrobiłam najsmutniejszą minę, na jaką było mnie stać. Biorąc pod uwagę wszystkie krzywdy, jakie ostatnio mnie spotkały, przyszło mi to z dziecinną łatwością.

– No dalej, Tom. Wiesz, że nie odwalę żadnego gówna. Nie przy swoich dzieciakach. – Cam uniósł brew, a policjant, do którego się zwracał, westchnął i wymienił spojrzenie ze swoim partnerem.

– Musisz się zachowywać, Cam – powiedział, sięgając do pasa po klucz, a następnie zbliżając się z nim do mojego ojca. – Jeden fałszywy ruch i zrobi się nieprzyjemnie.

– Mhm, będę jebanym aniołeczkiem. – Ojciec puścił do mnie oczko, gdy go rozkuwano.

W odpowiedzi spróbowałam delikatnie się uśmiechnąć, choć widok taty w więziennym stroju, skrupowanego kajdankami i pilnowanego przez strażników sprawiał mi wielką przykrość.

Cam pomasował sobie nadgarstki, gdy tylko policjant się od niego odsunął, ale zanim się do mnie zwrócił, najpierw skierował się do fotela, na którym siedział Dylan. Mój brat teraz już nie opierał się w nim leniwie, plecy miał wyprostowane i uważnie śledził ruchy ojca. Ten żądnym posłuszeństwa gestem dłoni nakazał mu wstać. Cam był chyba jedyną osobą, z którą Dylan nie śmiał dyskutować. Podniósł się więc i gdy tak stali naprzeciwko siebie, widziałam, że mimo iż Dylan był wyższy i szerszy w barkach, to Cam miał u niego autorytet.

Ojciec przyjrzał się synowi. Jedną rękę położył na jego ramieniu, a drugą na policzku. Próbował zajrzeć mu w oczy, ale Dylan chyba przez chwilę uciekał od niego wzrokiem. Dopiero gdy ojciec poklepał go władczo po policzku, mój wredny brat się poddał.

– Spisałeś się na medal, młody – odezwał się ściszym głosem Cam. – Jestem z ciebie dumny, słyszysz? W cholerę dumny.

Dylan znowu próbował odwrócić głowę w bok – nie tylko żeby nie patrzeć w oczy ojca, ale także moje i Vincenta, który opierając się o ścianę przy wejściu, czuwał przy nas tak jak policjanci.

– Nie wstydz się łez – upomniął go Cam ciągle tym samym, zachrypniętym i ostrym głosem. – Nie odbiorą ci męskości. Nic ci jej nie odbierze po tym, co się wydarzyło. – Nachylił się tak, że ich twarze prawie się stykały, i ledwo słyszałam, co mówił. – Uratowałeś mi córkę.

Cam pokręcił głową, a potem palcami starł coś z policzka Dylana, zapewne jedną z łez, po czym w to samo miejsce go pocałował i przytulił, klepiąc go po ramieniu.

Sama prawie się rozbeczałam na widok tej sceny między nimi. Cieszyłam się skrycie, że ojciec okazał Dylanowi czułość, no i że go docenił. On na to tak bardzo zasługiwał...

– A ty... – Tym razem zwrócił się do mnie. – Ty uratowałaś mi syna. Mhm, tak, słyszałam, jak zajadle żeście walczyli jedno o drugie. – Cam pokręcił głową z zadowoleniem w oczach i zerknął na stojących w ciszy policjantów. – To są właśnie moje dzieciaki. – Z hałasem odsunął sobie stółek spod mojego szpitalnego łóżka i od razu na nim przysiadł. –

Uratowałaś mi synów – poprawił się. – I mnie samego. Bo gdybyśmy cię stracili, moja królewno, żaden z nas by sobie z tym nie poradził.

Zapatrzona w niego spróbowałam przełknąć ślinę.

Ojciec wyciągnął rękę i przestraszyłam się, że mnie dotknie, a ja znowu poczuje ten dziwny impuls, który odrzuci mnie od jego bliskości, której tak naprawdę przecież bardzo potrzebowałam... Ale on położył swoją dłoń wewnętrzną stroną do góry na kołdrze, w rozsądnej odległości od mojej.

– Przepraszam cię, moja Hailie, za to, że musiałaś zapłacić za nie swoje winy. Nie zasługujesz na tyle cierpienia. – Głos Cama zrobił się mroczniejszy, a on sam zerknął na miejsce, gdzie kołdra przykrywała moją zaszytą i obklejoną opatrunkami ranę. – Moja mała królowna dźgnięta nożem...

Milczałam, ale nieco zlekłam się jego ciemniejszej strony, która trochę zaczynała dawać o sobie znać. Bałam się, że straci nad sobą panowanie. Nie chciałam oglądać, jak policjanci zakuwają go na siłę w kajdany i stąd wyprowadzają. Mimo iż byłyby to tylko kolejna trauma do kolekcji, na doświadczanie jej nie miałam najmniejszej ochoty.

Najpierw drgnął mój mały palec, ale wciąż się wahałam, dlatego dopiero po chwili zdobyłam się na to, by powoli unieść rękę i ostrożnie położyć ją na oczekującej na ten gest dłoni ojca.

Od chwili, gdy wybudziłam się ze śpiączki, wzbraniałam się przed dotykiem. Zwłaszcza mężczyzn. Na szczęście zajmowały się mną wyłącznie kobiety: pielęgniarki, lekarka, terapeutka. Bracia szanowali moje nowe granice i się do mnie nie zbliżali, choć nieraz widziałam w ich oczach dezorientację, bo nie do tego ich przyzwyczaiłam. Wcześniej byłam przecież przylepą, która do nich lgnęła, łaknąc kontaktu cielesnego.

Teraz, żeby uspokoić ojca, zdecydowałam się na poufąły gest mimo strachu, że będę musiała czym prędzej cofnąć rękę. Tak się jednak nie stało. Jego potężna dłoń zamknęła się lekko na mojej, a ja poczułam jedynie miłe ciepło.

Ufałam braciom, jednak moja relacja z ojcem była czymś wyjątkowym.

Teraz tata nachylił się i musnął ustami moje palce, łaskocząc mnie przy tym swoją brodą.

Uśmiechnęłam się.

– Jesteś taka dzielna – powiedział. Widziałam w jego ciemnych tęczówkach troskę, która tuszowała wściekłość. Gdy te oczy nie patrzyły na mnie, jestem pewna, że była ona bardziej wyrazista.

W moich oczach wezbrały łzy. Ostatnio działo się to tak często, że właściwie byłam już do tego przyzwyczajona i niemal tego nie zauważałam.

– Jestem głupia, bo przeze mnie nie żyje Sonny.

Pierwszy raz powiedziałam to na głos. Nie miałam odwagi wypowiedzieć tych słów przy chłopakach, ale znowu – ojciec to co innego. Czułam się przy nim całkowicie bezpieczna, jakby był w stanie zabrać ode mnie wszystko, co złe.

Cam przymknął powieki i zaczął wolno kręcić głową.

– Taka prawda – załkałam, a Dylan, który jeszcze przed chwilą zamierzał usiąść z powrotem na fotelu, teraz poderwał głowę w górę i zrobił krok do przodu, zaciskając pięści.

– Nie, bo gdybym pierwszy nie poleciał w ten las, to...

– Nie, to gdybym ja posłuchała Sonny'ego...

– Cisza – warknął ostro ojciec, otwierając oczy. – Ty, powiedz nam, dlaczego żeś poleciał w las?

Dylan przeczesał sobie włosy szybkim, nerwowym ruchem.

– No bo jestem idiotą.

– Odpowiadaj normalnie.

Mój brat odetchnął i wreszcie, bez patrzenia na mnie, niedbale machnął na mnie ręką.

– Nie wiem, no bo myślałem, że ją tam zabrali.

Ojciec przeniósł wzrok na mnie.

– A ty, dlaczego pobiegłaś do lasu?

Przez chwilę wytrzymywałam jego spojrzenie, przygryzając dolną wargę, a potem przelotnie zerknęłam na Vincenta, który nadal opierał się o ścianę i uważnie nas słuchał, przyglądając mi się ukradkowo.

Przełknęłam ślinę.

– Hailie, dlaczego pobiegłaś do lasu? – powtórzył ojciec ze spokojem.

– Bo widziałam, że Dylan tam pobiegł – odparłam cichutko.

Rozłożywszy ręce, skinął głową z poważnym wyrazem twarzy.

– I tyle w temacie.

Zamilkliśmy wszyscy na moment. Dylan patrzył na okno.

– Ale – zaczęłam po chwili – ale tato, Sonny stracił życie.

Jedną ręką z powrotem złapał mnie za dłoń, tym razem śmiejąc, widząc, że mu na to pozwalałam, a drugą pogłaskał mnie po włosach.

– Śmierć Sonny’ego to ogromny cios dla nas wszystkich – powiedział z należytą powagą i smutkiem. – Poznałem go jako gówniarza i zawsze przez te wszystkie lata gdzieś się tam kręcił w pobliżu. Zyskał sobie nasze zaufanie. A to nie byle co, bo ja ufam ledwie garstce osób. – Cam musnął wierzchem dłoni mój policzek. – Powierzyliśmy mu twoje bezpieczeństwo. To był dobry chłopak, bardzo dobry ochroniarz...

– Był najlepszy – wyjąkałam przez łzy.

– Tak, moja Hailie, i na zawsze go takim zapamiętamy... Sonny był też niegłupi. Znał się na swojej pracy i wiedział, z jakim ryzykiem się ona wiąże.

– Ale nie mógł przewidzieć, że umrze i... zostawi córkę.

– Nie, nie mógł – westchnął Cam. – Zajmiemy się jego rodziną.

– Obiecałam mu, że wesprę Leę – kontynuowałam łamiącym głosem.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, to na pewno była dla niego ulga. My pomożemy ci dotrzymać danego słowa.

– Jak? Czy możemy podarować jej, nie wiem, pieniądze? Otworzyć dla niej konto może?

– Może zrobimy tak, że prześlemy pieniądze jej mamie, dobrze? Ile tylko będziesz chciała. A bezpośrednio dla dziecka założymy fundusz powierniczy, hm? Wyślemy też dziewczynkę do dobrego przedszkola, a później będziemy opłacać jej czesne w najlepszych szkołach przez całą ścieżkę jej edukacji, co ty na to?

Pokiwałam z przejęciem głową.

– Tak, zrobmy tak, proszę.

– Vincent się tym zajmie, tak? – Ojciec spojrzał na swojego najstarszego syna, który ciągle oparty o ścianę, nieruchomy jak posąg, skinął głową.

To była plamka światła w czarnej smole żałoby, w której brodziłam. Bałam się, że moja obietnica złożona Sonny’emu okaże się z jakiegoś powodu problematyczna. Bez pomocy mojej rodziny nie byłabym w stanie jej spełnić, na pewno nie teraz. Dlatego ulżyło mi, że miałam otrzymać od nich wsparcie i przynajmniej na tym polu nie musiałam się zamartwiać.

– Moja mała królewna – powtórzył ojciec, przyglądając mi się z taką czułością, że aż musiałam spuścić wzrok. – Mam do ciebie prośbę. Możesz na mnie spojrzeć, Hailie? Chciałbym cię prosić, żebyś w najbliższym czasie skupiła się w pełni na swoim zdrowiu. Myślisz, że dasz radę? Chciałbym, żebyś o sobie dbała, żebyś słuchała lekarzy i pracowała z terapeutką. Dasz radę?

Znowu spuściłam wzrok.

– Robię, co mogę – wymamrotałam.

– Wiem, moja słodka Hailie, wiem. – Jego broda znowu mnie załaskotała, gdy ponownie ucałował moją dłoń. – Ja cię w żadnym razie nie poganiam. Jak najbardziej rób wszystko we własnym tempie, bez żadnej presji. Zależy mi tylko, żebyś traktowała siebie priorytetowo. Jesteś taka empatyczna, masz takie dobre serce... Ale czasem warto być trochę egoistycznym i proszę cię, żebyś właśnie taka nieco bardziej egoistyczna była, zwłaszcza teraz, gdy naprawdę potrzebujesz postawić swoje dobro nad cudze. – Musnął opuszką wskazującego palca moją skroń. – Twoje ciało i twój duch potrzebują twojej uwagi, wiesz o tym, prawda?

Nieśmiało pokiwałam głową.

– Tato? – zapytałam cicho, pilnując, by nie zerknąć przypadkowo ani na Dylana, ani tym bardziej na Vincenta.

– Tak?

– Czyli ty wiesz wszystko... co się... tam wydarzyło? – wyszeptałam.

– Nie wiem, czy wszystko, ale na pewno wiem sporo – odparł, a jego oczy pociemniały.

– A wiesz, czy ja... – Głos uwiązł mi w gardle.

– Tak, królewno? – Oczy ojca wróciły do swojego pierwotnego stanu i patrzyły się we mnie dobrodusznie.

– Czy ten... mężczyzna, którego ja... Czy on...

Nie dokończyłam, ale wierzyłam, że nie ma takiej potrzeby. Cam przez chwilę nie odrywał ode mnie wzroku, a ja wyczekiwałam jego odpowiedzi, odwzajemniając jego spojrzenie przez wilgotne rzęsy. Następnie odpowiedział mi bez mrugnięcia okiem:

– Nie żyje. – A gdy zaczęła mi się trząść broda, dodał: – Clarissa go zabiła.

Milczałam, czując, jak ze stresu boleśnie zaciska mi się żołądek. To okropne odczucie potęgował fakt, że miałam przecież ranę na brzuchu.

– Wiem, że broniłaś się nożem – kontynuował ojciec. – I uważam, że jesteś niesamowita, moja królewno. Jesteś taka odważna i silna. Z ciebie też jestem dumny za to, że potrafisz tak zaciekle walczyć. Jesteś Monet, jak nic.

Tym razem jego słowa nie działały na mnie kojąco. Ciągłe w głowie kołatała mi się myśl, że mój napastnik, którego dźgnęłam nożem i zostawiłam konającego na podłodze, nie żyje.

– Jeszcze raz, kto go zabił? – zapytałam tępo.

– Clarissa – odpowiedział ojciec przez zaciśnięte zęby. Widać było, że samo wypowiedzanie tego imienia budzi w nim wściekłość. – Kobieta, która rozpętała całe to gówno.

– Jest chora umysłowo – wtrącił Vincent, po raz pierwszy zabierając głos. – Stwierdzono u niej nieleczone traumy, które na przestrzeni lat

spowodowały poważne zaburzenia psychiczne.

– Zgadza się, zamiast psychiki ma sito – potwierdził Cam. – Pamiętam, że już jako małolata była niestabilna, cała rodzina Lissy to patologia. – Po tym wzniósł oczy do sufitu, przytknął do ust złączony palec wskazujący ze środkowym i uniósł je w górę, mruczając pod nosem: – Wybacz, słońce.

– Czyli to nie ja go... – ciągnęłam. Pewne słowa zatrzymywały mi się w gardle i nie potrafiły przez nie przejść.

– Nie zabiłaś go, Hailie.

Zacząłam kiwać głową, spuściwszy wzrok na kołdrę. Nie zabiłam go. To nie ja go zabiłam.

Ja go tylko dźgnęłam. Dźgnięcie nożem to nie wyrok śmierci. Sama też przecież zostałam dźgnięta i proszę, żyję.

– Ale szkoda, że nie żyje – odezwał się Dylan, a jego głos stał się mroczny i nieprzyjemny. – Bo chętnie urwałbym mu kutasa, a potem kazał mu go zeżre...

– Dylan, kuźwa mać, zamknij się – warknął ojciec.

– Nie, bo nie mogę tego przeżyć, że to bydlę dostało tak łatwą śmierć, to jest... – Dylan był tak rozgorączkowany i wykonywał tak gwałtowne ruchy, że w końcu machnąwszy ręką, trafił w jeden z bukietów, który stał na stoliku obok niego. Wazon spadł, rozbił się z hałasem, a na podłodze rozproszyły się odłamki kryształu i rozlała woda.

Dylan nawet nie zwrócił na to uwagi. Nikt nie zwrócił.

– Ja się z tobą zgadzam, synu, ale skoro nie żyje, to idziemy dalej, a nie zastanawiamy się, co byśmy zrobili, gdyby.

– Właśnie że będę się zastanawiał, bo sam bym życie oddał, żeby go zaje...

Ojciec podniósł się i złapał Dylana za przód jego koszulki i nim szarpnął.

– Panuj nad sobą.

– Aha, właśnie teraz nad sobą panuję, w stu procentach panuję, i to, co mówię, jest w stu procentach przemyślane, za...

– Dylan – syknął ojciec, tym razem kilka tonów ciszej, ale i ostrzej. Stał teraz tuż przed nim, twarzą w twarz, i zaciskał pięść na jego koszulce, a potem dodał ledwo słyszalnym dla mnie szeptem: – Wiem. Okej? Wiem i rozumiem cię. Też bym go z największą przyjemnością obdarł ze skóry, naprawdę. Ale nie zrobię tego, bo on już nie żyje. Ty też nic na to nie poradzisz. Więc skupmy się na tym, co zrobić możemy. Możemy na przykład wspierać twoją siostrę. To jej potrzebna jest nasza uwaga, nie temu martwemu gnojowi. Nie sądzisz?

Dylan zaczął się trochę uspokajać. Wciąż był nabuzowany, ale już się tak nie gorączkował. Zerknął na mnie i widząc, że przyglądam się ze smutkiem stokrotkom, które z jego winy marniały właśnie na podłodze, bez wody, obsypane odłamkami szkła, drgnął i schylił się, by je pozbierać.

Cam przez chwilę obserwował, jak Dylan zbiera kwiatki, a potem odwrócił się z powrotem do mnie. Rzucił też po drodze przeciągłe spojrzenie Vincentowi.

– Chcesz jeszcze o coś zapytać? – Jego głos, gdy zwracał się do mnie, na powrót był łagodny. Znowu mnie pogłaskał po głowie. Lubiłam, kiedy był dla mnie taki delikatny.

– Jak to się stało, że to ona zabiła... jego? – zapytałam cichutko, dręczona ciągle przez nieprzyjemne przeczucie.

Cam uniósł dłoń zaciśniętą w pięść i obrócił ją.

– Przekręciła nóż, wyjęła mu go z rany i to najwyraźniej wystarczyło.

Skrzywiłam się i oblizalam z przejęciem wargi.

– Ale to ja pierwsza go... Czy w takim razie to nie ja... To nie moja wina?

Cam nachylił się nade mną, a patrzył mi w oczy tak uważnie, że pomiędzy jego brwiami pojawiła się pionowa kreska.

– Hailie, powiem coś teraz i nie chciałbym musieć się powtarzać, więc spróbuj, proszę, moja córeczko, dobrze to zapamiętać. – Cam zrobił krótką pauzę. – Nic z tego, co się wydarzyło, nie jest twoją winą. Nigdy nie obwiniaj się za rzeczy, które są poza twoją kontrolą. Nie obwiniaj się za wir wydarzeń, w który ktoś cię wrzucił. Czy to jest jasne i zrozumiałe?

Pokiwałam głową, starając się hamować łzy.

– Świetnie, królewno. To bardzo ważne, żeby być dla siebie wyrozumiałym. – Ojciec uniósł głowę i spojrzał najpierw na Dylana, a potem na Vincenta. – I was tyczy się to samo, rozumiano? Dbajcie o swoją psychikę. Widzicie na przykładzie Clarissy, co się dzieje, gdy się ją zaniedbuje. Dylan, rozumiano?

– Ta – odmruknął mój wredny brat.

– Vincent?

Mój najstarszy brat z kolei skinął tylko głową.

– Dobrze. Pamiętajcie, w naszej rodzinie nie ma miejsca na obwinianie się, wskazywanie paluchami i lamentowanie „a co by było, gdyby”. Jeśli szukacie odpowiedzi na tego typu pytanie, to przyjdźcie z nim do mnie, już ja wam na nie odpowiem. Gównu by było. Jak się nazywasz Monet, to w razie problemu szukasz rozwiązania, a nie chlipiesz jak jakiś, kurwa, puszek okruszek nad rozlanym mlekiem i zastanawiasz się, czy gdybyś zrobił tak, to wyszłoby srak. Jasne czy nie?

Mimowolnie cicho parsknęłam, Dylan lekko się uśmiechnął.

– Jasne czy nie, pytam się? – warknął ojciec.

– Jasne – mruknęliśmy jednocześnie z Dylanem.

– No, mam nadzieję.

– A... co się stanie z Clarissą? – zapytałam po chwili ciszy.

Tato westchnął głęboko.

– Co ja cię będę czarował, moja Hailie... Nie wróżę jej świetlanej przyszłości.

– Ale to wasza ciocia, prawda? – zerknęłam na Dylana, czując nieprzyjemny dreszcz.

Ten spojrzał na mnie jak na kosmitkę.

– Weź ty, kurwa, co za ciocia? Żadna ciocia, wywalone mam na to babsko.

– To nie tak, że się pogubiła i, bo ja wiem, wysłała list z pogrózką, Hailie, tylko aktywnie próbowała cię skrzywdzić, i to niejedną raz. Nawet jeśli jej czyny były spowodowane chorobą, nie możemy po tym wszystkim jej odpuścić. Mimo, że to siostra mojej zmarłej żony. A nawet jeśli my

postanowilibyśmy jej odpuścić, co się nie stanie, to Organizacja zapewne wydałaby na nią wyrok śmierci.

Vince uniósł brwi.

– Organizacja? – podłapałam niepewnie.

– Czas uchylić rąbka tajemnicy – zdecydował ojciec, patrząc znacząco na swojego najstarszego syna. – Nie teraz, bo to nieodpowiednie miejsce... – zerknął przelotnie na policjantów, o których obecności zdążyłam już zapomnieć – ...ale gdy wrócicie do domu, będę chciał, Vincencie, żebyś nakreślił Hailie, na czym polega nasza działalność. Przeszła wystarczająco wiele, żeby poznać kilka odpowiedzi. Nie wszystkie, ale te podstawowe.

Vince zacisnął szczękę, ale nie przeciwstawiał się woli ojca.

– Czyli... czyli ta Org... – zaczęłam, ale Cam dotknął mojego ramienia i pokręcił głową.

– Później. Wytrzymaj jeszcze trochę, królewno. Możesz to dla mnie zrobić?

Pokiwałam niechętnie głową.

Tym razem złożył pocałunek na moim czole.

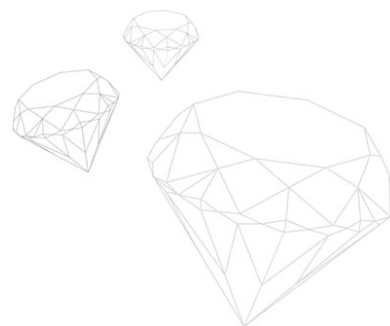
Wkrótce wrócili Shane z Tonym, a zaraz po nich do salki wszedł Will i zrobiło się tu bardzo tłoczno. Policjanci gnieździli się pod ścianą, a ich twarze zdradzały, że nie czują się tutaj zbyt komfortowo. Chłopcy zaś w obecności ojca wyluzowali się jak nigdy i przez chwilę przypomnieli mi się jedne z naszych wspólnych wakacji. Mimo dręczących mnie lęków i natrętnych myśli o śmierci Sonny'ego nawet ja zdołałam się kilka razy uśmiechnąć.

Zmarkotniałam, gdy policjanci zaczęli coraz bardziej stanowczo domagać się zakończenia wizyty. Ojciec odwlekał tę chwilę, ile mógł, ale w pewnym momencie jeden z funkcjonariuszy zbliżył się do niego z kajdankami w rękę i już nie dało się dłużej negocjować.

– Fajnie, że udało ci się wpaść – szepnęłam do niego, gdy po raz kolejny całował moją dłoń i głaskał mnie po czole, tym razem już na pożegnanie.

– Widzisz, dobrze jest mieć znajomości, dzięki którym możesz zyskać coś więcej niż tylko dodatkowy stek na więziennej stołówce. – Mrugnął do

mnie. – Wspaniale było zobaczyć twoją piękną buźkę, moja królewno.
Trzymaj się, zdrowiej i do następnego.



80

PIĘKNY WARKOCZ

Do pokoju wsunęła się głowa wujka Monty'ego.

Na nasz widok jego oczy rozbłysły, a drzwi rozchyliły szerzej.

– Ha! Znalazłem! – zawołał, a obok niego już po chwili stała, wyciągając szyję, Maya.

– Hailie! – zaświergotała.

Wraz z nią do pomieszczenia wpadła wiosna, choć mieliśmy srogą zimę. Nie odczuwałam jej zbyt, zamknięta w szpitalu, ale widziałam, jak szaleje za oknem, no i chłopcy narzekali na przeszywające zimno za każdym razem, gdy przychodzili z dworu.

Zanim Maya zasiadła przy moim boku, zsunęła z ramion elegancki płaszcz, który bez oglądania się wcisnęła w ręce Monty'emu. Ten wziął go od niej, ale najpierw odłożył na bok kolejny ogromny bukiet stokrotek.

– Jak się czujesz, piękna? – zapytała Maya.

Pytanie zbyłam wzruszeniem ramion, ale udało mi się uśmiechnąć. Maya po prostu wszędzie, gdzie się znalazła, wprowadzała cudownie pozytywną atmosferę.

– Ale tu cudownie, ile kwiatów! – zachwyciła się.

- No, ledwo da się oddychać – mruknął wujek Monty.
- Co ty mówisz, pachnie wspaniale, tak świeżo.
- Pachnie ziemią.
- A czyj to pomysł? Z tymi stokrotkami? Uważam, że genialny.
- Założę się, że Willa – mruknął Monty, biorąc między palce jeden z delikatnych płatków.
- Ja myślę, że jednak Tony’ego.
- Tony’ego? – zdziwiłam się.
- Tony ma dobry gust – powiedziała Maya tonem znawcy, kiwając głową.
- To chyba faktycznie oni we dwóch ogarnęli te kwiatki – przyznał Shane, drapiąc się po karku, jakby wcześniej się nad tym nie zastanawiał. W takich sprawach był uroczym ignorantem.
- Tak myślałam. Należy im przyznać, że jak trzeba, to potrafią w estetykę. – Maya rozejrzała się znowu, z przyjemnym uśmiechem, a potem przysunęła się bliżej mnie. – Ale powiedz, Hailie, jak ty się czujesz? Czy już jest w porządku? Jak usłyszałam, co się stało, to omdlałam, Monty mnie łapał, tak mi się niedobrze zrobiło.
- Nic ci się nie stało? – zapytałam ze zmartwieniem.
- Nie o mnie mówimy, Hailie, kochana. – Machnęła lekceważąco dłonią.
- No więc pogadałyśmy o mnie. Nie zamierzałam zagłębiać się w nieprzyjemne szczegóły, ale Maya i tak wiedziała całkiem sporo. Wujek Monty skrzywił się kilka razy, Maya ze zgrozą kręciła głową. Niechętnie jednak wracałam do przykrych wspomnień, więc nikt mnie za bardzo nie naciskał i wkrótce przeszliśmy do luźnych pogaduszek, w które wujek Monty ochoczo się zaangażował, rzucając kilka swoich firmowych żarcików. Te bardziej udane nawet mnie rozbawiły. Shane szybko do niego dołączył i nie minęło dużo czasu, jak obaj krztusili się śmiechem. Maya wywracała oczami, ale uśmiechała się do mnie, widząc, że i mnie leciutko drga kącik ust.
- A gdzie Flynn? – zapytałam, rozglądając się, jakbym spodziewała się ujrzeć z nimi dziecko, które przegapiłam wcześniej.

– Został z nianią – odparła szybko Maya. – Przepraszam, Hailie, myślałam najpierw, żeby wziąć go z nami, ale on jest jeszcze taki mały i nie chciałam ciągać go po szpitalach, dopiero co był chory, wiesz... Ale narysował coś dla ciebie, zobacz...

Maya ze skórzanej torebki w kolorze karmelu wyjęła kartkę. Podała mi ją, a moją twarz rozświetlił uśmiech, gdy zobaczyłam dziecięce bazgroły. Na kartce widniało kilka kolorowych maziajów.

– Piękne – skomentowałam bez cienia ironii, bo serio uznałam, że to słodkie, ale wujek Monty skwitował moją reakcję parsknięciem, za co oberwało mu się spojrzeniem spode łba od jego żony.

– Pokaż. – Shane wyciągnął szyję i uniósł brew. – A, no nie no, fajne nawet...

– Ostatnio Maya kupiła podobny obraz za, ile, kotku? Trzydzieści tysięcy?

– Dwadzieścia pięć.

– Ale... podobny do tego? – zdumiałam się, wskazując na laurkę od Flynna.

– Zobaczyłam w nim głębię, której po prostu Monty, przez swój niski poziom wrażliwości, nie widzi.

– Kochanie, to nie poziom mojej wrażliwości jest tu problemem, a poziom umiejętności malarza.

Maya machnęła ręką.

– Ja tam uważam, że jest świetny i idealnie pasuje do łazienki dla gości.

– Z chęcią go zobaczę – powiedziałam szczerze zaciekawiona.

– Ale koniecznie, słuchaj, ja już mówiłam, że jak tylko podleczysz się na tyle, żeby wsiąść do samolotu, to przylecisz do Paryża. Przyda ci się zmiana otoczenia. Będziemy całymi dniami objadać się croissantami, chodzić do teatrów i na zakupy. Co myślisz?

Uśmiechnęłam się nieśmiało, gdy ta wizja zakiełkowała w mojej głowie.

– Nigdy nie byłam w Paryżu.

– Później ustalę wszystko z Vince'em. Możesz zostać u nas tak długo, jak chcesz. W kwietniu przenosimy się do Saint-Tropez i też jesteś,

oczywiście, mile widziana.

– Dzięki, Maya.

Ciocia zaczęła snuć plany na temat tego, jak mogłaby uatrakcyjnić mi mój pobyt w stolicy Francji, i mimo że to były tylko wstępne plany, przyjemnie słuchało mi się jej paplaniny. Przy Mai czułam się zrelaksowana. Nie buchała złością ani nie martwiła się przesadnie, że mnie czymś spłoszy lub wystraszy. Po prostu była sobą.

Nie obawiałam się też jej dotyku, pewnie dlatego, że była kobietą. Z dotykiem własnego rodzeństwa też się oswajałam, ale przy nich jeszcze czasem towarzyszyło mi pewne napięcie.

Odwiedziny Mai i Monty'ego wprawiły mnie w dobry nastrój, taki, za jakim tęskniłam od dawna. Pokazały mi, że gdzieś tam jeszcze poza murami tego szpitala toczy się prawdziwe życie i że nie kręci się ono wokół terapii, zmartwionych braci, tajemniczej Organizacji oraz więzienia ojca.

Gdzieś tam istnieje jeszcze świat, w którym można wsiąść w samolot i polecieć do Paryża.



Nie odzyskałam telefonu.

Ktoś go zabrał, gdy byłam nieprzytomna, któryś z porywaczy, i do tej pory nie wiedziałam, gdzie jest. Istnieje możliwość, że udało się go odzyskać moim braciom, ale nikt mnie w tej sprawie nie informował, a ja nie pytałam.

Nie pytałam, bo przytłaczała mnie myśl, że dostałabym go w swoje ręce i musiałabym czytać wiadomości od znajomych ze świata zewnętrznego. Przez większość czasu byłam w tak dziwnym stanie, że nagle nie zależało mi na niczym, nawet na odpisaniu na prostego SMS-a. Może nie było to w porządku, ale odkąd się obudziłam, moje życie toczyło się w szpitalu.

Dlatego zdziwiłam się, gdy pewnego dnia do mojej salki wszedł Will, prowadząc za sobą Leo.

Zapatrzyłam się na niego z rozchylonymi ustami, trochę przestraszona, jakby przyłapał mnie na czymś nieodpowiednim.

– Zostawić was samych? – zapytał mój ulubiony brat, pytanie ewidentnie kierując do mnie.

Gdy Leo podawał mi kwiaty, starałam się wyglądać na uszczęśliwioną tym miłym gestem. Zanurzyłam w nich nos, dzięki czemu ukryłam cień zawahania na swojej twarzy.

– Jeśli możesz... – odpowiedziałam.

Will posłusznie opuścił pokój, a ja zacisnęłam palce na jaskrawym papierze i wstążkach.

– Śliczny ten bukiet – odezwałam się, bo nagle zapadła krępująca cisza.

– Miałem nadzieję, że trafię w twój gust – odparł, rozglądając się po pokoju pełnym stokrotek.

– Czy to orchidee?

– Mhm.

Przyłapałam się na tym, że przesadnie długo przyglądam się różowym pąkom. Tak jakbym na siłę chciała podziąć gdzieś wzrok i uświadomiłam sobie po chwili, że Leo doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Zrobiło mi się głupio i spojrzałam mu w oczy.

– Jak się czujesz? – zapytał mój chłopak. Stał tak obok mojego łóżka i bawił się rękoma.

– Już mi lepiej. Lepiej niż na początku – odparłam.

– A jak było na początku?

Uniosłam na niego głowę, zdezorientowana delikatną nutką oschłości w jego głosie.

– W sensie gdy się obudziłam?

– Nie wiem, w ogóle... – westchnął tym razem z wyraźną frustracją. – Nie wiem nic, co się dzieje. Dowiaduję się, że moja dziewczyna jest w szpitalu, ze szkolnych plotek.

– Zdarzył się wypadek – odpowiedziałam wypranym z emocji głosem. – Nie byłam w stanie napisać.

– Wiem, ale nikt się do mnie nie odezwał. Szczęście, że przez sprawę z Ryderem miałem kontakt do Willa, bo inaczej do tej pory nie wiedziałbym, gdzie leżysz.

– Przepraszam, Leo – westchnęłam. – Masz rację, powinieneś być jedną z pierwszych osób, które dowiedziały się o tym, co się wydarzyło.

– Nie mam pretensji do ciebie, nie chcę, żeby to tak zabrzmiało... Ja tylko... – Leo spuścił głowę. – Martwiłem się, wiesz?

– Wiem, to nie było w porządku. Chłopcy mogli dać ci znać. Chodzi o to, że to, co się wydarzyło, dosyć nas wszystkich... przytłoczyło. Nie myśleliśmy o kontakcie ze światem zewnętrznym ani ja, ani moi bracia.

– Rozumiem, ale... – Leo się zawahał. – Obudziłaś się już dawno i... nie pomyślałaś o mnie ani razu?

– Myślę o tobie – zapewniłam go prędko, czując na twarzy lekki rumieniec. – Oczywiście, że o tobie myślę. To tylko trudny czas.

– Dobrze, że dochodzisz do siebie – powiedział i rozejrzał się. – Ładnie tu.

– Twoje kwiaty pasują idealnie, chcę je mieć przy łóżku – zapowiedziałam, a on uśmiechnął się lekko.

Coś było nie tak.

Między nami wisiała chmura napięcia, której nie mogłam rozgonić żadnym tematem, jaki przychodził mi do głowy. A przyszło mi do niej ich wiele. Błagałam go w myślach, żeby nie pytał o to, co się wydarzyło, bo nie miałam ochoty dzielić się szczegółami. Mimo iż w głębi ducha wierzyłam, że należą mu się wyjaśnienia. Powinnam chcieć mu się zwierzyć.

To mój chłopak.

Przeżyłam z nim swój pierwszy raz. Był jedyną osobą, której dałam tę konkretną część siebie, tę, którą ostatnio wielki, przerażający mężczyzna próbował w bestialski sposób i na siłę mi odebrać.

Tak bardzo nie chciałam Leo o tym mówić.

On wyczuwał moją niechęć, której pragnęłam mu oszczędzić. Próbowalam się uśmiechnąć, a jednocześnie zerkalam na jego ręce za każdym razem, gdy wydawało mi się, że nimi poruszy. No bo wtedy istniało niebezpieczeństwo, że zechce mnie dotknąć.

Był moim chłopakiem, miał prawo mnie dotykać. Ale ja z jakiegoś powodu się tego bałam.

Terapeutka tłumaczyła mi, że to powszechna reakcja na to, co mi się przytrafiło. Miałam nadzieję, że po prostu potrzebuję czasu.

– Co u Winter? – zagadnęłam i dopiero gdy te słowa opuściły moje usta, zorientowałam się, że wybrałam najgłupszy możliwy temat do wypełnienia ciszy między nami.

Leo popatrzył na mnie dłużej, niż było potrzeba.

– Naprawdę pytasz właśnie o Winter?

Wzruszyłam ramionami.

– Cóż, średnio.

– Coś się stało?

Tak, wiem, nie lubiłam Winter, ale nie życzyłam jej przecież źle.

– Opieka społeczna dowiedziała się o jej sytuacji.

Otworzyłam usta.

– Jak?

Leo rzucił mi kolejne przeciągłe spojrzenie.

– Nie wiadomo do końca... Ale odwiedzili jej mieszkanie. Jej ojciec leżał w nim pijany do nieprzytomności, więc zaczęli szukać Winter. Trochę popytali i znaleźli ją u nas.

– O Boże, i co teraz? – Zakryłam dłonią usta.

– Gina będzie starała się wziąć ją pod swoją opiekę.

– Twoja mama jest taka dobra...

Leo wzruszył ramionami.

– Przykro jej patrzeć, jak Win cierpi. Zna ją przecież i lubi... Jeszcze tylko nie wiadomo, czy to wszystko wypali, Gina może mieć problem ze spełnieniem kilku wymogów.

– Jak Winter się czuje?

– Nie gorzej niż ty... Hailie, może porozmawiamy o...

– Czy jakoś się trzyma?

Odetchnął z odrobiną frustracji.

– Jakoś... Dużo płacze, a na dodatek jest zraniona, bo jej ojciec machnął ręką i stwierdził, że tym razem ma wszystko w nosie i nie da się zaciągnąć na żaden odwyk.

Przymknęłam powieki, wzdychając ze współczuciem.

– Ona naprawdę nie powinna mieć teraz na głowie takich problemów – powiedziałam.

– Na pewno jej nie pomagają.

– Trzymam kciuki, żeby – zawahałam się – Ginie się udało.

Leo widocznie nie mógł się powstrzymać i uniósł brew.

– Hej! – zawołałam – Serio! Wiem, że miałam do niej różne nastawienie w przeszłości, ale nie chcę przecież, aby cierpiała.

Chłopak otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale do salki akurat wpakowali się bliźniacy. Nie interesowało ich za bardzo, czy potrzebujemy prywatności – nie zamierzali pozwolić się wyprosić na korytarz. Przynajmniej nie skomentowali chamsko obecności Leo, choć Tony spojrzał na niego spode łba.

Leo stał jeszcze chwilę przy moim łóżku, ale rozmawiało nam się trudno, nawet gdy byliśmy tu sam na sam, a co dopiero w towarzystwie moich braci, których obecność sprawiała, że było o niebo niezręczniej. Poza tym Shane przyniósł mi lunch. Powoli rozszerzałam swoją dietę i Leo chyba widział, jak spoglądam w stronę papierowej torby, bo wreszcie poprosił, żebym nie zapominała do niego pisać, przekazał mi pozdrowienia od Mony, Lavinii i kilku innych osób ze szkoły, pożyczył mi zdrowia i wyszedł.

Miałam wrażenie, że zostały między nami niezamknięte, jakby rozgrzebane sprawy. Czegoś nie przedyskutowaliśmy, za mało tematów poruszyliśmy, za krótko tu był. To nie jego wina, oczywiście, to ja go chyba nie przyjęłam tak, jak powinnam. Leżałam w szpitalu, jasne, ale chyba mogłabym bardziej się ucieszyć na jego widok? Lepiej to okazać? Czy dałam mu odczuć, że doceniłam, iż do mnie przyszedł? Nie przeprosiłam go za swoje milczenie.

Gdy odchodził, nawet nie podziękowałam drugi raz za kwiaty.



Maya stała się moim ulubionym gościem.

Poza chłopakami, oczywiście, ale z nimi sprawa była inna, bo nie traktowałam ich do końca jako odwiedzających, oni po prostu byli ciągle ze mną.

Słuchałam właśnie, jak ciocia z typową dla siebie pogodą ducha opowiada o swoich obecnych stosunkach ze swoim ojcem, który, przypominam, miał swój epizod, gdy porwał ją wraz z Flynnem na ulicach Paryża, czym rozpoczął łańcuszek dramatycznych zdarzeń.

Wydawało się, że nie chowa do niego urazy, choć nadal wypowiadając się o nim, zaciskała usta i wznosiła oczy do sufitu. Mówiła, że wydzwania do niej często z głupotami, a gdy opowiadała, jak ostatnio nawet wyraził zainteresowanie Flynnem, do pokoju zajrzała nieśmiało kolejna dziewczyna.

Poza pielęgniarkami i Mayą nie miałam tu damskiego towarzystwa, więc uśmiechnęłam się szeroko na widok Martiny.

– Cześć – przywitała się, zakładając sobie kosmyk włosów za ucho. – Szukałam właśnie, gdzie jesteś...

Chyba poczuła się niezręcznie na widok Mai, która natychmiast otaksowała ją wzrokiem od stóp do głów.

– Martina, cześć – powiedziałam zaskoczona. – Przyjechałaś sama? Bez Dylana?

– Z Dylanem, ale pod szpitalem zaczepił go wasz brat i to jakaś chyba długa rozmowa ma być, bo powiedział mi, żebym teraz szła do ciebie sama, a on dołączy później.

– Fajnie, że wpadłaś. To miłe – powiedziałam szczerze. – Chodź, usiądź tu z nami.

Maya nawet nie kryła się z tym, że obserwuje dziewczynę spod przymrużonych powiek, i chciałabym teraz znajdować się bliżej niej, by móc ją dyskretnie szturchnąć i upomnieć, by się zachowywała.

– Ja mogę poczekać, nie chcę tak wchodzić do waszej rozmowy. – Martina machnęła nerwowo ręką i już zrobiła krok, żeby się wycofać.

– Ale spokojnie – zaprotestowałam. – Nie przeszkadzasz. Maya, to Martina, dziewczyna Dylana.

– Ach... – Maya pokiwała głową i o ile to możliwe, przyjrzała się Hiszpance jeszcze dokładniej.

– Martina jest bardzo w porządku – dodałam zgodnie z prawdą, rzucając cioci znaczące spojrzenie.

– Skoro Hailie mówi, że jesteś w porządku, to tak musi być, miło poznać – powiedziała Maya, wreszcie trochę luzując. Nawet się uśmiechnęła, choć nadal miała się na baczności, gdy Martina nieśmiało siadała obok.

Miałam wrażenie, że dziewczyna wolałaby być teraz gdzieś indziej. Co prawda, zawsze zależało jej, żeby mieć ze mną dobry kontakt. Znałam ją, nie była głupią dziewczyną – wierzyła, iż zachowanie przyjacielskiej relacji z siostrą Dylana było jednym z warunków ich udanego związku.

Na szczęście dość szybko zaczęłyśmy się we trzy dogadywać, a nawet razem żartować.

– A więc mieszkasz w Hiszpanii? – zagadnęła Maya.

– Pochodzę z wysp, ale na studiach jestem w Madrycie. No a teraz mieszkam i studiuję w Nowym Jorku, ale to na chwilę, przez wymianę – tłumaczyła Martina.

– Uwielbiam Madryt, często tam bywam – podłapała Maya. – Mój mąż ma tam swoją ulubioną kawiarnię z *churros*.

– Naprawdę? – zaśmiała się Martina i pokręciła z niedowierzaniem głową. – Wszyscy są szaleni na punkcie tych *churros*, ja nie wiem, o co chodzi. Dylan to samo, zawsze jak jest ze mną w Madrycie, to ciągnie mnie do tego samego miejsca, zawsze, zawsze.

– Może to to samo miejsce – zasugerowałam.

– Pewnie tak, oni obaj gustują w tych najdroższych knajpach – prychnęła Maya.

– O to, to. – Martina uniosła palec. – Ja mówię Dylanowi, że czasem w brzydkiej dziurze można zjeść lepiej niż tam, gdzie on zawsze chce

chodzić...

– Ale muszę przyznać, że kiedyś się z Montym nacięliśmy. Weszliśmy do baru, takiego wiadomo, pierwszego lepszego, i Monty dostał swoje podwójne espresso w... – Maya zawiesiła dramatycznie głos – ... brudnej filiżance. Obrzydlistwo. Zrobił wtedy aferę na pół miasta.

– Boże, biedna, pewnie zapadłaś się pod ziemię – parsknęłam.

– Ależ nie, nie. Ja robiłam dramę razem z nim. Hailie, to była brudna filiżanka. Przyznasz, że to niesmaczne.

Wymieniłyśmy z Martiną subtelne uśmieszki.

– Maya, jeśli będziesz w Madrycie i ja będę, to się odezwij, ja cię zabiorę do takiego taniego baru, który jest super i gdzie są czyste naczynia, co?

– Nie wierzę, że znajdziesz taki bez czerwonych dywanów i szampana za tysiące euro, który przypadnie jej do gustu – zaśmiałam się.

– A od kiedy ty taka dokuczliwa, hm? – Maya pokazała mi język. – Bardzo dobrze, tak zrobimy, spotkamy się i pójdziemy do taniego baru.

– No to już, bądźmy umówione – ucieszyła się Martina. – Hailie, ty, oczywiście, idziesz z nami?

– Koniecznie. Ona potrafi się bawić jak mało kto – zareklamowała mnie Maya, a ja zaśmiałam się tak serdecznie, że aż zabolą mnie rana i musiałam się trochę skulić, by sobie ulżyć.

Maya pełna była uprzedzeń, ale Martinę dość szybko zaakceptowała. Tej drugiej też nie zrażała bezpośredniość mojej ciotki ani jej oderwanie od rzeczywistości, które często dało się wychwycić w tekstach, padających z jej ust.

Cóż, z drugiej strony, co ja się mogłam dziwić – Martina chodziła z Dylanem, miała więc już doświadczenie w obcowaniu z rozpuszczonymi bogaczami.

Później dołączył do nas właśnie Dylan i ewidentnie cieszył się, że Martina odnalazła się w towarzystwie. Położył jej rękę na ramieniu, a do mnie puścił oko. Dziewczyny wróciły przy nim do rozmów o madryckich barach i znowu zaczęły coś planować, a mnie się przypomniało, jak będąc o krok od śmierci, opowiadałam mu o imprezie w Saint-Tropez.

Wydawało mi się, że przez chwilę pomyśleliśmy o tym samym, bo gdy Maya i Martina akurat głośno chichotały, spojrzenia moje i Dylana się spotkały i była w nich ta sama powaga i wzajemne zrozumienie. Aż mnie zakłuło w sercu, tak potężnymi emocjami naładowane było tamto wspomnienie.

Dylan też długo nie wytrzymał – szybko odwrócił wzrok i spojrzał gdzieś w bok. Potrzebował chwili, by dojść do siebie, i nawet nie wspomniał o tym, że wie o naszej imprezie z przeszłości. Nie komentował też, gdy dziewczyny planowały, że w Madrycie do nich dołączę.

Ja też za dużo tego nie komentowałam. Impreza w Hiszpanii brzmiała super, ale jakże mogłam myśleć o takiej zabawie, gdy leżałam w szpitalu z raną kłutą – moim celem życiowym obecnie było wyleczenie traumy po napaści seksualnej, a wszystko to opatulał czarny płaszcz żałoby po Sonnym...

Pozostało mi jedynie mieć nadzieję, że może kiedyś przepracuję te wszystkie zdarzenia, a wtedy będę planować z dziewczynami imprezy choćby na końcu świata.

Może kiedyś.



Odgarnęłam włosy na jeden bok. A potem na drugi. Odetchnęłam z frustracją.

Nie miałam tu warunków do odpowiedniej pielęgnacji. Trudno mi było nawet regularnie myć głowę, dlatego miałam wrażenie, że jest wiecznie brudna.

Dziś czułam się wyjątkowo paskudnie. Nie żeby ostatnimi czasy mój nastrój był jakiś najlepszy, ale dziś nie powinno być gorzej niż wczoraj, a tymczasem rana zaczynała mnie okropnie swędzieć, tak że miałam ochotę ją rozdrapać. Lekarze nadal wzbraniali się przed pozwoleniem mi na stuprocentowo normalny posiłek, a Shane strasznie pachniał dziś frytkami, takimi słonymi, i nieświadomie zrobił mi na nie tak wielkiego smaka, że

w odwecie kilka razy chamsko się do niego odezwałam. Biedny nie wiedział, o co mi chodzi.

– Co ty robisz? – zapytał Shane, gdy głośno cmoknęłam z irytacją.

– Nic.

– Zaraz sobie wyrwiesz te włosy, dziewczynko.

– No i dobrze, to wyrwę.

– Ej, co jest? – mówił łagodnie, nad wyraz cierpliwy.

W czasie mojej rekonwalescencji chłopcy w ogóle pozwalali mi na więcej niż normalnie. Nawet Vincent stał się wyjątkowo tolerancyjny dla moich humorków.

– Są tłuste! – zawołałam dramatycznie, gotowa, żeby się rozplakać.

– Nie są wcale...

– No są, widzę przecież, czuję, że są... – załkałam. – Mam już dosyć tłustych włosów i tego szpitala i ja chcę frytki...

Tony uniósł głowę znad czytanego komiksu i podniósł brew do góry.

– Normalne włosy masz – odparł Shane, drapiąc się po skroni. – I jakie frytki?

Zacisnęłam usta, a pełne żalości i łez oczy przeniosłam na okno. Niebo było dziś białe jak papier.

Nie musiałam nawet patrzeć na bliźniaków, żeby wiedzieć, że rzucają sobie znaczące spojrzenia.

– Dobra, dziewczynko, czekaj, patrz. – Shane podszedł do mnie i przysiadł na materacu obok.

– Co robisz?

– Zaplotę ci jakiegoś, nie wiem, warkocza czy coś.

Pociągnęłam nosem i uniosłam brwi, ale też go usłuchałam i zrobiłam dla niego miejsce. Moja regeneracja choć powolna, była widoczna, bo jeszcze niedawno nie byłabym w stanie się poruszyć, a teraz mogłam prawie usiąść.

– Nie umiesz pleść warkoczy – powiedziałam mu.

– Ta, to się zdziwisz. Nie kręć głową.

– Aua, Shane.

– Czekaj.

Najpierw przez chwilę ciągnął mnie za włosy, a potem sięgnął po telefon, żeby puścić sobie wideo z tutorialiem. Wtedy wpadł na to, żeby rozczesać moje kołtuny, i następnie znowu przeszliśmy do ciągnięcia za pojedyncze pukle.

Tony zerkał na nas co chwila znad komiksu i najwyraźniej dobrze się bawił, parskając co chwila z rozbawieniem.

– Aua, nie, zostaw już, zostaw! – warknęłam w pewnym momencie i wyrwałam się, odsuwając się od Shane’a tak gwałtownie, że zakłuło mnie w brzuchu.

– Nic nie zrobiłem przecież.

– Tylko ją szarpiesz, dekle – wtrącił się Tony.

– No chyba żeby ją uczesać, to muszę dotknąć jej włosów, tak czy nie, geniuszu?

– Nie dotykasz, tylko ciągniesz – burknęłam.

– Ty chcesz czy nie chcesz tego warkocza?

– Chcę, ale...

– To jest ten twój piękny warkocz? – prychnął Tony, który wyciągnął szyję, by zobaczyć dzieło Shane’a.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Rozwala się już na samej górze.

– Ty się sam rozwa...

– Dobra, wielkie dzięki – syknęłam, przerywając chłopakom jedną z ich słynnych przepychanek. – Już mi się odechciało fryzury.

I znowu pociągnęłam nosem, zapatrzona w okno, pochmurniejąc.

Tony westchnął ostentacyjnie. Odłożył komiks na bok i wstał.

– Dobra, weź się przesun – rzucił do Shane’a, który chciał się kłócić, ale ostatecznie rzucił ostatnie spojrzenie na swoje nędzne dzieło, które zaplótł mi na włosach, i chyba sam doszedł do wniosku, że średnio mu wyszło. A może chciał, żeby Tony się skompromitował.

Od razu poczułam różnicę, gdy nieumiejętne ruchy Shane'a zostały zastąpione przez delikatne palce Tony'ego, który najpierw rozpuścił supły, a potem wziął się do pracy. Telefon z tutorialiem zgubił się gdzieś w pościeli – Tony go nie potrzebował. Rozczesał moje włosy, a potem zaczął się nimi bawić i jego delikatne muśnięcia były dla mnie niczym masaż. Przymknęłam nawet powieki, a Shane przyglądał nam się z fotela z naburmuszoną miną.

Kilka razy próbowałam się odwrócić, zaintrygowana, co ten Tony tam wyczynia, ale on tylko ochrzaniał mnie, że mam trzymać głowę prosto, i proszę, na koniec miałam na głowie dwa piękne dobierane warkocze, które zaczynały się po bokach, a z tyłu łączyły się w jeden.

Mój podły nastrój odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i do końca dnia co chwilę sięgałam po lusterko, żeby z uśmiechem się w nim przejrzeć.



Najmniej spodziewany przeze mnie gość odwiedził mnie, gdy grałam z Willem w karty. Na głowie nadal miałam fryzurę, którą zrobił mi Tony, trochę tylko już rozczochraną. Dziś mój humor ewidentnie się poprawił. Na tyle, oczywiście, na ile mógł się poprawić w takich warunkach.

Adrien wszedł do salki i skinął Willowi głową, a ten natychmiast wstał. Czuły wyraz twarzy, który zarezerwowany był dla mnie, zmienił się w maskę chłodnego profesjonalizmu.

– Czy Vince wie, że tu jesteś? – zapytał bez przywitania.

– Wie, że mam przesłać kwiaty i życzenia powrotu do zdrowia. – Adrien nonszalancko machnął różowym bukietem, który, muszę przyznać, całkiem ładnie kontrastował z jego czarnym garniturem.

– Ale postanowiłeś zjawić się tu osobiście...?

– Siostra naciskała, że tak będzie stosowniej, więc uległem. Prosiła, żeby cię, Hailie Monet, pozdrowić.

Właśnie zamykałam otwarte ze zdziwienia usta i uniosłam brwi.

– Grace mnie pozdrawia?

Adrien też uniósł swoje.

– Ona... też oczywiście. – Odchrząknął. – Naturalnie, zjawiam się tu w imieniu całej mojej rodziny.

– Grace mnie pozdrawia – powtórzyłam sceptycznie.

– Chodziło mi o Keirę, tak właściwie. Proszę, kwiaty są od nas. Zasugerowała stokrotki i widzę, że lepiej trafić nie mogła. – Rzucił szybkie spojrzenie na pokój i zamachał znowu bukietem, po czym odłożył go delikatnie na brzeg łóżka.

Faktycznie też kupił stokrotki, tylko że różowe. Piękne były.

Zgadłabym, że nie wpadł sam na ich kupno, nawet gdyby się do tego otwarcie nie przyznał.

Dlatego zmrużyłam powieki.

– Kogo?

– Moją siostrę, Keirę... Polubiła cię, co jest godne podziwu, szczerze mówiąc, bo mało za kim przepada. Mówiła, że dobrze jej się z tobą rozmawiało na zaręczynach. Bardzo przejęła się twoim stanem.

Zapatrzyłam się na Adriena w szoku. Przypomniało mi się, że faktycznie ma jeszcze jedną siostrę oprócz Grace, ale była to informacja, którą przekazała mi Maya. Kiedy niby Keira zdążyła mnie polubić?

– Hailie? – Will zmarszczył brwi, widząc moje zdezorientowanie. – Poznałaś Keirę. Widziałem, że rozmawiałyście...

– Szczupła, włosy w kolorze jasnego brązu? Nieziemskie geny? – naprowadzał mnie Adrien i po jego ustach błędził uśmiezek, ale też przyglądał się mi uważnie. – Wybacz, ale nie pamiętam już, co miała na sobie.

– Eee... Zdaje mi się, że kombinezon? No dalej, malutka, spokojnie, pomyśl, wiem, że ją widziałas.

Obaj patrzyli na mnie wyczekująco, a ja zaczęłam trochę panikować, bo wmawiano mi, że rozmawiałam z jakąś kobietą, czego w ogóle nie pamiętałam. Adriena jeszcze mogłabym zignorować, ale Will by mnie nie oszukiwał.

Adrien zniecierpliwiał się szybko i wyjął telefon, wybierając pierwsze lepsze zdjęcie siostry, które miał w galerii. Pozowała na nim z małym dzieckiem na rękach. Ubrana była w dresy i uśmiechała się szeroko. Niesamowicie miała uśmiech, szczery, szeroki, a zęby białe i równe jak u gwiazdy filmowej. To po nim ją rozpoznałam, a następnie przypomniałam sobie, że jej oczy już na mnie patrzyły. Ze szczerym, chociaż nienachalnym zainteresowaniem, później nawet z pewną sympatią.



Stałam w liliowej sukni i byłam czymś udręczona. Pamiętam, że psychicznie nie czułam się najlepiej. Wtedy mnie zaczepiła.

– Przepraszam, szukam Grace.

– Słucham? – zapytałam, wyrwana z zamyślenia.

– Szukam Grace. Gospodyni przyjęcia? Narzeczonej? Grace Janderau? – nakierowywała mnie.

– Kojarzę – mruknęłam. – Nie wiem, gdzie jest.

– A Adrien?

Wywróciłam oczami. Nie mogłam się powstrzymać.

– Nie wiem, gdzie oni oboje są.

Kobieta spojrzała na mnie z zaskoczeniem, ale i lekkim, leciutkim rozbawieniem.

– Po twoich minach wnioskuję, że jesteś raczej od strony przyszłego pana młodego?

Uniosłam brodę.

– Jestem siostrą Vincenta.

– Ja jestem siostrą Grace.

Przyjrzałam się jej uważniej. Po osobie spokrewnionej z żoną Grace spodziewałabym się tego samego lub podobnego poziomu odpychającej aury, ale stojąca przede mną kobieta wcale mnie nie odrzucała. Wręcz przeciwnie, wyglądała na dobrze sytuowaną, ale niegardzącą dla zasady światem osobą. Z pewnością zamożną, a jednak twardo stającą po ziemi.

– Keira? – zgadłam, przypominając sobie rozmowę z Mayą.

– Hailie – odparła.

– Kto ci o mnie mówił? – spytałam podejrzliwie.

Ona zaśmiała się serdecznie.

– Nie chcę być zbyt bezpośrednia, ale wszyscy o tobie mówili, gdy się odnalazłaś. To był spory skandal. Musiał być spory, skoro nawet ja się o nim dowiedziałam. Zwykle stronię od plotek ze świata... – Powiodła spokojnym spojrzeniem po otoczeniu. – ...Organizacji.

– Chyba coś słyszałam, że się odcięłaś. – Pokiwałam głową.

– Można tak powiedzieć. – Przechyliła głowę. – A kto mówił ci o mnie, jeśli wolno spytać?

– Maya.

– Ach, Maya. Wyszła za mąż za twojego... wujka? O ile się nie mylę?

– Mówisz, że stronisz od plotek? – Uniosłam brew z uśmiechem.

Zaśmiała się.

– Była w końcu zaręczona z moim bratem, więc i na ten temat co nieco obito mi się o uszy.

– Tak, wyszła za mojego wujka. Mieszkają we Francji. Mają synka.

– Mam nadzieję, że jest szczęśliwa.

– Chyba tak... – Wzruszyłam ramionami i zmierzyłam ją spojrzeniem. – Dobrze się o tobie wypowiadała.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Mówiła, że wyjechałaś do college'u i się zdystansowałaś.

– Zdystansowana to ja byłam, jeszcze długo zanim wyjechałam do college'u.

– Może powinnam pójść za twoim przykładem... – mruknęłam.

– Polecam, to najzdrowsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam. Zaraz obok tej o przejściu na wegetarianizm.

Uśmiechnęłam się.

– Ale mimo wszystko jesteś tu dziś.

Skinęła głową.

– Zdystansowałam się od swojej rodziny, ale nigdy nie odciąłam się od niej całkowicie.

– I... jesteś zadowolona? Z tej decyzji? – Gdy zobaczyłam, z jakim zainteresowaniem się we mnie wpatruje, udałam, że wymijająco wzruszam ramionami, i dodałam: – Wiesz, ja tak tylko pytam.

– Chciałabyś się czegoś napić? – zapytała z uśmiechem. – Grace nie będzie rozpaczała, jeśli przywitam się z nią później.

Parsknęłam i zgodziłam się, zadowolona, że mam tu jakąś towarzyszkę, choć na chwilę.

Uśmiechnęłam się do Sonny'ego, który zszedł mi z drogi, gdy wracałam na salę. Stałam przy bufecie, ciesząc się naturalnym jasnym światłem wpadającym tu przez wielkie okna, i podziękowałam Keirze, gdy zaproponowała mi wodę, i sięgnęłam po sok.

– Uważaj, porzeczkowy barwi zęby – ostrzegła mnie Keira.

– Już pamiętam, jesteś ortodontką, prawda? – przypomniałam sobie.

– Sporo o mnie wiesz.

– Maya wspominała też, że masz męża i chyba dzieci? – powiedziałam, wracając myślami do tamtej rozmowy i jednocześnie unosząc szklanę.

– Męża i dwie córki, tak.

– Nie przyjechali tu z tobą?

– Zostali w Houston. Nie zabieram ich na, nazwijmy to, tego typu rodzinne zloty – powiedziała, a gdy podszedł do niej młody ciemnowłosy kelner z tacą zastawioną smukłymi kieliszkami z szampanem, oferując jej gestem jeden z nich, pokręciła głową, mrużąc: – Dziękuję, nie piję.

– Dlaczego ich nie zabierasz? – zapytałam z zainteresowaniem.

– Bo to nie jest świat, do którego chcę, żeby należeli.

– Nie tęsknisz? – zapytałam w pewnym momencie szeptem.

– Za rodziną? Mówiłam, że mam z nimi jako taki kontakt.

– Za tym życiem. – Brodą wskazałam na otoczenie.

– To życie to bale, próżność i ciemne interesy, nie ma za czym tęsknić.

Zamyśliłam się znowu, a tym razem Keira, widząc to, dodała:

– Wiesz, ja to ja, zawsze byłam odludkiem. Nie byłam jak moja siostra czy chociażby Maya, którą chyba całkiem dobrze znasz? W szkole nie zależało mi, żeby podczas lunchu siedzieć przy stoliku najpopularniejszych dzieciaków. Właściwie to byłam najszcześliwsza, gdy moi rodzice wreszcie zgodzili się, bym przeszła na edukację domową.

Uniosłam prędko głowę.

– Edukację domową?

– Oho, wnioskuję, że temat nie jest ci nieznany?

– Ciągle nade mną wisi. – Wywróciłam oczami. – Vincent najchętniej wypisałby mnie ze szkoły.

– Pozazdrościć, ja musiałam błagać ojca, by się ulitował i pozwolił mi uczyć się w domu.

– Naprawdę tego chciałaś? – Skrzywiłam się z niedowierzaniem.

– Oczywiście, wtedy nareszcie skupiłam się na własnych pasjach. Plan zajęć mogłam podporządkować pod jazdę konną, zawody i naukę japońskiego. Trochę podróżowałam, jeździłam na kursy językowe, a potem dodatkowo na wolontariaty.

– Brzmi ciekawie – skomentowałam z zaskoczeniem, że nie muszę kłamać.

– Jeśli nie zależy ci na podbijaniu szkolnej stołówki, to polecam ci prywatne lekcje. Uważam, że można wyciągnąć z nich więcej, zwłaszcza jeśli ma się takie możliwości jak ja czy ty. – Puściła do mnie oko. – Dlatego nie odcięłam się od rodziny całkowicie. Dużo im zawdzięczam.

– Nawet Grace? – zażartowałam. Od razu pomyślałam sobie, że to dość niebezpieczny i nietaktowny komentarz, bo przecież nie znam Keiry na tyle, żeby ostentacyjnie demonstrować swoją niechęć do jej siostry, ale ona na szczęście nie wyglądała na urażoną. Kąciki ust uniosły jej się w górę i chyba sama dobrze wiedziała, dlaczego jestem tak do niej uprzedzona.

– Przez te wszystkie lata nauczyłam się z nią żyć. To nawet nietrudne, jeśli nie wchodzi się jej w drogę, a że byliśmy i jesteśmy zupełnie różne, ja nigdy jej w paradę nie wchodziłam.

Pokiwałam głową. Miało to sens.

– Za to zawsze przerażał mnie Vincent – wyznała.

Upiłam łyk soku i prędko go przełknęłam, żeby odpowiedzieć szybciej.

– Vincent w głębi serca jest naprawdę kochany. Czasem tylko wkurzający.

– Myślę, że w takim razie będzie pasował do Grace. W końcu nasza siostra też jest czasem wkurzająca, prawda, Keiro? Będą mogli wkurzać się razem. – Wtedy, pamiętam, że wtrącił się Adrien. Spotkał nas przy bufecie.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Szukałam cię – powiedziała i przytuliła go, a on chętnie odwzajemnił uścisk.

– Ale to ja cię znalazłem. – Ucałował ją w policzek. – Jak dzieci? Czy Annabelle spodobał się prezent?

– Oczywiście, ale Adrien, prosiłam cię, żebyś nie dawał jej tak drogich zabawek. Ja tu próbuję wychować te dzieci na ludzi.

– A ja próbuję je zepsuć – odparł Adrien, szczerząc się wesoło, a potem jego wzrok padł na mnie. – Ach, i widzę, że poznałaś Hailie Monet.

– To miła niespodzianka spotkać tu kogoś tak... – Keira spojrzała na mnie, szukając odpowiedniego słowa.

– Podobnego do ciebie? – zasugerował Adrien, rzucając nam kpiarski uśmiech.

– Poniekąd. – Mrugnęła do mnie, po czym lekko się skrzywiła, odkładając szklankę wody na stół. – Dajcie mi chwilę, muszę skoczyć do łazienki. Zaraz wrócę, Hailie, a jeśli cię tu nie będzie, to jakoś się jeszcze złapiemy. Coś mi mówi, że jesteś jedną z niewielu osób tutaj, z którymi mam ochotę porozmawiać.

Pomachałam jej z uśmiechem, który pojawił się na moich ustach w reakcji na komplement.

Potem ten sam uśmiech wyparował tak szybko, jak się pojawił, bo uświadomiłam sobie, że teraz gdy Keira zniknęła w pośpiechu, moim towarzyszem został Adrien. Odruchowo rozejrzałam się za Sonnym,

a potem złapałam za karafkę z sokiem porzeczkowym, byleby tylko zająć czymś ręce.

Dobrze, że Keira poszła do łazienki. Przynajmniej uchroniła się przed strzelaniną, która już za chwilę miała miejsce w głównej sali.



– Już pamiętam – przyznałam, a Will wyglądał, jakby mu ulżyło. Zerknęłam też na Adriena i dorzuciłam: – Faktycznie, mnie też dobrze się z nią rozmawiało. Jeśli możesz, przekaż jej, proszę, ode mnie podziękowania i pozdrowienia.

Adrien skinął z gracją głową.

– Dziękuję.

Następnie uniósł dłoń, żeby poprawić czarny mankiet swojej koszuli, a ja, mimo że ten obcy w zasadzie dla mnie facet wykonał w moim pobliżu niespodziewany ruch, pozostałam spokojna. Moje ciało nie zareagowało stresem, nie spięłam się ani nie drgnęłam.

To było dla mnie zaskoczeniem. Z początku myślałam, że to dzięki obecności Willa, że przy nim czułam się na tyle bezpiecznie, iż nawet Adrien mnie nie stresował, ale zaraz uświadomiłam sobie, że wyjaśnienie mogło być jeszcze inne. Mój pokręcony mózg nie otrzymywał sygnałów ostrzegawczych przed dotykiem Adriena, bo wiedział i był przyzwyczajony do tego, że ten mężczyzna prawdopodobnie prędzej rozważyłby wsadzenie dłoni w płomień niż dotknięcie mnie. To uśpiło czujność mojego układu alarmowego.

I faktycznie, nie zawiodłam się.

Nie dotknął mnie.

Nie zabawił długo. Przyszedł, bo nakłoniła go do tego siostra, no i sam czuł, że tak wypada, skoro to podczas naszej wspólnej rozmowy zaczęła się strzelanina. Patrzył na mnie przez większość czasu z zagadkowym wyrazem twarzy. Rozmawiał głównie z Willem, i to w bardzo oficjalny sposób. Mój brat na szczęście nie wchodził w szczegóły, ale Adrien był bystry i wiedziałam, że w głowie na pewno potrafi ułożyć sobie dość

szczegółowy obraz tego, co się stało, nawet z tak zdawkowymi informacjami, jakie dostał.

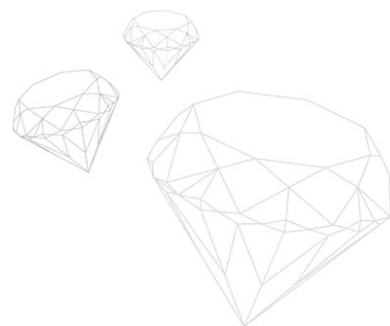
Nie wspominając o tym, że ze wszystkich rozmów, które zasłyszałam, wynikało, iż ta cała Organizacja również miała zająć się tą sprawą. Nie wiedziałam jeszcze, co to do końca oznacza, ale po wizycie ojca nabrałam nadziei, że wkrótce dowiem się czegoś więcej.

Przyznam, że wyczekiwałam rozmowy z Vincentem nie mniej niecierpliwie niż powrotu do domu.

Mogłabym zainicjować ją tu, w szpitalu, ale wolałam wykorzystać pobyt tutaj do przemyślenia wielu spraw. Dochodziłam do nowych wniosków. Podejmowałam nowe decyzje. Układałam sobie w głowie pewne sprawy.

Zaplanowałam sobie, że nasza poważna rozmowa odbędzie się w domu, tak jak zasugerował to ojciec.

I nawet nie zastanowiłam się, czy te wiecznie podkrążone oczy i pobladła twarz Vincenta mogły oznaczać, że ma on na głowie więcej problemów, niż my wszyscy myślimy.



81

WIELKI I NIEZWYCIĘŻONY

W medycznych placówkach spędziłam w sumie prawie miesiąc, wliczając w to czas mojej śpiączki, regeneracji po operacji i kawałek późniejszej rehabilitacji. Całe dni miałam wypełnione terapią, zajęciami z fizjoterapeutą i popołudniowymi masażami. Vincent płacił za to wszystko mnóstwo pieniędzy i wiedziałam o tym na pewno, bo gdy tylko doszłam w miarę do siebie, przetransportowano mnie z tego pierwszego szpitala, do którego Dylan mnie przywiózł, bo był najbliżej, do prywatnej kliniki, w której cała nasza rodzina była ubezpieczona.

Leżałam tu już wcześniej, po porwaniu przez Rydera, i zarówno wtedy, jak i teraz, oferowana tu opieka spełniałaby oczekiwania nawet najbardziej wymagającego pacjenta. A także najbardziej wymagającego prawnego opiekuna takiego pacjenta, jak to się miało w moim przypadku.

Na koniec już byłam tak zmęczona swoim łóżkiem, małym pokojem o brązowych ścianach i miłymi uśmiechami pielęgniarek, że płakałam Vincentowi, by zabrał mnie do domu za każdym razem, gdy go widziałam.

Czyli co chwilę.

Smutno mi się też robiło, gdy patrzyłam na tę jego napiętą twarz, lekko przekrwione oczy i zaciśniętą szczękę. Bardzo chciałam go zabrać na

wakacje.

Wierzę, że niełatwo mu było mi ciągle odmawiać, i w końcu pewnego dnia z ciężkim westchnięciem skinął głową na moje błagania. Aż zaniemówiłam. A potem z podekscytowania chciałam zerwać się z łóżka i zacząć pakować, przez co zabołał mnie brzuch, skrzywiłam się i oberwało mi się od niego surowym spojrzeniem. To wtedy prawie pogrzebałam swoje szanse na opuszczenie kliniki w tym stuleciu.

W rezydencji czekało na mnie małe powitanie zorganizowane przez chłopaków. Przygotowano dla mnie specjalne miejsce na kanapie, gdzie miałam leżeć, bo wciąż kazano mi się oszczędzać, i zamówiono mnóstwo lekkostrawnego jedzenia. Na tym etapie moja dieta była już bardziej zróżnicowana i zalecano mi jedynie unikanie tłustych, smażonych potraw. To już mi nie przeszkadzało. Objadałam się pysznymi sałatkami, zróżnicowanymi bowlami oraz ryżem i kaszą z warzywami. Na desery zaś jadłam owoce i piłam koktajle na wodzie.

Zaopatrzeni w takie smakowite jedzenie i przy ciekawym filmie odbiliśmy sobie moje urodziny, Gwiazdkę i sylwestra. Tak, tyle okazji do świętowania przegapiłam za jednym razem, i to w jednym roku. Było mi przykro, a chłopcom chyba jeszcze bardziej, i staraliśmy się radzić sobie z tym humorem, ale nawet to niezbyt działało. Nie potrafiliśmy żartować i wyluzować się jak zawsze, nawet Shane miał z tym problem.

Jak moglibyśmy? Każdy kąt Rezydencji Monetów kojarzył mi się z Sonnym – tak często tu przebywał. Zwykle niewidoczny, zawsze gdzieś czuwał. Świadomość, że już go z nami nie ma, że już nigdy nie poczuję jego cichej obecności i opieki, raniła mnie mocniej niż nóż.

Od razu po wyjściu z kliniki, gdy tylko poczułam na twarzy zimne styczniowe powietrze, zażądałam, by zawieziono mnie na cmentarz. Will bez żadnych obiekcji zgodził się zabrać mnie tam już następnego dnia. Wiedział, że w tej sprawie byłabym głucha na wszelkie argumenty.

Ubrałam się na czarno, tak jak poszłabym na pogrzeb. Ze szlufek płaszcza, który na siebie zarzuciłam, wyjęłam pasek, żeby nic nie opinało mojego wciąż wrażliwego brzucha. Założyłam też długie ocieplane kozaki na płaskich podeszwach i owinęłam się wełnianym szalikiem. Tylko czapki na początku nie zgadzałam się włożyć. Wszystkie, które miałam, były

w mojej ocenie zbyt wesołe. A to kolorowe, a to z uroczymi pomponami lub głupimi wzorkami. Will musiał mi oddać swoją, co zrobił w obawie, że przewieje mi uszy.

Chciałam się wybrać na cmentarz jak najwcześniej, ale nie odpuszczono mi porannej rehabilitacji i mogliśmy wyjechać z domu dopiero po lunchu. Droga zajęła nam trochę ponad godzinę, a że panowała zima, miałam wrażenie, że ledwo się obudziłam, już powoli robiło się ciemno. Na dodatek mróz przeszywał dziś kości, od bieli śniegu bolały oczy, a pozbawiony drzew teren, na którym znajdowały się nagrobki, był idealnym wybiegiem dla szalejącego wiatru. Śnieg skrzypiał pod naszymi grubymi podeszwami, gdy ramię w ramię szliśmy wśród grobów.

Cmentarz był kompletnie wyludniony, nikt nie kwapił się do odwiedzania zmarłych w taką pogodę. Było pusto i panowała tu trochę atmosfera jak z horroru, ale nie bałam się – za bardzo przytłaczały mnie inne emocje, poza tym byłam tu z Willem.

On też nie był obecny na pogrzebie, bo czuwał przy moim boku, gdy jeszcze leżałam w śpiączce, ale później kilka razy odwiedził grób Sonny’ego, dlatego teraz wiedział dokładnie, gdzie iść. Gdybym przyszła tu sama, pewnie też bym szybko znalazła drogę – obecnie tylko kilka grobów przystrojonych było tak wielką ilością kolorowych kwiatów.

Uparłam się, żeby samodzielnie nieść wielką wiązanekę, którą w moim imieniu zamówiliśmy w kwiaciarni. Na grobie leżała już jedna od całej naszej rodziny, ale już dawno zwiędła i zmarniała, poza tym chciałam Sonny’emu zanieść kwiaty tylko od siebie. Jakbym tymi głupimi chabaziami mogła mu cokolwiek wynagrodzić. Co chwila patrzyłam na wieniec na przemian z pogardą i przygnębieniem.

Wieniec złożone na nagrobku Sonny’ego były w większości przemoczone, oklapłe i zwiędłe. Nie było ich tu wiele, choć na pierwszy rzut oka tak się wydawało dzięki okazałej wiązance od rodziny Monet.

Już gdy zbliżałam się do grobu, zaczęłam płakać, a moje łzy rozwiewał wiatr. Ramię Willa obejmowało mnie ciasno, a gdy zobaczyłam imię mojego ochroniarza wyryte w kamieniu, mój brat pozwolił mi schować twarz na swojej piersi. Will zresztą sam miał wilgotne oczy.

Ostatnio stałam tak nad nagrobkiem swojej mamy. I babci. Miałam nadzieję, że wyczerpałam już limit takich strat w moim życiu i nie będę musiała w najbliższym czasie przeżywać podobnego bólu, ale jak widać – myliłam się. Szlochałam w płaszcz Willa, który cierpliwie stał ze mną, trzymał mnie i milczał, pozwalając mi na moją rozpacz.

W przerwie od łkania, pociągając nosem i przecierając powieki, złożyłam wieniec przy kamiennej płycie. Will mi pomagał, pilnując, bym się za bardzo nie schylała. Doceniałam to, że wszystkie moje potrzeby odczytywał z moich gestów i nie mącił ciszy niepotrzebnymi pytaniami. Kucnął i ustawił wieniec tak, jak ja sama bym to zrobiła, gdybym miała dość siły. W pewnym momencie znowu zacisnęłam powieki i rozpłakałam się tak bardzo, że on błyskawicznie się poderwał i mocno mnie przytulił.

Staliśmy tak długo. Było wiele rzeczy, które chciałabym powiedzieć Sonny'emu, ale w mojej głowie panował tak wielki chaos, że nie potrafiłam zebrać myśli. Próbowałam wytłumaczyć mu, co mną kierowało, gdy biegłam do lasu, przeprosić go, ale za każdym razem kończyło się to falą płaczu.

W końcu zaczęłam się trząść z zimna i nadmiaru emocji. Will chciał mi dać tyle czasu, ile potrzebowałam, ale gdy zorientował się, że mogłabym stać nad grobem Sonny'ego przez całą noc i prędzej bym tu padła, niż sama postanowiła się ruszyć, delikatnie zaczął nalegać na powrót.

Miałam wrażenie, że nie zasługuję na ciepły dom, podczas gdy mój ochroniarz skazany był, by marznąć sam w zimnym i ciemnym grobie pod ziemią i śniegiem na tym pustym, przerażającym cmentarzu. Dlatego nadal płakałam i wtulałam się w Willa, który objął mnie tak sprytnie, że nawet się nie zorientowałam, gdy zaczęliśmy się przemieszczać z powrotem do auta.

Drogę do domu odbywaliśmy w smętnej ciszy, którą przerywało tylko moje pociąganie nosem. Do rezydencji dotarliśmy pod wieczór. Will prosił, żebym wzięła ciepły prysznic i opatulila się na noc, wpatrując się we mnie ze zmartwieniem, gdy pomagał mi zdjąć płaszcz. Przysiadłam na schodach i ostrożnie schyliłam się, by zdjąć kozaki. Miałam je właśnie odstawić do szafki, gdy na piętrze rozległ się głośny brzdęk.

Poderwałam głowę do góry, podobnie jak Will, który natychmiast ruszył na schody, marszcząc brwi i pokazując mi ręką, bym została na miejscu.

– Co tam się stało? – zawołał, wspinając się wolno po stopniach. – Który to, co?

Patrzyłam na plecy Willa i czułam niepokój. Willa. Podniosłam się cicho i przywarłam do poręczy przerażona, że zaraz znowu stanie się coś złego.

– Will – wymamrotałam tak cichutko, że nawet mnie nie usłyszał.

W napięciu obserwowałam, jak wchodzi na górę. Gdy był już u szczytu schodów, musiał coś tam zobaczyć, bo przestał się skradać, wyprostował się i prędko ruszył do przodu, znikając z mojego pola widzenia.

– Co jest, ej – pytał przyciszonym głosem, a ja wyęczałam słuch, czekając na odpowiedź, ale usłyszałam jedynie przytłumione stukoty. – Cholera, czekaj, uważaj...

Will zdecydowanie nie brzmiał, jakby na piętrze zastał włamywacza, dlatego ośmielona powoli ruszyłam jego śladem. Palce mocno zaciskałam na poręczy, gdy po cichutku pokonywałam kolejne stopnie. Wstrzymywałam oddech, obawiając się tego, co zastanę, jako że po ostatnich wydarzeniach stałam się jeszcze bardziej bojaźliwa.

Przystanęłam w holu i otworzyłam szeroko oczy, gdy zobaczyłam, jak Will właśnie stara się złapać pod ramię Vincenta, który z przymkniętymi powiekami opierał się bokiem o ścianę.

Na podłodze leżała rozbita szklanka do whisky.

Mój świat zawirował.

– Uważaj na szkło – powiedział Will.

Wyglądało na to, że Vince zmierzał do sypialni, zapewne w drodze ze swojego gabinetu. Tam wypił na pewno więcej, inaczej teraz byłby w stanie od razu odgonić od siebie Willa i coś do niego chłodno warknąć.

Mój ulubiony brat miał problem z samodzielnym utrzymaniem Vincenta, który ciągle przymykał powieki, jakby przysypiał. Chciałam pomóc. Zmusiłam swoje nogi do ruchu i doskoczyłam do drzwi pokoju Vince'a, które natychmiast otworzyłam na oścież i przytrzymałam. W pomieszczeniu panował półmrok i było dość chłodno, jak o rześkim poranku.

– Co je... – Głos uwiązł Dylanowi w gardle, gdy przystanął u szczytu schodów, totalnie zaskoczony widokiem, jaki zastał w holu na piętrze. Był

bez koszulki, w krótkich dresowych spodenkach, z przewieszonym przez ramię ręcznikiem i wilgotnymi włosami. Pewnie właśnie wracał z siłowni i świetnie się złożyło, bo miał okazję wykorzystać siłę swoich mięśni i pomóc Willowi.

Tak też zrobił, natychmiast podleciał i złapał Vincenta z drugiej strony. Zarzucił sobie jego dłoń na ramiona i razem z Willem wprowadzili go do mrocznej sypialni. Vincent nie był kompletnie pijany – ruszał nogami dość świadomie, ale miał chyba problem z błędnikiem, bo cały czas zamykał oczy i kręcił czasem głową, jakby nie wierzył, że to, co się z nim właśnie działo, jest prawdziwe.

– Nawaliłeś się, bracie – skomentował Dylan, próbując rozbawieniem przykryć swój niepokój.

Ułożyli Vince’a na łóżku. Will zaczął zdejmować mu jego lśniące buty, a Dylan podszedł do okien i zaciągnął zasłony, zapewne po to, żeby z rana nie wybudziło go brutalnie ze snu jasne światło dzienne. Sam miał w końcu doświadczenie w budzeniu się na kacu.

– Przynieś wody – polecił mi Will. Chciałam pomóc mu z drugim butem, ale zmieniłam kierunek.

Myśli wirowały mi w głowie na najwyższych obrotach, gdy zbiegałam po schodach. Świadomość, że Vincent doprowadził się do takiego stanu, była jak wyrwanie koła ratunkowego z ramion tonącego. Teraz zdawało się, że w stanie nietrzeźwości wraz z nim znajdowała się cała rodzina i Rezydencja Monetów. Zaczęło mi się wydawać, że światła pociemniały, ściany wyblakły, a cisza w korytarzach zrobiła się tak głucha, że zaczęła dzwonić w uszach. Nalewając wodę dla Vince’a, mrużyłam oczy i próbowałam zapanować nad swoją wyobraźnią.

Zanim zaniiosłam szklanę wody do sypialni Vince’a, wygrzebałam też z apteczki aspirynę. Pamiętałam, czym sama się leczyłam po swoich nielicznych przygodach z alkoholem.

W progu pokoju minęłam się z Dylanem, który akurat wychodził, wzdychając ciężko i trąc mokre włosy wciąż przewieszonym przez muskularne ramiona ręcznikiem. Spojrzeliśmy sobie przelotnie w oczy. Will znajdował się jeszcze w sypialni – odkładał właśnie kapę na elegancki

szezlong stojący pod ścianą. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by Vince miał kiedykolwiek użyć tego mebla do relaksu.

Teraz leżał na boku na łóżku, już bez butów i marynarki. Will chciał podać mu szklankę, by zwilżył chociaż usta, ale Vince chyba serio nie był aż tak pijany, jak na początku mogło się zdawać, bo całkiem świadomie i stanowczo pokręcił głową, po czym machnął ręką, tak jakby chciał się pozbyć wszystkich intruzów ze swojej sypialni.

Will zacisnął usta, ale tego nie skomentował, poinformował go tylko, że w razie potrzeby ma wodę na nocnej szafce, a potem położył mi dłoń na plecach. Wychodząc, zamknął za nami drzwi.

– Trzeba posprzątać szkło – powiedziałam, żeby przerwać ponurą ciszę.

– Ja posprzątam.

– Mogę ja to zrobić.

– Nie wolno ci się tyle schylać, ja to zrobię. Ty miałaś iść pod ciepły prysznic, pamiętasz?

Z takim argumentem kłócić się nie mogłam, zwłaszcza nie z Willem, który przecież chuchał na mnie i dmuchał, więc skinęłam głową, ale jeszcze przystanęłam w holu i się odwróciłam. Will się nie ruszył – stał i pustym wzrokiem wpatrywał się w rozbitą szklankę po whisky.

– Czy z Vince’em wszystko w porządku? – zapytałam niczym dziecko pragnące, by słowa dorosłego przyniosły mu ulgę.

– Nic mu nie będzie – odparł Will, rzucając mi lekki i według mnie raczej wymuszony uśmiech, po czym odszedł, pewnie po zmiotkę i szmatkę.

Leżąc w łóżku, nie mogłam przestać myśleć o Vincencie. Świadomość, że mój najstarszy brat zawsze wszystkim się zajmie, dawała mi ogromny komfort. W swoim naiwnym umyśle wierzyłam, że jakikolwiek problem się pojawi, Vince pójdzie do zakazanego korytarza i tam go rozwiąże. Cóż, on sam kreował się na wszechwiedzącego pana świata, który nigdy nie potrzebuje pomocy i wie, co robić, w nawet najbardziej beznadziejnych sytuacjach.

Dziś zobaczyłam, że jest człowiekiem jak my wszyscy. Człowiekiem, który też ma granice i którego granice właśnie zostały przekroczone.

Vince odurzony alkoholem to zdecydowanie nie ta odsłona Vince'a, którą chciałam oglądać. Pamiętałam, że zawsze ma dobrą whisky, a także szereg innych alkoholi w tym swoim gabinecie, i bałam się, że już dawno się od nich uzależnił, z czym nauczył się dobrze kryć. Vince'owi też niełatwo było zwrócić uwagę lub się o niego zatroszczyć.

Podciągnęłam kołdrę pod brodę, by ukryć jej drżenie. Nie chciałam, żeby stał się alkoholikiem. Chciałam, żeby pozostał taki, jaki był w mojej głowie – wielki i niezwyciężony.

Naturalnie na fali tych rozmyślań przypominałam sobie o Winter. Choć jej sytuacja była o stokroć przykrzejsza, to zaczęłam je porównywać i przeraziłam się, co by było, gdyby Vince stracił nad swoim życiem kontrolę w podobny sposób, jak stało się to z ojcem Win.

Tamten na dodatek wyzywał swoją córkę i przestał się nią interesować. Posmutniałam.

Pamiętam, że nawet Ruby, która przecież na co dzień ma do czynienia z podobnie trudnymi przypadkami, marszczyła ze współczuciem brwi, gdy mówiłam jej, że Winter nie może nawet wrócić do własnego domu ze strachu przed tym, co tam zastanie...

Chwila.

Drgnęłam i usiadłam na łóżku. Kołdra zsunęła się z mojego tułowia. Zapatrzyłam się w pogrążoną w półmroku podłogę, a dłonie, które opierałam o materac, zaczęły mi drżeć. Ściągałam brwi, myśląc intensywnie.

Czy ja rozmawiałam z Ruby? Na zaręczynach Vince'a?

Przypominałam sobie, z jakim uśmiechem mnie przywitała. Zagadywała mnie o fundację i o to, czy mam w planach się w nią zaangażować od nowego roku. Powiedziała o nowym projekcie. Coś o umożliwieniu uczniom z podstawówki wyjazdów na dwutygodniowe turnusy do Londynu. A potem...

Zamarłam i nagle zaczęłam ciężko oddychać. Jakbym wraz z powietrzem łykała beton. Przełknęłam ślinę, ale to nie pomogło.

Wypaplałam Ruby wszystko na temat sytuacji Winter.

Przytknęłam dłoń do ust, a zaraz potem ją odsunęłam, żeby odetchnąć głośno.

– Nie, nie – szepnęłam. – Powiedz, że to nieprawda. Nie zrobiłaś tego.

Wyskoczyłam z łóżka i boso przechadzałam się po pokoju, wplątując palce we włosy.

– Widziałaś się z Ruby na przyjęciu – tłumaczyłam sobie gorączkowo. – Ucieszyłaś się na jej widok. Pogadałyście i już... Już?

Zatrzymałam się i objęłam się ramionami. Wcale nie już. Nagadałaś na Win.

Ruby uśmiechała się do mnie szeroko. Lubiałam to, że zawsze jest dla mnie taka serdeczna. Skomplementowała moją lawendową suknię i rozpuszczone włosy. Stwierdziła, że wyglądam jak gwiazda, a potem ściszone głosem zażartowała, że na pewno prezentuję się lepiej od Grace.

Ja odwzajemniłam jej serdeczności i zachichotałam z satysfakcją na wzmiankę o przyszłej narzeczonej brata. Ktokolwiek za nią nie przepadał, automatycznie dostawał u mnie plusa.

– Eee, Ruby? – zagadnęłam, gdy już miała odejść. – Mam jeszcze jedną sprawę.

– Tak? – Zatrzymała się.

– Ostatnio się czegoś dowiedziałam...

Co mną kierowało? Zazdrość o Leo czy może żal do dziewczyny o sprawę z Ryderem?

Może to ta świadomość, że musiałam wyjechać na Kanary, ponownie zrobić sobie przerwę od szkoły, no a co za tym idzie od Leo, podczas gdy Winter nadal sobie z nim mieszkała. Udało jej się mnie pozbyć ze swojego życia.

Nie wiem, czy ja naprawdę chciałam być zła akurat na nią, a jeśli nawet, to czy akurat w tamtej chwili powinno to być dla mnie takie istotne. Może po prostu kumulowało się we mnie zbyt wiele negatywnych emocji, które łatwo mi było rozładować, obwiniając o wszystko jakąś przypadkową dziewczynę. A przecież i tak miała popieprzone życie. Wcale nie było potrzeby, bym spieprzyła je jej jeszcze bardziej.

Najwyraźniej jednak tak zrobiłam. Moja pamięć odkrywała przede mną nowe obrazy i dźwięki, tak jak wtedy, gdy w szpitalu odwiedził mnie Adrien, a ja dowiedziałam się, że poznałam Keirę.

– Przyjaciółka mojego chłopaka, Winter Hansen... ma trudną sytuację. Myślę, że potrzebuje pomocy – mówiłam, doskonale pamiętając, jak Leo przekazywał mi zdecydowanym głosem, że Win nie życzy sobie żadnej pomocy.

Gdy tylko Ruby zorientowała się, jakiego rodzaju sprawę do niej miałam, natychmiast spoważniała i przybrała profesjonalny wyraz twarzy, uważnie wysłuchując zgłoszenia, które otrzymywała właśnie od siostry samego prezesa fundacji. Logiczne było, że nie zamierza go zignorować, a wręcz potraktować je priorytetowo.

No i najwyraźniej w mig się nim zajęła, jeśli wierzyć słowom Leo w szpitalu. Potem jeszcze odwiedził mnie kilka razy, ale nie poruszał więcej tematu Winter, nie powiedział mi nic o niej, nawet kiedy pytałam.

Może wiedział, że to ja na nią naskarżyłam? Wiedział, ale potrzebował potwierdzenia, a nie chciał mnie bezpośrednio o to wypytywać? Czy tak mogło być? Chodziłam w tę i z powrotem po pokoju, myśląc gorączkowo.

Boże, co ja narobiłam?

Jestem najgorsza.

Chciałam natychmiast złapać za telefon, zadzwonić do Leo i wszystko wyjaśnić, ale nie było to takie proste, ponieważ nie byłam pewna, ile on w rzeczywistości wie. Musiałam pogadać z nim o tym twarzą w twarz.

Przez chwilę trzymałam w dłoni swoją nową komórkę, którą dostałam niedawno od Vincenta, i zastanawiałam się, co począć. Wreszcie odłożyłam ją z ponurą miną. Co, jeśli zadzwonię do Leo, a Winter będzie obok? Czy ona wie, że to ja stałam za skomplikowaniem jej życia jeszcze bardziej? Nie przepadałam za nią, wiadomo, ale nie chciałam stać się czarnym charakterem.

Siedziałam w luksusowej Rezydencji Monetów z pięcioma chłopakami, którzy tak naprawdę byli na każde moje skinienie, podczas gdy ona skazana była na łaskę swojego przyjaciela i jego mamy bez wsparcia w rodzinie, skrzywdzona przez chorobę i nieudolność życiową własnego ojca.

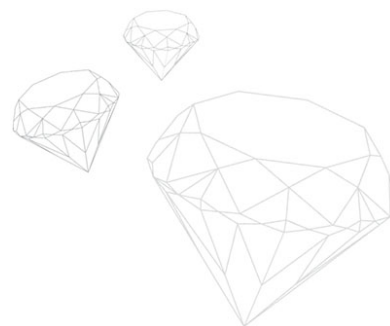
Tej nocy miałam okropny sen. Wprawdzie w końcu weszłam z powrotem pod kołdrę i wkrótce nawet zasnęłam, ale za dużo ciężkich myśli kłębiło mi się w głowie, bym mogła wypocząć.

Rankiem po przebudzeniu jedynie przez kilka sekund znajdowałam się w stanie rozkosznej nieświadomości, potem zaraz wylało się na mnie piwo, którego nawarzyłam. Zostawiło po sobie ślad poczucia winy, który miał śmierdzieć i kleić się do mnie przez cały dzień.

Do tego wszystkiego nie pomagał strach o Vincenta. Przechodząc obok jego sypialni, nasłuchiwałam, czy może już wstał. Zastanawiałam się, czy zapukać, zajrzeć do niego i ewentualnie zaproponować pomoc w czymkolwiek, ale rozmyśliłam się. Jak mówiłam, Vince nie jest osobą, o którą łatwo się troszczyć. Z prędkością światła zostałabym uprzejmie, acz stanowczo wyproszona z jego sypialni.

Tak więc swojego najstarszego brata zobaczyłam dopiero po południu. Zmarkotniała chowałam się przed światem w bibliotece, brnąc przez jedną z książek, taką z całkiem miłą fabułą, którą czytałoby mi się zdecydowanie lepiej, gdyby mojej głowy nie zjadały nerwy i smutek.

Tam znalazł mnie Vincent.



82

BEZKARNI

Nie jestem w stanie opisać, jak wielką ulgę poczułam, gdy przywitał się ze mną swoim zwykłym, mocnym głosem. Włosy miał jak zawsze schludnie zaczesane do tyłu i lśniące, spojrzenie skupione, ostre i jak najbardziej trzeźwe, ubrania wyprasowane, świeże i eleganckie, a wokół niego zamiast odoru drogiego alkoholu unosił się wyłącznie dyskretny zapach wody toaletowej.

Opuściłam książkę, ciesząc oczy widokiem mojego najstarszego brata w jego zwykłej, świetnej formie.

Jego ruchy znów były pełne gracji, gdy siadał na kanapie naprzeciwko fotela, w którym się kuliłam.

– Musimy porozmawiać – oznajmił.

Zwykle gdy wymawiał te słowa, włos jeżył mi się na głowie, ale tym razem wiedziałam, że tematem naszej rozmowy nie będą żadne moje wybryki, w związku z którymi chciałby udzielić mi reprymendy, dlatego poprawiłam się w fotelu, żeby wygodniej mi się siedziało.

– Po pierwsze, przepraszam cię za to, czego wczoraj byłaś świadkiem, Hailie – zaczął szorstkim głosem ze wzrokiem wbitym prosto we mnie. –

Przyznaję, wypilem o szklanke whisky za duzo i stracilem kontrole, co nie powinno bylo miec miejsca.

– Nie szkodzi, Vince, zdarza sie. – Wzruszyłam ramionami, ale on pokręcił głową.

– Nie masz racji. Nie ma zadnego usprawiedliwienia dla mojego wczorajszego stanu, na pewno nie teraz, w tak waznym czasie. Jestem odpowiedzialny za wiele spraw, między innymi za ciebie, i doprowadzenie sie do stanu nietrzeźwości jest wyjątkowo szczeniackim zachowaniem, którego nie toleruję ani u innych, ani u siebie samego.

– Daj spokój – westchnęłam, zmęczona jego surowością. – Miałeś prawo do chwili słabości, duzo sie dzieje.

– Właśnie dlatego, że duzo sie dzieje, nie miałem do niej prawa.

– Uważam, że nic sie nie stało.

Vince przyjrzał mi sie bacznie swoimi bladoniebieskimi oczami.

– Przestraszyłaś sie.

Rozchyliłam usta i przez chwile nic nie mówiłam.

– Niby czego?

– Mnie – odparł spokojnie.

– Nie...

– Hailie, wiem, że tak.

Siedziałam przez chwile z otwartą buzią, a potem powiedzialam:

– Ja... ja przeciez zawsze sie ciebie boję.

Nie udało mi sie go rozbawic.

– To był inny rodzaj strachu.

Przestałam zaprzeczac.

– Hailie, to sie nie powtórzy.

– Okej – mruknęłam.

Mimo iż jego spojrzenie, jak często podkreślam, było lodowate, to miałam wrażenie, że teraz jest tak gorące, że wypala we mnie dziury.

– Bolało cie dzisiaj? – zapytał, wskazując podbródkiem na mój brzuch.

– Nie bardzo.

– Smarowałaś ranę?

– Tak. – Stłumiłam zniecierpliwione westchnięcie. Te pytania słyszałam kilka razy dziennie od każdego z braci.

– Posmaruj jeszcze raz, przed spaniem.

Zapadła cisza. Wodziłam opuszką wskazującego palca po rogu twardej okładki książki. Zapatrzyłam się gdzieś w bok, pomiędzy okno a sekretarzyk. Czułam na sobie spojrzenie Vincenta. Wiedziałam, że skoro jeszcze nie wyszedł, to ma mi do powiedzenia coś więcej. Czekałam.

– Chciałabyś jeszcze o czymś porozmawiać?

Kiedyś zwykł zadawać to pytanie chłodnym tonem, który sugerował, że mam kłopoty, o których on już wie, i w ten sposób zachęcał mnie do przyznania się do nich. Teraz jednak jego głos brzmiał łagodnie i w ogóle nie jakby na mnie naciskał. Spojrzałam na niego.

Istniało wiele spraw, które chciałabym z nim w tej chwili przedyskutować. Tak wiele, że mieszały mi się w głowie i przytłaczały mnie, sprawiając, że rozchyliłam usta i nie byłam w stanie wykrzesać z siebie żadnej logicznej odpowiedzi. Zamknęłam je więc, pokręciłam głową i rzuciłam po chwili zachrypniętym głosem:

– A ty?

Mógł ubrać się w czyste, wyprasowane ubrania i wysikać się drogimi perfumami, ale ten dziwny wyraz jego oczu, który niepokoił mnie już w szpitalu, nie ustąpił.

Vince pokręcił głową i wstał, ale zatrzymał się, jakby chciał coś jeszcze dodać na odchodne.

– Jeśli dobrze pójdzie, to może od połowy lutego będziesz mogła wrócić do szkoły.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego.

– Do szkoły?

– Orientacyjnie. Najpierw będziemy musieli to przedyskutować z twoim lekarzem, oczywiście.

– Pozwolisz mi wrócić do szkoły? – zdumiałam się.

Vincent westchnął.

– Zamykanie cię w domu najwyraźniej nie zdało egzaminu. A jako że za większością ataków na ciebie stała Clarissa, która już nie będzie ci zagrażać, myślę, że nie warto cię ograniczać i trzymać na siłę w edukacji domowej.

Spuściłam wzrok na książkę, a Vince skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał się znowu, gdy ponownie, tym razem bardzo cicho, przemówiłam.

– Nie chcę wracać do szkoły.

Odwrócił się.

– Słucham?

Popatrzyłam na niego, trochę złęknioma i bez śmiałości, jakby to, co powiedziałam na głos, dopiero do mnie docierało.

– Nie chcę wracać do szkoły – powtórzyłam. – Wolę zostać w domu.

Vince zmarszczył brwi i przez chwilę milczał, a potem ruszył w moją stronę. Widząc to, odłożyłam książkę na bok. Łzy zniekształcały mi obraz, gdy jego ramię oplatało moje plecy, a mój policzek przyciskał się do jego boku. Chciałam się jakoś wytłumaczyć, ale gardło mi się zacisnęło.

– Ciii – szepnął kojąco Vince, gładząc moje łopatki. – To twoja decyzja, Hailie. Zrobisz, jak będziesz chciała. Obiecuję.

– Chcę zostać w domu – zapłakałam znowu, tuląc się do niego. – Chcę na razie być w domu. Długo.

– W takim razie zostaniesz – powiedział. – To jest twój dom, Hailie. Możesz tu zostać tyle, ile chcesz. Nikt nigdy cię stąd nie wygoni. Masz na to moje słowo.

W silnych ramionach Vincenta, z głową wypełnioną jego zapewnieniami powoli zaczęłam się uspokajać. Nie planowałam tak się przy nim rozklejać, ale ostatecznie poczułam się trochę lepiej.

– Czy możesz wypisać mnie ze szkoły? – zapytałam, gdy odzyskałam mowę. Pociągałam lekko nosem i za żadne skarby nie zamierzałam go na razie puszczać.

– Czy nie wolisz z tym poczekać? – odpowiedział pytaniem. – Może jeszcze zmienisz zdanie?

Założył mi włosy za ucho. Żyłam dla tej delikatności, z jaką się teraz ze mną obchodził.

– Jeśli z tym poczekam, to na pewno zmienię zdanie – wymamrotałam. – A nie chcę zmieniać zdania, Vince.

– W porządku. Możemy podjechać tam jutro, po twoich porannych rehabilitacjach i terapii.

Pokiwałam głową, czując jednocześnie ulgę, że załatwienie tej kwestii nie potrwa długo, ale też tonąc w żalu, że naprawdę podjęłam taką decyzję. Lubiłam przecież szkołę. Zrobiło mi się smutno.

– Czy jak wydobrzeję, będę mogła... polecieć do Francji? – zapytałam cienkim głosem. Pilnie szukałam pocieszenia.

– Jak wydobrzejesz, będziesz mogła polecieć, dokąd tylko zechcesz.

Zadrżałam.

– A... – spróbowałam znowu – a czy... czy w przyszłości będę mogła studiować za granicą?

Vincent milczał przez chwilę, a jego obejmujące mnie ramiona jakby lekko zeszywniały.

– Będziesz mogła studiować, Hailie... gdzie tylko sobie wymarzysz.

Moja głowa wystrzeliła w górę. Nie mogłam uwierzyć, że słowa te wyszły z jego ust, mimo iż widziałam, jak te usta przed chwilą się poruszały.

– Naprawdę? – szepnęłam.

Poczułam, jak jego kciuk ściera mi z policzka łzę.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa. Zasługujesz na to. Po tym wszystkim... – Vince urwał, a jego spojrzenie prześlizgnęło się po moim brzuchu. – ... zasługujesz na całe szczęście, jakie tylko oferuje ten świat.

Zaczęła mi się trząść broda. Vince musnął ją palcami, gdy próbował ją unieść, by napotkać mój wzrok.

– Liczę, że wkrótce znowu zobaczę na twojej buzi ten szczery, szeroki uśmiech, do którego wszyscy mamy taką słabość.

Gdybym tylko potrafiła, dałabym mu ten uśmiech tu i teraz, ale jedynie zadrżały mi wargi, a spod powiek spłynęła kolejna fala łez. Niespodziewanie Vincent jednocześnie rozczulał mnie, smucił i nawet prawie rozweselał.

– Vince?

– Tak?

– Ja też chciałabym zobaczyć uśmiech na twojej twarzy.

Spróbował się uśmiechnąć, ale niewiele mu z tego wyszło. Pokręciłam głową.

– Nie taki. Ten nie sięga twoich oczu. Widzę to, Vince.

On pochylał głowę w dół, ja zadzierałam swoją w górę i tak patrzyliśmy na siebie, czytając siebie nawzajem.

– Wszystko się poukłada, Hailie. Nie martw się.

– Co się poukłada? O co mam się nie martwić? – wypytywałam. Miałam dość takich pustych komunikatów.

– O mnie.

– Potrzebujesz odpoczynku, Vince – oznajmiłam, a mój głos zmienił się z cichego w pewniejszy i bardziej zdeterminowany. – Nie możesz się tak przejmować.

– Już, już, nie nakręcaj się – upomniął mnie. – Nic mi nie jest.

– Jesteś przemęczony.

– Dużo się dzieje, mówiłem.

Zacisnęłam pięści na jego koszuli.

– Masz wsparcie. Masz nas – powiedziałam.

Tym razem naprawdę się lekko uśmiechnął i nawet pogłaskał mnie po głowie.

– Wiem, Hailie, wiem.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl i poczułam, jak moja twarz tężeje. Leciutko się od niego odsunęłam, by lepiej go widzieć.

– Co z Grace? – zapytałam. – Czy ona również cię wspiera?

Wiedziałam, że do zaręczyn nie doszło, ale na pewno ze sobą rozmawiali. Miałam o Grace tak niskie mniemanie, że wierzyłam, iż jest typem osoby, która mogłaby mieć do Vincenta pretensje o nieudane przyjęcie, i jeśli on by mi to teraz tylko potwierdził, to przysięgam, że byłam gotowa wybiec z biblioteczki, wskoczyć do swojego porsche, odszukać tę wiedźmę i porysować jej idealnie gładką buźkę paznokciami.

– Grace chwilowo nie jest obecna w moim życiu – przyznał w końcu.

Na chwilę serce stanęło mi w szoku, a potem zaraz napęczyło od sporej dawki nadziei.

– N-naprawdę? Zerwałeś z nią? – zapytałam, po raz pierwszy od dawna czując kielkującą w sercu radość. Trudno było mi ukryć oznaki ekscytacji i Vince spojrzał na mnie krzywo.

– Nie.

Uniesienie natychmiast mnie opuściło. Zastąpiła je złość i zmarszczyłam brwi.

– Ona z tobą zerwała?!

– To skomplikowane. Nie będziemy teraz rozmawiać o moich związkach.

– Skoro żadne z was nie zerwało, to co się stało?

– Co z twoim kolegą? – zapytał Vince. – Spodziewałem się, że będziesz chciała czym prędzej wrócić do szkoły, żeby znowu regularnie się z nim widywać.

Mówiąc to, delikatnie głaskał mnie po plecach, zapewne dlatego, że zdawał sobie sprawę, że to dla mnie bardzo wrażliwy temat. Robiłam postępy na terapii i ostatnio nawet pozwoliłam Leo się przytulić, gdy mnie odwiedzał, ale byłam przy tym tak zdystansowana i tak silnie walczyłam o trzymanie negatywnych uczuć na wodzy, że w zamian nie potrafiłam skupić się na prowadzeniu rozmowy, przez co nasze spotkanie zakończyło się tak, jak ostatnio wszystkie inne, czyli niezręcznie.

– Mówisz o Leo? – zapytałam.

– A czy spotykasz się z jeszcze jakimś innym chłopcem? – Vince uniósł brew.

– Nie, ale właściwie to z Leo też ledwo się spotykam – zauważyłam, unikając jego spojrzenia.

– Wiem, że ci ciężko, Hailie. Rozmawiałem ostatnio z twoją terapeutką. Twierdzi, że robicie postępy.

Niby mówił typowym dla siebie, opanowanym głosem, ale dla mnie brzmiał, jak na siebie, trochę desperacko. Bardzo chciał, żebym wydobrzała, i łamało mi to serce tak mocno, że wręcz na siłę pragnęłam wydobrzeć, chociażby dla niego.

– Robimy – potwierdziłam cicho. – Ale nie chcę o tym mówić, jeszcze nie.

– W porządku.

– Z Leo jest dziwnie... Nie wiem – westchnęłam, a potem spróbowałam jeszcze raz: – Chyba jest dziwnie... zwłaszcza od czasu powrotu Rydera...

Vince milczał, a ja uniosłam głowę.

– Czy wiesz już w ogóle, co z Ryderem? – zapytałam miękko, nieco obawiając się odpowiedzi.

Mój brat powoli wyplątał się z moich objęć, a następnie wziął wdech i przeczesał sobie włosy, jakby wracał właśnie do trudnej rzeczywistości.

– Jako że jest świadkiem w sprawie Clarissy, na razie jest potrzebny Organizacji.

Zmrużyłam oczy na wspomnienie Organizacji. Od czasu powrotu z kliniki czekałam, aż Vince zechce podzielić się ze mną wyjaśnieniami, które obiecał mi ojciec. I uważałam, że jestem bardzo cierpliwa, ale teraz, gdy sam wspomniał tę wciąż zupełnie enigmatyczną dla mnie nazwę, nie zamierzałam nie podłapać swojej szansy.

– Do czego jest potrzebny?

W bladych tęczęwkach Vince'a widziałam wahanie. Naprawdę intensywnie rozważał, czy to odpowiedni czas, by uchylić przede mną rąbka rodzinnej tajemnicy. Wchodząc do biblioteki, na pewno tego nie planował, ale teraz, gdy nasza rozmowa z jego sztywnych przeprosin przeszła w tak prywatną dyskusję, widocznie zmieniał zdanie.

– Może się przejdziemy? – zaproponował, zerkając na okno, za którym biel puchatego śniegu na ziemi zlewała się z bielą puchatych chmur na niebie. – Powinnaś codziennie wychodzić na świeże powietrze. Tak zalecił lekarz, pamiętasz?

Zgodziłam się, bo choć nie miałam ochoty wychodzić na chłodny dwór, to dla rozmowy o Organizacji byłabym gotowa nawet wytarzać się w zaspie.

Milczeliśmy, zakładając płaszcze i buty. Tym razem nikt nie musiał mnie zmuszać do włożenia na głowę czapki. Owinęłam się szalem i przylgnęłam do boku Vincenta, gdy tylko wyszliśmy na dwór. Szukałam przy nim ciepła, ale również nie chciałam tracić tej bliskości z nim, którą poczułam w bibliotece.

Spodziewałam się, że wiatr będzie silniejszy, ale niespodziewanie pogoda, choć mroźna, okazała się całkiem przyjemna jak na krótki spacer. Brakowało mi słońca, w którym delikatnie mieniłby się śnieg, ale nie było szans, by jakikolwiek promyk przebił się przez gęste chmurzyska. Szliśmy w ciszy w stronę bramy, a śnieg szeleścił z każdym naszym krokiem. Gdy wyszliśmy poza teren rezydencji, Vince zapalił cygaro swoją ekskluzywną zapalniczką z białego złota, upewniwszy się wcześniej, że dym nie będzie leciał mi w twarz ani osiadał na moich włosach.

– Organizacja zajmuje się sprawą Clarissy – odezwał się, a jego głos idealnie pasował do śnieżnej scenerii. – Przede wszystkim ze względu na to, że zaatakowała nas na moim przyjęciu zaręczynowym. A na nim obecni byli, poza mną i moją rodziną, także inni członkowie, co czyni z tego zamach na samą Organizację. To z kolei jest już bardzo poważnym przestępstwem.

– Czym jest ta Organizacja? – zapytałam, patrząc to pod nogi, by się nie potknąć, gdy tak spacerowaliśmy pośród drzew, to na Vince’a, który zmrużonymi oczami wpatrywał się przed siebie, raz po raz unosząc cygaro do ust.

– To wciąż zdaje się nieodpowiednie – mruknął do siebie.

– Hm?

– Uważam, że nie powinienem pozwalać ci zagłębiać się w sprawy Organizacji. To zdaje się nieodpowiednie.

– Vince...

Spojrzał na mnie.

– Próbuję cię chronić, Hailie.

Pokręciłam lekko głową.

– Co za straszne czyny popełniacie w tej Organizacji, że tak bardzo nie chcesz mi o nich powiedzieć? Przecież dużo widziałam już sama. Dużo się domyślałam. Wiem, że święci tam nie jesteście.

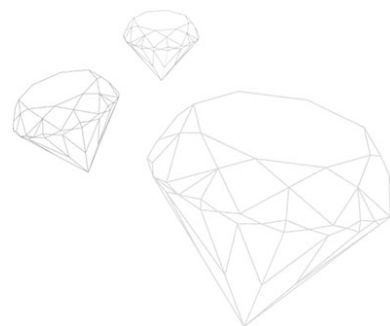
– Nie o czyny chodzi, a o świadomość.

Nie zauważyłam nawet, że przycisnęłam się do jego boku jeszcze mocniej, zahipnotyzowana naszą rozmową.

– Świadomość czego?

Oczy Vincenta zdawały się wwiercać w moją duszę, a usta ledwo się poruszyły, gdy odpowiedział:

– Władzy.



83

PONAD MAFIJNE PORACHUNKI

Poczułam w ustach smak śliny, którą szybko przełknęłam.

– Przecież wiem już, że macie dużo władzy – szepnęłam. – Nawet policjanci mają twój numer na szybkim wybieraniu.

– „Dużo” to spore niedomówienie.

– Nie zrobi to na mnie wrażenia, Vince – odparłam sucho. – Nie, kiedy ta wasza władza jest niewystarczająca, by wyciągnąć ojca z więzienia.

– Ojciec siedzi w więzieniu nie dlatego, że tak chce system, a dlatego, że tak chce Organizacja.

Zmarszczyłam brwi.

– Czy ty aby nie jesteś szefem tej całej Organizacji?

– W Organizacji nie ma szefa.

Zamilkłam. Czekałam, by kontynuował, bo ja miałam tak mało informacji, że nawet nie wiedziałam, jakie pytania zadawać. Vincent jednak naprawdę próbował utrudnić mi zadanie, jak tylko mógł.

– Powiedz mi, czym ona jest – poprosiłam, siląc się, by w moim głosie brzmiała pewność siebie.

– Organizacja, droga Hailie, zrzesza garstkę najbardziej wpływowych osób na tym świecie.

– Biznesmenów?

Vince zaciągnął się cygarem.

– Można tak powiedzieć.

– Czy to są po prostu najbogatsi ludzie? – ciągnęłam go za język, a jednocześnie robiło mi się słabo na myśl, że mój własny brat zalicza się do tak wyselekcjonowanego grona.

– Oczywiście, że najbogatsi – potwierdził. – Jednakże nie znajdziesz naszych nazwisk w żadnych rankingach.

– Mówisz, że te wszystkie internetowe listy najbogatszych ludzi świata są fałszywe?

– Sami je układamy. My, członkowie, wolimy pozostać w cieniu przed opinią publiczną. Jest to bezpieczniejsze dla Organizacji, a co za tym idzie, również dla nas.

Z niedowierzaniem wytrzeszczałam na niego oczy. To, co mówił, było dla mnie zbyt abstrakcyjne. On odwzajemniał moje spojrzenie ze spokojem, choć jego twarz stała się trochę mroczniejsza.

– I co jeszcze tam robicie? – zapytałam. – Widujecie się z prezydentami czy coś?

Miało to zabrzmieć luźno i może trochę dowcipnie, ale Vince się nie zaśmiał.

– Rzadko ich dopuszczamy. Tylko jeśli mamy taką potrzebę.

– Vince, ty żartujesz?

– Ostrzegalem cię.

– Nie przed tym, że definicja Organizacji będzie brzmiała tak absurdalnie!

– Teraz to jest dla ciebie szok i absurd, to naturalne. Gdy te uczucia miną, zacznie w tobie kiełkować świadomość prawdziwej potęgi własnego nazwiska. A ona może cię kiedyś zgubić.

– Co z chłopakami? Ile oni wiedzą?

– Nieco więcej. Jednakże ojciec ciężko pracował, żeby wychować nas wszystkich tak, żebyśmy nadto nie odkleili się od rzeczywistości. A i tak, mimo że nasi bracia, Hailie, mają dobre serca, to sama wiesz, że czasem igrają ze światem niczym władcy i królowie.

– Boisz się, że sodówka uderzy mi do głowy, bo mój brat jest w tajnej Organizacji?

– Boję się, że poczujesz się bezkarna. To uczucie jest jak narkotyk. Jest słodkie i smakuje ulgą, łatwo się uzależnić. A co za tym idzie, przyzwyczaić do niego, ostatecznie tracąc kontakt z rzeczywistością. Trzeba się bardzo pilnować.

– Czy my naprawdę jesteśmy bezkarni? – wymamrotałam.

– Organizacja rządzi się własnymi prawami. Niewieloma, co prawda, ale należy je respektować. Naruszenie ich może skutkować problemami, ale to jedyna realna groźba. Nasz ojciec jest dobrym przykładem tego, co się stanie, jeśli się jej podpadnie.

– Nie mogłeś go wybronić?

– Ojciec chciał należeć do Organizacji, a jednocześnie... oczyścić sumienie i prowadzić jedynie legalne interesy. – Vince pokręcił lekko głową. – Niefortunnie, nie jest to fair w stosunku do reszty członków. Dlatego namieszał, na koniec fingując swoją śmierć, a potem, gdy zmęczył się ucieczką, a uwierz mi na słowo, droga Hailie, że ukrywanie się przed Organizacją to trudne zadanie, zgodził się pójść do więzienia, żeby zapłacić za swój bałagan i nieszczerłość w stosunku do reszty. Nie wolno robić głupców z członków Organizacji. To poważni ludzie, którzy nie lubią być oszukiwani.

– Czy w końcu mu odpuszczają? Czy wróci do nas? – pytałam.

– Na pewno nie wróci do Organizacji, choć to nieistotne, bo ja zająłem jego miejsce, gdy tylko odszedł. Co do jego kary, myślę, że są nikłe szanse, by Organizacja zgodziła się na to, by kiedykolwiek wyszedł na wolność. Zdenerwował wielu ludzi. Wiedział, co robi. Teraz musi za to pokutować.

Spuściłam głowę i patrzyłam na pokryte śniegiem czubki swoich butów. Przykro mi było, że grupa ważniaków nie lubi mojego taty i przez nich on

musi sterczeć za kratami.

– Ojciec jest w gorącej wodzie kąpany – ciągnął Vince, jakby wyczuwał mój bunt. – Wiem, że w twoich oczach, Hailie, jego obraz jest idealizowany, i dobrze, bo on naprawdę mocno cię kocha, ale przez to mogą ci umykać jego wady. A on jak każdy człowiek takowe też posiada. I nie jest nieomylny. Nie wierz nigdy, że jest inaczej.

– Dla mnie ty i tato obaj jesteście nieomylni – przyznałam.

Vince uśmiechnął się lekko, wypuszczając dym i patrząc przed siebie.

Przez chwilę szliśmy w ciszy. Próbowалам poukładać sobie w głowie nowe informacje. Raz prawie potknęłam się o kamień, ale dzięki temu, że rękoma oplatałam ramię Vince’a, nie upadłam.

– Ojcowie Mai i Adriena też są członkami Organizacji, tak? – zagadnęłam w pewnym momencie.

Mój brat skinął głową.

– Na każdym z kontynentów żyje maksymalnie po pięciu.

– Na Antarktydzie też? – zdziwiłam się.

– Nie, tam nie, droga Hailie. Na każdym z kontynentów poza Antarktydą. – Małym uśmiechem skomentował moją naturę perfekcyjnej uczennicy.

– Jak to jest, że akurat ty, Adrien i Charles mieszkacie wszyscy w Pensylwanii?

– Na każdym kontynencie znajduje się wyznaczone neutralne terytorium, na którym członkowie Organizacji mają swoje stałe miejsce zamieszkania. W Ameryce Północnej tym miejscem jest Pensylwania w Stanach Zjednoczonych.

– Czyli tutaj w Stanach wszyscy musicie mieszkać w Pensylwanii?

– Tak jest najrozsądniej, ponieważ teren tego stanu formalnie należy do nas wszystkich.

– A co z resztą kontynentu?

Vince wzruszył zwyczajnie ramionami i przyłożył cygaro do ust.

– Jest do podziaku.

Skrzywiłam się.

– Paranoja – skomentowałam, unosząc spojrzenie na brata i starając się wychwycić w nim jakąś zmianę. Zawsze myślałam o nim jako o kimś ważnym, może niekoniecznie spodziewałam się, że trzyma w garści sprawy wagi światowej, ale i tak był już dla mnie wielkim autorytetem i teraz moje wrażenie tylko się pogłębiło.

– Charles Geras, Ricardo Sanchez, Adrien Santan i Rodric Retter. Zapamiętaj te nazwiska – odezwał się, a głos mu zachrypł. Może od zimna, może od cygara. A może od wagi tematu, który poruszyliśmy. – Najlepiej trzymaj się od tych ludzi na dystans. Albo udawaj, że nie wiesz nic o ich przynależności do Organizacji, tak jak do tej pory.

– Czemu mam udawać?

– Bo czasami lepiej, Hailie, nie wiedzieć. – Vince spojrzał na mnie. – Twoja niewiedza w pewnym sensie była twoją bronią. Ale dorastasz. I może ojciec miał rację, że czas, byś zrozumiała znaczenie swojej rodziny.

– Ja chyba dalej nie rozumiem.

– Trzymaj się z daleka od osób, których nazwiska przed chwilą wymieniałem. Jeśli już będziesz musiała nawiązać z nimi kontakt, odnoś się do nich z szacunkiem i przy pierwszej lepszej okazji odejdz. Nigdy ich nie dotykaj...

– Co? – Uniosłam brew.

– To stara zasada. Pierwotnie została wprowadzona, żeby członkowie Organizacji mogli chronić siebie i swoje rodziny przed nieporozumieniami, na przykład poufałymi gestami, które mogłyby zostać błędnie odebrane. Celowo przyjęło się, że jest traktowana dosłownie. Nikt z Organizacji nie ma prawa cię tknąć, bo jesteś moją siostrą.

– Ale ty, na przykład, tknąłeś... Grace, prawda? – Zagryzłam wargę, bo jakoś głupio to zabrzmiało.

Vince rzucił mi spojrzenie kątem oka.

– Otrzymał wcześniej pozwolenie od głowy jej rodziny, ówczesnego członka Organizacji, Egberta. Teraz na jego miejscu jest Adrien. Tak jak ja zająłem miejsce naszego ojca.

– Adrien mnie dotknął – wypaliłam.

- Kiedy? – Vince zmarszczył brwi.
- Na przyjęciu. Gdy zobaczył, że snajper do mnie celuje.
- Ach tak. Cóż, to była wyjątkowa sytuacja. Nie będziemy mu robić z tego tytułu problemów.

Pokiwałam głową. Przemilczałam fakt, że sama też kiedyś Adriana dotknęłam. Gdy błagałam go w gabinecie Vince’a, by nie wydał ojca. Miło że nie rozpętał wtedy z tego powodu dramatu. Co prawda, zachował się jak cham w inny sposób i wciąż to pamiętałam, nie zamierzałam więc rozplýwać się nad jego dobrotliwością.

Chociaż musiałam przyznać, że dobrze zniósł też tamten dziwny moment, gdy rzuciłam w niego nożem.

Najwyraźniej, szczęśliwie dla mnie, nie jest przewrażliwiony.

Szliśmy znowu przez moment w ciszy. Patrzyłam na swoje buty.

– Wiesz, Vince, myślałam, że jesteście mafią.

Zaśmiał się cicho.

– Mafia kojarzy się zbyt prostacko albo zbyt podniośle, zależy, czy ktoś naoglądał się nowych filmów, czy tych starych – stwierdził. – W żadnym wypadku nie przekłada się na to, czym jest Organizacja, która jest o wiele bardziej ekskluzywną i jedyną w swoim rodzaju grupą.

– Ale robicie nielegalne rzeczy.

– W świetle powszechnie uznanego prawa, tak.

– Jakie?

Vince prychnął i wywrócił oczami.

– Prawie wszystko.

– Wszystko? – sapnęłam. – Naprawdę? Wszystko? Co z zabijaniem dzieci? Albo handlem ludźmi?

– Na Lorda, Hailie – syknął ostro Vince, spoglądając na mnie spod zmarszczonych brwi i kręcąc głową. – Oczywiście, że nie robimy takich rzeczy. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

– Czyli co, zabijacie tylko dorosłych? – Przełknęłam gorzką ślinę. – No to luzik.

– Czy to Tony nauczył cię takiego brzydkiego sarkazmu? Będę musiał z nim porozmawiać.

– Nie zaczynaj znowu traktować mnie jak dziecko – ostrzegłam. – I nie zmieniaj tematu. Wiem, że macie dużo za uszami. Po domu walają się pistolety, jest nawet strzelnica.

– Na ogół mało kto ma czelność faktycznie atakować kogokolwiek z Organizacji, choć twoje doświadczenie może sugerować inaczej. Jeśli jednak komuś przyjdzie to do głowy, a wiele osób marzy na pewno o rozbiciu Organizacji lub przedarciu się do niej, to dobrze jest umieć się bronić. Oraz mieć czym. Zwykle jednak nie bawimy się w idiotyczne porachunki i bezmyślne strzelanki.

– Skoro jesteście tacy ponad zwykłe mafijne porachunki, to co robicie? – Uniosłam brew. Traktowanie Organizacji z przymrużeniem oka, a nawet podśmiewanie się z niej, z pewnością pozwalało mi łatwiej oswoić się ze świadomością jej istnienia.

– Aranżowane są spotkania, raz na kwartał. I wierz mi, Hailie, nigdy nie brakuje spraw do ustalenia.

– To brzmi jak nuda.

– Bardzo dobrze, że tak myślisz. – Vince podniósł cygaro do ust.

– Co ustalacie, podaj mi przykłady. Proszę – naciskałam, wisząc na jego ramieniu i zerkając to pod nogi, to na jego skupioną twarz.

Westchnął.

– Dobrze, przykładem jest omawianie, co się dzieje w mediach społecznościowych. Zastanawiałaś się, dlaczego niektóre z nich są tak popularne?

– Nie – odparłam szczerze.

– Im więcej ludzi zakłada tam konta, tym większą bazą danych dysponujemy, a jednocześnie większe zasięgi mamy. W razie potrzeby manipulacja opinią publiczną jest banalnie prosta.

– Po co to?

– Rzadko jest taka potrzeba, ale się zdarza. Kiedy wybucha skandal. Czasami wystarczy go przykryć innym skandalem. Czasami warto zmienić

postrzeganie ludzi na pewne sprawy. Lub kiedy pojawia się nowy biznes czy produkt, który należy wprowadzić na rynek dla czyjejś korzyści. Zwykle naszej.

– Zmienić postrzeganie? – Wpatrywałam się w Vincenta z zafascynowaniem i lekkim niepokojem.

– Gdybyśmy tylko chcieli, Hailie, siłą, jaką są wszystkie kanały medialne, które znajdują się pod naszą kontrolą, moglibyśmy wmówić ludziom, że woda to trucizna lub że wdychanie tlenu ich zabija. – Vince wbijał wzrok twardo przed siebie i ponownie posmakował dymu z cygara. – Uwierzyliby.

Przeszły mnie ciarki.

– Często to robicie?

– Nie. To ogromne projekty. Niektóre trwają miesiące, inne lata. Wymagają dużo zaangażowania i podstaw do wdrożenia.

– To brzmi jak film.

– To rzeczywistość. Powiedz mi, drogie dziecko, ile razy bezmyślnie zaakceptowałaś pliki cookie na stronie, którą odwiedzałaś?

Milczałam.

Vince zerknął na mnie spod oka, ale zaraz pokręcił głową i kontynuował:

– Ty na szczęście nie musisz się martwić o ochronę swoich danych, bo zadbam o nie ja, ale setki milionów ludzi dziennie odziera się ze swojej prywatności i informacji o sobie, a Organizacja z tego korzysta i rośnie w siłę. – Vince uśmiechnął się ponuro, z błyskiem w jasnej tęczówce. – Jakby i tak nie była już wystarczająco potężna.

Chłonełam te wszystkie informacje, czując, jak robię się coraz mniejsza w porównaniu do tego, czym zajmuje się Organizacja i z jak wielu rzeczy sama nie zdawałam i nie zdaję sobie sprawy.

– To, co ci teraz mówię, Hailie, to tajemnica, której będziesz teraz musiała strzec. To nie temat do pogaduszek z przyjaciółmi. Wierzę, że to oczywiste i nie muszę tego podkreślać, ale nie chciałbym pozostawiać co do tego wątpliwości.

Skinęłam sztywno głową.

– I proszę cię, byś pamiętała, że nadal funkcjonujesz w tym świecie, dlatego powinnaś przestrzegać jego zasad. – Vince nagle zatrzymał się i złapał mój podbródek, a jego spojrzenie stało się przenikliwe. – Nie jesteś niezniszczalna, Hailie. Wbij sobie te słowa do głowy. I jeśli zaczniesz wierzyć, że jest inaczej, natychmiast zejdziesz na ziemię.

Pokiwałam z przejęciem głową, a on podjął z powrotem spacer, choć miał zaciśniętą szczękę i byłam prawie pewna, że część jego żałuje, iż właśnie odkrył przede mną ułamek prawdy o Organizacji.

Ja pogrążona byłam we własnych myślach i zmagalam się ze swoimi demonami. Jedna z nich uwierała mnie tak mocno, że przestraszona, iż już jakiś czas temu zaczęło dziać się ze mną coś niedobrego, zdobyłam się na odwagę, by od razu przyznać się Vince'owi.

– Ja już zrobiłam coś złego – wyszeptałam.

On natychmiast popatrzył na mnie surowo.

– Powiedz mi – zażądał. – Zawsze mi mów.

Wtedy nakreśliłam mu sytuację Winter i przyznałam się, że wygadałam się celowo Ruby. Bardzo ważne było dla mnie zaznaczenie swoich motywów. Nie zamierzałam bowiem okłamywać ani siebie, ani Vince'a, że zrobiłam to z troski o bliską przyjaciółkę Leo. Chciałam, żeby było jasne, że w głębi duszy pragnęłam się jej pozbyć z mieszkania swojego chłopaka i może jeszcze też utrzyć jej nosa? Aż się zaczerwieniłam ze wstydu, gdy o tym mówiłam.

– Chciałabym to jakoś odkręcić – wymamrotałam. – Można coś w tej sprawie zrobić?

Oczywiście to pytanie miało być inaczej sformułowane. Coś w stylu „Czy dasz radę coś z tym zrobić i ocalić mnie od nieskończonych wyrzutów sumienia?”.

Vince był mądry, więc zrozumiał. Nie wyglądał na zachwyconego, ale westchnął tylko cicho.

– Faktycznie twoje pobudki nie były godne pochwały, warto więc, byś pracowała nad takimi zachowaniami – zaznaczył. – Jednakże z tego, co słyszę, twoja koleżanka jak najbardziej powinna zakwalifikować się do

programu pomocy fundacji i to bez znaczenia, czy jej się to podoba, czy nie. Jest jeszcze nieletnia.

– Ona nie chce pomocy. Nie takiej. Chciałaby mieszkać z Leo. Dogaduje się z jego mamą, ona bardzo ją wspiera. Leo mówił, że jest pomysł, by Gina została jej prawną opiekunką, ale prawdopodobnie nie spełni wszystkich wymagań. Myślisz, że można by... coś...

Vincent patrzył na mnie przez chwilę, a potem pokiwał głową.

– Myślę, że tak – odparł krótko. Wciąż brzmiał beznamiętnie, ale bardziej liczyło się dla mnie znaczenie jego słów niż ton, w jakim zostały wypowiedziane.

– A... – zawahałam się – ...myślisz, że Leo mnie znienawidzi?

Vincent chyba zamierzał darować sobie wypowiedzi na temat mojego życia miłosnego, ale gdy zerknął na mnie i zobaczył, jak się rozklejam, westchnął, wyciągnął z kieszeni tę rękę, którą miał wolną, i objął mnie nią, przytulając mnie do siebie.

– Vince, ja się boję, że on ze mną zerwie – zapłakałam.

To niewiarygodne, że zwierzałam się swojemu najstarszemu bratu. Jakieś dwa lata temu obrywało mi się od niego za samą wzmiankę o spotkaniu z chłopakiem, a teraz łkałam mu w płaszczy, opowiadając o swoich obawach dotyczących zakończenia związku.

Vincent nie byłby sobą, gdyby na moje nastoletnie problemy nie wywrócił oczami, ale też ścisnął mnie mocno i szepnął:

– Nie wiem, jaką decyzję podejmie, Hailie, ale osobiście uważam, że to nie jest dobry powód do zerwania. Jeśli tak zrobi, to będzie oznaczało, że absolutnie na ciebie nie zasługuje.

Zatrzymaliśmy się, co trochę sama wymusiłam, bo ciężko było mi skoncentrować się na stawianiu kroków, gdy zanosłam się płaczem, który dość niespodziewanie zaatakował mnie z taką mocą.

– Vince, a jeśli nie zerwie, to co, jeśli wtedy to ja będę musiała to zrobić?

Chyba go zdezorientowałam.

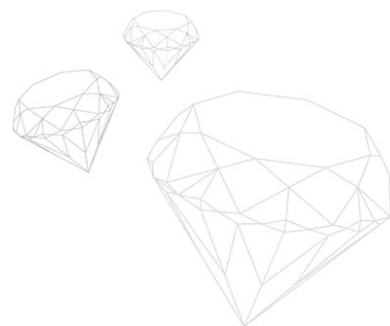
– Hailie?

– Nie wiem...

Miałam taki bałagan w głowie! Nie potrafiłam sobie tam posprzątać, dlatego też i to, co mówiłam, nie miało sensu. Vincent pocieszał mnie, coraz bardziej niezadowolony z faktu, że tak sama siebie dręcę i męczę, i to jeszcze przez jakiegoś chłopaka, który w jego oczach nawet nie był mnie godzien.

A ja po prostu potrzebowałam sobie popłakać. W szpitalu i przy chłopakach starałam się trzymać emocje na wodzy. Nie chciałam kłopotać bliźniaków łzami, Dylan i tak już się ze mną dużo nacierpiał, a Willowi łamałabym serce każdym jednym szlochem. Vincenta też chciałam oszczędzić, naprawdę, jednak w pewnym momencie, w tym momencie, straciłam kontrolę.

Kres mojej chwili wylewności położył jego telefon, który nagle, w tej leśnej ciszy, zaczął dzwonić.



MIŁOŚĆ TO DOBRY POWÓD

Mój brat wyjątkowo gwałtownym jak na siebie ruchem sięgnął do aparatu i zerknął na ekran, jedną ręką, wyjątkowo teraz napiętą, wciąż mnie obejmując. Widząc, od kogo przychodzi połączenie, od razu, co prawda, się rozluźnił, ale ja wpatrywałam się w niego podejrzliwie.

Mruknął do słuchawki, że zajmie się czymś tam w ciągu dwóch godzin, a potem rozłączył się i schował komórkę z powrotem do kieszeni.

Łzy wciąż płynęły mi z oczu, ale na moment je zignorowałam. Lustrowałam go byстрыm spojrzeniem.

Vincent chyba wiedział, że uznałam jego raptowny gest za na tyle do niego niepodobny i podejrzany, że teraz czekałam na jakieś wyjaśnienie, dlatego celowo unikał patrzenia na mnie, licząc, że odpuszczę.

– Czekasz na jakiś telefon? – zapytałam w końcu.

– Czekam na wiele telefonów.

Zobaczyłam w jego oczach ból i przejęcie, do których nie byłam przyzwyczajona. Nie w jego chłodnych, błękitnych tęczęwkach, które na przestrzeni miesięcy stały się dla mnie definicją stabilności i pewności. To było jak potwierdzenie moich obaw.

Do tej pory mogłam sądzić, że jego cienie pod oczami, niezdrowa bladość i nawet ostatni incydent z whisky spowodowane zostały zamartwianiem się o mnie i o wydarzenia z zaręczyn, ale teraz, gdy widziałam, jak rzucił się na telefon, zrozumiałam, że było coś jeszcze.

Vincent miał jeszcze jakiś inny, duży problem i absolutnie mnie to przeraziło.

Czy to coś z Organizacją? A może z ojcem? Czy był chory?

Znowu zaczęłam łkać, nie będąc w stanie pomieścić w głowie wszystkich tych zmartwień i przykrości. Dlaczego nie możemy być normalną rodziną? Oddałabym całą tę władzę i pieniądze, by usiąść z piątką swoich braci w salonie, zamówić pizzę i obejrzeć słaby film, beztrudnie śmiejąc się z jego idiotycznej fabuły.

A potem się rozejrzałam. Przyznaję, zrobiłam to świadomie po raz pierwszy, od kiedy wyszliśmy z domu i za bramę. I zorientowałam się, że spacerujemy po ośnieżonym lesie.

W podobnym życie stracił mój ochroniarz.

Zeszytniałam tak bardzo, że miałam wrażenie, iż moje serce przestaje powoli pompować krew. Zaczynałam się dusić i już wiedziałam, że miałam nieprzyjemność doświadczać kolejnego ataku paniki. Ledwo słyszałam, jak Vince woła moje imię.

– Słuchaj mojego głosu, Hailie, bierz wdechy – mówił do mnie mocnym głosem.

Starałam się podążać za jego instrukcjami, ale było to niesamowicie trudne.

– Głębokie wdechy, Hailie. Głębokie.

Krztusiłam się, ale mi to nie pomagało. Nienawidziłam tego uczucia, tego braku kontroli. Terapeutka radziła, by w takich sytuacjach starać się wyciszyć i wsłuchać we własne ciało, spróbować zrelaksować. Cóż za idiotyczna rada, jak miałam się relaksować, gdy staliśmy tu z Vincentem, w tym lesie, zdani na łaskę snajpera! Co, jeśli Vince dostanie i...

Wyobraziłam sobie, jak pada na pokrytą śniegiem ziemię, a na jego białej koszuli rośnie plama krwi. Potrafiłam odtworzyć ten obraz w głowie bez problemu, bo doświadczyłam już boleśnie podobnego widoku.

Nie wiem, jakie postępy robiłam w oddychaniu, ale po wyobrażeniu sobie tej sceny wszystko zaprzepaściłam, bo moje płuca znów się zamknęły.

– Hailie! Popatrz na mnie, słyszysz? Masz mnie słuchać, Hailie, w tej chwili.

Jego dłoń zacisnęła się mocniej na mojej.

Trochę słuchałam, a trochę nie, ale gdy w pewnym momencie otworzyłam oczy, zorientowałam się, że już nie stoimy. Siedziałam na zimnym śniegu, a Vince kucał obok mnie, wciąż przyciskając mnie do swojego boku. Złapał też za moją dłoń i przycisnął ją do swojej klatki piersiowej, gdzie miarowo biło jego serce.

Chciałam coś powiedzieć, ale drżały mi usta i nie potrafiłam przez ten uścisk w gardle.

– Hailie, oddech...

Vincent nie wiedział co robić, choć czy ktokolwiek wie, co począć w takiej sytuacji? Ktokolwiek, kto nie jest ratownikiem medycznym ze strzykawką leku na uspokojenie?

– Hailie...

Każdy wdech bolał, nie chciałam więc oddychać.

– Będę miał dziecko.

Zakrztusiłam się.

Ostry ból przeszył moje serce i jakiś punkt w głowie. Nagle poczułam ten gorący potok łez na policzkach oraz ból w brzuchu, płucach i gardle.

Ale wreszcie udało mi się skupić na czymś innym niż panika.

– C-co takiego? – wycharczałam.

Zadzieralam głowę na napiętą i zbiełałą jak śnieg wkoło twarz kucającego obok mnie Vincenta.

– Co powiedziałaś, Vince?

Palce, które wciąż dotykały miejsca, gdzie pod materiałem koszuli i jego skórą w przyśpieszonym tempie biło teraz jego serce, zacisnęłam kurczowo.

– Prawdopodobnie – dodał.

Oczy miał dziwne, chyba szalała w nich mieszanka uczuć, ale jego głos brzmiał szorstko.

– Vince...

Rozkaszlałam się znowu, a potem, w akompaniamencie jego krótkich i konkretnych instrukcji na temat mojego oddychania, zaczęłam wracać do rzeczywistości. Poczułam chłód bijący od ziemi i ból w nadwyreżonych od wysiłku płucach.

Powoli, gdy nadeszła odpowiednia chwila, Vince pomógł mi się podnieść. Nogi miałam jak z waty, a śnieg pomógł mi spodnie i płaszcz. Polegałam na jego wsparciu, starając się grzecznie wykonywać jego polecenia, nie oglądając się więcej na otaczający nas las. Zamiast tego wbijałam spojrzenie w twarz brata, a jemu na początku dobrze wychodziło unikanie go. Pomógł mi się otrzepać, aż w końcu popatrzył mi w oczy. Odgarnął mi z twarzy włosy i kawałkiem mojego szalika ją przetarł, kręcąc powoli głową.

Pozwalałam mu na to wszystko, cierpliwie czekając, aż podejmie wątek. Wiedziałam, że nie ma ochoty tego robić. Nic by mi nie powiedział, gdyby nie przeraził się moim stanem.

Ale czekałam.

Gdy upewnił się, że najgorsze minęło, objął mnie ramieniem i zaczął ciągnąć w stronę, skąd przyszedliśmy.

Zaparłam się. Wtedy cmoknął z irytacją.

– Wracamy – zarządził ostro.

– Vince? – wymamrotałam niewinnie, podnosząc na niego wciąż zażawione oczy.

Westchnął ciężko.

– Powiem ci, jak się ruszysz.

Natychmiast zaczęłam iść. Szło mi to dość opornie, bo nieco ślaniałam się na nogach, ale mojemu bratu to wystarczyło.

Zaczął mówić mi rzeczy, które nie wierzyłam, że kiedykolwiek usłyszę z jego ust.

– Jednym z powodów, dla którego ostatniej nocy pozwoliłem sobie na... rozkojarzenie, jest to, że kobieta, z którą spotykałem się na krótko przed decyzją o zaręczeniu się z Grace, poinformowała mnie, iż jest w ciąży.

– O mój Lordzie! – wykrzyknęłam, a nadwyreżone gardło zapulsowało mi boleśnie. Przykryłam sobie usta dłonią, szybko jednak ją od nich oderwałam. – W ciąży! Z tobą?!

– Cicho, Hailie, nie krzycz. – Vince rozejrzał się po pustym lesie. – Prawdopodobnie tak, ze mną.

– Prawdopodobnie?

Zacisnął usta. Chyba nie spodziewał się, że będzie ze mną o tym rozmawiał, i musiało wydawać mu się to wyjątkowo nie na miejscu.

– Nie byliśmy w długim związku. Nie sądzę jednak, żeby miała tupet, by mnie okłamywać. To nie jest głupia dziewczyna.

– I jest w ciąży z twoim dzieckiem... – wyszeptałam do siebie, mnąc w palcach jego płaszcz, którego ciągle się czepiałam.

– Oczywiście będę chciał testów na ojcostwo, żeby to potwierdzić.

Uniosłam brwi.

– To, co mówiłeś przed chwilą, brzmiało, jakbyś jej ufał.

– Ufam, ale to zbyt poważna sprawa, bym wierzył komukolwiek na słowo.

– O Boże, Vince, to cudownie, to... – Zawiesiłam głos, przełknęłam z trudem ślinę i w jednej chwili po raz kolejny dziś zalałam się łzami. Trochę z tak niespodziewanej radości, a trochę z bólu. – To tak cudownie!

Milczał i tylko patrzył przed siebie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Jaka ona jest? Ta kobieta? Czy jest miłsza od Grace? – pytałam, wierzchem jednej dłoni wycierając policzki. – Och, na pewno jest. Każdy jest miłszy i lepszy od Grace.

Nadal się nie odzywał. Słyszeć było jedynie nasze kroki.

– I będzie dziecko! – zawołałam, znowu odrobinę za głośno. – Boże, będzie dzidziuś...

Vince się skrzywił, a potem uniósł dłoń, niewątpliwie po to, by przystopować mój entuzjazm.

- Nie wiadomo.
- Powiedziałeś, że jest w ciąży i że wierzysz, że to z tobą.
- Nie wiadomo, co zadecyduje.

Lekki uśmiech, któremu tak niespodziewanie dziś udało się rozświecić na chwilę mi twarz, teraz zaczął zanikać.

- Co masz na myśli?

Chyba nigdy nie mówił do mnie z takimi trudnościami.

- Postawiłem jej ultimatum – powiedział głosem wypranym z emocji. – Ponieważ w tej sytuacji przewiduję tylko trzy opcje.

Poczułam, jak moje ciało sztywnieje.

- Vince, jakie ultimatum? – zapytałam ostrożnie, bojąc się tego, co mogę usłyszeć.

- Sytuacja jest skomplikowana – powiedział, rzucając mi baczne spojrzenie. – Rozstaliśmy się, nie planowaliśmy się schodzić.

- Jakie ultimatum?

- Moje dziecko – zaczął Vince, a ja nie mogłam uwierzyć, jak abstrakcyjnie te słowa brzmiały w jego ustach – będzie żyło i wychowywało się pod moim dachem. I na tym polu nie pozostawiam miejsca do dyskusji czy kompromisów.

Pokiwałam głową, zagryzając jednocześnie wargę.

- A co z jego mamą?

- Może zamieszkać z nami lub tylko nas odwiedzać. Może też zniknąć tuż po porodzie, jeśli tak woli.

Mówił z tak chłodnym zdecydowaniem, że byłam pewna, iż zdążył już doskonale sobie to wszystko przemyśleć.

- Czyli zgodzisz się, by się z nią znowu związać?

- Jeśli tego zechce, tak, jestem gotowy stworzyć z nią związek.

- Okej, a jeśli nie, to pozwolisz jej odejść lub widywać się z dzieckiem tylko z doskoku?

Vince skinął sztywno głową.

- Czy to się liczy jako dwie opcje? Jaka w takim razie jest trzecia?

Odpowiedział dopiero po chwili, wyjątkowo bezbarwnym tonem:

– Nie zamierzam zmuszać jej do donoszenia tej ciąży i urodzenia dziecka.

Spuściłam głowę. Aż za dobrze rozumiałam, co to znaczy, i posmutniałam.

Znowu rozlała się między nami cisza, tym razem trochę gęstsza i zdecydowanie bardziej ponura. Moja chwilowa radość została stłumiona.

– Czy wiesz już, ku której opcji się skłania? – zapytałam z nadzieją.

– Nie.

– Czyli decyzja w zupełności należy teraz do niej?

– Tak.

– A czego ty byś chciał? – Przechyliłam głowę.

– To nie ma znaczenia, bo jak ju...

– Która z tych trzech opcji, jakie jej przedstawiłeś, przemawia do ciebie najbardziej? – ponowiłam pytanie, bezceremonialnie wchodząc mu w słowo i ostrym spojrzeniem rzucając mu wyzwanie, by zwrócił mi uwagę.

Nie zwrócił.

Zamiast tego patrzył na mnie przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Dobrze by było, gdyby matka mojego dziecka żyła z nim pod jednym dachem.

– Czyli chciałbyś się z nią zejść.

Vince, dość niechętnie dając się ciągnąć za język, skinął wreszcie głową.

– Czy powiedziałeś jej to?

– Nie. Czekam, aż sama podejmie decyzję.

– Myślę, że gdyby wiedziała to, co właśnie mi powiedziałeś, mogłoby być jej łatwiej ją podjąć.

– Nie zamierzam manipulować jej wyborami – powiedział twardo. – Ta decyzja będzie rzutować na całe jej życie, a jeśli wybierze, by spędzić je ze mną, będzie się to wiązało z wieloma wyrzeczeniami. Nie będę przekonywał jej, by ze mną zamieszkała, a potem oglądał, jak brutalnie jej wyobrażenia zderzają się z rzeczywistością.

– Ale może wystarczy, żebyś uświadomił jej, że w razie czego, nawet jeśli będzie ciężko, ona będzie miała twoje wsparcie.

– Już jej powiedziałem, że będzie je miała. Niezależnie od tego, co wybierze. Jestem gotów wesprzeć ją psychicznie, jak i, oczywiście, materialnie – opłacę jej najlepszą opiekę zdrowotną.

– Czyli jedyny scenariusz, na który się nie zgadzasz, to ten, w którym dziecko zostaje pod jej opieką?

– Moje dziecko będzie się wychowywało pod moim dachem – powtórzył Vincent dobitnie. – Nie popełnię tego samego błędu, co nasz ojciec.

Spuściłam wzrok.

– Kiedy będziesz wiedział, co postanowiła? – zapytałam szeptem.

– Najważniejsza decyzja to taka, czy podda się aborcji. Czas ucieka, a płód się rozwija. Spodziewam się od niej wiadomości na dniach.

– Boże, Vince, to dlatego jesteś taki zestresowany? – westchnęłam ze smutkiem i zrozumieniem, przypominając sobie, jak rzucił się do telefonu.

– Przede wszystkim jestem zestresowany, bo moja siostra przeszła przez piekło. Ale, jak już mówiłem, dużo się dzieje.

Oparłam skroń o jego bok i westchnęłam ciężko.

– Kochasz ją?

Milczał tak długo, że nie spodziewałam się, że mi odpowie.

– Może.

– To dlaczego zaręczyłeś się z Grace?

– Bo Grace pasuje do tego świata, a Anja nie.

Uśmiechnęłam się lekko na dźwięk jej imienia w jego ustach. Zabrzmiało... ładnie. I miło.

Lepiej niż kiedykolwiek brzmiało w nich imię tej żony Grace.

– Kobiety są silniejsze, niż myślisz, Vince – powiedziałam stanowczo.

– Wiem o tym doskonale. Nie miałem jednak dobrego powodu, by skazywać dziewczynę, która wie, gdzie normalną egzystencję, na życie w tak ekstremalnych warunkach.

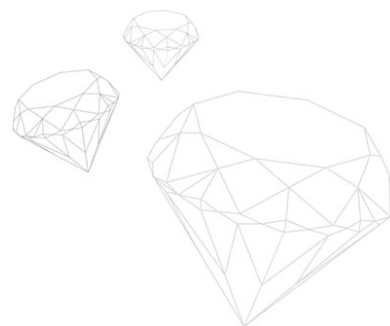
Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, Vince, jak dla mnie miłość to dobry powód.

Nie odpowiedział.

W drodze powrotnej, za każdym razem, gdy zabolał mnie kolejny oddech lub zapiekło w płucach czy sercu, wyobrażałam sobie, że po Rezydencji Monetów biega małe dziecko, które patrzy na świat niewinnymi bladoniebieskimi oczętami.

Pierwszy raz od dawna kąciki moich ust uniosły się bez żadnego przymusu.



85

MUR

Vincent naprawdę gotów był pojechać ze mną już następnego dnia do szkoły, żeby zabrać z niej moje papiery. Choć zależało mi, by jak najszybciej mieć to już za sobą, poprosiłam go o jeden dzień zwłoki. Potrzebowałam poukładać sobie w głowie kilka rzeczy. Oprócz wizyty w gabinecie dyrektorki planowałam też bowiem porozmawiać z kilkoma osobami i musiałam się do tych rozmów przygotować.

Poza tym Will zgodził się, żeby znowu zabrać mnie na grób Sonny'ego. A przez moje obowiązkowe rehabilitacje, terapię i masaże nie dałabym rady jechać na cmentarz i do szkoły tego samego dnia.

Tym razem cmentarz nie był pusty. Od razu więc zauważyliśmy dwie postacie w oddali. Jedna była smukła i ubrana w czarną kurtkę z futerkiem, dżinsy i wysokie kozaki, białe jak śnieg leżący wokół. Druga postać sięgała tej pierwszej pasa. Było to dziecko, ubrane w jaskrawofioletowy kombinezon i różową czapeczkę z pomponem.

Już w połowie drogi zdętwiałam, i to wcale nie z zimna. Stawiałam kroki jak w transie i było mi coraz trudniej oddychać. Nie odrywałam wzroku od kobiety i dziecka, które stały, oczywiście, nad grobem mojego ochroniarza.

Ręka Willa opiekuńczo mnie objęła, jakby chciał mi dodać otuchy, a jednocześnie mnie obronić. Byłam pewna, że w głowie przeklinał ten zbieg okoliczności, który właśnie nam się przytrafił. Nawet trochę zwolnił.

Gdy byliśmy już blisko, szelest naszych kroków zwrócił uwagę Cali i małej Lei. Od początku wiedziałam, że to one, ale gdy dziewczynka odwróciła się i zobaczyłam w jej uroczej buzi podobieństwo do Sonny'ego, poczułam, jak zaciska mi się gardło.

– Mamo – szepnęła, szarpiąc kobietę za rękaw.

Cali zmierzyła nas wzrokiem i natychmiast mnie rozpoznała. Widziałam, jak jej czoło się marszczy, jak mięśnie wokół ust się napinają, a w oczach okolonych długimi sztucznymi rzęsami budzi się ogień wyrażnej niechęci.

Spojrzenie tych oczu wbiło się we mnie, aż skurczyłam się w sobie.

Cali zrobiła krok w moją stronę, odchodząc od nagrobka swojego byłego partnera i ojca swojego dziecka. Widziałam w jej postawie waleczność, taką gotowość do agresywnego starcia. Nos miała zaczerwieniony albo od płaczu, albo chłodu – a może od tego i od tego. Musiała płakać, bo makijaż lekko jej się rozmył.

Patrzyła na mnie jak na największego wroga, a mnie widok jej i małej Lei na cmentarzu przygniótł serce tak, że gotowa byłam przyjąć od niej największe wyrzuty, najgorsze słowa i wyzwiska, na jakie potrafiłaby tylko wpaść. Chciałam, żeby mnie uderzyła. Nadstawiłam jej nawet policzek.

Cali jednak nie zamierzała mnie bić. Może by chciała to zrobić, ale obecność Willa ją pohamowała, bo on nigdy nie pozwoliłby, żeby ktoś przy nim podniósł na mnie rękę. Jednakże doznałam dziwnego wrażenia, że chęć zmieszania mnie z błotem opuściła ją, gdy zobaczyła moją uległość.

Kopanie leżącego chyba nie sprawiało jej przyjemności, więc poza nieprzyjemną, bardzo wymowną chwilą, w której wbiła we mnie nienawistne spojrzenie, nie doszło między nami do innej interakcji.

Cali wyciągnęła rękę, do której mała Lea natychmiast się przytuliła. Wyminęły mnie i Willa, a ja kątem oka widziałam, jak dziewczynka wpatruje się we mnie zdezorientowana. Musiała mnie rozpoznać i pewnie zastanawiała się, jak to możliwe, że za pierwszym razem, gdy jeszcze miała ojca, byłam dla niej taka miła i wesoła, a teraz zmieniłam się w ponurą

dziewczynę, która nawet nie potrafi odwzajemnić jej spojrzenia, a co dopiero posłać uśmiech.

Cóż, straciła przeze mnie ojca. Do końca życia nie pozbędę się tego ciężaru.

Emocje, jakie malowały się na mojej twarzy, zmotywowały Willa do zamknięcia mnie w ciasnym uścisku. Schowałam twarz w jego płaszczu i wybuchnęłam płaczem.

Zrujnowałam tej dziewczynce życie.

Tym razem cały czas spędzony nad grobem Sonny'ego poświęciłam na recytowanie w głowie przeprosin.

Wiem, że łamałam Willowi serce. Przez to czułam się jeszcze gorzej. Tkwiłam w błędnym kole i nie potrafiłam się z niego wydostać.

Jedyną rzeczą, która mogłaby obudzić we mnie promyk nadziei na przyszłe szczęście, były wieści na temat ciąży Anji, których z niecierpliwością wyczekiwałam. Za każdym razem, gdy widziałam Vincenta, wpatrywałam się w niego z przejęciem, czekając na jakąkolwiek informację. On jednak przez większość czasu unikał mojego spojrzenia. Sam też przeżywał tę niewiadomą. Być może Vince był zimny jak lód, ale znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie jest obojętny na tę sytuację.

Następnego dnia rano, gdy kończyłam śniadanie, a on wszedł do kuchni, uniosłam na niego wzrok z nadzieją, że wreszcie przekaze mi wiadomość, której tak bardzo wyczekiwałam. Choć Monetowie nie są religijni, to w myślach modliłam się, żeby Anja zdecydowała się donosić ciążę.

Tylko tego chciałam. Tylko na to czekałam.

Na ile mogłam stwierdzić, Vincent też na to czekał.

Dziś, niestety, jak zwykle pokręcił głową, nie mówiąc ani słowa. Oznaczało to, że nie ma żadnych nowych wiadomości.

Spuściłam wzrok na miskę płatków stojącą przede mną i powróciłam do bezmyślnego mieszania w niej łyżką.

Rehabilitację i masaże przesunęłam dziś na bardzo wczesny ranek, tak żeby odbyły się przed terapią i żebym mogła pojechać do szkoły jeszcze przed południem. Zależało mi, żeby odbyć sesję tuż przed moim

pojawieniem się w akademii, bo miałam w planach kilka rozmów, do których przeprowadzenia chciałam mieć spokojną głowę.

Gdy siedziałam w czarnym, smukłym i ociekającym luksusem samochodzie Vincenta, uświadomiłam sobie, że to pierwszy raz w mojej karierze uczennicy, gdy najstarszy brat wiozł mnie do szkoły. Pierwszy i zarazem ostatni.

Brakowało tylko podążającego za nami wiernie SUV-a Sonny'ego.

Nie założyłam mundurka, ale ubrałam się bardzo elegancko. Na białą koszulę zarzuciłam luźny i krótki, bardzo przyjemny w dotyku sweterek w kolorze kremowym, a do tego dobrałam zwykłą, obcisłą czarną spódniczkę do połowy uda. Kupiłam ją całkiem niedawno razem z wieloma innymi ciuchami. Był to jeden z moich nowych sposobów na zabijanie czasu i smutku: kupowanie rzeczy. Niezbyt to ekologiczne i ekonomiczne, ale odnajdywałam w tym wielką przyjemność.

Wspomniana spódniczka to pewien przełom w mojej garderobie. Nie zwykłam nosić takich ubrań. Pamiętałam, że moi bracia wciąż są uczuleni na wszystko, co w mojej szafie jest krótkie i obcisłe. Spotykałam się jednak z coraz mniejszą kontrolą zakupów z ich strony i zdecydowanie z tego korzystałam.

Do spódniczki założyłam cienkie czarne rajstopy i bardzo wysokie, bo sięgające aż za kolano kozaki, przylegające do moich nóg jak druga skóra. Zanotowałam w głowie moment, w którym Vincent rzucił mi długie spojrzenie, chyba debatując w myślach nad tym, czy pogonić mnie z powrotem na górę i kazać się przebrać już w tej chwili.

Milczał jednak. Zwłaszcza gdy zarzuciłam na ramiona długi płaszcz i obwiązałam się szalikiem. Pomyślałam, że odpuścił, bo w świetle tylu ważnych rzeczy, które w tej chwili się działy i angażowały naszą uwagę, moje ubrania wydawały się serio najmniejszym problemem.

Vincent miał na sobie jeden ze swoich drogich garniturów, długi czarny płaszcz, a jeśli według kogoś sama garderoba nie oddawała jego elegancji, to zawsze można było przenieść wzrok na jego błyszczący dyskretnie zegarek lub sygnet.

Moim celem nie było bezsensowne odpicowanie się, żeby zrobić pokazówkę w szkole. To, że razem z Vincentem wyglądaliśmy jak gwiazdy

filmowe, zdawało mi się naturalne jak pory roku, działanie układu oddechowego czy nie wiem, proces fotosyntezy.

Pod budynek akademii dotarliśmy jeszcze przed przerwą na lunch. Zatrzymaliśmy się na miejscu parkingowym Monetów i nawet się nie zdziwiliśmy, że było wolne.

Uświadomiłam sobie, że tego właśnie oczekiwałam, tak miało być. Ono miało tu na mnie czekać, bo nikt nigdy nie wiedział, którego dnia Hailie Monet pojawi się w szkole.

Na chłodnym dworze odetchnęłam i wystawiłam swoją pobladłą twarz do słońca. Vince zamknął samochód, kluczyki zagrzechotały w jego dłoni. Stanął przed schodami prowadzącymi do szkoły, by puścić mnie na nich przodem.

Szliśmy pustym korytarzem, powitawszy panią z portierni, która na nasz widok zamrugła i prawie oblała się herbatą, której kubek unosiła właśnie do ust. Minęliśmy ją, udając, że tego nie zauważyliśmy. Trzymałam brodę w górze i wiedziałam, że kroczący obok mnie Vince robi tak samo.

Dyrektorka czekała już na nas pod sekretariatem. Była to dojrzała pani uczesana w staranny kok i ubrana w schludny kostium. Już na sam nasz widok jej pociągnięte ciemną szminką usta zaczęły drżeć w nerwowym uśmiechu. Wyciągnęła rękę do mojego brata, a potem do mnie.

Może to ze względu na podjętą przeze mnie decyzję o opuszczeniu szkoły ja już teraz nie czułam się, jakbym do niej należała, ale niemniej jednak ciekawe to było, że patrząc wtedy na dyrektorkę akademii, nie myślałam o niej jako o autorytecie. Potraktowałam ją jak równą sobie, jak kogoś, z kim łączy mnie współpraca, a ona bez zająknięcia pozwoliła mi się tak odbierać.

Nie próbowała mnie onieśmielić, przywołać do pionu, nie traktowała protekcjonalnie. Przyjęła fakt, że nie ma już do czynienia ze swoją podopieczną, a członkinią szanowanej rodziny, która co miesiąc przekazuje prowadzonej przez nią placówce mnóstwo pieniędzy.

– Bardzo ubolewam, że nasza szkoła traci taki talent – powiedziała, gdy tylko drzwi do jej gabinetu się za nami zamknęły. – Proszę, chcę, żeby państwo wiedzieli, że panna Monet zawsze będzie mile widziana w progach naszej akademii.

Skinęłam głową, przyjmując jej uprzejmość.

Vincent podał jej skórzaną teczkę, a ona, odbierając ją, nie omieszkała zerknąć na jego sygnet.

Wszyscy zawsze na niego patrzyli. I wszyscy myśleli, że ich spojrzenie jest dyskretne.

Nie było.

Dyrektorka pochyliła się nad dokumentacją. Czy ona wiedziała, że mój brat należy do Organizacji? A jeśli nawet, to czy wiedziała, czym ta Organizacja jest? Czy może tylko tak jak ja do niedawna wiedziała, że rodzina Monet jest w posiadaniu ogromnej władzy i tyle wiedzy jej wystarczyło, by okazywać Vincentowi nieskończony szacunek?

Kobieta odetchnęła kilka razy, gdy jej wzrok przebiegał po zapisanych stronach. Sprawdzała, czy wszystko się zgadza we wniosku, i jak się zdawało, z zawodem wreszcie pokiwała głową.

– Nasza rodzina wiele zawdzięcza akademii – odezwał się Vincent. – Z tego względu do odwołania będzie kontynuowała wsparcie, jakim obejmuje państwa placówkę.

Wszyscy wiedzieliśmy, o jakim wsparciu mówił Vincent. Kąciki ust dyrektorki zadrżały nieznacznie.

– Panie Monet, pana decyzja dużo znaczy zarówno dla szkoły, jak i dla naszych uczniów – powiedziała, przyłożywszy sobie dłoń do piersi. Następnie spojrzała na mnie. – Hailie, naprawdę będzie nam ciebie brakowało. Życzę ci powodzenia. Jesteś niesamowicie uzdolnioną młodą kobietą i wierzę, że czekają na ciebie wielkie rzeczy.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, ale serce zabiło mi mocniej na jej słowa. Przeżywałam to wszystko, jakby właśnie kończyła się dla mnie jakaś bardzo ważna era, i nie tego się spodziewałam. Miałam nadzieję, że wypisanie się ze szkoły nie odbije się na mnie emocjonalnie – za dużo innych spraw już zostawiło swoje piętno na mojej psychice, nie potrzebowałam kolejnych intensywnych przeżyć.

Tymczasem wychodząc z gabinetu dyrektorki, nie poczułam tej wolności i powiewu świeżości, o jakich marzyłam. Zamiast tego przywitały mnie dziesiątki ciekawskich par oczu – trafiliśmy na przerwę.

Szkolne korytarze, teraz, gdy były zatłoczone, budziły we mnie rozrzewnienie. Ja już miałam nigdy więcej nie przeciskać się tędy w pośpiechu, żeby zdążyć na lekcję lub znaleźć Monę albo Leo. Nigdy więcej miałam nie krzywić się na toaletę pozostawioną przez kogoś w nieestetycznym stanie ani nie zasiadać na szerokim parapecie z książką w ręku.

Ludzie wypalali spojrzeniami dziury we mnie i w Vincencie. A przynajmniej próbowali, ale my oboje dziś zrobieni byliśmy z materiału ognioodpornego, bo szliśmy ramię w ramię, nie odwzajemniając żadnego z nich.

Pod stołówką spotkałam się z Leo i Moną. Była tutaj też Lavinia i reszta z tej niewielkiej grupki osób, z którą jadałam ostatnimi czasy lunch. Wszyscy patrzyli na mnie ostrożnie i z dystansem, od razu zauważając zmianę, jaka we mnie zaszła. Nie chodziło jedynie o sposób bycia, o zachowanie ani o obecność Vincenta u mojego boku. Już pierwszą rzeczą, która rysowała między nami grubą granicę, był mój ubiór.

Podeszłam do Mony, która uśmiechnęła się do mnie nieśmiało.

– Nieźle wyglądasz – powiedziała.

– Dzięki – odparłam, a kąciaki moich ust też uniosły się lekko w górę. Szybko jednak spowaźniałam. – Już tu nie wrócę.

Mona zerknęła ponad moim ramieniem na Vincenta, który czekał kawalek dalej. Prawdopodobnie akurat napotkała jego spojrzenie, bo szybko odwróciła od niego swoje, jakby się spieszyła.

– To była moja decyzja – dodałam. – I tak więcej opuszczałam szkołę, niż do niej chodziłam.

– Fakt, ale lubiałam mieć tę świadomość, że zawsze możesz się pojawić.
– Mona spuściła wzrok. – Będę za tobą tęsknić.

– Nadal będziemy się widywać. Poza szkołą.

Pokiwała głową, a ja wiedziałam dokładnie, o czym myśli. To już nie będzie to samo.

– Kto mnie teraz będzie motywował do nauki? – zapytała i zaśmiała się, żeby zamaskować fakt, że zaszklily jej się oczy.

– Będę do ciebie pisać i cię sprawdzać – obiecałam.

– Co, jeśli zablokuję twój numer?

– Lepiej tego nie rób – ostrzegłam ją złowrogim tonem. – Jeśli będę się musiała do ciebie pofatygować, to będziesz miała u mnie przerąbane.

Znowu ją rozbawiłam i widząc te jej błyszczące z emocji oczy, rozwarłam ramiona i przytuliłam ją do siebie. Była naprawdę w porządku. To moja wina, że moje życie jest na tyle porąbane, że nie mogliśmy przyjaźnić się w normalny dla licealistów sposób. Średnio raz na kilka miesięcy miałam problem tego rodzaju, że ktoś chciał targnąć się na moje życie – przyjaciółki w naszym wieku powinny paplać co najwyżej o zawodach miłosnych.

Takowych oczywiście w moim życiu też nie brakowało. Gdy wypuściłam Monę z objęć, nadszedł czas, by skierować się ku Leo.

Znoszenie jego spojrzenia było dla mnie jeszcze trudniejsze. Jego miodowe oczy zaszyły ponurą mgłą, jakby już wiedział, co się święci.

Poprosiłam go, by odszedł ze mną na bok – z szacunku dla naszej prywatności wolałam załatwić to z dala od uszu pozostałych. Ruszył za mną, wyglądając trochę, jakby był w transie. Ja zresztą też byłam. Wiedziałam jednak, że muszę być silna. Uniosłam głowę i spojrzałam mu pewnie w twarz, chcąc pokazać mu, że ja wcale nie bawię się jego uczuciami. Chciałam pokazać, że to, co mu teraz powiem, nie jest decyzją podjętą w pośpiechu i pod wpływem emocji. Zależało mi, by wiedział, że jest dla mnie zbyt ważny, żeby traktować go w ten sposób.

– Leo – zaczęłam z ciężkim sercem, ale przez chwilę nie potrafiłam powiedzieć nic więcej.

– Dobrze wiedzieć, że już jest ci lepiej – odezwał się cicho i możliwe, że lekko zadrżał mu głos.

– Jest dużo lepiej – potwierdziłam, rzucając mu krótki uśmiech, ale szybko przestałam się cieszyć, bo informacja, którą miałam mu do przekazania, nie była radosna. – Leo, muszę ci coś powiedzieć, muszę coś zrobić.

– Chcesz ze mną zerwać, prawda?

Walczyłam ze sobą, żeby nie spuścić oczu. Nie zasługiwał na to.

– Tak.

Odetchnął i sam zwiesił głowę.

– Trochę się tego spodziewałem... Ja... My... Ostatnio było dziwnie.

– Było – potwierdziłam. – To moja wina, Leo. Jest kilka spraw, z którymi muszę sobie poradzić. Potrzebuję je uporządkować, żeby móc normalnie funkcjonować. Jeśli tego nie zrobię, to nigdy nie będę w stanie stworzyć zdrowego związku. A dopóki tego nie zrobię, w żadnym nie powinnam być.

Zdawałam sobie sprawę, że to brzmi, jakbym cytowała swoją terapeutkę, ale wyjątkowo dokładnie przerobiłam sobie w głowie ten temat, dlatego mówiłam płynnie, bez zacinania się i jkania, mimo iż dekoncentrowały mnie piękne oczy Leo.

– Ja... – zaczął, ale musiał odchrząknąć. – Zawsze myślałem sobie, że to, iż moją dziewczyną jest Hailie Monet, jest za piękne, żeby było możliwe.

Przechyliłam głowę.

– Leo, nie mów tak...

– Mam nadzieję, Hailie, że cokolwiek musisz sobie uporządkować, to szybko ci się to uda. Zaslugujesz na to, żeby, jak powiedziałaś, normalnie funkcjonować.

– Może kiedyś... gdy to się stanie... będziemy bardziej... ja będę bardziej, nie wiem, gotowa...

– Zobaczymy, w końcu życie zaskakuje, nie? – Leo puścił do mnie oko, ale widziałam, że sili się na uśmiech i wesołość. Widziałam bardzo dobrze, jak go właśnie skrzywdziłam.

Pilnowałam, żeby na mojej twarzy z kolei nie zadrżał żaden mięsień. Jeśli pozwoliłabym sobie na emocje, to w jednej chwili zamieniłabym się w zapłakaną, roztrzęsioną ciapę, którą inni musieliby zeskrobywać ze szkolnej wykładziny.

– Jeszcze jedno, Leo. – Wzięłam wdech. – To ja naskarżyłam opiece społecznej na sytuację Winter.

Kazałam sobie wytrzymać jego spojrzenie, jakkolwiek zawiedzione lub zgorszone ono by nie było. Ale niewiele się zmieniło – wciąż zdawało się tak samo posępne.

– Domyślałem się tego – przyznał w końcu. – Nikt tego nie powiedział na głos, ale rozumiało się to samo przez się, gdy sprawą akurat zajęła się fundacja Monetów.

– No tak. – Zagryzłam wargę. – Zrobiłam to na przyjęciu zaręczynowym Vincenta, tuż przed... tamtym zamieszanym. Dopiero niedawno sobie o tym przypomniałam. Obiecuję spróbować to odkręcić. Pomogę Winter, tym razem tak, jak tego chce.

Leo wpatrywał się we mnie i dopiero po chwili powiedział:

– Jesteś dobra, Hailie.

Nie rozplacz się, nie rozplacz, mówiłam do siebie. Zgrywałam twardzielkę, bo nie chciałam, żeby akademia zapamiętała mnie zrozpaczoną. Chciałam pozostawić po sobie lepsze wspomnienie. Silnej dziewczyny, Hailie Monet, która podjęła własną decyzję o wypisaniu się ze szkoły.

Nie małej Hailie, znanej jedynie jako siostra braci Monet, zahukanej, przerażonej i wiecznie zaryczanej.

– Dziękuję – szepnął Leo i zbliżył się do mnie powoli, a ja, praktykując ćwiczenia z terapii, dyskretnie wzięłam głęboki wdech, przymknęłam powieki i pozwoliłam mu na uścisk.

Czułam pod opuszkami palców jego mundurkową marynarkę, a pod nią mięśnie. Przypomniały mi się nasze zbliżenia – piękne i trochę też żenujące, jeśli wspomnieć nasz pierwszy raz. To było niezwykle, że dzieliliśmy tak intymne chwile i były one zapisane na kartach naszej wspólnej książki, do której nikt inny nie miał dostępu. Moja relacja z Leo to część mnie i mojej osoby, tyle mu zawdzięczałam. Pamiętałam, jak wielkie szczęście dawały mi te nasze wspólne momenty.

A potem poczułam jego dłoń na ramieniu i przed oczami błysnęła mi migawka z komnaty w willi tamtej kobiety, Clarissy. Jej wymalowane usta, do których przykładła filiżankę z herbatą, i oczy, którymi obserwowała, jak wielki mężczyzna rozprawia się z moją suknią. Ta jego obleśna łapa, która trzymała mnie, ciążyła mi wtedy podobnie jak teraz dłoń Leo...

Chciałam się wzdrygnąć, ale powstrzymałam to.

Na terapii uczyłam się, żeby rozładować to wspomnienie z emocji, tak by w takich sytuacjach reagować na nie obojętnie.

Robiłam postępy, ale jeszcze nie opanowałam tej umiejętności wystarczająco, dlatego puściłam Leo i odsunęłam się od niego czym prędzej, starając się zamaskować swoją gwałtowność dziarskością.

Vincent uważnie mi się przyglądał, czułam to, dlatego nie odwzajemniałam jego spojrzenia, nawet gdy się do niego wycofywałam. Stał obok, prosto i dumnie, ignorując stado dzieciaków wkoło na korytarzu, które zerkwały na niego z mieszaniną strachu, podziwu i fascynacji.

Rzucając ostatnie pożegnanie grupce znajomych, doskonale odczuwałam swoją inność. Wiedziałam, że nie zjem już więcej lunchu na stołówce, na której oni zaraz znikną. Nie schowam książek do szafki, których rzędy mijałam na korytarzu, a dzwonki nie będą więcej dla mnie zwiastunem lekcji i przerw.

Świadomość tych zmian bardzo mnie oszałamiała. Nie byłam jeszcze pewna, jak sobie z nią radzić, więc po prostu trzymałam wysoko głowę, skupiałam się na stawianiu pewnych kroków i zachowaniu niewzruszonej twarzy. Siłę do tego dawał mi Vincent, który przecież należał do mistrzów opanowania, i bijąca od niego aura chłodnego autorytetu zalewała i mnie.

Pragnęłam jak najszybciej opuścić mury tej szkoły, ale nie spieszyłam się, a szłam powoli, starając się podrobić grację Monetów, którą przecież miałam we krwi.

Na dworze zadrżałam z zimna. Poruszałam się niespiesznie, by nie poślizgnąć się na schodach, choć gdyby tak się stało, to i tak przecież tuż obok mnie szedł Vince – na pewno by mnie złapał. Położył mi nawet dłoń na plecach, gdy zbliżyliśmy się do auta, i otworzył dla mnie drzwi od strony pasażera.

– Wszystko w porządku? – zapytał cicho.

– Gapią się na nas, prawda? – odszepnęłam.

– Oczywiście, że tak.

Nie dałam im tej satysfakcji i nie pozwoliłam spojrzeniu przesunąć się na okna, które wychodziły na parking. Wiedziałam, że sterczy w nich pół szkoły. Pozwoliłam za to Vincentowi ucałować się w czubek głowy, jeszcze

zanim wsiadłam do samochodu, wiedząc, że robi to przede wszystkim dla mnie, by okazać mi czułość i wsparcie, a przy okazji pokazuje innym, że zawsze jest gotów mi je dać, bez względu na wszystko.

Nie obejrzałam się nawet za siebie, kiedy wyjechaliśmy z terenu akademii. Nie uroniłam ani jednej łzy, gdy myślałam o pożegnaniu ze szkołą, którą tak bardzo lubiłam.

Pozostawiony tam przeze mnie mur opłotły teraz kolczaste druty pod wysokim napięciem.

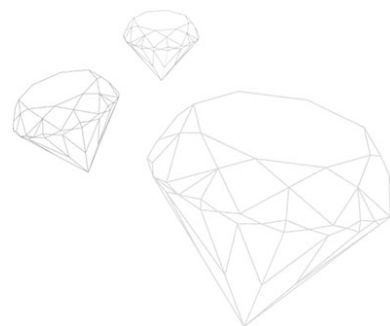
Nie będę już miała najlepszej średniej.

Zostawiłam w szkole Monę i garść znajomych. Z tymi drugimi moja więź była na tyle wątła, że prawdopodobnie już zdążyła się rozluźnić, jeszcze zanim dojechałam do domu. Moja przyjaźń z Moną natomiast miała poważnie osłabnąć. Stracimy bowiem ogromny wspólny temat, czyli rozmowy o szkole i wszystkim ze szkołą związanym, czyli tak istotną kwestią w życiu siedemnastolatek.

Zostawiłam też Leo. Nie będę miała chłopaka. Nie dostanę od niego wiadomości, na której widok usta same ułożą mi się w uśmiech. Nie zobaczę rano na ekranie telefonu żadnego „dzień dobry”, a wieczorem „dobrej nocy”. Nie wyśle mi buziaka ani serduszka. Nie wsiądę w swoje porsche i nie pojadę do cukierni Hardych.

Nie zbliżymy się więcej do siebie.

Będę samotna. Otoczona pięcioma wspaniałymi braćmi, ale samotna.



86

VINCE

Jechaliśmy w ciszy. Nie płakałam. Starłam się być silna. Vincent też przecież nie płakał, mimo że był w o wiele trudniejszej sytuacji niż ja. Miał telefon blisko siebie, ale ten wciąż milczał. A mimo wszystko Vincent trzymał swoje uczucia na wodzy i tylko wpatrywał się w drogę w skupieniu.

Ja też trzymałam głowę prosto. Byłam silna. Tak jak on.

W momencie, gdy wysiadaliśmy z auta już w garażu rezydencji, komórka Vince’a zadzwoniła, ale był to telefon służbowy, na który Vincent odpowiadał, przeczesując sobie włosy palcami i zaciskając mocno szczękę.

Tego było za wiele, to wszystko za bardzo mnie przytłaczało. Zostawiłam go w garażu i przeszłam do części mieszkalnej domu, a tam zaszłam komuś drogę.

Uniosłam wzrok. To Dylan zatrzymywał się właśnie gwałtownie naprzeciwko mnie. Od razu sobie pomyślałam – nie, tylko nie on! Dlaczego to on akurat musi być świadkiem momentu, w którym spod powiek trysnęły mi łzy?

Tak bardzo nie chciałam płakać przy nim, kolejnym z braci, który nie zasługiwał na dodatkowy ból. Na Lorda, przecież on już się tyle nacierpiął.

Dylan nie miał na sobie koszulki, a tylko szare spodenki. W rękę trzymał ręcznik. Ciemne oczy spoglądały intensywnie po ciężkim treningu, w żyłach wciąż pulsowała rozgrzana krew. Od tygodni siedział na siłowni jeszcze więcej niż dotychczas. Wiedziałam, że to jego sposób na radzenie sobie z trudnymi przeżyciami. To był jego osobisty narkotyk, coś, co uśmierzało jego nieskończony ból.

I właśnie gdy zażył swoją codzienną dawkę, gotów na zaznanie ulgi, na drodze stanęłam mu ja – źródło jego najgorszych tortur.

– Hailie?

Już za późno, zobaczył mnie taką, więc nie mogłam teraz od niego uciec. Będzie się martwił i przejmował. Wargi mi drżały, gdy przemówiłam:

– W-wypisałam się ze szkoły.

Nie wycofał się, nie zawahał. Od razu mnie przytulił, nawet tutaj, w naszym bezpiecznym domu chętny do tego, by postawić mój komfort ponad swoim. Dał mi bliskość, której potrzebowałam, upuszczając nawet ręcznik na ziemię.

A ja, samolubnie, sama też oplotałam go ramionami.

Płakałam w jego pachnącą świeżo po prysznicu skórę.

– Dlaczego? Hej, dlaczego, Hailie, dziewczynko? – pytał i głaskał mnie po plecach.

Kręciłam głową, umordowana faktem, że nie potrafię mu odpowiedzieć.

– Nie mogłam...

– Czego nie mogłaś?

Drżałam.

– Dylan, to nie dla mnie – załkałam.

Objął mnie mocniej.

– Co nie jest dla ciebie?

– To życie. Czuję, że to nie moje życie. – Odetchnęłam i pociągnęłam nosem, przecierając oczy rękawem płaszcza. – Szkoła, siedzenie na lunchu z przyjaciółką, plotkowanie na stołówce, chłopak. Wszystko jest nie tak.

– To nieprawda – zaproponował i odsunął się, żeby spojrzeć mi w twarz. – Wiesz, że to nieprawda. Ej no, kto na to wszystko zasługuje, jak nie ty?

– Rzecz nie w tym, na co zasługuje. Na siłę próbowałam się oszukiwać, kłóciłam się z Vincentem o szkołę, z wami o Leo. A wszystko zawsze kończy się tak samo.

– Teraz byłoby inaczej – mówił, zdejmując mi czapkę, a potem zaczął pomagać mi odwinąć szalik z szyi, twarde, zdecydowane spojrzenie wbijając w swoje dłonie. – Teraz już mogłabyś chodzić do szkoły normalnie. A ten Leo, no, może jakby przyszedł znowu... W sensie, mógłbym, nie wiem, ogarnąć się trochę, albo...

Pokręciłam głową.

– Wypisałam się ze szkoły – powtórzyłam oschle. – I zerwałam z Leo.

Dylan zerknął na mnie przelotnie, a potem zajął się guzikami mojego płaszcza. Nie przeszkadzało mi, że stoję przed nim, obsługiwana przez niego niczym czterolatka po powrocie z sanek. Było w tej naszej małej, wspólnej scenie coś uroczym smutnego.

– Ty z nim zerwałaś? Nie on z tobą? – upewnił się.

To zabawne, jak gołym okiem widziałam jego napinające się pod skórą mięśnie.

– Tak, ja – potwierdziłam. – Spokojnie, nie musisz go bić.

– Szkoda.

Trzepnęłam go z płaskiem w napakowane ramię, a on w odwecie na chwilę oderwał palce jednej dłoni od guzika, żeby uszczypnąć mnie w brodę, którą prędko od niego odsunęłam, fuknąwszy z frustracją.

– Wydaje mi się, że tak będzie lepiej – mruknęłam, masując piekący podbródek. Ściągnęłam też płaszcz, a Dylan odsunął się, by go odwiesić.

Usiadłam na schodach i pochyliłam się, by zdjąć buty, a z nosa zaczął mi ciec katar i znowu nim pociągnęłam.

– Jasne, że tak będzie lepiej.

– Ale... przykro mi.

Dylan wrócił do mnie, usiadł na stopniu obok i znowu mnie objął.

– Wiem, dziewczynko, ale nie rycz. Nie warto.

– Nie mów tak, on był dla mnie dobry.

– I tak nie rycz. Ej. – Znowu złapał za mój podbródek, ale tym razem delikatniej, jedynie by spojrzeć w moje oczy. – Nieważne, jak, kurwa, dobry jakiś typ dla ciebie będzie, nigdy nie jest wart twoich łez. Słyszysz, co mówię?

– Ale to mnie boli, Dylan – zapłakałam.

– Boli to dźgnięcie nożem, rozumiesz? Zerwanie to są co najwyżej łaskotki. Kumas? Jebane łaskotki – powiedział i najpierw musnął mój bok, potem brzuch, a potem zaczął mnie faktycznie łaskotać tak, że drgnęłam, pisnęłam i skończyło się na tym, że zaczęłam śmiać się przez łzy.

Nawet mimo iż na śmiech najmniejszej ochoty nie miałam.

– Dylan! – zawołałam, zwijając się wpół. – Przestań!

W końcu wyswobodziłam się z jego atakujących mnie dłoni, zerwałam się na równe nogi i odskoczyłam na bok, a gdy zobaczyłam, że nie zamierza odpuścić, wpadłam do salonu. Dylan podążył za mną, znowu mnie dopadł i oboje wylądowaliśmy na kanapie. Ciekawe, zajęty łaskotaniem nawet nie przywalił się do mojej krótszej niż zwykle spódniczki.

– Zostaw już! – krzyczałam, chichocąc wbrew własnej woli. Nawet kopnęłam go w brzuch, ale nie zrobiło mu to krzywdy. – Skąd ty w ogóle wiesz, jak boli dźgnięcie nożem, co? To mnie dźgnięto nożem.

Dylan znieruchomiał.

– No chyba ogarnąłem, że nie było to przyjemne, gdy się wykrwawiałaś na moich oczach, co?

– No właśnie. – Pokiwałam głową, ścierając łzy z policzków i siadając wygodniej. – Na twoich oczach. Nie wmówisz mi, że cierpiałam bardziej niż ty.

– Ty się dobrze czujesz? – Dylan odsunął się ode mnie, unosząc brwi tak wysoko, że prawie zetknęły się z linią włosów, i rozłożył ręce, mówiąc: – Widzisz, co mi się stało? Widzisz? Powiem ci, że dokładnie nic mi się nie stało. Co najwyżej mam teraz w chuj nadwrażliwe jedyńki.

– Z zębami nie ma żartów.

– Weź ty lepiej zamilcz. – Dylan, krzywiąc się, kręcił głową.

– Słuchaj, prawda jest taka, że ja tam tylko leżałam! – Wyrzuciłam ręce w górę. – Całą robotę odwaliłeś ty. Nie wmawiaj mi, że tak się wielce namęczyłam.

– Przestań mnie irytować, dziewczynko. Co ty tam przeżyłaś, to tylko ty wiesz. Jak wtedy przyszedł tam po ciebie ten... – Zawiesił głos.

– Ja wtedy nie miałam czasu myśleć! Ty za to miałeś go bardzo dużo.

– Ale to ty przeżywałaś traumę! W szpitalu przecież spinałaś się na sam dotyk, myślisz, że nikt tego nie widział?

– Też przeżywałeś traumę! I też się to na tobie odbiło i nie mów mi, że nie.

– No i... – Dylan odwrócił wzrok. – Nie pyskuj.

– Komuś skończyły się argumenty.

Dylan rzucił mi ostrzegawcze, pseudo-groźne spojrzenie, a potem westchnął i przetarł sobie powieki.

– Nie, bo gdyby ktoś mi powiedział kilka lat temu, że przyjdzie taka mała dziewczynka i tak namiesza, tobym go wyśmiał.

– Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że zamieszkać z pięcioma starszymi braćmi, których tak mocno pokocham, to też bym go wyśmiała.

Tym jednym, najważniejszym słowem ściągnęłam na siebie z powrotem jego wzrok.

– Co? – parsknęłam. – Też mnie przecież kochasz. Sam mówiłeś, pamiętam.

– Oddałbym za ciebie życie – powiedział szybko, po czym opuścił głowę, mamrocząc: – I to mnie przeraża.

Uniosłam kącik ust i przylgnęłam do jego umięśnionej ręki.

– Ja za ciebie też.

Wyszarpnął ramię tylko po to, żeby pogrozić mi palcem.

– O to chodzi! Ty się nawet nie waż tak mówić. Poważny jestem, rozumiesz? Wtedy, jak wyjęłaś sobie z brzucha jebany nóż, gotowa tam przy mnie skonać.... Nigdy nie waż się zrobić tego ponownie.

– Jak znowu ktoś mnie dźgnie nożem, będę o tym pamiętała.

– Nie wymądrzaj się, to poważna sprawa. Nie wiem, czy ty w ogóle ogarniasz, coś ty narobiła, dziewczynko...

Pokręcił głową, opuścił ją i przeczesał sobie włosy. Ukrywał przede mną twarz i aż zamrugałam.

– Dylan... – przemówiłam łagodnie, nachylając się nad nim, zaskoczona jego nagłą zmianą. – Dylan...

– Porwali cię, a ja nie mogłem cię nawet uratować i potem co, miałś tam umrzeć? To był twój plan? Po co w ogóle wracałeś po mnie do piwnicy, gdy się uwolniłeś? Po co wracałeś?!

Odsunęłam się od niego gwałtownie, bo spojrzał na mnie nagle zaczerwienionymi oczami, mieniącymi się nie tylko od łez, ale i pełnych wyrzutu.

Wbiłam mu pazury w nagie ramię.

– Miałam cię zostawić? Żebyś ty umarł? Tak by ci się podobało? A myślisz, że jak ja bym się z tym czuła? Ty masz wyobraźnię?!

– Ja bym sobie dał radę!

– A co, jeśli byś nie dał?

– Dałbym.

– A co jeś...

– Dałbym, do cholery! – ryknął. Klatka piersiowa unosiła mu się gwałtownie, a ja dopiero odkrywałam, jak wiele emocji w sobie dusił. – Nie może być tak, że ryzykujesz własne życie dla mnie... czy reszty chłopaków...

– Mam tylko was!

Dylan zamrugał i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale mu przerwałam, sama targana silnymi emocjami. Wezbrały się we mnie i szalały w środku jak tornado.

– Jesteście moją jedyną rodziną, jesteście najważniejsi i tak, będę ryzykować dla was życie, jeśli będzie taka potrzeba, bo wiem, że sami zrobilibyście to samo. Czy ci się to podoba, czy nie.

Patrzył na mnie i chyba udało mi się go zagiąć. Długo się nie odzywał, a ja też użyłam tego przeciągającego się momentu ciszy, by nad sobą

zapanować.

Wreszcie potarł znowu oczy i już się szykowałam na następną sesję krzyków, gdy po prostu sapnął:

– Wkurzająca jesteś.

– Żebyś tylko wiedział, jak bardzo sam jesteś wkurzający.

Siedzieliśmy przez kolejną chwilę w milczeniu, oboje przetwarzając w głowie ten niesamowity fakt, jak daleko nasza relacja zaszła. Kiedyś nie wyobrażałam sobie mieć tak silnej więzi z nikim. To też zupełnie inny rodzaj porozumienia od tego, jaki miałam z mamą, lub liczyłam, że może w przyszłości będę miała z własnym mężem czy partnerem.

Ten rodzaj porozumienia jednocześnie był piękny i zatrważający. Silny i niezniszczalny.

Ciszę zmącił dzwonek telefonu Dylana i podejrzałam, że to Martina, jeszcze zanim wyciszył komórkę.

– Dlaczego nie odbierasz? – zapytałam.

– Bo jestem zajęty.

– To odbierz i powiedz, że oddzwonisz.

– Oddzwonię później i wtedy powiem, że byłem zajęty.

– Dylan – westchnęłam. – Wszystko między wami okej?

– Ta – mruknął, a moment później dodał z niechęcią: – Będzie zaraz marudziła, że ją ignoruję.

– Może marudzi, że ją ignorujesz, bo właśnie ją ignorujesz?

– Nie. Ignoruję ją, bo marudzi, że ją ignoruję. Jak teraz ją zignoruję, to zobaczy, że wcześniej jej tak naprawdę nie ignorowałem.

– Powtórzę pytanie: wszystko między wami okej?

Odchylił głowę.

– Chce się spotykać. Chyba miała nadzieję, że, nie wiem, częściej będę jeździł do Nowego Jorku.

– No ale po to skorzystała z wymiany studenckiej, prawda? Żeby być razem z tobą na tym samym kontynencie, no i żebyście właśnie mogli się częściej spotykać.

– Tak, ale ostatnio dużo się działo, więc nie mam czasu ani głowy do tego, żeby co chwila gnać do miasta.

– A dlaczego ona nie chce przyjechać tutaj?

Dylan zerknął na mnie.

– Ona... Nie wiem. Chyba chce.

Uniosłam brwi.

– To dlaczego nie przyjeżdża?

– Bo jej nie zapraszam?

– Dylan?

– Co?

– A wtedy jak odwiedziła mnie w szpitalu? Gdzie spała?

– Ogarnąłem nam hotel. – Wzruszył ramionami, a ja wybałuszyłam oczy.

– Ty sobie żartujesz. Dlaczego nie zaprosiłeś jej tutaj?!

– Bo to nasz dom rodzinny?

– Dylan, jak ona ma się czuć, gdy nawet nie zabrałeś jej do swojego domu? Przedstawiłeś ją oficjalnie Vincentowi? Willowi?

– Nie wiem... Nie.

– Wy jesteście w związku i ona pewnie czuje, że nie traktujesz jej poważnie.

– Traktuję ją poważnie, nigdy żadnej laski nie traktowałem poważniej, nie wiem, czego ona więcej ode mnie oczekuje.

– Żebyś nie tylko gadał, że traktujesz ją na poważnie, ale też jej to pokazać może?

– No ale co ja mam jej pokazać? Przecież nie należy do rodziny.

Z przejętą twarzą zmieniłam pozycję, żeby lepiej go widzieć.

– Dylan, ale jesteś z nią, bo liczysz, że może kiedyś będzie do niej należała, prawda?

Przymknął powieki.

– Musi być cierpliwa.

– Musisz jej dać motywację do bycia cierpliwą. Żeby widziała, że warto czekać i że nie chcesz jedynie zabawić się jej uczuciami. Musisz to zrobić, Dylan, bo inaczej ona może odejść, a ja nie chcę, żeby tak się stało, bo widzę, że tobie na niej zależy.

– No już, dobra, coś ogarnę – mruknął i chwilę siedział w ciszy, naburmuszony, znosząc moje nachalne spojrzenie, aż podjął w głowie rozsądną decyzję i wyjął z kieszeni telefon. Chwilę wpatrywał się w ekran i pewnie gapiłby się tak jeszcze dłużej, gdyby Martina nie postanowiła zadzwonić raz jeszcze.

Przytknął słuchawkę do ucha, wstał i odszedł do przedpokoju, wywracając oczami na widok mojego uśmiechu i uniesionych w górę kciuków.

Oparłam się o kanapę i odetchnęłam.

Naprawdę kibicowałam Dylanowi i Martinie. Lubiłam ją, była dla mnie miła, zdawała się też mądra i wzorowo radziła sobie z trudnym charakterem mojego wrednego brata. Dawała mu wsparcie, dlatego nie chciałam, żeby rozpadał mu się związek. Mój się dziś rozpadł i to uczucie było fatalne. Nie życzyłam mu tego samego.

– Co to ma być – mruczał Shane, kręcąc głową, ale jego twarz rozjaśniła się, gdy zobaczył, że w salonie znajduje się ja. – O, siemka, dziewczynko.

– Co się dzieje?

Shane rzucił się na kanapę w to samo miejsce, które przed chwilą zajmował Dylan, i machnął w stronę korytarza.

– Jakies dramaty miłosne na linii. Dylan gada z jedną babą, Vincent z drugą...

– Ano tak, Dylan rozmawia z Martiną. – Pokiwałam głową. – A Vince z jakimś facetem, służbowo.

– Dylan się zgadza. Jeśli facet, z którym Vince robi interesy, nazywa się Anja, to też się zgadza.

– Co? – poderwałam się. – Powiedziałaś: Anja?

– Tak słyszałem, że się zwracał do słuchawki. – Shane wzruszył ramionami i zmarszczył brwi. – Co, myślisz, że to serio ktoś, z kim kręci?

Przełknęłam ślinę, powstrzymując się w duchu, żeby nie wybiec z pokoju w poszukiwaniu najstarszego brata.

– Jak przy mnie odbierał, to rozmawiał z mężczyzną. Słyszałam.

– Jeny, to może nie wiem, dostał drugi telefon?

– Co mówił dokładnie?

– Nie wiem, Hailie, to Vincent. Jak mnie zobaczył, to od razu machnął na mnie, żebym zniknął. Wiesz dobrze, jaki z niego przyjemniaczek. – Shane wywrócił oczami, po czym je zmrużył. – A co, wiesz coś?

– Co ona wie? – zapytał Tony, dołączając do nas w salonie. W rękę trzymał tabliczkę czekolady, jedną z tych większych, którą gryzł sobie jak batonika.

– Coś o nowej dziewczynie Vince’a.

– On ma nową dziewczynę? – mruknął Tony, rozwalając się na drugiej sofie, po czym dodał obojętnie: – Co z Grace?

– Kogo to obchodzi – wymamrotałam pod nosem, wykręcając szyję, jakbym mogła dostrzec Vincenta z pozycji, jaką zajmowałam.

– Nikogo, racja. – Shane pokiwał głową, zapatrzony przez chwilę z zazdrością na czekoladę swojego bliźniaka, ale zaraz ocknął się z transu i szturchnął mnie. – Gadaaj, co wiesz o tej Anji.

– Nic o niej nie wiem, zostaw mnie.

– Anja? Co to za imię? – parsknął Tony.

– Jakie imię? – spytał Will, który jako kolejny Monet znalazł się w salonie i też wybrał miejsce obok mnie, co skwitowałam uśmiechem, takim posłanym specjalnie jemu. On w rewanżu objął moje ramiona i przytulił mnie do swojej pachnącej proszkiem błękitnej koszuli, nie przejmując się, że zaraz się przez to wygniecie.

– No, Anja – odpowiedział mu Shane.

– I co jest z nim nie tak?

– Imię spoko, ale już z dziewczyną, która je nosi, faktycznie musi być coś nie tak, skoro romansuje z Vince’em – mruknął Shane, a Tony zarechotał, szeleszcząc papierkiem.

Will uniósł brwi.

– Skąd wiadomo, że Vince z kimś romansuje? – Jako że przytulałam się do jego klatki piersiowej, czułam, jak mu wibruje, gdy mówił.

– Hailie tak powiedziała.

– Nie powiedziałam! – zaprotestowałam od razu, otwierając oczy. – Shane tak powiedział.

– Ona coś wie.

– Nic nie wiem – broniłam się. – To nasz brat i jego życie miłosne, dajcie mu spokój.

– Właśnie, dobrze mówi – odezwał się Dylan, który wrócił do salonu, jeszcze z telefonem w ręku. – Dajcie mi spokój i zajmijcie się sobą.

Przykryłam oczy dłonią.

– Ale o co ci chodzi, nikt tu nie mówi o tobie... – Shane uniósł brwi.

– To niby o którym bracie i jego życiu miłosnym mowa, co? – warknął Dylan.

– Mówimy o Vincencie, debil.

– Och, naprawdę?

Wszyscy zamilkli, bo w salonie, jak na zawołanie i niczym dopełnienie obrazka Monetów pojawił się właśnie najstarszy z braci, a jego chłodny głos zmroził nas wszystkich.

– Nie – mruknął Tony, biorąc sporego kęsa czekolady, by nie musieć więcej nic mówić.

– Jednak rozmawiamy o Dylanie – rzucił Shane, uciekając wzrokiem w bok.

Will i Dylan parsknęli, a Vincent omiatał wszystkich swoim ulubionym, lodowatym spojrzeniem.

Wszystkich, tylko nie mnie. Mnie omijał, bo czułam, że wbijam w niego zniecierpliwiony wzrok, czekając na informacje.

Vince, cedziłam w głowie jego imię raz po raz, chcąc ściągnąć jego uwagę telepatycznie.

– No to jak tam z tą Marti, he? – Shane kiwnął głową na Dylana, tłumiąc śmiech.

– Nie interesuj się, frędzlu.

Skrzywiłam się i przysunęłam jeszcze bliżej Willa, bo Dylan i Shane zaczęli się przepychać tuż obok mnie. Mój ulubiony brat śmiał się z tych dwóch idiotów, a i Tony wykręcał głowę, żeby mieć dobry widok na bójkę. Gdy uwaga wszystkich skupiona była na szamoczących się braciach, pojawił się idealny moment, żebym wreszcie nawiązała kontakt wzrokowy z Vincentem.

Już miałam otworzyć usta i go zawołać, gdy nareszcie on, stojący wciąż w miejscu niczym posąg, popatrzył na mnie. Dopiero wtedy zobaczyłam, że na twarz założył szczelną maskę, która miała nie przepuszczać żadnych emocji. Kiedy jednak zobaczył, jak bardzo przejęta jestem ja, ona poluzowała się, bo drgnął mu jakiś mięsień.

Nie powiedział nic, ale przez chwilę zdawało mi się, że w jego bładoniebieskich tęczęwkach odbiła się jakaś taka łagodność, a może nawet ulga?

Ledwo zauważalnie skinął głową.

Wstrzymałam oddech.

Czy ja się przewidziałam?

O Boże.

Z moich ust uciekł samoistny okrzyk, jeszcze zanim zdążyłam stłumić go dłonią, która natychmiast powędrowała do mojej buzi. Tym niespodziewanym odgłosem przykułam uwagę braci, którzy przenosili na mnie wzrok akurat, gdy spod moich powiek trysnęła fontanna gorących łez.

Wszyscy znieruchomieli, Dylan i Shane przestali się tarmosić.

– Hailie! – Will natychmiast potarł moje ramię, przestraszony moim nagłym stanem.

– Co jest?

– Coś cię boli?

Łzy spływały mi obficie po policzkach i nawet zaczynałam się krztusić. Nie będąc więc w stanie wydusić słowa, kręciłam tylko głową.

– Coś się stało?

– Czemu ty płaczesz?

Wpatrywałam się w Vincenta, który zastygł w miejscu, jakby sam się pilnował, by zachować fason, aż w końcu ja, nie odrywając od niego wzroku, zdołałam wydusić:

– To ze szczęścia.

Kącik ust Vincenta drgnął. Przysięgam, że się nie przewidziałam i naprawdę drgnął.

Chłopcy patrzyli po sobie, myśląc zapewne, że oszalałam, ale wkrótce dostrzegli te spojrzenia pomiędzy mną a naszym najstarszym bratem.

– Co jest? – Shane zmarszczył brwi.

Kręciłam głową i ścierałam z policzków łzy, a gdy ponownie chciałam spotkać wzrokiem spojrzenie Vincenta, zdążyłam zobaczyć tylko jego plecy, gdy wychodził z salonu.

Nie zatrzymywałam go, nie rzuciłam się za nim biegiem. Chciałam mu dać tę chwilę spokoju. Może potrzebował побыć sam.

Przecież to nie tak, że potrzebował pocieszenia.

– Po prostu – powiedziałam na głos do reszty, przecierając policzki – wreszcie dzieje się coś dobrego.



W mojej łazience unosił się zapach słodkiej pomarańczy i cedru. Oddychałam głęboko, gdy stałam pod prysznicem pośród pary, zmywając ciepłą wodą chłodne wydarzenia dzisiejszego dnia. Przez dłuższą chwilę masowałam koniuszkami palców mokre, zaczesane do tyłu włosy, aż w końcu wyłączyłam wodę i owinęłam się w wielki, miękki ręcznik.

Zrobiłam sobie maseczkę na twarz, uznając, że skoro torturowałam swoją biedną skórę, najpierw napinając ją do granic możliwości, a potem zalewając raz po raz słonymi łzami, to teraz należy jej się trochę rozpusty.

Wysuszyłam włosy, a potem wskoczyłam w ulubione dresy, w których z racji pory roku lubiłam też sypiać. Zanim jednak skierowałam się, świeża i pachnąca, do łóżka, wyszłam na korytarz, cicho przymykając za sobą drzwi. Przemknęłam pustym korytarzem prosto do zakazanej dla mnie

części domu i z ostrożnym dystansem wyminęłam nienawidzącego mnie chyba ochroniarza Vincenta.

Zostałam wpuszczona do gabinetu brata bez najmniejszego problemu, a tam zastałam go przy bladym świetle lampki, siedzącego przy biurku, z laptopem przed sobą. Tuż obok sprzętu stała szklanka wody, na której widok w duchu bardzo się ucieszyłam.

Vincent patrzył na mnie bez zniecierpliwienia czy irytacji, nie był też zaskoczony. Zbliżałam się do niego powoli, uśmiechając się łagodnie. Wciąż nie potrafiłam wyszczerzyć się otwarcie i samoistnie od ucha do ucha, ale nareszcie poczułam ten ogień szczęścia w sercu, który to tego typu uśmiechy powodował. Co prawda, na razie dopiero się tam rozpałał, ale widziałam w nim nadzieję w przyszłości na wielkie ognisko, a może nawet i pożar.

– Czego potrzebujesz, Hailie? – zapytał mój brat, jak zwykle powściągliwy.

Położyłam dłonie na brzegu biurka i lekko się na nim uwiesiłam. Nie odwracałam wzroku od Vince’a. Uniósł podbródek i zmrużył lekko oczy, a mimo to dostrzegłam w nich pytajniki, jakby zastanawiał się, co, u licha, się ze mną dzieje, lecz wierny swojej naturze, nie strzepił języka, by zapytać ponownie.

– Będziesz miał dzidziusia – powiedziałam w końcu.

Odetchnął i spuścił wzrok na klawiaturę laptopa, a potem uniósł brwi.

– Wszystko na to wskazuje – potwierdził oschle.

– Czy już wiesz, czy dziewczynkę, czy chłopca?

Zamrugął.

– Nie.

– A wolałbyś synka czy córeczkę? – Uśmiechałam się coraz śmielej, widząc jego zakłopotanie.

– Na Lorda, Hailie, dziecko to dziecko, nie widzę tu żadnej różnicy. –

Vincent pokręcił głową i sięgnął po szklankę. Zdawało mi się, że w jego bladych tęczęwkach zamajaczył zawód, gdy przypomniał sobie, że zamiast whisky ma tam wodę, bo nie upił z niej łyka, tylko odstawił ją z powrotem na blat.

- A czy już wiesz, czy Anja zamieszka tutaj?
- Prawdopodobnie tak – mruknął.
- Jak cudownie...
- Powiedziałem, że prawdopodobnie.
- A powiedz, Vince, kiedy ją poznam?
- Niedługo. Zobaczymy.
- A kiedy reszta chłopaków się dowie?
- Również niedługo – westchnął i potarł powieki palcem wskazującym i kciukiem.
- Nie mogę się doczekać, aż się dowiedzą – wyznałam, wciąż opierając się o biurko. – Myślę, że oszaleją z radości.
- Vince spojrzał na mnie z niedowierzaniem.
- Hailie, nie jestem pewien, czy rozumiesz powagę sytuacji. Dużo się zmieni.
- Jeśli wyrzucisz mnie z domu, to polecę do Francji, do Mai – zapowiedziałam. – I tak planuję to wkrótce zrobić.
- Nie zapędzaj się z tymi planami wyjazdowymi, to po pierwsze – zaczął Vincent, taksując mnie uważnym wzrokiem. – Jeśli snujesz plany na najbliższą przyszłość, to wciąż masz obowiązek poinformowania mnie o nich i zdobycia mojej zgody.
- Wywróciłam oczami.
- Hailie, rozumiesz, co powiedziałem?
- Tak, Vince – odpowiedziałam, powstrzymując się, by nie wywrócić oczami raz jeszcze.
- Generalnie uważałam, że dziecko mojego najstarszego brata wygra swojego ojca jak na loterii, ale były też takie małe rzeczy jak właśnie te, których jego przyszłemu potomkowi lub potomkini nie zazdrościłam.
- A po drugie nikt cię nie wyrzuci z domu. Mówiłem ci to już. Nikt cię nigdy z niego nie wyrzuci. Zawsze będzie tu miejsce zarówno dla ciebie, jak i dla naszych braci.

Uśmiechnęłam się trochę szerzej i obeszłam biurko. Ostatnimi czasy dostawałam od Vince'a więcej czułości niż zazwyczaj i przysięgałam sobie korzystać z tej jego łagodnej strony, ile tylko mogłam.

– Będziesz wspaniałym ojcem, Vince – szepnęłam do niego, obejmując go ramionami.

Vincent położył dłoń na mojej oplatającej go ręce i nic nie mówił przez tak długą chwilę, że nie spodziewałam się żadnej reakcji na moje słowa, ale w końcu usłyszałam, jak odpowiada:

– Dziękuję, Hailie.

Wyprostowałam się, ale nie odchodziłam jeszcze od jego boku.

– Czy to ja pierwsza dowiedziałam się o całej tej sytuacji?

Skinął głową.

– Nawet szybciej niż Will? – upewniłam się.

– Tylko ty wiesz.

Uściskałam go znowu.

– Trudno mi pojąć, moje drogie dziecko, z czego ty się tak bardzo cieszysz – wyznał Vincent, a gdy ponownie się od niego oderwałam, zobaczyłam, że marszczy brwi, szczerze zdezorientowany.

Dotknęłam jego ramienia, schowanego pod drogim materiałem marynarki.

– Vince, mnie trudno pojąć, że jeszcze tego nie wiesz – odparłam. – Nie rozumiesz? Twoje szczęście to dowód na to, że każde z nas ma na nie szansę. Zerwałam dziś z chłopakiem, na którym mi zależało, wypisałam się ze szkoły, którą lubiłam, przede mną długie sesje rehabilitacyjne i terapeutyczne, jestem w żałobie po Sonnym... Przez chwilę myślałam, że to koniec, a nagle ty odnajdujesz miłość, masz zostać tatą, i to mi daje taką nadzieję, Vince! – W oczach po raz tysięczny dziś stały mi łzy. – Taką nadzieję, że da się, że wszystko jest możliwe i że to szczęście czeka gdzieś na każdego z nas!

– Hailie – przemówił, po chwili wpatrywania się we mnie. Lekko zachrypł mu głos, złapał też za moją dłoń. – Nie mam wątpliwości co do tego, że zaznasz szczęścia. Nie widzę tutaj innego rozwiązania. Ze

wszystkich ludzi na świecie, tobie, moje drogie dziecko, życzę go najmocniej.

– Ale przecież będziemy mieć dziecko w domu! – wyszeptałam z przejęciem. – Vince, ja już teraz jestem przeszczeniwa!

Vincent nie puszczał mojej dłoni, gdy wstawał. W jednej chwili zaczął nade mną górować, a ja patrzyłam śmiało na jego onieśmielającą postać. Nie odrywał ode mnie swoich chłodnych błękitnych oczu, gdy złapawszy mój podbródek, swój też uniósł wysoko i powiedział czysto, spokojnie i bez zająknięcia, prawie lodowato:

– Kocham cię, Hailie.

Nie spuściłam wzroku, nie odwróciłam go. Nie przymknęłam powiek ani nie zagryzłam wargi. Odwzajemniając jego spojrzenie, tak samo pewnie odparłam:

– Ja ciebie też, Vince.

W jego oczach mignęło zadowolenie. Może z powodu tego, że tak się w tym wyznaniu perfekcyjnie dopełniliśmy? Szczere, krótkie i konkretne, takie padło ono z obu stron.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ktokolwiek był w stanie odwzajemniać intensywne spojrzenie Vincenta tak długo, jak ja teraz.

Może Anja?

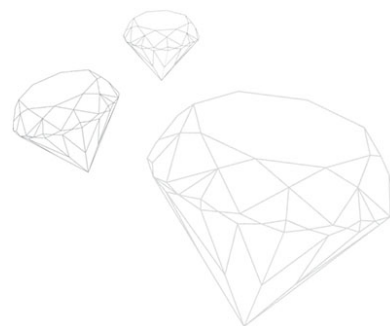
Miejmy nadzieję, że Anja. Ta kobieta musi być odważna, jeśli ma związać się z Vincentem Monetem i założyć z nim rodzinę.

Mój brat pokręcił w końcu głową, a jego palce zacisnęły się delikatnie na moim podbródku. Teraz sprawiał wrażenie, jakbym była rzeźbą, którą oglądał.

– Młodsza siostra – szepnął do siebie i pokręcił lekko głową jakby z rozbawieniem i niedowierzaniem.

Uśmiechnęłam się, powoli pokazując rząd zębów, aż wreszcie zdecydowałam się przerwać te jego sztywne analizy prawdziwą czułością.

I przytuliłam się do niego najmocniej, jak tylko potrafiłam.



18. URODZINY

Zaciskałam pięści w rękawicach bokserskich. Oddawałam cios za ciosem w szybkich seriach, tak jak mnie uczono. Pilnowałam oddechu i tego, by skupiać się na technice, a niekoniecznie na sile.

Ćwiczyłam od dawna i szło mi coraz lepiej, ale jeszcze nigdy żaden worek treningowy mi nie oddał, dlatego wyprostowałam się i odskoczyłam, gdy ten wychylił się w moją stronę pod nienaturalnym kątem.

– Nieźle, dziewczynko.

Wybałuszyłam oczy. Zza worka wyjrzał mój wredny brat, a jego usta rozciągały się w tak bardzo utęsknionym przeze mnie złośliwym uśmiechu.

– DYLAN!

Skoczyłam na niego, od razu zarzucając mu na szyję ręce, nie kłopotząc się wcześniej zdjęciem rękawic.

– Co ty tutaj robisz? – westchnęłam. Rozpłynęłam się, gdy poczułam, jak jego ramiona mnie oplatają, a szeroka klatka piersiowa, do której przyciskałam policzek, trząsie się ze śmiechu.

– Mała Hailie ma urodziny – odparł. – Przecież bym tego nie przegapił.

– Jutro! Jutro mam urodziny, i mieliśmy spotkać się w Hiszpanii, taki był plan!

– Sprostowanie: taki był twój plan. Mój jest trochę inny.

Oderwałam się od niego, żeby rzucić mu podejrzliwe spojrzenie.

– Ale czekaj, lecimy do Madrytu? Rozmawiałam z Martiną. Wszystko potwierdzała...

– No tak. Nie bój się, mała dziewczynka dostanie swoją małą imprezę – zadrwił. – Chodzi o to, żeby spędzić dzisiejszy wieczór razem, wiesz, w komplecie.

– I przyleciałeś tu specjalnie po to? – Usta samoistnie ułożyły mi się w podkówkę.

– Małe siostry nie co dzień kończą osiemnaście lat.

Przylgnęłam do niego z powrotem.

– Jesteś najlepszy.

– Wiadomo.

Długo go nie puszczałam, więc w końcu zaczął pospieszać mnie, klepiąc moje ramię.

– No ale najpierw leć pod prysznic, bo śmierdzisz.

Posłusznie się odsunęłam i niecierpliwymi ruchami zerwałam z dłoni rękawice bokerskie, pomagając sobie zębami. Zostawiłam je na materacu i prawie biegiem rzuciłam się do drzwi, ale Dylan prawie od razu za mną zawołał.

Zatrzymałam się jak na rozkaz i odwróciłam.

– Pokaż – zażądał, władczo podnosząc podbródek.

Oblizalam usta, zanim rozciągnęły się w szerokim uśmiechu i wtedy uniosłam do góry rękę, napięłam mięśnie, a palce spłotłam w pięść.

Dylan zbliżył się do mnie, omiatając mój biceps krytycznym spojrzeniem. Udałam, że wcale mnie nie zabolalo, gdy go ścisnął. Wreszcie pokiwał z uznaniem głową.

– No, jest lepiej.

– Ćwiczę regularnie – pochwaliłam się, opuszczając rękę i wypychając pierś do przodu.

– Widać efekty. Wreszcie przestałaś się obijać.

– Nigdy się nie obijałam.

– Idźże już pod ten prysznic.

Obróciłam się na pięcie, ponownie gotowa się ulotnić, ale Dylan znowu mi w tym przeszkodził.

– E! – warknął.

Wskazywał w kąt pomieszczenia i dobrze wiedziałam, o co mu chodzi, więc bez słowa się tam skierowałam i chwyciłam jedną z ustawionych w stosik butli wody. Opuściłam siłownię, łykając ją haustami, więcej niezatrzymywana.

Mijając salon, słyszałam szepty bliźniaków, ale nie przystanęłam, by podsłuchiwać. Zbyt było podekscytowana i chciałam już dołączyć do braci, rozsiąść się z nimi na kanapie i poczuć to, czego mi brakowało, od kiedy mi się tak porozjeżdżali.

Shane i Tony przylecieli kilka dni temu i to już było dla mnie niezwykle atrakcją. Graliśmy na konsoli, chodziliśmy na strzelnicę i obżeraliśmy się niezdrowym jedzeniem, które od czasu ich wyjazdu nauczyłam się ograniczać. Wiedziałam, że oni też się stęsknili za domem, bo choć opuścili go, by studiować w Europie całkiem niedawno, to była to dla nich niemała zmiana. Oficjalnie przylecieli, żeby towarzyszyć mi podczas lotu do Hiszpanii oraz spełnić się trochę w roli wujków, ale wiedziałam, że ładowali tutaj też swoje rodzinne baterie, które przebywanie długo poza domem zostawiło na wyczerpaniu.

Stopnie pokonywałam w podskokach, a prysznic, który wzięłam w swojej łazience, należał do tych ekspresowych. Ubrałam się w wygodne, jasne dresy, a mokre po myciu włosy zostawiłam rozpuszczone, nie marnując nawet czasu, by je wysuszyć. Wypsikałam się też perfumami, żeby Dylan nie mógł więcej mówić, że śmierdzę.

Otoczona mgiełką o zapachu róży majowej i jaśminu z nutami cytrusowymi, byłam gotowa do zejścia na dół, a wtedy ktoś zapukał i chwilę później okazało się, że to Tony.

Tony odwiedzający mnie w pokoju to rzadki widok, a jednak stał tu we własnej osobie, a nawet wszedł do środka, gdy go zaprosiłam.

Omiótł moją sypialnię spojrzeniem bladoniebieskich oczu, łypiąc nimi gburowato jak zawsze. Ten ich dziki wyraz miał w sobie dużo ze sposobu,

w jaki na świat patrzył nasz ojciec. Tylko że tęczęwki Cama były ciemne, a więc zdawały się bardziej diaboliczne.

Szkieownik, który Tony trzymał w wytatuowanej ręce, zauważyłam, dopiero gdy ją uniósł. Podał mi go bez słowa, a ja wydałam z siebie zduszony okrzyk. Otwarty był na stronie z rysunkiem, który od razu wiedziałam, że mój utalentowany brat stworzył specjalnie dla mnie.

Kucyk siedział i zerkął na mnie nieśmiało. Gęsta grzywa układała mu się w piękne loki. Lekko się uśmiechał, ale tutaj kończyła się niewinność tego obrazka, bo w pyszczku trzymał pistolet, a w oczach kryło się subtelne szaleństwo. Zdażyłam już poznać styl Tony'ego na tyle, by wiedzieć, że postawił na papierze każdą kreskę, polegając na swojej niezwyklej, nieco szurniętej wyobraźni. Ponadto rysunek miał w sobie tę wyjątkowość nie do podrobienia, zupełnie jak każdy tatuaż na skórze mojego brata.

– Tony... – szepnęłam. – Jaki cudowny...

– Ta? – mruknął obojętnie.

Uniosłam na niego oczy.

– Kucyk! Z pistoletem...

– Kucyk, bo kojarzy mi się z małym dzieckiem, czyli z tobą... – tłumaczył, palcem kreśląc po szkieowniku i ignorując moją uniesioną brew. – A pistolet nawiązuje do naszych zajęć na strzelnicy i tego, że czasem, rzadko bardzo, ale czasem wyjątkowo zdarza się tak, że pokażesz pazur.

Objęłam go, żeby okazać mu wdzięczność i ukryć to, że zaszklily mi się oczy.

Dziś najwyraźniej doświadczałam dnia czułości z braćmi i absolutnie nie miałam nic przeciwko.

– Jest niesamowity, dziękuję. – Chwilę pomrugałam, a potem przysła mi do głowy pewna myśl i odsunęłam się. Jeszcze raz przyjrzałam się rysunkowi, tym razem trzymając go oburącz i prawie wsadzając w niego nos. Potem uniosłam głowę i zajrzałam bratu w twarz z małym, wciąż niewinnym, ale nieco przebiegłym uśmiechem. – Tony? Mogę go sobie wytatuować?

Tony odwrócił się za siebie, jakby sprawdzał, czy nie stoi za nim i nie podsłuchuje żaden mój nadopiekuńczy brat, choć wcześniej przymknął za sobą drzwi. Następnie nachylił się do mnie i zmrużył oczy.

– Słuchaj mnie teraz uważnie – zaczął złowrogo. – Oficjalna wersja jest taka, że naszkicowałem dla ciebie obrazek, żebyś go sobie mogła powiesić nad swoim małym, słodkim biureczkiem, jasne? – Znowu zerknął za siebie i ściszył głos, kontynuując: – Ale jak ci wpadnie do głowy, żeby go sobie tatuować, to masz przyjść z tym do mnie, bo tylko ja znam gościa, który ci tego nie spierdoli.

Nie udało mi się stłumić pisku, który wyrwał mi się z ust. Znowu do niego przylgnęłam.

– Zaprojektowałeś mi tatuaż! – zawołałam.

– Ucisz się.

– Będę miała tatuaż – wyszeptałam.

– Zrobiłem to tylko dlatego, że tak jęczałaś na swoją bliznę.

Zarumieniłam się na wspomnienie rozmowy, którą niespodziewanie odbyłam z Tonym kilka miesięcy temu. Miałam fatalny dzień, a on się akurat napatoczył i wysłuchiwał moich żalów na temat miejsca na moim brzuchu, które Clarissa na zawsze oszpeciła nożem.

– Jeśli chcesz, teraz możesz ją zakryć – powiedział Tony, wzruszając ramionami.

– Mówiłeś, że jest zajebista.

– Nie przeklinaj. Tak powiedziałem i tak uważam nadal, ale jak masz przez nią ryczeć, to już lepiej, żebyś jej nie miała.

Odgarnęłam włosy za ucho i zawahałam się, zanim mu odpowiedziałam.

– Nie wiem, wiesz co, ona chyba już mi tak nie przeszkadza... Od kiedy powiedziałaś mi, że to jest część mnie, jakoś nawet ją polubiłam... –

Wzruszyłam ramionami. – Może zrobiłabym sobie mały tatuaż na plecach? Albo tak z boku bardziej, o tutaj?

Zaczęłam się obracać i wyginać, a wtedy Tony wywrócił oczami i wyszedł z mojego pokoju. Gdy się zorientowałam, że mnie opuszcza, prędko schowałam jego szkic do szuflady, myśląc sobie, że jeszcze

przyjdzie czas, by się nim chwalić i pokazywać go światu, a następnie poleciałam za nim.

W salonie Shane popijał colę i wzdychał, gdy orzeźwiający napój gasił jego pragnienie. W drugiej ręce trzymał grzechotkę, którą musiał znaleźć na fotelu, w którym się rozsiadł. Od czasu do czasu leniwie nią potrząsał. Była złota i z bursztynami, które ładnie mieniły się, gdy akurat padały na nie promienie zachodzącego słońca.

Dziecko Vince'a, jak można się było spodziewać, dostało takich z pięć.

Tony wyłożył się na kanapie w najbardziej Tony'owatej pozie, czyli takiej, która już na zawsze miała mi się z nim kojarzyć. Wcześniej porwał w ręce paczkę chipsów, jedną z kilku, które leżały na stole. Bliźniacy kupili ogrom niezdrowych przekąsek. Dylan, co skwitowałam uśmiechem, zdecydował się dać szansę suszonym owocom, w które z kolei ostatnio zaopatrywałam się pod dostatkiem ja.

– Co to za gówno – zapytał, nadgryzłszy suszoną śliwkę, a wtedy czar prysł.

– Gdy przyjechaliśmy, nie było tu ani jednej paczki chipsów. Hailie zrobiła sobie z Anją jakąś fit-eko-bio spiżarnię – poskarżył się Shane.

– Gdybym wiedziała, że wpadniecie, to kupiłabym jakieś śmieci – broniłam się. – Na co dzień staramy się jeść zdrowo.

– Wdała się w Willa – skomentował Dylan.

– Niedobrze. – Shane pokręcił głową.

– Przestańcie marudzić, czuję się fantastycznie. – Machnęłam ręką i usiadłam obok Dylana. – Co to za pudło?

Stało u podnóża kanapy, tuż obok nogi Dylana. Było wielkie i na wpół otwarte, niedbale i luźno obwiązane wstążką, a gdy Dylan poklepał je dłonią – poruszyło się.

– O Boże! – zawołałam i jeszcze dobrze się nie rozsiadłam, a już rzuciłam się na ziemię, by odchylić skrzydełka.

W środku otoczony kartonową pustką leżał na grzbiecie, zwinięty jak krewetka, mały kociak. Przednie łapki trzymał podkurczone i gapił się we mnie wielkimi błękitnymi ślepiami.

– Co jest?!

Natychmiast wyciągnęłam do niego ręce, a on miauknął przeciągle i z protestem, próbując czmychnąć gdzieś w bok. Uspokoił się od razu, gdy odkrył, że w moich ramionach jest mu wygodniej.

– Jest dla mnie? – zachwyciłam się, głaszcząc malucha po główce. Futerko miał lśniące, puszyste i w kolorze popiołu, a wszystkie cztery łapki czarne, zupełnie jakby ktoś założył mu skarpetki. – Co z zasadą żadnych prezentów?

– To twoje osiemnaste urodziny, dziewczynko – przypomniał mi Dylan, wpatrując się podejrzliwie w rodzinę, którą trzymał między palcami. –

Czas, żebyś zrozumiała, że przestrzegamy swoich zasad, chyba że zadecydujemy inaczej. Dzisiaj zadecydowaliśmy inaczej. Proste?

– Proste – odparłam. – Jest przesłodka.

– To mały diabeł – oznajmił Shane. – Więc powinniście się dogadać.

– Wygląda jak aniołek.

– Ta – prychnął Tony i wyciągnął ramię. – Widzisz to? Drapie jak pojebany.

– Nic nie widzę.

– Czy... – Vincent, który właśnie wszedł do salonu, zawiesił głos od razu, gdy tylko zobaczył, co przyciskam do piersi. – Co to jest?

– To jest kot, Vince – odpowiedział mu Dylan, a bliźniacy stłumili parsknięcie.

– Co to tutaj robi? – warknął nasz najstarszy brat, marszcząc brwi. Musiał już witać się z Dylanem wcześniej, bo nie wyglądał na zaskoczonego na jego widok.

– To prezent dla Hailie.

– Czy wy jesteście poważni? Co wy sobie wyobrażacie? Odlóż to, Hailie.

Nawet na niego nie spojrzałam, tonąc w błękitnych ślepiach kociaka, który, mogłam przysiąc, zatrzęsł się na dźwięk głosu Vince’a.

– Daj spokój, potrzebuje towarzystwa – powiedział Dylan. – Jest samotna, zwłaszcza odkąd my jesteśmy w Europie, Will na Florydzie...

i co... zostałeś jej tylko ty, a umówmy się: ty nie jesteś szczególnie rozrywkowy.

– W tym domu mieszka niemowlę. Nie ma tu miejsca dla zwierząt.

– Dzieciaki powinny wychowywać się ze zwierzętami. To uczy empatii i tak dalej – wtrącił Shane.

– Nie zgadzam się na żadnego kota. – Czułam wręcz, jak Vince ciska gromami ze swoich chłodnych oczu. Na chwilę zamilkł, a potem dodał: – Mam alergię.

Rozległy się parsknięcia.

– Nie bój nic, tatusiu, ta rasa jest hipoalergiczna – powiedział Shane, prawie drżąc ze śmiechu. – Zrobiliśmy z Tonym testy.

– Testy? – Uniosłam brew, zaintrygowana.

– Kot mieszkał na przemian w sypialniach bliźniaków i Vince’a, w ciągu dnia – wyjaśnił Dylan.

– Tarzał się po twojej poduszce – mruknął Tony do najstarszego brata, nieudolnie kryjąc śmiech.

– I nie zauważyliśmy u ciebie nawet katarku, tatusiu.

Zerknęłam na Vince’a, który wyglądał, jakby miał ochotę udusić całe swoje rodzeństwo. Wreszcie uniosł palec na bliźniaków i powiedział:

– Wychodzę na moment. Gdy wrócę, nie chcę widzieć śladu po tym kocie. Zrozumiano? – Odwrócił się do mnie. – Słyszysz mnie, Hailie? Hailie.

– Mhm – odparłam, chichocząc, bo akurat pazurki kota zaczepiły się o moją bluzkę i próbowałam pomóc mu je uwolnić.

Następne co usłyszałam, to trzaśnięcie drzwiami od garażu. Wciąż zaabsorbowana żywą istotką w swoich ramionach, dopiero po chwili zorientowałam się, że chłopcy coś planują, bo rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia i wyciągali szyje za Vince’em, by się upewnić, że na pewno wyszedł.

– Dobra, to co, robimy to? – zapytał Shane.

Tony pokiwał głową, podnosząc się do pozycji siedzącej.

– Nie powiedział, że wychodzi tylko na chwilę?

– Jak się wkurzy, to i tak jutro uciekniemy do Hiszpanii, nie mamy nic do stracenia – stwierdził Dylan i wstał, klasnąwszy w rękę.

– O co wam chodzi? – Uniosłam głowę, rzucając braciom nieufne spojrzenia.

– Rusz się, to się dowiesz – odparł Dylan.

Jako ostatnia opuściłam salon, podążając za chłopcami. Pilnowałam kotka, który miauknął znowu, niezadowolony ze zmiany pozycji. Trzymałam go mocno, gdy wspinałam się po schodach, podejrzliwe świdrując wzrokiem plecy braci.

Gdy skręcili do zakazanego niegdyś dla mnie korytarza, pierwsze, co założyłam, to że idziemy na strzelnicę, i już otwierałam usta, by zaprotestować i zwrócić ich uwagę na obecność kociaka, który na pewno zląkłby się strzałów, kiedy dłoń Dylana zacisnęła się jednak na klamce do gabinetu Vincenta.

– Co wy robicie? – zapytałam gorączkowym szeptem, obracając się za siebie, jakbym spodziewała się, że najstarszy brat będzie tuż za mną. – Oszaaleliście?

– Luz, młoda.

Uniosłam brew, ale nie zostałam w tyle, tylko przekroczyłam próg biura. Dostałam lekkiej gęsiej skórki, bo w środku było chłodno. Rozejrzałam się. Pokój ten bez Vincenta był pusty, za to roztaczała się tu aura grozy, jakby pomieszczenie żyło własnym życiem i nie było zadowolone z naszego wtargnięcia.

Rozglądałam się, głowę mając pełną różnych wspomnień z tego miejsca. Dobrze, że byłam tutaj z chłopakami, bo oni rozluźniali trochę tę mroczną atmosferę. Tony rzucił się na kanapę zupełnie jak w salonie, Shane zajął jeden z dwóch foteli przy biurku Vince’a, a ja stanęłam na środku i z niedowierzaniem patrzyłam, jak Dylan podchodzi do barku i sięga po jedną z ekskluzywnie wyglądających butli whisky.

– On nas zamorduje – powiedziałam, przytulając kotka mocniej.

– Nie dowie się.

– Dosłownie siedzimy w jego gabinecie, a ty napoczynasz jego whisky – odparłam. – Oczywiście, że się dowie.

– Wyszedł – mruknął Tony.

– Zaraz wróci!

– Nie będzie nas szukał w swoim gabinecie.

– Ale...

– Hailie, wyluzuj – westchnął Shane, wznosząc oczy ku sufitowi.

Głaskałam kota i zagryzałam wargę.

– No siadaj gdzieś, dziewczynko – polecił mi Dylan, a potem odwrócił się od barku, zamasyście machnął ręką i pochylił teatralnie głowę. – Rozgość się.

Na przestrzeni tego czasu, w którym zdążyłam poznać Vincenta, nauczyłam się kochać go takiego, jakim był, nawet jego chłód i gruboskórność, ale nie przestawałam czuć do niego ogromnego respektu, dlatego miałam opory, by wtargnąć z buciorami w jego prywatną sferę, jaką był jego gabinet. Nie zamierzałam jednak stąd wychodzić, uciekać ani odłączać się od świętej trójcy, więc stałam i czekałam na rozwój wydarzeń.

Dylan otworzył butelkę i zagrzechotał kryształowymi szklankami z grubym dnem. Uznawszy to za znak, że sprawa jest już przesądzona i nie ma o co walczyć, mnie, pokonanej, nie pozostało nic innego, jak zajęcie swojego miejsca razem z chłopakami. Miałam usiąść w fotelu obok Shane'a, ale pod wpływem impulsu obeszałam biurko i rozgościłam się na tym należącym do Vincenta – wielkim i skórzanym niemal tronie.

Shane gwizdnął, a Tony się zaśmiał.

– Dobrze, dziewczynko – pochwalił mój wybór Dylan.

Podkurczyłam nogi i umieściłam sobie kotka pomiędzy udami i brzuchem. Z przyjemnością tam się wpasował, coraz odważniej korzystając ze mnie jak z poduszki. Ja odchyliłam się w fotelu Vincenta, doceniając jego wygodę.

Dylan postawił szklankę przed Shane'em, a drugą włożył do wyciągniętej dłoni Tony'emu. Chłopcy trochę się wydurniali. Tony uniósł ją i pozwolił, by światło lampki się w niej odbiło i utworzyło łunę. Shane upił łyk i smakował go przez chwilę niczym światowej sławy koneser whisky. Tak mnie bawili, że prawie umknęło mi, że Dylan stawia jedną ze szklanek przede mną.

Poderwałam głowę do góry, spodziewając się, że na jego twarzy zobaczę kpiarski uśmiech, coś, co dowodziłoby, że się ze mną droczy. Byłam pewna, że zaraz zabierze mi naczynie sprzed nosa i pomacha na mnie palcem, mówiąc coś w stylu: „Nu, nu, nu, dziewczynko, małej Hailie nie wolno pić alkoholu”.

Mimo że jego usta rozciągały się z podejrzaną drwiną, to niczego mi nie zabrał, wręcz przeciwnie, podsunął szklankę jeszcze bliżej i wyśmiał moje zdumienie.

Mrugałam, nie mogąc uwierzyć, że mój chyba najbardziej tuż obok Vincenta zaborczy w sprawie zakazu picia alkoholu brat właśnie częstuje mnie tak mocnym trunkiem.

– Dylan, wszystko dobrze? – zapytałam, by upewnić się, że jest świadomy tego, co robi.

– To przedsmak tego, co czeka nas w Hiszpanii. Szykuj się, dziewczynko.

Gdy było jasne, że wciąż niedowierzam, Dylan spoważniał i lekko się ku mnie nachylił.

– Obiecałem ci, co nie? – mruknął cicho.

Skinęłam głowę, a przez kręgosłup przebiegły mi ciarki na wspomnienie okoliczności, w jakich ta obietnica padła.

– Żeby nie było, że nie dotrzymuję słowa. – Wyluzował się i puścił do mnie oko.

Wyszczrzyłam się z ekscytacją.

– Czyli oficjalnie już mogę pić i nie będziecie się mnie czepiać?

– Tylko z nami i tylko w Europie, chyba że też wyjątkowo z nami w Stanach, gdy akurat masz urodziny – tłumaczył mi, po czym uniósł szklankę do góry. – Za ciebie, mała dziewczynko, i za to, że tyle z nami wytrzymałaś.

– Za to, że z wami wytrzymałam, to powinnam dostać całą butlę tej whisky.

– Nie widzę problemu. – Uśmiechnął się. – Vince ma spore zapasy, a wieczór jest długi.

– Za małą Hailie – mruknął Shane i wziął spory łyk, a Tony skinął głową i zrobił to samo.

Moczając wargi w napoju, patrzyłam Dylanowi prosto w oczy, a on odwzajemniał moje spojrzenie.

Nigdy nie piłam whisky. Nigdy nie piłam wielu alkoholi przez moich nadopiekuńczych braci, choć poznałam palący smak tequili. Whisky była podobna, a może zupełnie inna, ale na pewno tak samo się skrzywiłam, gdy poczułam ją w ustach. Widząc, jak Vince często tak chętnie ją sący, wyobrażałam sobie, że będzie to coś słodsze, zwłaszcza po tej zachęcającej, bursztynowej barwie. Whisky mojego brata okazała się jednak niemożliwa do picia, ale nie zamierzałam odsuwać od siebie szklanki. W tym, że ją popijałam, i to w towarzystwie chłopaków, było coś magicznego.

Wkrótce doszłam do wniosku, że whisky smakuje celebracją. Jest tak samo ostra i wyrazista jak zmiany w życiu, a także siła oraz odwaga do ich wprowadzenia i doświadczania. Z tą myślą pociągało mi się ją o wiele przyjemniej.

Łyk za łykiem.



Musiałam trzymać kotka na kolanach, bo brzuch bolał mnie ze śmiechu. Nie wiedziałam, gdzie podziać ręce, czy się za niego łapać, czy podtrzymywać zwierzątko, czy ścierać z twarzy łzy, a jednocześnie przecież chciałam sięgać po szklankę, do której Dylan ciągle dolewał więcej alkoholu.

Nie wspominając o tym, że w naszych dyskusjach z chłopakami ciągle przekrzykiwaliśmy się tak, że odczuwałam ogromną potrzebę wzmocnienia swoich wypowiedzi gestykulacją.

– Nie, bo zgadzam się, że cała nasza rodzina jest porąbana, ale uważam, że jednak największym oszołomem jest Dylan – powiedziałam.

– Ja? Ja jestem oszołomem? – Dylan prawie zsunął się z biurka, gdy wykręcił w moją stronę tułów.

– Oboje jesteście. Pod tym względem jesteście do siebie w cholere podobni – stwierdził Shane. On z kolei siedział w fotelu już tak nisko, że jemu też niewiele brakowało, żeby spłynąć z niego na podłogę.

– To w ogóle nieprawda – zaprotestowałam.

– A historia z porodem Anji? – przypomniął mi Shane, a Tony odchylił głowę i zaśmiał się głośno.

– Co z nią? Przecież to idealny dowód na to, że wszystko świetnie ogarnęłam – powiedziałam i klasnęłam dwa razy w ręce, dodając: – Wszystko poszło z prędkością chop chop.

– Ta, wszystko ogarnęłaś – prychnął Dylan. – Panikowałaś tak, że Anja żałowała potem, że nie zamknęła się w sypialni i nie urodziła w ukryciu przed tobą.

Wycelowałam w niego palcem.

– To ty narobiłeś nam siary w klinice, przypominam.

– Nie moja wina, że pracują tam sami debile.

– Z tego, co opowiadała Anja, to wy panikowaliście najbardziej – przypomniął nam Shane.

– Anja to wiesz, rodziła. Nie wszystko mogła zapamiętać, jak było.

– Nie wiem, ja tam jakoś wierzę bardziej w jej wersję niż w waszą – zachichotał Shane.

– Chwila, chwila, ale co jest? – zawołałam, rozkładając ręce. Czułam się lekko wcięta, a chłopcy kwitowali to uśmiechami. – Wszystko poszło jak po maśle, ciekawe, jak wy byście się zachowali. Byłam z Dylanem na siłowni, ćwiczyliśmy sobie, leciała muzyczka, wszystko było la, la, la, a tu nagle nieśmiało zagląda Anja i mówi, że, cytuję: „Eee, bo chyba odeszły mi wody”. – Zawiesiłam na sekundę głos. – No sorry, ale jak inaczej zareagować na coś takiego? Przecież prawie upuściłam sobie ciężarek na stopę!

– A potem zaczęłaś pisać, że Dylan auto, Dylan torba, Dylan tamto, Dylan sramto – parsknął Dylan.

– Bo trzeba było sprawnie się zebrać do kliniki, Vince był poza domem, a ty stanęłaś jak wryty i gapiłaś się na nią z otwartą buzią, jakbyś w ogóle

pierwszy raz usłyszał, że jest w ciąży.

– Żebyście widzieli Anję w tym aucie – zaśmiał się Dylan i pokręcił głową. – Siedzi z Hailie z tyłu, Hailie cały czas coś do niej nadaje, jakieś pierdoły, a Anja odchyła głowę, patrzy w sufit i widać po niej, że modli się, byle jej nie walnąć w usta.

– Ty byłeś nie lepszy, jechałeś jak wariat, zatrzymałeś się pod kliniką z piskiem opon! A potem, słuchajcie, Dylan wpada do środka i drze się, że kobieta rodzi. Nawet kogoś tam zwyzywał.

Dylan wzruszył ramionami, a bliźniacy rechotali już na całego.

– Bo mi rąbnęli w mordę formularzami! Mówiłem im, żeby najpierw się zajęli porodem z łaski swojej.

– Pamiętam, że Vince mówił, że wprowadziliście tak nerwową atmosferę, że gdy dotarł do kliniki, to musiał was wyrzucić na dwór. – Ramiona Shane’a trzęsły się ze śmiechu.

– Dlatego że chcieli być sami! I to akurat było absolutnie przesłódkie – stwierdziłam, głaskając kotka za uchem.

– Vince twierdzi, że nie zemdłał, ale ja widziałem, że po wszystkim był błydy przez następne trzy dni. – Dylan nie mógł przestać się podśmiechiwać, co utrudniało mu pociągnięcie kolejnego łyku whisky.

– Prawie jak wy, gdy dowiedzieliście się o dziecku – wytknęłam braciom.

– Nie, bo dla mnie to już był wystarczający szok, że Vince wtedy w ogóle zwołał kolację, na której miał nam przedstawić swoją partnerkę. –

Shane wzruszył ramionami. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek do tego dojdzie. A tu nagle jeszcze mówi, że Anja jest w ciąży i będzie dzieciak. Za dużo informacji do przyswojenia.

– No właśnie, Vince ojcem – parsknął Tony, kręcąc głową. – Abstrakcja.

– Anja siedziała biedna, taka zestresowana, i tylko patrzyła, jak wszyscy się duszą na wieść, że jest w ciąży – chichotałam.

– No, Shane przecież prawie ducha wyzionął przy tym stole.

– Zakrztusił się zeberkiem.

– To przez ostry sos – mruknął Shane.

– Nie, ale chciałabym wam powiedzieć, że wszyscy jesteście przekochani. Wasze reakcje i wsparcie dla Vince’a... to jest niesamowite – westchnęłam.

– Oho, Hailie się napiła i bierze ją na smęty.

– Wcale nie bierze mnie na smęty, czuję wdzięczność – zaprotestowałam i szturchnęłabym Shane’a, gdyby siedział bliżej. – Po prostu jestem jedyną osobą w tej rodzinie, która potrafi ubrać emocje w słowa, bo moi bracia to gruboskórne gburki.

– No i zaraz zaczniesz ryczeć – rzucił pod nosem Tony, wywracając oczami.

– Już ryczy – szepnął Shane, poruszając swoją szklanką i patrząc, jak napój wiruje w środku.

– Ale wy jesteście głupi – westchnęłam, ale faktycznie przetarłam oczy, bo mi się niepotrzebnie zaszkliły. – Chodzi mi o to, że to przeurocze, że specjalnie dla dziecka przerobiliście jedną z gościnnych sypialni na pokój zabaw i że kupiliście tyle rzeczy, i że ogarnęliście plac zabaw na dworze, że żeście chuchali na kark niani, tak że prawie rzuciła pracę już pierwszego dnia, że Tony narysował taki piękny obrazek na ścianie w dziecięcej sypialni, że... no, wszystko.

– Słuchaj no, dzieciak Vince’a wylosował w życiowej loterii takiego ojca, że... No, powiedzmy ja mu nie zazdroszczę, nie – mruknął Shane. – Więc to nasz obowiązek, żeby chociaż wujkowie byli super.

– Vince jest cudownym ojcem – zaoponowałam z przekonaniem.

– Vince jest z roku na rok coraz bardziej przerażający – powiedział Dylan.

– To przez to, że robi mu się zmarcha, taka o tu – stwierdził Shane, wskazując sobie gdzieś na twarz.

– Mnie się wydaje, że coraz bardziej mruży oczy i przez to wygląda, jakby ciągle coś analizował – burknął Tony.

– Może potrzebuje okularów? – zastanowiłam się i parsknęłam razem z chłopakami. Alkohol, który piliśmy, był mocny, a nasze humory wyśmienite, z łatwością więc wybuchало nam się śmiechem w reakcji nawet na najślabsze żarty.

Dylan wkrótce polał po następnej kolejce. Byłam drobniejsza od braci i mniej zahartowana, więc wpadnięcie w stan upojenia powinno iść mi szybciej, ale jednak piłam też mniej niż oni i wolniej, dlatego w ostatecznym rozrachunku chyba się wszystko wyrównywało.

W pewnym momencie chłopcy zaczęli przebąkiwać coś o jedzeniu. Dylan zamówił pizzę, ale na dowóz trzeba było poczekać, więc Shane rzucił pomysł, by zapchać się przekąskami, które zostawiliśmy w salonie i kuchni. Nikomu nie chciało się ruszyć, by iść z nim, więc gdy wrócił, obrażony położył sobie wszystkie paczki niezdrowych chipsów obok siebie, a Dylanowi do wyciągniętej łakomie dłoni włożył pakę suszonych owoców.

Dylan wywrócił oczami, ale też uniósł się dumą i postanowił dać mojej zdrowej przekąsce drugą szansę. Temat rozmowy zszedł wtedy na sylwestra, którego planowaliśmy spędzić we Włoszech. Niedawno dzwoniłam się z Martiną na kamerce i razem rezerwowałyśmy domek nad jeziorem. To obowiązek, który spadł na nasze barki, bo moim braciom brakowało cierpliwości do przewijania dziesiątek stron internetowych w poszukiwaniu najciekawszych opcji. Teraz odpowiadałam na ich pytania i zapewniałam, że w domku będą wszystkie bajery, jak stół do piłkarzyków, bilard, kręgielnia, wielkie jacuzzi i głośniki wielkości samochodu do puszczania noworocznych hitów.

Dylan wymachiwał suszoną morelą, gdy opowiadał, że po naszym sylwestrze zabukował dla siebie i Martiny romantyczną wycieczkę do Wenecji. Shane mówił zaś, że będzie musiał szybko wracać do Bolonii, gdzie aktualnie studiował na wymianie, bo już teraz przewidywał, że będzie miał poprawkę z jakiegoś egzaminu.

Tony natomiast pochwalił się, że u niego będzie „lajt”, więc szybko zaproponowałam, że po zabawie zwalę mu się na głowę ja. Studiował w Berlinie i planowałam odwiedzić go tam, odkąd wyjechał, a tu zdawała się szykować perfekcyjna ku temu okazja. Zakodowałam sobie w głowie, by zagadać Mayę, bo może niegłupim pomysłem byłoby, żebym później prosto z Niemiec wstąpiła do niej, do Paryża. Nie widziałam jej w końcu od jakichś czterech miesięcy...

Takie ustalenia trwały dosłownie chwilę, bo tylko przez tyle nasze nietrzeźwe mózgi potrafiły sensownie pracować. Zaraz potem

rozkojarzyliśmy się jakąś głupotą, przez którą płakaliśmy ze śmiechu.

Kotek zaczął się chyba męczyć moimi atakami rozbawienia. Niespodziewanie umknął, ale szybko zerwałam się z fotela i rzuciłam za nim, porwałam go w ręce i zaczęłam głaskać, żeby go udobruchać.

– Nie wolno uciekać, kocie – szeptałam mu do spiczastego ucha, wracając na swoje miejsce.

– Nazwałaś go „kot”? – zdziwił się Shane, oblizując serowego chrupka.

– Nie. Powiedziałam do niego „kocie”, bo to, no wiesz, kot.

– Powinnaś go jakoś nazwać.

– Nie mam pomysłu... – Celowo podrapałam zwierzaka za uchem, bo wtedy wyciągnął pyszczek w górę i mogłam mu się przyjrzeć. – Nie wiem, jakie imię do niego pasuje.

– Tony – zarzął Dylan.

– Chyba Dylan – warknął Tony.

Dylan na chwilę przestał się śmiać, a potem zrobił głupią minę. Tony rzucił w niego orzeszkiem. Upadł na ziemię, a wtedy Shane kopnął go gdzieś pod biurko Vince’a.

Chłopcy coś do siebie mówili, ale ja patrzyłam na to, co Dylan właśnie wyjął z paczki owoców. Zamyślona, przekreśliłam głowę w bok, a potem spojrzałam na kociaka.

– Może... Daktyl.

Shane uniósł brew, a Tony wydał wargi.

– Co za debilne imię – parsknął Dylan i pokręcił głową, niczego nieświadomy wrzucając sobie suszonego daktyla do ust.

– Uważam, że jest urocze – stwierdziłam, drapiąc nowego członka rodziny po głowie. – Co myślisz, kotku? Podoba ci się? Widzę, że tak. Jesteś Daktyl? No jesteś.

– Ona zeświruje do reszty z tym kotem – mruknął Shane.

– Nie wolno wybierać imion po pijaku, mała Hailie.

– Nawet nie jestem pijana. A Daktyl z jakiegoś powodu wydaje mi się świetnym wyborem.

Kocię patrzyło na mnie wielkimi oczami, jakby szukało potwierdzenia, że oto dostało właśnie imię. Pokiwałam do niego głową i ucałowałam go między ślepiami, jednocześnie wyciągając szklankę do Dylana, aby dolał mi więcej whisky.



Kolejny etap naszego pijaństwa rozpoczął się, gdy nie potrafiliśmy poruszyć już żadnego normalnego tematu, tylko ze wszystkiego mieliśmy ubaw życia. Aby stworzyć Daktylowi godne warunki, kazałam sobie postawić obok siebie wolny fotel, przytargałam koc, z którego ułożyłam wygodne gniazdko i go tam ułożyłam. Przyniosłam też dwie miseczki. Chłopcy zaopatrzyli mnie wcześniej w kocią karmę, którą Daktyl z chęcią podziobał. Podałam mu też wody, a Shane nawet pomógł mi rozłożyć przenośną kuwetę w gabinecie.

Wtedy byłam już pewna, że Vincent nas zamorduje.

Daktyl siedział sobie zwinięty na swoim fotelu i czasem przymykał oczy, ale przez większość czasu mnie obserwował. Sądziłam już, że więcej nic nie zbroimy w biurze naszego najstarszego brata, ale, o Lordzie, jak ja się pomyliłam.

Dylan coraz bardziej rozkładał się na biurku Vince'a. Na blacie panował porządek, ale leżały na nim jakieś pojedyncze rzeczy, które Dylan bez skrupów porozsuwał jednym ruchem ramienia na boki, żeby zrobić sobie więcej miejsca.

– To chyba dobry moment – odezwał się nagle, a bliźniacy zacisnęli palce na swoich szklankach i pokiwali głowami.

– O co znowu chodzi? – zapytałam, śledząc z zainteresowaniem, jak Dylan się podnosi i staje tuż obok mnie, pochyla się do jednej z szuflad w wielkim biurku i ją wysuwa. – O.

Dylan wyciągnął stamtąd spore pudełko z solidnego drewna i otworzył jego wieko, a naszym oczom ukazały się schludnie ułożone obok siebie, najbardziej ekskluzywne cygara, jakie w życiu widziałam. Nie umywały się do tego tańszego, rozpadającego się w rękę, pulchnego rulonu, którym

wymachiwałam w Saint-Tropez. Te cygara były niczym dzieła sztuki, kosztować musiały majątek, a Dylan właśnie bezwstydnie wyjął jedno z nich i włożył je sobie do buzi.

Wyglądał jak największy zbir z tymi swoimi mięśniami, psotą błyszczącą w spojrzeniu i cygarem w ustach.

Mrugałam przez chwilę totalnie zaskoczona, bo Dylan, odkąd go poznałam, stał na straży wszystkich licznych zakazów, które otrzymałam, gotów zjechać mnie za najmniejsze wykroczenie, a tymczasem stał teraz przede mną, polewał mi whisky i jeszcze na dodatek częstował cygarem.

Nie zamierzałam odmawiać, czując wreszcie tę równość między sobą a braćmi, coś, na co czekałam od czasu, gdy pierwszy raz przekroczyłam próg Rezydencji Monetów. Wyciągnęłam więc rękę, ale Dylan odsunął nieco pudełko i w to miejsce pojawił się jego ostrzegawczo uniesiony palec.

– Pamiętaj, dziewczynko – zaczął z powagą, lekko sepleniąc przez cygaro w ustach. – Dziś świętujemy, razem, więc robimy wyjątek. Jeśli jednak normalnie zobaczę cię pijaną lub z cygarem, lub z fajką, to będę darł mordę. Serio, Hailie, zrobię ci dramę. Nic się nie zmieniło. Nadal jesteś małą siostrzyczką, a ja dalej cię pilnuję, jasne?

– Dylan, jestem już dorosła.

– Alkohol i tytoń to używki i nie wolno po nie sięgać, chyba że starszy brat powie inaczej, *capisci*?

– Dobrze już. – Wywróciłam oczami, a Dylan wpatrywał się we mnie chwilę dłużej, po czym uniósł podbródek, zmrużył oczy, ale i poczęstował mnie wreszcie cygarem Vincenta.



– Nie, nie, nie! – zawołałam. – Ja wiem, jak to pokazać lepiej! Już to grałam!

– Jeśli nie dojrzejesz, to pożegnasz się z dostępem do swoich kont bankowych – powiedział Shane, maksymalnie zniżając ton głosu.

– Ile ty masz lat? Zacznij być poważny, weź się za naukę – syknął Tony, a przy jego głowie rozeszła się otoczka dymu, który wypuścił z ust.

– Ojciec nie będzie zadowolony – wtrącił Dylan, znowu grożąc palcem, tym razem nikomu konkretnemu.

– Słabi jesteście, ja zagram Vince’a najlepiej – powiedziałam i wstałam, żeby to udowodnić.

W jednej ręce trzymając swoje cygaro, zerknęłam przelotnie na Daktyla, sprawdzając, czy śpi i jest bezpieczny. Leżał wygodnie, ale patrzył na mnie z dezaprobatą, jakby nie pochwalał moich wygłupów. Mrugnęłam do niego, żeby wiedział, że wszystko jest dobrze, i zaczęłam wspinać się na biurko.

– E, bo zlecisz – warknął na mnie Dylan, natychmiast wyciągając ręce, żeby mnie asekurować.

– Nie zlecę – mruknęłam, stawiając stopy na blacie.

– Zlecisz.

– Będzie płacz.

– Nie zlecę – powtórzyłam i wyprostowałam się. Na chwilę zakołysałam się i musiałam zmrużyć oczy, bo widoku gabinetu Vince’a z tej wysokości jeszcze nie znałam. Czułam, jak dłoń Dylana zaciska się na mojej łydce, żeby pomóc mi się ustabilizować.

Żaden z braci nie pochwalał mojego pomysłu łożenia po meblach, ale bezapelacyjnie udało mi się ich rozbawić, gdy odstawiłam swój show. Tony poczerwieniał ze śmiechu, a Shane musiał przestać jeść, zgniótł paczkę chipsów, odłożył ją na bok i sam zgiął się wpół.

– Dobra jest – przyznał Dylan, ciągle się śmiejąc.

– Zejdź mi z oczu i nie pokazuj się, dopóki nie wydoroślejesz – rzuciłam najchłodniej, jak potrafiłam.

Shane uniósł głowę, a po policzkach aż leciały mu łzy. Miał tak pocieszny wyraz twarzy, że mi samej usta zaczynały drżeć, choć bardzo tego nie chciałam, bo pragnęłam, żeby mój pokaz był jak najautentyczniejszy.

– Nie mogę, Hailie, no, kocham cię.

Znieruchomiałam na chwilę i spojrzałam na niego z góry, ale on śmiał się dalej, jak gdyby nigdy nic. Zerknęłam dyskretnie na Tony’ego i Dylana, jednak po nich też nie widziałam zaskoczenia lub nawet drwiny.

Te słowa były tak naturalne i oczywiste, że na nikim już nie robiły wrażenia.

– Też cię kocham, Shane – wymamrotałam, czując ciepło w sercu.

Uniósł na mnie wzrok i mrugnął do mnie, a po chwili otrząsnęłam się, bo zorientowałam się, że pozostali zerkają na mnie z nadzieją, że jeszcze trochę się powydurniam.

Natychmiast przybrałam odpowiednio Vince'ową maskę, zaciągnęłam się cygarem i warknęłam chłodno:

– Drogie dziecko, bawi cię to?

Dylan na chwilę mnie puścił, bo musiał potrzebować sobie powieki, które zaczęły go pewnie szczypać, bo zebrały się pod nimi łzy.

Sama starałam się nie śmiać, żeby nie psuć swojego występu, więc próbowałam się uspokajać pociąganiem cygara. Mówiłam, że zagram to najlepiej. Odgarnełam włosy za plecy i patrzyłam, dumna z siebie, po twarzach braci – Shane'a, Dylana, Tony'ego, Vince'a...

Vince'a.

Wróciłam wzrokiem do miejsca, gdzie jak mi się zdawało, zobaczyłam twarz Vince'a. Byłam pewna, że mi się przywidziało, ale nie, on stał w drzwiach, we własnej osobie. Stał i patrzył prosto na mnie, jak tańcząc na jego biurku, pijana i w otoczeniu siwego dymu, z cygarem w ręku, parodiując właśnie jego.

Straciłam równowagę i się zachwiałam, ale wtedy przydał się Dylan i znowu mnie przytrzymał, a potem chłopcy zobaczyli, gdzie patrzę, i też zaczęli się tam odwracać.

Zapadła cisza.

Shane poprawił się w fotelu, Dylan wyprostował i przytrzymał mnie mocniej, a Tony rozpląszczył się na kanapie jeszcze bardziej, zapewne pragnąc, by go pochłoneła.

Vincent stał nieruchomo w drzwiach, cały ubrany na czarno. Włosy zaczesane miał tradycyjnie do tyłu, a wzrok ostry jak brzytwa. Na twarzy malowało mu się też zmęczenie, ale teraz jakby zanikło.

Tuż za nim stał Will. Ten nawet nie próbował panować nad swoim szokiem. Usta rozdziawiał, a jego błękitne oczy wpatrywały się we mnie, jakby po raz pierwszy mnie widziały.

Opuściłam dłoń, w której trzymałam cygaro, chociaż wszyscy już je widzieli. W całym gabinecie unosiła się też siwawa chmurka. Planowałam zejść z biurka i stąd uciec, ale jednocześnie nie chciałam zwracać na siebie uwagi, a gdybym zaczęła gramolić się na dół, to na pewno stałoby się na odwrót.

Nikt nie miał odwagi przerwać milczenia. Było ono niekomfortowe, a nasz najstarszy brat umiejętnie nas nim stresował.

Wreszcie Vincent zrobił krok do przodu. Jeden, a potem drugi, aż minął nas i znalazł się przy barku. Tam skwitował niewesołym spojrzeniem jego wybrakowaną zawartość i wyciągnął sobie szklankę. Jego ruchy były niespieszne i pełne gracji jak zawsze. Nalał sobie whisky, odchylił głowę i odetchnął cicho. Następnie upił łyk i powoli odwrócił się do nas.

Wszyscy obserwowaliśmy go z zaciekawieniem. Nikt nie wiedział, jak zareaguje. Omiótł nas spojrzeniem skutym lodem, które na samym końcu zatrzymało się na Daktylu. Kociak fenomenalnie wyczuł nasz rodzinny klimat i chyba już wiedział, że z Vince'em się nie zadziera, bo ukrył pyszczek w kocu i trochę jakby udawał, że go tu nie ma.

Vincent zmrużył oczy.

– Mieliście oddać tego kota.

I ot, tak po prostu nagle już wiedzieliśmy, że nam się upiekło.

Wyluzowaliśmy się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Shane zaczął chrupać głośno, Tony ziewnął, Dylan się napił, a Will ruszył w moją stronę w tym samym czasie, gdy zaczęłam tłumaczyć Vince'owi, że Daktyl został już częścią rodziny. Vincent marszczył brwi, poirytowany moim płaczącym się językiem. Przerwałam, gdy Will stanął przy biurku i wyciągnął do mnie dłoń.

– Chodź, bo jeszcze spadniesz – powiedział cicho, kręcąc głową.

– Nie spadnę.

– Nie mogę patrzeć, jak się chwiejesz.

Doszłam do wniosku, że ma rację, faktycznie się chwiałam i może nadszedł jednak czas, by zejść ze sceny. Trochę czerwieniłam się od palącego alkoholu i faktu, że Vince prawdopodobnie słyszał, jak go przedrzeźniam.

Will udźwignął mnie bez problemu, ale gdy postawił mnie na podłodze, nie odsunęłam się od niego. Przyjrzałam się jego opalonej buzi i dobrotliwym oczom.

– Przyjechałeś! – ucieszyłam się.

– Oczywiście, że tak – odparł, ale wciąż był poważny i z dystansem podchodził do sytuacji, jaką tu zastał. – Chciałem cię jeszcze zobaczyć, zanim uciekniesz do Hiszpanii. Nie sądziłem, że tak będziesz spędzała ten wieczór.

Przygryzłam dolną wargę, żeby najniewinniej jak to możliwe odpowiedzieć na jego lekko surowe spojrzenie.

– Dylan mi pozwolił.

– Uważaj na to cygaro.

– Nie zabieraj mi go. Jest moje. – Schowałam je za plecy.

– Nie zabiorę, ale nie machaj nim tak i uważaj, bo się oparzysz.

– A cygaro jest moje, śmiem twierdzić – wtrącił się Vince chłodno.

Nie odpowiedziałam, bo miał rację.

Will odgarnął mi kosmyk z twarzy i uważnie mi się przyjrzał, a potem westchnął.

– Malutka, ja nie jestem na to gotowy.

Nie wiedziałam, jak się zachować, i świetnym pomysłem wydało mi się pociągnięcie cygara, na co Will uniósł brew i znowu pokręcił głową.

– Idź, usiądź sobie lepiej – polecił mi, lekko popychając mnie ku fotelowi Vince’a, który, jak odgadł, zajmowałam.

– Okej – odpowiedziałam, po drodze wchodząc w biurko i szturchając stojącą na nim lampę, która z hałasem się przesunęła.

Kątem oka widziałam, że Vincent przymyka powieki.

A mnie wymknął się chichot.



Vincent i Will zasiedli na dostawionej przez Dylana i ochroniarza kanapie. Tej kanapie z holu przed gabinetem Vince'a, dokładnie tej samej, za którą kiedyś się chowałam, gdy byłam młodsza i dopiero odkrywałam sekrety skrywane przez braci i Rezydencję Monetów.

Po pokoju krążyły dwie butelki napoczętej whisky oraz drewniana skrzynka z kolekcją cygar Vince'a. Aktualnie nikt żadnego nie palił, bo przywieziono wreszcie jedzenie i teraz pudła z pizzą wały się po całym pomieszczeniu. Dylan jak zwykle zamówił zdecydowanie zbyt wiele porcji.

Rozmawialiśmy non stop. Ja mówiłam o swojej edukacji domowej i o tym, jak świetnie współgrała ona z podróżami. A kiedy Will opowiadał o swoim pobycie w Miami, ja co chwilę coś wtrącałam, bo jako że siedziałam u niego latem prawie dwa miesiące, uważałam, że mogę sobie pozwolić na uzupełnianie jego wypowiedzi. Wszyscy mieliśmy okazję odwiedzić bajeczną willę, w której zamieszkał, ale tylko ja spędziłam tam tyle czasu, by poznać najlepsze restauracje i plaże.

Vince, będąc skryty jak zawsze, nie potrafił odpowiedzieć na nasze pytania dotyczące jego nowej roli ojca. Mówił, że niemowlę tylko je i śpi, ale pod moim naciskiem przyznał, że jest urocze. Raz nawet przy nas odebrał telefon od Anji, która odwiedzała dziś swoją matkę i właśnie wróciła do rezydencji. Była zmęczona, więc kładła się od razu spać i obiecała, że przywita się ze wszystkimi następnego dnia, na śniadaniu. Byłam prawie pewna, że nie chciała też nam przeszkadzać – nasza szóstka miała coraz mniej okazji do widywania się w komplecie, ale i bez dodatkowych osób.

Oczywiście nadal spotykaliśmy się często, bo w tej rodzinie odległości pokonywało się prywatnymi odrzutowcami, a pieniądze nigdy nie były problemem, ale doceniałam wspólną myślność Anji.

Shane rozgadał się o tym, jak uwielbia włoską kuchnię i cieszy się, że może studiować w tym kraju, bo codziennie objada się w wyśmienitych restauracjach. Tony docenił na głos artystyczną stronę Berlina, a Dylan pochwalił się, że w tym semestrze wziął sobie nie tylko zajęcia prowadzone

w języku angielskim, ale i hiszpańskim, co miało wymagać od niego więcej pracy, ale twierdził, że „ogarnie, bo jego hiszpański jest zajebisty”.

Czasami dostrzegałam, jak Will i Vincent zerkają na nas, swoje młodsze rodzeństwo, z pobłażliwością. Powoli stawaliśmy się coraz bardziej nieznośni, ale było coś pięknego w tym wieczorze, który spędzaliśmy razem, pijąc whisky w gabinecie Vincenta.

W pewnym momencie, gdy Vince znowu zaczął marudzić na kota, wstałam, podniosłam Daktyla i położyłam mu go na klatce piersiowej. Vince drgnął i zerwał go sobie z koszuli z irytacją, unosząc zwierzę na otwartej ręce tak, że kotka od jego twarzy dzieliły centymetry. Mrużył oczy i patrzył uważnie w przepełnione słodyczą i niewinnością błękitne ślepie.

Przysięgam, że widziałam, jak mój najstarszy brat przełyka ślinę. Jego twarz wciąż miała surowy wyraz, gdy kazał mi zabrać sobie Daktyla z dłoni, ale już więcej nie poruszył tematu wyrzucenia kota z domu.



O północy chłopcy zaśpiewali mi *Sto lat*, a potem siedzieliśmy jeszcze długo, opychając się pizzą. Zapasy whisky Vince’a się uszczupliły, ale chyba w ostatecznym rozrachunku nie gniewał się o to za bardzo. Nawet on cieszył się wspólnie spędzonym przez rodzeństwo Monet czasem.

Następnego dnia piliśmy dużo wody, a na śniadaniu zgodnie z obietnicą dołączyła do nas Anja. Pożegnałam się też z dzidzią, a także aż do wyjazdu przeglądałam podarki, które przysły do naszej rezydencji pocztą z okazji moich urodzin. Były to głównie kwiaty – przeważały rozmaite bukiety róż, choć wśród nich trafiły się również różowe stokrotki, nad którymi chwilę się zastanowiłam, zanim zamknęłam swoją walizkę i opuściłam rezydencję w towarzystwie świętej trójcy.

Przeżyłam najcudowniejszą imprezę życia w Hiszpanii, a tych czekało mnie jeszcze więcej. Wreszcie przyszło mi cieszyć się czasem z braćmi tak, że mogłam za nimi nadążyć i się dobrze bawić.

Byłam szczęśliwa. I skrycie wierzyłam, że tego szczęścia życie miało dla mnie w zanadrzu jeszcze więcej.

A gdy zdarzały się takie momenty, że czułam się źle, że łapały mnie w swoje szpony mroczne wspomnienia z przeszłości, gdy czasem nadochodziły mnie smutne myśli lub wspomnienia, gdy miałam zły moment... szłam do dziecięcej sypialni, zasiadałam w bujanym fotelu przy łóżeczku i relaksowałam się, obserwując drzemiącą córeczkę Vincenta.

You&YA

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz